NORMAN

DAVIES

ORZEŁ BIAŁY
CZERWONA GWIAZDA

znak

Norman Davies

Orzeł Biały
Czerwona Gwiazda

Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920

przekład
Andrzej Pawelec

Wydawnictwo Znak

MOJEMU TEŚCIOWI,
którego Los rzucił w sam środek tego absurdu, ale który, Bogu dzięki, przeżył.

Przedmowa autora do nowego wydania polskiego

W kategoriach biblijnych trzydzieści pięć lat to połowa żywota. Właśnie tyle czasu upływa od powstania *Orła białego, czerwonej gwiazdy*, kiedy ukazuje się najnowsze polskie wydanie książki. Trudno w to uwierzyć. Wydaje się, że każda kolejna dekada życia mija coraz szybciej.

Latem 1971 roku, kiedy kończyłem pisać *Orła białego...*, byłem ledwie nieopierzonym autorem i raczkującym badaczem. Za radą mojego oksfordzkiego tutora A.J.P. Taylora odłożyłem pracę nad doktoratem i spędziłem rok akademicki 1970/1971 jako *research fellow* w St. Antony's College. Dzięki hojności Alistair Home Trust otrzymałem roczne stypendium umożliwiające mi pracę nad wybranym zagadnieniem. Był tylko jeden warunek: w ciągu dwunastu miesięcy miałem dostarczyć gotowy maszynopis nadającej się do publikacji książki. Nie było to łatwe zadanie.

St. Antony's College cieszył się niezasłużoną sławą jednej z czołowych akademii szpiegowskich Zachodu. Choć media bloku sowieckiego regularnie demaskowały go jako wylęgarnię szpiegów, był co najwyżej przystanią dla byłych oficerów wywiadu z pokolenia wojennego, którzy chcieli spożytkować swoją wiedzę o Europie Wschodniej na niwie akademickiej. Miałem zaszczyt poznać takie postaci jak F.W. „Bill" Deakin, który spędził większą część wojny w Jugosławii jako główny emisariusz Churchilla do generała Tity; Maksa Haywarda – tłumacza *Doktora Żywago*; Ronalda Hingleya – znawcę Dostojewskiego i Czechowa, który wydał właśnie historię rosyjskich tajnych służb *The Russian Secret Police* (1970); czy wreszcie Harry'ego Willettsa, który miał zostać niebawem tłumaczem Aleksandra Sołżenicyna. Wszyscy moi koledzy mieli znacznie trzeźwiejsze spojrzenie na Związek Radziecki niż większość sowietologów i nieodmiennie zachęcali mnie do pracy nad książką o wojnie polsko-bolszewickiej.

Harry Willetts okazał się szczególnie ważny. Pod koniec lat czterdziestych, kiedy pracował w brytyjskiej ambasadzie w Moskwie, spotkał Halinę, Polkę pochodzenia żydowskiego, z którą się ożenił. Halina – gorąca polska patriotka – została zesłana na Sybir w 1940 roku i była skarbnicą wiedzy na wszelkie zakazane tematy. Dom Willettsów był zawsze otwarty dla młodych badaczy takich jak ja. Stanowił rzadkie źródło prawdziwych informacji o współczesnej Polsce i bloku sowieckim.

Trzeba pamiętać, że na początku lat siedemdziesiątych obiektywna wiedza na temat Europy Wschodniej była wyjątkowo trudno dostępna. W środku zimnej wojny antykomuniści toczyli ciągłe boje z apologetami Związku Radzieckiego. Co więcej, na polu historiografii obie strony często opierały się na informacjach pochodzących z okresu wojny, kiedy Zachód uznawał Stalina za sojusznika. Dla przykładu, jedyny anglojęzyczny opis relacji polsko-sowieckich wyszedł w połowie lat czterdziestych spod pióra Williama i Zeldy Coatesów – dwojga angielskich komunistów. Jeśli idzie o wojnę 1920 roku, niemal

wszyscy byli zgodni co do tego, że zapoczątkowała ją „kampania kijowska", kiedy to „Polska" jakoby zaatakowała „Rosję".

Moja przyszła kariera zawodowa jako historyka akademickiego stała wciąż pod znakiem zapytania. Na podstawie przygotowanej do druku książki złożyłem podanie do London University o posadę wykładowcy historii Polski. Po trudnej rozmowie kwalifikacyjnej moja kandydatura została – wstępnie – zaakceptowana. Potem jednak, w ostatnim tygodniu wakacji, otrzymałem niespodziewanie telefon, że nie zostanę zatrudniony. Jak się później dowiedziałem, doktor Paweł Skwarczyński, który miał przejść na emeryturę w 1971 roku, skorzystał z możliwości wykładania do 31 grudnia, a dyrektor School of Slavonic Studies doktor George Bolsover nie był skłonny opłacać dwóch wykładowców jednego przedmiotu przez trzy miesiące – od października do grudnia. Przez kilka dni moje losy się ważyły. W ostatniej chwili uratował mnie profesor Raymond Carr, rektor St. Antony's College, który w mojej obecności zadzwonił do Bolsovera i zrugał go za skąpstwo. Znaleziono rozwiązanie: miałem otrzymać połowę pensji za pierwszy trymest, przy czym połowę z tej połowy miał wyłożyć Carr.

Niebawem wszyscy zainteresowani zapomnieli o tej burzy w szklance wody. Niemniej jednak z perspektywy lat widzę wyraźnie, że mogłem łatwo zrezygnować z aspiracji akademickich. Miałem trzydzieści dwa lata. Musiałem utrzymywać żonę i dziecko. Kończyły mi się granty i stypendia. Potrzebowałem stałego zatrudnienia i byłem gotów wrócić do wcześniejszej pracy – na posadę nauczyciela szkolnego. Jest całkiem prawdopodobne, że gdyby Raymond Carr nie chwycił wówczas za słuchawkę, to porzuciłbym marzenia o karierze uniwersyteckiej i żadna z moich następnych książek nie zostałaby napisana.

Rok 1971 nie wróżył zresztą dobrze komuś, kto chciał zostać specjalistą od spraw polskich. Niewiele wcześniej mój znajomy Hubert Zawadzki był świadkiem stłumienia protestów robotniczych na Wybrzeżu. Wydawało się, że Polska wchodzi w długą fazę represji politycznych. Moja Mama nie mogła mnie zrozumieć: „Czemu straciłeś zainteresowanie dla takich krajów jak Francja czy Włochy, gdzie słońce świeci jaśniej?".

Mimo wszystko, kiedy otrzymałem posadę na London University, kości zostały rzucone. Ponieważ miałem prowadzić trzydziestotygodniowy kurs historii Polski „od Piastów po PRL", musiałem przygotować wiele wykładów. Robiłem to niesiony entuzjazmem, zwłaszcza że jednocześnie byłem zaangażowany w długi proces wydawniczy *Orła białego, czerwonej gwiazdy*.

Dzięki osobistej rekomendacji A.J.P. Taylora książka została przyjęta przez małą oficynę o nazwie Macdonald's, której siedziba mieściła się stosownie na Poland Street nr 49 w Soho. W tamtym okresie mieszkałem w tygodniu u przyjaciół – Petera i Ireny Varey'ów w Kingstonie, Surrey. (Peter, tak jak ja, skoczył na głęboką wodę i ożenił się z Polką). Regularnie jeździłem stamtąd pociągiem do centrum Londynu, żeby spotykać się z moim redaktorem Jamesem McGibbonem oraz autorem map – Kenem Watsem. Ani James, ani Ken nie mieli zielonego pojęcia o Europie Wschodniej i obydwaj byli zdumieni, że to samo miejsce może występować pod wieloma nazwami: „Czemu to miasto nazywa się »Żytomir« na stronie 54, a »Żytomierz« na stronie 72?"; albo „Czemu »Lemberg« nie może po prostu zostać »Lembergiem«? Czy ta nazwa komuś przeszkadza?". W końcu podjęliśmy decyzję, że wszystkie nazwy na zachód od Rygi pojawią się w wersji polskiej, a te na wschód – w wersji rosyjskiej. Form ukraińskich czy białoruskich nie braliśmy w ogóle pod

uwagę.

Regularnie odwiedzałem również Muzeum im. gen. Sikorskiego w Kensingtonie, które było moim głównym źródłem materiału fotograficznego. Jak łatwo obliczyć, fotografie z lat 1919-1920 miały wówczas ledwie pięćdziesiąt lat, lecz wydawało się, że pochodzą – tak jak wszystko z okresu przedwojennego – z zupełnie innej cywilizacji. Zdjęcia Konarmii – kozackiej zbieraniny Budionnego, czy polskich ułanów z lancami były w moich oczach niesłychanie romantyczne, niczym pocztówki z zaginionego świata. Jedna z fotografii, którą wybrałem, przedstawiała musztrę Samodzielnego Batalionu Robotników – latem 1920 roku w Warszawie. Żołnierze byli uzbrojeni w kosy, tak jak chłopi walczący u boku Kościuszki w 1794 roku.

W Muzeum im. gen. Sikorskiego w 1971 roku mogłem jeszcze spotkać weteranów wojny 1920 roku. Pamiętam dobrze jednego z nich – pułkownika Kornela Krzeczunowicza, który na czele 8. Pułku Ułanów poprowadził szarżę kawalerii w bitwie pod Komarowem. Pułkownik organizował wystawę dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy wojny polsko-bolszewickiej i w tym celu – tak jak ja – szperał w muzealnym zbiorze fotografii.

A.J.P Taylor wspaniałomyślnie zgodził się napisać przedmowę do książki. Jego wielkoduszny gest stanowił promocyjny atut i był powodem do dumy dla debiutanta. Kiedy jednak tekst przedmowy trafił do moich rąk, nie byłem całkiem usatysfakcjonowany. Z jednej strony Taylor napisał, że dzieło jest „wybitne" i polecał je „bez cienia wątpliwości". Z drugiej jednak – sformułował szereg opinii sprzecznych z tym, co ja sam napisałem w książce. Powiedział na przykład, że zwycięstwo Polski w 1920 roku zrodziło w 1939 roku fałszywe przekonanie, iż można pokonać Niemcy „bez pomocy sowieckiej". Napisał również: „W dzisiejszej Polsce nie odżywają już próżne wspomnienia o dawnej niepodległości".

Nie było oficjalnego wieczoru promocyjnego. Pewnego dnia na wiosnę 1972 roku *Orzeł biały*... znalazł się na półkach księgarń. Od tego momentu trzeba było czekać, czy być może ukaże się jakaś recenzja. Po kilku tygodniach niepewności los się uśmiechnął. „Times Literary Supplement", czołowy londyński arbiter w sferze gustów intelektualnych i akademickich, opublikował długą recenzję – całkowicie anonimową, jak to było w zwyczaju – która bardzo przypominała przedmowę Taylora. Autor nie skąpił książce pochwał, a jednocześnie bez zająknienia wyraził kilka poglądów sprzecznych z moimi. Zapewne byłem jedyną osobą, która zwróciła na to uwagę. Dowiedziałem się później, że owym anonimowym recenzentem był nie kto inny jak mój własny szef z London University – profesor Hugh Seton-Watson.

Największym sukcesem książki była wszakże recenzja pióra sir Michaela Howarda w „Sunday Times" . Ten dawny oficer gwardii – a później profesor historii w Oksfordzie (*Regius Professorship*) oraz *fellow* All Souls College – był czołowym brytyjskim historykiem wojskowości, niezrównanym autorytetem w tej dziedzinie. Jego jedno słowo mogło zamknąć bądź otworzyć drzwi do kariery. Traf chciał, że sir Michael był nastawiony życzliwie. Pochwalił zarówno styl, jak i treść *Orła białego*... – zapewniając książce dobrą reputację. Potem już żadna złośliwa recenzja w jakimś nieznanym periodyku akademickim nie mogła jej nadszarpnąć. Pojawił się też prestiżowy wydawca amerykański w postaci St. Martin's Press (Broadway, New York).

Dzięki publikacji *Orła białego*... mogłem po raz pierwszy stanąć przed gęstymi szeregami londyńskiej Polonii. Spotkanie odbyło się w Ognisku Polskim na Exhibition

Road w Kensingtonie. Przewodniczył mu hrabia Zamoyski – ojciec Adama, wówczas prezes zarządu Biblioteki Polskiej (on sam nie używał tytułu hrabiego). Nigdy wcześniej nie mówiłem publicznie po polsku do Polaków. Sądząc po ożywionych reakcjach, widownia rzadko (jeśli w ogóle) miała okazję słuchać wykładu Brytyjczyka po polsku. Sala pękała w szwach. Słuchacze byli rozemocjonowani. Padały agresywne pytania. Nie pamiętam wszystkich szczegółów, ale przypominam sobie doskonale, że hrabia Zamoyski był nadzwyczaj uprzejmy i nadzwyczaj zdeterminowany, aby obronić mnie przed atakami niektórych swoich rodaków. Na przykład, kiedy użyłem terminu „wojna polsko-radziecka", który słyszałem wcześniej w Polsce, wywołałem burzę. Pewien starszy pan nie potrafił też przyjąć do wiadomości mojego wyjaśnienia, że angielski termin „*general*" oznacza „oficera sztabu generalnego" i nie jest dokładnym odpowiednikiem polskiego „generała", który oznacza rangę wojskową. „Piłsudski nie był generałem austriackim i koniec!" Dowiedziałem się jednego: londyńska Polonia była wciąż jeszcze głęboko podzielona na obóz piłsudczyków i antypiłsudczyków.

Jakiś czas później, chyba w 1973 roku, wieść o mojej książce dotarła do Polski. Zaproszono mnie, bym wygłosił odczyt na temat *Orła białego*... w Instytucie Historii PAN na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Gospodarzem był profesor pułkownik Tadeusz Jędruszczak, dyrektor Wojskowego Instytutu Historycznego. To spotkanie okazało się jednym z najbardziej surrealistycznych w mojej karierze. Poprzedniego wieczora, kiedy cyzelowałem tekst wystąpienia w Hotelu MDM, gdzie mnie zakwaterowano, zadzwonił telefon. Profesor Jędruszczak zwrócił się do mnie ze zdumiewającą prośbą: ponieważ warszawscy historycy – jak stwierdził – nie są szczególnie zainteresowani tematem wojny polsko-radzieckiej, uważał za stosowne, bym mówił na jakiś inny temat. Rzecz jasna, powinienem był odpowiedzieć: „wojna 1920 roku albo dziękuję", ale byłem młody i zdezorientowany. Zapytałem więc, co może interesować jego kolegów, na co usłyszałem: „historia brytyjskich związków zawodowych". Do późna w nocy ślęczałem więc przy biurku, przygotowując tekst fatalnego odczytu na temat, o którym miałem najwyżej blade pojęcie.

Rano wszystko było już jasne. Kiedy dotarłem na miejsce spotkania, profesor Jędruszczak poinformował mnie o nieoczekiwanym przybyciu delegacji z Moskwy – koledzy z Akademii Nauk ZSRR chcieli posłuchać mojego odczytu. Nie doczekałem się żadnych przeprosin. Profesor Jędruszczak uważał z pewnością, że za nic w świecie nie wolno urazić radzieckich towarzyszy, a ja musiałem się po prostu dostosować. Z jednej strony rozumiałem, iż zgodnie z zasadami etykiety przyjętymi w bloku sowieckim odczyt o jedynej klęsce Armii Czerwonej byłby przejawem złych manier. Zarazem jednak podskórnie czułem niewypowiedziany, ale namacalny strach. Gdyby ktoś ośmielił się publicznie dyskutować o jednej z największych porażek Lenina, poleciałyby głowy. Koniec końców, to wszystko było bardzo dziwne. Nie miałem okazji dowiedzieć się, co radzieccy towarzysze sądzili o moich luźnych uwagach na temat brytyjskich związków zawodowych. Usiedli w ostatnim rzędzie i nie zadali żadnego pytania.

Coś jednak udało mi się zauważyć. Wszedłem na salę, niosąc pod pachą egzemplarz *Orła białego*... – świetnie widoczny dzięki jaskrawożółtej okładce. Zostawiłem go na pierwszej ławce, a sam zająłem miejsce za mównicą. Kiedy rozpocząłem wystąpienie, jakaś ręka z pierwszego rzędu wysunęła się i schwyciła książkę. Szczęśliwy zdobywca szybko przewracał strony i często zaglądał do indeksu. Po chwili tomik odebrał mu

zniecierpliwiony sąsiad. I tak było już do końca: każdy uczestnik wykładu miał jedną, dwie minuty na zapoznanie się z zawartością; nikt nie słuchał tego, co mówię. Za każdym razem, kiedy podnosiłem wzrok, książka w żółtej obwolucie znajdowała się jedno, dwa miejsca dalej. Wykład dobiegł końca, książkę zwrócono. Padły ze dwa grzecznościowe pytania na temat Ernesta Bevina czy strajku powszechnego w 1926 roku – i tyle. Wychodziłem z nieodpartym wrażeniem, że pomimo obecności delegacji radzieckiej *Orzeł biały...* pozostawił w Warszawie swój ślad.

O ile wiem, w PRL-u opublikowano tylko jedną recenzję książki – majstersztyk przebiegłości. Jej autorem był Tadeusz Cieślak, historyk partyjny, który stracił posadę dyrektora Zakładu Historii Stosunków Polsko-Radzieckich i został zesłany na placówkę do Instytutu Kultury Ambasady Polskiej w Londynie. (Cieślak nie chciał się zgodzić na podpisanie własnym nazwiskiem tomu IX *Dokumentów i materiałów do historii stosunków polsko-radzieckich*, z którego usunięto tekst paktu Ribbentrop-Mołotow. Zastąpił go notoryczny karierowicz – W.T. Kowalski). Strategia Cieślaka była absolutnie genialna. Autor streścił skrupulatnie każdy rozdział książki, a na końcu, nie przebierając w słowach, potępił ją w szczegółach i w całości. „Davies głosi żałosny pogląd, że wojna zaczęła się w lutym 1919 roku, a nie w kwietniu 1920" albo „Teza Daviesa, iż to Lenin, a nie Trocki opowiadał się za wojną, jest z gruntu absurdalna". W rezultacie cenzura była bezradna. Można się było dowiedzieć nie tylko o tym, że wyszła książka o wojnie polsko-bolszewickiej, ale również, jak ciekawe poglądy zawierała. *Chapeau bas*, panie Cieślak!

* * *

Zawsze głęboko wierzyłem w ścisłe związki między historią a literaturą. *Orzeł biały...* był jedną z pierwszych okazji do urzeczywistnienia tej wiary. W szczególności posłużyłem się opowiadaniami o Konarmii Izaaka Babla, aby dodać szczyptę autentyzmu do relacji o sowieckiej stronie wojny. Wkrótce po ukończeniu książki wpadł mi w ręce *Tagesbuch* – dziennik Babla z 1920 roku – który niewiele wcześniej ukazał się po niemiecku w Berlinie Wschodnim. Ponieważ pamiętnik Babla rzucał nowe światło na jego warsztat pisarza, postanowiłem przyjrzeć mu się bliżej i napisałem na ten temat artykuł naukowy.

Odkryłem, że w gruncie rzeczy Babel oszukiwał czytelników swoich opowiadań wojennych, mieszając fakty z fikcją, dzięki czemu powstał żywy, lecz w dużej mierze fałszywy obraz rzeczywistości. Wbrew temu, co sądzili wcześniejsi krytycy, nie mamy do czynienia ze zwyczajnym reportażem, co można wykazać, porównując tekst ze szczegółowymi zapiskami w dzienniku. Czytając opowiadania, wielokrotnie odnosimy wrażenie, że Babel brał udział w bitwach wraz z kozakami Budionnego i był naocznym świadkiem ich perypetii i okrucieństw. Tymczasem dziennik pokazuje jednoznacznie, że na ogół przebywał z dala od centrum zdarzeń. Zauważyłem też, że Babel często przekręcał fakty, na przykład mylił nazwy rzek Zbrucz i Słucz. Po namyśle stwierdziłem jednak, że nie są to po prostu błędy, lecz zręczna strategia: Babel upiększał, przestawiał i naginał fakty po to, żeby uzyskać oczekiwany efekt narracyjny. Innymi słowy, jego pisarstwo było twórczym „kolażem". Moje odkrycia opublikował prestiżowy „Modern Languages Review". Stanowiły one pierwszy krok na długiej drodze konsekwentnego acz ostrożnego odwoływania się do literatury – co odróżnia mnie od wielu innych historyków – jako

cennego uzupełnienia historycznych ewokacji zdarzeń.

* * *

W latach, które upłynęły od wydania książki, dokonał się postęp na wielu obszarach, więc opowieść o latach 1919-1920 pisana z dzisiejszej perspektywy zawierałaby ważne informacje niedostępne w latach siedemdziesiątych. Najważniejszą z „białych plam", które z czasem zostały wypełnione, jest zapewne kwestia Ukrainy. Moja wiedza była w tej materii wyraźnie niewystarczająca. Wojna Rzeczypospolitej ze Związkiem Sowieckim toczyła się głównie na terytorium dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. W związku z tym relacje polsko-ukraińskie i ukraińsko-sowieckie stanowią integralną część historii tych zdarzeń. Trzydzieści lat temu miałem jednak nikłą tego świadomość. Co więcej, nie byłem odosobniony. Niemal wszyscy na Zachodzie, w tym uczeni profesorowie, święcie wierzyli w rosyjski mit, zgodnie z którym Ukraina jest prowincją Rosji, a Ukraińcy to „Małorusy". Wszystkie podręczniki i encyklopedie powtarzały ten fałsz, a w środku zimnej wojny, kiedy Związek Sowiecki był wciąż jeszcze wielkim mocarstwem, bardzo trudno było wyobrazić sobie to, że Europa Wschodnia może nie odpowiadać kategoriom rosyjskim czy radzieckim. Gdy patrzyło się w przyszłość, niepodległość Ukrainy wydawała się mrzonką, a myśląc o przeszłości, trudno było traktować niepodległą Ukrainę z okresu 1918-1921 jako prawdziwe państwo. W latach po I wojnie światowej alianci nie uznali wielu nowych państw Europy Wschodniej, takich jak Ukraina, gdyż uważali je albo za marionetki w rękach Niemiec, albo za twory sztuczne, które tak naprawdę nigdy wcześniej nie istniały. Dopiero teraz, z nowej perspektywy, historia Ukrainy jawi się w bardziej realistyczny sposób – również dzięki solidnym studiom akademickim[1]. Trzydzieści lat temu zdawałem sobie sprawę z tego, że sojusz Piłsudskiego z Petlurą w kwietniu 1920 roku miał doniosłe znaczenie, a protesty na Zachodzie przeciwko wyprawie na Kijów pod hasłem „Ręce precz od Rosji!" stanowiły niestosowną, by nie rzec absurdalną reakcję. Niemniej jednak moje analizy były nie do końca adekwatne.

Drugim obszarem, gdzie nie miałem dobrej orientacji ani pożytecznych źródeł, był wywiad wojskowy. W rezultacie przypisywałem niektóre kluczowe decyzje szczęściu bądź „trafnym domysłom", nie mając pojęcia o pełnym zakresie informacji dostępnych ówczesnym dowódcom. Najważniejsze z takich zdarzeń miało miejsce wiosną 1920 roku, kiedy to Piłsudski postanowił zignorować zabiegi bolszewików o pokój i przeprowadzić atak wyprzedzający na Kijów, znajdujący się wówczas w rękach bolszewików. Przypisywałem tę decyzję Piłsudskiego jego wiedzy o zgrupowaniu Armii Czerwonej nad Berezyną oraz „wrodzonemu instynktowi wojownika". Nie wiedziałem jednak, choć powinienem był to podejrzewać, że Polacy złamali sowieckie kody, dzięki czemu wywiad wojskowy odczytywał z łatwością radiodepesze bolszewików. Innymi słowy, „instynkt" Piłsudskiego miał oparcie w tajnych, lecz pewnych informacjach na temat sowieckich planów. Kluczowe studium dotyczące tej materii ukazało się dopiero w roku 2004[2].

Trzecim obszarem, na którym *Orzeł biały...* miał pewne braki, była kwestia traktowania jeńców wojennych. Wiedziałem dobrze, że późnym latem 1920 roku w rękach armii polskiej znalazła się ogromna liczba sowieckich żołnierzy, dla których założono obozy jenieckie. Wiedziałem też, że w 1920 roku internowano tysiące polskich żołnierzy pochodzenia żydowskiego z obawy przed ich sympatiami dla komunizmu. Dotarłem do

raportów Komisji Parlamentarnej, która zajęła się nadużyciami w tych obozach, gdy tylko ogłoszono rozejm.

Niemniej jednak wiele lat później dowiedziałem się, że ta sprawa ma drugie dno. Kiedy w 2003 roku zbierałem w Moskwie materiały archiwalne do książki o Powstaniu Warszawskim, wygłosiłem odczyt w brytyjskiej ambasadzie. W trakcie pytań zupełnie zaskoczył mnie pewien młody Rosjanin, który domagał się, bym skomentował fakt wymordowania przez Polaków w 1920 roku 60 tysięcy rosyjskich jeńców. Natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że jestem świadkiem jakiejś prowokacji związanej z Katyniem, więc konieczna jest zdecydowana replika. Powiedziałem, że od czterdziestu lat zajmuję się stosunkami polsko-rosyjskimi i nikt nigdy – nawet w czasach stalinowskich – nie wysunął takiego oskarżenia. Zakończyłem stwierdzeniem, że jest to „kompletna fikcja". W odpowiedzi młodzieniec rozdał zgromadzonym broszurę, w której powtarzała się liczba „60 tysięcy" i w której zamieszczono zdjęcie polskiego obozu jenieckiego w Tucholi. Po rozmowach z polskimi przyjaciółmi wiedziałem już, że mam do czynienia z intensywną kampanią prowadzoną przez rosyjskich nacjonalistów.

Z czasem sprawa się wyjaśniła. Inni historycy – lepiej poinformowani niż ja – byli już na tropie. Z inicjatywy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych w Warszawie przygotowano poważne studium na ten temat. Dwóch profesorów z UMK w Toruniu połączyło siły z rosyjskim kolegą w celu przebadania materiałów archiwalnych. Ich raport, który zawiera wszystkie istotne dokumenty, jest rozstrzygający[3]. Dowiadujemy się, że w latach 1919-1920 przetrzymywano w Polsce 80-85 tysięcy rosyjskich jeńców. Część z nich wzięły w niewolę wojska niemieckie jeszcze w czasie I wojny światowej. W zdecydowanej większości byli to jednak czerwonoarmiści schwytani przez wojsko polskie. Około 16-20 tysięcy jeńców zmarło w obozach. Przyczyną zgonów były wszakże choroby: dyzenteria, tyfus i epidemia hiszpanki. Epizod ten stanowi smutny epilog polskiej wiktorii w wojnie 1920 roku i wypada żałować, że historycy nie opisali go wcześniej. Nie ma jednak mowy o żadnej hańbie, a wszelkie porównania z Katyniem są nie na miejscu.

Jest zatem bezsporne, że *Orzeł biały...* nie jest wolny od ograniczeń narzuconych przez czasy, w których powstawał. Zarazem jednak wolno powiedzieć z odrobiną satysfakcji, że książki nie wypaczyła zimnowojenna optyka, a wszystkie główne tezy przeszły wieloletni test późniejszych badań. Ponieważ korzystałem zarówno ze źródeł rosyjskich, jak i polskich, uniknąłem uprzedzeń widocznych w pracach pisanych z jednej strony w przedwojennej Polsce, z drugiej zaś – po wojnie w krajach bloku sowieckiego. Książka pozostaje jedyną monografią, która przedstawia wojnę polsko-bolszewicką w całości, łącząc aspekty polityczne i militarne.

Dla polskiego czytelnika należało uwypuklić trzy wątki narracji. Po pierwsze, siłą napędową tej wojny nie była wrogość bolszewików wobec Polski – choć nie można w nią wątpić – lecz ich dalekosiężny plan marszu na Niemcy w celu wywołania rewolucji europejskiej. Po drugie, wojna stanowiła główny element długiej walki o spadek po carskim imperium w Europie Środkowej. Polska, tak jak Finlandia i państwa nadbałtyckie, należała do garstki państw, które skutecznie obroniły niepodległość w obliczu neoimperialnych zapędów bolszewików. Po trzecie, wojna doprowadziła do wytyczenia granic zarówno II Rzeczypospolitej, jak i ZSRR, a zatem przyczyniła się do ukształtowania porządku międzynarodowego, który miał trwać do 1939 roku. W każdej z tych kwestii narracja jest jasna i jednoznaczna. Nie mam wątpliwości, że książka zasługuje na ponowne

wydanie dokładnie w tej postaci, w jakiej powstała przed tyloma już laty.

Norman Davies
Oxford, lipiec 2006

---

[1] J.J. Bruski, *Petlurowcy. Centrum Państwowe Ukraińskiej Republiki na wychodźstwie (1919-1924)*, Kraków 2000.

[2] G. Nowik, *Zanim złamano „Enigmę"... Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918-1920*, Warszawa 2004.

[3] W. Rezmer, Z. Karpus, G. Matwiejew, *Krasnoarmiejcy w polskom plenu w 1919-22gg. Sbornik dokumientow i materiałow*, Moskwa 2004.

Przedmowa autora do wydania polskiego

Od ukazania się w 1972 roku pierwszego angielskiego wydania *Orła białego, czerwonej gwiazdy...* minęło ćwierć wieku. Był to mój autorski debiut. Książka została napisana w ekspresowym tempie w ciągu niespełna dwunastu miesięcy, ale towarzyszący jej narodzinom pośpiech wcale jej, jak sądzę, nie zaszkodził. W owym czasie jako początkujący doktorant przeżywałem powszechne na tym etapie kariery kłopoty finansowe i doświadczałem poczucia zagubienia. Byłem również ojcem małego dziecka i mężem chorującej żony, który musiał pogodzić się z faktem, iż jego dni jako beztroskiego wędrownego uczonego są policzone. Praca nad książką była skutecznym sposobem na skupienie umysłu. Podczas długiego pobytu w Krakowie pod koniec lat sześćdziesiątych dowiedziałem się o istnieniu „wojny bolszewickiej"; przysłuchiwałem się jak zaczarowany wspaniałym opowieściom mojego Teścia[4] o jego przygodach sprzed półwiecza, kiedy to wojował z Armią Czerwoną Lenina. Wojna polsko-bolszewicka z lat 1919-1920 była jednak wciąż tematem zakazanym. Nie istniała w podręcznikach i w oficjalnych publikacjach ukazujących się w „obozie socjalistycznym". Klęska Armii Czerwonej zdecydowanie przerastała wyobraźnię i wykraczała poza dyrektywy komunistycznych cenzorów; w żadnym razie nie mogła więc stanowić legalnego przedmiotu badań archiwalnych, a tym bardziej tematu rozprawy doktorskiej.

Ocalił mnie A.J.P. Taylor, mój poprzedni opiekun naukowy. Choć Taylor był zapewne najwybitniejszym, a z pewnością najsławniejszym historykiem swojego pokolenia, nie dbał o akademickie konwenanse. W owym czasie znajdował się u szczytu powodzenia jako pierwszy brytyjski *teledon*[5], a jego improwizowane wykłady telewizyjne przyciągały szerokie audytorium. Chociaż napisał wiele ważnych prac na temat historii Wielkiej Brytanii i Europy, nigdy nie zajmował eksponowanego stanowiska na żadnym brytyjskim uniwersytecie. Nie otrzymał katedry historii (*Regius Professorship*) na uniwersytecie w Oksfordzie – po części na skutek lewicowych poglądów politycznych – i od tego czasu odrzucał wszystkie kolejne oferty. Unikał tytułu „profesor", tak jak nie miał szacunku dla tytułu „doktora". Co dla mnie najważniejsze, chociaż był czynnym członkiem lewicowych kręgów intelektualnych, zawsze traktował z należną podejrzliwością Związek Radziecki i komunistyczną propagandę. (Na Kongresie Intelektualistów, który odbył się w sierpniu 1948 roku we Wrocławiu, jako jedyny z zachodnich delegatów zabrał głos, by zaprotestować przeciw sterowaniu obradami przez radzieckich towarzyszy). Tak więc, kiedy pojawiłem się ponownie w Oksfordzie w roku 1968/1969, Taylor autentycznie zainteresował się tym, co robię. Poradził mi, żebym na razie zapomniał o studiach doktoranckich i jak najszybciej dał coś do druku. „Tylko ludzie małego formatu robią doktoraty", zapewniał. Zachęcił mnie, abym przygotował do druku pracę seminaryjną pt. „Lloyd George a Polska", i umożliwił mi ubieganie się o stypendium w St. Antony's

College. Wojna polsko-bolszewicka, stwierdził, to świetny temat: ponieważ nikt inny się na nim nie zna, mogę uczynić go swoją specjalnością. Zarazem jest to temat, który na pewno spodoba się zarówno rektorowi *college*'u sir Raymondowi Carrowi, jak i sponsorowi stypendium panu Alistairowi Home'owi, który był – i jest nadal – znakomitym historykiem wojskowości. Po krótkiej rozmowie kwalifikacyjnej dostałem stypendium i usłyszałem, że mam się brać do pisania. Postawiono mi tylko jeden warunek: gotowy maszynopis książki musi wpłynąć w ciągu roku.

Powiadają, że pierwsza książka – tak jak pierwsze dziecko – jest zawsze tą ulubioną. Nie wiem, czy na tej regule można zawsze polegać. W każdym razie mam powody przypuszczać, iż *Orzeł biały*... to, jak dotąd, najlepsza z moich książek. Jest zwięzła i ma tempo. Choć zawiera konieczną dawkę faktów i nieznanych nazwisk, nadal przekazuje coś z podniecenia, które odczuwałem, badając słabo znany teren, ocalając od zapomnienia odległe egzotyczne chwile i miejsca, borykając się z zawiłościami nader skomplikowanego epizodu. Jak pamiętam, szczególną satysfakcję sprawiało mi porównywanie źródeł rosyjskich i polskich (moi przedwojenni poprzednicy nie podjęli się tego zadania), łączenie narracji z analizą oraz splatanie wątków militarnych, politycznych, międzynarodowych i biograficznych. Cóż za wspaniała panorama ukazała się moim oczom! Warszawa, Kijów, Wilno, Lwów, Mińsk, Dniepr, Wisła i Berezyna. Te wszystkie miejsca trzeba było połączyć z myślami oraz czynami ułanów i kozaków, Trockiego i Stalina, Tuchaczewskiego i Sikorskiego, Weyganda i de Gaulle'a, a także samego niezrównanego Marszałka. W końcu jednak owa fascynacja krwawym wydarzeniem, w którym tak wielu młodych ludzi straciło życie, obudziła we mnie poczucie pewnego zawstydzenia. Dlatego zakończyłem książkę morałem zaczerpniętym z opowiadania Izaaka Babla, który wydał mi się stosowny – choć nie wszystkim moim patriotycznie nastawionym czytelnikom z Polski.

Kiedy książka została opublikowana, zawierała nader osobliwą przedmowę Taylora. Z jednej strony „A.J.P." nie żałował rozprawie młodego autora pochlebnych określeń: „wybitna", „sprawnie napisana", „stanowi trwały wkład do badań historycznych". Z drugiej jednak – znalazły się w niej uwagi na temat wojny polsko-bolszewickiej zdradzające, iż Taylor nie zaakceptował głównej linii argumentacyjnej dzieła, które rekomendował. Jak większość zachodnich uczonych przedtem i potem, Taylor nadal uważał, iż wojnę rozpoczęli Polacy, kiedy podczas wyprawy kijowskiej w kwietniu 1920 roku najechali na „Rosję". Albo więc nie przeczytał książki, albo też – co bardziej prawdopodobne – nawet on nie potrafił przełknąć tezy, iż kapitalistyczny Zachód nie posłużył się Polakami, by zaatakować socjalizm w Rosji. Jak miałem się przekonać później, sceptycyzm Taylora wobec komunizmu nie był bezgraniczny. (Na przykład do końca życia nie mógł uwierzyć, że zbrodnia katyńska została popełniona przez Sowietów).

Generalnie mój debiut spotkał się z życzliwym przyjęciem. Książka znalazła się na fali po opublikowaniu przez „Sunday Times" entuzjastycznej recenzji pióra sir Michaela Howarda, ówczesnego profesora nauk o wojnie w Londynie[6]. Po ożywionej dyskusji w tamtejszej Bibliotece Polskiej zaskarbiła mi sympatię brytyjskiej Polonii, traktującej dotąd z podejrzliwością młodego historyka, który bawił zdecydowanie zbyt długo w PRL-u. Stała się również tematem paryskiego sympozjum zorganizowanego przez Institut d'Etudes Slaves. Naturalnie, nie mogła zostać porządnie zrecenzowana w obu krajach, których dotyczyła bezpośrednio. Z Moskwy nie nadeszła ani jedna recenzja. Jedyna, która ukazała się z pewnym opóźnieniem w Polsce, przybrała postać osobliwie pokrętnej niby-

denuncjacji autorstwa Tadeusza Cieślaka. Był on uprzednio dyrektorem Zakładu Historii Stosunków Polsko-Radzieckich PAN w Warszawie, ale złożył rezygnację, kiedy cenzura usunęła tekst paktu Ribbentrop-Mołotow z tomu dokumentów historycznych dotyczących roku 1939. Następnie trafił do Londynu, gdzie kierował rachitycznym Instytutem Kultury Polskiej w peerelowskiej ambasadzie – tam też go spotkałem. Ponieważ cenzura w żadnym razie nie przepuściłaby pochlebnej recenzji *Orła białego*..., Cieślak napisał długie streszczenie i zaopatrzył je w konkluzję, iż zaproponowana przez Daviesa interpretacja wydarzeń z lat 1919-1920 jest kompletnie fałszywa. Tym sposobem umożliwił polskim czytelnikom zapoznanie się z moją argumentacją.

Łatwo zapomina się o tym, pod jak ścisłą kontrolą znajdowały się w Polsce badania historyczne – nawet w latach siedemdziesiątych. Pewne wyobrażenie o skali tego nadzoru dała mi wizyta w roku 1973 lub 1974 w Warszawie, dokąd udałem się na zaproszenie profesora pułkownika Tadeusza Jędruszczaka, aby przedstawić w Instytucie Historii PAN odczyt na temat *Orła białego*... Jędruszczak wyrobił sobie nazwisko w latach sześćdziesiątych jako jeden z tych partyjnych historyków, którzy przyczynili się do rewizji oficjalnego stanowiska wobec Drugiej Rzeczypospolitej, wzbogacając o kilka skromnych akcentów pozytywnych miażdżąco negatywną ocenę tego okresu, jakiej nadal domagała się komunistyczna władza. W ten sposób zyskał reputację szczerego liberała. Przekonałem się jednak niebawem, iż jego liberalizm ma swoje granice. W przeddzień wykładu, wieczorem, Jędruszczak zadzwonił do mnie do hotelu i bez słowa usprawiedliwienia oznajmił, że temat sesji musi ulec zmianie. Omówił jakoby tę kwestię z kolegami, od których miał usłyszeć, iż wojna polsko-bolszewicka jest zagadnieniem „mniej interesującym" niż panorama współczesnej historiografii brytyjskiej. Rzecz jasna, powinienem był odmówić, ale się zgodziłem. Przez całą noc ślęczałem w stanie kompletnego oszołomienia nad odczytem, który mogę z pełnym przekonaniem nazwać najbardziej nudnym i bezsensownym wykładem w całej mojej karierze. Rankiem karty zostały odkryte. Kiedy weszliśmy do sali konferencyjnej, pułkownik Jędruszczak wskazał na grupę delegatów z Akademii Nauk ZSRR, którzy pojawili się bez uprzedzenia w dniu poprzednim. Jedyna przyjemność, jaką udało mi się ocalić z tej katastrofy, wzięła się stąd, iż przyniosłem ze sobą żółty tomik *White Eagle, Red Star*..., który na początku wykładu leżał sobie bez nadzoru na skraju ławki. Rzecz jasna, po kilku chwilach sięgnął po niego słuchacz z pierwszego rzędu; prezentując odczyt, widziałem, jak książka w jaskrawej okładce przechodzi po kryjomu z rąk do rąk, a każdy z czytelników w pełni korzysta z przysługującej mu pół minuty, aby zapoznać się z zawartością tej nieciekawej pracy.

W takim to zdecydowanie przygnębiającym klimacie przystąpiłem do obrony mojej rozprawy doktorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaraz po zakończeniu pracy nad *Orłem białym*... pospiesznie napisałem kilka studiów na temat tła historycznego wojny polsko-bolszewickiej i nadałem im celowo ogólnikowy tytuł: „Polityka Wielkiej Brytanii wobec Polski w okresie po traktacie wersalskim, 1919-1920". Po zaliczeniu – nie bez trudności – wymaganych egzaminów uzyskałem w swoim czasie tytuł doktora nauk humanistycznych. Kiedy po raz pierwszy wkroczyłem na tę drogę, zawsze mogłem liczyć na pomoc ze strony wielu ważnych uniwersyteckich osobistości, które nie szczędziły mi czasu i słów zachęty. Wiem, że musiały mnie uznać za niewdzięcznika, kiedy zmieniłem kurs, aby napisać książkę. Choć więc dzięki niej miałem już zagwarantowaną posadę na Uniwersytecie Londyńskim, postanowiłem spłacić dług honorowy, zwłaszcza wobec

mojego promotora profesora Henryka Batowskiego oraz dyrektora IH UJ profesora Józefa Gierowskiego, i powróciłem do doktoratu. Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że moi krakowscy patroni wykazali wiele odwagi. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, to nie ja, lecz oni ponieśliby konsekwencje. Zawsze podziwiałem spokój i pogodę ducha, z jakimi radzili sobie z podłym systemem, w ramach którego przyszło im pracować. Taylor nie miał racji. Mój krakowski doktorat był zdecydowanie wart tego, by go zdobyć.

Mniej więcej w tym samym czasie postanowiłem sprawdzić, czy egzemplarz *White Eagle, Red Star...*, który podarowałem Bibliotece Jagiellońskiej, trafił do czytelników. Udałem się więc do gmachu przy Alejach, wypełniłem rewers i czekałem, co nastąpi. Po dłuższej chwili pani bibliotekarka poinformowała mnie, że książka jest niedostępna. Udałem się zatem do jej zwierzchnika, który wyjaśnił mi, iż książka Daviesa znajduje się w kategorii prohibitów. Poprosiłem więc o rozmowę ze zwierzchnikiem zwierzchnika. Chodziłem tak od pokoju do pokoju, wspinając się coraz wyżej po szczeblach bibliotecznej hierarchii, aż jeden z pracowników nagle spostrzegł, że na rewersie nazwisko czytelnika pokrywa się z nazwiskiem autora. Gdyby oto pojawił się niespodziewanie duch Szekspira i zażądał, by wypożyczono mu *Hamleta*, zdumienie nie byłoby większe. „Dlaczego Pan nam sprawia kłopoty?" – zapytała bibliotekarka. „Bo chcę zobaczyć książkę na własne oczy" – odparłem. W końcu udało się ją odnaleźć – wszelako nie w prohibitach, lecz w gabinecie samego dyrektora. Otrzymałem zapewnienie, iż książka zostanie udostępniona tylu czytelnikom, ilu tylko będzie można. Obecnie, jak słyszę, znajduje się w kategorii *rara*, w związku z czym nadal trudno do niej dotrzeć. Oto najmocniejszy argument na rzecz publikacji wydania polskiego.

O ile w Polsce recepcja książki była utrudniona z powodów obiektywnych, o tyle w Wielkiej Brytanii i w Stanach niektórzy po prostu nie przyjmowali do wiadomości jej istnienia. Wydarzenia w Czechosłowacji i w Polsce w latach 1968-1970 zmusiły wprawdzie lewicowe kręgi intelektualne do zrewidowania stanowiska wobec Związku Radzieckiego i do rezygnacji z entuzjastycznego poparcia dla jego polityki, ale potężny bagaż sowietofilskiej przeszłości bynajmniej nie zniknął. Krytykowano Stalina i Breżniewa, ale nie Lenina. Rewolucja październikowa była nadal świętą krową, której należało bić pokłony, a nie przyglądać się z bliska i dokładnie. Również przedstawiciele licznej w świecie akademickim branży sowietologów opierali zazwyczaj swoje analizy ówczesnej kondycji Związku Radzieckiego na historycznych fundamentach przejętych hurtem z radzieckiej propagandy. Na Uniwersytecie Londyńskim z taką postawą intelektualną można się było najczęściej spotkać w dużej i prestiżowej London School of Economics and Political Science (LSE), która była instytucją znacznie bardziej upolitycznioną od mojej School of Slavonic and East European Studies (SSEES), gdzie od dawna otrzeźwiający wpływ wywierała bezkompromisowa postawa profesora Hugh Seton-Watsona. Tymczasem w LSE, pomimo obecności tak wybitnych postaci jak śp. Leonard Schapiro, panował wciąż klimat zdecydowanie antyamerykański i proradziecki. Trudno się temu dziwić, zważywszy na tradycje tej uczelni: jej założyciele, sfiksowani fabianie Sidney i Beatrice Webb, oraz jej pomylony dyrektor z czasów wojny Harold Laski byli nie tylko sowietofilami, ale i *soviétomanes*. Z czasem dowiedziałem się od kolegów, z jak wielkim rozbawieniem kadra i studenci LSE przyjęli osobliwą tezę *White Eagle, Red Star...*, iż Armia Czerwona dokonała inwazji na Polskę, aby pomaszerować do Niemiec. Choć LSE i SSEES wchodzą w skład tego samego uniwersytetu, to nikt z LSE nie wyraził

nigdy ochoty, bym wygłosił tam odczyt lub wyjaśnił im swoje niestworzone pomysły.

Mimo wszystko książka miała się dobrze. W rozmaitych wydaniach była dostępna na rynku bez przerwy aż do początku lat dziewięćdziesiątych. Wkrótce po brytyjskiej premierze u Macdonalda ukazała się w prestiżowej oficynie amerykańskiej St. Martin's Press (Nowy Jork). W połowie lat osiemdziesiątych Orbis Books (Londyn) i Hippocrene Books (Nowy Jork) wydały jej reprint. W latach osiemdziesiątych w Polsce krążyło w drugim obiegu kilka nieautoryzowanych przekładów fragmentów lub całości. Najszerzej znane z tych tłumaczeń – heroiczne dokonanie Urszuli Karpińskiej (pseudonim), które opublikowało wydawnictwo Przedświt w Gdańsku – było dwukrotnie konfiskowane przez organy bezpieczeństwa, zanim trafiło triumfalnie do rąk czytelników w roku 1988.

W ciągu dwudziestu pięciu lat, które upłynęły od powstania *Orła białego*..., zasadnicza struktura wydarzeń zaprezentowana w tej książce nie została zakwestionowana. Pojawiło się kilka zbiorów dokumentów, które uzupełniły obraz epizodów zrekonstruowanych tutaj jedynie na podstawie poszlak. W rozmaitych studiach specjalistycznych rozłożono inaczej akcenty bądź też przedstawiono odmienne interpretacje poszczególnych faz wojny. Polemizowano również z owymi heroicznymi, lecz niekiedy błędnymi przekładami mojej książki, które krążyły w drugim obiegu. Nie ukazało się jednak nic, co skłoniłoby mnie, abym uznał, iż znaczący fragment pracy wymaga korekty. Wprost przeciwnie, po upadku komunizmu swobodny obieg informacji w Polsce i w Rosji potwierdził jedynie wnioski, które zostały sformułowane w zdecydowanie trudniejszych okolicznościach. Jestem przekonany, iż *Orzeł biały*... może zostać ponownie zaprezentowany polskim czytelnikom w postaci pierwotnej. Chciałbym, aby był czytany nie tylko jako świadectwo poruszających wydarzeń z lat 1919-1920, ale również jako hołd złożony konfraterni wielkich historyków, którzy nauczyli mnie, iż podtrzymywanie ognia historycznej prawdy jest najbardziej szlachetnym powołaniem.

Norman Davies
czerwiec 1997

---

[4] Śp. Marian Zieliński z Kęt (zm. w 1984 r.).

[5] Nazwa „*don*" odnosi się do starszych wykładowców na brytyjskich uniwersytetach (przyp. tłum.).

[6] Później otrzymał katedrę historii (*Regius Professorship*) w Oksfordzie. Po polsku ukazała się jego praca *Wojna w dziejach Europy*, Wrocław 1990.

Nota tłumacza

Książka Normana Daviesa była już opublikowana po polsku w drugim obiegu przez wydawnictwo Przedświt (bez miejsca i roku wydania – według katalogu BJ po 1986 roku) w przekładzie Urszuli Karpińskiej (pseudonim Teresy Remiszewskiej). Tłumaczenie to było mi pomocne w pracy, zwłaszcza podczas weryfikacji części cytatów, za co Autorce pragnę podziękować.

Chciałbym również wyjaśnić, że określeniami „sowiecki" i „radziecki" posługuję się zamiennie w zależności od okresu historycznego (pierwsze pojawia się zasadniczo w okresie przedwojennym, drugie zaś powojennym). Nazwy miejscowe podawane są w formie używanej w czasie opisywanych wydarzeń.

Andrzej Pawelec

Rozdział pierwszy
JESZCZE JEDNA POŻOGA

W ostatniej fazie pierwszej wojny światowej Europa Wschodnia rozpadła się na kawałki. Stare cesarstwa zostały pogruchotane przez wojnę i rewolucję. Zwłaszcza Rosja znajdowała się w stanie zaawansowanego rozkładu: jej moskiewskie i piotrogrodzkie centrum było „we władzy rad", a bliższe i dalsze obrzeża w rękach rozmaitych antysowieckich władz lokalnych. Spośród dawnych prowincji carskich niepodległość ogłosiły Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa i Polska; na Ukrainie rządził Dyrektoriat pod niemieckim protektoratem; Kozacy dońscy i kubańscy rządzili się sami; Gruzja, Armenia i Azerbejdżan były w rękach mieńszewików; na Syberii i w Archangielsku panowali „biali". W podobny sposób rozpadło się cesarstwo austro-węgierskie, którego terytorium zostało podzielone między nowe lub odrodzone państwa: republiki austriacką i czechosłowacką, królestwa Węgier, Jugosławii i „Wielkiej Rumunii". Wprawdzie pod względem terytorialnym Cesarstwo Niemieckie pozostało niemal nienaruszone, lecz pod względem politycznym przestało istnieć. Car został zamordowany; cesarz i król oraz kajzer abdykowali i uciekli.

W środku tego kalejdoskopu odrodzona Rzeczpospolita Polska odziedziczyła swoje ziemie nie tylko po Rosji, ale po wszystkich trzech rozczłonkowanych cesarstwach. Jej stolica – Warszawa – była głównym miastem dawnego rosyjskiego Królestwa Polskiego kongresowego; Lwów i Kraków stanowiły główne ośrodki austriackiej Galicji; aż do powstania w grudniu 1918 roku Poznań był niemiecki. Kiedy 11 listopada 1918 roku niemieckie wojsko okupacyjne zostało rozbrojone na ulicach Warszawy, narodziło się nowe suwerenne państwo. Na jego czele stanął Józef Piłsudski – rosyjski rewolucjonista, austriacki generał i polski patriota – świeżo zwolniony z internowania w Niemczech.

Piłsudski zatriumfował pod koniec roku, w czasie którego mogło się często wydawać, że niepodległość Polski jest równie odległa i nieosiągalna jak kiedykolwiek w poprzednim stuleciu. Polska znajdowała się wszak pod okupacją na pozór niezwyciężonych armii mocarstw centralnych, które odniosły zwycięstwo na wschodzie i aż do lipca utrzymywały inicjatywę na zachodzie. Manifesty i deklaracje w sprawie przywrócenia Polsce niepodległości – ogłoszone 14 sierpnia 1914 roku przez wielkiego księcia Mikołaja, 22 stycznia 1917 roku przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, 30 marca 1917 roku przez Rząd Tymczasowy w Rosji, a wreszcie 3 czerwca 1918 roku *unisono* przez rządy aliantów – nie mogły zmienić faktu, że Polska była rządzona z Berlina. Polski Komitet Narodowy w Paryżu nie miał bezpośredniego kontaktu z krajem, którego reprezentantem się mienił. Komisja Likwidacyjna do spraw Królestwa Polskiego w Piotrogrodzie została zamieniona na biuro, którego zadaniem było utrzymywanie kontaktów między władzami sowieckimi w Rosji i niemieckimi w Warszawie. Niemcy wyobrażali sobie przyszłe państwo polskie jako monarchię uzależnioną od mocarstw centralnych, o terytorium

ograniczonym do ziem odbitych Rosji. W tym celu powołali do życia Radę Regencyjną, której kompetencje nie wykraczały poza sferę oświaty i sądownictwa. 22 lipca 1917 roku Niemcy aresztowali Piłsudskiego, którego Legiony Polskie walczyły przez pierwsze dwa lata wojny po ich stronie, później jednak odmówiły złożenia wymaganej przysięgi na wierność armiom Niemiec i Austro-Węgier. 3 marca 1918 roku Niemcy zawarły z bolszewikami pokój brzeski, na mocy którego oddały duże obszary polskiego terytorium, w tym Chełmszczyznę na zachód od Buga. Mało kto uświadamiał sobie wtedy, że 123 lata niewoli Polski dobiegają kresu. Mało kto naprawdę wierzył – w Niemczech, w Rosji czy w krajach ententy – że Polska może wywalczyć suwerenność, nawet gdyby pojawiła się taka szansa. Nikt nie przewidział, że Piłsudski potrafi przezwyciężyć beznadzieję ostatnich lat i ambicje bardziej od niego wpływowych i szanowanych rywali. Niemniej jednak to, co niewiarygodne, stało się faktem. 11 listopada 1918 roku, w dniu zawieszenia broni na froncie zachodnim, Piłsudski przybył do Warszawy prosto z twierdzy magdeburskiej. Trzy dni później Rada Regencyjna poprosiła go o przyjęcie funkcji Naczelnika Państwa i wodza naczelnego – tym samym stał się pierwszym niezależnym przywódcą Polski po rozbiorach w XVIII wieku.

Bezpośrednio zawieszenie broni na Zachodzie nie wpłynęło w sposób istotny na sytuację militarną w Europie Wschodniej. Od marca 1918 roku, kiedy to Rosja sowiecka zawarła osobny pokój z Niemcami i Austrią – podpisując traktat brzeski – na froncie wschodnim panował spokój. Armia niemiecka na wschodzie pozostała na swoich pozycjach, patrolując ogromne obszary pozostające nadal pod jej okupacją: Oberkommando-Ostfront, bądź Ober-Ost, rozciągało się na przestrzeni niemal dwóch i pół tysiąca kilometrów od Zatoki Botnickiej po Morze Azowskie. W każdym zakątku tej części świata toczyły się lokalne wojny. Rosja sowiecka walczyła o przetrwanie ze wszystkimi pomniejszymi spadkobiercami imperium na piętnastu frontach naraz. Wszędzie pojawiały się armie „białych": pod Piotrogrodem wojska Judenicza, na Syberii – Kołczaka, nad Wołgą – Denikina. Alianckie siły interwencyjne miały chronić interesy ententy: brytyjskie w Archangielsku, Murmańsku i na Kaukazie, francuskie w Odessie, amerykańskie i japońskie we Władywostoku. W wielu częściach Rosji, w krajach nadbałtyckich i na Ukrainie toczyły się walki między wszystkimi zainteresowanymi: między „czerwonymi", „białymi", „zielonymi", czyli chłopską partyzantką, a wreszcie z nacjonalistami i Niemcami. Potem zaczęły się ze sobą ścierać młode państwa: Rumunia z Węgrami o Siedmiogród, Jugosławia z Włochami o Rijekę, Czesi z Polakami o Cieszyn, Polacy z Ukraińcami o Galicję Wschodnią, Polacy z Niemcami o Poznańskie. W wielu europejskich miastach powojenne niepokoje społeczne umożliwiły komunistyczne przewroty na modłę sowiecką, które oznaczały następną rundę walk: w listopadzie 1918 roku – w Monachium, w grudniu – w Berlinie, w marcu 1919 roku – w Budapeszcie, w czerwcu – w Koszycach na Słowacji. Kiedy Europa Zachodnia odpoczywała i przygotowywała się do konferencji pokojowej w Wersalu, Europa Wschodnia wybuchła płomieniem licznych pożarów. W noc zawieszenia broni Churchill tak skomentował sytuację w rozmowie z Lloydem George'em: „skończyła się wojna olbrzymów, rozpoczęły się waśnie pigmejów".

Poświęcenie szczególnej uwagi jednemu z tych pożarów może się wydawać zbędnym trudem. Wojna polsko-bolszewicka była wszakże zjawiskiem innego gatunku. Jeżeli wszystkie pozostałe konflikty, których Polska była stroną, stanowiły zwyczajne spory graniczne, to wojna z Rosją sowiecką była czymś więcej; jeżeli walki Armii Czerwonej na

wszystkich innych frontach stanowiły integralny element rosyjskiej wojny domowej, to front polski miał dalsze konsekwencje. W odróżnieniu od innych konfliktów tego okresu, do których często się ją przyrównuje, wojna polsko-bolszewicka postawiła szersze kwestie: zderzenie ideologii, eksport rewolucji, przyszłość Europy jako takiej. Dlatego też wzbudzała gorętsze emocje współczesnych i zasługuje na głębszą uwagę historyków.

Niemniej jednak historycy przekonani o tym, że wielkie wydarzenia są następstwem wielkich zapowiedzi, w tym wypadku poczują się zawiedzeni. Była to wszak wojna, której niepozorne początki bynajmniej nie zapowiadały doniosłego punktu kulminacyjnego w roku 1920. W istocie rzeczy wielu historyków w ogóle pominęło milczeniem pierwszy rok wojny. Zarówno w oficjalnej historiografii sowieckiej, jak i w pracach E.H. Carra oraz A.J.P. Taylora „wybuch" wojny polsko-bolszewickiej datowany jest na 20 kwietnia 1920 roku. Pierwszych walk często w ogóle się nie dostrzega bądź się je lekceważy, widząc w nich jedynie utarczki graniczne.

Błędu tego nie należy minimalizować. Nie da się bowiem wytłumaczyć, dlaczego w 1920 roku dwa wyczerpane narody zdecydowały się stoczyć regularną wojnę, jeśli nie weźmie się pod uwagę wielu starć, do których doszło w roku poprzednim. Dramatyczne wypadki roku 1920 stanowią ogniwo łańcucha wydarzeń zapoczątkowanych bez rozgłosu 14 lutego 1919 roku w Berezie Kartuskiej na Białorusi.

* * *

Stwierdzenie, iż wojna może wybuchnąć bez udziału dwóch armii, zakrawa na absurd. Czasem jednak przyczyną wojny bywa bójka między mężczyzną i chłopcem, którzy następnie wzywają na pomoc „swoich". Można powiedzieć, że w takiej sytuacji armie formują się dopiero po rozpoczęciu działań zaczepnych. Tak właśnie było w wypadku wojny polsko-bolszewickiej. Nikt jej nie planował. Nikt jej nie wypowiedział. Armie, w sensie zorganizowanych i skoordynowanych sił zbrojnych, zostały wezwane na pole bitwy wiele tygodni po tym, jak padły pierwsze strzały. Upłynął ponad rok, zanim obie strony zdały sobie sprawę z tego, że biorą udział w regularnej wojnie.

W takich okolicznościach trzeba zrezygnować ze zwyczaju praktykowanego przez kronikarzy innych wojen, którzy opisywali wpierw stan nieprzyjacielskich armii u progu konfliktu. Klasyczne relacje dotyczące wojny francusko-pruskiej czy hiszpańskiej wojny domowej rozpoczynają się od porównania tradycji, liczebności, charakteru, wyposażenia i dowództwa wojsk po obu stronach. Lecz w lutym 1919 roku nie doszło na Białorusi do konfrontacji wyraźnie określonych sił. Bolszewicka armia zachodnia była odseparowana od Polaków przez niemiecki Ober-Ost. Armia polska nie została jeszcze formalnie zorganizowana. Wschodnich rubieży nowego państwa strzegły jedynie nieregularne oddziały złożone z miejscowych. Gdyby nie skomplikowana sytuacja polityczna, w której stabilizującą rolę odgrywała nadal armia niemiecka, Polacy i bolszewicy nie mogliby rozpocząć wojny. Rzucili się sobie do gardeł przede wszystkim dlatego, że Niemcy podjęli decyzję o ewakuacji frontu wschodniego.

Trudno uwierzyć, by w zamęcie pierwszych tygodni 1919 roku ktokolwiek w Rosji sowieckiej bądź w młodej Rzeczypospolitej Polskiej świadomie dążył do sprowokowania międzynarodowego konfliktu na dużą skalę. Rosja ledwie przetrwała drugą zimę blokady i masowego głodu. Lenin sprawował władzę jedynie na obszarze Rosji centralnej,

ograniczonym ze wszystkich stron przez potężnych przeciwników, którzy odcinali dostęp do świata zewnętrznego. Nawet gdyby bolszewicy chcieli zaatakować swoich zachodnich sąsiadów, nie byliby do tego fizycznie zdolni.

Sytuacja Polski była niewiele lepsza. Przez cztery lata światowej wojny jej wschodni front przetaczał się przez ziemie polskie tam i z powrotem. Kraj został ogołocony z zasobów ludzkich i materialnych na skutek przymusowych rekwizycji, poboru mężczyzn do wojska, a w wypadku ziem wschodnich – przesiedleń całych grup ludności. Rząd Piłsudskiego w Warszawie sprawował jedynie nominalną władzę nad terytoriami, które objął we władanie. Toczyły się już trzy wojny. W obiegu znajdowało się wciąż sześć bezwartościowych walut oraz zastępy urzędników przejętych w spadku po trzech byłych cesarstwach, co tylko pogłębiało zamęt. Fabryki stanęły. Robotnicy przymierali głodem. Pełno było dezerterów i uciekinierów wojennych, szerzyły się tyfus i przestępczość. W styczniu, po pierwszych wyborach powszechnych do Sejmu, podjęto próbę zamachu stanu. Kompromisowe premierostwo Ignacego Paderewskiego, pianisty, odwlekło kryzys, nie mogło jednak usunąć konfliktów między rozmaitymi frakcjami. Polska oczekiwała od zachodnich aliantów jasnego wytyczenia jej granic. Kierowana przez Herberta Hoovera Amerykańska Administracja Pomocy pomogła powstrzymać głód i choroby. Problemy polityczne pozostały nierozwiązane.

Niemiecka armia Ober-Ost, uwięziona pomiędzy polską a bolszewicką mizerią, zajmowała trudną pozycję o coraz mniejszej wartości strategicznej. Gdy w marcu 1918 roku tereny te zostały okupowane przez Niemców, Ober-Ost stał się wschodnim szańcem poddanej im Europy: na jego polskich tyłach znajdowała się niemiecka i austriacka strefa okupacyjna, skrzydła zaś ochraniały proniemieckie władze Ukrainy i Litwy. Lecz po upadku Austrii w październiku i wyparciu niemieckich oddziałów ze środkowej Polski w listopadzie Ober-Ost zawisł w próżni – tylko na północy nie został odcięty od linii zaopatrzenia. To, co pozostało, było więc jedynie groteskowym, nitkowatym kadłubem długim na ponad 1500 kilometrów, miejscami nie szerszym niż 80 kilometrów. Sztab tej formacji i jego szef generał Max Hoffmann znajdowali się w Królewcu na terenie Prus Wschodnich. Dwa główne sektory tego odcinka to na północy 10. Armia generała Falkenhayna usytuowana w Grodnie, a na południu Heeresgruppe Kiew. Podstawową arterią komunikacyjną była linia kolejowa Białystok-Brześć Litewski-Kowel-Równe. Jedyne połączenie z Niemcami stanowiły jednotorowe linie łączące Grodno i Białystok z Prusami Wschodnimi. Na całej swojej długości Ober-Ost był wystawiony na równoczesny atak ze wschodu i zachodu. Wcześniej czy później Niemcy musieli się ewakuować.

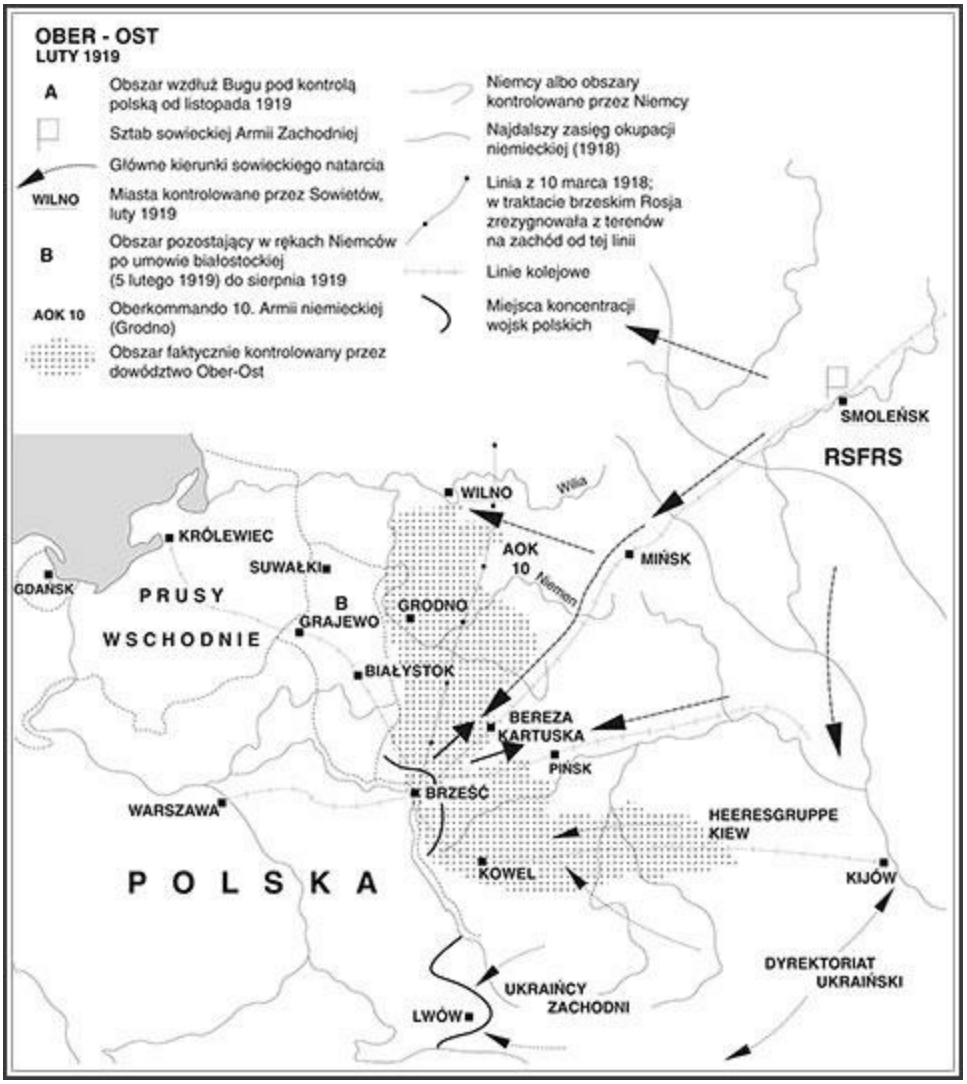

Określenie momentu ewakuacji przysparzało jednak trudności. Armia niemiecka na wschodzie była wciąż niepokonana i na tym obszarze stanowiła jedyną znaczącą i zdyscyplinowaną siłę. W tym momencie nie było więc nikogo, kto potrafiłby ją wyprzeć. Zachodni alianci nie wiedzieli, jaką decyzję mają podjąć. Odpowiedni artykuł zawieszenia broni stanowił, iż wojska niemieckie znajdujące się na dawnych terenach rosyjskich powinny wrócić do domu, „gdy tylko alianci uznają moment za stosowny". Francuzi chcieli natychmiastowej ewakuacji, która miała stanowić krok wstępny do rozwiązania wszystkich sił niemieckich. Z kolei Brytyjczycy i Amerykanie uważali, że Niemcy powinni pozostać na swoich pozycjach, aby zapobiec bolszewickiemu najazdowi na Europę.

Szybko okazało się, że pogrążone w chaosie Niemcy są niezdolne do prowadzenia aktywnej polityki wschodniej. Abdykacja cesarza i przyjęte na Zachodzie warunki zawieszenia broni położyły kres ich ambicjom politycznym. Bunt w Kilonii, komunistyczne rozruchy w Monachium i Berlinie, powstawanie rad żołnierskich w armii niemieckiej – wszystko to sprawiło, iż głównym celem musiało być teraz przywrócenie porządku w ojczyźnie. Szef sztabu Ober-Ost Hoffmann ustąpił w obliczu bardziej palących potrzeb swojego kraju. Rozmowy o wycofaniu podjęto w listopadzie, a w grudniu rozpoczęła się zasadnicza ewakuacja.

Dopiero niedawno wyjaśniono szczegóły i istotę niemieckiej strategii podczas ewakuacji Ober-Ostu[7]. Hoffmann nie chciał prowadzić własnej polityki, o wszystkie decyzje prosił więc Berlin, który z kolei zwracał się do mocarstw alianckich w Paryżu.

Polaków i bolszewików traktował z jednakową pogardą. Jako ten, który podyktował warunki traktatu brzeskiego, i jako niepokonany gubernator Wschodu, Hoffmann był przekonany, że po jego odejściu musi nastąpić potop. Zależało mu jedynie na bezpieczeństwie własnych ludzi. Jego stosunki z Polakami były szczególnie niedobre. Czuł się upokorzony, kiedy jego wojska rozbrojono w Warszawie, i zażenowany, kiedy jego żołnierze wzięli krwawy odwet na ludności cywilnej, gdy na Podlasiu próbowano ich rozbrajać. Choć 24 listopada podpisano lokalną umowę dotyczącą ewakuacji niemieckich pozycji na Bugu, to jednak fiaskiem zakończyły się ważne rokowania na temat transportu Heeresgruppe Kiew przez Polskę na Śląsk. Porozumienie osiągnięto dopiero w lutym, kiedy wydarzenia po sowieckiej stronie Ober-Ostu, a zwłaszcza w Wilnie, zmusiły Niemców i Polaków do kompromisu.

W pierwszym tygodniu 1919 roku w Wilnie miały miejsce dwie rewolucje. W Nowy Rok grupa miejscowych polskich oficerów pod dowództwem generałów Wejtki i Mokrzeckiego dokonała zamachu, ustanawiając Samoobronę. Chodziło im o przeciwstawienie się komunistycznej Radzie Robotniczej, która zamierzała przejąć władzę po wyjściu Niemców z miasta i zdążyła już wydać manifest, ogłaszając się rządem tymczasowym[8]. Oficerowie zaatakowali w nocy budynek partii komunistycznej: prawdopodobnie cztery osoby zginęły, pięć popełniło samobójstwo, a siedemdziesiąt sześć aresztowano. Cztery dni później Samoobrona straciła władzę, kiedy od strony Smoleńska wkroczyła do miasta bolszewicka Armia Zachodnia, aby udzielić wsparcia Radzie Robotniczej. Taki obrót wydarzeń był równie nieznośny dla Piłsudskiego, rodowitego wilniuka, jak i dla Hoffmanna, którego wojska wycofały się przedwcześnie w popłochu. Przedstawiciele Polski i Niemiec, wyposażni w rządowe pełnomocnictwa, spotkali się 5 lutego w Białymstoku, gdzie podpisali porozumienie ewakuacyjne. Zgodnie z artykułem piątym umowy, dziesięć batalionów polskich, to znaczy około dziesięciu tysięcy ludzi, miało przekroczyć linie niemieckie w rejonie Wołkowyska i zająć front bolszewicki. Artykuł czwarty stanowił, że Niemcy mają przejściowo kontrolować okolicę Suwałk aż do zakończenia ewakuacji[9].

Niektórzy komentatorzy zarzucają Hoffmannowi prowadzenie podwójnej gry: miałby nakłaniać bolszewików do ekspansji na zachód, a Polaków na wschód – w nadziei, iż skorzysta na konflikcie między nimi[10]. Stanowisko to jest wydumane. W owym czasie Hoffmann nie miał wielkiego pola manewru. Niemieccy podoficerowie brali urlopy, aby szkolić miejscowych czerwonogwardzistów; z kolei oficerowie od dawna pozostawali w kontaktach z siłami antybolszewickimi. Kiedy ogłoszono decyzję o ewakuacji, Ober-Ost musiał upaść.

Apologeci polscy i sowieccy przedstawiają diametralnie różne interpretacje ewakuacji Ober-Ostu. Polscy historycy mówią o „napaści" bolszewików na Kresy, tak jakby należały one do Polski. Historycy sowieccy mówią o „polskich agresorach", tak jakby Kresy należały do Rosji sowieckiej. Oba stanowiska są bezpodstawne. W 1919 roku Kresy nie „należały" do nikogo, chyba że do ludności miejscowej, której ani Polacy, ani Sowieci nie mogli w żaden sposób zapytać o zdanie. Prawdą jest, że bolszewicy ruszyli pierwsi na Ober-Ost, tworząc 16 listopada 1918 roku Armię Zachodnią, która zajęła Mińsk i Wilno, zanim jeszcze wojska polskie wykonały jakikolwiek ruch[11]. 12 stycznia 1919 roku sowieckie Naczelne Dowództwo nakazało „rozpoznanie w głąb" aż po Niemen i

Szczarę, a 12 lutego aż po Bug[12]. Wątpliwe jednak, czy operacja ta – o kryptonimie „Cel Wisła" – miała skończyć się podbojem Warszawy przez bohaterską Armię Czerwoną. Jej nazwa na to wskazuje. Niemniej jednak niesłychanie hipotetyczna forma rozkazów i wyjątkowo niepewna sytuacja Armii Zachodniej sugerują coś przeciwnego[13]. Zapewne kryptonim nie był niczym więcej niż sloganem podyktowanym przez rewolucyjną brawurę. Choć Sowieci mogliby kontynuować ofensywę, gdyby nie napotkali oporu, to jednak bez wątpienia chodziło im raczej o rozpoznanie szans niż o realizację jakiegoś wielkiego planu. Rząd w Warszawie potraktował wszakże kryptonim jako dowód intencji i w tym duchu 28 grudnia Piłsudski telegrafował do Clemenceau[14]. Jednakże Polacy nie mieli zbyt wielkich podstaw ku temu, aby się oburzać. Piłsudski przyznałby pierwszy, że i on wysłałby swoją armię na Ober-Ost w listopadzie lub w grudniu, gdyby tylko okoliczności mu na to pozwoliły.

Tak czy owak, w wyniku ewakuacji wojsk niemieckich powstała próżnia, w którą samorzutnie wtargnęły jednostki polskie i sowieckie. Żadna ze stron nie potrzebowała zachęty. Polacy poszli naprzód 9 lutego. Zgrupowanie Północne ruszyło główną linią kolejową na Baranowicze; Zgrupowanie Południowe natarło w kierunku Pińska. Sowiecka Armia Zachodnia wyruszyła już ze swoich nowych baz w Mińsku i w Wilnie. Do zderzenia doszło 14 lutego o siódmej rano, kiedy kapitan Mienicki z polskiego oddziału wileńskiego poprowadził pięćdziesięciu siedmiu żołnierzy i pięciu oficerów na miasteczko Bereza Kartuska[15]. Okazało się, iż jest ono w rękach bolszewików. Po krótkim starciu osiemdziesięciu krasnoarmiejców trafiło do niewoli. Wojna polsko-bolszewicka się rozpoczęła.

* * *

Wprawdzie bezpośrednią przyczyną walk była ewakuacja Ober-Ostu, ale w rzeczywistości istniały głębsze powody wojny. Od momentu, kiedy powstała nowa Polska, jakiś rodzaj konfliktu między nią a Rosją bolszewicką – choć niekoniecznie konflikt militarny – był nader prawdopodobny.

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak drogie sercom poprzednich pokoleń Polaków były Kresy Wschodnie. Kiedy Adam Mickiewicz – największy polski poeta i jedyny rywal Puszkina o laur Muzy Słowiańskiej – opiewał swoją ojczyznę, nie pisał o Warszawie czy o Krakowie, ale o Litwie:

> Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
> Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
> Kto cię stracił.

Kiedy opiewał wspaniałości natury, myślał o wielkiej urodzie Kresów. Kiedy wołał „Kochajmy się!", to ten sławny *cri de coeur* był wezwaniem do harmonii między licznymi kresowymi narodami i stanami. Henryk Sienkiewicz rozpalił serca Polaków swoimi opowieściami rycerskimi, które pełne były scen z życia Kozaków w XVII-wiecznej Polsce. Tak jak niejeden wielki „Anglik" okazuje się Irlandczykiem lub Szkotem, tak samo niejeden wielki „Polak" – na przykład Mickiewicz, Słowacki czy Kościuszko – okazuje się Litwinem.

Dawna Polska – od 1386 roku aż do ostatniego rozbioru w roku 1795 – stanowiła

wspólnotę narodów, tak jak od 1603 roku Anglia i Szkocja: Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie były rządzone przez jednego króla, a potem przez jeden parlament. Rzeczpospolita Obojga Narodów rozciągała się od Bałtyku aż po Morze Czarne, od Odry aż po Dniepr, a jej terytorium zamieszkiwało tuzin nacji, które cieszyły się tu większą wolnością niż gdziekolwiek w krajach sąsiednich. Rzeczpospolita była przedmurzem chrześcijaństwa, walcząc z Turkami i Tatarami w obronie wiary i z Moskalami o władzę nad stepami. Kiedy w 1918 roku Polacy odzyskali niepodległość, ich ulubionymi autorami byli Mickiewicz i Sienkiewicz, a jedyną Polską, jaką znali, była dawna Rzeczpospolita, której serce biło na Kresach.

Również bolszewicy mieli powody, dla których im na Kresach zależało. Źródłem ich uczuć nie był jednak ani patriotyzm, ani romantyzm – tymi sentymentami pogardzali – ale marksistowska doktryna, zgodnie z którą Kresy stanowiły pomost łączący Rosję z Europą, po którym rewolucja bolszewicka będzie musiała przejść, jeśli ma się rozprzestrzenić i przetrwać. Doktryna głosiła, że rewolucja w Rosji upadnie, jeśli nie zostanie wsparta przez rewolucje na Litwie, w Polsce i przede wszystkim w Niemczech. Wielu bolszewików znało Kresy z dzieciństwa. Komisarz wojenny Trocki urodził się pod Korsuniem, twórca Czeka Feliks Dzierżyński – niedaleko Wilna, Karol Radek – we Lwowie.

Polskie plany kresowe występowały w dwóch wariantach: „inkorporacyjnym" i „federacyjnym". Zwolennikiem „inkorporacji" Kresów był Roman Dmowski, przywódca Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, założyciel Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu i szef delegacji polskiej na konferencję pokojową. Wariant ten polegał na przyłączeniu do Polski wszystkich ziem w obrębie granic Rzeczypospolitej z 1772 roku i nie przewidywał specjalnego traktowania obszarów, na których Polacy stanowią mniejszość. Z kolei wariant federacyjny, popierany przez Piłsudskiego, zakładał, iż innym nacjom zamieszkującym Kresy przysługują własne instytucje polityczne. Piłsudski dowodził, że Polska – jako państwo najsilniejsze – ma obowiązek zagwarantować wszystkim narodom na tym obszarze warunki do samostanowienia. Był przekonany, że wszystkie państwa kresowe – od Finlandii po Kaukaz – dobrowolnie przystąpią do demokratycznej federacji, jeśli tylko zapewni im się swobodę wyboru. Nie trzeba dodawać, że plany te zupełnie nie uwzględniały zamiarów i aspiracji Moskwy.

Bolszewicy uważali swoje zachodnie kresy za znakomite miejsce do przeprowadzenia politycznego eksperymentu – mimo iż ich panowanie było tu nadzwyczaj niepewne. Wychodzili bowiem z założenia, że na skutek procesów historycznych proletariat rychło zdobędzie wszędzie władzę, a uwiąd państw narodowych doprowadzi do powstania ogólnoświatowej wspólnoty komunistycznej. Potrafili jednym tchem głosić zasady narodowego samostanowienia i komunistycznego internacjonalizmu – w przekonaniu, że pierwsze nieuchronnie wiedzie do drugiego. Musieli jednak zdecydować, czy na zacofanym obszarze mają podjąć próbę przyspieszenia biegu dziejów, czy raczej powinni pozostawić go własnemu losowi. Z kolei ich przeciwnicy musieli zgadnąć – przy założeniu, że rozumieli bolszewicki tok myślenia – jak trwała okaże się dana deklaracja Sowietów. Przywódcy bolszewiccy, na przykład, wielokrotnie zapewniali, iż uznają niepodległość Polski. Zarazem jednak jawnie wspomagali internacjonalistycznych komunistów polskich, którzy stawiali sobie za cel upadek Rzeczypospolitej. Większość obserwatorów uważała więc bolszewickie deklaracje za mydlenie oczu. Podejrzewano, że w praktyce sowiecka

„niepodległość” oznacza jedynie autonomię w ramach imperialnej federacji, gdzie scentralizowane rządy jednej partii ograniczyłyby narodowe swobody do obszaru szkolnictwa oraz nazewnictwa ulic. Podejrzenia te potwierdziło proklamowanie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w styczniu 1919 roku oraz analogicznej Republiki Litewsko-Białoruskiej w lutym tegoż roku. Za granice Polski bolszewiccy przywódcy uważali granice carskiej Kongresówki. Byli na razie gotowi tolerować jakąś formę polskiej państwowości na zachód od Buga; zakładali jednak, że na wschód od Buga odziedziczą włości carów. Nie trzeba dodawać, że zupełnie nie liczyli się z planami i aspiracjami Warszawy.

Po obu stronach głębokiej ideologicznej przepaści rodziły się diametralnie przeciwstawne plany. Rosja sowiecka została stworzona przez marksistowskich idealistów, którzy odrzucili zasady tradycyjnych społeczeństw europejskich. Polska powstała z udziałem pokolenia polityków, których wyłącznym celem była pełna realizacja tych zasad w niepodległym państwie polskim. Od listopada 1917 roku Rosja sowiecka znajdowała się w rękach dyktatury, która świadomie dążyła do likwidacji religii, własności prywatnej, klas społecznych oraz „burżuazyjnej” suwerenności. Natomiast Rzeczpospolita Polska była demokracją parlamentarną i krajem tak głęboko religijnym, iż szedł w zawody z Hiszpanią o tytuł „kraju najbardziej katolickiego”; u jej steru znajdowali się ludzie, dla których fundamentem społeczeństwa był Kościół, własność prywatna, interesy klasowe i patriotyzm. Natchnieniem bolszewików była duma z narodzin pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Natchnieniem Piłsudskiego były romantyczne ideały z przeszłości. Trudno było oczekiwać pokojowego współistnienia obu światopoglądów.

Napięcia wynikające z różnic ideologicznych pogłębiała jeszcze tradycja historyczna. Rosja i Polska były sobie tradycyjnie wrogie. Rosjanie uważali Piłsudskiego za spadkobiercę polskich panów, którzy w roku 1611 podbili Moskwę, do 1662 roku władali Kijowem, a potrafili jedynie zaprowadzać pańszczyznę i wszczynać bunty. Z kolei Polacy uważali Lenina za nowego cara, którego jedynym celem było wpędzenie ich znów w niewolę. W lutym 1919 roku zarówno Rosja, jak i Polska były państwowymi oseskami: pierwsza miała szesnaście miesięcy, druga ledwie cztery. Obie odczuwały chroniczny niepokój, nie mogły złapać oddechu i łatwo podnosiły wrzask. W opinii seniorów europejskiej rodziny żadne z tych niemowląt nie miało pożyć długo. W kręgach konserwatywnych Rosję sowiecką uważano za poroniony płód, którego trwanie przy życiu było niewytłumaczalnym dopustem bożym; Polskę z kolei uznawano za chorowitą znajdę – niezdolną do wysiłku i samodzielności. Przywódcy Rosji i Polski, dotknięci do żywego, przeciwstawiali tym opiniom fantastyczne wizje ekspansji: pierwsi w postaci planu rychłej rewolucji światowej, drudzy w formie projektu zdobyczy terytorialnych. Zamierzenia te musiały się ze sobą zderzyć. Wszak sprzeczne poglądy łatwiej prowadzą do konfliktu wśród sąsiadów niż dalekich krewnych. Szczególnie że na terytorium sowieckim znajdowało się 800 tysięcy Polaków: żołnierzy, więźniów, zesłańców. Z kolei wielu obywateli polskich, zwłaszcza wśród niespokojnego proletariatu Warszawy i Łodzi, podchwytywało idee bolszewickie. Obie ideologie konkurowały ze sobą o umysły sąsiednich narodów, które nadal nie miały ustalonych granic.

Napięcia podsycała jeszcze izolacja dyplomatyczna. W owym czasie Rosja sowiecka była traktowana przez świat jako przypadek politycznej wścieklizny – każdy kontakt z nią

był uznawany za ryzyko. Rząd polski nie miał pewności, czy stosunki z Sowietami są w dobrym tonie. Niemiecki Ober-Ost przeszkadzał w bezpośredniej komunikacji. Nie było stosunków handlowych, połączeń telegraficznych i kolejowych. Warszawa mogła rozmawiać z Moskwą jedynie za pomocą prymitywnej radiostacji, która nie gwarantowała poufności i nie zawsze działała. W ciągu czterech miesięcy poprzedzających wybuch konfliktu nie nawiązano prawdziwego dialogu, choć podjęto kilka wstępnych prób. W październiku 1918 roku – zanim jeszcze Polska ogłosiła niepodległość – sowiecki komisarz spraw zagranicznych Cziczerin zaproponował wysłanie do Warszawy swojego ambasadora[16]. Jego wybór padł na Juliana Marchlewskiego. Rozmowy z Leonem Wasilewskim, pierwszym polskim ministrem spraw zagranicznych, cechował jednak zupełny brak zaufania po obu stronach. Wasilewski odmówił dyskusji o dyplomacji, zanim Rosjanie nie zwolnią z więzienia przewodniczącego moskiewskiej Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego Aleksandra Lednickiego[17]. Potem sprzeciwił się obecności polskich jednostek w Armii Czerwonej, zwłaszcza gdy używano ich przeciw Samoobronie w Wilnie[18]. Z kolei Cziczerin wskazywał na obecność polskich oddziałów w rosyjskich „białych" armiach i zaprotestował przeciw wymordowaniu z premedytacją przez Polaków misji Sowieckiego Czerwonego Krzyża[19]. Misja ta, kierowana przez polskiego komunistę Bronisława Wesołowskiego, przybyła do Warszawy 20 grudnia, aby wynegocjować repatriację rosyjskich jeńców wziętych do niewoli w wojnie światowej. Jej członkowie zostali natychmiast aresztowani pod zarzutem szerzenia wywrotowej propagandy i formalnie wydaleni z kraju. Lecz na ostatnim etapie podróży do linii demarkacyjnej zostali wywleczeni z pojazdu przez polskich żandarmów, zaciągnięci do lasu i rozstrzelani. Wesołowski zginął wraz z trzema towarzyszami; jeden z członków misji, udając martwego, zdołał jednak uciec i opisał Cziczerinowi przebieg wypadków. Incydent ten, który miał miejsce 2 stycznia 1919 roku, popsuł szanse dwóch innych misji: sowieckiej delegacji handlowej, kierowanej przez byłego członka PPS-u Wincentego Jastrzębskiego, oraz polskiej misji politycznej pod przewodnictwem Aleksandra Więckowskiego, która nie zdołała dotrzeć do Moskwy przed rozpoczęciem walk. Więckowski wręczył Cziczerinowi list od Polskiej Partii Socjalistycznej, który zawierał propozycję przeprowadzenia wolnych wyborów na Kresach[20]. Kiedy Cziczerin wyraził zgodę, z propozycji nagle się wycofano. Najwidoczniej nie miała aprobaty Piłsudskiego. Pięć miesięcy sporadycznych negocjacji nie doprowadziło do niczego, nawet do nawiązania stosunków dyplomatycznych. Ostatecznie Więckowski wrócił do domu 25 kwietnia z pustymi rękami.

* * *

Arena, na której miała się rozegrać wojna polsko-bolszewicka, mogłaby uchodzić za raj dla generałów. Wschodnia część Niziny Północno-europejskiej ma wiele cech pozwalających na wypróbowanie umiejętności polowych żołnierzy, a jednocześnie nie ma tu wyraźnych barier, które ograniczałyby ruchy wojsk. Na zachód od Uralu, w osi poziomej, nie ma tu żadnych przeszkód naturalnych. W rzeczywistości jednak (by pozostać przy metaforze) jest to raczej piekło: najwięksi dowódcy, jacy kiedykolwiek rzucili tu na szalę swoje losy – między innymi Karol XII ze Szwecji i Napoleon Bonaparte – zostali upokorzeni.

Niektóre obszary tego terytorium, rzecz jasna, mniej sprzyjają manewrom

wojskowych. Obrzeża północne stanowią część polodowcowej krainy jezior, która rozciąga się na przestrzeni tysiąca kilometrów od Mazowsza wokół Warszawy do Wyżyny Wałdajskiej niedaleko Moskwy. Teren ten jest usiany niezliczonym mnóstwem niewielkich jezior, porozdzielanych przez porośnięte sosną moreny. Duże formacje muszą więc rozdzielać szyki i wtedy przekonują się, jak trudno utrzymać tu łączność między poszczególnymi oddziałami.

W centrum tego obszaru znajduje się ponad 150 tysięcy kilometrów kwadratowych Polesia, tak zwane Bagna Prypeci. Wbrew obiegowym wyobrażeniom, nie są to jednak nieprzebyte moczary, ale rozległe dorzecze, gdzie łączą się ze sobą niezliczone strugi, stawy i kanały otoczone przez bujne łąki, brzeziny i wiklinowe zarośla. Krajobraz urozmaicają piaszczyste wrzosowiska porośnięte karłowatą sosną, dębowe lasy, błota i torfowiska. Świetny teren do polowań na kaczki, ale nie dla armii w marszu. Niewiele osad, słabe zaopatrzenie i zupełny brak utwardzonych dróg.

Po obu stronach Polesia rozciągają się dwie wyżyny. Nigdzie nie wznoszą się wyżej niż 360 metrów, ale to wystarczy, aby całkowicie odmienić ukształtowanie terenu. Szerokie rzeki przecinają tu co pewien czas długie płaskie wzgórza. Żołnierz, maszerujący godzinami pomiędzy jednym niskim pasmem a drugim – skąd widać nieograniczony horyzont – tylko sporadycznie mija drewniane chaty przycupnięte obok pasa uprawnej ziemi. Są tu ogromne połacie lasów i wrzosowisk; niektóre z nich, takie jak Puszcza Białowieska, to odwieczne i dziewicze ostępy: „królestwo zwierza" swobodnie przemierzane przez wilki i żubry. Na obszarze północnym – między pojezierzem a Polesiem – biegnie linia kolejowa i szosa, które łączą Warszawę z Moskwą przez Brześć, Mińsk, Borysów i Smoleńsk. Obszar południowy – między Polesiem a Karpatami – rozciąga się od Wisły po Dniepr, obejmując Kraków, Lwów i Kijów. Każda armia idąca z Polski do Rosji zawsze pomaszeruje przez jedną z tych wyżyn. Aby dotrzeć do Smoleńska bądź Kijowa, będzie musiała pokonać około 650 kilometrów. Również armia rosyjska idąca na Europę musi przebyć tę samą wyczerpującą trasę, zanim dotrze do pierwszych polskich osiedli.

Naturalny układ tych terenów daje osobliwy efekt strategiczny. Rozległy klin Polesia swoim ostrzem skierowany jest na zachód, a podstawą opiera się na wschodzie. Zatem armia idąca z Rosji musi rozdzielić się na dwie odrębne kolumny, maszerujące po obu stronach trójkąta, podczas gdy armia broniąca Polski może operować jako jedna całość, której punktem newralgicznym będzie Warszawa lub Brześć. Kiedy armia rosyjska dociera do Polski, główna masa wojsk obronnych nadal rozdziela obie kolumny i tym samym uniemożliwia skoordynowany atak. Dowództwo polskie w pełni zdawało sobie sprawę z tego atutu i w 1920 roku wykorzystało go do maksimum.

Element nieprzewidywalności do żołnierki na Kresach wnosi pogoda. Panuje tu klimat skrajności: mrozy do czterdziestu stopni zimą i doskwierające upały do czterdziestu stopni latem. Żołnierz bez ciepłych butów i kożucha może tu zimą stracić palce u stóp i rąk w jedną noc. Jego najgorszym wrogiem nie jest jednak mróz. Żołnierze mogą skutecznie walczyć w bardzo niskich temperaturach, jeżeli tylko są ciepło ubrani, a grunt jest wystarczająco twardy. O wiele trudniej znieść im gwałtowne zmiany pogody: nagły wiatr od wschodu może zmrozić łagodny jesienny dzionek z syberyjską bezapelacyjnością; nagła burza z zachodu może zamienić twardą pokrywę śnieżną w grząskie błoto i lodowate potoki. W grudniu 1812 roku taka właśnie burza roztopiła w ciągu minut Berezynę, która zalała pozostałości napoleońskiej Grande Armée. Roztopy i powodzie stanowią większe zagrożenie dla wojsk niż śnieg czy lód; dlatego właśnie wiosna jest jedyną porą roku, kiedy trzeba przerwać działania wojenne. Zawsze w marcu i na początku kwietnia błoto pozwala dyplomacji złapać drugi oddech.

Ludność tego ogromnego obszaru – do którego przez wieki zgłaszali pretensje zarówno Rosjanie, jak i Polacy – nie była ani rosyjska, ani polska. Chłopstwo było na północy litewskie, w centrum białoruskie, a na południu ukraińskie. Miasta były w przeważającej mierze żydowskie, ponieważ tu właśnie cesarstwo rosyjskie wyznaczyło Żydom strefę osiedlenia. Pozycja Polaków na Kresach była słaba pod względem liczebności, ale silna pod względem społecznym i kulturalnym. Stanowili oni trzon magnaterii – wywodzącej się jeszcze ze średniowiecznych zdobywców – oraz najzamożniejszego mieszczaństwa. Wilno i Lwów były polskimi wyspami na obcym morzu. W tych stronach nie było prawie rodowitych Rosjan.

Na Kresach, co trzeba podkreślić, narodowość nie znaczyła wiele. Ludzi odróżniały religia i język. Badacz, który w 1920 roku zapytał białoruskiego wieśniaka o jego narodowość, otrzymał następującą odpowiedź: „Ja katolik i tutejszy”. Wszyscy byli poddanymi cara; nikt oprócz Polaków nie miał żywych tradycji odrębnej egzystencji narodowej, na których można by oprzeć nowy ład. Ruchy narodowe na Litwie, Białorusi i zachodniej Ukrainie były kierowane przez garść intelektualistów, „którzy mogliby zmieścić się na jednej małej sofie”, by zacytować Namiera. Nacjonalizm polski i wielkorosyjski były tu jednakowo obce.

Wojna na Kresach miała specyficzny charakter. Efektem rozległości teatru działań i niemożności skutecznego obsadzenia go wojskiem było to, że armie skupiały się na konkretnych, ograniczonych celach: rzekach, torach kolejowych i miasteczkach. Rzeki były jedynymi naturalnymi liniami obronnymi. Berezyna służyła Sowietom za fosę przez całą zimę 1919 roku, Wisła była ostatnim okopem Polski w roku 1920. Linie kolejowe stanowiły jedyną skuteczną sieć komunikacyjną; tylko one umożliwiały zaopatrzenie wojsk. Podrzędne węzły kolejowe, takie jak Baranowicze czy Mozyrz, były więc obiektem

zażartych walk. Z braku ośrodków przemysłowych bądź elektrowni odosobnione miasteczka stanowiły często jedyny cel militarny. Tylko one dawały obietnicę grabieży i schronienia, dostarczały jedynego namacalnego dowodu zwycięstwa tam, gdzie armie były niczym kamyki wrzucone w ocean.

Ze względów zarówno psychologicznych, jak i logistycznych walki toczyły się zrywami, przemieszczając się z jednego miasteczka do drugiego, być może sto kilometrów dalej, niczym iskry, które nabierają energii, zanim przeskoczą między końcami przewodów. Działania przenosiły się wzdłuż linii komunikacyjnych w generalskim berku – tam i z powrotem między stacjami kolejowymi. Układ terenu dyktował warunki. Potrzebne były umiejętności zwiadowcy i harcownika, a tylko niekiedy naga siła zmasowanych batalionów. W tym kontekście Piłsudski mówił o „strategii wilka i cietrzewia". Linia frontu była zbyt wąska, aby nadawała się do skutecznej obrony. Flanki były zawsze odsłonięte. Atak był łatwy, wycofanie się – zawsze możliwe. Udanie rozpoczęta ofensywa mogła się toczyć setki kilometrów siłą bezwładu. Kiedy więc historyk pisze o „generalnej ofensywie" i o „natarciu szerokim frontem", upraszcza opis tysiąca pojedynczych starć. Działania wojenne na Kresach były z natury rzeczy lokalne i fragmentaryczne, pełne zrywów i chaosu. Aby uchwycić tę specyficzną atmosferę, trzeba odwołać się do wspomnień świadków i do opisów literackich. Szczęśliwym trafem opowiadania Izaaka Babla, bolszewickiego kawalerzysty uczestniczącego w kampanii polskiej, są jednym i drugim:

Trzydziestego pierwszego przeszliśmy do natarcia pod Cześnikami. Szwadrony zgromadziły się w lesie obok wsi i o szóstej rano ruszyły na nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel oczekiwał nas na wzgórzu, do którego było trzy wiorsty jazdy. Przegalopowaliśmy trzy wiorsty na znużonych do cna koniach i kiedyśmy wpadli na szczyt wzgórza, zobaczyliśmy zamarły mur czarnych mundurów i pobladłych twarzy. To byli Kozacy, którzy zdradzili nas na początku polskiej wojny i zostali uformowani w brygadę pod dowództwem esauła Jakowlewa. Ustawiwszy jeźdźców w czworobok, esauł czekał na nas z gołą szablą. W jego ustach błyszczał złoty ząb, czarna broda leżała na piersi jak ikona na nieboszczyku. Karabiny maszynowe przeciwnika szyły z dwudziestu kroków, ranni zwalili się w naszych szeregach. Stratowały ich kopyta naszych koni i zderzyliśmy się z nieprzyjacielem, ale czworobok jego ani drgnął, więc rzuciliśmy się do ucieczki. W ten sposób sawinkowcy osiągnęli nietrwałe zwycięstwo nad szóstą dywizją[21].

Przeciwnicy Babla znosili podobne trudy i przeżywali podobne nastroje:

5 VIII 1920

Las pod Brodami

Kochani Rodzice

Jestem w tej chwili tak zmęczony, że nie mogę bardzo myśli zebrać – nie wiem, od czego zacząć – tyle nocy nieprzespanych, ciągle ten huk i terkot.

Wyglądamy wszyscy jak prorocy – wychudli, obrośnięci, niewyspani.

Co ja bym dał, żeby tak w tej chwili znaleźć się w Kielcach -

Parę dni temu w bitwie pod Mikołajowem, na naszym prawym skrzydle, Bolszewicy rozbili szwadron 11 pułku ułanów i zarąbany został Lolek Garbiński [...] dostał szablą w skroń. Tak ludzie giną jak muchy. Najgorsza rzecz z rannymi – do kolei 100 km, upał, automobili nie ma, podwód również. Mój gródecki bezpośredni dowódca pchor. Bogusławski [...] urwał mu granat stopę, w dwa dni umarł na zakażenie [...].

Zdobywamy Łopatyn o godzinie 11 w nocy – rozkwaterowani zasypiamy, konie rozsiodłane – naraz odzywa się z 10 kulomiotów ze wszystkich stron, z każdego ogródka strzały, ledwie że prawie bez strat wycofaliśmy się – całą noc staliśmy w ławach naokoło miasta gotowi do szarży, a później do południa znowu zdobywaliśmy ten sam Łopatyn – od południa przez trzy godziny w pieszym szyku zdobywaliśmy most na Styrze – trzy razy mieliśmy most w rękach i dopiero za czwartym razem na stałe – *eo ipso* całą noc w pogotowiu, aby go utrzymać itd., itd., i tak co dzień, co dzień, co dzień po kilku ubywa z szeregu.

Każą iść konie czyścić -

Całuję rączki Kochanym Rodzicom, proszę nie zapominać o mnie i Braci uściskać [...]
kochający syn Kazik[22]

Ogólne opisy pomijają specyfikę ludzkich losów. Po polskiej stronie można wskazać na nastoletnich ochotników – jeszcze w studenckich czapkach, niezdolnych udźwignąć ciężkich angielskich karabinów; pułkownika – „buchającego honorem uszami i nozdrzami", który wolał przebić się szpadą, niż poddać bolszewikom; jeńców rozbierających się na śniegu do bielizny, żeby bolszewicy nie mogli rozpoznać i rozstrzelać oficerów. Po stronie sowieckiej można odwołać się do naszkicowanych przez Babla portretów: komendanta dywizji Pawliczenki – pastucha z Kubania, który pojechał do domu specjalnie po to, żeby zatłuc swojego pana; rannego anarchisty Sidorowa, który marzył o słońcu Italii i zamierzał zdezerterować po raz piąty; kozaka Pryszczepy: „cham, ale nie natrętny, wylany z partii, przyszły gałganiarz, niefrasobliwy syfilityk, bałaguła"[23], który z zemsty wieszał psy, palił krowy i mordował staruszki. Równie barwnymi postaciami byli cywile: stary Gedali z Żytomierza, w cylindrze i z pejsami, który mówił „tak" rewolucji i „tak" szabasowi; Romuald, wikary i kastrat, „który na pewno zostałby biskupem, gdyby nie był szpiegiem", „który zwracał się do nas «towarzysze»" i o którym pisze Babel: „obojętnie [go] zastrzeliliśmy".

Bez wątpienia, na wojnie polsko-bolszewickiej walczono bezpardonowo. Polacy często rozstrzeliwali pojmanych komisarzy. Sowieci rozstrzeliwali schwytanych oficerów, a księżom i dziedzicom podrzynali gardła. Obie strony niejednokrotnie mordowały Żydów. Okrucieństwo niejako wisiało w powietrzu. Żołnierz żył w nieustannym chaosie i zagrożeniu. Rzadko znajdował schronienie w wygodnym okopie lub odzyskiwał pewność siebie na łonie swojego pułku. Częściej był sam – w lesie lub na warcie gdzieś na skraju wsi – nie wiedząc, czy nagły atak nastąpi z przodu czy też z tyłu; nie wiedząc, czy linia frontu przesunęła się w przód czy może wstecz. Zasadzki i wypady wzbudzały panikę i zachęcały do odwetu. Spotkania z nieprzyjacielem były rzadkie, ale krwiożercze.

* * *

Świeżo upieczona Litewsko-Białoruska Republika Rad – w skrócie: Lit-Bieł – nie była w lutym 1919 roku dobrze przygotowana do wojny ani pod względem politycznym, ani militarnym. Czołową postacią na tym obszarze był nietuzinkowy Ormianin Aleksander Miasnikow, który przewodził tu ruchowi komunistycznemu od momentu, kiedy w marcu 1917 roku pojawiły się pierwsze „frontowe rady", aż do upadku Lit-Bieła w kwietniu 1919 roku. Wraz z Michaiłem Frunzem Miasnikow zorganizował w 1917 roku Komitet Frontowy w Mińsku, który przekonał do sprawy rewolucji miejscowe oddziały carskie, a w lipcu powstrzymał oddziały generała Korniłowa maszerujące na Piotrogród, gdzie miały dokonać prawicowego zamachu stanu. Po rewolucji październikowej Miasnikow został przewodniczącym Rady Komisarzy Narodowych Obszaru Zachodniego oraz dowódcą sowieckiej Armii Zachodniej. Na początku 1918 roku zorganizował opór przeciw antybolszewickim oddziałom generała Dowbora-Muśnickiego, ale jego kampanię przerwała niemiecka okupacja. Dowbór-Muśnicki, który trzymał w swoim ręku Mińsk, został internowany przez Niemców; Miasnikow wycofał się do Smoleńska. Na zachodzie władza Sowietów była nadzwyczaj krucha. Bolszewicy z trudem zachowywali przewagę –

nawet wśród bratnich rewolucjonistów. Jeszcze długo po ich zwycięstwie w Piotrogrodzie w mińskiej radzie większość mieli mieńszewicy i eserzy. W listopadzie 1917 roku Miasnikow przeżył tylko dlatego, że jego przyjaciele na wschodzie wysłali mu na pomoc pociąg pancerny. Bolszewicy byli górą, ponieważ stanowili jedyną frakcję, która potrafiła kierować armią.

Sowiecka Armia Zachodnia (16. Armia) miała garnizon w Smoleńsku i składała się z czterech części: Pskowskiej (Litewskiej) Dywizji Piechoty, 17. (Witebskiej) Dywizji Strzeleckiej, „Zachodniej Dywizji Strzelców" oraz oddziałów 2. Obszaru Obrony Frontu. Pod koniec 1918 roku cała armia liczyła jedynie 19 tysięcy ludzi. Brak było artylerii i kawalerii – ogółem wszystkie oddziały posiadały 8 dział i 261 koni. W następnych miesiącach liczebność armii wzrastała w wyniku poboru i mobilizacji zdolnych do służby członków partii, osiągając pod koniec lutego 46 tysięcy ludzi[24]. Ale i tak siły te – zarówno pod względem wielkości, jak i jakości – nie były wystarczające do utrzymania obszaru o rozmiarach Anglii i Walii łącznie. Rekruci nadawali wojsku charakter czerwonej gwardii: byli przydatni do patrolowania okolicy, ale trudniej ich było użyć w działaniach ofensywnych bądź akcjach zakrojonych na szerszą skalę. Centralny Komisariat Wojny Trockiego przywiązywał do 16. Armii najmniejsze znaczenie. Na razie potencjalny konflikt z Polską był bowiem na drugim planie.

12 lutego 1919 roku Joakim Wacetis, sowiecki naczelny wódz, przekształcił Front Północny w Dowództwo Zachodnie. Tym sposobem Armia Zachodnia i operacje w Estonii oraz na Litwie, które nadal uważał za najważniejsze, znalazły się pod jedną komendą. W pierwszym rozkazie, opisującym zadania nowego frontu, Wacetis wymienił „rozpoznanie w głąb" aż do Tylży, Brześcia, Kowla i Równego. Nakazał również szczególną ochronę głównych węzłów kolejowych, to znaczy Wilna, Lidy, Baranowicz i Łunińca[25].

W ramach Armii Zachodniej specjalną rolę odgrywała Zachodnia Dywizja Strzelców Polskich. Dekretem nr 115 z 21 października 1918 roku Sowiecka Wojenna Rada Rewolucyjna rozkazała zebrać w jednym oddziale wszystkich Polaków służących w Armii Czerwonej. Po okresie szkoleniowym w rejonie Moskwy i służbie nad Donem Zachodnia Dywizja została skierowana do Mińska, by uczestniczyć w natarciu na strefę okupacyjną Ober-Ostu. 5 stycznia 1919 roku Dywizja starła się w Wilnie z Samoobroną. Pierwszego dowódcę i kronikarza tej formacji Stefana Żbikowskiego zastąpił generał Łągwa, członek PPS-u. Komisarzem politycznym dywizji był Adam Sławiński. Osiem tysięcy ludzi z tej jednostki podzielono na kilka pułków, z których każdy nosił polską nazwę: 1. Pułk Rewolucyjny Czerwonej Warszawy, 2. Pułk Lubelski, 3. Pułk Siedlecki, 4. Czerwony Pułk Warszawskich Huzarów, 5. Pułk Litewsko-Wileński, 6. Pułk Ułanów Mazowieckich. Pułki te tworzyły trzy brygady piechoty, wyposażone we wsparcie artyleryjskie i kawaleryjskie. Zachodnia Dywizja stopniowo utraciła swój wyłącznie polski charakter, ale pozostała główną siłą w sowieckiej kampanii politycznej na zachodzie, stanowiąc jednostkę szturmową rewolucji.

Armia Czerwona znajdowała się pod ścisłym nadzorem politycznym. Każdy dowódca miał „anioła stróża" w osobie oficera politycznego, potocznie zwanego komisarzem, który kontrolował jego rozkazy. Każdy oddział miał radę wojenną, której przewodniczyli dowódca i komisarz. Każda dywizja miała trybunał rewolucyjny, który tropił polityczne odchylenia. Komisariat Wojny Trockiego sprawował ścisły nadzór nad dowódcami, a partia bolszewicka – nad komisarzami. Nawet w 1919 roku, kiedy uwaga Trockiego była

skupiona na frontach wojny domowej, zawsze można się było spodziewać krótkiej inspekcji w Armii Zachodniej: wyskakiwał ze swojego pociągu pancernego, budząc wszędzie strach, ale i podnosząc ducha oraz skuteczność działania. Na skutek upolitycznienia Armia Czerwona stała się nowym i dziwnym światem, gdzie nawet entuzjastów mogła oszołomić galopująca biurokratyzacja i towarzyszący jej żargon. Rewolucyjny obyczaj wymagał skracania nazw, co rodziło fałszywe wrażenie, że samej biurokracji ubywa. Nowicjusz na Zapfroncie znajdował się pod opieką wojenruka i politruka, a otrzymywał rozkazy od swojego komdiwa, ze swojego politoddieła, z RWS, od nasztariewwojensowa, gławkoma, narkoma, priedriewwojensowriespa, a nawet od samego priedsownarkoma [skróty te znaczą odpowiednio: Front Zachodni, instruktor wojskowy, oficer polityczny, dowódca dywizji, wydział polityczny, Rewolucyjna Rada Wojenna, szef Sztabu Rewolucyjnej Rady Wojennej, głównodowodzący, komisarz ludowy, przewodniczący Rewolucyjnej Rady Wojennej (Trocki), przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych (Lenin)].

Armia polska była przygotowana do wojny jeszcze gorzej. Bolszewicy mieli przynajmniej naczelne dowództwo i rok doświadczenia w koordynowaniu działań wojennych. Polacy nie mieli ani jednego, ani drugiego. Ustawa o organizacji sił zbrojnych została uchwalona przez Sejm dopiero 26 lutego 1919 roku – dwa tygodnie po rozpoczęciu walk z Rosją sowiecką. Do tej pory kraj był broniony przez zlepek oddziałów, które pozostały w Polsce po pierwszej wojnie światowej i które łączyła tylko przysięga na wierność złożona Rzeczypospolitej i Józefowi Piłsudskiemu, jej naczelnemu wodzowi.

W momencie uchwalenia tej ustawy Polska dysponowała 110 tysiącami czynnych żołnierzy. W kwietniu liczba ta wzrosła do 170 tysięcy, w tym 80 tysięcy kombatantów. Zarodkiem armii były siły Polnische Wehrmacht – 9 tysięcy ludzi pozostałych z oddziałów zwerbowanych w latach 1917-1918 przez Niemców. W pierwszych tygodniach niepodległości doszło około 75 tysięcy ochotników, głównie z Legionów Piłsudskiego, które walczyły po stronie Austrii aż do ich rozwiązania w 1917 roku. W grudniu 1918 roku wchodzące w skład armii niemieckiej pułki poznańskie opowiedziały się po stronie Polski. Pobór ogłoszony 7 marca 1919 roku podwoił liczebność wojska, ale w praktyce tylko nieliczni poborowi podjęli służbę w tym samym roku. Wydatki na wojsko wyniosły w 1919 roku 49 procent polskiego dochodu narodowego i proporcjonalnie były większe niż w jakimkolwiek innym kraju świata – poza Rosją sowiecką.

W ciągu następnych miesięcy różne polskie oddziały przybywały z zagranicy. W kwietniu przyjechała z Francji armia polska dowodzona przez generała Józefa Hallera – 50 tysięcy dobrze uzbrojonych weteranów, wyszkolonych przez oficerów francuskich. Do armii tej dołączyła część Legionu Bajońskiego – polskiej kompanii wchodzącej w skład Legii Cudzoziemskiej. W czerwcu polska dywizja generała Lucjana Żeligowskiego dotarła do Lwowa po słynnym trzymiesięcznym marszu wokół Bałkanów aż z Odessy, gdzie walczyła u boku „białych". Pod koniec 1919 roku przybył do kraju polski oddział z Murmańska, a w czerwcu 1920 roku zawinęła do Gdańska jednostka z Władywostoku z 10 tysiącami żołnierzy z Polskiej Brygady Syberyjskiej pułkownika Rumszy na pokładzie. Trzy ostatnie formacje składały się z polskich rekrutów w armii carskiej, którzy zostali odcięci od kraju na skutek wybuchu rewolucji w Rosji.

Niezależne jednostki tworzyli również Kresowiacy. Wileńska Samoobrona miała swoje odpowiedniki w Mińsku i Grodnie. Większość żołnierzy z tych formacji, zaskoczona

szybkimi postępami Sowietów w strefie Ober-Ostu, dotarła na własną rękę do linii polskich. W pierwszym tygodniu niepodległości powstał w Warszawie Komitet Obrony Kresów. Jego prezesem został książę Eustachy Sapieha, a składał się on głównie z arystokratów, których zasadniczym celem było odzyskanie okupowanych posiadłości kresowych. Komitet zorganizował i sfinansował tak zwaną Dywizję Litewsko-Białoruską (pod dowództwem generała Iwaszkiewicza), która rozpoczęła zaciąg w Szczuczynie, Zambrowie i Łapach; ostatecznie przyciągnęła jednak mniej ochotników z Kresów niż z miast centralnej Polski.

Proces fuzji różnych jednostek i ich dowództw był długi i żmudny. Większość wyższych oficerów pełniła wcześniej służbę w armii austriackiej. Generał Szeptycki był gubernatorem austriackiej strefy okupacyjnej na południu Polski; Tadeusz Rozwadowski był w 1913 roku generałem, pełnił funkcję inspektora w cesarsko-królewskiej armii, a w 1918 roku został komendantem Polnische Wehrmacht i ministrem spraw wojskowych w utworzonej przez Niemców Radzie Regencyjnej. Piłsudski, naturalnie, dobierał sobie ludzi, którzy służyli z nim w Legionach, takich jak podpułkownik Edward Rydz-Śmigły (dowódca tajnej POW), pułkownik Władysław Sikorski czy generał Kazimierz Sosnkowski. Niektórzy oficerowie służyli w armii carskiej: generał Wacław Iwaszkiewicz, generał Dowbór-Muśnicki (dowódca oddziałów antybolszewickich na Białorusi, a wcześniej komendant 1. Korpusu Polskiego), generał Aleksander Osiński (komendant 3. Korpusu Polskiego). Żaden z Polaków nie wspiął się jednak na wyższe szczeble w sztabie carskim, gdzie obowiązywała zasada wykluczająca katolików, ani w sztabie pruskim – w tym wypadku z powodu zwykłych uprzedzeń. Poznańskie dostarczyło najlepszych podoficerów, ale niewielu oficerów. Niektórym Polakom udało się służyć w kilku armiach. Generał Józef Haller trzy razy zmieniał strony. W marcu 1918 roku przeszedł ze swoim austriackim pułkiem Legionów na stronę rosyjską w proteście przeciw traktatowi brzeskiemu; w Rosji walczył u boku polskiego korpusu z bolszewikami, a po ucieczce przez Murmańsk objął dowództwo armii polskiej we Francji.

W 1919 roku wszyscy ci żołnierze musieli wyzbyć się starych wojskowych nawyków i przystosować się do nowego ładu. W lutym utworzono Ministerstwo Spraw Wojskowych kierowane przez generała Leśniewskiego; powstał również Sztab Naczelny (pod dowództwem generała Szeptyckiego, a następnie generała Stanisława Hallera), który stanowił kierownictwo operacyjne. Generał Rozwadowski został wysłany do Paryża jako oficer łącznikowy między Polską a rządami aliantów. Trzeba było ustalić od nowa reguły musztry, formy szkolenia, typy komend, zasady starszeństwa – słowem, to wszystko, bez czego armia nie może istnieć. Tarcia były nieuchronne. Jednostki wyposażone we francuskie karabiny otrzymały amunicję niemiecką; oficerowie „austriaccy" czuli się urażeni, służąc pod dowództwem „carskich" kolegów, których „pokonali"; jednostki Poznaniaków niechętnie szły do walki na wschód, kiedy na zachodzie Poznań był ciągle zagrożony przez Niemców. Dopiero w lipcu 1919 roku postanowiono używać wyłącznie francuskich podręczników i regulaminów oraz skorzystać ze szkolenia oferowanego przez Francuską Misję Wojskową, której przewodził generał Henrys. Pomimo przeszkód patriotyzm jakimś sposobem zatriumfował: wojsko polskie, martwe od 1831 roku, odrodziło się.

1. Polska Dywizja Kawalerii stanowi znakomity przykład owych różnorodnych początków całej armii. Składała się z sześciu pułków. 8. Pułk Ułanów był na wskroś

„cesarsko-królewski” i rekrutował się z synów galicyjskiej szlachty. 9. Pułk Ułanów również wywodził się z Galicji, ale jego skład był bardziej „demokratyczny”. Wielu oficerów z tej jednostki, przyodzianej w angielskie mundury, służyło w austriackiej Landwehrze lub w Legionach. Jeszcze bardziej egzotyczny był 14. Pułk Ułanów – z wyszkolenia i w dużej mierze z pochodzenia rosyjski. Żołnierze tej jednostki spędzili w siodle już pięć lat, walcząc w pierwszej wojnie na froncie wschodnim, a w wojnie domowej na Kubaniu. Do Polski przyszli z generałem Żeligowskim. Austriacki ekwipunek, w który zostali wyposażeni, mieli w głębokiej pogardzie. Oficerowie zachowali swoje wysokie kaukaskie kulbaki, długie cugle, krótkie strzemiona oraz brawurowy styl jazdy. 1. (Krechowiecki) Pułk Ułanów służył wcześniej u Rosjan w Legionie Puławskim. 2. Pułk Szwoleżerów był poprzednio legionem austriackim. 15. Pułk Ułanów składał się z Poznaniaków noszących staroświeckie mundury i rogatywki ze szkarłatnym otokiem. Ich konie były wyjątkowo rosłe, a pruski ekwipunek – wyjątkowo ciężki. Każdy żołnierz woził ze sobą lancę, szablę, bagnet, maskę przeciwgazową, saperkę i menażkę. W marszu podzwaniali i chrzęścili niczym oddział średniowiecznych rycerzy. W każdym z tych pułków lokalne tradycje były silne, a patriotyzm narodowy relatywnie słaby. Jednostki te były niczym sześciu synów marnotrawnych zrodzonych z jednej polskiej matki i trzech różnych ojców. Po raz pierwszy skierowano je na pole bitwy w kwietniu 1920 roku[26].

Główną rolę w organizowaniu armii polskiej odegrał Kazimierz Sosnkowski – wiceminister spraw wojskowych. Choć nie skończył jeszcze 34 lat, miał już na swoim koncie uformowanie kilku armii. W roku 1908 we Lwowie, kiedy był jeszcze studentem, z własnej inicjatywy założył Związek Walki Czynnej – jedną z wielu podobnych, paramilitarnych organizacji patriotycznych. W 1914 roku został szefem sztabu Legionów Piłsudskiego. W 1917 zastąpił Piłsudskiego w wydziale wojny Rady Regencyjnej i założył Polnische Wehrmacht. W 1918 po pobycie w więzieniu Spandau został przeniesiony do twierdzy magdeburskiej, gdzie dołączył do Piłsudskiego – który nazywał go swoim „sumieniem” i „aniołem stróżem”. Sosnkowski miał cechy, których brakowało twórcy Legionów: takt polityczny i łatwość w nawiązywaniu kontaktów osobistych. W 1919 roku powierzono mu zadanie przekonania demokratycznych instytucji nowego państwa do nadrzędnych interesów wojskowych Piłsudskiego. Jego przemówienia w Sejmie, jego osobisty udział w obradach nad ustawami wojskowymi, jego znajomość rzeczy – to wszystko obudziło zaufanie i zrodziło wolę polityczną u początkowo niechętnych parlamentarzystów. Ten młody człowiek – wysoki i zwracający na siebie uwagę, ale o skromnych wymaganiach i bardzo obowiązkowy – dokonał wyczynu porównywalnego z osiągnięciami Trockiego czy Carnota[27], na co rzadko zwracano uwagę poza kręgami polskimi.

Początkowo tylko niewielka część polskiej armii mogła być wysłana na front sowiecki. Przez cały rok 1919 Armia Czerwona nie była w stanie przeprowadzić znaczącej ofensywy, większość polskich wojsk została więc wykorzystana do bardziej pilnych zadań na froncie ukraińskim, czechosłowackim i niemieckim. „Dziesięć Tysięcy” wysłane w lutym 1919 roku w strefę Ober-Ost podzielono na dwie grupy. Zgrupowanie Północne pod dowództwem generała Iwaszkiewicza stacjonowało w Wołkowysku, a Południowe kierowane przez generała Listowskiego w Brześciu. Dowódcą tego frontu białoruskiego został generał Szeptycki, który zastąpił generała Wejtkę. Polacy dysponowali dwunastoma batalionami piechoty, dwunastoma szwadronami kawalerii i trzema kompaniami kawalerii,

dorównując sowieckiej Armii Zachodniej po drugiej stronie frontu pod względem jakości, lecz nie liczebności.

Ilość sprzętu wojskowego dostępnego w 1919 roku w Europie Wschodniej była nadzwyczaj ograniczona. Wojna polsko-bolszewicka została stoczona za pomocą nadwyżek z wojny światowej. Obie strony musiały polegać na tym, co udało im się wyprosić lub zdobyć w walce. Sowiecka Armia Zachodnia dostała swoją część zdobyczy z wojny domowej: japońskie karabiny z Syberii, angielskie działa z Archangielska i Kaukazu. W późniejszym okresie Polacy mieli tę przewagę, że otrzymywali bezpośrednie dostawy od aliantów, szczególnie z Francji. Dywizje piechoty – o sile od 2 do 8 tysięcy ludzi – miały na wyposażeniu od 40 do 250 karabinów maszynowych i od 12 do 70 haubic. Jedynie armia generała Hallera, całkowicie wyekwipowana we Francji, była wyposażona zgodnie ze standardami przyjętymi w wojnie światowej. Dywizje kawalerii ciągnęły ze sobą trzy lub cztery ciężkie karabiny maszynowe umieszczone na wozach – tak zwane taczanki. Transport odbywał się głównie wozami konnymi; polskie furmanki – długie pojazdy w kształcie litery „V" – zadziwiały zachodnich obserwatorów swoją szybkością i skutecznością. Oficerowie sztabowi, którzy mieli do dyspozycji samochód, zaliczali się do ulubieńców fortuny. Środki łączności były prymitywne: tylko główne punkty dowodzenia były wyposażone w radio. Jeden karabin na trzech żołnierzy nie był zjawiskiem niesłychanym. Z braku skuteczniejszych środków obie strony często posługiwały się bronią białą. Mundury były tak samo różnorodne jak broń. W teorii Armia Czerwona była przyodziana w wojłokowe burki i tatarskie czapki z gwiazdą, takie same dla żołnierzy i oficerów. W praktyce noszono wszystko, co wpadło w rękę. Babel wspomina Kozaków, którzy mieli na nogach onuce, a na głowie zdobyczne meloniki. Bardzo rozpowszechnione były mundury carskie pozbawione naszywek. Polacy nie prezentowali się lepiej. Poznaniacy nosili mundury pruskie; „Błękitna Armia" Hallera wyglądała zupełnie jak francuska. Białe orzełki przypięte do austriackich lub carskich mundurów albo niemieckie hełmy przemalowane na biało-czerwono wywoływały konsternację zarówno wśród swoich, jak i obcych. Stojąc naprzeciw nieprzyjaciela, trzeba było dostrzec nie tylko białka oczu, ale i kształt orzełka na czapkach, żeby wiedzieć, czy należy strzelać. Jedynie polska kadra oficerska – ze złotymi akselbantami i w rogatywkach – była oczywistym celem.

Artyleria zdecydowanie odbiegała od standardów minionej wojny. Na przykład 1. Pułk Lekkiej Artylerii (Legionowy) został początkowo wyposażony w austriackie działa 9 cm na sztywnych łożach jeszcze z 1875 roku, znalezione w krakowskich fortach i ciągnięte przez konie zabrane ze schroniska dla zwierząt. W maju 1919 roku doszły do tego rosyjskie trzycalówki zdobyte na Ukraińcach, a potem austriackie, włoskie i francuskie haubice. W takich warunkach trudno było mówić o skutecznym szkoleniu i skoordynowanej walce.

Wkrótce istotną częścią wyposażenia stały się pociągi pancerne. Wczesne modele były osłonięte żelbetem bądź workami z piaskiem; wersje „zaawansowane" były opancerzone stalowymi płytami. Poruszały je pancerne lokomotywy umieszczone pomiędzy wagonami osobowymi, na których ulokowano obrotowe wieże strzelnicze z karabinami maszynowymi. Z przodu i z tyłu znajdowały się platformy dla ciężkich dział oraz wagony ze sprzętem do układania torów. Pociągi pancerne mogły przewozić oddziały uderzeniowe o liczebności 200-300 ludzi i były tym samym jedyną formacją o ruchomej i skoncentrowanej sile ognia. W kampaniach, podczas których komunikacja kolejowa odgrywała zasadniczą rolę, stanowiły element zaskoczenia o pierwszorzędnym znaczeniu i

decydowały o morale wojska. Ich zakres działania był wszakże ograniczony do sieci kolejowej o tym samym rozstawie torów. Choć w pierwszej połowie 1919 roku polscy saperzy dostosowali główne szlaki do standardów europejskich, to większość linii na terenach wschodnich zachowała szeroki rosyjski rozstaw[28].

Najważniejszą formacją ofensywną pozostała kawaleria. Pod tym względem wojna ta, rozpoczęta w 1919 roku, nie różniła się od wojen prowadzonych w poprzednich stuleciach. Polacy używali ułanów, bolszewicy zaś wymachujących szablami jeźdźców w typie kozackim. Ale i kawalerzystów nie było dosyć. Na froncie polskim Armia Czerwona zdołała skoncentrować duże siły kawaleryjskie dopiero w maju 1920 roku. Armia polska dorównała jej pod tym względem dopiero w sierpniu.

Nowoczesny sprzęt pojawił się dopiero pod koniec wojny, a i wtedy w niewielkich dawkach. Samoloty, czołgi i ciężarówki były nowinkami technicznymi, które częściej psuły się same, niż były niszczone przez nieprzyjaciela.

W pierwszych miesiącach działania wojenne ograniczały się w zasadzie do walk pozycyjnych. Stopniowo ukształtował się front: od Mostów nad Niemnem, wzdłuż Szczary, Kanału Ogińskiego i Jasiołdy aż po Prypeć na wschód od Pińska. Front był długi na pięćset kilometrów i przecinał całą północną strefę wyżynną: na północnym zachodzie opierał się o linię Ober-Ostu z centralą w Grodnie, na południowym wschodzie zaś o terytorium Dyrektoriatu Ukraińskiego. Przeciętnie każda ze stron mogła wystawić tylko jednego żołnierza na pięćdziesiąt metrów frontu, w związku z czym ogromne przestrzenie, zwłaszcza na południu, były jedynie patrolowane, lecz nie dałoby się ich obronić. Uwaga sztabów skoncentrowała się na odcinku północnym, gdzie bolszewicy mieli przewagę w postaci rokadowej linii kolejowej między Wilnem, jedynym miastem na tym obszarze, a Baranowiczami, ważnym węzłem kolejowym (oba ośrodki znajdowały się w rękach sowieckich). Bolszewicy zajmowali lepszą pozycję, którą mogła im odebrać jedynie polska ofensywa. Ta była jednak wykluczona podczas wiosennych roztopów. Zdobycie przez Polaków przyczółka za Niemnem stanowiło w tym okresie jedyne wydarzenie o znaczeniu strategicznym. Przez sześć tygodni na froncie panował więc spokój.

Uwagę władz sowieckich odwróciło kontrrewolucyjne powstanie na Białorusi. Dwa pułki Armii Czerwonej, utrzymujące linię frontu przeciw Ukraińcom w okolicach Owrucza, zbuntowały się, przeszły Prypeć i wkroczyły do Homla, który okupowały od 24 do 29 marca w imieniu „wolnej republiki". Stłumienie tego powstania na przełomie marca i kwietnia zaabsorbowało na parę tygodni uwagę bolszewickiej Zachodniej Komendy, która nie miała czasu myśleć o Polakach[29].

Również Polacy mieli swoje problemy. W Pińsku, obsadzonym przez kompanię majora Łuczyńskiego, doszło do krwawego incydentu. W obawie przed zamieszkami w tym miasteczku – podobnie jak w pozostałych okupowanych przez Polaków – zakazano wszelkich publicznych zgromadzeń. Na straży pozostawiono jedynie 30 żołnierzy. 5 kwietnia zostali oni wezwani na miejsce spotkania, które odbywało się przy drzwiach zamkniętych. Żołnierze działali w przekonaniu, iż mają do czynienia z zebraniem bolszewików. Kiedy postawiono im opór i zebrał się tłum, obawiali się pułapki. Zatrzymali więc 35 zakładników, których Łuczyński kazał bez sądu rozstrzelać – dla przykładu. Miasto zostało spacyfikowane, ale incydent wywołał międzynarodowe reperkusje. Pińsk był miasteczkiem żydowskim: na 24 tysiące mieszkańców Żydów było 20 tysięcy. Wśród ofiar Żydzi stanowili większość. W prasie europejskiej niemal natychmiast

pojawiły się doniesienia o „polskim pogromie w Pińsku". Wyrażenie to zawierało wszak piękną aliterację i świetnie nadawało się na sensacyjne nagłówki. Choć na miejscu pierwsza komisja śledcza z ramienia aliantów zaprzeczyła, by powodem egzekucji był antysemityzm (reprezentant Stanów Zjednoczonych porucznik Foster stwierdził, iż postępowanie majora Łuczyńskiego było w danych okolicznościach całkowicie uzasadnione), i chociaż charakter nielegalnego zebrania nigdy nie został wyjaśniony (opisywano je rozmaicie: jako spotkanie komunistycznej komórki, zebranie miejscowej spółdzielni bądź Komitetu Pomocy Amerykańskiej), to na skutek kampanii prasowej reputacja Wojska Polskiego została zszargana. Ponieważ incydent w Pińsku zdarzył się niedługo po podobnych doniesieniach ze Lwowa, potwierdził on powszechne na świecie wyobrażenie, że wszyscy polscy żołnierze to antysemici, a wszyscy bolszewicy to Żydzi[30].

Wkrótce po wydarzeniach w Pińsku nadeszły wiadomości o zdobyciu przez Polaków Wilna, które Piłsudski postanowił wyzwolić osobiście. Wilno było jedynym większym miastem na froncie sowieckim, a zarazem jedynym znaczącym skupiskiem Polaków na kresach północnych i kluczowym ośrodkiem planowanej przez Piłsudskiego „federacji". W tym mieście Piłsudski się kształcił i tu zaszczepiono mu ów osobliwy, romantyczno-nostalgiczny patriotyzm, który był bodźcem do wszystkich jego działań. Wilno koniecznie potrzebowało stabilnego rządu. W ciągu dwóch lat władza zmieniała się tu osiem razy: od caratu, przez rosyjski Rząd Tymczasowy, niemiecką okupację wojskową, litewski rząd narodowy, Radę Robotniczą, Samoobronę po Litewską Republikę Rad i w końcu Lit-Bieł. Wyjątkowo gruntowny i bolesny eksperyment polityczny stanowiły zwłaszcza dwa ostatnie rządy. Zmieniły one Wilno w laboratorium farmakologii społecznej, które zaaplikowało nieszczęsnym mieszkańcom pełny zestaw komunistycznych receptur. W ciągu trzech miesięcy wydano długą listę dekretów: o ograniczeniu prawa własności, o mobilizacji komunistów, o przymusowych rekwizycjach, o rozstrzeliwaniu „kryminalistów i elementów kontrrewolucyjnych", o nacjonalizacji fabryk, o państwowym muzeum sztuki, o ubezpieczeniach społecznych dla robotników, o likwidacji tytułów i rang, o siedmiogodzinnym dniu pracy w zakładach tytoniowych, o równości nacji, o poborze do wojska, o państwowej orkiestrze symfonicznej, o delegalizacji Kościoła, o powszechnym obowiązku pracy, o przekształceniu domu Adama Mickiewicza w Nowogródku w państwowe muzeum...[31].

Piłsudski przybył na front 15 kwietnia. Nadzorował tajne rozlokowanie posiłków wysłanych z Warszawy – dwóch dywizji piechoty oraz brygady kawalerii – które zostały ukryte w sąsiedztwie Papierni, jedynie 25 kilometrów od sztabu sowieckiej Zachodniej Dywizji w Lidzie. Plan Piłsudskiego był prosty, lecz ryzykowny. Główne natarcie miało wejść w lukę między zgrupowaniami wojsk bolszewickich w Wilnie oraz w Lidzie i posuwać się śmiało wzdłuż drogi i torów w stronę miasta. Ryzyko polegało na tym, że Sowieci mieli w swoich rękach linię kolejową i mogli szybko sprowadzić na arenę wydarzeń posiłki. Aby ich zmylić co do kierunku głównego uderzenia, Piłsudski zarządził serię ataków równoległych: na Lidę pod dowództwem generała Lasockiego oraz na Nowogródek i Baranowicze pod dowództwem generała Mokrzeckiego. Mniejsza jednostka kierowana przez pułkownika Freya miała zaatakować Sowietów na zachód od Wilna na styku z liniami niemieckimi, aby zapobiec interwencji z tego kierunku.

16 kwietnia o świcie polska kolumna szturmowa wyszła z ukrycia pod Papiernią. Szpicę tworzyła grupa jazdy pod dowództwem pułkownika Beliny-Prażmowskiego – dziewięć szwadronów z lekką konną baterią artylerii. Za nimi szła piechota generała Rydza-Śmigłego – trzy bataliony 1. Dywizji Piechoty i dwie baterie ciężkiej artylerii. Po przekroczeniu na podmokłym terenie wokół strugi Dzitwa linii bolszewickiej żołnierze weszli w pobliżu Żyrmunów na drogę do Wilna. Do końca pierwszego dnia – kiedy pozostało im jeszcze ponad sto kilometrów marszu – nie napotkali znaczącego oporu.

Kolumna szturmowa zawdzięczała swój początkowy sukces natarciom równoległym. 16 kwietnia przed świtem artyleria polska otworzyła ogień na Lidę, najwidoczniej zapowiadając atak w tym kierunku. Kiedy generał Mokrzecki ruszył siłą dziewięciu batalionów na Nowogródek i Baranowicze, powstało wrażenie, iż te dwa miasteczka są głównym celem ataku. Na pewno były ważne. Twierdza na Wzgórzu Nowogródzkim panowała nad środkowym biegiem Niemna, a Baranowicze dawały kontrolę nad siecią kolejową. Co więcej, ten centralny sektor znajdował się w rękach sowieckiej Zachodniej Dywizji Strzelców Polskich, a było wiadomo, że dowództwo polskie pali się do tego, aby dać „zdrajcom" nauczkę. Walka była ostra, obrona uparta. Lida trzymała się dwa dni, Nowogródek trzy, a Baranowicze cztery. Kiedy 19 kwietnia wieczorem Zachodnia Dywizja wycofywała się za Niemen, w polskich rękach było już pół Wilna.

Kawaleria Beliny osiągnęła dobry czas. Siedemnastego jeźdźcy obozowali w Turgielach, opuściwszy wcześniej drogę, aby uniknąć starcia, gdyby wysłano naprzeciw jakieś oddziały, i żeby podejść miasto z zaskoczenia od południowego wschodu. Piechota, która pokonała w dwa dni 65 kilometrów, znajdowała się w Bieniakoniach, w tyle o półtorej doby marszu. Sowiecka łączność między Wilnem a Zachodnią Dywizją została przerwana. Osiemnastego Belina biwakował w lesie pod Wilnem w odległości umożliwiającej atak. Miał do wyboru dwie możliwości: albo czekać być może dwa dni na piechotę i stracić atut zaskoczenia, albo wysłać kawalerię na ulice miasta bez żadnego wsparcia. Wybrał to drugie. Wiedział bowiem, że może liczyć na zbrojną pomoc mieszkańców i że obrońcom miasta nie będzie łatwo wznieść barykady i rozmieścić gniazda karabinów maszynowych. Dziewiętnastego o szóstej rano polska kawaleria wpadła na zdumione przedmieścia i skierowała się w stronę dworca. Wedle niektórych relacji jeźdźcy byli przebrani w mundury Armii Czerwonej. Polacy zdobyli pociąg i wysłali go po piechotę. Potem rozproszyli się na ulicach. Cały dzień galopowali to tu, to tam, wzbudzając panikę w miejscowym garnizonie – nie stanowili wszak pojedynczego celu, z którym można by się rozprawić. Pod wieczór zdobyczne pociągi zaczęły przywozić piechotę. Bolszewicy wycofali się przez mosty na północne przedmieścia. Przez dwa dni trwały tam walki uliczne: sowiecka Dywizja Pskowska, pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia, została stopniowo wyparta z miasta na północny zachód. Ostatni, daremny opór stawiono za murami żydowskiego cmentarza. Dwudziestego pierwszego do Wilna wkroczył sam Piłsudski. Jego powrót uświetniła parada zwycięstwa.

Natychmiast po zakończeniu walk Piłsudski ogłosił swoje zamiary polityczne. „Odezwa do mieszkańców dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego” przedstawiała jego plan federacji kresowej:

Kraj Wasz od stu kilkudziesięciu lat nie zna swobody, uciskany przez wrogą przemoc rosyjską, niemiecką, bolszewicką – przemoc, która, nie pytając ludności, narzucała jej obce wzory postępowania, krępujące wolę, często łamiące życie.

Ten stan ciągłej niewoli, dobrze mi znany osobiście, jako urodzonemu na tej nieszczęśliwej ziemi, raz nareszcie musi być zniesiony i raz wreszcie na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zapanować swoboda i prawo wolnego, niczem nie skrępowanego wypowiadania się o dążeniach i potrzebach.

Wojsko polskie, które ze sobą przyprowadziłem do wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, do zniesienia rządów krajem wbrew woli ludności – wojsko to niesie Wam wszystkim Wolność i Swobodę.

Chcę dać Wam możność rozwiązywania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski.

Dlatego to, pomimo że na Waszej ziemi grzmią jeszcze działa i krew się leje – nie wprowadzam zarządu wojskowego, lecz cywilny, do którego powoływać będę ludzi miejscowych, synów tej ziemi.

Zadaniem tego zarządu cywilnego będzie:

1) ułatwienie ludności wypowiedzenia się co do losu i potrzeb przez swobodnie wybranych przedstawicieli; wybory te odbędą się na podstawie tajnego, powszechnego, bezpośredniego, bez różnicy dla płci głosowania;

2) danie potrzebującym pomocy w żywności, poparcie pracy wytwórczej, zapewnienie ładu i spokoju;

3) otoczenie opieką wszystkich, nie czyniąc różnicy z powodu wyznania lub narodowości.

Na czele zarządu postawiłem Jerzego Osmołowskiego, do którego bezpośrednio lub do ludzi przez niego wyznaczonych zwracajcie się otwarcie i szczerze we wszelkiej potrzebie i sprawach, które Was bolą i obchodzą.

Wilno, 22 kwietnia 1919 r.

Józef Piłsudski[32]

Styl i treść oraz dramatyczny sposób wysławiania się niewątpliwie świadczą o autorstwie samego Naczelnika. 27 kwietnia Piłsudski powrócił do Warszawy.

W obozie sowieckim utrata Wilna wywołała serię wzajemnych oskarżeń. Miasnikow

bagatelizował całą sprawę, składając klęskę na karb „powstania białogwardzistów", zdrady kolejarzy i nieobecności Czeka – w istocie rzeczy, dostrzegając winnych wszędzie, tylko nie we własnym wojsku. Tak tym rozwścieczył premiera Lit-Bieła Mickiewicza-Kapsukasa, że ten opublikował w moskiewskich „Izwiestiach" artykuł pod tytułem „Przyczyny upadku Wilna":

Musieliśmy wytężyć wszystkie siły; zmobilizowaliśmy komunistów i wysłali na front agitatorów. Jednakże nasze jednostki frontowe były zupełnie wyczerpane po czterech miesiącach życia w marszu i trzech – na froncie w najgorszych warunkach. Przy braku łączności kolejowej na Litwie i niedostatku na miejscu żywności i taboru konnego – w jednych miejscowościach (w guberni wileńskiej), i niewydolności organów zaopatrzenia w drugich (w guberni kowieńskiej) – sytuacja w niektórych miejscach frontu stała się nie do wytrzymania.

Bezwzględność rekwizycji u ludności miejscowej i niekończące się zmuszanie do podwód wywołały nieufność i rozjątrzenie przeciw Armii Czerwonej nawet w tych kręgach, które początkowo witały ją jako swoich wyzwolicieli od znienawidzonej okupacji niemieckiej i ucisku obszarniczego. W wyniku tego zaczęła się znaczna dezercja z frontu, gdzie i bez tego była bardzo ograniczona liczba żołnierzy.

Uzupełnianie szeregów Armii Czerwonej miejscowymi było niemożliwe z powodu wrogiego nastawienia ludności. Ochotnicy napływali masowo tylko po wkroczeniu Armii Czerwonej, ale nie mogli oni być wykorzystani z powodu zupełnego braku umundurowania, obuwia i uzbrojenia. (...)

Biorąc to wszystko pod uwagę, wielokrotnie zwracaliśmy się do władz centralnych o posiłki. Przedstawialiśmy katastrofalne położenie naszego frontu i naszą bezradność w walce z nadchodzącym kryzysem. Wskazywaliśmy na zupełny brak kontaktu z rządem Lit-Bieła, przebywającym w Mińsku. Nalegaliśmy na jakieś zmiany, wszystko to jednak nie dało żadnego efektu.

Wilno zajęli nie zbuntowani w nim białogwardziści, ale regularne polskie wojska, które po zajęciu Lidy miały otwartą drogę na Wilno. Zatrzymać ich marszu naprzód nie miał kto. Wojenny komisarz Lit-Bieła, towarzysz Unszlicht, i komisarz okręgowy (*gubrewkom*) towarzysz Rasikas musieli więc działać samodzielnie. Dzięki ich wysiłkom ruszyło rozpoznanie, ale musiało się wycofać przed znacznie liczniejszymi oddziałami polskich legionistów. Utworzono zbiorczy oddział, który miał wyruszyć 19 kwietnia rano. Na ten dzień była też wyznaczona mobilizacja członków związków zawodowych, partii komunistycznej i socjalistycznej, komunistycznego związku młodzieży, ale wszystko to było już zbyt późno. (...)

Oczywiście, brak silnej władzy sowieckiej, mającej oparcie w szerokich masach robotniczych, umożliwił legionistom umocnić się tak szybko w Wilnie. Składać jednak wszystko na nieobecność w Wilnie Czeka – to zbyt już naiwne. [...] Organ do walki z kontrrewolucją i spekulacją (tzw. wydział specjalny) istniał w Wilnie i nie można mówić, że próżnował. [...]

Głównym powodem tych niepowodzeń był brak na Litwie mocnej bazy, na której można by się opierać. Robotników przemysłowych prawie nie ma i stanowią mieszaninę narodowościową. Robotnicy rolni – rozproszeni po całym kraju. [...]

Nasze położenie pogorszyła jeszcze ciężka sytuacja aprowizacyjna, skazująca najbiedniejszych mieszkańców Wilna na śmierć głodową. Nie doświadczywszy na własnej skórze wszystkich przyjemności i polskiej, i litewskiej „niezależności", mogli oni marzyć o niej jako o swoim wyzwoleniu[33].

Choć Mickiewicz-Kapsukas miał powody, aby wyolbrzymiać stojące przed nim trudności, jego szczere świadectwo właściwie nie wymaga komentarza. Pokazuje ono, jak nieudolnie bolszewicy poczynali sobie w Wilnie, jak niewielu mieli zwolenników, jak bardzo byli niekonsekwentni i jaki poziom demoralizacji osiągnęła wówczas Armia Czerwona. Miasnikow został zdymisjonowany. Mickiewicz-Kapsukas wycofał się wraz z rządem do Mińska.

Lenin nie posiadał się z oburzenia. Wcześniej bardzo się interesował rozwojem wypadków w Wilnie. Już w grudniu 1918 roku telegrafował do sztabu Zachodniej Armii, żeby „wyzwolić szybciej Wilno"[34]. Teraz zaś rozkazał, aby je niezwłocznie odbić: „Utrata Wilna jeszcze bardziej wzmocniła ententę. Konieczna jest jak najszybsza mobilizacja, abyśmy odzyskali Wilno w możliwie najkrótszym czasie [...]. Ponaglić posiłki, które są już w drodze, i działać bardziej energicznie [...]"[35]. Przez piętnaście miesięcy rozkaz ten pozostał martwą literą.

Jeśli Piłsudski w swojej odezwie przedstawił teorię i długofalowe cele polskiej okupacji, to wojsko dało bezpośredni pokaz praktyki. Aresztowano wszystkich podejrzewanych o związki z Lit-Biełem. Ważniejsi jeńcy bolszewiccy – na przykład Polak Stanisław Berson, komisarz ludowy do spraw narodowościowych w Regionie Zachodnim oraz minister w rządzie Lit-Biela – zostali rozstrzelani.

Polscy mieszkańcy Wilna byli na ogół zachwyceni. Zorganizowali własną radę miejską i po stuletniej przerwie polski uniwersytet. Miejscowi politycy przewidywali powstanie autonomicznego państwa litewskiego, blisko stowarzyszonego z Polską według wzorów dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Polski Sejmik Litwy i Białorusi, lokalne ciało przedstawicielskie, niezwłocznie wysłał swoich delegatów na konferencję pokojową w Paryżu, oczekując pomyślnego załatwienia swojej sprawy.

Nawet wspólnota żydowska – jedyna, obok polskiej, znacząca spo- łeczność wileńska – przyjęła okupację polską z zadowoleniem. Israel Cohen – nieprzyjaźnie nastawiony do Polski brytyjski syjonista, którego artykuły w „The Times" rozpoczęły nagonkę prasową przeciw „polskim pogromom" – przyznał później, że Żydzi wileńscy przyjęli odejście bolszewików z ulgą. Społeczność żydowska była głęboko religijna i konserwatywna. Chociaż spora liczba młodych Żydów rzeczywiście przeszła na stronę bolszewików, to ceną za ten krok było całkowite wyrzeczenie się własnej rodziny i narodu. Żydowskie masy przerażał bolszewicki ateizm, doktryna walki klas i program rusyfikacji oznaczający przymusowe wprowadzenie języka rosyjskiego do miasta, gdzie nie było ani jednego rodowitego Rosjanina[36].

Zdobycie Wilna nie przyniosło dramatycznych konsekwencji militarnych. Sowieci utracili pierwszą linię obrony i musieli wycofać się do Mińska. Wszystkie bolszewickie kontrataki – z Podbrodzia, Oszmiany i Szyrwint – zostały odparte przez zgrupowanie wileńskie generała Rydza-Śmigłego, które w połowie maja osiągnęło jezioro Narocz. W centrum pozycje polskie były osłonięte przez linię dawnych niemieckich okopów oraz Puszczę Nalibocką – bagnistą nieckę w dolinie górnego Niemna. Na południu generał Listowski był przez kilka miesięcy powstrzymywany pod Łunińcem – udało mu się jedynie zająć strategicznie bezwartościowy obszar na południe od Prypeci do linii Styru. Polacy przejęli wprawdzie sieć kolejową, ale bez taboru i odpowiedniej organizacji, dzięki którym dopiero stanowiłaby ona cenny atut. Póki zdobycze nie zostały przetrawione, dalsze natarcie nie miało sensu.

Wczesnym latem 1919 roku życie na Białorusi toczyło się powoli i bez wielkich zakłóceń. Słoneczko przygrzewało, komary dokuczały, a nieprzyjaciel – jak się wydawało – był daleko. Politycy mieli więcej roboty niż żołnierze.

Miasteczko Nieśwież, na przykład, było okupowane przez 1. brygadę bolszewickiej Zachodniej Dywizji – głównie żołnierzy Pułku Lubelskiego, którzy stacjonowali wokół opuszczonego zamku Radziwiłłów. Wnętrze zamku zostało splądrowane przez Rosjan i Niemców, jego skarby sztuki wywieziono do Warszawy, a drzwi zostały zaplombowane przez miejscowy komitet partii komunistycznej; jedynie park i malownicze jeziora świadczyły o spokojnym książęcym życiu w przeszłości. Komisarz 1. brygady, układając w Nieświeżu swój cotygodniowy raport do Centralnego Komitetu Polskiej Partii Komunistycznej, pisał z optymizmem o postępach:

Ludzie są w bojowym nastroju. Wszyscy pragną szybkiego zwycięstwa. Dowództwo, z wyjątkiem paru starych

oficerów [carskich], pracuje jak należy. Broni mamy pod dostatkiem, brakuje tylko smaru. Wyżywienie wystarczające, ale są kłopoty z mięsem. Brakuje mundurów, a zwłaszcza butów.

Robota partyjna przebiega dobrze dzięki towarzyszom z Mińska. We wszystkich oddziałach powstały komórki partyjne. Wśród polskich żołnierzy rozprowadza się komunistyczną literaturę. Rada robotnicza w Nieświeżu odczuwa jednak brak doświadczonych aktywistów do pracy z ludnością miejscową.

W strefie przyfrontowej polscy legioniści palą wsie, których mieszkańcy popierają władzę sowiecką i pomagają naszym żołnierzom. Na przykład puścili z dymem parę zagród w Kamionce. Kiedy chłopi z tej wsi biegli ratować swój dobytek, nieprzyjaciel ostrzelał ich z karabinów maszynowych.

Ogólnie nastroje w brygadzie są dobre; skuteczne odpieranie wroga na naszym odcinku dowodzi, że brygada spełni swój obowiązek[37].

Mniej optymistyczny pogląd wyraził Julian Marchlewski, który w połowie lipca spędził trzy dni na tym samym terenie:

Nastrój żołnierzy bodaj nie najgorszy, a częściowo nawet rwą się do boju, lecz kierownictwo ponoć szwankuje (właśnie przy mnie był wypadek, że 50 legionistów napadło na naszych, zaskoczyli śpiących, rozbili, zabrali im 3 kulomioty, sporo jeńców). Ogólnie mam wrażenie, że ta armia rady sobie z Polakami nie da. Jeżeli nie przyślą jej posiłków – przede wszystkim artylerii i konnicy – to prawdopodobnie będą musieli cofnąć się z Mińska, a gdzie się zatrzymają – nie wiadomo. Wobec tego deklamacje takiego Leszczyńskiego o potrzebie „wojny rewolucyjnej" są wprost śmieszne. [...]

Fatalne wszakże, że zdarzają się zdrady: w tych dniach uciekło dwu komendantów batalionów na tamtą stronę; jeden z nich ukradł przy tym kasę batalionu – kilkadziesiąt tysięcy rubli – drugi zabrał z sobą paru żołnierzy, obaj Polacy. Takie zdrady pewnie są nieuniknione wobec tego właśnie, że tu Polacy stają przeciw Polakom[38].

Armia Zachodnia czyniła poważne wysiłki, aby usprawnić rekrutację i podnieść poziom kadry oficerskiej. Zachodnia Dywizja miała oficjalne biura werbunkowe aż w Orenburgu, Samarze i Astrachaniu, a także konspiracyjnych oficerów werbunkowych w samej Polsce.

W lipcu pierwsza partia kadetów opuściła progi nowej Szkoły Czerwonych Dowódców Zachodniej Dywizji w Mińsku. Znalezienie oficerów – czy raczej „komendantów", jak ich nazywano – dla armii proletariackiej nie było łatwym zadaniem. Osiemdziesiąt procent kadry stanowili dawni oficerowie i podoficerowie carscy, których poddano na nowo szkoleniu i indoktrynacji. Ich przysięga, złożona podczas końcowej defilady, brzmiała następująco:

1. Ja, syn ludu pracującego, obywatel Republiki Rad, przybieram miano żołnierza armii robotniczej.
2. Wobec klas pracujących Rosji i świata całego zobowiązuję się nosić miano to z godnością, doskonalić się w sztuce wojskowej i jak źrenicy oka strzec majątku ludowego i wojskowego od grabieży i zepsucia.
3. Zobowiązuję się surowo i bezwzględnie przestrzegać dyscypliny rewolucyjnej i bez słowa protestu wykonywać wszelkie rozkazy dowódców, uwierzytelnionych przez władzę robotników i włościan.
4. Zobowiązuję się wstrzymywać się sam, jako też powstrzymywać towarzyszy swych od postępków, które uwłaczać i poniżać by mogły godność obywatela Republiki Rad, wszystkie zaś swe czyny i myśli skierowywać ku jednemu celowi: wyzwolenia wszystkich proletariuszy.
5. Zobowiązuję się na pierwsze wezwanie rządu robotniczo-włościańskiego bronić Republiki Rad od wszelkich niebezpieczeństw i zakusów ze strony wszystkich jej wrogów i walczyć w imię Republiki Rad za sprawę socjalizmu i braterstwa ludów, nie szczędząc sił swych ani życia.
6. Jeśli złą wolą powodowany, złamię niniejsze me zobowiązanie uroczyste, niech mnie spotka pogarda ogólna, ukarze mnie sroga ręka prawa rewolucyjnego[39].

Na defiladzie była obecna większość dygnitarzy Lit-Bieła. Przemówienia wygłosili: generał Łągwa, jego nowy komisarz Nikitin, komisarz do spraw oświaty Szeryński, Leński z ramienia Polskiego Biura partii bolszewickiej oraz Bobiński – polski członek Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad. Leński mówił o

wychowaniu „kierowniczych kadr Armii Czerwonej proletariatu polskiego". „Kadr ten [*sic!*] – powiedział – bić się i dowodzić będzie wszędzie tam, dokąd powoła go rewolucja międzynarodowa. Każdy bowiem z naszych czerwonych oficerów zdaje sobie sprawę, że tylko zwycięstwo tej rewolucji powołać może do życia Polskę robotniczą". Bobiński przemawiał z równą otwartością. Pozdrowił komendantów jako „stalową broń dyktatury proletariatu polskiego, dzieci rewolucyjnej Warszawy, która dziś boryka się z szalejącą kontrrewolucją. Wy, czerwoni dowódcy polscy – oświadczył – macie pójść na pomoc Polsce robotniczej, na spotkanie walczącej braci". Bez względu na intencje bolszewickich przywódców na tym etapie wydarzeń nie ma wątpliwości co do tego, jaką przyszłą rolę wyznaczyli Zachodniej Dywizji polscy przywódcy komunistyczni[40].

Armia polska zaakceptowała samorzutny antrakt w walce. Przerwa wielkanocna odpowiadała jej zamiarom. Również Polacy umacniali swoje tyły, ale nie przez zakładanie komórek partyjnych i budowanie rewolucyjnych kadr, tylko przez konsolidację Zarządu Cywilnego na Ziemiach Wschodnich (ZCZW). Obejmował on trzy okręgi: wileński, brzeski i wołyński. Jego program odzwierciedlał ideały ochotniczej Straży Kresowej, lecz w praktyce Zarząd znajdował się w rękach właścicieli ziemskich, którzy traktowali go niemal jako agencję zajmującą się eksportem drewna i lnu. Zaczął odżywać handel i pokojowa praca.

Wojenny antrakt przedłużał się dzięki skomplikowanej sytuacji na innych frontach. W momencie utraty Wilna Rosja sowiecka starała się przetrwać kryzys wojny domowej. 2. Armia wyparta w lutym z Estonii okopała się na przedmieściach Piotrogrodu, oczekując na natarcie Judenicza. 7. Armia, która w styczniu ustanowiła władzę sowiecką na Łotwie, została wypędzona z Rygi i teraz walczyła o przetrwanie. 12. Armia, która w lutym odebrała Kijów z rąk Dyrektoriatu, teraz musiała się bronić przed coraz śmielszymi atakami Denikina. Kołczak szykował się do przekroczenia Uralu. Sowieci zostali ściśnięci żelazną dłonią, a front zachodni był najwyżej knykciem jej najmniejszego palca.

Także Polacy mieli swoje kłopoty. Zdobycie Wilna podrażniło ambicje litewskiego rządu narodowego w Kownie. Chociaż w owym czasie w Wilnie mieszkało niewielu Litwinów, to Vilnius – jak nazywali to miasto – był historyczną stolicą Litwy; nacjonaliści nie mogli się pogodzić z jego utratą. Wybuchły walki, a jakiekolwiek próby negocjacji musiały spalić na panewce. Linia Focha z 27 lipca pozostawiała Wilno po stronie polskiej. Sierpniowe powstanie polskie w Sejnach oraz poparcie Piłsudskiego dla puczu w Kownie odebrały Litwinom ochotę do negocjacji, jeśli takową w ogóle mieli. Po utracie niemieckich patronów, którzy w lipcu wycofali swoje ostatnie jednostki do Prus Wschodnich, Litwini szukali pocieszenia u Sowietów. Pakt między Litwinami a bolszewikami stał się trwałym zagrożeniem.

Na południu Polacy walczyli z Ukraińcami na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Kampania wołyńska była skromnym przedsięwzięciem: brało w niej udział 5 tysięcy żołnierzy polskich, którzy posuwali się od strony Chełma w głąb terytorium Dyrektoriatu; trwała od grudnia 1918 do maja 1919 roku. Natomiast kampania galicyjska była sprawą poważną – w tym czasie stanowiła główne zadanie armii polskiej. Chodziło tu o spór z tak zwaną Zachodnioukraińską Republiką Ludową o Lwów oraz o bogaty region, którego miasto to było stolicą. Ukraińcy, którzy stanowili większość na prowincji, ale nie w samym Lwowie, zajęli miasto jako swoją własność. Trzeba było dziewięciu miesięcy, by ich stamtąd wyprzeć. Kampania weszła w fazę kulminacyjną w kwietniu – równolegle do

operacji w Wilnie, kiedy to armia generała Hallera przybyła z Francji. Lecz dopiero w lipcu Polacy dotarli nad Zbrucz i mogli spocząć na laurach.

Upadek ukraińskiej państwowości – najpierw Dyrektoriatu, a potem „Zachodniej Ukrainy" – miał istotny wpływ na charakter wojny polsko-bolszewickiej. W miarę jak niepodległe państwa ukraińskie były od zachodu i od wschodu nieubłaganie pozbawiane przestrzeni życiowej, Polacy i Sowieci automatycznie się do siebie zbliżali. Do nowego, bezpośredniego kontaktu doszło na Wołyniu w maju – pod Kowlem, a w Galicji Wschodniej w lipcu – nad Zbruczem. Front polsko-bolszewicki, który początkowo liczył jakieś 500 kilometrów na Białorusi, stopniowo wydłużał się w poprzek Ukrainy do granicy z Rumunią, aż osiągnął ponad 800 kilometrów. Podwojenie długości frontu zrodziło zupełnie nowe problemy strategiczne i logistyczne, których nie można było rozwiązać w jeden dzień. Od lipca stało się jasne, że pierwsza runda konfliktu dobiega końca. Było również oczywiste, że jeśli nastąpi runda druga, to wojna utraci swój lokalny charakter i przerodzi się w starcie globalne, podczas którego dalsza egzystencja Rosji sowieckiej i Rzeczypospolitej Polskiej zawiśnie na szali. Dlatego obie strony się wahały.

Przed ogłoszeniem przerwy polskie Naczelne Dowództwo chciało jednak zadać jeszcze jeden cios. Gdyby Polakom udało się złamać sowiecką Zachodnią Dywizję, Armia Czerwona nie mogłaby się skutecznie przegrupować podczas rozejmu. Ponadto Zachodnia Dywizja była w ich przekonaniu gniazdem żmij, którym należało wyrwać zęby jadowe. A zatem uderzenie spadło na Mińsk.

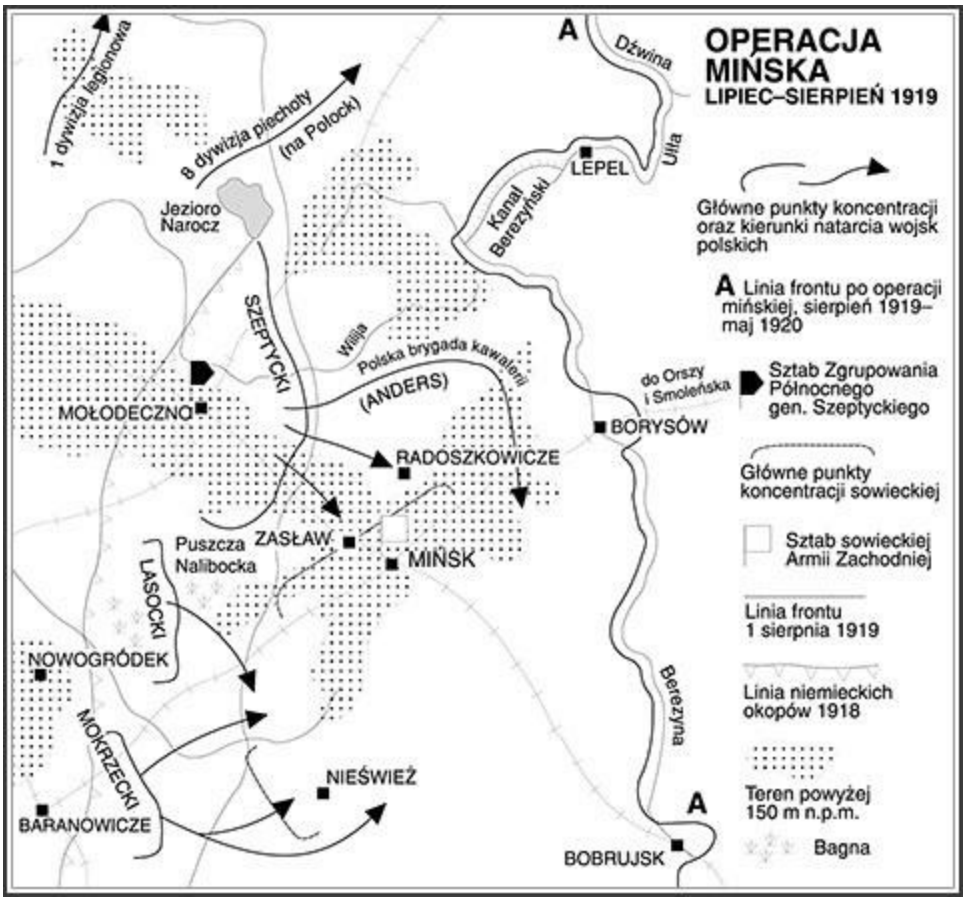

Zdobycie Mińska miało dobre uzasadnienie strategiczne, gdyż stanowił on centrum kolejnej rokadowej sieci kolejowej. Przejęcie kontroli nad linią Połock-Mołodeczno-Mińsk-Łuniniec oznaczałoby odebranie bolszewikom głównego narzędzia umożliwiającego zebranie rozproszonych wojsk. Na początku lipca rozpoczęto ofensywę w tym kierunku od

wzięcia Mołodeczna.

W lipcu generał Szeptycki, nadal dowodzący Zgrupowaniem Północnym, otrzymał posiłki. Składały się one zasadniczo z Armii Poznańskiej, którą ze służby na zachodzie zwolnił niemiecki podpis pod traktatem wersalskim. W jej skład wchodził sławny 15. (Poznański) Pułk Ułanów dowodzony przez podpułkownika Władysława Andersa. W sumie generał Szeptycki miał do dyspozycji 12 tysięcy piechoty, 2 tysiące kawalerii i 40 dział, nie licząc wsparcia, które mógł otrzymać ze Zgrupowania Południowego.

Do najcięższego starcia musiało dojść na wzgórzach na północy zachód od Mińska. Z myślą o nim Szeptycki skoncentrował w Mołodecznie 1. Dywizję Piechoty wraz z Armią Poznańską. Aby ułatwić tym wojskom zadanie, zaplanowano wzięcie pozycji bolszewickich w szerokie kleszcze, atakując je po obu końcach. Jedno ramię, złożone z brygady kawalerii, miało przeprowadzić atak na północ poprzez wzgórza. Drugie ramię, składające się ze zgrupowania generała Mokrzeckiego, miało na południu natrzeć na flankę Dywizji Zachodniej w Nieświeżu. W centrum generał Lasocki miał wyprowadzić natarcie z Puszczy Nalibockiej.

Bitwa wrzała przez pierwszy tydzień sierpnia. Jej rezultat był w zasadzie przesądzony od momentu, kiedy polska kawaleria odcięła linię kolejową za Mińskiem, uniemożliwiając uzupełnienie obrony o znaczące posiłki. Anders zaszedł miasto od tyłu, pokonując 80 km, i złapał w zasadzkę ostatni uciekający pociąg. Armia Czerwona stawiła opór w Radoszkowiczach, mając za plecami łańcuch Wzgórz Mińskich. Poniosła duże straty. Pod koniec tygodnia, 8 sierpnia, Mińsk padł, a bolszewicy ruszyli na wschód – w pełnym odwrocie. Morał był jasny: na Kresach opłaca się atak wszystkimi siłami; obrona – bez względu na jej heroizm – zawsze może zostać oskrzydlona.

Bolszewicka Armia Zachodnia wycofała się z tego obszaru za Dźwinę na północy i za Berezynę na wschodzie. Na tych pozycjach miała pozostać niemal dziewięć miesięcy. Polska 1. Dywizja pognała nad Dźwinę i przez rzekę mogła oglądać Dźwińsk (Dyneburg); 8. Dywizja stanęła pod Połockiem; 2. Dywizja Legionowa doszła do Borysowa; Poznaniacy zajęli starą twierdzę w Bobrujsku; generałowie Lasocki i Mokrzecki połączyli siły i także poszli nad Berezynę.

Triumf Zgrupowania Północnego, niczym wstrząs elektryczny, przeniósł się w dół frontu. Zgrupowanie Południowe, dowodzone teraz przez generała Władysława Sikorskiego, przełamało upartą obronę Łunińca. Generał Listowski, który przejął dowodzenie nad Frontem Wołyńskim, zdobył Krzemieniec i Równe. W Galicji Wschodniej generał Iwaszkiewicz, stojący już na prawym brzegu Zbrucza, oczyścił swoje północne skrzydło i w ten sposób uzyskał połączenie z Listowskim.

Pod koniec sierpnia wojsko polskie dotarło do linii, której Piłsudski zabronił przekraczać. Wszystkie trzy miasta Kresów – Wilno, Mińsk i Lwów – a także obszary zamieszkane przez ludność polską były bezpieczne. Piłsudski, mimo romantycznych marzeń, nie był tak nierozważny, aby za przykładem Napoleona pójść na Moskwę jesienią.

Tak czy inaczej, kolejna runda wojny polsko-bolszewickiej nie miała politycznego sensu. Żadna ze stron nie była zainteresowana podbojem większego obszaru Kresów dla niego samego. Bolszewicy nadal byli uwikłani w wojnę domową, tym razem przede wszystkim z Denikinem, który w odróżnieniu od Piłsudskiego chciał naśladować Napoleona. 19 września Denikin zdobył Kijów i kontynuował natarcie. Piłsudski, który odgrodził swoje ukochane Wilno od Sowietów pasem szerokości ponad dwustu kilometrów, był gotów do rozmów. Nastał czas tajnej dyplomacji, którą Piłsudski lubił najbardziej.

---

[7] A. Deruga, *Polityka wschodnia Polski wobec ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy (1918- 1919)*, Warszawa 1969, rozdz. 5.

[8] *Bor'ba za sowietskuju wlast' w Litwie w 1918-20 gg.*, Instytut Historyczny Akademii Nauk Litewskiej SRR, Wilno 1967; dokument nr 1, 16.12.1918.

[9] Polska Akademia Nauk, Akademia Nauk ZSRR, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, red. N. Gąsiorowska-Grabowska i I.A. Chrienow, tom II (1961), tom III (1964), tom IV (1969), Warszawa. W dalszym ciągu: *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 68.

[10] Np. T. Komarnicki, *The Rebirth of the Polish Republic*, London 1957, s. 445.

[11] *Diriektiwy Gławnogo Komandowanija Krasnoj Armii 1917-20*, zbiór dokumentów, Moskwa 1969, nr 133. W

dalszym ciągu: *Diriektiwy...*

[12] Tamże, nr 153, 311.

[13] Pierwszy rozkaz z 16.11.1918, tamże, dotyczył rozpoznania do Połocka, Borysowa i Homla; rozkaz z 10.12.1918 (tamże, nr 147) – do Wilna, Lidy i Mozyrza.

[14] *Dokumenty i materiały...*, t. II, s. 98, przyp. 7.

[15] Deruga, dz. cyt., s. 144.

[16] *Dokumenty i materiały...*, t. I, nr 286 z 29.10.1918.

[17] Tamże, t. II, nr 20 z 4.12.1918, nr 30 z 22.12.1918.

[18] Tamże, nr 37 z 30.12.1918.

[19] Tamże, nr 49 z 8.01.1919.

[20] Tamże, t. II, s. 172.

[21] I. Babel, *Po bitwie*, w: tenże, *Portret własny*, tłum. J. Pomianowski, Bydgoszcz 1994, s. 251.

[22] List Kazimierza Karskiego z 1. Pułku Ułanów Krechowieckich z 5.08.1920. „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59, s. 240.

[23] I. Babel, *Pryszczepa*, w: tenże, dz. cyt., s. 212.

[24] N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925, s. 7; *Diriektiwy...*, s. 157-158.

[25] *Diriektiwy...*, nr 310 i 311.

[26] T. Sariusz-Bielski, *Wspomnienia z wymarszu 1. Dywizji Kawalerii na Ukrainę w 1920 roku*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59, s. 192-196.

[27] Lazare Nicolas Carnot (1753-1823), zwany Wielkim. Organizator armii rewolucyjnych w latach 1793-1795 (przyp. tłum.).

[28] W. Chocianowicz, *Dzieje 1. Pułku Artylerii Lekkiej Legionów Józefa Piłsudskiego*, rozdz. 1, Londyn 1967; J. Stachowicz, *Pociągi pancerne w wojnie 1919-1920*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59, s. 177-180.

[29] *Diriektiwy...*, nr 336, przyp. 74, s. 802.

[30] Biuro Akt Publicznych Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Londyn, 417/8/64.

[31] *Bor'ba za sowietskuju własť w Litwie...*, dz. cyt., dokumenty nr 53, 76, 79, 97, 98, 100, 140, 166, 167, 174, 177, 185, 204; *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 217.

[32] J. Piłsudski, *Pisma wybrane*, Londyn 1943, s. 51.

[33] „Izwiestia", Moskwa, 8.05.1919, w: *Dokumenty i materiały*, t. II, Dodatek VI, s. 771-773.

[34] W.I. Lenin, *Korespondencja wojenna, 1917-20*, Warszawa 1958, s. 158, cyt. za: A. Deruga, dz. cyt., s. 125.

[35] *Diriektiwy...*, nr 316.

[36] I. Cohen, *Vilna*, Philadelphia 1943, s. 358-388.

[37] A.F. Chackiewicz, *Polskije intiernacjonalisty w bor'bie za własť sowietow w Biełorusii*, Mińsk 1967, s. 92-93.

[38] W. Gostyńska, *Materiały archiwalne o tajnych rokowaniach polsko-radzieckich [...] czerwiec-lipiec 1919*, dokumenty nr 9 i 10 – listy do żony, w: „Z dziejów stosunków polsko-radzieckich" 1969, t. 4, s. 161-162.

[39] *Dokumenty i materiały...*, t. II, s. 786.

[40] Tamże, Dodatek XI.

Galeria

Polscy dowódcy

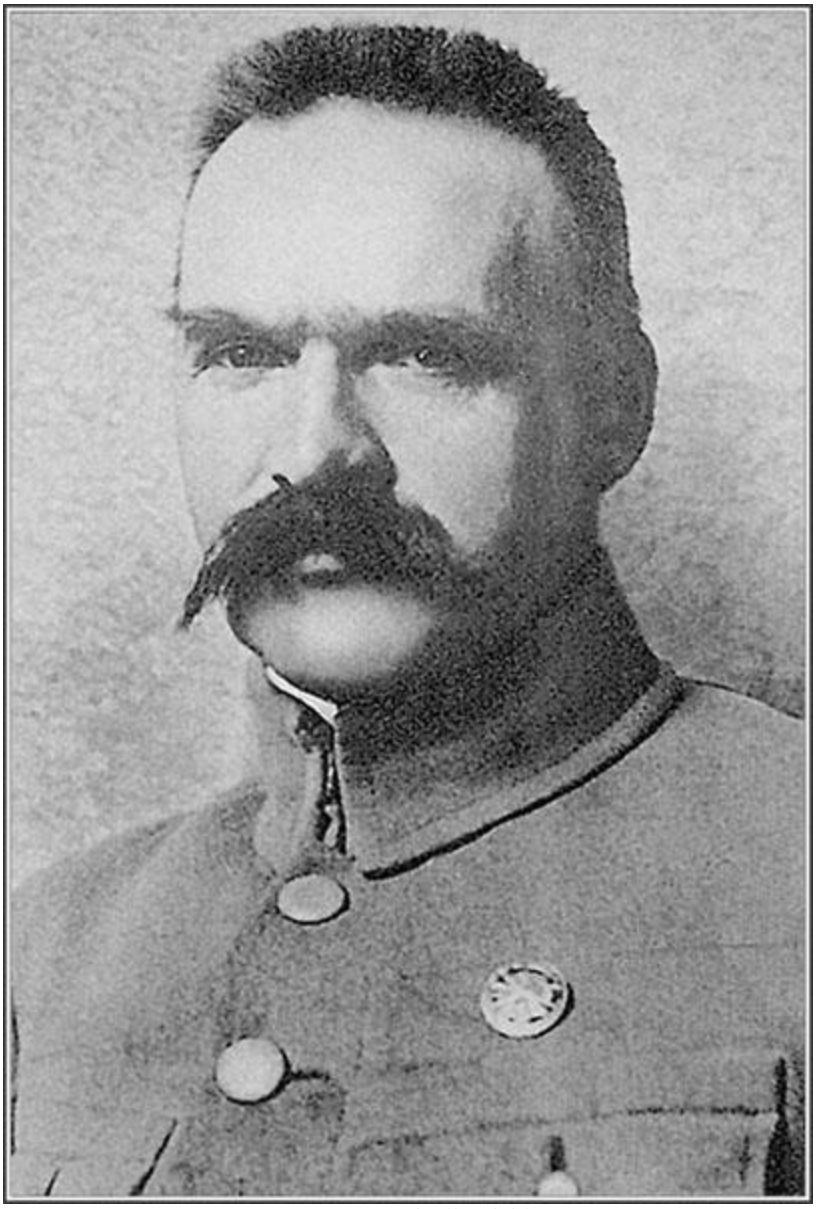

1. Józef Piłsudski

2. Kazimierz Sosnkowski

3. Józef Haller

4. Lucjan Żeligowski

Galeria

Sowieccy dowódcy i przywódcy

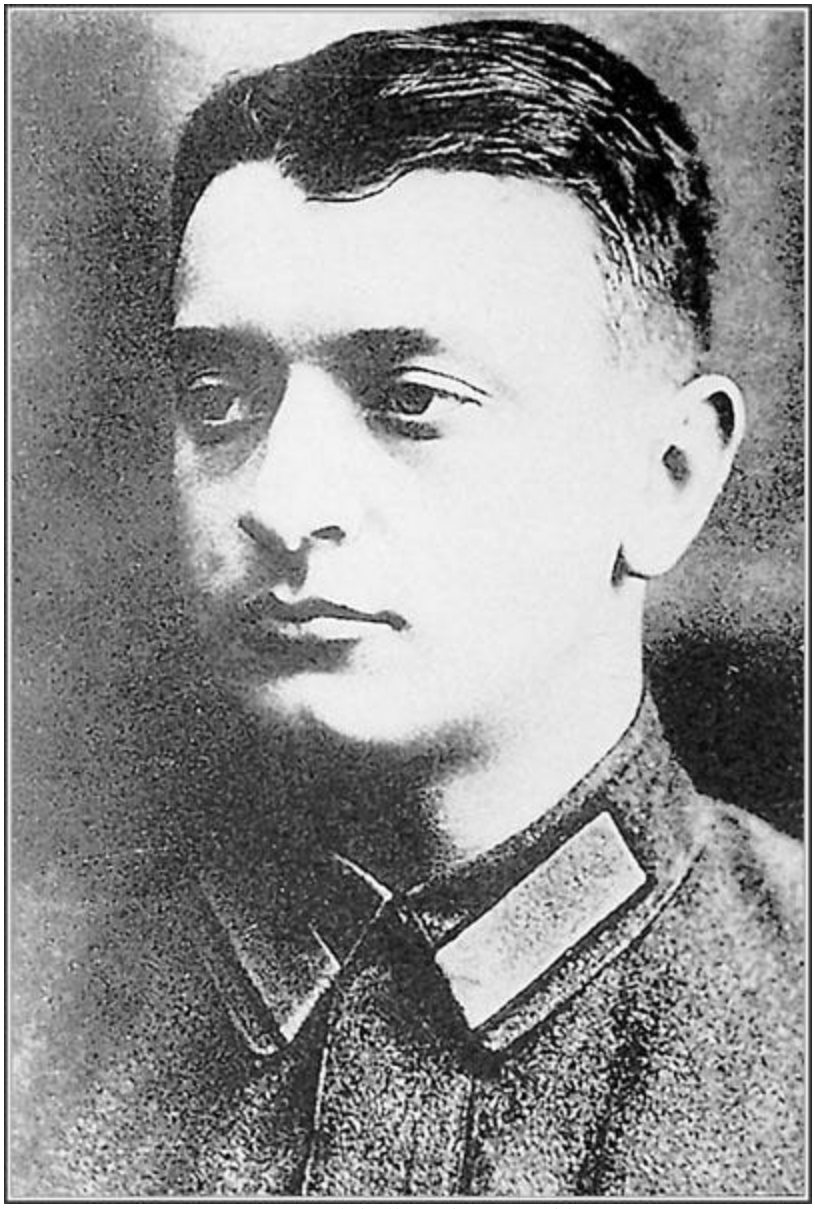

5. Michaił Tuchaczewski

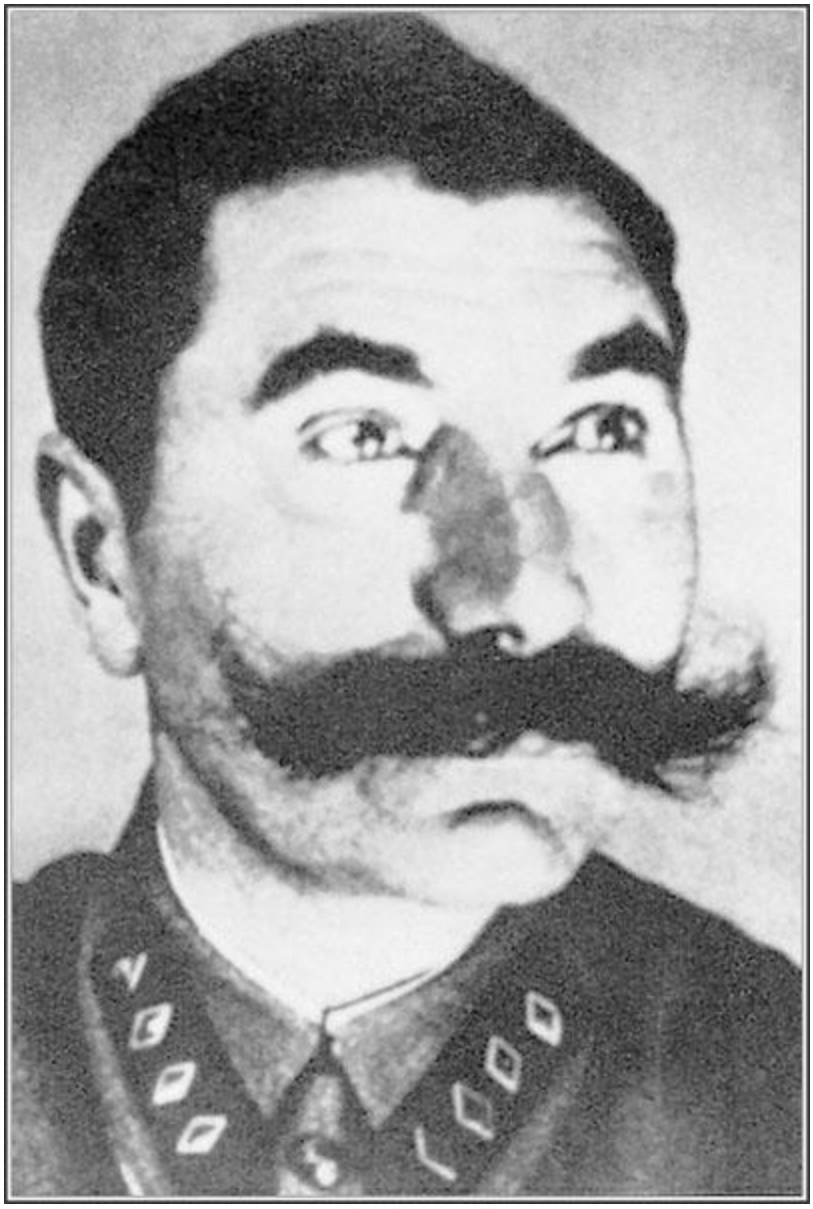

6. Siemion Budionny

7. Aleksandr Jegrow

8. Gaj Dimitrijewicz Gaj

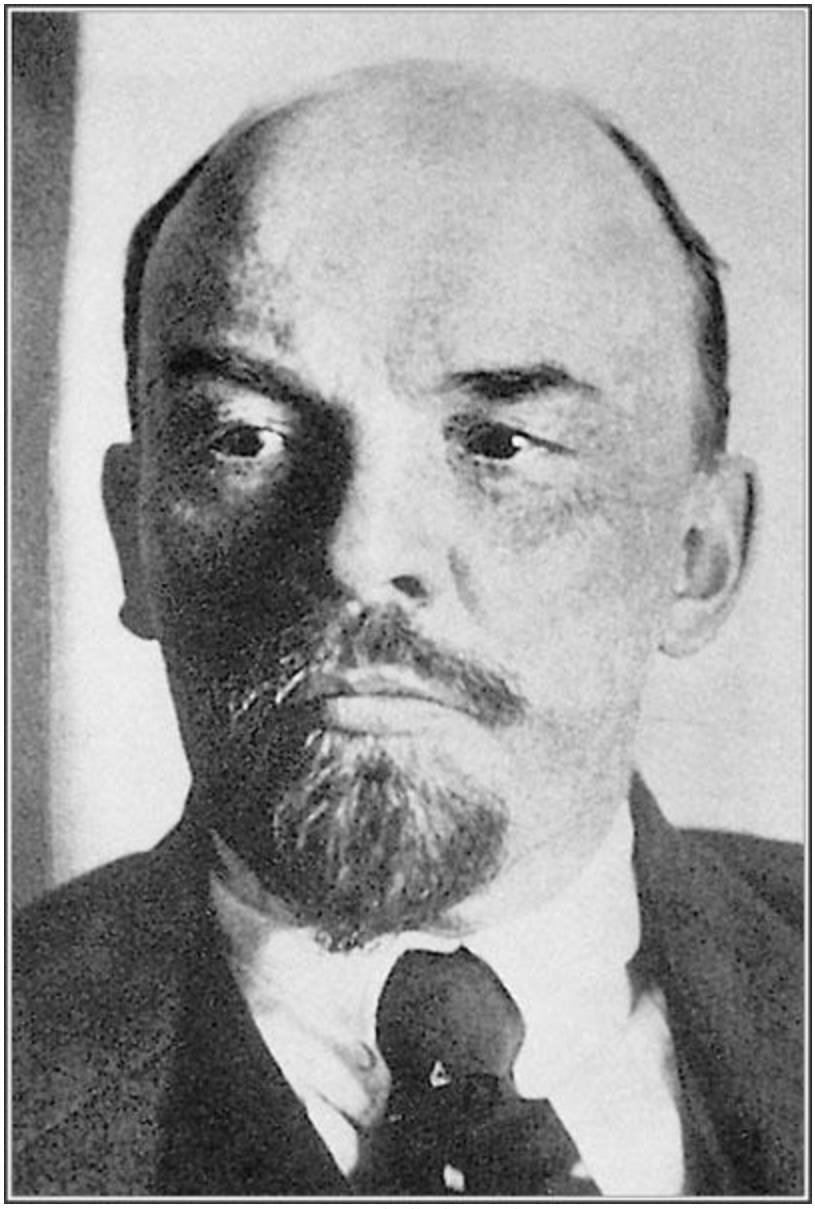

9. Władimir Lenin

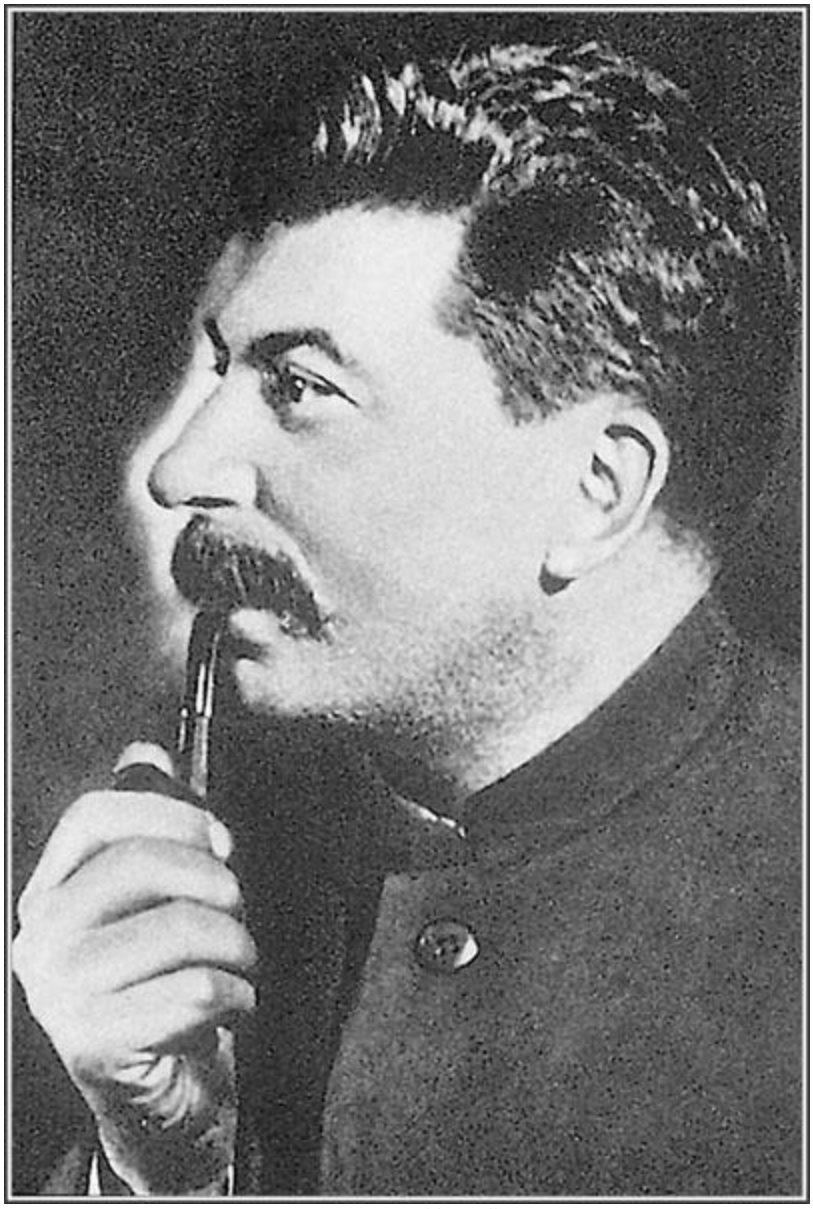

10. Josif Stalin

11. Lew Trocki

12. Karol Radek

Galeria

Osobistości polityki europejskiej

13. Alexandre Millerand, premier Francji

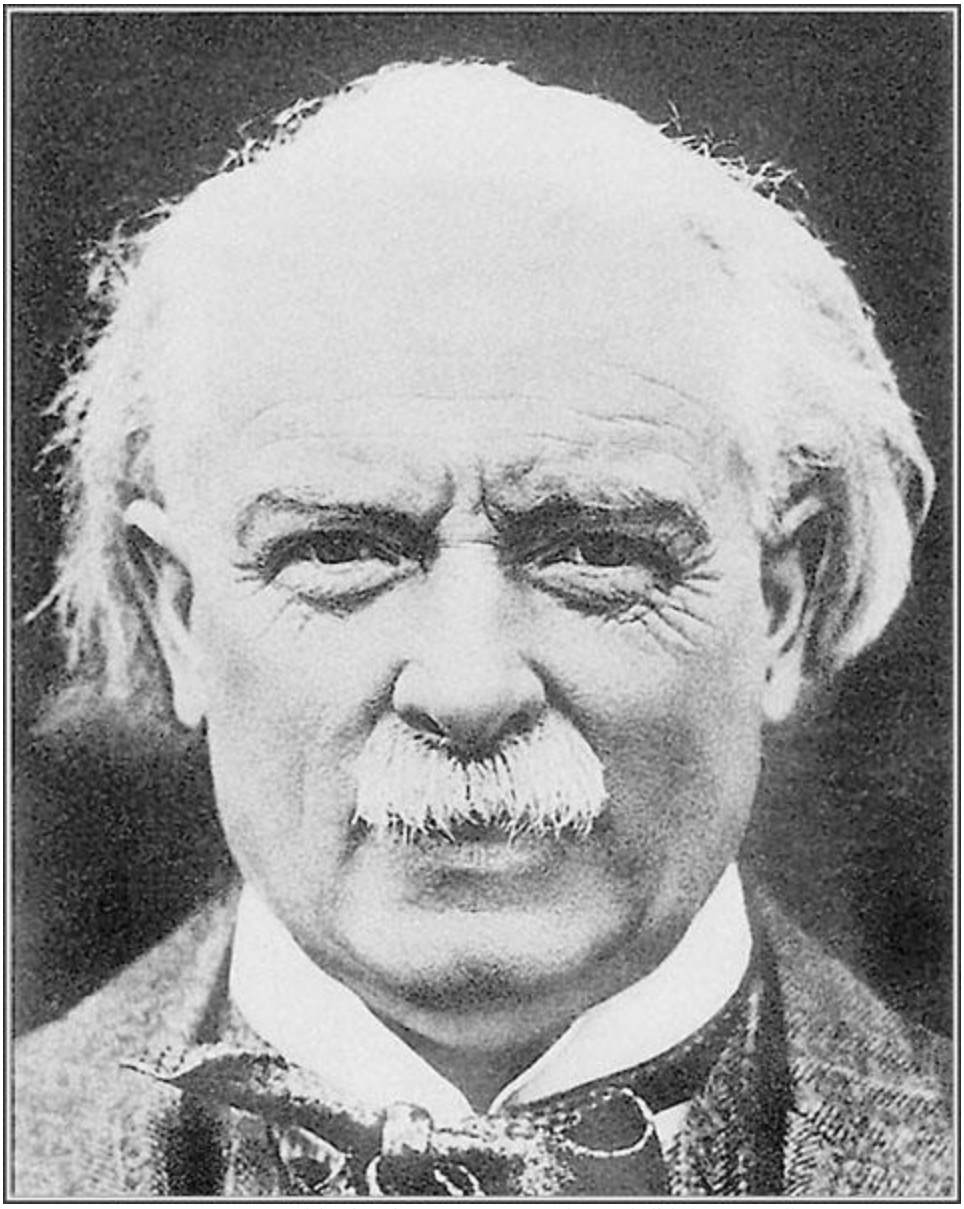

14. David Lloyd George, premier Wielkiej Brytanii

15. Arcybiskup Achille Ratti, nuncjusz papieski, późniejszy papież Pius XI

16. Major Charles de Gaulle

Galeria

Rok 1919
Początek wojny

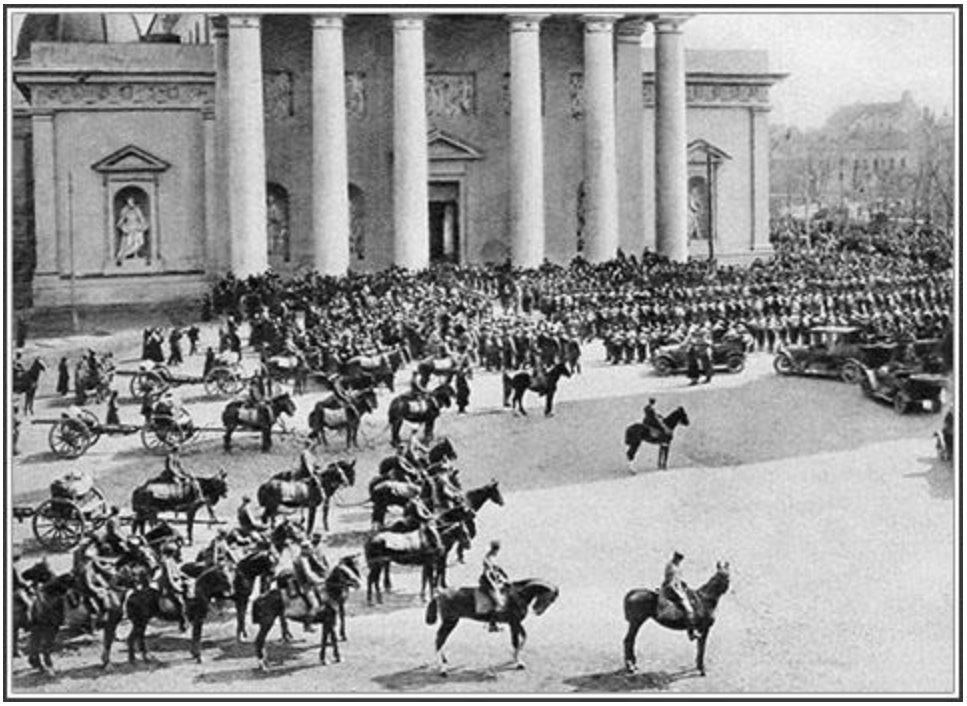

17. Wkroczenie wojsk polskich do Wilna, piechota i kawaleria na placu przed katedrą św. Stanisława, kwiecień 1919 r

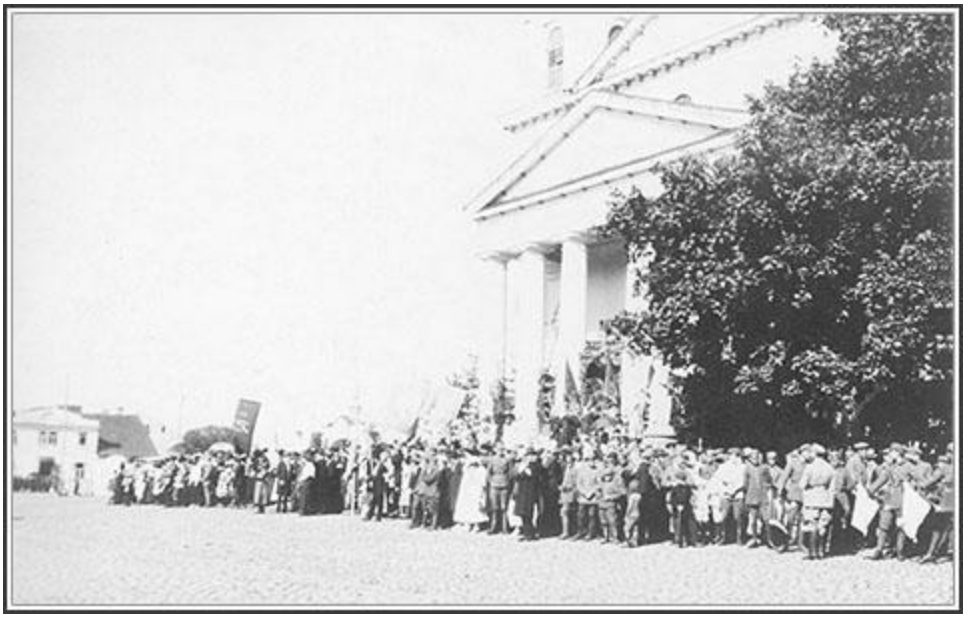

18. Przed wejściem do katedy wileńskiej, w czasie uroczystości z okazji wkroczenia wojsk polskich, kwiecień 1919 r.

19. Pociąg pancerny zdobyty pod Bobrujskiem przez 14. Dywizję Piechoty, 1919 r.

20. Uroczystości religijne w Suwałkach po walkach polsko-litewskich, 1919 r.

21. 14. Pułk Ułanów zajmuje Zasław na Wołyniu, 1919 r.

22. Kolumna jeńców sowieckich, 1919 r.

23. Polska kobieca obsługa karabinu maszynowego, 1919 r.

24. Okopy polskie na froncie nad rzeką Prypeć, 1919 r.

Rozdział drugi
ZIMA STRACONYCH ZŁUDZEŃ

Józef Klemens Giniatowicz-Piłsudski był bez wątpienia główną postacią wojny polsko-bolszewickiej. Jego krytycy powiedzieliby, że była jego prywatną awanturą. Jako Naczelnik Państwa oraz wódz naczelny miał na nią bezpośredni wpływ polityczny i wojskowy. Żaden z przywódców po stronie bolszewickiej nie mógł poświęcić tej wojnie równie wiele osobistej uwagi ani nie dysponował tak wyłączną władzą.

W pierwszych miesiącach wojny Piłsudskiego można było czasem zobaczyć w małej restauracji w Warszawie, kiedy po całym dniu pracy w Belwederze spożywał późno wieczorem skromną kolację. Zajmował miejsce przy stoliku w kącie, w cieniu, jadał samotnie. Był ubrany w wytarty, pozbawiony dystynkcji mundur z wysokim zapinanym kołnierzem. Jego stalowosiwe włosy były ostrzyżone krótko i podgolone na pruską modłę; twarz koścista i zapadnięta; cera – zatrważająco blada. Opadające sarmackie wąsy pogłębiały jeszcze wrażenie tajemniczości. Najbardziej jednak przykuwały uwagę jego oczy. Nikt, kto go spotkał, nie omieszkał potem wspomnieć o jego szaroniebieskich oczach. Głęboko osadzone, wąskie, skupione i przenikliwe były nieomylnym znakiem wewnętrznego ognia, który go trawił.

Osobowość Piłsudskiego została ukształtowana latami życia zbuntowanego i pełnego niebezpieczeństw. Ten Litwin wychowany w polskiej kulturze urodził się w 1867 roku w rodzinie ziemiańskiej, która chlubiła się szkockimi przodkami – zwolennikami katolickiego króla Jakuba II. Edukację pobierał w carskim gimnazjum w Wilnie, lecz od młodości przyświecały mu ideały polskiego romantyzmu i patriotyzmu. Chociaż dorastał w atmosferze zniechęcenia i rozpaczy, która zapanowała w kraju po upadku powstania styczniowego, to od wczesnych lat przeciwstawiał się całą mocą ducha defetyzmowi współczesnych – stąd jego samodyscyplina, milkliwość, fundamentalna samotność. Wszystkie siły witalne poświęcił walce z absolutyzmem i przemocą Rosji – stąd konspiracyjne nawyki, podejrzliwość, wyszkolenie wojskowe i zbójeckie metody. Przez dwadzieścia lat Piłsudski był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. W latach 1905-1907 – w okresie rewolucyjnych strajków – stał się być może jej najaktywniejszym działaczem. Lecz po roku 1907, kiedy działania rewolucyjne nie były już możliwe, jego entuzjazm dla socjalizmu przygasł. Coraz bardziej zwracał się w stronę organizacji paramilitarnych, takich jak Związek Walki Czynnej Sosnkowskiego w zaborze austriackim. Jego Związki Strzeleckie ukrywały rzeczywiste intencje polityczne pod przejrzystym pretekstem krzewienia sportu. W roku 1912 Związki Strzeleckie zostały oficjalnie uznane przez cesarsko-królewską armię i przeprowadziły w Tatrach pełne manewry. Dowództwo nad Legionami postawiło Piłsudskiego na czele polskiego ruchu niepodległościowego, pchnęło go w wir polityki, zmusiło do udziału w kampaniach na froncie wschodnim wojny światowej, zaprowadziło w 1917 roku do niemieckiego więzienia w Magdeburgu, a

wreszcie wyniosło go – w pięćdziesiątej drugiej wiośnie życia – na pozycję jedynego i niekwestionowanego przywódcy odrodzonej Polski. Kiedy pod koniec 1918 roku jego dawni koledzy socjaliści zwrócili się do niego z prośbą o polityczne poparcie, podobno odparł: „Towarzysze, jechałem czerwonym tramwajem socjalizmu aż do przystanku «Niepodległość», ale tam wysiadłem. Wy możecie jechać do stacji końcowej, jeśli potraficie, lecz teraz przejdźmy na «pan»!". Nawet jego najbliżsi współpracownicy nie wiedzieli, co Piłsudski naprawdę myśli. Wiedzieli tylko, że oczekuje od nich posłuszeństwa.

Przekorny los sprawił, że rewolucyjna przeszłość Piłsudskiego była równie bez zarzutu jak najlepszych bolszewików. W dorosłe życie wszedł w wieku lat dwudziestu, kiedy otrzymał wyrok pięciu lat zesłania na Sybir (w pobliżu jeziora Bajkał): jego brat Bronisław był zamieszany w nieudaną próbę zamachu na cara Aleksandra III (za udział w tym spisku starszy Uljanow zapłacił głową). Później Piłsudski został pierwszym redaktorem i wydawcą „Robotnika" – socjalistycznej „bibuły". W latach 1896-1905 spędził pewien czas na emigracji w Londynie; w roku 1900 został aresztowany; kilka miesięcy przebywał w rosyjskim szpitalu psychiatrycznym, symulując chorobę umysłową, aby uniknąć wysokiego wyroku za działalność konspiracyjną. Ze szpitala udało mu się uciec. 20 września 1908 roku wziął udział w napadzie na pociąg pocztowy w Bezdanach koło Wilna, który przyniósł „sprawie" dwieście tysięcy rubli srebrem. Życie w konspiracji wydobyło zeń rys bezwzględności. Powiedział kiedyś swojemu dawnemu towarzyszowi, socjaliście:

> Niech inni bawią się w hodowanie kwiatków czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja nie mogę. [...] Chcę zwyciężyć! [...] Ostatnią moją ideą [...] jest konieczność wytworzenia w każdej partii, a w tym i w naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu humanitarystów określenia, [...] przemocy brutalnej. I przyrzekłem sobie, że albo zrobię swoje, albo zginę[41].

Jako dziennikarz przekwalifikowany na wodza armii mógł konkurować z Trockim; jako zawodowy przestępca dorównywał Stalinowi; jako młodzieniec z dobrego domu występujący w roli działacza partyjnego miał coś wspólnego z Leninem. Chociaż brakowało mu intelektualnej ogłady tych bolszewików, nie ustępował im w niczym pod względem zaangażowania czy skuteczności działania.

Nie można powiedzieć, że Piłsudski był lubiany. Legioniści – tak jak wielu zwykłych patriotów, którzy nigdy go nie spotkali – go uwielbiali. Politycy, którzy musieli podziwiać jego niezłomność w dążeniu do celu, szanowali go i się lękali. Dyplomaci mieli mu za złe, że jest niewrażliwy na życzenia ich rządów. Przedstawiciele aliantów uważali go za impertynenta. Francuscy oficerowie byli zdumieni, że potraktowano ich w Polsce niczym najemników. Zdaniem sir Horace'a Rumbolda, brytyjskiego ambasadora w Polsce, Piłsudski był „największym człowiekiem w tej części Europy [...] niekwestionowanym przywódcą tego kraju [...] hazardzistą, konspiratorem, ciekawym przypadkiem, anachronizmem; człowiekiem wprawdzie nie wielkim, ale nietuzinkowym, który przez jakiś czas będzie kierował losami tego narodu"[42]. Rumbold porównał go – zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru – do lorda Kitchenera. Piłsudski nie miał dobrej prasy za granicą. Na Zachodzie postrzegano jego życiorys jako możliwie najgorszy przykład ewolucji: od radykała do szowinisty; w Rosji zaś traktowano go jako renegata, który porzucił obóz rewolucji. Jego silna osobowość budziła uwielbienie lub nienawiść, nigdy

sympatię.

Kiedy historyk chce zrozumieć przebieg wypadków w drugiej fazie wojny polsko-bolszewickiej, jego ocena postaci Piłsudskiego musi odegrać w tej interpretacji rolę pierwszoplanową. W fazie pierwszej indywidualne zamysły i wielka strategia nie były zbyt istotne, jednakże o następnych posunięciach decydowały już nie wydarzenia na froncie, ale instynkt Naczelnika.

Piłsudski oparł swoją ocenę sytuacji na założeniu, że wcześniej czy później bolszewicy zdecydują się podbić Kresy siłą. W jego przekonaniu skala operacji „Cel Wisła" oraz gruntowność eksperymentu Lit-Bieła stanowiły wystarczający dowód ich zakusów. Tego rodzaju „twarde fakty" ważyły więcej niż uroczyste zapewnienia sowieckiej propagandy. Wszystko wskazywało na to, że Armia Czerwona, kiedy tylko uwolni się od obowiązków na innych frontach, spróbuje się zrewanżować Polakom za ich zwycięstwa w 1919 roku.

Dopóki miał przewagę taktyczną, Piłsudski musiał odczuwać ogromną pokusę, by skorzystać z okazji i przeprowadzić atak wyprzedzający. Niewątpliwie takie posunięcie leżało w jego naturze. Był wszak znany z metody faktów dokonanych. Posłużył się nią z dobrym skutkiem 2 sierpnia 1914 roku, kiedy to jego Legiony wyruszyły na Kielce bez wiedzy austriackiego dowództwa naczelnego. W 1919 roku, podczas trwania konferencji pokojowej w Paryżu, skorzystał z niej dwukrotnie: najpierw w kwietniu, kiedy samowolnie zdobył Wilno, a potem w maju, kiedy wbrew zakazom zajął Galicję Wschodnią. Teraz jednak z paru powodów się powstrzymywał. Po pierwsze, na Kresach właściwie nie można było zadać ciosu nokautującego. Armia Czerwona zawsze mogła wycofać się w głąb Rosji, dokąd nie mogło pójść za nią wojsko polskie. Ofensywa polska na obszarze rdzennej Rosji z pewnością obudziłaby nastroje patriotyczne, co wzmocniłoby sowiecką władzę. Po drugie, samo pokonanie bolszewików niekoniecznie było korzystne dla Polski. Jeśli zastąpiłby ich rząd Denikina, to niepodległość Polski znalazłaby się w większym zagrożeniu. Aby ostatecznie ustalić kształt stosunków między Polską a Rosją, należało więc poczekać na rozstrzygnięcia w rosyjskiej wojnie domowej. Po trzecie, Polska była zbyt słaba, by skonsumować owoce zwycięstwa w Rosji. Polska gospodarka ledwie mogła podołać wysiłkom obronnym. Polska administracja z trudem zarządzała własnym terytorium. Wojsko polskie ledwie radziło sobie z obroną granic. Było nie do pomyślenia, aby Polska mogła bez żadnej pomocy nadzorować choćby tylko kawałek Rosji, administrować nim czy go chronić. W całej sytuacji było jeszcze wiele znaków zapytania. Nikt nie mógł przewidzieć dalszych losów kampanii Denikina, skali interwencji ze strony aliantów ani tego, jak długo inne państwa na rubieżach Rosji – od Finlandii po Gruzję – będą mogły odmawiać pertraktacji z Sowietami.

Być może nie należy sobie wyobrażać, że Piłsudski rozważał te wszystkie okoliczności tak, jak gracz szachowy planuje swoje posunięcia. Bardziej bowiem kierował się żywiołowym instynktem niż logiką. Rodzi się pokusa, by porównać go do nosorożca: niezniszczalnego, krótkowzrocznego i nieprzewidywalnego. Kiedy tylko wywalczył dla siebie polankę, łypał podejrzliwie małymi oczkami na każdego potencjalnego intruza. Kiedy raz został sprowokowany, zawsze istniało ryzyko, że zaszarżuje ponownie.

* * *

W dowództwie sowieckim sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. Po upadku Lit-Bieła nikomu szczególnie nie zależało na tym, by wziąć na siebie odpowiedzialność za front polski. Szalejąca w Rosji przez cały rok 1919 wojna domowa zmusiła sowieckich przywodców do porzucenia wszelkich bezpośrednich planów odzyskania zachodnich rubieży. Z konieczności więcej było teoretyzowania niż praktycznego działania.

Powszechnie uznawano pogląd, że Rosji sowieckiej nie będzie łatwo przetrwać, jeśli konfrontacja z Polską nie zakończy się pomyślnie. Polska była wszak „czerwonym pomostem" na Zachód, naturalnym ogniwem łączącym Rosję z rozwiniętymi społecznościami Europy, które umożliwiało dostęp do nowinek technicznych i kontakt ze społecznością proletariacką, pozwalało marzyć o przyszłej rewolucji. Choć jesienią 1919 roku spokój na froncie polskim był przyjmowany z zadowoleniem, to wszyscy uważali, że rozwiązania problemu polskiego nie można odwlekać w nieskończoność. Debata w Rosji dotyczyła więc nie tego, czy należy wejść na polski pomost, ale raczej jak i kiedy.

Dyskusja koncentrowała się wokół trzech koncepcji, które w różnych okresach wysuwały się na pierwszy plan. Jedna z nich głosiła, że wojnę z Polską trzeba wznowić przy pierwszej możliwej okazji. Fiasko operacji „Cel Wisła" miało dowodzić, że bardziej intensywne działania militarne na zachodzie są szczególnie potrzebne. Taki postulat stawiali przede wszystkim ci, którzy interpretowali swoje marksistowskie podręczniki w sposób dosłowny albo pobierali edukację polityczną za granicą – w Europie. Przedłużająca się izolacja Rosji sowieckiej jawiła im się jako perspektywa nieznośna, której nie można zaakceptować za żadną cenę. Zgodnie z drugą koncepcją należało poczekać z ekspansją na zachód do momentu, kiedy władza sowiecka w Rosji się umocni. Angażowanie młodego państwa sowieckiego w wojnę zewnętrzną jest pozbawione sensu, dopóki nie będzie ono dysponowało silną bazą polityczną i gospodarczą. Tę koncepcję popierali „domorośli" komuniści: bolszewicy, którzy wstąpili do partii w okresie wojny domowej i niewiele dbali o internacjonalistyczny marksizm. Narażanie sukcesu rewolucji w Rosji dla jakiejś zagranicznej „awantury" było dla nich nie do pomyślenia. Wedle trzeciej koncepcji rewolucję należy eksportować na Wschód. Zburzenie imperiów kolonialnych w Azji i w Afryce miało być najlepszym sposobem na zachwianie kapitalistycznymi państwami Europy. W tym kontekście Trocki powiedział kiedyś, że „droga do Londynu i Paryża wiedzie przez Kalkutę". Taka droga postępowania była bliska tym wszystkim, którzy łączyli ideologiczną wiarę w permanentną rewolucję z realistyczną oceną potęgi świata kapitalistycznego. Frontalny atak na Polskę jawił im się jako pusty gest, który sprowokowałby aliantów do zmasowanej interwencji.

Przypisanie tych koncepcji konkretnym osobom nie jest sprawą prostą. W owym czasie zwykło się mówić o bolszewickim „stronnictwie pokoju" pod przywództwem Lenina oraz o „stronnictwie wojny", któremu miał przewodzić Trocki. W gruncie rzeczy jest to nie tylko uproszczenie, ale i fałsz. Jego źródłem było prostoduszne założenie, że Lenin jako sygnatariusz sowieckiego dekretu o pokoju jest *ipso facto* zwolennikiem pokoju, podczas gdy Trocki jako komisarz wojenny musi być zwolennikiem wojny. Tymczasem sytuacja była o wiele bardziej płynna i pogmatwana. Gdybyśmy mieli wydawać sądy jedynie na podstawie pokojowego tonu oficjalnych przemówień Lenina, nie bylibyśmy w stanie wyjaśnić, czemu w takim razie w ogóle się zgodził na rozpoczęcie akcji „Cel Wisła". Trzeba odróżniać deklaracje wygłaszane na domowy użytek od tych, które przeznaczone były dla zagranicy. Jest jasne, że przed zagranicznymi dziennikarzami

zwłaszcza Trocki odgrywał rolę krwiożerczego bolszewika – w sposób, który byłby absurdalny w gronie towarzyszy z Politbiura.

W ostatecznej instancji decyzję o losach wojny z Polską musiał podjąć sam Lenin. Wiedział on jednak o Polsce niewiele, a w 1919 roku mógł jej poświęcić mało uwagi. Kierował więc wojną z Polakami od przypadku do przypadku, improwizując. Musiał przy tym korzystać z porad dawanych mu na zmianę przez konkurujących doradców. Trocki, pełniąc funkcję komisarza wojennego, miał prawo forsować militarny punkt widzenia. Wbrew towarzyszącej mu reputacji był ostrożny. Jako twórca Armii Czerwonej znał jej ograniczenia i ówczesny stan wyczerpania. Wiedział, że bez istotnych powodów nie wolno wystawiać na szwank jej sukcesów w wojnie domowej. Cziczerin, komisarz do spraw zagranicznych, był również ostrożny – zarówno z natury, jak i z wyrachowania. Jego pozycja zależała od umiejętności utrzymywania kontaktów ze światem zewnętrznym, trudno więc oczekiwać, aby popierał strategię, która mogłaby sprowokować aliantów do nasilenia blokady i przywrócenia izolacji Rosji. Dzierżyński, szef Czeka – tak jak jego zastępca Mienżynski – był Polakiem. Miał poważne zastrzeżenia wobec wojny z Polską, oczekiwał bowiem oporu ze strony ludności cywilnej, której spacyfikowanie należałoby do jego obowiązków. Wprawdzie Stalin, komisarz do spraw narodowości, chętnie podporządkowałby narody kresowe swojej władzy, rzadko jednak okazywał entuzjazm dla wojny, chyba że jej dotychczasowy przebieg był już dla Sowietów pomyślny. Żaden z tych głównych doradców nie mógł więc pchnąć Lenina ku wojnie. Pozostaje jedynie Biuro Polskie w partii bolszewickiej: ciało ulokowane na niskim szczeblu w hierarchii władzy, lecz nader znaczące w kontekście relacji Sowietów z Polską. Przywódcy Biura – tacy jak Leński i Bobiński – byli emigrantami politycznymi. Szkolili już oficerów i tworzyli kadry wojskowe, które miały znaleźć się na służbie rewolucji w Polsce. Przemożne pragnienie powrotu do Polski niewątpliwie musiało zabarwiać ich rady – popierali sowiecką inwazję. Ale i oni byli dalecy od jednomyślności. Najbardziej wpływowy członek Biura, Karol Radek – który współpracował w Niemczech z Różą Luksemburg – konsekwentnie ostrzegał, że zbrojna ofensywa w Polsce skończy się fiaskiem. Generalnie więc w Moskwie przeważała opinia przeciwna wojnie z Polską. Lenin jednak pozwolił ją rozpocząć, a w pewnych okresach kierował nią z wielkim zapałem. Trzeba więc uznać, że Lenin nie był „gołębiem", za którego chciał uchodzić; kiedy okoliczności były sprzyjające, nie oglądał się na rady swoich podwładnych, żywiąc nadzieję, że zbierze owoce zwycięstwa.

Gotowość Lenina do prowadzenia wojny z Polską była najbardziej ewidentna na początku 1919 roku. Nie chciał się pogodzić z okupacją Wilna przez Piłsudskiego i niezwłocznie wydał rozkazy, aby odzyskać miasto. Potem jednak się wahał. Kiedy zakończyła się pierwsza faza wojny, polityka Sowietów w tej kwestii była nacechowana licznymi sprzecznościami: jednocześnie przygotowywali się do wojny i prowadzili pokojową propagandę, grozili przewrotem w Polsce i zapraszali do negocjacji. Polacy odczytywali te sprzeczności jako dowód zdrady; równie dobrze można je jednak interpretować jako konsekwencje rozbieżności opinii i niezdecydowania Lenina.

Pod koniec 1919 roku Lenin ponownie wszedł w okres żywiołowego optymizmu, który był rezultatem zwycięstw w wojnie domowej. Nareszcie nabrał pewności, że rewolucja przetrwa i triumfalnie przetoczy się przez Europę. Był to zarazem okres, kiedy jego źródła informacji i bezpośrednie kontakty ze światem zewnętrznym były wyjątkowo

skąpe. Poczuł się zbyt pewny siebie, nawet natchniony. W kwietniu 1920 roku ukończył broszurę *Dziecięca choroba „lewicowości" w komunizmie*, która miała posłużyć jako przewodnik na kilka ostatnich miesięcy rewolucji – przed jej ostatecznym dopełnieniem. W miarę jak ten nastrój narastał, Lenin był coraz mniej skłonny powstrzymywać bieg wydarzeń prowadzących do eskalacji wojny z Polską.

Nastawienie do wojny Trockiego również cechowały sprzeczności. Kiedy padł Mińsk, proponował zawieszenie wysiłków na rzecz rewolucji w Europie. Chciał, żeby powstała armia konna, która pójdzie nie na Warszawę, lecz przez Pamir do Kabulu i Delhi. W późniejszych latach utrzymywał, że był przeciwny wojnie z Polską:

> Rozumie się, że dotychczas nie nadarzyła mi się okazja do ujawnienia mych sympatii do Polski Piłsudskiego, czyli do Polski ucisku i gwałtu, przysłoniętego płaszczykiem frazesu patriotycznego i bohaterskiego samochwalstwa. [...] Ale wyciągać z [tego] wniosek, żeśmy pragnęli wojny z Polską, albo przygotowywali się do takiej wojny, znaczy tyle, co zadawać kłam faktom i zdrowemu rozsądkowi. Pragnęliśmy uniknąć tej wojny za wszelką cenę [...], pragnęliśmy gorąco pokoju, nawet za cenę jak największych ustępstw. Właśnie ja pragnąłem może bardziej, niż ktokolwiek inny, aby do tej wojny nie doszło, gdyż zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z tego, jak trudno nam będzie ją prowadzić po trzech latach nieprzerwanej wojny domowej[43].

Trudno jednak pogodzić te deklaracje z faktem, iż przez dwa okrągłe lata Trocki prowadził wojnę z Polską; to właśnie Trocki ogłosił najbardziej buńczuczne z oświadczeń na temat sowieckich intencji, które ukazało się 15 grudnia 1919 roku w organie Francuskiej Partii Komunistycznej „L'Internationale Communiste": „Polscy panowie-szlachta wyszarpią chwilowe zwycięstwo – zwycięstwo maruderów – ale kiedy skończymy z Denikinem, rzucimy wszystkie nasze rezerwy na front polski" – pisał. Trocki był rozdarty: z jednej strony dostrzegał ideologiczną poprawność wojny z Polską, z drugiej zaś – jej praktyczne niebezpieczeństwa. Przyjmował więc ją niechętnie, bez entuzjazmu. Kiedy sytuacja na froncie była dobra, nie próbował hamować działań militarnych; kiedy pojawiała się możliwość negocjacji, był gotów – tak jak Lenin – dać im szansę.

Jesienią 1919 roku stopniowo wyłoniła się podstawa do odnowienia negocjacji. Polacy nie obawiali się już o Wilno ani nie lękali się rychłej sowieckiej inwazji; za to kiepskie stosunki z ententą obudziły ich niepokój, że mogą być skazani na walkę w pojedynkę. Rosjanie – mocno przyciskani z południa przez ofensywę Denikina – potrzebowali wytchnienia na zachodzie. Co ważniejsze, zarówno Polacy, jak i Sowieci doświadczyli nieprzejednanej wrogości „białych". W czerwcu 1919 roku Kołczak głęboko uraził uczucia Polaków oświadczeniem, iż sprawa wschodnich granic Polski musi poczekać na rozpatrzenie przez Rosyjską Konstytuantę. Denikin – w tym momencie na fali powodzenia – nie był bardziej ugodowy.

Zasługę odnowienia zerwanych w kwietniu kontaktów trzeba oddać Julianowi Marchlewskiemu – temu samemu, którego Sowieci zaproponowali wcześniej na swojego pierwszego ambasadora w Polsce. Marchlewski był jednym z tych polskich komunistów – takich jak Karol Radek i Róża Luksemburg – którzy kursowali między partią bolszewicką w Rosji, SDKPiL w Polsce oraz Związkiem Spartakusa w Niemczech. W styczniu 1919 roku Marchlewski dotarł nielegalnie do Berlina, gdyż Niemcy odmówili mu prawa wjazdu jako przywódcy sowieckiej delegacji. Następnie pojechał do Zagłębia Ruhry, gdzie deptała mu po piętach policja; udało mu się uniknąć aresztowania dzięki temu, że dołączył do grupy powracających do Galicji sezonowych robotników rolnych. W marcu znalazł się w Polsce – niezapowiedziany i nierozpoznany. Na łamach „Robotnika" próbował zniechęcić

polskich socjalistów do wojny z Sowietami. W czerwcu skorzystał z okazji, którą stworzyło oświadczenie Kołczaka o polskich granicach, aby skontaktować się z Piłsudskim: przez Józefa Becka (seniora), wiceministra spraw zagranicznych, zaofiarował swoje usługi jako pośrednik w tajnych negocjacjach z Leninem. Piłsudski wyraził zgodę. 18 czerwca Marchlewski wyjechał do Moskwy.

W Rosji przedsiębiorczość Marchlewskiego spotkała się z dwojakim przyjęciem. Lenin zaakceptował jego inicjatywę, natomiast Komitet Centralny Komunistycznej Partii Robotniczej Polski potępił ją 2 lipca na posiedzeniu w Mińsku, uznając

> rozmowy tow. Marchlewskiego z przedstawicielami rządu polskiego, wyjazd z otrzymanym od nich mandatem do Rosji, bez zgody i wiedzy KC naszej partii, za niedopuszczalne, biorąc pod uwagę, iż Marchlewski przebywając w kraju jako członek naszej partii, podlegał decyzjom i dyrektywom jej kierowniczych organów[44].

Leński i jego zwolennicy nie widzieli sensu w negocjacjach, które mogły jedynie osłabić czujność Rosji sowieckiej na froncie zachodnim. Tydzień później Marchlewski spotkał się z krytykami i przedstawił im stanowisko Lenina. Argumentował, że pokój z Polakami jest konieczny, służy bowiem sowieckiemu zwycięstwu na ważniejszych frontach wojny domowej. Zapewnił ich, że można poczynić ustępstwa terytorialne, albowiem „wszelkie granice stracą wkrótce znaczenie, skoro już za kilka lat rewolucja przetoczy się przez Europę". Na koniec postraszył, że nieudana sowiecka inwazja na Polskę będzie oznaczać krach polskiego ruchu komunistycznego. Leński nie dał się przekonać – potwierdził swoją wiarę w wojnę rewolucyjną. Nie znaczy to jednak, że sprzeciw Leńskiego miał jakiekolwiek znaczenie. Już wtedy Marchlewski był w drodze do Polski, wyposażony w formalne pełnomocnictwa Lenina.

Misja Marchlewskiego z lipca 1919 roku została nazwana „spotkaniem białowieskim". Marchlewski wyruszył z Mińska dziesiątego. Na posterunku frontowym w Radoszkowiczach podał wcześniej uzgodniony pseudonim „pan Kujawski" i czekał na przybycie Olszamowskiego, osobistego adiutanta Piłsudskiego.

Polscy żołnierze potraktowali go obcesowo: przeszukali go, zawiązali mu oczy i nakłonili do podpisania zobowiązania, że nie będzie próbował przekazywać żadnych funduszy na działalność wywrotową ani – co dość dziwne – że nie będzie w Polsce z nikim rozmawiał. Dwudziestego pierwszego przewieziono go na stację w Baranowiczach – gdzie spotkał się z negocjatorem strony polskiej Więckowskim – a stamtąd do leśniczówki w głębi Puszczy Białowieskiej. Większość czasu spędził tam na czekaniu, gdyż Więckowski udał się do Warszawy po odpowiedź na przedstawione propozycje. Przez tydzień niczego nie uzgodniono poza ustaleniami dotyczącymi wymiany jeńców; wyrażono również pragnienie przyszłego spotkania przedstawicieli Sowieckiego i Polskiego Czerwonego Krzyża. Dalej idące propozycje Marchlewskiego – dotyczące ustępstw terytorialnych, plebiscytu i wstępnych warunków pokojowych – nie wywarły na Polakach żadnego wrażenia. Marchlewski był ewidentnie rozczarowany. 30 lipca ponownie przekroczył linię frontu.

Zorganizowanie następnego spotkania zajęło dziesięć tygodni. Prezydium Rady Ministrów w Warszawie omawiało tę sprawę 26 sierpnia, ale dopiero w ostatnim tygodniu września Piłsudski wyraził zgodę. Misję Polskiego Czerwonego Krzyża powierzono hrabiemu Michałowi Kossakowskiemu, który był urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, członkiem Komitetu Obrony Kresów oraz – z korzyścią dla wszystkich

historyków tego okresu – namiętnym pamiętnikarzem. Misji Sowieckiego Czerwonego Krzyża przewodził Marchlewski, tym razem w meloniku, surducie i z dyplomatyczną walizeczką. *Rendez-vous* odbyło się w Mikaszewiczach – małej stacyjce leżącej przy jednotorowej linii kolejowej sto kilometrów na wschód od Pińska. Znajdowała się ona po polskiej stronie frontu – w punkcie, gdzie mogło dojść do kontaktu między siłami polskimi z zachodu, wojskami bolszewickimi z północy, wojskami Denikina ze wschodu i Ukraińcami z południa. 11 października, w dniu spotkania, Denikin właśnie zdobył Orzeł. Od Moskwy dzieliła go tylko Tuła. W takich okolicznościach Kossakowski łatwo wymusił zgodę na dwie nader korzystne umowy. Pierwsza, zawarta 2 listopada, mówiła o jednostronnym zwrocie polskich zakładników znajdujących się w niewoli bolszewickiej[45]; druga, podpisana 9 listopada, dotyczyła wzajemnej wymiany jeńców cywilnych[46].

Marchlewski chętnie szedł na ustępstwa w rozmowach z Kossakowskim, ponieważ jednocześnie prowadził wysoce tajne negocjacje z osobistymi wysłannikami Piłsudskiego: kapitanem Ignacym Boernerem oraz porucznikiem Birnbaumem. Miał prawdopodobnie rację, zakładając, że bezpośredni kontakt z Naczelnikiem Państwa ma większe szanse powodzenia niż rozmowy przez kanały oficjalne. Nawet Kossakowski nie wiedział, do jakich rozmów byli upoważnieni Boerner i Birnbaum.

3 listopada Boerner przedstawił postawione przez Piłsudskiego warunki zawieszenia broni:

1. Naczelnik państwa nie rozkaże wojskom polskim, aby przekroczyły linię Nowogród-Siewiersk (Zwiahel)-Olewsk (na linii Sarny-Kowel)-rzeka Ptycz-Bobrujsk z przyczółkiem-Berezyna-Kanał Berezyński do Dźwiny-Dźwina.
2. Dla uniknięcia nieporozumień między wojskami polskimi i radzieckimi postuluje utworzenie neutralnego pasa o szerokości 10 km.
3. Oświadcza, że będzie popierać żądanie Łotyszów oddania im przez Rosję Radziecką Dyneburga.
4. Żąda od rządu radzieckiego przerwania agitacji komunistycznej w wojsku polskim [...]
5. Żąda nieatakowania Petlury.
6. Nie wierzy w dyskrecję rządu radzieckiego, dlatego ostrzega, że „w razie niedyskrecji wyciągnie odpowiednie konsekwencje".
7. Jeśli rząd radziecki zgodzi się na przyjęcie punktów 2, 4 i 5, „wtedy zostanie wysłany do Moskwy upełnomocniony delegat [...], który powyższe punkty zakomunikuje Rządowi Sowietów w osobie pana Lenina"[47].

Zgodnie z instrukcjami Boerner poinformował Marchlewskiego, że okazywanie pomocy Denikinowi nie leży w interesie Polski i że zrezygnowano z ataku na Mozyrz, który w połączeniu z natarciem Denikina na Orzeł mógł raz na zawsze złamać sowiecki front południowy. Lenin był zadowolony. Uznał, że wojna z Polską dobiega końca. Przemawiając 24 października na Uniwersytecie im. B. Swierdłowa, oświadczył: „wiele wskazuje na to, iż okres, kiedy mogliśmy się spodziewać dalszych napaści wojsk polskich, mija"[48]. Źródła bliskie Trockiemu donosiły, że 14 listopada Politbiuro jednomyślnie przyjęło warunki Piłsudskiego. W swojej odpowiedzi, którą Boerner przekazał Piłsudskiemu 26 listopada, Lenin zbył jedynie punkt 5. Jego zdaniem Petlura, którego „stolica" została zajęta przez Polaków, a główne siły zdezerterowały do Denikina, jest pośmiewiskiem i nie może stanowić przedmiotu poważnej dyskusji. Jeszcze 28 listopada Marchlewski potwierdził w liście do Trockiego, że zakończenie wojny jest kwestią dni. Pisał, że pogłoski o buncie w polskiej armii są bezpodstawne, i ostrzegał, że Polacy z dnia na dzień wzmacniają swoje pozycje. Nie przewidywał żadnych kłopotów w kwestii

Petlury. Bardzo zależało mu na przekazaniu pomysłu – zapewne podsuniętego przez Boernera, ale z miejsca odrzuconego przez Lenina – aby polskie konspiracyjne organizacje niepodległościowe na Ukrainie zostały oddane do dyspozycji Armii Czerwonej przeciw Denikinowi[49]. Tymczasem naigrywania się Lenina z Petlury stanęły Piłsudskiemu kością w gardle. Piłsudski nie mógł albo nie chciał ich przełknąć. Zdecydowanie odrzucił propozycje Lenina i wbrew wszelkim oczekiwaniom niezwłocznie zerwał negocjacje. 14 grudnia Marchlewski i Kossakowski wyjechali z Mikaszewicz – każdy w swoją stronę. Kiedy ich pociągi opuszczały stację, perspektywy polsko-sowieckiego porozumienia były równie ponure jak zasypany śniegiem i pusty już peron[50].

Odpowiedzialność za fiasko negocjacji przypisuje się na ogół Polakom. Cziczerin obwiniał o nie Paderewskiego, któremu całkowicie fałszywie przypisywał pragnienie nawiązania współpracy z Denikinem[51]. Kossakowski sugeruje, że Piłsudski w ogóle nie dążył do porozumienia. W jego pamiętnikach znajdujemy zapis następującej tyrady Marszałka:

> Zarówno bolszewikom, jak i Denikinowi – mówił – jedno jest tylko do powiedzenia: jesteśmy potęgą, a wyście trupy [...]. Lekceważę, pogardzam wami [...] o jakichkolwiek tedy stosunkach lub rozmowach dyplomatycznych mowy być nie może, bo ich warunkiem podstawowym jest wiara i dyskrecja, a wy nie zasługujecie na jedno, nie znacie drugiego [...]. Nie, nie rokowałem, tylko mówiłem im rzeczy przykre. Te impertynencje, które miałem powiedzieć, już powiedziałem. Kazałem im zrozumieć, że powinni stać się wobec nas pokorni i żebrzący[52].

Powyższe słowa cytowano na dowód, że Piłsudski uparcie odrzucał myśl o zawieszeniu broni. Konkluzja ta przypisuje jednak zbyt wielkie znaczenie napadowi złości Marszałka pewnego konkretnego wieczora. Koniec końców, Piłsudski postawił przecież określone warunki. Owszem, jesienią 1919 roku Lenin pragnął pokoju. Rzecz jednak w tym, że w początkowej fazie wojny z Polską, a na pewno do kwietnia 1919 roku, Lenin pokoju nie chciał. Można więc wybaczyć Piłsudskiemu jego przeświadczenie, że zmiana stanowiska Lenina została podyktowana katastrofalnym położeniem Rosji sowieckiej. Jak na ironię, negocjacje, których przygotowanie zajęło pół roku, zostały zerwane dokładnie w chwili, kiedy ostateczny rezultat wojny domowej – po odbiciu przez bolszewików Kijowa – stawał się coraz bardziej oczywisty, a szanse na porozumienie z dnia na dzień rosły.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Była to chwila, kiedy uczestnicy wydarzeń ujrzeli, jak szala wojny zaczyna stopniowo przeważać szalę pokoju.

* * *

Działania militarne, które stanowiły tło tajnych negocjacji, były dość przypadkowe. Można je potraktować jako wysiłki na rzecz zachowania *status quo*; były to próby utrzymania przez Polaków inicjatywy i zabezpieczenia się przed okresowymi zagrożeniami, których źródło stanowiły burzliwe wydarzenia na Ukrainie oraz w państwach bałtyckich. Na miano kampanii mogłaby zasługiwać tylko jedna akcja – natarcie na Dyneburg.

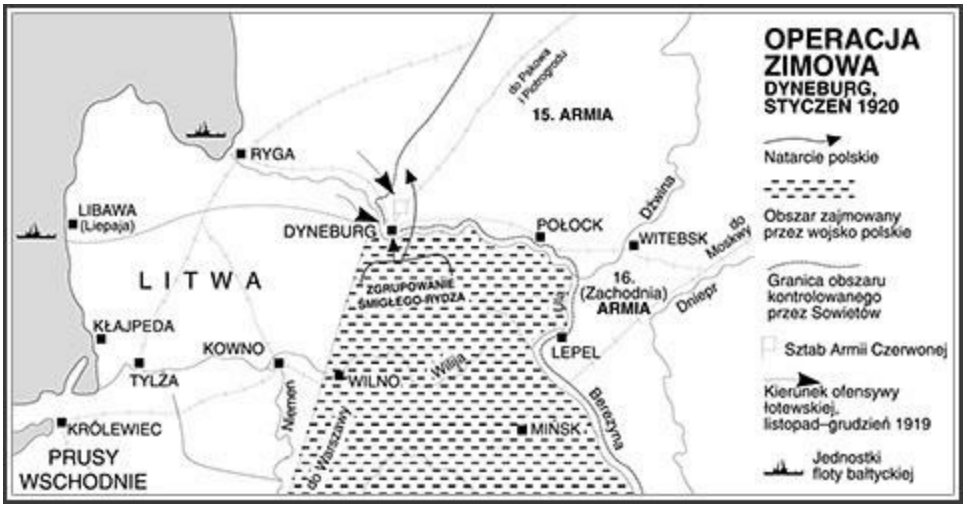

Do pierwszego incydentu doszło na południu: idąca z Odessy w kierunku północnym Ochotnicza Armia Denikina wyparła siły ukraińskiego Dyrektoriatu Petlury z garnizonu w Kamieńcu Podolskim i zepchnęła je na północ, na linie polskie w okolicach Nowogrodu Wołyńskiego. Przez kilka ostatnich dni sierpnia Petlura był atakowany z trzech stron naraz: przez Polaków, żołnierzy Denikina oraz bolszewików. 1 września musiał przyjąć polskie warunki zawieszenia broni, a następnie przeszedł na polską stronę frontu. Między Polakami a wojskami Petlury wytyczono linię demarkacyjną, która biegła od Zbrucza do Bazalii, Szepetówki i Nowogrodu Wołyńskiego. W ten sposób rozpoczął się pięcioletni azyl polityczny Petlury w Polsce. Jego armia, którą zwerbował głównie na Ukrainie Zachodniej do walki z Polakami, teraz znalazła się na służbie u Polaków. Jego obecność w polskich szeregach nie tylko stanowiła ów punkt sporny, który doprowadził do fiaska negocjacji z bolszewikami, ale była również istotnym elementem przyszłej strategii Piłsudskiego.

W październiku Denikin stanął na krótko naprzeciw polskiego Zgrupowania Wołyńskiego. Jego wojska wycofały się jednak równie szybko, jak przedtem nacierały. Armia Czerwona odepchnęła go od Moskwy, Polacy zaś wymietli go z Wołynia. Pod koniec listopada Zgrupowanie Wołyńskie ponownie zainstalowało Petlurę w Nowogrodzie, a w grudniu Zgrupowanie Wschodniogalicyjskie zajęło pozycje nad Uszycą, żeby zapobiec ponownej okupacji Ukrainy przez bolszewików. Do końca roku Denikin zniknął; front polsko-sowiecki znów rozciągał się aż do granicy rumuńskiej na Dniestrze.

Sytuacja na północy była jeszcze bardziej skomplikowana. Państwa bałtyckie stanowiły arenę działania trzech armii narodowych: litewskiej, łotewskiej i estońskiej; trzech armii „białych": Bermondta-Awałowa na Łotwie, Lievena w Kurlandii i Judenicza w Estonii; a wreszcie trzech armii bolszewickich oraz niemieckiej Armii Bałtyckiej generała von der Goltza. Po wycofaniu się ostatnich jednostek Wehrmachtu natarcie niemieckich ochotników we wrześniu 1919 roku wywarło taki sam efekt nad Bałtykiem jak ofensywa ochotników Denikina na Ukrainie.

Polacy nie mogli stać zupełnie z boku wobec chaosu w państwach bałtyckich. Podzielali wyzwoleńcze aspiracje armii narodowych oraz lęk przed bolszewizmem żywiony przez „białych". Zarówno Lievenowi, jak i Judeniczowi pozwolili więc zorganizować prywatne biura werbunkowe w Polsce. Natomiast z Litwinami byli w sporze o Wilno, a niemiecki alians Bermondta-Awałowa i von der Goltza obserwowali z najwyższym niepokojem. Jedynie z Łotyszami łączyła ich jakaś wspólnota celów.

Współpraca polsko-łotewska dotyczyła losu Dyneburga (lub Dźwińska). Miasto to,

położone na północnym brzegu Dźwiny, kontrolowało naturalne szlaki komunikacyjne pomiędzy wnętrzem Rosji a Zatoką Ryską. Jego ludność stanowili Łotysze. Jesienią 1919 roku Dyneburg znajdował się w rękach Sowietów, którym z różnych stron zagrażali Niemcy, Polacy i Łotysze. Gdyby bolszewikom udało się utrzymać miasto, byliby w stanie umocnić łączność między 15. i 16. Armią. Gdyby Dyneburg zdobyła Armia Bałtycka, oznaczałoby to odrodzenie się na tym obszarze niepożądanych wpływów niemieckich. Od końca sierpnia polska armia dowodzona przez generała Rydza-Śmigłego okupowała lewy brzeg Dźwiny. Na początku października łotewski minister spraw zagranicznych spotkał się w Wilnie z Piłsudskim, aby uzyskać uznanie *de facto* dla swojego rządu i poprosić o pomoc wojskową w Dyneburgu.

Armia polska miała własne powody ku temu, aby umocnić pozycje na odcinku Dźwiny. Jej zachodnie skrzydło było ustawicznie zagrożone biegiem wydarzeń w państwach bałtyckich. Z kolei w połowie października nieoczekiwana ofensywa bolszewicka zmusiła 8. Dywizję do wycofania się na tydzień z Połocka. Jej siły zostały wzmocnione dzięki przeniesieniu 3. Dywizji Legionowej z Galicji Wschodniej.

Operacja dyneburska – wbrew reputacji, jaką się cieszy – była arcydziełem nieporadności. Pierwotny rozkaz przeprowadzenia „Operacji Zima" – jak ją nazwano – został wydany przez polski sztab 2 grudnia (z datą wykonania 15 grudnia). W tym czasie łotewski rząd sparaliżowała obawa, że polska mniejszość na Łotwie zażąda unii z Polską; rząd nie przedstawił więc żadnych planów współdziałania. Z kolei łotewskie wojsko sparaliżowała obawa, że żołnierze nie będą chcieli atakować łotewskich komunistów włączonych do czerwonego garnizonu Dyneburga. Kiedy wreszcie Polska Misja Wojskowa w Rydze ustaliła, że atak powinien się rozpocząć między 4 a 10 stycznia, kluczowe szczegóły nadal nie zostały uzgodnione. Komunikacja między wojskiem polskim a łotewskim była praktycznie niemożliwa. Połączenia kolejowe i telegraficzne nie funkcjonowały, gdyż pośrodku znajdowały się odcinki litewskie. Dowództwo łotewskie wciąż jeszcze nie zdecydowało się podporządkować polskim rozkazom. Ostateczne porozumienie osiągnięto 30 grudnia. 10 tysięcy Łotyszów miało wesprzeć polskie siły uderzeniowe w liczbie 30 tysięcy żołnierzy. Kiedy 3 stycznia 1920 roku – mimo mrozu dochodzącego do minus 25 stopni – dywizje generała Rydza-Śmigłego ruszyły do natarcia po skutej lodem Dźwinie, nie mogły spodziewać się wiele po łotewskich sojusznikach. 3. Dywizja Legionowa szturmowała cytadelę, podczas gdy 1. Dywizja Piechoty nacierała na północ, żeby odciąć odwrót Sowietom. W czasie przeprawy pod polską artylerią załamał się lód i część dział utonęła w rzece. Garnizon został wyparty na zachód, gdzie poddał się Łotyszom. 5 stycznia, kiedy operacja została zakończona, Piłsudski ogłosił, że Dyneburg zostanie przekazany Republice Łotewskiej, i tym sposobem rozpoczął okres wielkoduszności i ścisłej współpracy.

Zdobycie Dyneburga było prawdziwym końcem kampanii polsko--bolszewickiej 1919 roku. Zakończyło ono rok pełen ogromnego zamieszania i niepewności. Od tego momentu zarówno na północy, jak i na południu armie polskie i sowieckie stały naprzeciw siebie w nieprzerwanej linii. Przyszła kampania w roku 1920 – chyba że politycy umieliby jej zapobiec – zapowiadała działania na znacznie szerszą skalę i o znacznie wyższą stawkę.

* * *

W miarę zbliżania się zimy warunki życia na Kresach pogarszały się z każdym dniem. Armia polska nie wyposażyła żołnierzy frontowych w podstawowy ubiór zimowy, choć ci sypiali pod gołym niebem. Generał Carton de Wiart z Brytyjskiej Misji Wojskowej, który wizytował front w listopadzie 1919 roku, widział piechurów bez ciepłych butów i płaszczy. Termometr wskazywał minus 14 stopni. „Nie wiem, jak oni to wytrzymują", raportował[53]. Sytuacja Armii Czerwonej nie mogła być lepsza.

Morale nieuchronnie cierpiało, zwłaszcza po stronie polskiej. Choć Carton de Wiart wspomina o „nadzwyczajnym duchu" Polaków, to istnieją dowody na to, że dyscyplina zaczęła się rozprzęgać. Jeden z najbliższych powierników Piłsudskiego, Walery Sławek, dowódca II odcinka Frontu Białoruskiego, przysłał mu następujące ostrzeżenie:

Wilno, 2 listopada 1919

Mój Drogi!

Gen. Szeptycki kazał mi napisać do Ciebie prywatnie i ostrzec, że stan wojska jest coraz gorszy. Coraz częściej powtarzają się wypadki odmowy pójścia na patrole z powodu braku ubrania lub obuwia i coraz więcej rabunków, jednym słowem żołnierz już się nie chce bić [...].

Gen. Szeptyckiemu chodzi o to, byś Ty był dokładnie poinformowany o stanie wojska i wziął to pod uwagę przy rozważaniu dalszych planów. On jest tego zdania, że musimy za wszelką cenę dążyć do szybkiego zakończenia wojny, przynajmniej z bolszewikami. Mówił nawet, że jeżeli Sejm tej sytuacji nie rozumie, to Ty powinieneś ogłosić dyktaturę (*sic*) i samemu sprawę zdecydować.

Moje osobiste wrażenie, że istotnie dobrze nie jest. Wszędzie u oficerów i dowódców zmęczenie i pesymizm, który sparaliżował zdolność ich do wywołania zapału i wyższego napięcia wojennego.

To wszystko. Serdeczne uściski. Twój W. Sławek[54].

Jeżeli żołnierz Armii Czerwonej mógł jeszcze żywić poczucie, iż ratuje swój kraj przed Denikinem i powrotem obszarników, to zwykły polski wojak, któremu nikt nie zagrażał, myślał tylko o ratowaniu własnej skóry.

W Polsce krążyły wieści o złych warunkach na froncie; niektórzy wykręcali się od wojska, a poborowi, tak jak w Zamościu, uciekali czasem do lasu, gdzie tworzyli bandy nękające władze.

Sowieccy propagandyści nie szczędzili wysiłków, by skłonić niezadowolonych w polskich szeregach do otwartego buntu i przekonać ich do rewolucji. Komunistyczne broszury nawoływały do pokoju i braterstwa. Z konkretnymi apelami zwracano się do odziałów znanych ze swojego rozgoryczenia:

Do żołnierzy z 33. Pułku Łomżyńskiego

Doszły nas wieści, towarzysze, że już raz odmówiliście posłuszeństwa, nie zechcieliście iść na pozycje, przelewać za jaśniepanieńską sprawę swoją krew ludową. Z rozkazu waszego dowództwa otoczono was żandarmami i zbrojną siłą zmuszono powrócić na front. Chcecie przejść do nas, bo czujecie, że nasza Armia Czerwona o wyzwolenie ludu roboczego walczy. Lecz są pomiędzy wami tacy, co wierzą bajdom opowiadanym przez oficerów, że u nas wziętych jeńców-ochotników rozstrzeliwuje się. Nie wierzcie tym oszustom! Wszyscy i mobilizowani, i ochotnicy z bronią w ręku przechodźcie na naszą stronę, przyłączcie się do nas. Wspólnymi siłami zakończymy walkę bratobójczą. Z naszą pomocą pozbędziecie się swych gnębicieli oficerków i generałów, burżujów i dziedziców. Śmiało ku nam, towarzysze. Do wspólnych szeregów rewolucyjnych.

Robotnicy Polacy w Armii Czerwonej[55]

Czasem apele były sygnowane przez jeńców wojennych:

Towarzysze, koledzy!

My, jeńcy armii polskiej, znajdujący się u bolszewików, zasyłamy wam bratni uścisk dłoni i pozdrowienia. Chcemy wam bez żadnych przesad w kilku słowach opisać, co to jest ustrój sowiecki, tak jakeśmy go własnym rozumem poznali i jakeśmy

sami stwierdzili, chociaż jesteśmy tutaj jeńcami. Rosja sowiecka stała się dla nas stokroć lepszą ojczyzną niż ta Polska panów, której żołnierzami byliśmy dotychczas. [...] Przedtem za rządów carskich, kapitalistycznych robotnik w Rosji był niewolnikiem fabrykantów i obszarników. [...] w Polsce głodny robotnik nie mając nic zmuszony był często do kradzieży u bogacza-fabrykanta. W Rosji Sowieckiej nie ma wśród robotników kradnących, wszyscy tu pracują. Robotnicy rządzą całym państwem przez swe rady, do których wybierają delegatów z każdej fabryki i majątku. Robotnicy mają tutaj swe szkoły, uniwersytety, gazety, swe pałace pracy. Ustrój sowiecki gwarantuje im prawdziwą wolność. [...] Zwróćcie więc, towarzysze, broń przeciwko swym gnębicielom! [...]

Bracia! Łączcie się z Armią Czerwoną, z rewolucją międzynarodową!>

W imieniu ogółu: S. Klepacki (4. p.l.p), Makarczuk, Cisielski, Erbert, Grador (3. p.l.p.), Siekierski, Burhat (4. p. uł.)[56].

Nie można nie doceniać nowatorstwa (w roku 1919) i perswazyjnej siły takich wezwań. Trudno jednak oszacować rozmiary ich powodzenia. Dezercja podobno osiągnęła wówczas taką skalę, że więzienia wojskowe w Wilnie i w Mińsku pękały w szwach. W Połocku, w 35. Pułku Legionowym, oficerowie powrócili do dawnego, carskiego środka dyscyplinarnego – knuta. Z Lepla wycofano, a następnie internowano Pułk Krakowski za bratanie się z nieprzyjacielem. Notowano wypadki, zwłaszcza w pułkach warszawskich, powstawania rad żołnierskich na modłę sowiecką oraz czynnych napaści na żandarmerię wojskową. Niesubordynacja często nie miała jednak charakteru politycznego. Największy brak dyscypliny cechował oddziały najbardziej antybolszewickie, na przykład jednostkę generała Żeligowskiego. Większość skarg na żołnierzy dotyczyła pijaństwa, przymusowych rekwizycji i rozboju, które można raczej przypisać nudzie i niewygodom niż propagandzie. W strefie przyfrontowej działały otwarcie grupy rabusiów; niektórzy występowali nadal w mundurach polskich, inni podawali się za „czerwonych". Trudno mówić o politycznym charakterze tych band.

Naturalnie ktoś, kto dla jednej strony jest bandytą, będzie dla drugiej partyzantem; na ten element sytuacji zwracano szczególną uwagę zwłaszcza po stronie sowieckiej. 3 września 1919 roku utworzono w Smoleńsku Biuro Dywersji, które miało koordynować działania na polskich tyłach. Kierowali nim pozbawieni poprzedniego miejsca pracy przywódcy Lit-Bieła: Mickiewicz-Kapsukas, Dolecki i Sławiński. Celem komunistycznego podziemia było tworzenie sieci komórek partyjnych, nawracanie chłopstwa i przygotowywanie drogi powrotu dla Armii Czerwonej. Była to niebezpieczna robota – aktywiści ryzykowali życie. Marian Dziemba, koordynator regionu mińskiego, był jednym z wielu, którzy zmarli w polskich więzieniach.

Pomimo ryzyka polscy komuniści w Rosji woleli walczyć w partyzantce niż polegać na Armii Czerwonej. Jesienią 1919 roku bardzo rozczarowała ich bierność sowieckiej Armii Zachodniej i skwapliwość, z jaką bolszewicy w Moskwie podjęli rozmowy pokojowe. Jeden z tych komunistów, Edward Kowalski, był tak rozgoryczony, że zrezygnował z dowodzenia 4. (Warszawskim) Pułkiem w Armii Zachodniej na rzecz partyzantki na Polesiu. W liście do Feliksa Kona tak opisywał swoje doświadczenia:

24 listopada 1919, Mozyrz.

[...] Kontakt z polskimi wojskami utraciliśmy zupełnie, a to z powodu śniegu. Siły, jak z jednej, tak i z drugiej strony są niewielkie, więc wojują „nalotami". Spotykać można tylko rozjazdy, a te przeważnie złożone z ochotników, więc nam niełatwo poddają ucho.

Zorganizowaliśmy nieźle przyfrontowych włościan i nimi w tył Polaków posyłamy literaturę. Włościanie okazali się lepszymi agitatorami czym nasi komisarze pospędzani z różnych instytucji sowieckich do politycznej roboty na froncie. [...] Tyle zmartwienia, tyle niepowodzeń i borykań się – naturalnie nie z losem – a z Rewwojendiełami, sztabami i podkomisjami, i snabżeniami, a niech ich jasny piorun trzaśnie.

Z trudem przezwyciężając te zapory, dwa poważne oddziały przeprawiłem już za front. Każdy oddział po 150 ludzi, 6-8 kulomiotów, 2000 ręcznych pocisków itd. Jeden oddział pod nazwaniem „Komunardów" poważnie się starł z Polakami i bez szwanku dotarł do swoich upragnionych pińskich błot i lasów. [...]

I tu dopiero zaczynają się łaski sypać. Dostałem „Czekowuju kniżku dla snabżenija otriadow", 100 par butów, spodni watowych i fufajek, koszul i, miły ty Boże, nawet karabinów nowego systemu, których przedtem nie było, a tylko berdiankami mnie częstowali. [...]

Prawda, Polacy są bezwzględni w swoich rozprawach i dla przykładu karają niewinnych, pastwią się nad dziećmi i starcami, nawet kobiety zabijają, a ich wsie burzą! [...]

Tam, w Polsce, są ciągłe zaburzenia i mam nadzieję, że na przyszły rok „około Wielkiej Nocy" będziemy gospodarować w Warszawie [...][57].

Oddział Kowalskiego ukrył się we wsi Dąbrownica nad rzeką Horyń, skąd żołnierze mieli wyruszyć do szturmu na polskie magazyny artylerii w Olewsku. Niestety dla nich, w lutym Dąbrownica została przeszukana przez wojsko polskie, oddział uległ rozproszeniu, a Kowalski trafił do niewoli.

Łatwość, z jaką przekraczano linię frontu, jest dowodem na to, że Polacy nie potrafili kontrolować ogromnego obszaru, który zajęli. Tak zwany słoneczny szlak przemierzali nie tylko partyzanci, ale również uciekinierzy, spekulanci i wszędobylscy żydowscy handlarze. Cenionym towarem była sól, sacharyna, kokaina i – co może dziwić – świńska szczecina. Dobry opis sytuacji pozostawił Władimir Korostowiec, były dyplomata carski, który przeszmuglował swoją rodzinę z Rosji w okolice Mińska. W przebraniu handlarza z sowieckiego kołchozu wędrował od gospodarstwa do gospodarstwa, gawędząc z żołnierzami i komisarzami, aż spotkał chłopa, który za trzy tysiące rubli carskich przeprowadził go z rodziną przez bagna poza linię frontu obsadzoną przez Poznaniaków.

Również Polacy mieli swoje podziemie. Polska Organizacja Wojskowa (POW) – konspiracyjna armia Piłsudskiego założona w 1914 roku do walki o niepodległość na ziemiach okupowanych przez państwa centralne – nigdy nie została na Kresach rozwiązana. Jej oddziały były najsilniejsze na południu – na Ukrainie – gdzie dwa lata wcześniej walczyły i rozpadły się Legiony Piłsudskiego. Choć w samej Polsce POW przestał już działać, to jego trzecia sekcja nadzorująca ziemie wschodnie – KN3 – przetrwała jako filia Polskiego Sztabu Głównego w Warszawie. Komórki tej sekcji znajdowały się nawet w Rostowie nad Donem i w Stawropolu na Kubaniu. Jej głównym zadaniem było gromadzenie materiałów wywiadowczych.

Administrowanie Kresami było jesienią 1919 roku zadaniem niemal niewykonalnym. Po sowieckiej stronie frontu walka z Denikinem wykluczała jakiekolwiek próby budowania administracji. Po stronie polskiej okupacja dodatkowych rozległych obszarów znacznie wykraczających poza naturalne granice polskiego osiedlenia (przede wszystkim Mińska i Wołynia) obarczyła władze cywilne problemami społecznymi i politycznymi o niewyobrażalnej złożoności. Zadanie „przygotowania" nowych ziem powierzono Straży Kresowej, która miała działać – zgodnie z rozkazem wydanym 3 października 1919 roku – w ścisłym porozumieniu z wojskiem. Straż Kresowa nie była bynajmniej instrumentem bezrozumnych represji. Cele polityczne tej organizacji były radykalne, a jej poglądy społeczne zdecydowanie postępowe. Działacze Straży Kresowej pisali w swoich raportach: „trzeba podkreślić zachowanie się znacznej części miejscowego ziemiaństwa, które swą klasową polityką b. często kompromituje sprawę polską"[58]. Chcieli umocnić polskie wpływy, wprowadzając na Kresach równie daleko idącą reformę rolną jak ta, którą zadekretowano w Polsce. Niestety, ich oświecone plany spotkały się z powszechnym

oporem, i to nie tylko ze strony nieufnych chłopów białoruskich i ukraińskich. Armia nie była zainteresowana reformami społecznymi; żandarmeria była brutalna i skorumpowana; przedstawiciele Związku Cywilnego Ziem Wschodnich (ZCZW) byli bezsilni lub niekompetentni. Najgorsze jednak były wielkie rody polskie, które powróciły tu zaraz za wojskiem – w pełnym przekonaniu, że odzyskają swoje prawa i przywileje. 6 lutego 1920 roku, na spotkaniu miejscowych właścicieli ziemskich w Równem, próby zgłoszenia wniosku dotyczącego parcelacji ziemi i osiedlenia na niej polskich weteranów wojskowych – podjęte przez hrabiego Zygmunta Krasickiego, liberała – zostały ordynarnie zakrzyczane. Obserwujący te wydarzenia oficer poczynił uwagę, iż „ziemianie tutejsi niczego się nie nauczyli, mimo twardych warunków wojny i zmienionych stosunków tak społecznych, jak i politycznych. Ziemianie chcą wykorzystać swoje położenie społeczne, swoją chwilową przewagę, aby przy likwidacji całego systemu społecznego ponieśli jak najmniej ofiar, a równocześnie jak najwięcej na tym zarobili, choćby nawet kosztem ojczyzny i kosztem innych warstw społecznych”[59]. Instruktor Straży Kresowej na powiat łucki donosił, że lokalny pełnomocnik nie publikuje żadnego dekretu, który mu się nie podoba, że w imieniu nieobecnych właścicieli wymusza bezprawne kontrybucje i że wykorzystuje sądy publiczne do załatwiania prywatnych spraw takich osób jak księżniczka Maria Lubomirska. Raport zakończył następującym stwierdzeniem: „Polska jest państwem praworządnym. [...] w imię interesów Rzeczypospolitej należy winnych usunąć i oddać pod sąd, jako działających na szkodę państwa, oraz publicznie ukarać. To mogłoby jeszcze przekonać ludność o szczerości głoszonych przez rząd centralny zasad[60]”. Nie trzeba dodawać, że administracja walcząca z tyfusem, brakiem żywności, nieprzyjacielską propagandą i niechęcią miejscowej ludności nieczęsto była skłonna stawiać przed sądem własnych reprezentantów.

W bardziej odległych stronach niektóre wsie odmawiały współpracy wszystkim administratorom. W burzliwych latach, które nastąpiły po upadku rządów carskich w 1917 roku, chłopi tworzyli własne „republiki wiejskie”: niepodległe władzy – kolejno – Niemców, Dyrektoriatu i bolszewików. W ciągu 1919 roku Polacy likwidowali te „helotokracje” i w sposób drakoński tłumili próby buntu, które podejmowano w Sadach, Dubnie i Dąbrowicy.

* * *

Perspektywa dalszego ciągu wojny przyspieszyła proces dozbrajania i reorganizacji wojska. Improwizacja – do której w 1919 roku było zmuszone dowództwo zarówno polskie, jak i sowieckie – nie mogła wystarczyć w razie konfrontacji na większą skalę.

Polskie władze wojskowe rozpoczęły przegląd stanu posiadania zaraz po zdobyciu Mińska. We wrześniu 1919 roku polska armia dysponowała 540 tysiącami ludzi pod bronią, z czego 230 tysięcy znajdowało się na froncie wschodnim. Pozostali byli szkoleni bądź strzegli granicy z Niemcami. Liczebność wojska miała się powiększyć: 15 listopada o 101 500 poborowych z rocznika 1900, a 15 marca o kolejnych 75 200 żołnierzy z rocznika 1901. Taki napływ poborowych przerósł możliwości istniejącej kadry; zabrakło również sprzętu. Głównym dostawcą wyposażenia wojskowego dla Polski była Francja, toteż 27 września minister spraw wojskowych zwrócił się w tej sprawie z pilną prośbą do rządu francuskiego. Szacował, że polskie wojsko potrzebuje 1,2 miliona kompletów

umundurowania oraz 378 tysięcy kompletów ekwipunktu. Braki w sprzęcie ocenił następująco:

Karabiny ręczne	186 000
Karabiny maszynowe	620
Amunicja	340 000 000
Działa 75 mm	400
Jaszcze (do dział 75mm)	750
Pociski 75 mm	1 200 000
Działa 155 mm (krótkie)	240
Pociski 155 mm	230 000
Działa górskie 65mm	30
Pociski do moździerzy 65 mm	30 000
Pociski 120 mm (długie)	4 000

Braki w taborze kolejowym wynosiły dwa i pół tysiąca lokomotyw oraz siedemdziesiąt tysięcy wagonów. Aby złagodzić wrażenie, jakie musiała wywołać ta prośba, generał Sosnkowski podkreślił, iż została ona złożona „*le coeur plein de reconnaissance que le peuple polonais accepte d'offrir l'impôt du sang pour maintenir la paix mondiale fixée sur les bases du Congrès de Versailles*”[61]. Krew Polaków miała więc zbilansować polski budżet.

15 października polski premier zwrócił się z jeszcze bardziej naglącą prośbą do brytyjskiego ministra wojny Winstona Churchilla:

> Sir, otrzymałem właśnie nowiny z frontu bolszewickiego. Tamtejsza sytuacja jest desperacka.
>
> Obietnica przyjścia z pomocą naszej armii złożona 27 czerwca przez pana Lloyda George'a nie została dotrzymana. [...]
>
> Jesteśmy zdecydowani wytrwać przeciw barbarzyńskiej nawale bolszewickiej, o ile nie zostaną nam narzucone żadne związki z Niemcami. Jak sądzę, osiągnęliśmy jak dotąd całkiem niezłe rezultaty. [...]
>
> Potrzebujemy 300 tys. kompletów mundurowych (płaszcze, bluzy, spodnie, skarpetki i buty), które muszą dotrzeć do Warszawy najdalej za dwa tygodnie. Z waszych zapasów taboru kolejowego we Francji potrzeba nam natychmiast przynajmniej 200 lokomotyw i 2 tys. wagonów.
>
> Jeżeli ta pomoc nie zostanie nam niezwłocznie udzielona, cała linia naszego frontu przeciw bolszewikom może się w każdym momencie załamać i należy oczekiwać najgorszego.
>
> Sir, pański oddany, uniżony sługa, I.J. Paderewski[62].

Polski rząd przy każdej okazji wymachiwał bolszewickim straszakiem przed oczami aliantów. Wszelako 24 października Churchill z żalem informował, że brytyjski gabinet odrzucił polską prośbę[63]. Gabinet przyjął bowiem zasadę, iż „obowiązek niesienia pomocy armii polskiej spoczywa ogólnie na aliantach, a zatem tylko w niewielkim stopniu na Wielkiej Brytanii”[64]; przy tym „główny ciężar wyposażenia Polaków powinna wziąć na siebie Francja, biorąc pod uwagę fakt, że Brytyjczycy pomagają Denikinowi”[65]. Sam Churchill chętnie uzbroiłby wszystkie siły antybolszewickie, nie wyłączając Polaków, lecz jego opinia nie była powszechnie akceptowana w Whitehall. W każdym razie w listopadzie udało mu się podarować Polsce 50 samolotów, a w lutym 1920 roku umożliwił Polakom zakupienie nadwyżek niemieckich karabinów ręcznych. W obu wypadkach minister spraw zagranicznych lord Curzon zaprotestował, skarżąc się premierowi na lekceważenie decyzji gabinetu[66].

Rząd francuski był nieco bardziej skłonny do współpracy. Przyznał Polsce kredyt na cele wojskowe w wysokości 375 milionów franków. Z początku Polska Misja Zakupów, kierowana w Paryżu przez generała Pomiankowskiego, musiała płacić za cały dostarczony sprzęt – nawet za zdobyczne niemieckie mauzery – według cen bieżących. Z czasem uzgodniono 50-procentowy rabat, na przykład za ważne dostawy artylerii przesłane z magazynów Armée d’Orient w Salonikach i w Galacie. Za mniej więcej 20 milionów franków zakupiono we Włoszech 100 tysięcy austriackich karabinów ręcznych (mannlicherów) oraz partię samolotów typu balilla.

Rząd Stanów Zjednoczonych przyznał Polsce kredyt w wysokości 56 milionów dolarów na zakup sprzętu pozostawionego we Francji przez armię amerykańską.

Główny problem zaopatrzeniowy Polski polegał jednak na przetransportowaniu tych zakupów do kraju. W grę wchodziły jedynie trzy trasy; dwie kolejowe: przez Włochy (Turyn-Wiedeń-Kraków) i przez Niemcy (Koblencja-Chociebuż-Leszno), oraz droga morska do Gdańska. Pierwszą trasę często blokowała Czechosłowacja, drugą w maju 1920 roku zamknęli Niemcy, trzecia zaś była najpierw blokowana przez strajki gdańskich dokerów, a w końcu – w sierpniu 1920 roku – została przerwana przez Czerwoną Kawalerię.

Rosja sowiecka, rzecz jasna, nie mogła liczyć na bezpośrednią pomoc z zagranicy. Wyposażenie Armii Czerwonej było więc albo dziełem robotników i chłopów, albo zostało zdobyte na wrogach. Zanim pod koniec 1919 roku zajęto Donbas, w Rosji działały jedynie dwa znaczące zakłady zbrojeniowe: w Tule i w Symbirsku. Miesięcznie nie wytwarzały nawet 50 tysięcy karabinów ręcznych dla armii, która w lipcu 1919 roku liczyła 2 miliony ludzi. Bardziej skomplikowanego sprzętu właściwie nie produkowano. Pierwszy silnik lotniczy został wykonany przez Sowietów dopiero w czerwcu 1920 roku. Całkowita liczba nowo wybudowanych bądź wyremontowanych samolotów wyniosła pod koniec 1920 roku 426 sztuk. Ponieważ przed rokiem 1920 potrzeby Frontu Zachodniego liczyły się najmniej, stan wyposażenia i zaopatrzenia musiał tam być zdecydowanie gorszy niż po stronie polskiej. Trzeba jednak pamiętać o tym, że wiano ofiarowane Denikinowi przez Brytyjczyków (wartości 100 tysięcy funtów) trafiło w znacznej mierze w ręce bolszewików. Tym samym alianci mimowolnie wspomagali obie strony konfliktu.

W okresie tajnych negocjacji i potem siły stacjonujące po obu stronach frontu polsko-sowieckiego zostały istotnie uzupełnione. Polacy, mniej zaabsorbowani innymi sprawami,

zdobyli na tym polu przewagę. Choć ogólna liczba ich żołnierzy wzrastała coraz bardziej, to jednak obsada linii frontu została znacznie zredukowana. W ten sposób powstały rezerwy taktyczne, które skoncentrowano w Wilnie, Grodnie i Kamieńcu Podolskim, oraz rezerwy strategiczne w głębi Polski. Zajęcie przez Polskę Pomorza (zakończone w lutym 1920 roku) oraz przybycie na Górny Śląsk i do Cieszyna alianckich garnizonów plebiscytowych oznaczało zwolnienie kolejnych jednostek. Naturalnym biegiem rzeczy w odpowiedzi na nowe rozlokowanie wojsk zmieniono strukturę dowodzenia. Rozkazem z 19 marca 1920 roku znacznie podniesiono status Naczelnego Dowództwa. Piłsudski, jako wódz naczelny, otrzymał rangę marszałka. Generał Stanisław Haller został mianowany szefem Sztabu Generalnego. Cztery odrębne „fronty" wschodnie zyskały miano „armii". Front Białoruski stał się 1. Armią pod dowództwem generała Zygadłowicza; Front Poleski – 4. Armią generała Szeptyckiego; Front Wołyński – 2. Armią generała Listowskiego; wreszcie Front Wschodniogalicyjski – 6. Armią generała Iwaszkiewicza. Minister spraw wojskowych generał Leśniewski odpowiadał za dziesięć dywizji, które nadal wyposażano i szkolono na tyłach.

Fundamentalnym czynnikiem, który zadecydował o takiej koncentracji polskich wojsk, był respekt dla przytłaczających rozmiarów Rosji sowieckiej. W oczach Polaków nadchodząca wojna przypominała bój Dawida z Goliatem. Przetrwanie Polski było zatem uzależnione od skuteczności pierwszego uderzenia, które udaremniłoby wystarczającą mobilizację ogromnych rezerw Rosji. Szybkie uderzenie oznaczało kampanię na południu, ponieważ zima kończyła się tam wcześniej. Szczegóły takiej ofensywy zawierał plan przygotowany w lutym 1919 roku przez kapitana Tadeusza Kutrzebę z biura planowania.

Odpowiedni rozkaz znajduje się w liście z Oddziału i Naczelnego Dowództwa datowanym na 22 grudnia 1919 roku. Instruował on ministra spraw wojskowych, by do 1 kwietnia doprowadzić armię do stanu gotowości, dzięki czemu mogłaby nie tylko odeprzeć potencjalne ataki bolszewików, ale „też w sposób decydujący wpłynąć na ostateczne uregulowanie kwestii rosyjskiej"[67].

Przygotowania Sowietów rozpoczęły się z opóźnieniem. Front Zachodni był długo lekceważony. Autorzy stalinowscy mieli wprawdzie w zwyczaju twierdzić, że przebiegły zdrajca Trocki wzmocnił ten front po to, żeby spowodować klęskę wojsk sowieckich na tych odcinkach, na których działał Stalin, lecz teza ta nie znajduje potwierdzenia w faktach. Na pewno po utracie Wilna w kwietniu 1919 roku Armia Czerwona nie miała żadnych rezerw. Mimo rzekomych knowań Trockiego jeden z pułków 8. Dywizji liczył zaledwie 40 ludzi. Aż do końca roku Front Zachodni nie odczuł też żadnych korzyści z wydanego 1 lipca dekretu o stworzeniu regularnej i jednolitej Armii Czerwonej. Dzięki powołaniu do wojska rocznika 1900 oraz specjalnemu poborowi robotników, kolejarzy, członków partii i kryminalistów wiosną 1919 roku powstała armia licząca dwa miliony trzysta tysięcy ludzi, wzmocniona w lutym 1920 roku o kolejne pięćset pięćdziesiąt tysięcy poborowych z rocznika 1901. Jednakże na zachód wysłano bardzo niewielu z tych rekrutów – jeśli w ogóle. Połączono więc armie 15. (Łotewską), 16. (Zachodnią) i 12. (Wołyńską) pod dowództwem Rady Wojennej zjednoczonej Komendy Frontu Zachodniego w Smoleńsku, a jedyne uzupełnienie stanowił kontyngent Łotyszów do walki z Denikinem oraz bataliony robotniczo-chłopskie. Od Nowego Roku sytuacja ulegała jednak radykalnej zmianie. Polski wywiad tak przedstawił wzrost sowieckiego stanu posiadania na froncie polskim:

1 stycznia 1920	4 dywizje piechoty	1 brygada jazdy
1 lutego 1920	5 dywizji piechoty	5 brygad jazdy
1 marca 1920	8 dywizji piechoty	4 brygady jazdy
1 kwietnia 1920	14 dywizji piechoty	3 brygady jazdy
15 kwietnia 1920	16 dywizji piechoty	3 brygady jazdy
25 kwietnia 1920	20 dywizji piechoty	5 brygad jazdy*

*T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska 1920 roku*, Warszawa 1937, s. 45.

Posiłki skierowano głównie do 15., 3. i 16. Armii w sektorze północnym; 12. i 14. Armia na południu były relatywnie słabe. Dwa główne rejony koncentracji to Witebsk i Orsza – naprzeciw odcinka Berezyny, oraz Homel i Mozyrz na Polesiu.

Szczegóły rozlokowania sowieckich jednostek zostały ustalone 10 marca w Smoleńsku na spotkaniu generała Gittisa, komendanta Frontu Zachodniego, z Siergiejem Kamieniewem, nowym głównodowodzącym Armii Czerwonej. Zaakceptowali oni plan przygotowany przez Szaposznikowa, dowódcę departamentu operacyjnego Armii Czerwonej. Zgodzili się, że główne zagrożenie dla Rosji sowieckiej stanowi Polska. Zakładali skoncentrowanie do kwietnia piętnastu dywizji (99 tysięcy ludzi) nad Berezyną, trzech dywizji na Polesiu (27 tysięcy) i czterech na Wołyniu (39 300), kiedy to w kierunku Wilna i Lidy miała ruszyć wielka ofensywa. Front Południowo-Zachodni miał natomiast pozostać w obecnej obsadzie do momentu translokacji 1. Armii Konnej z Kaukazu. Siły polskie miały zostać związane na Polesiu, aby uniemożliwić im zatrzymanie głównego natarcia sowieckiego na północy bądź przeprowadzenie kontrnatarcia na południu[68].

Na początku marca Polacy postanowili odebrać bolszewikom Mozyrz. Przez ten węzeł kolejowy przechodził cały ruch z Polesia do Rosji oraz linia rokadowa o kluczowym znaczeniu łącząca Witebsk z Żytomierzem. 5 marca 9. Dywizja Piechoty pod dowództwem Sikorskiego ruszyła w dwóch kolumnach na wschód. Ciężki ostrzał artyleryjski prowadzony z pociągu pancernego zaskoczył garnizon, który nie miał kiedy wezwać pomocy. Mozyrz został wzięty wieczorem piątego, Kalenkowicze – szóstego, Szachiłki – siódmego. Zdobyto znaczne łupy, między innymi kilka dnieprzańskich kanonierek, działa oraz pociąg pancerny.

Furia, z jaką 19 marca Sowieci wyprowadzili ze Żłobina nieudany kontratak, świadczy o ich wściekłości. Użyli nawet samolotów i czołgów. Te ostatnie były produkcji

brytyjskiej: zostały zdobyte pod Piotrogrodem na Judeniczu i specjalnie przetransportowane z północy.

Zarówno Polacy, jak i Sowieci wykorzystali pierwsze miesiące 1920 roku na gorączkowe przygotowania do wojny. Taki stan rzeczy poważnie zaniepokoił polityków. Każda za stron zakładała, że działania drugiej są dowodem agresywnych zamiarów. Dziejopisarze powtarzają te sugestie. Historycy antykomunistyczni uważają, że koncentracja na tym obszarze przez Rosję sowiecką przeważających sił usprawiedliwia przygotowania Polaków do ataku wyprzedzającego. Z kolei historycy komunistyczni argumentują, że do napaści na Rosję przygotowywała Polaków ententa. Żaden z tych sądów nie jest sprawiedliwy. Armie mają wszak obowiązek przygotowywać się do zadania klęski nieprzyjacielowi. W sytuacji, gdy walki toczyły się już od roku, polskie i sowieckie dowództwa byłyby winne rażącego zaniedbania obowiązków, gdyby nie podjęły odpowiednich przygotowań. Od generałów oczekuje się skuteczności w walce. To politycy, jeśli potrafią, powinni schwytać psy wojny i utrzymać je na smyczy.

* * *

Jedyna kwestia, którą rozstrzygnięto zimą z 1919 na 1920, dotyczyła stosunków Polski z ententą. Ententa zdecydowała, że nie poprze polskiej ofensywy na Rosję sowiecką, choć wspomagała wcześniej Kołczaka i Denikina. Warto przyjrzeć się tej kwestii uważnie, ponieważ była ona w owym czasie opacznie rozumiana przez polityków, a do dnia dzisiejszego jest opacznie rozumiana przez historyków.

Historycy sowieccy nieodmiennie zakładają, że polskie ofensywy stanowiły integralną część interwencji aliantów. W sowieckiej historiografii wojna polsko-bolszewicka określana jest jako *trietij pochod antanty* („trzecia kampania ententy"). Kołczak, Denikin i Piłsudski występują tu jako trzej niegodziwi wujaszkowie omamieni jeden po drugim przez ententę, żeby zaatakowali Rosję. Piłsudski spiskuje tu z Wranglem, tak jak Kołczak knuł z Siemionowem, a Denikin z Judeniczem. Organizatorami i mocodawcami polskiej kampanii są imperialiści z Wielkiej Brytanii, Francji i ze Stanów Zjednoczonych, których misje wojskowe aktywnie przygotowują polską armię do napaści i zaopatrują ją w żywność, broń i pieniądze. Polska zawsze pojawia się tu jako *panskaja Polsza*, Polacy zaś nigdy nie są po prostu Polakami, lecz *Biełopolakami*.

Autorstwo tego osobliwego melodramatu można przypisać konkretnie Stalinowi, który po raz pierwszy użył wyrażenia *trietij pochod antanty* w długim artykule poświęconym periodyzacji wojny domowej (opublikował go w „Prawdzie" 25 maja 1920 roku). W czasach stalinowskich tekst ten został jeszcze upiększony i podniesiony do rangi wersji oficjalnej. Pomimo kilku nieśmiałych prób zakwestionowania prawdziwości tej wizji jest ona nadal obowiązująca w historiografii radzieckiej[69]. Zdobyła od początku uznanie i wciąż może wydawać się pociągająca dlatego, iż wśród aliantów znajdowali się ludzie, którzy chętnie odegraliby przypisane im role. Wszelako pragnienia i rzeczywiste osiągnięcia tych postaci to dwie różne rzeczy. Nie udało im się bowiem dopiąć swego. Po części dlatego, że Piłsudski uparcie odmawiał współpracy, ale głównie na skutek mistrzowskiej wolty w polityce aliantów przeprowadzonej pod koniec 1919 roku przez Lloyda George'a.

Pozycja Lloyda George'a wymaga pewnych wyjaśnień. Nie był on despotycznym

dyktatorem. Był przywódcą mniejszości w rządzie koalicyjnym, który musiał się bardzo liczyć z przeciwnymi opiniami konserwatywnych kolegów, takich jak Churchill i Curzon. Posługiwał się sprytem, a nie siłą, co wymagało czasu. Aż do początków 1920 roku – momentu wycofania się Amerykanów z Rady Najwyższej aliantów i utraty władzy przez Clemenceau we Francji – nie miał specjalnych wpływów wśród alianckich przywódców. Choć tak samo jak wszyscy nienawidził systemu sowieckiego, to jednak w głębi serca podziwiał rewolucjonistów. Lord Curzon już wcześniej zauważył, iż „kłopot z premierem polega na tym, że on sam jest trochę bolszewikiem. Można odnieść wrażenie, że za jedyną bratnią duszę na arenie międzynarodowej uznaje Trockiego”[70]. Lloyd George nie mógł zapobiec interwencji, ale konsekwentnie twierdził, że jest to marnowanie czasu i pieniędzy. Uważał bowiem, że interwencja wzmocni pozycję bolszewików, ponieważ rozbudzi w narodzie rosyjskim naturalną nienawiść do obcych. Proponował natomiast, by zagłaskać bolszewizm na śmierć: wznowienie wymiany handlowej oznaczałoby gospodarczą *prosperity* w Rosji – korzystną dla aliantów – a zarazem kres chaosu i nędzy, na których żerują bolszewicy. Choć swój osobisty sprzeciw wobec interwencji zgłosił już 16 kwietnia 1919 roku, kiedy to stwierdził w Izbie Gmin, że wolałby „raczej, by Rosja przyjęła bolszewizm, niż Brytania ogłosiła bankructwo”, lecz stanowisko to zostało przyjęte przez jego gabinet dopiero w listopadzie, a przez całą ententę w styczniu 1920 roku.

W miarę jak interwenci ponosili klęski, pozycja Lloyda George’a była coraz mocniejsza. Jesienią 1919 roku, gdy wydatki Brytanii w Rosji wynosiły już 94 miliony funtów – bez widocznych rezultatów – udało mu się przekonać gabinet, aby odmówił Churchillowi dalszych funduszy. 9 listopada, przemawiając na dorocznym bankiecie w Guildhall, ogłosił nową inicjatywę: projekt wznowienia handlu z Rosją. 12 grudnia wraz z Clemenceau poparł statyczną koncepcję „kordonu sanitarnego” wokół Rosji sowieckiej – w przeciwieństwie do poprzedniej, aktywnej strategii interwencji. Wreszcie 16 stycznia na konferencji w Paryżu udało mu się przekonać alianckich przywódców do podjęcia „wymiany handlowej z narodem rosyjskim, z jednoczesnym utrzymaniem bojkotu bolszewickiego rządu”[71]. To właśnie wydarzenie sprowokowało słynny komentarz „New York Timesa”: „Ten błyskawiczny zwrot w polityce światowej nosi wyraźny podpis artysty [...] pana Lloyda George’a, który wykonuje swoje błyskotliwe improwizacje ze zręcznością górskiej kozicy”[72]. Od tego momentu Lloyd George był jedynym twórcą polityki aliantów.

Analogicznej zmianie uległy stosunki aliantów z Polską. W 1919 roku interwenci zakładali, że Polska – jako kraj sprzymierzony – wspomoże ich wysiłki. Oczekiwali zwłaszcza, że Polska będzie współpracować z Denikinem. We wrześniu Paderewski przedstawił projekt, zgodnie z którym polska armia, licząca pół miliona żołnierzy, ruszy na Moskwę, jeśli alianci pokryją koszty ofensywy (milion funtów dziennie). Jednakże Rada Najwyższa na posiedzeniu 15 września kategorycznie odrzuciła tę propozycję. Clemenceau sprzeciwił się, ponieważ jego zdaniem w razie polskiej inwazji po stronie bolszewików stanęłaby cała Rosja; Lloyd George „zaproponował, by poinformować Paderewskiego, że mocarstwa alianckie są przeciwne temu projektowi”; F. Polk ze Stanów Zjednoczonych stwierdził, że jego kraj „nie będzie szukał funduszy na sfinansowanie tej wojny”[73]. W październiku, jak już powiedzieliśmy, rząd brytyjski odmówił Polsce pomocy wojskowej.

8 grudnia Rada Najwyższa zaaprobowała tymczasową granicę między Polską a Rosją, którą nazwano później „linią Curzona”[74]. 12 grudnia – zgodnie z koncepcją „kordonu sanitarnego” – Polsce przydzielono rolę „bariery dla Rosji i zapory przeciw Niemcom”[75]. Ostatecznie wyjaśniono sprawę 15 stycznia, kiedy to polski minister spraw zagranicznych Stanisław Patek osobiście złożył wizytę Lloydowi George’owi. Sekretarz Lloyda George’a tak zanotował przebieg ich rozmowy:

> Przy śniadaniu premier spotyka się z Patkiem. Ekstrawaganckie roszczenia w kwestii polskich granic bierze za dowód, że szykuje się wczesna ofensywa. Ostrzega przed konsekwencjami takich prowokacyjnych działań. Uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności[76].

Po kolejnym spotkaniu, które odbyło się 26 stycznia, gabinet zatwierdził następujące zasady brytyjskiej polityki:

1. Państwa kresowe muszą same przyjąć odpowiedzialność za wojnę i pokój.
2. Rząd JKM nie mógł zalecać wojny, ponieważ tym samym wziąłby na siebie obowiązki, którym nie mógłby sprostać.
3. Wielka Brytania żywi uczucia najszczerszej przyjaźni wobec Polski[77].

Ściśle rzecz biorąc, alianci usiłowali zniechęcić Polskę do ataku na Rosję, a jednocześnie wyposażali ją w środki obrony. Formalnie nie zakazali ofensywy; podkreślali wszelako, iż nie może ona uzyskać ich poparcia.

Aliancka pomoc wojskowa dla Polski była przykrojona do celów obronnych. Francuska pożyczka wojskowa w wysokości 375 milionów franków może się wydawać ogromna. W rzeczywistości była to jednak skromna suma. Nie wystarczyłaby na pokrycie jednodniowych kosztów utrzymania armii francuskiej podczas wojny światowej. Zgodnie z szacunkami Paderewskiego z września 1919 roku, kwota ta pokryłaby jedynie koszty pięciotygodniowej aprowizacji i umundurowania istniejącej armii polskiej. Była równa jednej szóstej wydatków brytyjskich poniesionych w 1919 roku na armię Denikina. Żaden poważny ekspert od logistyki nie powie, że 375 milionów franków mogło być przeznaczone na sfinansowanie polskiej inwazji na Rosję. Ponadto aliancka pomoc dla Polski była skierowana raczej przeciw niemieckiemu rewanżyzmowi niż przeciw bolszewickiej rewolucji. Polska miała wszak być „barierą dla Rosji i zaporą przeciw Niemcom”, a nie zaporą przeciw Rosji i barierą dla Niemiec. Tego samego dnia, kiedy Rada Najwyższa odrzuciła przedstawiony przez Paderewskiego projekt użycia w Rosji polskiej armii przeciw bolszewikom, zaaprobowała użycie tej armii – w razie konieczności – w państwach bałtyckich przeciw Niemcom[78].

Rzecz jasna, nie wolno nie doceniać niezależności Piłsudskiego od ententy. Niewątpliwie mógł przyjąć pomoc wojskową od aliantów i przeznaczyć ją na cele, którym się kategorycznie sprzeciwiali. Kiedy tylko próbowali określać warunki, pod jakimi są gotowi pomagać, Piłsudski odpowiadał, że Polska da sobie radę bez ich pomocy. Francja i Wielka Brytania przekonały się na własnej skórze, że Piłsudski nie toleruje żadnego wtrącania się, a już na pewno nie ze strony protekcjonalnych sojuszników. To on przewodził skrzydłu antyalianckiemu w polskiej polityce. Doszedł do władzy bez wiedzy i zgody ententy, a jego głównymi rywalami byli wtedy popierani przez aliantów endecy, których poczucie krzywdy zostało tylko częściowo złagodzone przez kompromis, jakim był koalicyjny rząd Paderewskiego. Złożona 30 listopada 1919 roku rezygnacja Paderewskiego

– będąca w dużej mierze skutkiem tego, że premier nie potrafił zasypać przepaści między polityką Piłsudskiego a żądaniami aliantów – rozpoczęła okres dominacji Naczelnika nad słabymi ministrami. W chwilach najgłębszej frustracji rządy alianckie były skłonne wierzyć, że Piłsudski sprzymierzył się z Leninem[79].

Nie wolno również zapominać – co równie ważne – o poczuciu klaustrofobii panującym w Rosji. Ani społeczeństwo, ani bolszewiccy przywódcy nie zdawali sobie sprawy z niuansów polityki aliantów. Wiedzieli tylko, że Rosja sowiecka jest otoczona ze wszystkich stron przez armie, które dążą do jej zagłady. Ich przeświadczenie, że armie te działają w porozumieniu, było najbardziej naturalne w świecie.

Historycy sowieccy nadal podtrzymują teorię spisku mocarstw „imperialistycznych" z Polską w latach 1919-1920. Do takich konkluzji dochodzą dzięki rozumowaniu dialektycznemu. Wychodzą z założenia, że każda naukowa interpretacja wojny musi uwzględniać całkowity stosunek sił. Jednocześnie minimalizują rolę woli politycznej oraz indywidualnych przekonań. Argumentują, że Polska była nierozerwalnie powiązana z ententą pod względem ideologii, finansów, pomocy wojskowej oraz wspólnej wrogości do bolszewizmu. Utrzymują, że wszystko, co wzmacniało Polskę, automatycznie powiększało jej potencjał militarny, wykorzystany w walce z Rosją sowiecką. Na przykład działalność Amerykańskiej Rady Pomocy, która miała wyłącznie cywilny charakter, traktują jako bezcenny wkład w wysiłek wojenny Polski: bo skoro ARP dostarczała w latach 1919-1920 żywność i opiekę lekarską czterem milionom Polaków, to automatycznie własne zasoby polskie mogły być użyte na cele wojskowe. Argumentacja ta – ma się rozumieć – jest logicznie poprawna. Jej słabość polega na tym, że całkowicie pomija źródła działania politycznego i nie ukazuje rzeczywistej skali pomocy aliantów dla Polski w okresie wojny polsko-bolszewickiej. Powoływanie się na całkowity stosunek sił jest rezultatem błędnego założenia, że Polska korzystała ze wszystkich zasobów militarnych i ekonomicznych ententy, gdy w rzeczywistości udostępniono jej tylko mikroskopijny ułamek tych środków.

Rola misji wojskowych aliantów w Polsce jest pełna sprzeczności. Misja brytyjska w Warszawie była bardzo zażenowana, kiedy gabinet odrzucił polską prośbę o pomoc wojskową. Straciła prestiż i stoczyła się do poziomu źródła wywiadu wojskowego dla Ministerstwa Wojny na temat Rosji. Jej szef – generał Adrian Carton de Wiart VC (Victoria Cross) – był zmarnowanym atutem. Ten niezniszczalny wojownik – który stracił oko w Somali w 1898 roku i rękę pod Ypres, miał przestrzelone płuco w Afryce Południowej, czaszkę i nogę w kostce nad Sommą, dostał postrzał w biodro pod Passchendaele i w nogę w Cambrai – posiadał wszystkie kwalifikacje ku temu, aby wywrzeć wrażenie na polskich oficerach, z którymi miał współpracować. Był zamożnym arystokratą, kosmopolitą, katolikiem, bohaterem i wiecznym ryzykantem. Należał do nielicznego grona cieszącego się zaufaniem pełnego rezerwy Piłsudskiego. Po raz pierwszy przybył do Polski w lutym 1919 roku jako brytyjski członek misji aliantów do Galicji Wschodniej. Od tego momentu jego życie to seria przygód. Pewnego razu zdarzyło się, że razem z generałem Mannerheimem, przyszłym prezydentem Finlandii, sekundował w pojedynku w Klubie Myśliwskim w Warszawie; wkrótce potem został złapany na przemycie broni z Budapesztu ukrytej w wagonie sypialnym. W październiku 1919 roku rozbił swój samolot, lecąc nad Litwą; w maju 1920 rozbił się ponownie podczas lotu do Kijowa. W sierpniu 1920 roku odparł pod Mławą oddział kozackich maruderów ze stopni jadącego pociągu obserwacyjnego, przy czym uniesiony zapałem spadł w pewnej chwili na tory. Zgodnie z etosem tamtej epoki był

bardziej polski od Polaków. Po zakończeniu wojny pozostał w Polsce jako zwykły obywatel, oddając się polowaniu na kaczki jedną ręką w majątku na Polesiu, który podarował mu jego były adiutant książę Karol Radziwiłł.

Francuska Misja Wojskowa cieszyła się zupełnie inną reputacją niż brytyjska. Jej szef generał Henrys – w odróżnieniu od Cartona de Wiarta – był uważany przez polski sztab za wścibskiego idiotę. Piłsudski starannie go ignorował. Henrys był żądny *la gloire*: nie oglądając się na ostrzeżenia formułowane przez własny rząd w Paryżu oraz przez alianckich dyplomatów w Warszawie, na serio intrygował na rzecz polskiej ofensywy na wschodzie. W przeciwieństwie do swojego szefa misja francuska cieszyła się jednak znacznym szacunkiem i zdobyła niemałe wpływy dzięki działalności jej czterystu oficerów instruktorów. Rozmieszczono ich pośród kadr sztabowych i powierzono zadanie wyszkolenia korpusu oficerskiego w sztuce wojennej i w posługiwaniu się francuskimi regulaminami. Typowym reprezentantem tej grupy był młody kapitan Charles de Gaulle. Świeżo zwolniony z internowania w Ingolstadt w Bawarii de Gaulle był spragniony służby czynnej. W maju 1919 roku zaciągnął się do 5. Pułku Strzelców Polskich (Chasseurs Polonais) w Sillé-le-Guillaume i razem z armią Hallera przybył do Galicji Wschodniej. Po zakończeniu kampanii został przeniesiony do Rembertowa, gdzie w dawnej szkole Gwardii Cesarskiej wykładał teorię taktyki. W lipcu i sierpniu 1920 roku został na krótko wcielony do polskiej jednostki bojowej i awansowany do rangi majora. W 1921 roku zaoferowano mu w Polsce stały przydział, ale wolał rozwijać swoje idee i pogłębiać doświadczenia jako wykładowca dziejów wojskowości w Saint-Cyr we Francji.

* * *

Fiasko negocjacji w Mikaszewiczach w grudniu 1919 roku wywołało ożywienie na arenie politycznej. Wprawdzie obie strony nie zrezygnowały jeszcze ostatecznie z pokoju, ale zaczęły rozważać rozwiązania alternatywne.

Polityka Rosji sowieckiej przebiegała dwutorowo. Z jednej strony przedstawiono postulat natychmiastowego wzmocnienia Frontu Zachodniego. Po powrocie z Mikaszewicz do Moskwy Marchlewski podniósł alarm. W jego przekonaniu raporty o niskim morale w polskiej armii były znacznie przesadzone: „Jeśli Polacy będą chcieli teraz nacierać, to dojdą paradnym krokiem do Smoleńska i Homla”[80]. Lenin posłuchał ostrzeżenia. Nie czekając na ostateczną klęskę Denikina, wysłał do Rady Wojennej następującą notę:

> 27 lutego 1920. Wszystko wskazuje na to, że Polska przedstawi nam warunki, które będą absolutnie nie do przyjęcia albo nawet zgoła bezczelne. Trzeba więc skupić wszystkie wysiłki na wzmocnieniu Frontu Zachodniego. Uważam za konieczne podjęcie nadzwyczajnych środków, aby możliwie jak najszybciej przewieźć wszystko co się da z Syberii i Uralu na Zachodni Front. Należy rzucić hasło: „szykujcie się na wojnę z Polską”. Lenin[81]

Z drugiej strony, Sowieci rozwinęli dyplomatyczną „kampanię na rzecz pokoju”. 22 grudnia 1919 roku Komisariat Spraw Zagranicznych wysłał do Warszawy notę o następującej treści:

> Już w kwietniu ubiegłego roku rząd Rosji Sowieckiej złożył na ręce przedstawiciela Rzeczypospolitej Polskiej, pana Więckowskiego, wielokrotne zapewnienia o niezmiennym pragnieniu zakończenia rozlewu krwi między narodami Rosji i Polski. [...] Na nasze propozycje pokojowe nie otrzymaliśmy odpowiedzi, a w ciągu następnych miesięcy armia polska wkroczyła na terytorium republik sowieckich sprzymierzonych z Rosją Sowiecką.

Toteż rząd sowiecki z wielkim zdziwieniem dowiedział się o tym, iż 28 listopada w odpowiedzi na interpelację w Polskim Sejmie podsekretarz stanu Skrzyński oświadczył, że Republika Rosyjska nie tylko nigdy nie proponowała pokoju, ale nawet grozi Polsce inwazją. [...] Aby usunąć wszelkie nieporozumienia, rząd sowiecki potwierdza wcześniejsze zapewnienia o stanowczej woli zakończenia konfliktu z Polską. Rząd sowiecki składa formalną propozycję jak najszybszego rozpoczęcia negocjacji w celu zawarcia sprawiedliwego i trwałego pokoju.

Pokój między Polską i Rosją jest zasadniczym warunkiem rozwoju i dobrobytu obu krajów. [...] Rząd sowiecki wyraża nadzieję, że pokojowe intencje – podzielane przez większość obywateli Polski – przeważą, co ułatwi zakończenie działań wojennych, które służą wyłącznie obcym interesom.

Rząd sowiecki proponuje, by rząd polski wskazał miejsce i czas rozpoczęcia negocjacji w celu zawarcia traktatu pokojowego między obydwoma państwami.

Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych Cziczerin[82].

Ponieważ odpowiedź nie nadchodziła, 28 stycznia 1920 roku Cziczerin wysłał bardziej konkretną notę sygnowaną przez Lenina i Trockiego. Zawierała ona obietnicę, iż Armia Czerwona nie przekroczy linii pokrywającej się w ogólnych zarysach z ówczesnym przebiegiem frontu. Jednocześnie nakłoniono Centralny Komitet Wykonawczy Sowietów, aby zwrócił się z publicznym apelem do narodu polskiego. Apel kładł nacisk na wspólne interesy rosyjskiego i polskiego „ludu pracującego" oraz wspólne dzieje wojenne, mówił o obcym wyzysku i caracie. Zawierał również następującą deklarację:

My, przedstawiciele rosyjskiego proletariatu i chłopstwa, zawsze występowaliśmy otwarcie przed całym światem jako bojownicy o ideały komunizmu. Jesteśmy głęboko przekonani, że masy pracujące wszystkich krajów pójdą drogą, na którą wkroczył już lud roboczy Rosji.

Nasi wspólni wrogowie oszukują was, kiedy głoszą, że rząd Rosji Sowieckiej chce przynieść Polsce komunizm na bagnetach Armii Czerwonej. Ustrój komunistyczny jest możliwy tylko tam, gdzie zjednoczona większość ludu pracującego wyraziła pragnienie rozwoju pod własnym rządem. [...] w chwili obecnej komuniści Rosji pragną jedynie obronić własny kraj, ochronić pokojową i twórczą pracę. Nie myślą i nie mogą myśleć o narzucaniu siłą komunizmu obcym krajom. Przeobrażenie Polski w interesie mas pracujących trzeba uznać za zadanie tychże mas.

[Podpisano] Kalinin, Przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego[83].

Oświadczenie to dobrze pamiętano latem w Polsce.

Taktyka sowieckiej kampanii na rzecz pokoju wyrastała z głębokiego przekonania, że to rządy alianckie popychają niechętnego Piłsudskiego do wojny, a nie odwrotnie. Przeświadczenie to jest udokumentowane nie tylko w sowieckiej propagandzie, ale również w listach prywatnych, na przykład w korespondencji Marchlewskiego. Jednakże pogląd ten zupełnie nie uwzględniał radykalnej zmiany w polityce aliantów, do której niedawno doprowadził Lloyd George. Sowieckie noty starannie unikały jakichkolwiek napaści na Piłsudskiego. Ich celem była dyskredytacja tych aktorów na polskiej scenie politycznej, którzy byli powiązani z ententą (szczególnie Narodowej Demokracji), aby Piłsudski miał wolne ręce i mógł zawrzeć pokój z Rosją dzięki poparciu opinii publicznej, zwłaszcza radykalnej. Polityka ta była jednak całkowitym nieporozumieniem. Przywódcy bolszewiccy nie zdawali sobie sprawy z tego, że to właśnie Piłsudski – na którym większe wrażenie wywierały działania nieprzyjacielskich generałów niż słowa dyplomatów – popychał niechętnych aliantów do wojny.

Historycy polscy tradycyjnie wyjaśniają podwójną politykę Sowietów w kategoriach przyrodzonej „agresji bolszewickiej". Równie dobrze można ją jednak uznać za wyraz nader rzeczywistych bolszewickich obaw. Reakcje bolszewików były wszak uwarunkowane przez dwa lata blokady i nękania. Atakowano ich tak często, że automatycznie podnosili gardę, spodziewając się ciosu. Ich generałowie działali z typową

brawurą, a dyplomaci z równie typową mieszanką anielskiego spokoju i bezczelności. Takie były głęboko zakorzenione mechanizmy obronne bolszewików.

Sowiecka kampania na rzecz pokoju wywarła wśród polskich polityków efekt odwrotny do zamierzonego. Zamiast ułatwić *rapprochement* między Piłsudskim a lewicą, popchnęła Naczelnika w ramiona endecji. Notom sowieckim towarzyszyła w Polsce fala strajków zorganizowanych przez komunistów oraz hałaśliwa kampania prasowa na rzecz pokoju wszczęta przez socjalistów. Zawiedziona lewica zwróciła się przeciw rządowi. Wyglądało na to, że lokalni poplecznicy bolszewizmu chcą dokonać przewrotu w Rzeczypospolitej. Piłsudski nie miał więc innego wyboru, jak stłumić strajki, zignorować socjalistów i ścierpieć poklask ze strony partii, która nie podzielała bynajmniej jego rzeczywistych intencji.

Na wiosnę 1920 roku Piłsudski stanął przed rzeczywistym dylematem. Nie miał żadnej pewności, że jego armia wytrzyma, jeśli wojna będzie się przedłużać; nie miał żadnych iluzji co do jej losu, jeśli Armia Czerwona uderzy pierwsza. Niełatwo było mu zawrzeć pokój, dopóki mógł on być interpretowany jako ustępstwo na rzecz strajkujących; niełatwo było mu rozpocząć wojnę, nie okazując zarazem lekceważenia dla rad aliantów. Zarazem nie mógł ścierpieć grożenia wojną jako akompaniamentu do rozmów o pokoju. Jak powiedział korespondentowi „Le Petit Parisien”:

> Niestety to, co mogę dostrzec u bolszewików, nie robi na mnie wrażenia, że można by mówić o pokoju mającym pokojowe podstawy, ale przeciwnie – o pokoju, który bolszewicy chcą wydrzeć groźbą pięści. [...] Gdy mi przykładają nóż do gardła, doznaję uczucia przykrego. Otóż, nie jestem człowiekiem, z którym można rozmawiać w ten sposób. [...]
>
> Wiem, że bolszewicy koncentrują znaczne siły na naszym froncie. Popełniają błąd myśląc, że mogą nas w ten sposób zastraszyć i postawić nam rodzaj ultimatum. Nasze wojsko jest gotowe[84].

Wrodzony instynkt wojownika podpowiadał mu, że trzeba wywalczyć sobie drogę wyjścia z nieznośnego położenia. Gestem honorowym było walczyć i zginąć w boju. Piłsudski lepiej rozumiał względy militarne niż polityczne: wiedział, że Armii Czerwonej wystarczy osiem tygodni do zmobilizowania sił, które będą miały miażdżącą przewagę. W którymś momencie – w lutym lub w marcu – przełamał się w sobie i zdecydował na atak wyprzedzający, o którym od dawna myślał. Lecz wciąż wahał się i zastanawiał. Przygotowując się do wojny, zarazem przeciągał rozmowy pokojowe. Osiągnął identyczny stan niezdecydowania jak ten, w którym od miesięcy znajdowało się kierownictwo sowieckie.

W takich okolicznościach pokojowe noty Sowietów rozbijały się o mur nieufności. Żadna ze stron nie zamierzała przerwać wojennych przygotowań w geście dobrej woli. Polski minister spraw zagranicznych Stanisław Patek był przynaglany do udzielenia definitywnej odpowiedzi – wpierw 22 lutego w komunikacie Ukraińskiej Republiki Rad, a następnie 6 marca w monicie z Moskwy[85] – ale najwyraźniej nie wiedział, co ma odpisać. W końcu zdecydował się, wysyłając 27 marca notę oznaczoną *Très urgent* w odpowiedzi na pismo Cziczerina z 22 grudnia[86]. Zaproponował, by *pourparlers* rozpoczęły się 10 kwietnia w Borysowie nad Berezyną, który był polskim przyczółkiem frontowym. W odpowiedzi Cziczerin wysunął żądanie zawieszenia broni i domagał się innego *rendez-vous*, najlepiej w Estonii[87]. Od tego momentu korespondencja przerodziła się w bezsensowny spór o to, czy Borysów jest, czy też nie jest odpowiednim miejscem do rozmów. 20 kwietnia w Warszawie i 23 kwietnia w Moskwie wydano oświadczenia, w

których każda ze stron obwinia drugą o fiasko negocjacji[88]. Wprawdzie MSZ w Warszawie przygotowało własne warunki pokojowe, lecz nigdy nie zakomunikowało ich Moskwie. Również strona polska nie otrzymała z Moskwy żadnych informacji na temat warunków sowieckich poza niepokojącą wiadomością, że linia demarkacyjna z 28 stycznia nie jest już do przyjęcia[89]. Fiasko proponowanych rozmów wstępnych w Borysowie często przedstawia się jako moment przełomowy na drodze ku wojnie. Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Korespondencja między Cziczerinem a Patkiem była kunsztowną grą, która służyła utwierdzeniu zawodowych dyplomatów w przekonaniu, że nie są zupełnie zbędni. Od dawna bowiem stracili kontrolę nad biegiem wypadków. Nawet gdyby – dla formalności – polscy i sowieccy negocjatorzy spotkali się w Borysowie, to trudno wyobrazić sobie, by w panującej wówczas atmosferze głębokiej nieufności mogli dojść do jakiegokolwiek porozumienia.

Już w połowie kwietnia polska armia została postawiona w stan gotowości. Czternastego wszyscy oficerowie zostali odwołani z akademii wojskowych i skierowani na front. Siedemnastego Sztab Generalny wydał wojsku rozkaz zajęcia wysuniętych pozycji w ciągu tygodnia.

Armia Czerwona była gorzej przygotowana. Choć jej liczebność gwałtownie rosła, to ostateczne przegrupowanie – wyznaczone rozkazem Rady Wojennej Frontu Zachodniego z 10 marca – nie zostało jeszcze ukończone. Dowództwo Frontu Zachodniego wciąż czekało na swoje oddziały szturmowe. 1. Armia Konna (Konarmia), która w lutym zepchnęła Denikina „do morza” w rejonie Noworosyjska, rozpoczęła marsz na zachód dopiero 1 kwietnia. Miała do przebycia ponad tysiąc pięćset kilometrów. Armia Czerwona potrzebowała co najmniej ośmiu tygodni, by osiągnąć stan pełnej gotowości. Ta zwłoka dawała Polakom nadzieję na ocalenie.

* * *

Tymczasem Piłsudski zaczął rozwiązywać stary problem prywatnej dyplomacji. W swoim przekonaniu tworzył właśnie federację państw kresowych – i ogromnie potrzebował wspólnika. Nie szczędził wysiłków, aby go znaleźć. Jeszcze we wrześniu wysłał generała Karnickiego do sztabu Denikina, aby wysondować możliwości współpracy. Misja trwała kilka miesięcy i była usilnie wspierana przez Londyn: najpierw Churchill przysyłał listy, a następnie do Warszawy przyjechali generał-major Greenly (w listopadzie) i sir Halford Mackinder (w grudniu). Wkrótce jednak okazało się, że „Wielka Nadzieja Białych” nie ma najmniejszego zamiaru popierać nawet polskiej niepodległości, nie wspominając już o całej federacji dezerterujących prowincji rosyjskich. W styczniu 1920 roku Piłsudski przeniósł uwagę na konferencję państw bałtyckich w Helsinkach. Jego delegaci poparli projekt zawarcia antybolszewickiej konwencji wojskowej. Piłsudski pozostawał w przyjaznych stosunkach z Finlandią, której prezydent – Mannerheim – dobrze znał Polskę z okresu, kiedy był carskim generałem, a do tego niedawno odwiedził stare kąty w Warszawie. Pozycja Piłsudskiego na Łotwie była wysoka dzięki kampanii dźwińskiej. Lecz Estonia, która 2 lutego zawarła pokój z Sowietami, do Polski żywiła uczucia najwyżej letnie, podczas gdy Litwa, niepocieszona po zajęciu Wilna przez Polaków, była otwarcie wroga. Litwini zaczynali rozumieć, że ich jedyną szansą na odzyskanie Wilna jest sojusz z Sowietami. I tym razem, choć konferencja ciągnęła się kilka

miesięcy, jej obrady pozostały bezowocne. Między 16 a 20 stycznia Piłsudski przyjął Sawinkowa i Czajkowskiego – przedstawicieli delegacji rosyjskiej księcia Lwowa w Paryżu. Chociaż panowie ci byli nieco bardziej rozsądni niż Denikin, to wieści o wycofaniu się jego armii do Batajska pozbawiły ich prawa do reprezentowania jakiejkolwiek władzy w Rosji poza obszarem Krymu. Wkrótce potem Piłsudski przyjął Take Ionescu, ministra spraw zagranicznych Rumunii, który wprawdzie wyrażał ogólnie sympatię, ale nie chciał prowokować Sowietów udziałem w jakiejś antybolszewickiej kampanii. Na początku lutego Piłsudski wysłał do Gruzji Tytusa Filipowicza, aby poznać stanowisko rządów mieńszewickich na Kaukazie. Okazało się jednak, że kaukaskie państwa walczą o przetrwanie. Kiedy w kwietniu Azerbejdżan został podbity przez czerwonych, Armenia i Gruzja znalazły się w pułapce. Jedynym potencjalnym sojusznikiem, z którym być może Piłsudski nie próbował nawiązać kontaktu, był Nestor Machno: jego anarchistyczne bandy niedawno nękały tyły Denikina na południowej Ukrainie i niewykluczone, że chętnie odegrałyby tradycyjnie kozacką rolę – zbójeckiego sojusznika Polski w walce z Moskalami. Tym sposobem, drogą eliminacji, Piłsudskiemu pozostał Symon Petlura.

Polityczna biografia Petlury była w istocie jakąś bladą wersją biografii Piłsudskiego. Petlura był ukraińskim patriotą, oddanym przede wszystkim sprawie niepodległości swojego kraju; żywił poglądy socjalistyczne i radykalne; potępiał wyzysk Ukrainy przez rosyjskich obszarników i cudzoziemskich kapitalistów; był tak samo politykiem, jak i wojownikiem, który broni swoich ideałów z szablą w dłoni. Ruch, któremu przewodził, wyłonił się w 1917 roku w Kijowie po rewolucji lutowej. W styczniu 1918 roku jego Dyrektoriat miał swoich przedstawicieli na konferencji w Brześciu i przez pewien czas był uznawany przez bolszewików za prawowitego reprezentanta Ukrainy. W roku 1919 Petlura przegrywał w wojnie domowej ze wszystkimi kolejnymi frakcjami, by skończyć wpierw w enklawie w Kamieńcu Podolskim, a ostatecznie pod opieką Polaków. Przez trzy lata politycznego żywota nie zdołał poradzić sobie z żadnym wyzwaniem, które przed nim stanęło. W 1918 roku został pokonany przez ukraińskich komunistów, odsunięty od władzy przez Niemców, a jego wojska zdziesiątkował Denikin. Krytyką zagranicznych inwestycji obudził nieufność Francuzów obawiających się nacjonalizacji, Anglicy zaś ubolewali nad jego walką z Denikinem. Wśród wszystkich frakcji istniejących na Ukrainie Petlura mógł się poszczycić najmniejszą przebojowością i najskromniejszą liczbą zwolenników. Jego jedyną zaletą było to, że przeżył. Ze swoimi lśniącymi czarnymi włosami – zgrabnie zaczesanymi do tyłu, z eleganckim przedziałkiem – i absurdalną czapką brytyjskiego oficera Petlura był – wypisz, wymaluj – wybijającym się kapralem, a właśnie kogoś takiego potrzebował Piłsudski. Zimą z 1919 na 1920 czerwony walec ponownie przetoczył się przez Ukrainę: w grudniu padł Kijów, w styczniu – Rostów, w lutym – Odessa. Pszeniczne ziemie Ukrainy były najcenniejszym spichlerzem Europy Wschodniej, a węglowo-hutnicze zagłębie Donbasu jej najbardziej imponującym kompleksem przemysłowym. Dzięki Ukrainie Rosja sowiecka mogła odbudować ekonomiczną i polityczną hegemonię imperium carskiego; bez niej byłaby tylko północnym marnym kadłubkiem niezdolnym wyżywić i wyposażyć swojego narodu. Dzięki Ukrainie federacja kresowa Piłsudskiego miałaby realną szansę na przetrwanie i *prosperity*. Polska – jako kraj naczelny – mogłaby kierować siecią handlową rozciągającą się od Finlandii po Bliski Wschód. Mogłaby odzyskać sławę starodawnych dziejów, kiedy to była – albo

przynajmniej opowiada się, że była – arbitrem na obszarach rozleglejszych niż Cesarstwo Rzymskie, panowała nad Kozakami i Tatarami, przepędzała łaszące się książęta moskiewskie do ich legowiska. Bez Ukrainy państwa kresowe byłyby niczym więcej niż kolcami na drucie alianckiego kordonu.

Dokładne wskazanie momentu, w którym Piłsudski zdecydował się na alians z Petlurą, ma istotne znaczenie. Otóż stało się to o wiele później, niż sądzi większość historyków. Nie było to od dawna zaplanowane posunięcie, ale raczej spóźniony pomysł. Kiedy 17 kwietnia 1920 roku Piłsudski wydał kluczowy rozkaz ofensywy na Kijów, nie pertraktował jeszcze z Petlurą. Jako żołnierz z krwi i kości najpierw przygotował wojsko, potem ruszył do ataku i dopiero wtedy zaczął się zastanawiać nad politycznymi detalami. Był przekonany, że armia polska jest w stanie zdobyć Kijów. Ale co wtedy? Polacy nie mogli przecież okupować Ukrainy; nie mogli też gonić za Armią Czerwoną w głąb Rosji. Musieli znaleźć kogoś, kto utworzyłby i utrzymał niepodległe państwo ukraińskie zaprzyjaźnione z Polską.

Piłsudski wszedł w sojusz z Petlurą w stanie umysłu podróżnika, który przemierza Saharę i jest gotów wynająć dowolne zwierzę z garbem. Polscy federaliści domagali się federacji; nowy polski pan Ukrainy potrzebował zarządcy. Ataman Petlura – stale odrzucany przez Piłsudskiego w jego długich poszukiwaniach sojusznika – teraz, na pięć przed dwunastą, stał się oficjalnym sprzymierzeńcem Polski.

Porozumienie polityczne zostało podpisane 21 kwietnia 1920 roku w Warszawie:

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej z jednej strony i Rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej z drugiej strony – w głębokim przeświadczeniu, że każdy naród posiada przyrodzone prawo samostanowienia [...] zgodziły się na następujące postanowienia:

I

Uznając prawo Ukrainy do niezależnego bytu państwowego na terytorium w granicach, jak będą one na północ, wschód i południe określone na zasadzie umów Ukraińskiej Republiki Ludowej z graniczącymi z nią z tych stron sąsiadami – Rzeczpospolita Polska uznaje Dyrektoriat niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej z głównym atamanem panem Simonem Petlurą na czele za zwierzchnią władzę Ukraińskiej Republiki Ludowej.

II

Granice między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową zostają określone w sposób następujący: na północ od rzeki Dniestru, wzdłuż rzeki Zbrucz, a następnie wzdłuż byłej granicy między Austro-Węgrami a Rosją do Wyszegródka, a od Wyszegródka na północ przez Wzgórza Krzemienieckie, a następnie po linii na wschód od Zdołbunowa, następnie wzdłuż wschodnich granic administracyjnych powiatu równieńskiego, dalej na północ wzdłuż granicy byłej guberni mińskiej do przecięcia jej przez rzekę Prypeć, a następnie Prypecią do ujścia jej. Co do powiatów równieńskiego, dubieńskiego i części krzemienieckiego, które obecnie przypadają Rzeczypospolitej Polskiej, nastąpi później ściślejsze porozumienie [...].

III

Rząd Polski przyznaje Ukrainie terytoria na wschód od linii granicznej wymienionej w art. II niniejszej umowy – do granic Polski z 1772 roku (przedrozbiorowej), które Polska już posiada lub odzyska od Rosji drogą orężną lub dyplomatyczną.

IV

Rząd Ukraiński zobowiązuje się nie zawierać żadnych umów międzynarodowych skierowanych przeciwko Polsce, do tego samego zobowiązuje się Rząd Rzeczypospolitej Polskiej wobec Ukraińskiej Republiki Ludowej.

V

Prawa narodowo-kulturalne, jakie Rząd Polski zabezpieczy obywatelom narodowości ukraińskiej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, będą w nie mniejszym stopniu zabezpieczone obywatelom narodowości polskiej w granicach Ukraińskiej Republiki Ludowej i odwrotnie.

VI

Zostają zawarte umowy ekonomiczno-handlowe między Rzecząpospolitą Polską i Ukraińską Republiką Ludową.

Sprawa agrarna na Ukrainie będzie rozwiązana przez konstytuantę. Do chwili zwołania konstytuanty prawne stanowisko właścicieli ziemskich polskiej narodowości na Ukrainie określa się na zasadzie specjalnego porozumienia między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową.

VII

Zostanie zawarta konwencja wojskowa, która stanowi część integralną niniejszej umowy. [...]

Kierownik Ministerstwa
Spraw Zagranicznych UNR
Andrzej Liwicki

Kierownik Ministerstwa Spraw
Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej
Jan Dąbski[90]

Porozumienie gospodarcze, rzecz jasna, nigdy nie zostało zrealizowane; istnieje jednak jego szkic, który pokazuje, co zamierzano[91]. Rząd polski chciał zagwarantować wolny przepływ towarów, rozbudowę sieci komunikacyjnej oraz zapewnić sobie kilka korzystnych koncesji. Polska miała importować z Ukrainy bez ograniczeń żywność, rudę żelaza i manganu, złom, szmaty, wełnę, fosforyty, szczecinę, skóry, cukier, len, konopie oraz inwentarz; Ukraina z kolei miała importować maszyny rolnicze, narzędzia, naftę i wyroby włókiennicze. Rząd polski miał otrzymać koncesje w Karnawatce i w Kołaczewskoje – dwóch ważnych kopalniach rudy żelaza w Krzywym Rogu – oraz pierwszeństwo w eksploatacji złóż fosforytów w Wańkowce na Podolu. Przedstawiono szczegółowe plany, których realizacja umożliwiłaby polskim pociągom korzystanie z istniejącej na Ukrainie sieci kolejowej; zamierzano również wybudować trzy nowe linie. Polska miała otrzymać koncesje na korzystanie z portów w Chersonie, Mikołajowie i Odessie, a pomiędzy Wisłą i Dnieprem miało powstać połączenie wodne. Wszystkie polskie koncesje miały być przyznane w postaci 99-letniej dzierżawy. Trudno więc mówić o próbie skolonizowania Ukrainy przez Polskę. Wszelako wobec faktu, że w następnej dekadzie Krzywy Róg miał się okazać jednym z najbogatszych złóż rudy na świecie, Dniepropietrowsk zaś filarem sowieckich pięciolatek, warto by pospekulować, co mogłoby się zdarzyć, gdyby znalazły się one w rękach Polaków.

Konwencja wojskowa została podpisana 24 kwietnia[92]. Mówiła o wspólnych operacjach, o podporządkowaniu polskiemu dowództwu wszystkich sił ukraińskich aż do Dniepru, o aprowizacji wojska polskiego na terytorium Ukrainy przez Ukraińców, o uzbrojeniu armii ukraińskiej przez Polaków oraz o ostatecznym wycofaniu wszystkich sił polskich. Tak jak w wypadku umowy politycznej, dokument ten zdradzał, że przygotowywano go w pośpiechu.

Dla Piłsudskiego umowy z Ukrainą były nieodzownym, rytualnym błogosławieństwem miecza. Nie mógł jednak czekać, aż zostaną wprowadzone w życie. 22 kwietnia przybył do swojej kwatery głównej w Równem. Nim atrament zdążył wyschnąć na traktatach, ofensywa już ruszyła. Nosorożec zaszarżował.

[41] *List do Perla przed wyprawą na Bezdany*, w: J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 2, Warszawa 1937, s. 299.

[42] Rumbold do Philipa Kerra, 29.12.1919, w: Rumbold's Papers; Rumbold do Curzona, 7.11.1920, FO 371 3599/2524.

[43] L. Trocki, *Moje życie*, tłum. J. Barski, S. Łukomski, Warszawa 1930, s. 508.

[44] A. Juzwenko, *Misja Marchlewskiego w 1919 roku na tle stosunków polsko-radzieckich*, w: *Z badań nad wpływem i znaczeniem rewolucji rosyjskich dla ziem polskich*, red. H. Zieliński, Wrocław 1968, s. 55.

[45] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 235.

[46] Tamże, nr 240.

[47] Juzwenko, dz. cyt., s. 76.

[48] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 229.

[49] Marchlewski do Trockiego, 28.11.1919, w: *The Trotsky Papers*, t. 1, nr 426; I. Deutscher, *The Prophet Armed. Trotsky 1879-1921*, Oxford 1954, s. 458.

[50] Juzwenko, dz. cyt., s. 81.

[51] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 271.

[52] Juzwenko, dz. cyt., s. 78-79.

[53] PRO-WO 106/967 G 1285.

[54] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 236.

[55] Tamże, nr 254.

[56] Tamże, nr 266.

[57] Tamże, nr 246.

[58] Tamże, nr 260.

[59] Tamże, nr 322.

[60] Tamże, nr 224.

[61] Tamże, nr 212 [„z głębokim przekonaniem, że lud polski godzi się złożyć daninę krwi, by utrzymać pokój światowy oparty na zasadach kongresu wersalskiego"].

[62] Tamże, nr 222.

[63] Churchill do Paderewskiego, 24.10.1919. AAN-AIJP 777. Niewytłumaczalne pominięcie tego kluczowego dokumentu sprawia, że reszta korespondencji opublikowana w *Dokumentach i materiałach...* przestaje być zrozumiała.

[64] PRO-Cab 23/14 War Cabinet 634 (4) 16.10.1919.

[65] PRO-Cab 23/14 War Cabinet 633 (6) 22.10.1919.

[66] PRO-Cab 23/18 C 12 App II (6) 25.11.1919; także PRO-Cab 24/99 CP 716, 23.02.1920.

[67] Juzwenko, dz. cyt., s. 84-85.

[68] N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925, s. 71.

[69] J.W. Stalin, *Nowyj pochod Antanty na Rossiju*, „Prawda", 25.05.1920; F.G. Zujew, *Mieżdunarodnyj impierializm organizator napadienija panskoj Polszy na Sowietskuju Rossiju, 1919-20 gg.*, Moskwa 1954; najnowsze omówienie i potwierdzenie tej wersji znaleźć można w pracy N.N. Azowcewa i W.P. Naumowa, *Izuczenije istorii wojennoj intierwiencji i graždanskoj wojny w SSSR*, „Istorija SSSR" 1970, nr 6, s. 18-19.

[70] Curzon do A.J. Balfoura, 10.02.1918, BM Add. MSS 49734/44.

[71] PRO-Cab 23/20 6/20.

[72] „New York Times", 18.01.1920.

[73] *Dokumenty i materiały...*, t. II, s. 349.

[74] Tamże, nr 269.

[75] Tamże, s. 491.

[76] Lloyd George Papers, F/201/1/9.

[77] PRO-Cab 23/20 C 7 (1920), 29.01.1920.

[78] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 203.

[79] Millerand dał wyraz tym obawom na konferencji w Lympne, 8.08.1920: PRO-Cab 23/22 46 (20); Hankey wyraził je ponownie, PRO-Cab 24 CP 1723.

[80] *Dokumenty i materiały...*, t. II, s. 504.

[81] Tamże, t. II, nr 331.

[82] Tamże, nr 279.

[83] Tamże, nr 311.

[84] „Le Petit Parisien", 6.03.1920, wywiad z 28.02.1920, cyt. za: J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 5, Warszawa 1937.

[85] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 329, 341.

[86] Tamże, nr 360.

[87] Tamże, nr 361.

[88] Tamże, nr 378, 380.

[89] Tamże, nr 341.

[90] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 379.

[91] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 14.

[92] *Dokumenty i materiały...*, t. II, nr 381.

Rozdział trzeci
INWAZJA NA UKRAINĘ

Wraz z wyprawą kijowską dochodzimy do momentu, kiedy to wojna polsko-bolszewicka – jak się na ogół przyjmuje – miała „wybuchnąć". W tej kwestii brytyjscy autorzy beztrosko powielają rosyjskie uprzedzenia. Tym samym udają, że w 1919 roku, gdy wojna miała kluczowe znaczenie tylko dla Polski, tak naprawdę jej nie było; kiedy zaś w 1920 roku wojna stała się nader istotna również dla Rosji, nagle odkrywają, że „wybuchła". Na przykład E.H. Carr jest w kwestii polskiej konsekwentnie niefrasobliwy – zresztą nieprzypadkowo. Carr odwiedził bowiem Polskę w 1920 roku jako obserwator z ramienia alianckiej Rady Ambasadorów i w swoim raporcie radził przełożonym, by „nie traktowali nowych narodów Europy zbyt poważnie"; informował ich, że wydarzenia w tej części świata „należą zasadniczo do sfery farsy"[93]. Nic zatem dziwnego, że kiedy po trzydziestu latach Carr pojawia się ponownie, tym razem w roli wybitnego historyka zajmującego się Rosją sowiecką, należy do tych, którzy mówią o „wybuchu wojny z Polską w maju 1920 roku"[94].

Wyprawa kijowska zdecydowanie poszerzyła skalę, przyspieszyła tempo i podniosła stawkę wojny. Jej przebieg był niepowtarzalny – trudno go unaocznić za pomocą map i wykresów. Na pewno operacja ta była wyraźnie większa niż działania podejmowane w roku poprzednim. Lecz w porównaniu ze zmasowanymi ruchami wojsk podczas wojny światowej, a nawet późniejszymi kampaniami z 1920 roku była drobnym i przelotnym incydentem. Stanowi ona przykład wojny granicznej w formie czystej. Decydowały szybkość i zaskoczenie. Pewien polski weteran powiedział: „Pędziliśmy przez całą drogę do Kijowa i pędziliśmy przez całą drogę powrotną".

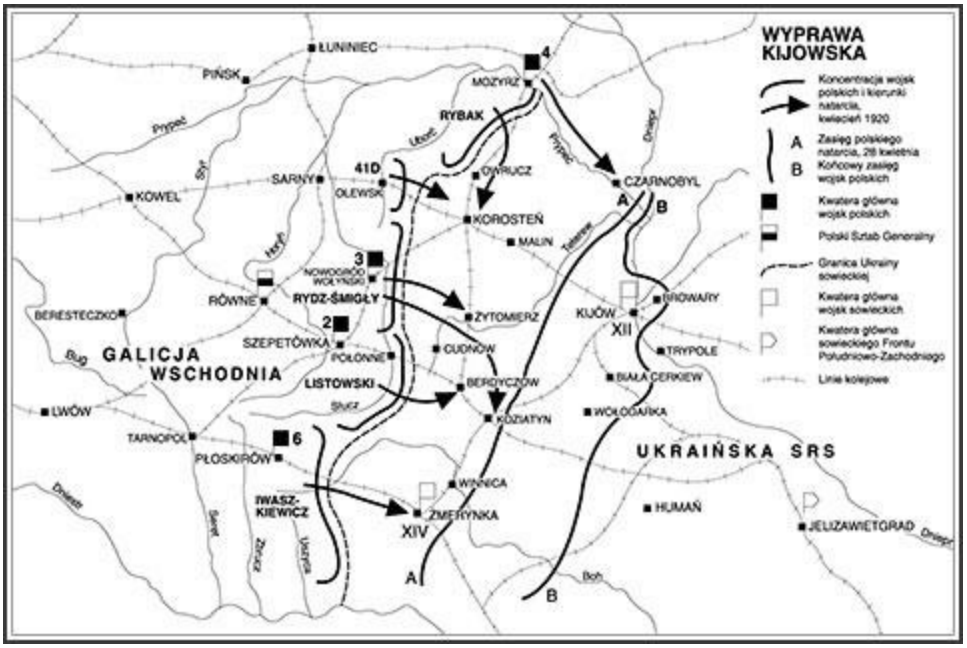

Nie da się ustalić z jakąkolwiek dozą pewności relacji sił w kwietniu 1920 roku na Ukrainie. Nie znały jej nieprzyjacielskie sztaby i po wojnie przez długi czas kwestionowały dane przeciwnika. Według Kakurina i Mielikowa 20 marca Armia Czerwona dysponowała na Froncie Południowo-Zachodnim 82 847 ludźmi, z czego jedynie 28 568 było żołnierzami „walczącymi" (*bojcy*). Przeciw Polakom wystawiono dwie armie: 12. i 14. Pierwsza, licząca 13 731 „bagnetów" (piechurów) i 1663 „szabel" (kawalerzystów), nie była jednostką silną, podczas gdy druga, która posiadała 4590 bagnetów i 204 szable, nie dorównywała liczebnością nawet przyzwoitej dywizji[95]. Według Kutrzeby wojsko polskie miało przewagę trzech dywizji. Sowieccy autorzy pracy *Graždanskaja wojna* (1930) podają, że przewaga bojowa Polaków wynosiła 52 tysiące do 12 tysięcy[96]. Trzeba jednak pamiętać o tym, że ogólna liczebność wojsk nie miała znaczenia, skoro w teatrze działań wojennych na jeden kilometr kwadratowy przypadało mniej niż trzech żołnierzy. Wystarczy wiedzieć, że koncentracja wojsk polskich była więcej niż adekwatna do postawionych im celów.

Siły polskie podzielono na pięć zgrupowań. Na północy – na Polesiu – 4. Dywizja Piechoty wraz z grupą pułkownika Rybaka pozostawały w kontakcie z 4. Armią. W centrum znajdowało się zgrupowanie 3. Armii generała Rydza-Śmigłego w Nowogrodzie oraz 2. Armia generała Listowskiego w Szepetówce. Z tyłu – w Rohaczewie – znajdowały się dwie brygady z dywizji kawalerii generała Romera. Na południu – nad Dniestrem – stała 6. Armia generała Iwaszkiewicza. Główną jednostkę szturmową miała stanowić grupa uderzeniowa Rydza-Śmigłego – złożona z 1. Dywizji Legionowej, 7. Dywizji Piechoty i 3. Dywizji Kawalerii, wspomagana przez artylerię, trzy plutony wozów pancernych i dwie kolumny transportowe – podczas gdy kawaleria generała Romera miała przeprowadzić pierwszy atak taktyczny skierowany na węzeł kolejowy w Koziatynie. Leżący naprzeciw obszar między Prypecią a Bohem, niemal 250 kilometrów, był kontrolowany przez sowiecką 12. Armię Mieżeninowa ze sztabem w Kijowie. Maleńka 14. Armia Uborewicza, ze sztabem w Żmerynce, strzegła Dniestru.

Trudności Sowietów poważnie pogłębił bunt, który wybuchł w przededniu ofensywy w dwóch z trzech czerwonoarmijnych brygad galicyjskich. Wzniecili go Ukraińcy z Galicji Wschodniej rekrutowani poprzedniego roku do walki z Polakami. Skierowano ich jednak w okolice Chmielnika, gdzie „premier" Petlury Izaak Mazepa utrzymywał jeszcze resztki władzy Dyrektoriatu. Kiedy 23 kwietnia jedna z ukraińskich dywizji Petlury została pchnięta na front w ramach 2. Armii polskiej, Galicjanie zdecydowali, iż więzy narodowej solidarności są silniejsze niż bolszewicka dyscyplina. 2. Brygada Galicyjska, która wchodziła w skład 12. Armii, przeszła *en masse* na stronę polską. 3. Brygada Galicyjska, stacjonująca w rezerwie 14. Armii w Winnicy, zaatakowała swoich rosyjskich towarzyszy broni. Bunt objął około 11 tysięcy ludzi. Stanowili oni poważną część sił sowieckich, które w krytycznym momencie zostały całkowicie sparaliżowane[97].

Buntowi towarzyszyła fala partyzanckiej dywersji na sowieckich tyłach. Kutrzeba szacuje, że po rozbiciu Denikina na Ukrainie Zachodniej działało wciąż około 12 tysięcy nieregularnych „białych". Jeszcze groźniejsze były anarchistyczne bandy Nestora Machny, które grasowały w rejonie Hulajpola na wschód od Dniepru. W tym czasie Machno był u szczytu kariery. Pod jego dowództwem znajdowało się około 55 tysięcy ludzi, którzy niedawno zmasakrowali tyły Denikina, a teraz zwrócili się przeciw Sowietom. 25 kwietnia pod Marianką nad Dońcem wycięli w pień pułk ukraińskiej Trudarmii („Armii ludu

pracującego"). Masowe wysadzanie mostów w rejonie Kijowa groziło zablokowaniem sowieckiego transportu, 12. Armia była więc zmuszona przeprowadzić serię operacji przeciw tym jednostkom, aby zabezpieczyć swoje linie komunikacyjne.

Słaba pozycja 12. i 14. Armii stała się dziwnym trafem przyczyną ich ocalenia. Kiedy 25 kwietnia Piłsudski przeszedł do ofensywy, Sowieci nie byli zdolni do stawienia oporu. 26 kwietnia o świcie 3. Armia Rydza-Śmigłego wpadła do Żytomierza – po przebyciu 90 kilometrów w 24 godziny. Zmotoryzowane kolumny, jadące po polnych drogach zamiast po bitych traktach, całkowicie zaskoczyły nieprzyjaciela. Tego samego dnia do Korostenia wkroczyła grupa pułkownika Rybaka. Dwudziestego siódmego generał Listowski dotarł do Berdyczowa; w tym samym czasie kawaleria Romera wtargnęła do Koziatyna. Na wieść o sukcesach w centrum ruszyły oddziały znajdujące się na skrzydłach: 4. Armia z Polesia podeszła pod Czarnobyl, a na południu 6. Armia zajęła Żmerynkę. Sowieci przeprowadzili kilka akcji na tyłach – w Malinie i Cudnowie nad Teterewem – co opóźniło o jeden dzień marsz generała Listowskiego, oraz w Koziatynie, gdzie bez powodzenia usiłowali ratować swoją artylerię. Ich straty były poważne. Pod Malinem 7. Dywizja Strzelców straciła czterdzieści procent żołnierzy, gdy zaatakowała bagnetami polską brygadę kawalerii. Zapanował nieopisany chaos. 44. Dywizja Strzelców utraciła wszelki kontakt ze sztabem, artylerią i zapasami amunicji. Dwa dni później znaleziono błąkające się niedobitki. Dowództwo 12. Armii w Kijowie straciło łączność z jednostkami frontowymi. Towarzysz Murałow, armijny oficer polityczny, został dwudziestego ósmego wysłany samolotem, aby je zlokalizować. Pomijając jednak kilka poważnie przetrzebionych oddziałów, trzon wojsk sowieckich wycofał się bez strat. Gdyby były lepiej przygotowane, mogłyby zaryzykować opór, narażając się tym samym na zupełne rozbicie.

Z polskiej perspektywy sukces kampanii był tylko połowiczny. Zdobyto wprawdzie ogromny pas terytorium, ale nie udało się złapać nieprzyjaciela w pułapkę. Polacy wbili klin między 12. a 14. Armię i otworzyli sobie drogę na Kijów, lecz znaleźli się niejako w próżni. Zarządzili postój, żeby zorientować się w sytuacji, a następnie przegrupowali siły w centrum. Połączono grupy Rydza-Śmigłego i Rybaka, przy czym 7. Dywizję Piechoty zastąpiła 15., która wyróżniła się pod Cudnowem. Oczekiwano, że sowiecka 12. Armia pozbiera rozproszone oddziały, dzięki czemu stanie się celem godnym ataku.

Nie doczekano się jednak. Gdy po tygodniu odpoczynku Polacy wznowili natarcie, nie znaleźli ani śladu wroga. Mieżeninow, który zdał sobie sprawę z atutów przymusowego odwrotu, postanowił kontynuować go dobrowolnie. Patrol polskich szwoleżerów znalazł się w Kijowie już 3 maja: żołnierze dojechali z północnych przedmieść do centrum zdobycznym tramwajem, wzięli do niewoli zdumionego sowieckiego oficera, który stał na przystanku, i wycofali się równie szybko jak przyjechali. 12. Armia ewakuowała się z Kijowa 6 maja, a następnego ranka główne siły polskie przemaszerowały ulicami, których nikt nie bronił. Żołnierze w lufach karabinów mieli zatknięte kwiaty; kolumny wojskowe i transportowe przedefilowały pośród mieszkańców, którzy zajmowali się zakupami i nie zwracali większej uwagi na piętnastą zmianę władzy w ciągu trzech lat. Na wiszącym moście spinającym Dniepr doszło do starcia, lecz po krótkiej wymianie ognia 1. Dywizja Legionowa przeszła przez rzekę i zajęła lewobrzeżny przyczółek sięgający 15 kilometrów w głąb terytorium nieprzyjaciela. Po raz pierwszy od dwóch i pół stuleci wojsko polskie przeszło triumfalnie przez Złote Wrota Kijowa.

Piłsudski wyraził zadowolenie. Stwierdził, że prawobrzeżna Ukraina została zajęta

kosztem 150 zabitych i 300 rannych. Najbardziej bolesną, osobistą stratą była dla niego śmierć jego adiutanta Stanisława Radziwiłła, szefa sztabu 7. Brygady, który został przebity bagnetem w trakcie natarcia bolszewików pod Malinem. Mimo to, jak Piłsudski później przyznał, były powody do niepokoju. Zdobycie Kijowa okazało się bowiem wątpliwym triumfem. Piłsudski wkroczył do pustej stolicy Rusi – nawet nie po swoim Borodinie. Gdyby Polacy pozostali w Kijowie przez miesiąc lub dwa, z trudem zdobyta inicjatywa przeszłaby w ręce Sowietów. Gdyby chcieli atakować dalej, nie mieli dokąd pójść. Zaledwie 100 kilometrów za Dnieprem znajdowało się nieszczęsne *memento* przypominające o tych wszystkich, którzy w przeszłości nacierali dalej – pole pod Połtawą.

* * *

Łatwiej było zdobyć Ukrainę, niż nią zarządzać. Choć Polacy przyszli tu jako wyzwoliciele, wkrótce stali się „okupantami". Nie budzili ani entuzjazmu, ani wrogości. Zdaniem brytyjskiego obserwatora wojskowego, który przebywał w mieście, o wiele chętniej widziano w Kijowie zarówno Polaków, jak i bolszewików niż Denikina[98].

Polska okupacja prawobrzeżnej Ukrainy nie miała wiele cech wspólnych z działaniami Polaków na Białorusi. Nie próbowano tu rozmieszczać garnizonów; na olbrzymich obszarach, zwłaszcza na Zaporożu, wojska polskie nigdy się nawet nie pojawiły. Ani Straż Kresowa, ani urzędnicy ZCZW nie otrzymali tu żadnych zadań. „Odezwa do Obywateli Ukrainy" Piłsudskiego była znacznie mniej ambitna od proklamacji wydanej niemal równo rok wcześniej w Wilnie:

> Do wszystkich mieszkańców Ukrainy!
>
> Wojska Rzeczypospolitej Polskiej na rozkaz mój ruszyły naprzód, wstępując głęboko na ziemię Ukrainy. Ludności ziem tych czynię świadomem, że wojska polskie usuną z terenów przez naród ukraiński zamieszkałych obcych najeźdźców, przeciwko którym lud ukraiński powstał z orężem w ręku, broniąc swych sadyb przed gwałtem, rozbojem i grabieżą.
>
> Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, by władzę na ziemiach tych mógł objąć prawny rząd ukraiński. Z chwilą, gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen – żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej Polskiej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów.
>
> Razem z wojskami polskimi wracają na Ukrainę szeregi walecznych jej synów pod wodzą atamana głównego Symona Petlury, które w Rzeczypospolitej Polskiej znalazły schronienie i pomoc w najcięższych dniach próby dla ludu ukraińskiego.
>
> Wierzę, że naród ukraiński wytęży wszystkie siły, by z pomocą Rzeczypospolitej Polskiej wywalczyć wolność własną i zapewnić żyznym ziemiom swej ojczyzny szczęście i dobrobyt, któremi cieszyć się będziecie po powrocie do pracy i pokoju.
>
> Wszystkim mieszkańcom Ukrainy bez różnicy stanu, pochodzenia i wyznania wojska Rzeczypospolitej Polskiej zapewniają ochronę i opiekę.
>
> Wzywam naród ukraiński i wszystkich mieszkańców tych ziem, aby znosząc cierpliwie ciężary, jakie trudny czas wojny nakłada, dopomagali w miarę sił swoich wojsku Rzeczypospolitej Polskiej w jego krwawej walce o ich własne życie i wolność.
>
> Józef Piłsudski
>
> Wódz Naczelny Wojsk Polskich
>
> 26 kwietnia 1920 r. Kwatera Główna[99]

Całą politykę pozostawiono w rękach Petlury. Brytyjski ambasador w Warszawie zapewniał Londyn, że „Polacy nie zostaną na Ukrainie dłużej, niż będą musieli. Ziemianie nie mają wpływu na bieg wydarzeń. W rządzie ukraińskim nie ma polskich ministrów"[100]. Przesadą jest teza, powtórzona między innymi przez E.H. Carra, że na Ukrainie podjęto

próbę stworzenia „państwa satelickiego w ramach polskiego imperium”[101].

Petlura absolutnie nie nadawał się do powierzonego mu zadania. Polacy dali mu sześć tygodni na zorganizowanie administracji i sformowanie armii. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że odniósł na tym polu jakieś sukcesy. Jego rząd był niemile widziany zarówno przez Machnę w centralnej Ukrainie, przez Wrangla na Krymie, jak i przez przywódców bolszewickiej Ukrainy w Charkowie. Ostatecznie nie przetrwał nawet sześciotygodniowego okresu próbnego.

Jeżeli nie uważa się Piłsudskiego za kompletnego politycznego analfabetę, trzeba zaakceptować pogląd, iż po prostu posłużył się on Petlurą, by zyskać na czasie. Niewątpliwie byłby uradowany, gdyby ukraiński ruch narodowy odniósł sukces – ale na to nie liczył. Chodziło mu przede wszystkim o to, aby Polska zyskała czas i przestrzeń przed nachodzącą walką na śmierć i życie z Sowietami. Zachowanie polskich sił na Ukrainie potwierdza ten wniosek. Po zajęciu Kijowa Polacy starannie unikali jakiejkolwiek politycznej aktywności. Odwrócili się do Ukrainy plecami i przegrupowali szeregi, aby stawić czoło zagrożeniom nadchodzącym z północy. Grupę uderzeniową Rydza-Śmigłego rozwiązano. 2. Armia została całkowicie zlikwidowana. Pozostałości po 3. i 6. Armii oraz dywizję kawalerii Romera połączono w jedną grupę pod dowództwem generała Listowskiego. Nie były to rozkazy wojskowego dowództwa, które naprawdę zamierza wspierać na nowo zdobytym terytorium słabego sojusznika politycznego.

* * *

Stolice Europy przyjęły okupację Kijowa z radością, ale i niechęcią. Każdy kolejny cios zadany znienawidzonym bolszewikom budził zadowolenie. Ale następny *fait accompli* Piłsudskiego sprzeczny z sugestiami przywódców alianckich był kamieniem obrazy. Lloyd George tak skomentował to wydarzenie: „Polacy mają skłonność do arogancji; będą musieli uważać, żeby nie dostać po głowie”[102].

W Londynie rząd brytyjski odmówił oficjalnych komentarzy. Lloyd George przebywał za granicą na konferencji w San Remo. Churchill zachowywał posępne milczenie: był wściekły, że Piłsudski postanowił wejść na Ukrainę w pojedynkę, skoro jesienią mógł ją zaatakować z lepszym skutkiem razem z Denikinem[103]. Curzon, minister spraw zagranicznych, był zakłopotany. Swoją odmową złożenia publicznego oświadczenia sprowokował ostry konflikt z lordem Robertem Cecilem, współzałożycielem Ligi Narodów, który wniósł oficjalny protest w związku z „godnymi ubolewania wypadkami [...] w Europie Środkowej”, gdzie „od miesięcy Polska otwarcie przygotowywała się do napaści na Rosję”[104]. Curzon odpowiedział, że nie można przecież odwoływać się do Ligi w obronie Sowietów, skoro Sowieci jej nie uznają. „W każdym razie epizod ten nie jest aktem wojennej agresji; stanowi on jedynie kolejny etap wojny, która toczy się już od pewnego czasu”[105]. Ta prywatna korespondencja została przesłana lordowi Northcliffe’owi i opublikowana 17 maja w „The Times” ku ogromnej irytacji Curzona. Co gorsza, poinformowano o niej przebywającego w Paryżu Paderewskiego[106]. Prawdopodobieństwo brytyjskiego poparcia dla wyprawy kijowskiej było zawsze niewielkie, ale próba wywarcia nacisku na Curzona podjęta przez Cecila wykluczyła je całkowicie. Jedynym okruchem reakcji była depesza gratulacyjna z okazji święta

narodowego Rzeczypospolitej Polskiej przesłana 3 maja na ręce Piłsudskiego przez króla Jerzego V.

W Paryżu rząd francuski również powstrzymał się od komentarzy. Konflikt interesów z Wielką Brytanią, do którego mogło dojść z powodu Polski, był raczej potencjalny niż rzeczywisty. Nowy rząd Milleranda znalazł się pod naciskiem przeciwnych stron: skrajne żądania stawiali zarówno wojskowi, jak i radykalna lewica. Na początku maja doszło do serii masowych strajków. W tej sytuacji Millerand był zadowolony, że może pozostawić politykę aliantów w rękach Lloyda George'a.

Kampania kijowska wznieciła jednak również gromkie protesty. Komitet „Ręce precz od Rosji" zaczął odnosić w tym czasie swoje pierwsze sukcesy. 9-10 maja „Jolly George", statek wyładowany sprzętem wojskowym zakupionym w Anglii przez rząd polski, został zbojkotowany przez londyńskich dokerów. Delegacja brytyjskiej Partii Pracy, która właśnie powróciła z Moskwy, dołączyła do chóru oburzonych. Chociaż krzyk podniósł się wielki, to na tym etapie wydarzeń jego wpływ na politykę rządu był minimalny.

W Warszawie okupacja Kijowa wywołała nagły przypływ entuzjazmu. Sejm wystosował do Piłsudskiego telegram następującej treści:

> Wieść o świetnym zwycięstwie, jakie odnosi żołnierz polski pod Twoim, Naczelniku, dowództwem, napawa radosną dumą cały naród polski. Za ten krwawy i bohaterski trud, który zbliża nas do upragnionego pokoju i kładzie nowe podwaliny pod potęgę państwa polskiego – Sejm w imieniu wdzięcznej Ojczyzny śle Tobie, Wodzu Naczelny, i bohaterskiej armii serdeczną podziękę[107].

Piłsudski powrócił do Warszawy 18 maja na okolicznościowe przyjęcie i uroczystą mszę świętą. Protestowali jedynie polscy komuniści. Pochody pierwszomajowe w Warszawie, Łodzi i Częstochowie przerodziły się w demonstracje antypaństwowe. 26 kwietnia w Poznaniu strajk kolejarzy rozwinął się w trwającą tydzień regularną bitwę z władzami. Sukcesy na froncie wschodnim wyzwoliły tłumione emocje zarówno wśród zwolenników, jak i przeciwników rządu.

* * *

Po sowieckiej stronie frontu zajęcie Kijowa wywołało konsternację i oszołomienie, które jednak szybko minęły. Polska ofensywa była zupełnym zaskoczeniem – na co wskazuje nieprzygotowanie 12. i 14. Armii – a jej cel polityczny nie był bynajmniej jasny. Sowieci zdawali sobie sprawę z tego, że Petlura jest politycznym zerem, i nie wierzyli, że wytrawny gracz, jakim jest Piłsudski, może sądzić inaczej. Rychło doszli do przekonania, że mają do czynienia z jakimś działaniem pozorowanym.

W przemówieniu z 29 kwietnia Lenin rozważał dwa możliwe wyjaśnienia. Z jednej strony celem kampanii mogło być odwrócenie uwagi od Wrangla na Krymie, na co wskazywał kierunek działania – na południe. Z drugiej strony mogło chodzić o przeszkodzenie Armii Czerwonej na zachodzie w jej przygotowaniach. „Powinniśmy zrozumieć – powiedział – że zrobiono to w celu wzmocnienia bariery i pogłębienia przepaści, które dzielą nas od proletariatu Niemiec"[108]. Powyższe słowa świadczą o tym, że Lenin miał nadzieję ową barierę przekroczyć.

Pomijając pierwsze zaskoczenie, przywódcy bolszewiccy nie okazywali rzeczywistego zaniepokojenia kampanią kijowską. Lenin zapewniał swoich towarzyszy, że

powinni „przyjąć tę nową awanturę z pełnym spokojem”[109]. Bolszewicy zawsze mogą liczyć na poparcie mas pracujących Europy i wyjdą z tych tarapatów jako zwycięzcy. Kalinin, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego Sowietów, ujął rzecz jeszcze dobitniej:

> Sądzę, że polscy panowie, maszerujący na państwo sowieckie, kopią tylko swój grób. [...] Uważam, że w ciągu miesiąca polska szlachta poczuje na sobie ciężki młot rosyjskiej klasy robotniczej; a jeśli my wymierzymy pierwszy cios, to polski proletariat wymierzy drugi i ostateczny. [...] Zachodni kapitaliści próbują udusić Rosję polskimi rękami; ale ich jedynym osiągnięciem będą narodziny kolejnej republiki sowieckiej, dzięki której wejdziemy w bezpośredni kontakt z proletariatem Zachodu[110].

W kręgach wojskowych przyjęto z ulgą fakt, że cios padł tam, gdzie padł. Siergiej Kamieniew, głównodowodzący Armii Czerwonej, określił go jako „dogodny”. W rozkazach z 29 kwietnia do Dowództwa Południowo-Zachodniego zalecał, by armia polska została zachęcona do dalszego natarcia i w ten sposób „zawisła w próżni”. Chodziło o „przytrzymanie” Polaków w Kijowie, żeby dać Armii Czerwonej czas na zakończenie własnej ofensywy na północy[111].

Zupełnie inaczej wyglądała reakcja bolszewickich przywódców na forum publicznym. Ofensywa polska włożyła im w ręce atuty moralne i polityczne, których nie wolno było zmarnować. Kijów nie znajdował się wprawdzie na obszarze Republiki Rosyjskiej, tylko Ukraińskiej, ale i tak rzucono hasło obrony Rosji. Apel Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej z 29 kwietnia nie wzywał po prostu mas pracujących do obrony Republiki Sowieckiej, lecz został skierowany do „wszystkich robotników, chłopów i szanownych obywateli Rosji” – tego ogromnego, nieokreślonego, mistycznego imperium, które rewolucja miała wszak unicestwić. W ten sposób trafiał zarówno do patriotów starej daty, jak i nowomodnych rewolucjonistów. Apel obfitował w odwołania do dawnych konfliktów i obcych inwazji; zawierał aluzje do lat 1610, 1812 i 1914:

> Szanowni obywatele! Nie możecie zezwolić na to, by bagnety polskich panów decydowały o losie narodu rosyjskiego. Polscy panowie z właściwą sobie bezczelnością wielokrotnie pokazali, że nie obchodzi ich, kto rządzi Rosją, ale zależy im tylko na tym, by Rosja była słaba i bezradna[112].

Po klęsce Kołczaka i Denikina pojawił się pokaźny wolny kapitał w postaci patriotycznie nastawionej opinii publicznej, która była gotowa odpowiedzieć na wezwanie do jedności. Komuniści ukraińscy – od trzech lat nieprzejednani wrogowie ukraińskiego nacjonalizmu – teraz nawoływali całe społeczeństwo do obrony ukraińskiej „ojczyzny”. Zarazem jednak bolszewicy starannie dbali o to, by nie zapomniano o istnieniu wroga klasowego. Lenin zaproponował wydanie następującej dyrektywy:

> wszystkie artykuły o Polsce i wojnie polskiej powinni przeglądać odpowiedzialni redaktorzy i osobiście za nie odpowiadać. Nie przesadzać, tzn. nie wpadać w szowinizm, zawsze odróżniać panów i kapitalistów od robotników i chłopów Polski[113].

Stąd wzięła się ta osobliwa (osobliwa pół wieku temu) mieszanka rosyjskiego nacjonalizmu i sowieckiego internacjonalizmu, która po raz pierwszy pojawiła się w Armii Czerwonej w 1920 roku i odtąd stanowi stały składnik postawy sowieckiej.

Propaganda sowiecka była też adresowana do zagranicy. Wielogłosowy chór

odśpiewał zgodnie oratorium słusznego oburzenia. Do protestów dyplomacji sowieckiej i Kominternu[114] dołączyły głosy młodych lokalnych partii komunistycznych oraz niezliczone rezolucje wystosowane przez komitety fabryczne i robotnicze jak Europa długa i szeroka. Apele o pokój współgrały z pacyfistycznymi nastrojami zmęczonego wojną kontynentu. Korzyści militarne, jakie kampania kijowska przyniosła Polsce, okupiono wysokim kosztem w postaci utraty międzynarodowej życzliwości – która nigdy nie została w pełni odzyskana. Była to cena, którą Polska musiała zapłacić za zwycięstwo w wyścigu do wiosennej ofensywy.

W samym Kijowie sytuacja z dnia na dzień stawała się coraz korzystniejsza dla Sowietów. Polacy zachowywali się biernie. Ludowa Republika Ukraińska, która właśnie przyszła na świat, okazała się płodem poronionym. Napływały posiłki sowieckie. 12. Armia, której stan po dwóch tygodniach walk skurczył się do 2511 ludzi, została wycofana do Nieżyna i otrzymała zastrzyk zupełnie świeżych jednostek, w tym 25. Dywizję „Czapajew" z Uralu i brygadę baszkirskiej kawalerii Murtazina. 14. Armia, która wycofała się do Czerkasów, dostała brygadę kawalerii Kotowskiego. Wszystkie istniejące formacje zostały wzmocnione. Ostatni podryg ofensywy polskiej nastąpił 12 maja, kiedy to Polacy zdobyli Browary na linii lewobrzeżnego przyczółka. Od tego momentu inicjatywę przejęła Armia Czerwona.

Przez cały maj zaciekle walczono o panowanie nad Dnieprem. Na długości ponad stu kilometrów między Czarnobylem a Tripolem front biegł wzdłuż rzeki. Na południu stanowiła ona główny szlak komunikacyjny Sowietów, którzy utrzymywali „flotyllę dnieprzańską" wyposażoną w opancerzone barki – mogły one przewieźć oddział specjalny złożony z tysiąca żołnierzy.

Do walki z flotyllą Polacy wysłali do Kijowa 9. Eskadrę Powietrzną: ciężkie, dwupłatowe bombowce Breguet ostrzeliwały konwoje, zapędzały je na mielizny i porohy, pojedynkowały się z kanonierkami, które stanowiły eskortę.

Nad całą areną wydarzeń zawisł jednak cień czerwonej 1. Armii Konnej, która miała niebawem przybyć. W wypadku tej najsłynniejszej sowieckiej formacji i jej dowódcy Siemiona Budionnego nawet dzisiaj trudno oddzielić legendę od rzeczywistości. Ich pojawienie się wzbudzało przerażenie i grozę – co potwierdzają zarówno polscy, jak i sowieccy świadkowie – które trudno dziś sobie wyobrazić.

1. Armia Konna (Konarmia) była najbardziej udanym wynalazkiem wojny domowej. Powstała w listopadzie 1919 roku jako logiczna konsekwencja walk z armiami „białych": „czerwoni" dotrzymywali im pola, ale nie umieli sobie poradzić z kozacką konnicą. Skupiając wszystkie szable w ramach jednej formacji, Konarmia odznaczała się nie tylko ruchliwością i *esprit de corps*, z których słynęli Kozacy, ale również dysponowała zdecydowaną przewagą bojową i liczebną w każdym pojedynczym starciu z przeciwnikiem. Jej metodą walki był *Blitzkrieg* typu tatarskiego. Przyjmowano do niej każdego, kto umiał jeździć konno i słuchać rozkazów, kto był gotów osiodłać konia i pocwałować w dowolny punkt kontynentu, gdzie rewolucja znalazła się w niebezpieczeństwie. Konarmia stanowiła skrajną antytezę pierwszych oddziałów Czerwonej Gwardii z 1918 roku: lokalnych, uświadomionych klasowo i powolnych.

Siemion Michajłowicz Budionny był typowym reprezentantem elity swojej armii: człowiekiem, który daje sobie doskonale radę w trudnych czasach dzięki umiejętnościom żołnierskim i sile osobowości. Był synem biednego chłopa z okolic Rostowa. W 1903 roku

zaciągnął się do 43. Pułku Kozaków i służył w Mandżurii, a następnie ukończył Petersburską Szkołę Kawalerii. Latem 1917 roku został przewodniczącym sowietu w swoim zbuntowanym pułku i trafił do Mińska, gdzie Frunze i Miasnikow organizowali opór przeciw Korniłowowi. Od tego momentu rozpoczęła się jego kariera dowódcy czerwonej kawalerii. Po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę w grudniu 1918 roku w Carycynie, kiedy jego odwaga i przedsiębiorczość zostały zauważone przez Woroszyłowa. Był oczywistym kandydatem na dowódcę Konarmii: bardzo wysoki, atletycznie zbudowany, świetny jeździec dowodzący z pierwszej linii. Piękne azjatyckie rysy, bujne czarne wąsy – podkręcone i wypielęgnowane niczym grzywa rasowego rumaka – spokojne skośne oczy zdradzały człowieka czynu w każdym calu: pierwotną bestię, zuchwałego, na wpół piśmiennego syna stepów. 25 kwietnia, w dniu rozpoczęcia kampanii kijowskiej, skończył czterdzieści lat.

Konarmijni jeźdźcy mieli tyle tylko wspólnego z polityką bolszewików, że walczyli po tej samej stronie. W większości byli to dawni Kozacy, partyzanci i bandyci, którzy dołączyli do zwycięskiej Armii Czerwonej. Pojmowali jednak dobrze sens rewolucji, choć idee Lenina i pojęcia marksizmu przyjmowali raczej z nabożnym podziwem niż ze zrozumieniem. Znalazło się między nimi kilku piśmiennych, na przykład Izaak Babel w 1. Brygadzie 6. Dywizji czy Żukow, późniejszy marszałek. Lecz zasadniczo byli o wiele lepsi w wojennych wyczynach niż w dialektyce. W oczach Polaków stanowili nowe wcielenie hord Dżyngis-chana.

Konarmia, aczkolwiek politycznie nieuświadomiona, odgrywała istotną rolę polityczną. Była tworem i narzędziem małej, ambitnej frakcji Józefa Stalina: frakcji, która miała opanować partię bolszewicką i zniszczyć ją z równą bezwzględnością, z jaką wcześniej bolszewicy opanowali i zniszczyli cały ruch rewolucyjny. Dowództwo i polityczny zarząd Konarmii zostały obsadzone przez krąg przyjaciół z Carycyna, którzy z inspiracji Stalina przeciwstawili się Trockiemu i partyjnym planom. Byli to „domorośli komuniści", „prości żołnierze" i „patriotyczni proletariusze". Nie znosili intelektualistów, profesjonalistów, oficerów, urzędników, Żydów, okcydentalistów i obcokrajowców, czyli w istocie większości przywódców partii bolszewickiej. Nie lubili rozkazów i nie ufali teoriom. Byli, by zacytować Stalina, „dobrymi kolegami", którzy umieli działać. Budionny – starszy sierżant, który stworzył własną kozacką armię – był doskonałym uzupełnieniem Klimienta Jefriemowicza Woroszyłowa – mechanika z Ługańska, którego ludzie w 1918 roku zmechanizowali armię gołymi rękami. Obydwaj – dowódca i oficer polityczny – działali, spali i jeździli konno ramię przy ramieniu. Ich losy splotły się ze sobą na z górą czterdzieści lat.

Decyzja o przerzuceniu Konarmii z Kaukazu na front polski została podjęta 10 marca na zebraniu w Smoleńsku. W tym czasie, po rozpędzeniu resztek wojsk Denikina, Budionny znajdował się w Majkopie. Wyruszył w drogę 3 kwietnia. Dwa tygodnie później rozpoczął przeprawę przez Don w Rostowie. Tu został poddany dramatycznej próbie. W więzieniu w Rostowie siedział niejaki Dumienko. Pięć miesięcy wcześniej, kiedy Armia Czerwona grabiła Rostów, Dumienko – wówczas dowódca kawalerii – zamordował swojego komisarza. Teraz, gdy Konarmia powróciła do miasta, jego dawni koledzy wszczęli bunt i zażądali jego uwolnienia. Budionny stanął przed rebeliantami i kazał im wybierać między sobą a więźniem. Bunt został zdławiony. Dumienkę rozstrzelano. Jeźdźcy wyruszyli w drogę. Za Rostowem armia została podzielona na kolumny: 4. Dywizję Gorodowikowa, 6.

Dywizję Timoszenki, 11. Dywizję Morozowa i 14. Dywizję Parchomienki. Cztery pociągi pancerne, trzy eskadry lotnicze oraz inne jednostki pomocnicze przetransportowano przez środkową Rosję koleją. Ludzie jechali konno. Po wyjściu z Rostowa 23 kwietnia chcieli w dwa tygodnie dojść do Dniepru. Posuwali się w kolumnach, jadąc i odpoczywając na zmianę. Chorych i słabych ciągnęli na wozach razem z artylerią. Zabijali średnio tuzin okulałych koni dziennie. Za dnia pierwszy szereg zakładał na plecy tablice, by koledzy z tyłu mogli się uczyć czytania. Wieczorami biwakowali pod gołym niebem i śpiewali piosenki:

Po wiesiennoj żidkoj topi
Otdychajem my w Majkopie,
Czistimsja i mojemsja
Na uczien'ija stroimsja.

Otdychat' by tak podolsze,
Da nużny my protiw Polszy.
S biełymi poputcziki
Bałujut piłsudcziki.

Mnogo wiorst do nich ot Dona,
No nie prosim my pardona.
Kol do krasnych dieło im,
My tie wiorsty sdiełajem[115].

Po wiosennych roztopach
odpoczywamy w Majkopie.
Czyścimy się i myjemy,
przygotowujemy się do ćwiczeń.

Odpoczywalibyśmy tak dłużej,
lecz potrzebniśmy przeciw Polsce:
sprzymierzeni z białymi
hulają piłsudczycy.

Wiele wiorst do nich znad Donu,
lecz my łaski nie prosimy.
Jeśli chcą zaczynać z czerwonymi -
my te wiorsty pokonamy.

Pod koniec kwietnia – w związku z rozpoczęciem się polskiej ofensywy – otrzymali rozkaz przyspieszenia marszu. Znajdowali się wtedy na terytorium Machny, gdzie od miesięcy toczyła się mordercza walka o życie i dusze chłopów. Patrole Czeka jeździły od wsi do wsi: wieszały partyzantów i zakładały sowiety. Za nimi szedł Machno: rozstrzeliwał komunistów i napadał na oddziały furażowe Armii Czerwonej. 28 kwietnia 14. Dywizja uderzyła na Hulajpole – sam „Machnograd" – i rozgromiła około 2000 partyzantów. Konarmia parła naprzód, nie oglądając się za siebie – niczym okręt wojenny

taranujący flotyllę kutrów rybackich. W końcu, 6 maja na północ od Jekatierinosławia, zaczęła się przeprawa przez Dniepr. 13 maja 6. Dywizja otarła się o oddział Petlury w Czehrynie. Wszystkie kolumny zmierzały teraz do Humania, gdzie wojsko miało się zebrać i doprowadzić do porządku. W ciągu siedmiu tygodni od opuszczenia Kubania jeźdźcy spędzili trzydzieści dni w siodle i pokonali 1200 kilometrów.

Konarmia liczyła niemal 16 tysięcy szabel. Według standardów wojny domowej była to siła poważna, natomiast według kryteriów ostatniej wojny europejskiej – mikroskopijna. W 1914 roku armia carska dysponowała 40 dywizjami jazdy, czyli w sumie 300 tysiącami szabel. „Gdybym miał te trzysta tysięcy – rozmarzył się kiedyś Budionny – przeorałbym całą Polskę, a przed końcem lata kopyta naszych koni zadudniłyby na placach Paryża".

Polski wywiad wiedział o zbliżaniu się Konarmii, ale samolot wywiadowczy Albatros z Eskadry Kościuszko zobaczył ją dopiero 25 maja. Wywarła ogromne wrażenie na pilocie. Zniżywszy lot, by zbadać to, co wziął za burzę piaskową, odkrył ją w tumanach kurzu wzniesionych przez tysiące kopyt. Jeźdźcy kłusowali po ośmiu w szeregu: ich bure płaszcze powiewały na wietrze, czarne astrachańskie czapy mieli głęboko nasunięte na czoła, szable u boku błyszczały w słońcu, karabinki jeżyły się na plecach. Kiedy następnego dnia pilot powrócił w ten sam rejon, znalazł ich 120 kilometrów dalej. Nie wiedział jednak o tym, że zobaczył dwie różne dywizje Konarmii. Jego raport wywiadowczy, mówiący o trzydziestotysięcznej armii konnej posuwającej się w tempie 120 kilometrów na dobę, z pewnością nie zmniejszył polskich obaw[116].

* * *

Plan sowieckiej kontrofensywy na Ukrainie został ukończony w trzecim tygodniu maja. Oczywistym celem ataku był rejon między dwoma głównymi zgrupowaniami Polaków: pomiędzy 3. Armią rozlokowaną na linii Kijów-Biała Cerkiew oraz 6. Armią na linii Żmerynka- Winnica. Dlatego właśnie Konarmii wyznaczono punkt zborny w okolicy Humania. Główna ofensywa miała być poprzedzona przez wstępne ataki oddziału szturmowego 12. Armii pod dowództwem Golikowa oraz specjanie utworzonej „Grupy Fastów", którą kierował Jakir, dowódca 45. Dywizji. Golikow miał przejść Dniepr na północ od Kijowa i posłać swoją baszkirską kawalerię, żeby odcięła kluczowe połączenie kolejowe z Korosteniem; Jakir miał zaatakować frontalnie Białą Cerkiew równocześnie z desantem dnieprzańskiej flotylli na Tripole. Niewielka 14. Armia na południu miała przejść do ataku jedynie w razie sukcesu tych operacji. Początek ofensywy zaplanowano na 26 maja.

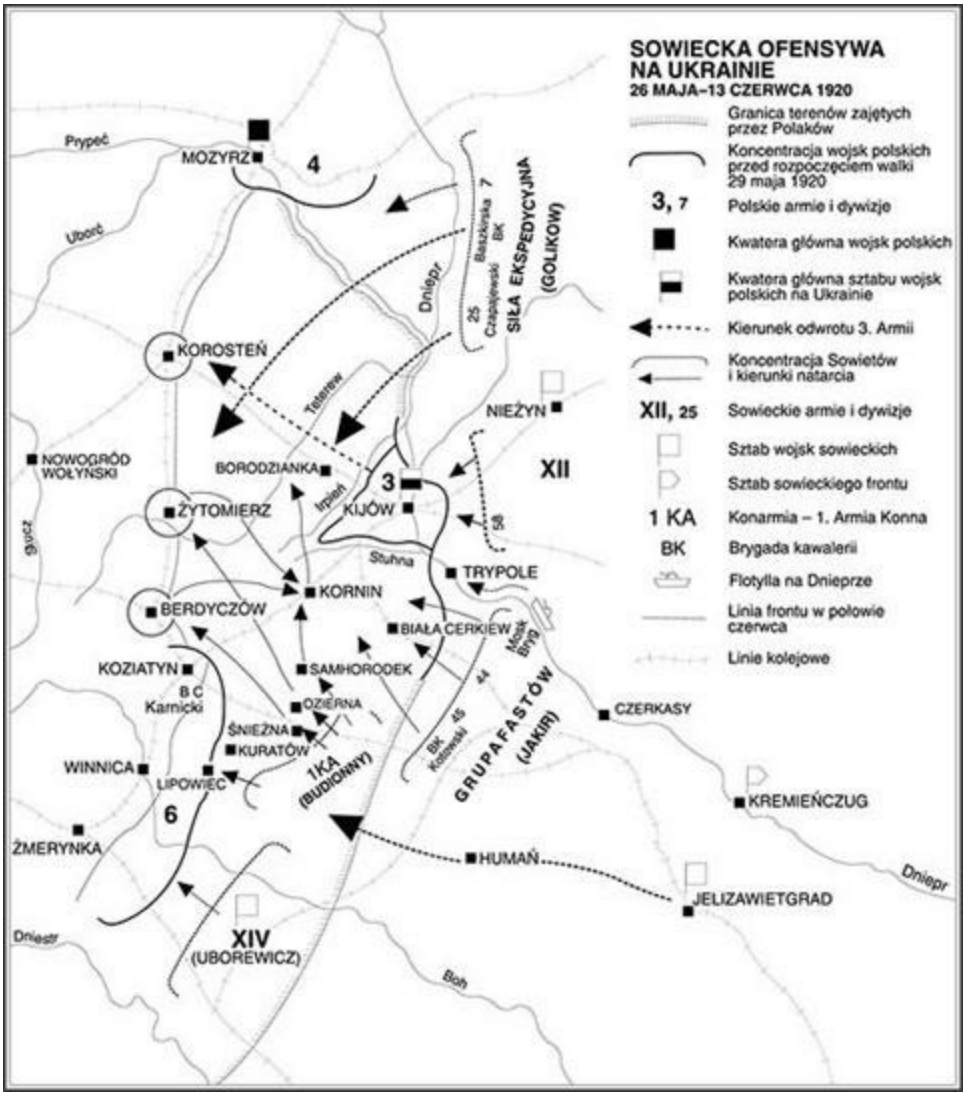

W latach późniejszych przypisywano powstanie tego planu geniuszowi Stalina. Wprawdzie komisarz do spraw narodowości istotnie przybył 29 maja do kwatery głównej Frontu Południowo-Zachodniego w Kremieńczugu i rzeczywiście brał udział w późniejszych bitwach, nie ma jednak powodu sądzić, by Stalin uczestniczył w jakikolwiek sposób w przygotowaniach ani nawet że sam plan wykazywał jakiekolwiek cechy geniuszu. Kakurin – pisząc w 1922 roku – przytacza w pełnym brzmieniu ostateczny rozkaz nr 358 z 23 maja: widnieje na nim podpis Trockiego[117]. Budionny – pisząc w 1965 roku – w ogóle nie wymienia Stalina. Przypomina sobie, że wstępne rozkazy dla Konarmii otrzymał 20 maja, ale był z nich bardzo niezadowolony – tak bardzo, że Jegorow i Bierzin, dowódca i oficer polityczny Frontu Południowo-Wschodniego, przyjechali się z nim spotkać[118]. Budionny uważał, że plan jest niepokojąco nieprecyzyjny. Nie zakładał zdobycia dokładnych informacji o położeniu ani jednostek polskich, ani jednostek sąsiadujących z Konarmią. Nie zapewniał też wsparcia piechoty. Budionny domagał się dwóch dywizji, ale Jegorow nie mógł spełnić tej prośby. Pośpiech sztabu był równie wielki jak niekompetencja wywiadu. Polacy obsadzili swoje przedpole oddziałami partyzanckimi. Budionny mógł więc dowiedzieć się, z kim ma do czynienia, dopiero w momencie konfrontacji. Te wstępne niedociągnięcia planu odbiły się na końcowym sukcesie.

O tym, jak marna była łączność sztabu z wojskiem, świadczy prymitywny stan komunikacji radiowej. Po przełamaniu linii nieprzyjaciela Konarmia straciłaby łączność, a tylko ona mogła dysponować aktualnymi informacjami o sile Polaków. Dlatego

uzgodniono, że jej radiostacja w Jelizawietgradzie będzie pełnić funkcję koordynującą dla całego sowieckiego wywiadu. Pospiesznie przygotowano system szyfrowania wiadomości: „Kazbek wyszedł na spacer – 28 – Sokół" znaczyło „4. Dywizja walczy w sektorze 28 – Budionny"; „Pierwsze Skrzypce śpią – 32 – Kania" znaczyło z kolei „6. Dywizja odpoczywa w sektorze 32 – Woroszyłow"[119].

25 maja Konarmię odwiedził Michaił Iwanowicz Kalinin, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego Sowietów. Udekorował Orderem Czerwonego Sztandaru dwa zasłużone pułki z 4. Dywizji: 21. i 22. Był to oczywisty znak, że Moskwa przywiązuje wielką wagę do wydarzeń na Ukrainie.

27 maja Konarmia ruszyła po omacku naprzód. Po dwóch dniach potyczek z partyzantami 6. Dywizja Timoszenki natarła na polskie okopy w Kuratowie, a następnie – 31 maja – szturmowała przez cały dzień zabarykadowane miasteczko Lipowiec. Żaden z tych ataków się nie powiódł. 6. Dywizja straciła swojego politruka, Piszczulina, oraz po około stu ludzi z każdej z trzech brygad. Nie udało jej się odnaleźć flanki nieprzyjaciela i zaskoczyła ją wytrzymałość polskiej piechoty na szarże kawalerii. 2 czerwca w nocy Polacy niespodziewanie kontratakowali i zdobyli dwa pociągi pancerne Konarmii: „Śmierć Dyrektoriatowi" oraz „Mikołaj Rudniew". Jej jedynym sukcesem było wciągnięcie do okrążenia kawalerii generała Karnickiego przez 4. i 14. Dywizję – Polacy zostali zmuszeni do wycofania się.

2 czerwca dowódcy Konarmii zebrali się na naradę w kwestii taktyki. Wszyscy zgadzali się co do tego, że metody, dzięki którym rozgromili Denikina, nie wystarczają przeciw Polakom. Szarża kawaleryjska na okopy nie ma sensu. Doszli do wniosku, że najlepszym sposobem pokonania okopanej piechoty jest podejście spieszonymi i rozproszonymi oddziałami, ostrzał artyleryjski i szturm małych grup uderzeniowych na każde umocnienie. Konnica miała być używana tylko do oskrzydlania nieprzyjaciela. W razie kontrataku nie należało stawiać frontalnego oporu, tylko wciągać przeciwnika w krzyżowy ogień artylerii i karabinów maszynowych, których stanowiska ulokowano za linią frontu[120].

O sytuacji na froncie wiele mówią osobiste doświadczenia Budionnego z dnia 5 czerwca, kiedy to przełamano pozycje polskie. Do ataku miały ruszyć trzy z czterech dywizji: 14. na Samhorodok, 4. na Ozierną, 11. na Śnieżną. 6. pozostawała w odwodzie. Budionny nie zmrużył w nocy oka: nie dawały mu zasnąć obawy o los ofensywy, Woroszyłow – którego w takich momentach zawsze mocno bolała głowa – oraz deszcz. O świcie Budionny opuścił miejsce postoju w Tatarynówce – w samą porę, by ujrzeć, jak 4. Dywizja zostaje ostatecznie odparta. Jego kawaleria nadal była zbyt zapalczywa. Wysforowała się do przodu pod osłoną kilku wozów pancernych i przekonała się, że nie jest w stanie utrzymać się na przedpolu. Budionny pojechał następnie na stanowiska 14. Dywizji, której 1. Brygada nacierała z większą rozwagą. Podchodzono na podmokłym, pokrytym poranną mgłą obszarze na południe od Samhorodka, który znajdował się na skraju pozycji Polaków. Żołnierze zaskoczyli zwiadowczy patrol ułanów i puścili się w pogoń. Budionny sam dopędził jednego z ułanów, który do niego strzelał, zrzucił go od tyłu z siodła, uniknął kolejnej niecelnej kuli leżącego na ziemi jeźdźca, a następnie rozbroił go płazem szabli i zabrał na przesłuchanie. W ten sposób udało mu się znaleźć idealną drogę przez polskie pozycje. W czasie decydującego starcia mógł niejednokrotnie razić Polaków ogniem wzdłuż okopów. Kawaleria przemknęła bezpiecznie bokiem. Front został

przerwany.

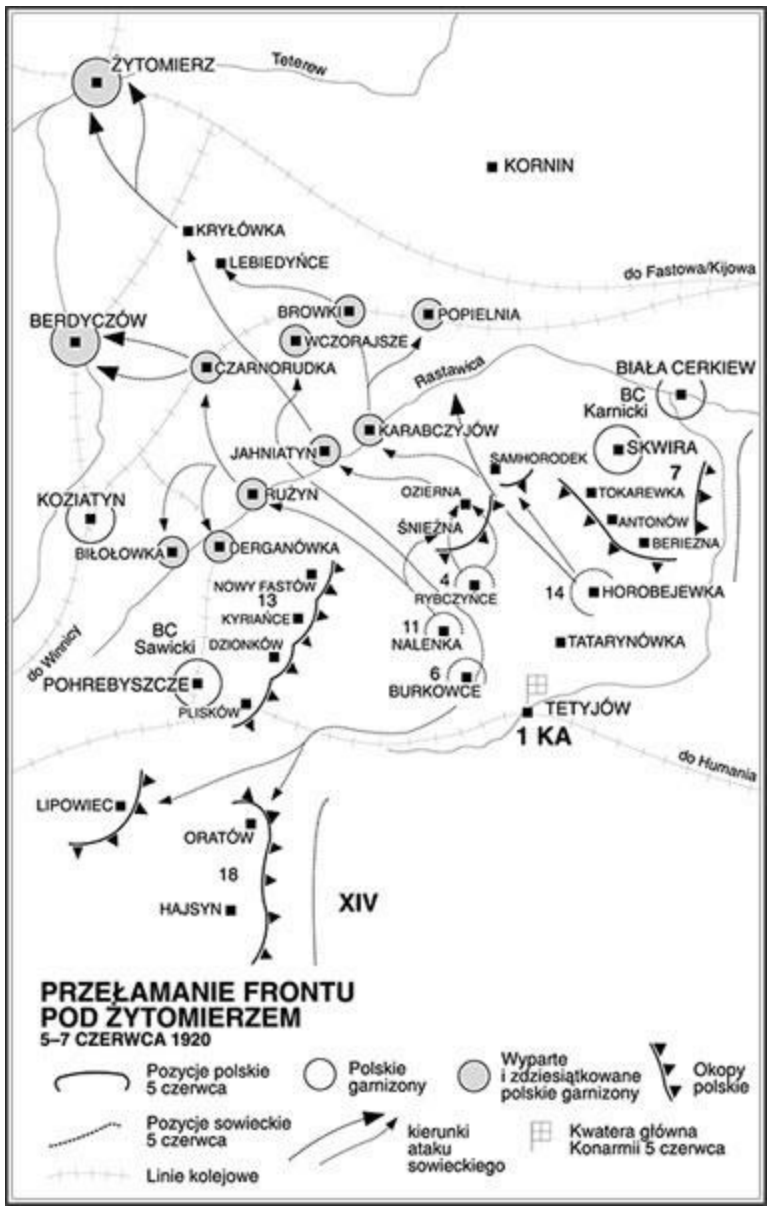

W ciągu dnia tego samego wyczynu dokonały również pozostałe dywizje. Kiedy zmasowany ogień artylerii i frontalny atak nie przyniosły efektu, spieszone oddziały 4. Dywizji wtargnęły nieoczekiwanie do Oziernej od północy. Około siódmej wieczorem 11. Dywizja weszła do Śnieżnej. Konarmia przebiła sobie drogę w trzech miejscach. Według sowieckich danych wzięła tysiąc jeńców i „zasiekła szablami" dalsze osiem tysięcy. Miała otwartą drogę, aby siać panikę na polskich tyłach.

Z bliższej perspektywy przełamanie frontu 5 czerwca nie wygląda tak efektownie, jak się czasem twierdzi. Było wszak raczej wynikiem skradania się niż szarży. Ocena ta jednak ani nie umniejsza rozmiarów sukcesu, ani nie podważa faktu, że Konarmia wróciła niebawem do swojego ulubionego stylu walki. Kiedy w kolejnych tygodniach przebijała sobie drogę przez miasteczka Podola i Galicji Wschodniej, posługiwała się równie często tatarskim podstępem, co kozacką szarżą.

Przez następne trzydzieści lat 5 czerwca był obchodzony jako jedno z dorocznych świąt Armii Czerwonej – na cześć „pierwszego zwycięstwa sowieckiej sztuki wojennej nad europejskim uzbrojeniem".

Sukcesowi Budionnego towarzyszyły zarówno sprzyjające, jak i niepomyślne

okoliczności. Sprzyjał mu ogólny postęp sowieckiej ofensywy. Po nieudanym początku Golikow zdołał odciąć linię kolejową na Korosteń. Polska 3. Armia została definitywnie otoczona (choć słabymi siłami), a jej 7. Dywizja piechoty została rozbita i odcięta. Panice w szeregach dorównywało zamieszanie w polskim dowództwie. Piłsudski wysyłał rozkazy sprzeczne z tymi, które wydawał na miejscu generał Rydz-Śmigły. Jakir zajął Białą Cerkiew. Nawet 14. Armii udało się posunąć naprzód. Sukces ograniczały wszakże czynniki zarówno przewidywalne, jak i nieprzewidywalne. Konarmia nie miała żadnych rezerw ani piechoty, które poszerzyłyby wyrwy we froncie; nie dysponowała zorganizowanymi liniami zaopatrzenia, które umożliwiłyby prowadzenie długotrwałej ofensywy; nie istniał plan koordynujący jej działania z akcjami innych jednostek; została osłabiona w wyniku przejścia na stronę polską pułku Kozaków orenburskich, który wcześniej w tym samym roku zdradził Denikina i dołączył do Armii Czerwonej. W sektorze północnym na Białorusi armie sowieckie ledwie dawały sobie radę i nie mogły udzielić jakiejkolwiek pomocy. 6 czerwca Wrangel podjął ostateczną próbę: wyruszył z Krymu nad dolny Dniepr. Konarmia była wyraźnie osamotniona.

Posunięcia Budionnego w tych najważniejszych dniach po przerwaniu frontu odzwierciedlają jego izolację. Było nie do pomyślenia, by wycofał się pokornie na skutek braku wsparcia. Nie mógł odmówić sobie paru dni harców. 7 czerwca 4. Dywizja napadła na Żytomierz. Zaskoczenie było zupełne. Polski garnizon został wycięty w pień. Mosty, stacje rozrządowe i magazyny wojskowe zostały zniszczone. Otworzono więzienia i uwolniono około 5 tysięcy sowieckich jeńców wojennych. Tego samego dnia 11. Dywizja wpadła do Berdyczowa. Spaliła doszczętnie szpital, w którym znajdowało się 600 rannych Polaków oraz siostry Czerwonego Krzyża. Choć korzyści militarne z tych rajdów były krótkotrwałe, to ich efekt psychologiczny był ogromny. Wszystkich Polaków na zachód od Dniepru ogarnęło śmiertelne przerażenie. Rząd w Warszawie nie ośmielił się poinformować społeczeństwa o tych wydarzeniach[121]. Po przeprowadzeniu rajdów Konarmia wycofała się do Kornina, aby się przegrupować i zorientować w sytuacji.

Przerwa w działaniach, która nastąpiła między 7 a 11 czerwca, dała wojskom polskim szansę ratunku, z której skwapliwie skorzystały. 3. Armia została ściśnięta w trójkącie utworzonym przez rzeki Dniepr, Irpień i Teterew: była zwrócona równocześnie w trzech kierunkach niczym stado żubrów oczekujących na rzeź. Piłsudski chciał ją posłać do Żytomierza, aby przy współudziale 6. Armii wzięła wysuniętą do przodu Konarmię w dwa ognie. Ponieważ jednak Konarmia zdążyła się już wycofać, manewr był zarówno bezcelowy, jak i niebezpieczny. Ster przejął Rydz-Śmigły. Rozkazał 3. Armii cofnąć się na północny zachód w kierunku Korostenia (po drodze starła się z dywizją „Czapajew” pod Borodzianką i z jazdą baszkirską pod Irszą). Zlecił ewakuację Kijowa, którą przeprowadzono 10 czerwca. Zaskoczył tym Budionnego, który oczekiwał, że Polacy będą się cofać na Koziatyn. Kiedy dowódca Konarmii uświadomił sobie swój błąd i zaatakował, okazało się, że goni Polaków w kierunku, który sami wybrali. Dzięki akcjom zaczepnym tylnej straży udało im się trzymać go na dystans. 3. Armia wycofała się bezpiecznie na północne skrzydło polskich linii. Na odcinku środkowym pospiesznie odtworzono 2. Armię pod dowództwem generała Raszewskiego. 6. Armia cofnęła się na południu. Wyrwa we froncie została załatana.

Polscy historycy krytykowali Budionnego za to, że oddał przewagę, którą właśnie zdobył. Zdaniem Kutrzeby powinien był utrzymać Żytomierz; ponadto kompetentny generał

– sugeruje Kutrzeba – nie pozwoliłby 3. Armii wymknąć się z okrążenia[122]. Wydaje się jednak, że Budionny osiągnął tyle, ile było możliwe: zadał silny cios i wzbudził powszechny strach. Przerwanie frontu 5 czerwca zapoczątkowało na południu generalną ofensywę sił sowieckich, która rozwijała się nieprzerwanie przez dziesięć tygodni.

Jak to bywa na Kresach, raz rozpoczęte natarcie, jeśli tylko ma odpowiedni impet, można łatwo kontynuować. Choć armie sowieckie nie dysponowały przewagą liczebną, stale odpychały Polaków na zachód, atakując dzień po dniu najsłabsze punkty obrony. Kiedy napotkały gdzieś opór – w jednym z licznych miasteczek czy węzłów kolejowych – zawsze mogły obejść pospiesznie przygotowane pozycje z flanki; kiedy Polacy wyprowadzali kontratak, można go było osłabić, obchodząc atakujących skrzydłami. Wszystkie polskie manewry były bezowocne. Uparta obrona Nowogrodu Wołyńskiego została przełamana 26 czerwca; śmiały wypad z Owrucza kawalerii generała Romera został udaremniony na skutek oskrzydlenia. Trzeba było porzucać magazyny i zwalniać jeńców; samoloty pozostawiano na ziemi, bo nie było czasu na ich naprawę; jednostki oczekujące na nieprzyjaciela wpadały w okrążenie. 10 czerwca front powrócił na linię sprzed roku. Budionny zajął Równe – kwaterę główną Piłsudskiego przed kwietniową ofensywą na Kijów. Konarmia przeszła Zbrucz:

> Zagony purpurowych maków kwitną wokół nas [...] sztandary zmierzchu rozwiewają się nad naszymi głowami. Woń wczorajszej krwi i martwych koni skrapla się w chłodzie wieczoru. Poczerniały Zbrucz szumi i ciaśniej skręca pieniste węzły swoich porohów. Mosty są zburzone, forsujemy rzekę w bród. Wyniosły księżyc leży na fali. Konie pogrążają się w wodę po grzbiety, dźwięczne strugi przepływają między setkami końskich nóg. Ktoś się topi i bluzga głośno bluźnierstwami. Rzeka usiana jest czarnymi kwadratami wozów, pełna wrzawy, gwizdów i pieśni, grzmiących ponad księżycowym żmijowiskiem i lśniącymi jamami[123].

Inwazja na Ukrainę została udaremniona.

Wyprawę kijowską uważa się powszechnie za polityczne i militarne fiasko. Jeśli idzie o aspekt polityczny, nie ma co do tego wątpliwości. Na Ukrainie Dyrektoriat Petlury poniósł całkowitą klęskę; w Polsce rząd Skulskiego podał się do dymisji, wywołując długotrwały kryzys rządowy; w Rosji sowieckiej rząd bolszewicki zyskał bezprecedensowe poparcie. Jeśli idzie o aspekt militarny, niektórzy przedwojenni polscy apologeci argumentowali, że kampania kijowska wcale nie skończyła się wielką klęską. Kutrzeba twierdzi, że inwazja skutecznie przerwała główną ofensywę sowiecką, że armie polskie na południu wycofały się nienaruszone, dzięki czemu mogły późnym latem włączyć się w obronę Polski. W swoich błyskotliwych uwagach na temat ruchów wojsk polskich Kutrzeba wykazuje, że osiem z dwunastu dywizji, które brały udział w wyprawie kijowskiej, uczestniczyło w sierpniu w Bitwie Warszawskiej[124]. Nie wspomina jednak o tym, że dowództwo sowieckie poradziło sobie z inwazją na Ukrainę bez użycia dodatkowych sił. Armie 12., 14. i 1. Konna zostały wszak skierowane na Front Południowo-Zachodni w marcu i dały sobie radę same. Z perspektywy globalnej kampania kijowska prawdopodobnie nie miała znaczenia dla głównej próby sił, która rozpoczęła się już na północy; niemniej jednak z perspektywy strategicznej jej skutki były wyraźne. Gdy w kwietniu Polsce zagrażała inwazja tylko na jednym froncie, teraz – w lipcu – była zagrożona z dwóch kierunków równocześnie.

* * *

Interesującym aspektem wyprawy kijowskiej były narodziny Polskich Sił Powietrznych. Po raz pierwszy w tej wojnie samoloty odegrały samodzielną rolę. Były oczami armii. Przewaga w powietrzu stanowiła jeden z powodów, które sprawiły, że wojsko polskie zdołało się wykaraskać z niebezpiecznej sytuacji na ziemi.

Polskie Siły Powietrzne były typową, skleconą naprędce formacją pomocniczą. W 1919 roku zaczęli je organizować kapitan Jasiński i major Rayski – były dowódca niemieckich sił powietrznych w Turcji. Formacja odziedziczyła bardzo różnorodne maszyny: austriackie albatrosy D-3, fokkery D-7, samoloty szkoleniowe Brandenburg, potem także włoskie balille, niemieckie A.E.G, francuskie farmany i breguety, brytyjskie D.H.-9, sopwith camel i bristol fighter. Wiele z tych maszyn stało bezużytecznie na Polach Mokotowskich w Warszawie, oczekując na przeróbki, części zamienne bądź pilotów.

Eskadry, które wzięły czynny udział w wojnie z lat 1919-1920, zorganizowano według najlepszych tradycji amatorskich. Mogły działać dzięki „pociągom lotniczym", które przewoziły całe jednostki – samoloty w skrzyniach, warsztaty, wagony dowództwa, kwatery żołnierzy i przenośne hangary – z jednego tymczasowego lotniska na następne. Ich głównym zadaniem był rekonesans: wykrywanie wroga i potwierdzanie lokalizacji własnych oddziałów. Do zadań drugoplanowych należał ostrzał z powietrza, bombardowanie, zrzucanie ulotek i przekazywanie wiadomości. Lotnicy lądowali czasem za linią frontu, żeby wypytać wieśniaków o pozycje nieprzyjaciela; częste były lądowania awaryjne na skutek dezorientacji lub braku paliwa. O tych pilotach opowiada się różne historie: jednych zamordowali Kozacy, innych uratowali życzliwi duchowni, a jeszcze inni stali się dla chłopów obiektem nabożnej czci.

Szczególnie interesująca była 7. Eskadra Kościuszko[125]. Wszyscy piloci byli Amerykanami, a dowodził nimi major Cedric Fauntleroy z Chicago. Zamiast powrócić z Francji do domu razem ze swoimi kolegami, woleli przygodę w Polsce. Kiedy w październiku 1919 roku spotkali po raz pierwszy Piłsudskiego, powiedział im: „Polska sama potrafi toczyć swoje bitwy. Nie potrzebujemy tu płatnych najemników!". Wszelako jako ochotnicy zostali przyjęci. W marcu 1920 roku odkomenderowano ich do Połonnego nad Słuczem i przydzielono do Kwatery Głównej 2. Armii generała Listowskiego. Wyposażono ich w balille uzbrojone w dwie wyrzutnie bomb oraz karabin maszynowy strzelający przez śmigło z szybkością 200 pocisków na minutę; maszyny były zdolne do pięciogodzinnego lotu z prędkością 250 km/h. Lotnicy tej eskadry odczuwali ogromną wyższość nad sowieckimi obserwatorami po drugiej stronie frontu, którzy zerkali na Polaków z balonów na uwięzi – stanowiących łatwy cel, zestrzeliwany z monotonną regularnością. Bez uzupełniania zapasów paliwa mogli dolecieć nad Dniepr i wrócić. 19 kwietnia jeden z pilotów zrzucił bombę nad Kijowem. Eskadra odegrała istotną rolę w ofensywie na Kijów.

Podczas kilkudziesięciu lotów bojowych w trakcie marszu na Kijów jej piloci tylko raz zameldowali, że dostrzegli sowiecką maszynę – czarną gothę nad Koziatynem. Kakurin stwierdza, że armie sowieckie na Froncie Południowo-Zachodnim dysponowały 35 maszynami, z których 18 przydzielono 14. Armii, prawdopodobnie do patrolowania granicy rumuńskiej[126]. Nie wydaje się jednak, by Sowieci mieli pilotów, którzy mogliby te maszyny poderwać z ziemi.

Sowieci nie mieli recepty na Polskie Siły Powietrzne. Izaak Babel, którego dowódca – Pawieł Trunow – został zabity przez Eskadrę Kościuszko, opisał to wydarzenie w tonie

pełnym szacunku:

I dowódca szwadronu pokazał nam cztery punkciki w niebie, cztery bombowce, które zapływały za lśniące łabędzie obłoki. Były to aparaty z powietrznej eskadry majora Fauntleroy, duże opancerzone aparaty. [...] I zaczął naprowadzać na aeroplan karabin maszynowy. Lot aparatów nad stacją stawał się coraz bardziej stromy, frasobliwie terkotały one w wyżynie, opadały, kreśliły obręcze i słońce różowym promykiem nakładało się na blask ich skrzydeł. W tym czasie my, czwarty szwadron, siedzieliśmy w lesie. Tam w lesie doczekaliśmy się nierównej bitwy między Paszką Trunowem a majorem amerykańskiej służby Reginaldem Fauntleroy. Major i jego trzej miotacze bomb pokazali swą biegłość w tej bitwie. Opuścili się do trzystu metrów i rozstrzelali z kaemów najpierw Andriuszkę, potem Trunowa. Wszystkie taśmy wypuszczone przez naszych nie przyczyniły Amerykanom szkody [...]. Wyczekawszy z pół godziny, mogliśmy pojechać po trupy [...]. Trunowa, martwego naszego dowódcę, odwieźliśmy do gotyckiego Sokala i pochowaliśmy tam na honorowym miejscu – w publicznym ogrodzie, na kwietniku, pośrodku miasta[127].

---

[93] *Documents on British Foreign Policy, 1918-45* (*First Series*), London 1947-, t. X, nr 505, 581.

[94] E.H. Carr, *The Bolshevik Revolution*, t. 3, London 1966, s. 170.

[95] N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925, s. 413.

[96] Cyt. w: *Historia Polski*, Warszawa 1966, t. 4, cz. 1, s. 331.

[97] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 9, przyp. 1.

[98] PRO-WO/106/972 G 2001, 31.05.1920.

[99] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 5, Warszawa 1937.

[100] Rumbold do Curzona, 30.04.1920, PRO-FO 371 3914/196783.

[101] Carr, dz. cyt., t. 3, s. 309.

[102] Cyt. za: T. Komarnicki,*The Rebirth of the Polish Republic*, London 1957, s. 589.

[103] Churchill do DMI, 19.05.1920, Churchill Papers 16/52.

[104] Cecil do Curzona, 3.05.1920, PRO-FO 371 3914/197475.

[105] Curzon do Cecila, 11.05.1920, tamże.

[106] AAN-AIJP 738.

[107] *Historia Polski*, dz. cyt., s. 346.

[108] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 7.

[109] Tamże.

[110] Tamże, nr 27. Przemówienie Kalinina z 16.05.1920.

[111] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 98-99.

[112] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 9.

[113] Tamże, nr 11.

[114] Tamże, nr 30, 32.

[115] S.M. Budionny, *Projdionnyj put'*, Moskwa 1965, t. 2, s. 28.

[116] K.M. Murray, *Wings Over Poland*, London 1932, *passim.*

[117] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 116-117.

[118] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 72 nn.

[119] Tamże, s. 76.

[120] Tamże, s. 97.

[121] Zob. Rumbold do Curzona, 12.05.1920, PRO-FO 417/8/65.

[122] T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska 1920 roku*, Warszawa 1937, s. 220-221.

[123] I. Babel, *Przejście przez Zbrucz*, w: tenże, *Portret własny*, tłum. J. Pomianowski, Bydgoszcz 1994, s. 191.

[124] Kutrzeba, dz. cyt., s. 394.

[125] Murray, dz. cyt.

[126] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 425.

[127] I. Babel, *Szwadronny Trunow*, tłum. W. Woroszylski, w: tenże, *Utwory wybrane*, Warszawa 1964, s. 162-164.

Rozdział czwarty
INWAZJA NA POLSKĘ

Podniecenie towarzyszące kampanii kijowskiej odwróciło uwagę od włączenia się w wojnę z Polską najsławniejszego dowódcy Armii Czerwonej – Michaiła Nikołajewicza Tuchaczewskiego. W tym samym tygodniu, w którym Polacy zdobyli Kijów, przybył on do kwatery głównej Frontu Zachodniego w Smoleńsku.

Tuchaczewski był ucieleśnieniem sprzecznych tendencji, które przyczyniły się do rozrostu Armii Czerwonej. Był arystokratą na służbie proletariackiej rewolucji; był rosyjskim patriotą, który wprowadzał w życie rozwiniętą doktrynę walki rewolucyjnej. Stalin przyznał mu stosownie dwuznaczne miano „demona wojny domowej".

W 1920 roku Tuchaczewski miał dopiero dwadzieścia siedem lat: tyle samo, ile jego idol – Napoleon – kiedy powierzono mu dowództwo nad kampanią włoską. Pochodził ze szlacheckiej rodziny z guberni penzeńskiej. Jego rodzice byli ludźmi trzeźwo myślącymi i nie przywiązywali większej wagi do legendy mówiącej o pochodzeniu rodu od krzyżowca, hrabiego z Flandrii, który poślubił turecką brankę i przyjął służbę u cara. Ojciec był ateistą, matka zaś prostą chłopką. W czasie wojny światowej Tuchaczewski służył w randze porucznika w elitarnej siemionowskiej lejbgwardii cara. 19 lutego 1915 roku podczas niemieckiego ataku na Łomżę został wzięty do niewoli. Po trzech nieudanych próbach ucieczki został wysłany do Ingolstadt w Bawarii, gdzie Niemcy przetrzymywali alianckich oficerów wykazujących skłonność do ucieczki, między innymi Charles'a de Gaulle'a. W marcu 1918 roku, kiedy zgodnie z traktatem brzeskim carscy oficerowie w niewoli niemieckiej byli warunkowo zwalniani, zbiegł po kryjomu. Alianccy towarzysze obozowi zapamiętali go z powodu jego wyglądu i pewności siebie. Jak na Rosjanina przystało, był mocno zbudowany i silny, ale wyróżniała go smagła cera i posągowe rysy Greka. Przed ucieczką powiedział podobno swoim kolegom jeńcom: „Zanim skończę dwadzieścia pięć lat albo zostanę generałem, albo mnie rozstrzelają". Z czasem dostąpił obu tych zaszczytów. W okresie wojny domowej wybił się wyłącznie dzięki własnym zdolnościom. W kwietniu 1918 roku pojawił się w Moskwie i wstąpił do partii bolszewickiej – w momencie kiedy dawni carscy oficerowie, nie wspominając już o arystokratach, byli traktowani z ogromną podejrzliwością. Najpierw pracował w wydziale wojny Centralnego Komitetu Wykonawczego Sowietów, a następnie został wysłany nad Wołgę. W towarzystwie „Rzeźnika" Murawjowa organizował obronę Symbirska i Samary. Po zdradzie Murawjowa uratował się z nieprzyjacielskiej niewoli i objął dowództwo 1. Armii Frontu Wschodniego. W 1919 roku dowodził 5. Armią na Froncie Wschodnim i odbił Syberię z rąk Kołczaka. W ciągu 247 dni jego wojska posunęły się o ponad 3000 kilometrów naprzód. W tym okresie w jego głowie zrodził się pomysł „permanentnej ofensywy" i „ekspansji rewolucji". Nabrał przekonania, że wyjątkowy proletariacki charakter Armii Czerwonej umożliwia jej nabór rekrutów wśród ludności ziem, na które

wkracza, i tym samym pozwala jej kontynuować ofensywę w nieskończoność. Chciał wierzyć, że Armia Czerwona może maszerować dookoła globu, aż wszyscy proletariusze świata się zjednoczą. Z myślą o tej teorii pod koniec 1919 roku Tuchaczewskiemu ofiarowano dowództwo Frontu Kaukaskiego, żeby odepchnął Denikina, a 28 kwietnia 1920 roku skierowano go na Front Zachodni – w nadziei, że przemaszeruje przez Polskę.

Ta zawrotna kariera musiała budzić podejrzenia. Już samo pochodzenie Tuchaczewskiego było kamieniem obrazy dla wielu rosyjskich komunistów, którzy instynktownie nie ufali arystokracie i żywili pogardę dla wiernego sługi Moskwy. Los sprawił, że Tuchaczewski wiele razy stawał na drodze przyjaciół Stalina. W 1918 roku walczył wraz z Murawjowem nad Wołgą, konkurując otwarcie pod Carycynem z Woroszyłowem. Tuchaczewski odbił to miasto po odwołaniu Woroszyłowa na rozkaz Trockiego. Później, jako dowódca Frontu Kaukaskiego, musiał się liczyć z 1. Armią Konną Budionnego i nadzorem Stalina. Gdy w 1920 roku zdał sobie sprawę, że klika z Carycyna zdobyła kontrolę nad Frontem Południowo-Zachodnim, zażądał, by podporządkowano ją jego rozkazom. Woroszyłow, Budionny i Jegorow – oraz Stalin za ich plecami – byli nieposłuszni w chwilach, gdy tylko sytuacja była sprzyjająca. Gdyby samodzielnie kierowali operacją galicyjską, mogli poważnie zakłócić koordynację działań podczas kampanii polskiej. Żądanie Tuchaczewskiego nie zostało jednak spełnione w całości. Kamieniew, głównodowodzący Armii Czerwonej, postanowił, że Dowództwo Frontu Zachodniego może przejąć kontrolę nad armiami południowo--zachodnimi dopiero w momencie, gdy sowiecka ofensywa dotrze do Bugu. To kompromisowe rozwiązanie opóźniło starcie między rywalami, ale ostatecznie mu nie zapobiegło.

Jako generał Tuchaczewski był wielką niewiadomą. Lecz w ciągu 1920 roku wywarł na wrogach przynajmniej równie wielkie wrażenie jak na przełożonych. Trocki przyznawał, że Tuchaczewski „wykazał się wyjątkowymi uzdolnieniami", potępił jednak „element awanturnictwa w jego strategii". Komisarz wojenny czuł się zmuszony poddać krytyce próby „stworzenia doktryny wojskowej za pomocą naprędce zaadaptowanych formuł marksistowskich"; uważał również, iż Tuchaczewski „zbyt szybko przeszedł z szeregów gwardii carskiej do obozu bolszewickiego[128]". Piłsudski był bardziej wielkoduszny:

> Sprawia on na mnie wrażenie wodza, skłonnego do myślenia abstrakcyjnego, lecz obdarzonego wolą, energią i rzadko spotykaną u ludzi uporczywością w pracy według zakreślonych przez siebie metod. Wodzowie tacy rzadko są skłonni do szerszej analizy, gdyż związują się – że tak powiem – całym swoim jestestwem wyłącznie ze swoim jedynie zadaniem, lecz na to dają gwarancję, że wziętą na siebie pracę będą wykonywać bez wahania. [...] Siłami swoimi p. Tuchaczewski rozporządził bardzo zręcznie i każdy dostrzeże łatwo cechy wodza większej miary w śmiałym i konsekwentnym rozkładzie sił[129].

Piłsudski chwalił człowieka, który podzielał jego ofensywne nastawienie.

* * *

W chwili, kiedy Tuchaczewski przybył do Smoleńska, front dopiero się organizował. Chociaż napływ posiłków do armii sowieckich formujących się na zachodzie dawał im nominalną przewagę, tylko jedna z nich mogła podjąć ofensywę. A tymczasem sytuacja była nagląca. Dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego bardzo potrzebowało pomocy.

Zarazem istniało wyraźne niebezpieczeństwo, że po zatrzymaniu ofensywy w Kijowie Polacy przerzucą z Ukrainy część zwycięskich dywizji i przeszkodzą w sowieckich przygotowaniach na Białorusi. Potrzebne były działania wyprzedzające. Dlatego też Tuchaczewski wydał 15. Armii rozkaz natarcia – który przyszedł w samą porę. Piłsudski wydał już bowiem dyrektywy dotyczące uderzenia 17 maja na linii Żłobin-Mohylew. Gdyby ta ofensywa doszła do skutku i się powiodła, siły polskie opanowałyby sieć kolejową łączącą obydwa teatry wojny i zajęły dogodne pozycje do ataku na tyły nadal niegotowych zgrupowań sowieckich.

Sama bitwa nad Berezyną jest zatem mniej interesująca niż potencjalne wydarzenia, którym zapobiegła. Zasadniczo była to operacja improwizowana i prewencyjna. Niemniej jednak walczono zażarcie. 15. Armia w sile sześciu dywizji piechoty przekroczyła Dźwinę 15 maja. Kierował nią młody dowódca o nazwisku Czujkow; atak skierowano na pozostawiony dotąd w spokoju punkt na lewym skrzydle linii polskich. Wkrótce potem 16. Armia rozpoczęła oblężenie Borysowa. Przez dwa tygodnie czerwona piechota nieprzerwanie spychała Polaków. Stopniowo tempo ofensywy słabło, aż pod koniec maja natarcie zatrzymało się zupełnie, tworząc linię nieregularnego łuku rozpiętego wśród jezior i lasów między Kozianami na północnym zachodzie a jeziorem Plissa na południowym wschodzie – ponad sto kilometrów od miejsca rozpoczęcia ofensywy. Wbrew przedwczesnym triumfalnym wiadomościom w „Prawdzie” Borysów nie padł[130].

Kiedy dowództwo polskie zdecydowało się zrezygnować z pierwotnych zamiarów, poradziło sobie z tym niespodziewanym zagrożeniem bez większych trudności. Generał Sosnkowski przegrupował 1. Armię w Święcianach, korzystając z wojsk rezerwowych z Wilna. Generałowi Skierskiemu polecono przygotować drugie zgrupowanie w Łohojsku. Atakując oba końce sowieckiego łuku, Polacy chcieli odizolować jego środek.

Tuchaczewski rozgrywał tę partię ostrożnie. Skoro uratował Żłobin i Mohylew, a także zapewnił sobie dwa tygodnie wytchnienia, wolał teraz się wycofać. 8 czerwca ściągnął swoje wojska z powrotem nad Autę i Berezynę, których brzegi stanowiły dogodniejszą i naturalną linię obrony. Musiał przecież zakończyć przygotowania do głównej ofensywy. Z kolei przerwanie frontu w Samhorodku przez Budionnego skierowało uwagę Polaków ponownie na południe. Przez następny miesiąc pozycje obu stron na północy nie uległy zmianie.

* * *

Wczesnym latem 1920 roku bolszewicy stanęli przed sytuacją, której powstanie od dawna przewidywali, ale do której nie byli wciąż ani psychicznie, ani materialnie przygotowani. Kiedy ofensywa polska na Ukrainie się zatrzymała, musieli pomyśleć o

własnym natarciu. Przetrzymawszy pierwsze uderzenie w tej rundzie, mogli wszak twierdzić, że teraz nacierają w obronie własnej. Niemniej jednak niełatwo im było uznać uczucia towarzyszące takiemu przedsięwzięciu za ideologicznie słuszne oraz określić jego charakter i cele. Podjęli więc długotrwałą debatę, która zakończyła się w lipcu nie tyle na skutek osiągnięcia jednomyślności, ile z powodu nieodpartej pokusy odniesienia militarnego zwycięstwa.

Fala uczuć patriotycznych, która podniosła się pod koniec kwietnia po ataku Piłsudskiego na Kijów, bynajmniej nie opadała. W rezultacie wojna z Polską stała się nader popularna. Zyskała poparcie wielu Rosjan, którzy dotychczas odmawiali współpracy z rządem sowieckim. Wśród nich najważniejszą postacią był Aleksiej Brusiłow, były rosyjski głównodowodzący za Rządu Tymczasowego oraz jedyny carski generał, który przeprowadził zwycięską ofensywę podczas wojny światowej. W 1920 roku Brusiłow był posiwiałym inwalidą. Był kaleką od dwóch lat, kiedy to moskiewski dom, gdzie ukrywał się przed czerwonym terrorem, został trafiony przez pocisk. Teraz pojawił się na forum publicznym, oferując swoje usługi. Jego list do sowieckiego dowództwa, a później apel do dawnych podkomendnych zostały opublikowane przez „Prawdę":

> Zapomnijcie o doznanych krzywdach. Waszym obowiązkiem jest teraz bronić ze wszystkich sił umiłowanej Rosji i poświęcić życie, aby ocalić ją od ujarzmienia na wieki[131].

Brusiłowa mianowano przewodniczącym specjalnie powołanego komitetu doradczego ekspertów wojskowych.

Patriotyzm nie był postawą podziwianą przez wielu bolszewików, a żaden z nikt nie przewidywał, że będzie się nim posługiwał dla własnych celów. Patriotyzm wszak zwiódł na manowce światowy proletariat i podczas wojny światowej doprowadził robotników do bratobójczych rzezi. Był bożkiem burżuazji, która potrafiła skłonić proletariat do dobrowolnych ofiar na jego ołtarzach. Był bez reszty potępiany przez wszystkich wybitnych bolszewików, którzy w tej kwestii różnili się od większości europejskich socjalistów. Patriotyzm był zarazem cechą, którą dysponował bez ograniczeń polski nieprzyjaciel. Tymczasem w maju 1920 roku patriotyzm przyciągał Rosjan do szeregów Armii Czerwonej – tak samo jak w sierpniu 1914 roku popychał ich do służby w armii carskiej. Był to nader dręczący paradoks. Towarzyszył mu bolesny problem polityczny: czy podsycać, czy raczej tłumić te spontaniczne reakcje; kwestia ta długie tygodnie zaprzątała umysły teoretyków partyjnych i wycisnęła trwałe piętno na sowieckiej ideologii. Najpierw próbowano udawać, że problem nie istnieje. Na początku maja „Prawda" opublikowała serię artykułów, w których dowodzono, że wojna z Polską w ogóle nie ma charakteru narodowego. Polska pod rządami Piłsudskiego znajduje się w tej samej fazie co Rosja za Kierenskiego, a zatem wojna przeciw Polsce nie jest niczym więcej jak przedłużeniem wojny domowej. „Wojna z Polską – pisał we wstępniaku z 9 maja Grigorij Sokolnikow – jest wojną klasową, która jest równie odległa od wojny narodowej jak niebo od ziemi"[132]. Im dłużej trwała wojna, tym bardziej ten punkt widzenia wydawał się nieodpowiedni. W rosyjskich gazetach i czerwonoarmijnej propagandzie płynął potok szowinistycznych sloganów, które nie ustępowały buńczucznością publikacjom polskim. Lenin musiał ogłosić surowe ostrzeżenie o niebezpieczeństwach szowinizmu[133]. Trocki zawiesił gazetę Armii Czerwonej „Wojennoje Dieło" za opublikowanie artykułu, w którym przeciwstawiano

„przyrodzony jezuityzm Lachów” „szlachetnemu i otwartemu duchowi narodu wielkorosyjskiego”[134]. Zadanie uzgodnienia dawnej teorii z obecną rzeczywistością powierzono Karolowi Radkowi, który – jako Polak – był szczególnie świadom potęgi uczuć patriotycznych; „Prawda” opublikowała w trzech odcinkach jego sążnisty artykuł pt. „O charakterze wojny z białą Polską”[135]. Radek przyznawał, że wojnie z Polską towarzyszą cele narodowe i klasowe; wyjaśniał wszelako, że aspekt narodowy jest bardziej pozorny niż rzeczywisty, gdyż stanowi konsekwencję zbiegu okoliczności, a mianowicie faktu, że najnowszy kapitalistyczny wróg jest zarazem wrogiem zagranicznym. Radek rozróżniał przy tym rosyjski szowinizm – zionący nienawiścią do wszystkiego, co polskie – od „zdrowego instynktu patriotycznego”. Ten drugi – głosił – budzi się u wieśniaka, który odczuwa potrzebę obrony teraz już własnej ziemi; u robotnika, który chce bronić władzy znajdującej się dziś w jego rękach; a nawet w pewnych „kręgach inteligencji, które dotąd były nam wrogie”. Radek doszedł więc do wniosku: „nie ma poważnych różnic ani sprzeczności między naszymi celami patriotycznymi i internacjonalistycznymi w tej wojnie”. I konkludował:

> Ponieważ Rosja jest jedynym krajem, w którym klasa robotnicza przejęła władzę, robotnicy na całym świecie powinni stać się teraz rosyjskimi patriotami. [...] Jesteśmy dostatecznie silni, by nie obawiać się, że te patriotyczne tony zagłuszą naszą orkiestrę bądź stłumią śpiewaną przez nas *Międzynarodówkę*[136].

Debata ideologiczna zaprzątała do tego stopnia umysły bolszewickich przywódców, że przesłoniła równie konieczną analizę celów praktycznych. Jedynie Trocki sformułował spójny pogląd na wojnę z Polską oraz na jej konsekwencje dla całej sowieckiej polityki. Paradoksalnie, żywione od dawna obawy przed tą wojną skłoniły go teraz – gdy jego wojska nieodwołalnie w niej uczestniczyły – do wysunięcia żądania, by przyznano jej absolutny priorytet. Ponieważ twierdził dotąd konsekwentnie, że bezpośrednia konfrontacja z potęgami europejskimi jest niesłychanie ryzykowna, teraz musiał domagać się podjęcia największego wysiłku, aby nie doszło do katastrofy. Jego stanowisko wyrażone w 16 tezach zatytułowanych „O froncie polskim i naszych zadaniach” zostało zaaprobowane 30 kwietnia przez Rewolucyjną Radę Wojenną:

1. Imperialiści z ententy prowadzą rokowania handlowe z Rosją sowiecką, a zarazem utrzymują kontakty z białogwardyjską Polską, Finlandią i Łotwą. Wynika z tego, że w obozie imperialistycznym nie ma pewności i zgody co do tego, w jaki sposób najlepiej zadusić Rosję robotników i chłopów.
2. Ta grupa państw kapitalistycznych, w której technika produkcji masowej jest wysoko rozwinięta, chciała zniszczyć naszą socjalistyczną gospodarkę, nawiązując wymianę towarową z kułakami za pośrednictwem białogwardyjskich spółdzielni. Druga grupa, która bardziej polega na przemyśle ciężkim i zbrojeniowym, chce osiągnąć swoje cele za pomocą działań wojennych i przez bezpośrednie zagrabienie bogactw naturalnych Rosji. Poszczególne rządy i jednostki w tych rządach oscylują między tymi poglądami zależnie od indywidualnych powiązań z kapitalistami oraz oceny sytuacji militarnej.
3. Białogwardyjska Polska nie prowadzi niezależnej polityki, lecz kieruje się chciwością i tchórzostwem. Napaść na Ukrainę można uważać za próbę zaspokojenia kosztem Rosji zapotrzebowania ententy na surowce naturalne w taki sposób, aby nie naruszyć własnych zasobów Polski.
4. Wieją nowe wiatry. Do kolejnych awantur wojennych przeciw Rosji sowieckiej zachęcać będzie rewolucyjna sytuacja w Niemczech oraz świadomość, że handel z Rosją nie tylko nie zniszczy systemu sowieckiego, ale – na odwrót – faktycznie go umocni.
5. Podejmując atak na Ukrainę, burżuazja polska dobrze rozumiała te uwarunkowania.
6. Polityka terytorialna Finlandii, a zwłaszcza Łotwy jest ustalana w Warszawie przy współudziale rządu polskiego.
7. W kwestii handlu zagranicznego oraz przyszłych relacji z naszymi zachodnimi sąsiadami przesądzi całkowicie rezultat wojny polskiej.
8. Polska republika burżuazyjna dała dowody, że nie chce i nie potrafi współistnieć z Rosją sowiecką. Tym samym

wpadła we własną pułapkę. Polska szlachta i burżuazja zostaną pokonane przez polski proletariat, który następnie przekształci swój kraj w republikę socjalistyczną.

9. Wojna będzie się toczyć w szczególnie napiętej i wrogiej atmosferze. Rząd polski, przy ścisłej współpracy szczwanych lisów socjalpatriotyzmu, rozbudza przeciw nam nie tylko otwartą nienawiść wielkiej, średniej i małej burżuazji oraz kułactwa, a także pychę szlachty, ale również nacjonalistyczne uprzedzenia mas. [...] To ani na jotę nie zmienia naszej akceptacji dla niepodległości Polski.

10. Wojnę polską należy traktować nie jako wyłączny problem Frontu Zachodniego, ale jako zasadniczy problem całej Rosji.

11. Wszystkie organizacje państwowe, partyjne i zawodowe mają obowiązek wyjaśniać naszą politykę całej ludności, nawet na najdalszej prowincji. Robotnicy i chłopi, mężczyźni i kobiety – wszyscy muszą pojmować i czuć, że wojna polska jest ich wojną, że jest wojną o niepodległość socjalistycznej Rosji, a także o jej zjednoczenie z proletariacką Polską i z proletariatem całego świata.

12. Należy wzmóc wszystkie wysiłki na rzecz poprawy transportu i komunikacji.

13. Nasi wrogowie traktowali powstawanie armii robotniczo-chłopskich jako oznakę słabości militarnej. Mylili się. Większość tych sił trzeba teraz zwolnić z ich obecnych obowiązków i przenieść na Front Zachodni.

14. Wszystkie organizacje lokalne i partyjne muszą przemyśleć, w jaki sposób mogłyby najlepiej współpracować z Frontem Zachodnim.

15. Wszędzie i przy każdej okazji należy zwoływać wiece i zebrania, aby wyjaśniać cele wojny polskiej bezpartyjnym masom.

16. Wszystkie komisariaty narodowe mają opracować plan pomocy dla Frontu Zachodniego[137].

Warto zauważyć, że praktyczne zalecenia zawarte w tych tezach zostały wywiedzione z czysto teoretycznej oceny polityki ententy. Przeprowadzona przez Trockiego analiza, wskazująca na czysto ekonomiczne motywy zamysłów alianckich, jest w najwyższym stopniu osobliwa, lecz jego obserwacje dotyczące tkwiących w nich sprzeczności są zaskakująco aktualne. Wyolbrzymiając militarny charakter wrogiej postawy aliantów i minimalizując zdolność polskiego rządu do niezależnego działania, Trocki nieuchronnie potrafił przekonać samego siebie, że Armagedon jest tuż-tuż. Był tak przejęty ogromem nadchodzącego starcia, że zupełnie nie umiał wybiec myślą poza nie. Jego tezy nie zawierają żadnych propozycji w kwestii warunków ostatecznej ugody ani też nie przedstawiają konkretnej koncepcji owego „proletariackiego zjednoczenia" w przyszłości. Trocki zakładał, że Polska zostanie wyzwolona przez jej własny lud, a nie przez rosyjską Armię Czerwoną. Jedynym namacalnym celem wojny było przetrwanie. W dyrektywie z 9 maja – pierwszej skierowanej do Tuchaczewskiego na jego nowym stanowisku dowódczym – Trocki stwierdzał, że Front Zachodni jest najważniejszy: „o wiele ważniejszy od Wschodniego czy Południowego"[138]. Aby podkreślić wagę tych słów, wybrał się na inspekcję. Ze Smoleńska pojechał na linię frontu w Rzeczycy nad górnym Dnieprem. 10 maja był w Homlu, gdzie wygłosił mrożącą krew w żyłach mowę o groźbie szpiegostwa i o rzekomych okrucieństwach wroga. Obwieścił swoim słuchaczom, że Polacy nie biorą jeńców i mają w zwyczaju wieszać bądź rozstrzeliwać wszystkich, którzy wpadną im w ręce, nie wyłączając chorych, rannych i „bezpartyjnych"[139]. 11 maja był w Nieżynie, gdzie spotykały się fronty Zachodni i Południowo-Zachodni. 15 maja wrócił do Mohylewa – na czas, by osobiście dać sygnał do rozpoczęcia bitwy pod Berezyną.

Jeśli idzie o kampanię polską, poglądy Stalina były konkretne i rzeczowe. Przewidywał dwie trudności. Po pierwsze, obawiał się o organizację tyłów Armii Czerwonej:

Mówiliśmy o szansach rosyjskiego zwycięstwa i powiedzieliśmy, że szanse te rosną i będą rosły jeszcze bardziej, ale wcale z tego nie wynika, że mamy już zwycięstwo w kieszeni. [...] Wspomniane zwycięstwo może się urzeczywistnić jedynie w warunkach właściwej organizacji naszych sił, kiedy będą one otrzymywać regularne i wystarczające

zaopatrzenie, gdy nasi agitatorzy będą umieli rozpalić żywiołowy entuzjazm wśród żołnierzy, gdy nasze tyły zostaną oczyszczone z plugastwa i korupcji oraz skonsolidowane zarówno pod względem moralnym, jak i materialnym [...][140].

Jego druga troska dotyczyła charakteru przyszłej polskiej konstytucji. Wszyscy mówili bez zająknienia o „Polsce sowieckiej" i o „zawieszeniu czerwonej gwiazdy na warszawskiej cytadeli", nie zastanawiając się w ogóle, co to w rzeczywistości oznacza. Doświadczenia Stalina jako komisarza do spraw narodowości podpowiadały mu, że nie da się traktować historycznych narodów, takich jak Polska, Niemcy czy Węgry, w identyczny sposób, jak potraktowano Baszkirów czy Ukraińców. W liście z 16 czerwca do Lenina zaproponował więc, by Polska została włączona nie do istniejącej Rosyjskiej Federacji Sowieckiej, lecz do szerszej wspólnoty państw sowieckich[141]. W jednej kwestii nie miał żadnych wątpliwości. Był mianowicie przekonany, że ani Rosja sowiecka, ani ententa nie zezwolą państwom kresowym na autentycznie niepodległą egzystencję:

> Trzy lata rewolucji i wojny domowej pokazały, że bez wzajemnego poparcia Rosji Centralnej i rubieży rewolucja jest niepodobieństwem, wyzwolenie Rosji ze szponów imperializmu jest niepodobieństwem. [...] Tak zwana niepodległość Gruzji, Armenii, Polski, Finlandii i tak dalej to tylko oszukańczy pozór, który maskuje całkowite uzależnienie tych – przepraszam za wyrażenie – państw od takiej czy siakiej grupy imperialistów[142].

Lenin zdradzał mniej wątpliwości niż którykolwiek z jego kolegów. W ogóle nie przejmował się paradoksami, które ujawniła publiczna debata. Szydził z ostrożności Trockiego. Nie zwracał szczególnej uwagi na obawy i praktyczne sugestie Stalina. Twierdził, że Rosja sowiecka będzie mówić o pokoju jedynie z „polskimi robotnikami i chłopami"[143]. Rozwścieczył go Radek, który ośmielił się wyrazić opinię, że polscy robotnicy i chłopi nie powitają Armii Czerwonej z otwartymi ramionami. Zwrócił się więc do innego Polaka, Unszlichta, który powiedział mu to, co chciał usłyszeć[144]. Dopóki przebieg wojny z Polską był pomyślny, Lenin pozwalał jej się toczyć. W istocie był coraz bardziej pewny swego. Sukcesy Budionnego w Galicji i ogromna koncentracja sił na Białorusi wydawały się uzasadniać jego optymizm. Kiedy w połowie lipca sytuacja dyplomatyczna wymagała formalnej decyzji, Lenin się nie wahał. Chciał, by Armia Czerwona wkroczyła jak najszybciej do centralnej Polski. 17 lipca bez większych trudności nakłonił Politbiuro do podjęcia tej kluczowej decyzji – wbrew opinii Trockiego (przedstawionej jako stanowisko Najwyższego Dowództwa), aby zatrzymać ofensywę i poczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Przeciągnął na swoją stronę pięciu pozostałych członków Biura. W tym czasie Tuchaczewski przebył już ponad połowę drogi ku Wiśle.

* * *

W czerwcu 1920 roku Front Zachodni został uformowany, więc w lipcu, po niemal czterech miesiącach przygotowań, Armia Czerwona rozpoczęła wreszcie atak na Polskę. Po raz pierwszy w swoich dziejach państwo sowieckie spróbowało zgromadzić znaczną część wszystkich swoich sił na jednym froncie, aby przeprowadzić kampanię przeciw obcemu państwu.

Zachęceni przykładem Brusiłowa Sowieci postanowili powołać do wojska wszystkich dawnych carskich oficerów i podoficerów. Nad zaciągiem sprawowała pieczę komisja kierowana przez Glezarowa. Do 15 sierpnia powołano w sumie 314 180 ludzi[145],

dzięki czemu znacznie podniosła się liczba wyszkolonych i wyspecjalizowanych żołnierzy. Warto zauważyć, że wszyscy dowódcy w armii Tuchaczewskiego – Kork, Łazariewicz, Sołłogub i Siergiejew – to dawni carscy pułkownicy.

Tych, których nie można było powołać, zachęcano do zgłaszania się na ochotnika:

> Potrzebujemy ochotników! Was, młodych przedstawicieli proletariatu! Was, sumiennych chłopów! I was, wszystkich szlachetnych członków inteligencji! Was, oficerów rosyjskich, którzy zrozumieliście, że Armia Czerwona broni Wolności i Niepodległości narodu rosyjskiego. Front Zachodni wzywa was wszystkich. TROCKI[146].

Jednym z tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie, był Włodzimierz Majakowski. To trudne dziecko ruchu rewolucyjnego (którego poemat epicki *150 000 000* – wyrażający ówczesne odczucia autora – miał zostać potępiony przez Lenina jako przykład „komunizmu chuligańskiego”[147]) porzuciło na pewien czas poezję i przyłączyło się do wysiłku wojennego. Majakowski został zatrudniony w sowieckiej agencji prasowej Rosta, gdzie wykorzystywał swoje talenty do projektowania plakatów propagandowych. 19 maja wygłosił dla swoich kolegów wykład na temat jedności sztuki i poezji w propagandzie[148].

Do pracy na rzecz wojny włączono znaczną część cywilów. W dwudziestu czterech guberniach zachodniej Rosji ogłoszono stan wyjątkowy. Produkcja sprzętu wojskowego i transport militarny miały absolutny priorytet. Członkowie partii bolszewickiej zostali zmobilizowani *en masse*. W sierpniu w szeregach znalazło się sześćdziesiąt pięć procent składu osobowego partii, czyli 280 tysięcy komunistów[149].

Powracali nawet dezerterzy. Dzięki gwarancjom nietykalności milion z około dwóch i pół miliona żołnierzy, którzy zimą porzucili szeregi Armii Czerwonej, teraz znalazło drogę powrotną[150].

Liczebność Armii Czerwonej zdecydowanie wzrosła. 1 sierpnia przekroczyła pułap pięciu milionów. Słusznie mówiono w tym przypadku o „gębach” (*jedoki*), ponieważ żołnierze zjedli jedną czwartą zasobów pszenicy na rok 1920 i było ich znacznie więcej niż karabinów. Tylko jeden na dziewięciu może być uznany za „żołnierza walczącego” (*bojec*). Mimo to w ciągu 1920 roku na front polski wysłano niemal 800 tysięcy ludzi, przy czym 402 tysiące skierowano na Front Zachodni, a 355 tysięcy uzupełniło armie Frontu Południowo-Zachodniego w Galicji.

Nie da się sporządzić ogólnego bilansu sił. Wydaje się, że Sowieci dysponowali na zachodzie 790 tysiącami ludzi. Tuchaczewski miał tak wielu żołnierzy, że nie wiedział, co z nimi robić – dokładne wyliczenia nie mają więc większego sensu. Sam Tuchaczewski twierdził, że ma 160 tysięcy ludzi gotowych do walki, podczas gdy Piłsudski szacował liczebność przeciwnika na 200-220 tysięcy. Kakurin podaje następujące dane: 90 509 „bagnetów” i 6292 „szable” po stronie sowieckiej oraz 86 tysięcy „bagnetów” i 7500 „szabel” po stronie polskiej, z czego na linii znajdowało się faktycznie 37 tysięcy[151]. W każdym razie na obszarze przyfrontowym Sowieci mieli wyraźną przewagę, wynoszącą zapewne 50 tysięcy ludzi. Ich siły na Froncie Zachodnim były podzielone na pięć armii. 4. Armia Siergiejewa nad Dźwiną z czterema dywizjami piechoty i dwiema kawalerii; 15. Armia Korka w Połocku z pięcioma dywizjami piechoty; nowa 3. Armia Łazariewicza w Leplu z czterema dywizjami piechoty i brygadą kawalerii; 16. Armia Sołłoguba nad Berezyną z pięcioma dywizjami piechoty oraz Grupa Mozyrska Chwiesina na południowym skrzydle z dwiema połączonymi dywizjami. Naprzeciw nich stały trzy armie

polskie: 1. Armia generała Zygadłowicza, 4. Armia generała Szeptyckiego (jednocześnie dowódcy Frontu) w Borysowie oraz Grupa Poleska generała Sikorskiego nad Prypecią.

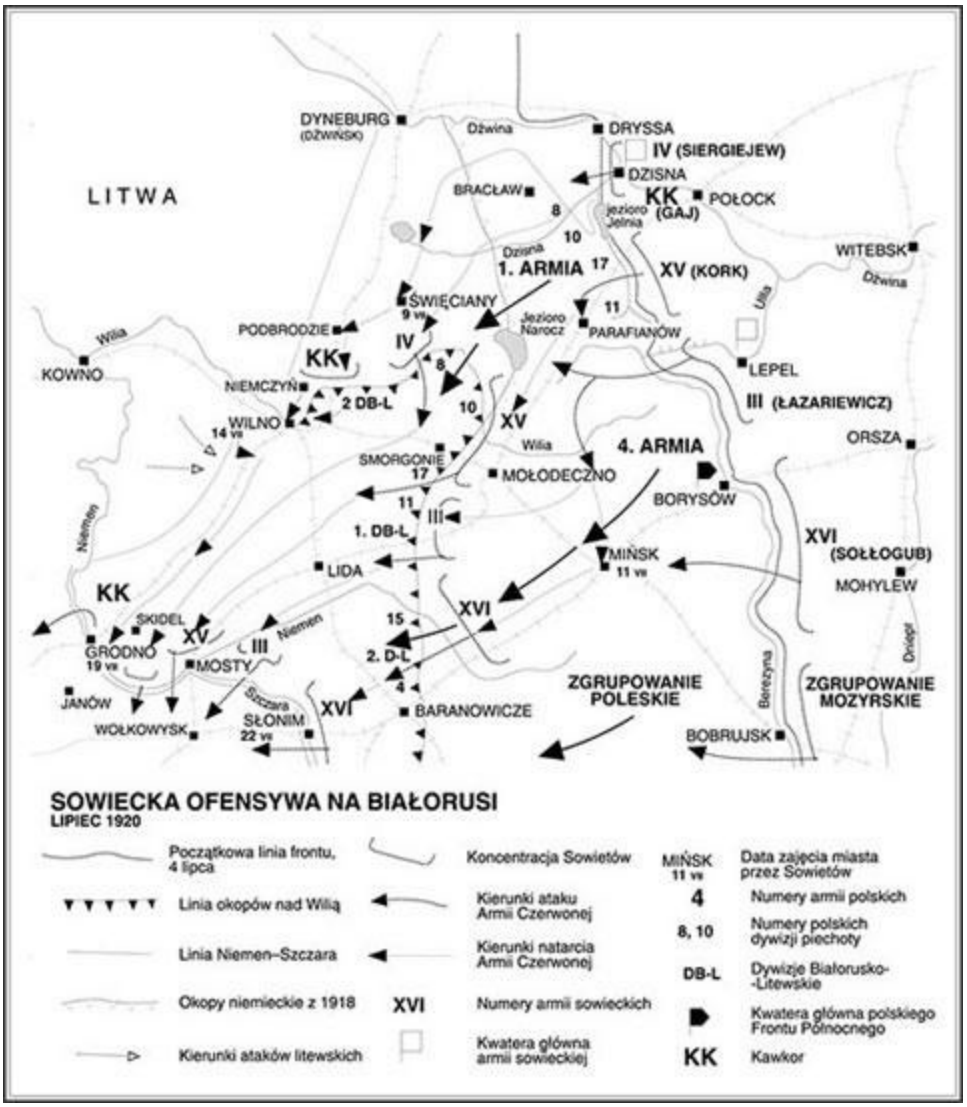

Problemem Tuchaczewskiego nie była liczebność, lecz organizacja wojska. Musiał sprawić, by transport i zaopatrzenie wzniosły się na poziom zdecydowanie przekraczający standardy wojny domowej. Sama 4. Armia zgromadziła około 7400 podwód; 16. Armia zarekwirowała ich 16 tysięcy. Przygotowano kuchnie polowe i zapasy żywności. Zreperowano tory kolejowe i całkowicie odbudowano strategiczne mosty, na przykład most na Dźwinie w Połocku. Wzmocniono artylerię. Na front sprowadzono 595 dział, osiągając w ten sposób trzykrotną przewagę. Niezbędne były również potężne i zwinne siły uderzeniowe. W tym celu utworzono 3. Korpus Kawalerii – Kawkor – pod dowództwem Gaja Dmitrijewicza Gaja.

Tuchaczewski dobrze znał Gaja. Tak jak on, Gaj był młody, przystojny i pewny siebie. Przyszedł na świat w 1887 roku w Tebrizie w Persji jako Gajk Bżyszkjan, najstarszy syn ormiańskiego socjalisty emigranta; nazwisko zmienił podczas służby w armii carskiej. Przez kilka lat mieszkał w Tyflisie, gdzie jako nastoletni dziennikarz posługiwał się swoim pierwszym, rewolucyjnym pseudonimem „Bandor” (robotnik) i gdzie zasłużył sobie na pięcioletni wyrok więzienia. W 1914 roku, jako 21-letni młodzieniec, został powołany do wojska. Dowodził batalionem na froncie tureckim i został dwukrotnie odznaczony za odwagę: Krzyżem św. Jerzego (IV klasy) i Orderem św. Anny (IV klasy). Na skutek ran

odniesionych podczas ucieczki z tureckiej niewoli został skierowany na rekonwalescencję; przez krótki okres w lutym 1917 roku kierował w Moskwie działaniami Wojennego Dowództwa Patrolowego przedrewolucyjnej Czerwonej Gwardii. Kolejny okres rekonwalescencji spędził w Samarkandzie, gdzie na początku 1918 roku utworzył zbrojny oddział robotników. Nie mógł dotrzymać pola miejscowym kontrrewolucjonistom, wyprowadził więc swoich ludzi na pustkowia Kazachstanu i po epickim marszu przez góry Uralu wywalczył sobie drogę do Samary. Od tego momentu jego sława wciąż rosła. Przez większą część wojny domowej służył pod Tuchaczewskim. Dowodził sławną „Żelazną Dywizją" nad Wołgą, a w końcu 1. Armią Czerwoną – „pierwszą w liczebności i pierwszą w dzielności". W 1919 roku został wezwany przez Tuchaczewskiego na Front Południowy, żeby zorganizować Kaukaski Korpus Kawalerii w 10. Armii. Nie było więc nic dziwnego w tym, że kiedy w 1920 roku Tuchaczewski przeniósł się na zachód, Gaj otrzymał rozkaz dołączenia do niego[152].

3 czerwca 1920 roku Gaj dotarł do swojej kwatery głównej w Połocku. Jego Kawkor był częścią 4. Armii i miał powstać z dwóch istniejących dywizji kawalerii: 10. z Uralu pod dowództwem Nikołaja Dmitrijewicza Tomina oraz 15. Dywizji Kubańskiej dowodzonej przez Aleksandra Matuzienkę. Wsparcie piechotne stanowiła 164. Brygada Strzelców. Były to wojska szturmowe Tuchaczewskiego. Z czasem zasłużyły sobie u Polaków na miano „Złotej Ordy Gaj-chana".

Kawkorowi wyznaczono rolę o pierwszorzędnym znaczeniu. Operując na krańcu prawego skrzydła sowieckiej ofensywy, miał niejako wchodzić pod skraj polskiego dywanu i podwijać go w górę, by toczył się potem w tył pod naporem nacierających armii. Zadanie to ułatwiały trzy czynniki: ogromny obszar strefy bitewnej, co nieodmiennie daje fory szybkim i ruchliwym napastnikom; bliskość granicy litewskiej, która była niczym tarcza i zapewniała schronienie; wreszcie charakter polskiej strategii obronnej. Dowództwo polskie wymyśliło system linii obronnych. Miały one być obsadzone przez silne garnizony, które w każdym zagrożonym punkcie mogłyby wezwać na pomoc oddziały rezerwowe. Była to typowa koncepcja z wojny światowej: oparta na sile ognia z okopów i szybkim transporcie kolejowym posiłków. Jak się okazało, była ona jednak niedostosowana do warunków kresowych. Polacy mieli za mało ludzi, aby należycie obsadzić okopy; ich artyleria była rozsiana, a na krytycznych odcinkach słabsza od nieprzyjacielskiej; linie kolejowe były przeciążone i zbyt nieliczne; odległości były zbyt wielkie, by posiłki mogły zdążyć na czas. Kawkor zawsze przybywał pierwszy, zmuszając Polaków do porzucenia pozycji, często zanim jeszcze mieli okazję ich bronić. Gaj od początku przejął inicjatywę i kierował losami kampanii, dopóki nie znalazł się w głębi Polski.

Na początku lipca Tuchaczewski był gotów. Z jego słynnego rozkazu dnia emanowała pewność siebie:

> Na zachód!
> Rozkaz do oddziałów Frontu Zachodniego
> Nr 1423 Smoleńsk, 2 lipca 1920
> Żołnierze Armii Czerwonej!
> Nadszedł czas rozrachunku.
> Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Białego Orła stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie.
> Przez trupa Białej Polski prowadzi droga ku ogólnoświatowej pożodze.

Na naszych bagnetach przyniesiemy szczęście i pokój masom pracującym.
Na zachód!
Wybiła godzina natarcia.
Na Wilno, Mińsk i Warszawę! Naprzód marsz!
Dowódca naczelny Frontu Zachodniego, Tuchaczewski; członkowie Rewolucyjnej Rady Wojennej, Smilga, Unszlicht; szef sztabu, Szwarc[153].

Wielka ofensywa ruszyła 4 lipca. Zwiastunem generalnego natarcia był potężny ostrzał artyleryjski o świcie. Gaj wyjechał z Dzisny. Miał za zadanie przerwać linię polską w rejonie jeziora Jelnia i zasiać panikę na tyłach. Najpierw natknął się na 10. Dywizję Piechoty z 1. Armii, która dotrzymała mu pola i zmusiła do zwrotu na północ. Potem spotkał 8. Dywizję Piechoty, której dowództwo nie umiało się zdecydować, czy stać w miejscu i walczyć, czy raczej wycofać się do poniemieckich okopów. Gaj zwyczajnie ją ominął i dotarł bez walki do linii umocnień niemieckich pod Bracławiem. Mógł teraz ruszyć na południe: 9 lipca wszedł do Święcian kosztem czternastu zabitych i trzynastu rannych. Był o dwa dni drogi dalej, niż przewidywał plan, i tylko 70 kilometrów od Wilna. Szok wywołany początkowym sukcesem Gaja może być wytłumaczeniem słabego oporu armii polskiej na innych odcinkach. „Słuchy o głębokim oskrzydleniu przez naszą kawalerię rozeszły się szybko w wojsku polskim – pisał Siergiejew – i wyrastały do fantastycznych rozmiarów [...]. Sama tylko wiadomość o ruchu z północy naszej kawalerii zmuszała Polaków do opuszczania wszelkich pozycji, zwróconych frontem na wschód”[154]. Tymczasem – w nocy z 6 na 7 lipca – 16. Armia przeszła Berezynę. Z kolei 3. Armia przecięła w Parafianowie linię kolejową na Mołodeczno, a następnie zatoczyła koło, by przyłączyć się do szturmu na Mińsk, który padł jedenastego. Pierwsza linia obrony polskiej została przełamana.

Gaj myślał już o Wilnie – głównej zdobyczy na Kresach, mimo że cel ten z natury rzeczy powinien jeszcze poczekać. W Święcianach znalazł czternastoletniego Wasię, białoruskiego komsomolca, który podjął się dotrzeć do Wilna i zdobyć informacje o gotowości miasta do obrony. Szofer Gaja zawiózł Wasię za granicę litewską; przemykając się nocami przez lasy, a w dzień podróżując chłopskimi furmankami, chłopak zdołał uniknąć polskich patroli i niezauważony dotarł do Wilna, gdzie zamieszkał u zaprzyjaźnionych komunistów. Dzięki rozmowom z żołnierzami na ulicach i w kawiarniach dowiedział się, że miasta broni jedynie niewielki garnizon, około dwóch tysięcy ludzi, jedna z litewsko-białoruskich dywizji okopująca się wokół mostu na Wilii, dwa bataliony rezerwowe, trzy szwadrony jazdy oraz Legion Kobiet Polskich. Po zdobyciu polskiego munduru Wasia jeszcze raz został podwieziony, tym razem przez transport Czerwonego Krzyża zmierzający na linię frontu, gdzie zdołał dotrzeć do pozycji sowieckich, dał się złapać i w porę przed atakiem złożył raport dowództwu[155].

Gajowi pomogli również Litwini, którzy uznawali Wilno za przyszłą stolicę swojego państwa i byli gotowi na wiele, by je zdobyć. 9 lipca rozpoczęli rozmowy dyplomatyczne z sowieckim rządem i przeprowadzili serię rajdów przez linię demarkacyjną przeciw wojskom polskim. Tym sposobem osłabili jeszcze pozycje Polaków i zachęcili Gaja do podjęcia ryzyka.

W istocie rzeczy Gaj nie miał wiele czasu do namysłu. Jego wysuniętej placówce w Święcianach zagrażały coraz niebezpieczniejsze kontrataki. Jego kawaleria musiała albo się wycofać, albo pójść naprzód. Gaj wybrał natarcie.

Podczas podchodzenia do Wilna osłonę dawała rzeka Wilia. Cztery frontalne ataki sowieckiej 15. Dywizji zostały jednak odparte i przysporzyły jej ciężkich strat. Gaj spróbował więc podstępu. Pozostawił spieszoną 1. Brygadę, aby ściągnęła na siebie ogień nieprzyjaciela, sam zaś poprowadził cztery pozostałe brygady na zalesiony odcinek brzegu, skąd zaatakował z zaskoczenia. Do wieczora Wilia została sforsowana w trzech miejscach. Nacierający podzielili się wtedy na kilka oddziałów: jeden pojechał na Nowe Troki, aby podejść miasto z południowego zachodu; drugi nacierał z zachodu; trzeci szturmował z północy od strony Niemczyc; główne siły zaatakowały natomiast ze wschodu. Obrona polska była zupełnie zdezorientowana. Jej dowódca generał Boruszczak nadal wysyłał oddziały w kierunku Wilii, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, że jest otoczony ze wszystkich stron.

Upadek Wilna 14 lipca miał poważne konsekwencje. W sferze dyplomatycznej rządy sowiecki i litewski osiągnęły porozumienie. Wilno miało być oddane Litwinom. Ten gest Sowietów przyczynił się do złagodzenia obaw wszystkich państw bałtyckich. W sferze militarnej armia polska została zmuszona do jeszcze głębszego cofnięcia się. Obrona poniemieckich okopów nie miała teraz żadnego sensu. Druga linia polskiej obrony została przełamana.

Kolejna faza ofensywy bardzo przypominała poprzednią. Polacy zamierzali stawić opór na linii Niemna i Szczary. Zgrupowanie Sikorskiego zajęło brzeg Kanału Ogińskiego; armię rezerwową przesunięto z Białegostoku w dwóch grupach: jedna trafiła nad Niemen, druga nad Szczarę w rejonie Mostów. Grodno, główna forteca na linii obrony, znajdowało się – tak jak Wilno – na jej zachodnim krańcu, było więc naturalnym obiektem zainteresowania Kawkoru. 19 lipca o świcie 15. Dywizja Matuzienki wpadła niespodziewanie do Grodna i starła się ze słabym garnizonem generała Mokrzeckiego. Wywiązała się gwałtowna bitwa: z początku wyglądało na to, że pospieszny i samotny rajd Matuzienki zostanie ukarany. Tym bardziej że 10. Dywizja Tomina została zatrzymana w Skidlu, a piechota 4. i 15. Armii nadal znajdowała się 80 kilometrów z tyłu. Przez dwa dni ważyły się losy bitwy. Dowódcy dywizji błagali Gaja, by pozwolił im się wycofać. Polacy wysłali wszystkich wolnych żołnierzy w rejon Grodna. W rezultacie osłabili przeciwny, wschodni, skraj swojej linii obrony. 22 lipca, gdy bitwa o Grodno wciąż szalała, armie sowieckie 3. i 16. przekroczyły Szczarę. Do końca tygodnia, dzięki wsparciu piechoty, Matuzienko wyrwał się z Grodna na zachód i zamknął miasto w okrążeniu. W Grodnie uwolniono 5 tysięcy jeńców i – co ważniejsze dla Kawkoru – zdobyto stajnię z 500 świeżymi końmi pod wierzch. Zgodnie z relacją Gaja w pierwszym ataku Matuzienki zarąbano 300 polskich ułanów. Kolejnych 500 – cały polski pułk – zatonęło podczas panicznej przeprawy na obładowanych koniach przez bystre nurty Niemna. Miejska stacja kolejowa doszczętnie spłonęła, a dzielnicę nadbrzeżną zrównano z ziemią. Trzecia linia polskiej obrony została przełamana.

W bitwie o Grodno po raz pierwszy na Froncie Zachodnim Armia Czerwona zetknęła się z czołgami. 19 lipca kadeci miejscowej szkoły wojskowej zmusili do cofnięcia się dwie brygady 15. Dywizji Kawkoru dzięki natarciu pod osłoną ognia czterech czołgów Renault. W swoich pamiętnikach Gaj zanotował takie ówczesne komentarze: „Czołgi, towarzyszu dowódco! Jak można je zarąbać, kiedy są ze stali?”; „Bagnety na nic się nie zdadzą, zresztą nie można się do nich zbliżyć!”[156]. W rzeczywistości w Grodnie znajdowały się dwie kompanie czołgów – w sumie około 30 pojazdów. Wszelako jedna

kompania nie została w ogóle rozładowana z pociągu transportowego i mogła strzelać jedynie z wagonów stojących na stacji rozrządowej. Druga kompania stanowiła jedyną czynną grupę operacyjną, która pozostała jeszcze w mieście. W końcu otoczono ją i zmuszono do wycofania się ulicami w kierunku rzeki. Jeden po drugim czołgi wypadały z walki: na skutek bezpośrednich trafień, kolizji, braku benzyny i uszkodzeń. Tylko dwa przejechały po ostatnim, płonącym moście na Niemnie i dotarły do polskich linii. Jak podsumował to wydarzenie Gaj: „wyszkolony kawalerzysta nie ma się co obawiać pancernego czołgu". Wyraził pogląd, który był powszechnie przyjmowany przez dwie następne dekady[157].

Sowieci dotarli nad swój Rubikon. Tuż za Grodnem przebiegała linia Curzona. Dalsza ofensywa oznaczała wyzwanie rzucone mocarstwom Zachodu – inwazję na Europę. Tuchaczewski się nie wahał. Wydał polecenie kontynuowania natarcia. 23 lipca rozkazał, by Warszawa została zajęta najpóźniej do 12 sierpnia[158].

Pomimo zamieszania związanego z odwrotem wojsko polskie opóźniało sowiecką ofensywę, kiedy tylko mogło. W jednej z akcji tylnej straży – w Janowie – doszło do poważnego starcia kawalerii. 13. Pułk (Wileński) Ułanów, osłaniający przeprawę dywizji generała Żeligowskiego przez Niemen, otrzymał rozkaz towarzyszenia tym jednostkom w dalszym wycofywaniu się. Ułani nie mieli map i polegali na pochodzących od chłopów informacjach dotyczących pozycji nieprzyjaciela. Pewnego razu wzięli stado spłoszonych byczków za kozacką szarżę. 25 lipca napotkali 15. Dywizję Kawkoru i zaatakowali. Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy starły się ze sobą lance i szable. Polacy wzięli górę. Ich dowódca Mścisław Butkiewicz zabił swojego sowieckiego odpowiednika w bezpośrednim pojedynku. Przedni szwadron Sowietów został unicestwiony, a marsz całej dywizji został opóźniony o dwa, trzy dni. Polaków zdziwił słaby opór Kawkoru oraz defensywne i „nierycerskie" użycie przez Rosjan karabinów maszynowych na taczankach. Odżyła nadzieja, że nie wszystko jeszcze stracone[159].

Czwarta i ostatnia linia obrony na Narwi i Bugu okazała się trudniejszą przeszkodą niż poprzednie – głównie ze względu na stan wojsk. Znużeni napastnicy i znużeni obrońcy z konieczności słaniali się w bitwie. W ciągu tygodnia po upadku Grodna Kawkor roztrwonił swoją energię, przetrząsając obszar nad granicą z Prusami Wschodnimi. Armie 15. i 3. oczyszczały rejon środkowy wokół Białegostoku i Bielska. Piłsudski określił sytuację sił polskich jako „kalejdoskop zamętu". Różne jednostki z rozmaitych dywizji i armii spotykały się ze sobą: czasem łącząc się, a czasem rozdzielając – zawsze jednak w odwrocie. Piłsudski opisuje, jak nisko upadło morale jego wojsk:

> [...] ten nieustanny, robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu jak gdyby skokami – ruch trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się jak jakaś ciężka, potworna chmura, dla której przegrody się nie znajdzie. [...] Pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały charaktery, miękły serca żołnierzy[160].

Kiedy 29 lipca bitwa została wznowiona, nie doszło do żadnych dramatycznych manewrów. Kawkor natarł na Łomżę nad Narwią, lecz bez zwykłego wigoru. Łomża opierała się przez tydzień. Więcej werwy pokazała w Brześciu 16. Armia. Szturmując fortecę falowymi atakami piechoty, zdobyła miasto z udzialem miejscowych komunistów, którzy zajęli centralę telefoniczną. Jednakże kiedy tylko przekroczyła 1 sierpnia Bug,

nadziała się w Białej Podlaskiej na niespodziewane kontruderzenie dowodzonego przez Sikorskiego Zgrupowania Poleskiego i została zepchnięta za rzekę. 3. Armia sforsowała Bug w sektorze centralnym, ale niebawem została zatrzymana w Sokołowie. Armia Czerwona przełamała więc wprawdzie ostatnią linię polskiej obrony, lecz raczej przygniatając bezwładnie swoim ciężarem zdemoralizowanego przeciwnika niż dając skoordynowany pokaz sztuki wojennej.

Kawkor, kiedy tylko znalazł się w Polsce, odzyskał ducha. Podczas gdy inne armie sowieckie wlokły się naprzód, Gaj jeszcze raz popędził na zachód. 4 sierpnia zdobył fort w Ostrołęce i wyrżnął w pień świeżo zebraną grupę kawalerii generała Roi. Jeden po drugim padały Przasnysz, Bieżuń i Sierpc. Wreszcie w drugim tygodniu sierpnia czerwona kawaleria stanęła nad brzegiem Wisły. 10. Dywizja dotarła do miejscowości Bobrowniki – 40 kilometrów od Torunia. 17 sierpnia 15. Dywizja szturmowała most we Włocławku i przecięła kluczową linię kolejową między Warszawą a Gdańskiem. Zaiste, Polska została najechana.

* * *

Nieokreśloność planów politycznych bolszewików względem Zachodu zdecydowanie kontrastowała ze sprecyzowanymi ambicjami komunistów polskich. Dla bolszewików proletariacka rewolucja w Polsce stanowiła kłopotliwy, lecz konieczny etap na drodze do faktycznego celu: rewolucji w Niemczech i dalej. Dla komunistów polskich stanowiła „być albo nie być" ich dalszej egzystencji. Komunistyczna Partia Robotnicza Polski uważała siebie za młodszego partnera, a nie za lokaja Moskwy. Miała własne żywotne tradycje. Dominowali w niej lewicowi komuniści, którzy śnili o równie radykalnych i idealistycznych programach jak ten przerobiony niedawno z katastrofalnym skutkiem przez ich kolegów z Lit-Bieła. Choć z zasady byli przeciwnikami suwerennej Polski, martwiły ich ostatnie przejawy rosyjskiego patriotyzmu w partii bolszewickiej i, rzecz jasna, chcieli

utrzymać kontrolę nad polskim ruchem komunistycznym w swoich rękach. Jednakże ich pozycja w Moskwie i poparcie w Polsce były tak słabe, że nie osiągnęliby niczego, gdyby sprzeciwili się życzeniom swoich bolszewickich protektorów. Podczas sowieckiej okupacji Polski musieli przyglądać się z goryczą, jak ich organizacja zostaje podporządkowana ścisłej kontroli Moskwy, a ich szanse na polityczny sukces gwałtownie maleją na skutek niezręcznych działań Armii Czerwonej. W 1920 roku dostali pierwszą surową lekcję życia między młotem Rosji sowieckiej a kowadłem katolickiej Polski.

3 maja rozpoczęła się w Moskwie Ogólnorosyjska Konferencja Komunistów Polskich. Dziewięćdziesięciu delegatów reprezentowało zarówno sekcje lokalne, jak i jednostki wojskowe. Głównym tematem była wojna z Polską. Wydawano rezolucje dotyczące mobilizacji wszystkich członków partii, nasilenia propagandy i – co szczególnie znamienne – połączenia komisariatu do spraw polskich konferencji z Biurem Polskim w partii bolszewickiej[161].

W wyniku konferencji działalność w Charkowie rozpoczęło w maju polskie wydawnictwo Polizdat. Z początku służyło sekcji propagandy Frontu Południowo-Zachodniego, a ostatecznie obsługiwało całą kampanię polską. Wydawało trzy gazety: „Głos Komunisty", „Żołnierza Rewolucji" oraz „Wiadomości Komunistyczne". Drukowany w Smoleńsku na polecenie dowództwa Frontu Zachodniego biuletyn „Młot" osiągał nakład 280 tysięcy egzemplarzy – większy niż jakakolwiek gazeta w Warszawie.

W pierwszych miesiącach lata sowiecka propaganda padała na dość żyzny grunt. W odróżnieniu od swoich towarzyszy na froncie południowym polscy żołnierze na Białorusi od mniej więcej dziewięciu miesięcy zajmowali pozycje czysto defensywne. Ani nie przeżyli euforii towarzyszącej ofensywie, ani nie mieli poczucia, że bronią ojczyzny. Nuda i zmęczenie rodziły pacyfizm i anarchię. Wprawdzie dezercja nigdy nie osiągnęła tak gigantycznych rozmiarów jak w Armii Czerwonej, ale polskie dowództwo było zaniepokojone. Bolszewicka propaganda krążyła wśród żołnierzy powracających z urlopów, a nawet wśród rannych w szpitalach polowych. 2 lipca generał Szeptycki raportował z Mińska:

> Żołnierze przyjeżdżający z urlopu i najnowsze uzupełnienia zawierają dużo materiału agitacyjnego, występującego przeciwko dalszej wojnie w imię jej bezcelowości i w imię tego, że „Piłsudski sprzedał się panom i prowadzi żołnierzy na armaty". [...] Dwaj szeregowcy 22 p.p. Stanisław Dąbrowski i Stanisław Królikowski zostali dzisiaj rozstrzelani na mocy wyroku sądu doraźnego za zbrodnie buntu i niesubordynacji oraz za zbrodnie niedozwolonej agitacji[162].

Wypadki niesubordynacji powtarzały się. 26 czerwca część 29. Pułku Piechoty usiłowała przekroczyć nieprzyjacielskie linie *en masse*. Śpiewając *Międzynarodówkę*, żołnierze wyszli z okopów w strefę ziemi niczyjej. Zostali zatrzymani ogniem z tyłu. Dowództwo sowieckie myliło się jednak, przypisując dezercję Polaków powszechnej sympatii do komunizmu. Z dyscypliną było najgorzej w pułkach śląskich i poznańskich oraz w dywizjach podhalańskich, gdzie poglądy polityczne były dalekie od lewicowych. Żołnierz polski chciał po prostu wrócić do domu. W późniejszych fazach wojny, gdy dotarła ona na rogatki Warszawy, odwaga i poświęcenie tych żołnierzy okazały się większe niż w jednostkach sowieckich.

Kiedy Armia Czerwona przekroczyła Bug i znalazła się w końcu na terytorium, które bolszewiccy przywódcy gotowi byli uznać za polskie, kampania polityczna gwałtownie przybrała na sile. We wszystkich oddziałach Armii Czerwonej utworzono specjalne

„wydziały sowieckie”. Ich zadanie polegało na zakładaniu komunistycznych komórek w każdej zajętej wsi, w każdym majątku i fabryce. W każdym okupowanym mieście organizowano komitet rewolucyjny (rewkom). Zdaniem Juliana Marchlewskiego te wstępne próby instalowania systemu komunistycznego w Polsce miały fatalne konsekwencje[163]. Kierowali nimi Rosjanie, którzy wyszli z założenia, że oficjalnymi językami rewolucyjnej Polski powinny być rosyjski oraz jidysz. W oczach polskiego cywila „wyzwolenie” przez Armię Czerwoną nie różniło się niczym od niezliczonych okupacji wojskowych z przeszłości. Do rewkomów trafiał najbardziej oportunistyczny element; później, kiedy za plecami Armii Czerwonej pojawiały się cywilne władze komunistyczne, miały one kłopoty z podporządkowaniem sobie tych komitetów. W Łomży rewkomem kierowali pospołu anarchiści, syjoniści i konserwatywni endecy.

23 lipca w Moskwie bolszewickie Biuro Polskie postanowiło utworzyć Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski (Polrewkom), który miał przejąć władzę administracyjną i polityczną na wyzwalanych obszarach. Komitet nazwano „tymczasowym”, ponieważ teoretycznie ostateczna władza była zarezerwowana dla polskiego proletariatu, a konkretnie – po zdobyciu Warszawy – dla Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Przewodniczącym Polrewkomu został Julian Marchlewski.

Polrewkom po raz pierwszy zebrał się 24 lipca w Smoleńsku. Jego siedzibą był pociąg, który przewoził drukarnię, redakcję, wagon dowództwa oraz zmotoryzowaną kolumnę transportową. Dwudziestego piątego dotarł do Mińska, dwudziestego siódmego do Wilna, a trzydziestego do Białegostoku, gdzie utworzono kwaterę główną i ogłoszono komunikat:

Na terenach Polski wyzwolonych spod jarzma kapitału powstał Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, w którego skład wchodzą tt. Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński, Feliks Kon, Edward Próchniak i Józef Unszlicht. Komitet Tymczasowy, ujmując rządy w swe ręce, stawia sobie za zadanie: aż do chwili utworzenia stałego rządu robotniczo-włościańskiego w Polsce kłaść podwaliny pod przyszły ustrój sowiecki Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad. W tym celu Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski:

a) pozbawia władzy dotychczasowy rząd szlachecko-burżuazyjny,

b) odbudowuje i na nowo organizuje komitety fabryczne w miastach i folwarczne na wsi,

c) powołuje do życia miejscowe komitety rewolucyjne,

d) ogłasza za własność narodu fabryki, majątki ziemskie oraz lasy i oddaje je pod zarząd komitetów robotniczych, miejskich i wiejskich,

e) gwarantuje nietykalność ziemi włościan,

f) powołuje do życia organy bezpieczeństwa, gospodarcze i aprowizacyjne,

g) gwarantuje obywatelom lojalnie wykonywającym rozkazy i polecenia władz rewolucyjnych zupełne bezpieczeństwo[164].

Tego samego dnia Marchlewski telegrafował do Lenina:

Prześwietna Armia Czerwona, po przełamaniu oporu nieprzyjaciela, wkroczyła na terytorium polskie jako czynny towarzysz broni polskiego proletariatu w walce z burżuazyjnym ciemiężcą. [...] Kierując się przykładem i doświadczeniem czerwonej Rosji, mamy nadzieję w najbliższej przyszłości szczęśliwie zakończyć dzieło wyzwalania robotniczo-chłopskiej Polski i rozwinąć czerwony sztandar rewolucji nad najbliższym Rosji bastionem imperializmu. Pozdrawiamy wodza światowego proletariatu!

Niech żyje Armia Czerwona, oswobodzicielka klasy pracującej całego świata!

Niech żyje Trzecia Międzynarodówka Komunistyczna!

Niech żyje Rewolucja![165]

Chociaż nominalnie Polrewkomem kierował Marchlewski, nie ma wątpliwości, że to

Feliks Dzierżyński był jego motorem i sternikiem. Dzierżyński był najstarszym rangą Polakiem w partii bolszewickiej, a od 1920 roku przewodniczącym Ogólnorosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji, czyli Czeka – rewolucyjnej policji politycznej. W okresie wojny domowej specjalizował się w likwidacji wrogów rewolucji na terenach przyfrontowych. Objeżdżał kraj swoim pociągiem pancernym, by na dworcowych peronach wymierzać doraźnie sprawiedliwość niczego niepodejrzewającym poddanym nowej sowieckiej władzy. W sierpniu 1920 roku w Białymstoku występował zarazem jako władca i płatnik. Był uosobieniem błogosławieństwa Moskwy, kluczowym ogniwem między Polriewkomem a bolszewickim Biurem Polskim oraz między władzami cywilnymi a wojskowymi. Od 9 sierpnia do 10 września sprawował funkcję oficera politycznego Rady Wojennej Frontu Zachodniego. Dysponował prywatną linią łączności z Leninem i Moskwą; koordynował równoległe działania polityczne w dowództwach Frontu Zachodniego i Południowo-Zachodniego. Miliard rubli pożyczki udzielonej Polrewkomowi przez rząd sowiecki pochodził z jego wydziału[166].

Powrót Dzierżyńskiego do Polski w 1920 roku stanowił zaiste wydarzenie przejmujące. Polska była areną jego wielu osobistych tragedii, a także jednej z najbardziej dramatycznych karier rewolucyjnych wszech czasów; była też ojczyzną, którą po raz ostatni widział sześć lat wcześniej przez zakratowane okna więziennej karetki. Urodził się w 1877 roku w Oszmianie pod Wilnem w rodzinie ziemiańskiej, ale od wczesnej młodości był wyrzutkiem społecznym. Po wydaleniu z gimnazjum za zbrodnię mówienia po polsku – „tym psim językiem", jak to ujął rosyjski dyrektor – poświęcił się socjalistycznej agitacji. Jeszcze w szkole założył litewską sekcję Socjaldemokracji Królestwa Polskiego, a w końcu dołączył do „rządzącej piątki" w organizacji Róży Luksemburg. Był socjalistą i internacjonalistą – czuł się tak samo u siebie w Rosji, jak i w Polsce – ale przed 1917 rokiem nie był bolszewikiem. Od dnia pierwszego aresztowania w lipcu 1897 roku w Kownie do dnia zwolnienia z więzienia na mocy amnestii w marcu 1917 roku w Moskwie był nieustannie skazańcem albo ściganym. Piętnaście z tych dwudziestu lat spędził w więzieniu. Trzy razy zsyłano go na Sybir, ale za każdym razem uciekał. Życie osobiste Dzierżyńskiego zostało zrujnowane przez działalność partyjną. Jego żona – zdradzona dla partii – mieszkała samotnie w Krakowie. Zmuszono go, by patrzył, jak strażnicy więzienni gwałcą jego kochankę; nigdy wszakże nie zobaczył jedynego syna, który przyszedł na świat w 1913 roku w warszawskim więzieniu kobiecym. Jego inteligentną, ascetyczną twarz szpeciły bezzębne usta – podobno okaleczone w trakcie owego gwałtu, kiedy zdesperowany walił głową w żelazne pręty klatki. By ukryć bezzębne dziąsła, miał ciągle zaciśnięte wargi, rozdęte nozdrza, nieznacznie uniesione dolne powieki, co w sumie sprawiało wrażenie nienaturalnego napięcia i niepokoju. Seplenił i zawsze szybko chodził. Jego pracowitość była legendarna. Przyjaciele nazywali go „Żelaznym Feliksem", wrogowie – „Krwawym Feliksem", Lenin zaś – „Feliksem Dobre Serce". We własnych oczach był Robespierre'em Rosji sowieckiej – człowiekiem całkowicie jej oddanym i zupełnie nieprzekupnym. Był poetą i muzykiem – dla ukojenia duszy recytował Mickiewicza i grywał na skrzypcach. Pomimo niesamowitych legend krążących o jego wyczynach – czy to w śniegach Syberii, czy to w płonącym moskiewskim burdelu, czy wreszcie w izbach tortur dla Białej Gwardii – nawet jeden z najbardziej zjadliwych krytyków Dzierżyńskiego nazwał go „ekstremistą z otwartą głową". W Warszawie znano go, obawiano się go i oczekiwano z trwogą. Stanisław Patek, polski minister spraw

zagranicznych do czerwca 1920 roku, był przed wojną jego obrońcą w kilku skazanych na porażkę procesach. Józef Piłsudski uczęszczał do tej samej szkoły. Podczas gdy Dzierżyński oczekiwał w Białymstoku na objęcie władzy w Polsce, zarówno on, jak i polscy przywódcy musieli zdawać sobie sprawę ze straszliwej symetrii tej budzącej grozę kariery, która zatoczyła koło zaledwie w ciągu kilku miesięcy.

Działalność Polriewkomu rozpoczęła się 2 sierpnia od masowego wiecu w Białymstoku. Przemówienia wygłosili Marchlewski, Tuchaczewski oraz przedstawiciel bolszewickiego Komitetu Centralnego Iwan Skworcow-Stiepanow. Potem manifestowali kolejarze, którzy postanowili udzielić poparcia nowej władzy.

Polrewkom znajdował się pod ścisłym nadzorem bolszewickiego Biura Polskiego. Członkowie obu organizacji urzędowali obok siebie w zarekwirowanym pałacu Branickich. Biuro Polskie podejmowało ważne decyzje, podczas gdy działalność Polrewkomu ograniczała się zasadniczo do prac administracyjnych.

Polrewkom funkcjonował przez trzy tygodnie i dwa dni. Jego terytorium rozciągało się do linii frontu na zachodzie i południu do granicy z Prusami Wschodnimi na północy i do odtworzonej za Bugiem Białoruskiej SRR na wschodzie. Polskie „województwa" przemianowano na „obwody", co dla niektórych uszu brzmiało bardziej demokratycznie. Administracja lokalna znalazła się w rękach sześćdziesięciu pięciu komitetów rewolucyjnych. Zrezygnowano z rosyjskiego i przywrócono polski jako język urzędowy. Wszystkie główne zakłady przemysłowe zostały znacjonalizowane – mimo że nie istniało jeszcze państwo, które mogłoby nimi zarządzać. Wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy. Przygotowano wybory, których wszelako nie przeprowadzono. Pojawił się Związek Młodzieży Komunistycznej oraz Centralna Komisja Związków Zawodowych. Utworzono trybunały rewolucyjne, „aby przeciwdziałać politycznym i gospodarczym przestępstwom oraz aktom bandytyzmu". Milicję zwerbowano wyłącznie spośród robotników i chłopów. Podjęto kroki w celu „ochrony obiektów kultury i pomników historii". Wydano „Deklarację o wolności sumienia".

6 sierpnia Dzierżyński poinformował telegraficznie Lenina: „naszym zdaniem najważniejszym problemem jest organizacja polskiej armii czerwonej; mamy nadzieję utworzyć w najbliższym czasie jednostkę proletariacką". 9 sierpnia polecił Marchlewskiemu wydać apel do polskiego ludu pracującego i na tej podstawie utworzył Polski Pułk Ochotniczy. Przez dwa tygodnie do momentu jego rozwiązania pułk ten zgromadził w sumie 175 ludzi[167]. Własne kroki zmierzające do utworzenia większej i regularnej polskiej armii czerwonej podjął Tuchaczewski. Językiem dowodzenia miał być polski, a żołnierze mieli nosić swojskie rogatywki – z czerwoną gwiazdą. Poza tym wszystko miało wyglądać tak samo jak w sowieckiej Armii Czerwonej. Jednostka miała składać się z Polaków rozrzuconych obecnie po dywizjach sowieckich oraz z dużej liczby jeńców, których oczekiwano niebawem. Sztab tej 1. (Polskiej) Armii Czerwonej – pod dowództwem Romana Łągwy i komisarza Stanisława Budkiewicza – stacjonował w Mińsku. Pod koniec wojny ewakuowano go za Ural, a najlepsi żołnierze, tacy jak Karol Świerczewski, musieli poczekać na późniejsze okazje, aby się wyróżnić.

Na terenie Polski podjęto szczególne środki bezpieczeństwa. Jeszcze przed opuszczeniem Moskwy Dzierżyński zarządził, by wszyscy Polacy pracujący w Czeka zostali przeniesieni do oddziałów specjalnych na Froncie Zachodnim. Istnieją przesłanki, by sądzić, że Lenin rozważał rozstrzeliwanie stu Polaków za każdego komunistę straconego

przez władze polskie[168]. Czeka zwracała coraz większą uwagę na infiltrację ze strony niemieckich agentów, którzy przekraczali granicę Prus Wschodnich i podając się za spartakowców, byli – ku przerażeniu Dzierżyńskiego – „gorąco przyjmowani przez [...] łatwowiernych towarzyszy”[169].

Podjęto nawet próbę tworzenia „sowietów” w wojsku polskim. Pomysł pochodził od Stalina, a 11 sierpnia Dzierżyński telegrafował do Lenina, że został on przyjęty. Działania te przyniosły pewne niewielkie efekty, zwłaszcza w pułkach warszawskich[170].

Na obszarach w przeważającej mierze rolniczych główny problem polityczny stanowiła kwestia agrarna. Poparcie chłopstwa było niezbędne, jeśli oczekiwana rewolucja miała się powieść. Lenin zainteresował się tym zagadnieniem osobiście; kiedy Polrewkom nie posłuchał jego rad, był – co zrozumiałe – wściekły. 14 sierpnia wysłał do Białegostoku Karola Radka, żeby się dowiedzieć, czemu w manifeście Polrewkomu nie wspomniano słowem o kwestii agrarnej. 19 sierpnia telegrafował do Radka:

> Błagam cię, idź prosto do Dzierżyńskiego i domagaj się, żeby posiadacze i kułacy byli bezwzględnie likwidowani, ale trochę szybciej i energiczniej, a także żeby dać chłopom skuteczną pomoc przy przejmowaniu pańskich gruntów i lasów[171].

Dzierżyński nie potrafił jednak przekonać kolegów, że przyjęcie rad Lenina jest konieczne. Większość członków Polrewkomu odrzucała ideę niewolniczego naśladowania wzorów rosyjskich. Przeciwstawiali się niezwłocznemu rozdzielaniu skonfiskowanej ziemi, ponieważ przeszkodziłoby to w ich planach kolektywizacji rolnictwa. Polrewkom okazał się bardziej komunistyczny niż bolszewicy, czyli – we frazeologii Lenina – cierpiał na „dziecięcą chorobę lewicowości”. 15 sierpnia Dzierżyński telegrafował do Lenina: „Kwestia polityki agrarnej zostanie w pełni rozważona, kiedy dotrzemy do Warszawy, dokąd dziś wyruszamy”[172].

Lenina to nie zadowoliło. Kiedy dowiedział się, że w Siedleckiem chłopi wzięli sprawy w swoje ręce, skierował ostatni apel do „Dzierżyńskiego, Radka i wszystkich innych członków polskiego Komitetu Centralnego”:

> Skoro chłopi małorolni w Siedlcach zaczęli zajmować majątki, to absolutnie konieczne jest opublikowanie specjalnego dekretu Polrewkomu o obowiązkowym przyznaniu części majątków ziemskich chłopom, aby zjednać w ten sposób biednych włościan oraz robotników rolnych. Proszę o odpowiedź[173].

Na odpowiedź nie było już czasu. Polrewkom nie dojechał do Warszawy. Opuścił Białystok 20 sierpnia – na dzień przed dotarciem tam ostatniego telegramu Lenina. Kwestia polityki agrarnej komitetu nigdy nie została ustalona. W jego publicznej deklaracji „Do włościan polskich” znajdowały się wprawdzie obietnice dotyczące nienaruszalności własności chłopskiej oraz pełnego oddłużenia gospodarstw, lecz w kontekście przymusowych rekwizycji dokonywanych przez Armię Czerwoną nie mogły one wzbudzić wielkiego zaufania.

Jak przyznają dziś nawet oficjalni historycy komunistyczni, fiasko Polrewkomu wynikało z tej prostej przyczyny, że nie budził on ani szacunku, ani zaufania u ludzi, których chciał wyzwalać. Komitet szedł w ślad za armią, której niszczycielskie i brutalne działania nastawiły wrogo ludność cywilną. Działał pod patronatem rosyjskiego wroga. Szerzył propagandę wśród ludzi, którym narodowa niepodległość była zdecydowanie droższa niż

rewolucja społeczna. Usiłował zaszczepić ideologię całkowicie niezgodną z panującymi wówczas przekonaniami i obyczajami. Nie przyjmował nawet rad od swoich sowieckich patronów, chociaż to jedynie ich bagnety zapewniały mu przetrwanie. W ogóle nie udało mu się przeciągnąć na swoją stronę tych warstw społecznych, które – logicznie rzecz biorąc – powinny przyjąć go z otwartymi ramionami. Chłopów zraziły rekwizycje, proletariat zaś represje wobec wszystkich istniejących partii robotniczych. W dziejach „pola walk klasowych" Polrewkom okazał się słabo kiełkującym ziarnem rzuconym na najbardziej kamienisty grunt.

Na Froncie Południowo-Zachodnim kampania polityczna przebiegała podobnie. Galicyjski Komitet Rewolucyjny – Galrewkom – z siedzibą w Tarnopolu przypominał Polrewkom pod wszystkimi istotnymi względami. Jego przewodniczącym został Władimir Zatonski, były minister Ukraińskiej SRR, a wówczas szef polityczny 14. Armii. Galrewkom cieszył się znaczną niezależnością. Jego członkowie nie uważali go za filię ukraińskiego, polskiego czy rosyjskiego ruchu komunistycznego, lecz za prekursora zupełnie odrębnej republiki sowieckiej, a mianowicie Galicyjskiej SRR. Ponieważ przetrwał od 8 lipca do 21 września 1920 roku, miał czas zorganizować swoje sprawy. Udało mu się ustanowić nową strukturę administracyjną, nowy system sprawiedliwości i edukacji oraz nową milicję. Zapoczątkowano galicyjską armię czerwoną. Wprowadzono sowiecką walutę. Ustalono, że równorzędnymi językami urzędowymi będą polski, ukraiński oraz jidysz. Trudno byłoby się domyślić z ambitnych oświadczeń Galrewkomu, że dwa najważniejsze obszary wschodniej Galicji – miasto Lwów i zagłębie naftowe Borysławia i Drohobycza – nie znajdowały się pod jego kontrolą. Galicyjska Republika Radziecka okazała się jedynie interesującym eksperymentem na wiejskiej prowincji.

14 sierpnia Polrewkom i Galrewkom osiągnęły swój zenit. Tego dnia Dzierżyński pojechał z Białegostoku do Wyszkowa – miasteczka nad dolnym Bugiem znajdującego się jedynie 50 kilometrów od Warszawy. Był gotów do triumfalnego wkroczenia do stolicy. W tym samym czasie Budionny oblegał Lwów.

Z perspektywy lat sowieckie eksperymenty polityczne w roku 1920 w Polsce wydają się klasycznym przykładem intronizacji marionetkowych reżimów przywiezionych w worku przez armię najeźdźców. Niemniej jednak zarzut premedytacji jest przesadzony. W 1920 roku bezpośrednim celem Armii Czerwonej nie było zbudowanie nowego ustroju państwowego, lecz wywołanie rewolucji społecznej. Przywódcy bolszewiccy nie określili wszak jeszcze ostatecznego kształtu administracyjnego nowego porządku w samej Rosji; Związek Radziecki jeszcze nie powstał; ostateczne miejsce sowieckiej Polski czy sowieckiej Galicji wcale nie rysowało się jaśniej niż miejsce sowieckiej Ukrainy bądź sowieckich Niemiec lub sowieckiej Ameryki. Nic nie było przygotowane. Wszystko odbywało się na drodze improwizacji. Eksperymenty polityczne zostały podjęte na skutek określonej sytuacji militarnej, a nie wcześniej.

Prawdopodobnie bliższe prawdy byłoby uwypuklenie farsowych elementów samoułudy. Inwazji na Polskę dokonali wszak politycy, którzy podczas swoich krótkich karier byli odizolowani od świata zewnętrznego. Jako założyciele pierwszego w dziejach państwa socjalistycznego nie mogli odwoływać się do żadnych precedensów. Jako ci, którzy wcielali w życie nieukształtowaną jeszcze ideologię, posługiwali się przeczuciami, wyobraźnią i dedukcją na podstawie materiału z marksistowskich podręczników. Jako mężowie stanu, którzy jeszcze niedawno byli wyjęci spod prawa i dopiero co powrócili z

wygnania bądź wyszli z podziemia, w działaniu kierowali się przypadkową mieszaniną intuicji, dogmatu, przekory oraz nagłych przypływów entuzjazmu. Kiedy przybyli do Polski, byli grupką nieposłusznych pędraków, którzy z ciekawości zbłądzili za ogrodzenie swojego politycznego przedszkola i wyszli na ulicę. Jeśli w 1920 roku Sowieci rzeczywiście dopuścili się międzynarodowego występku, to był on raczej skutkiem dziecięcej ignorancji niż złowieszczych zamiarów.

* * *

Jak głosi wypróbowana reguła, wojna przyspiesza przemiany społeczne i polityczne. Działa niczym miech, rozdmuchując tlące się problemy, aż wybuchają płomieniem; wymusza też nowe decyzje i rodzi nowe sprzeciwy. Nie zawsze się jednak dostrzega, iż ciśnienie wywierane przez wojnę po obu stronach frontu zachowuje się czasem zgodnie z prawem równowagi – jego wzrost po jednej stronie prowadzi do spadku ciśnienia po drugiej – a obie te sytuacje mogą być równie niebezpieczne dla stabilności społecznej i politycznej. Jeśli więc latem 1920 roku Polska cierpiała na polityczne nadciśnienie, to Rosja sowiecka przeszła łagodny atak politycznej choroby kesonowej.

Kryzys w Polsce był tym ostrzejszy, że kontrastował z nastrojami błogości i samozadowolenia, które panowały jeszcze niedawno. W maju w komunikacie Sztabu Generalnego mówiło się o „ostatecznej klęsce wojsk sowieckich". Gabinet Skulskiego rządził bez zakłóceń. Piłsudski był na fali – nawet w przekonaniu jego oponentów. Endecy wyrażali milczącą akceptację jego sukcesów wojskowych; socjaliści na swoim kongresie w maju przygotowywali się do wejścia do rządu; partie chłopskie myślały głównie o reformie rolnej. Sejm zajmował się sprawami wewnętrznymi. Nowa ustawa o obowiązkowych ubezpieczeniach zdrowotnych miała udobruchać lewicowych krytyków. Nieprzejednaną wrogość wobec władz państwowych żywili nadal jedynie komuniści – maleńka pozaparlamentarna grupka. Nagle, całkiem nieoczekiwanie sytuacja się odmieniła. Najpierw bitwa nad Berezyną, potem upadek Kijowa, a w końcu – w czerwcu i w lipcu – codzienne raporty o na poły zatajanych klęskach, o kolejnych przekroczonych rzekach, o utraconych miastach: Żytomierz, Równe, Mińsk, Wilno, Grodno, Białystok; to wszystko uświadomiło nawet najmniej pojętnym obywatelom, że ich własny dom i własna egzystencja mogą się wkrótce znaleźć w niebezpieczeństwie. 9 czerwca gabinet Skulskiego podał się do dymisji, aby uniknąć nadchodzącego wybuchu oburzenia. Obudziła się prasa. 16 czerwca główny konserwatywny dziennik „Rzeczpospolita" wezwał do utworzenia rządu jedności narodowej i do podporządkowania Naczelnika Państwa Sejmowi. Polska nie miała rządu przez dwa tygodnie.

23 czerwca Władysław Grabski, narodowy demokrata, zgodził się utworzyć prowizoryczny gabinet. Aby ożywić MSZ, odwołał księcia Eustachego Sapiehę z poselstwa w Londynie. Wobec wzrastającego napięcia w kraju 30 czerwca zaproponował utworzenie Rady Obrony Państwa – najwyższego organu władzy, który formalnie połączyłby w jedno ciało członków rządu z delegatami Sejmu, Naczelnika Państwa oraz Naczelne Dowództwo; Rada podejmowałaby najważniejsze decyzje polityczne. Propozycja ta przypieczętowała wprawdzie los projektodawcy, lecz rozwiązała kryzys konstytucyjny kraju. Partie z lewicy i z centrum były gotowe poprzeć Radę Obrony Państwa, domagały się jednak kierownictwa w rządzie. Przywódca socjalistów Ignacy

Daszyński tak przemawiał w Sejmie:

> Najlepszą instytucją dla obrony narodu jest rząd robotników i chłopów. [...] Apeluję do was nie jako do członków partii, lecz jako do ludzi, którym zagraża wielka, wspólna katastrofa. Jeśli robotnik ma produkować amunicję, chłop ma oddać wojsku swoje zboże, swojego jedynego konia i syna, to niech czuje, że rząd jest jego własny[174].

1 lipca Sejm jednomyślnie przyjął propozycję Grabskiego. Tego samego dnia wieczorem Rada Obrony Państwa odbyła swoje pierwsze posiedzenie. W sumie liczyła osiemnastu członków. Piłsudski jako przewodniczący; marszałek Sejmu Trąmpczyński; trzech ministrów: Daszyński, Skulski i Sapieha; trzech generałów: Haller, Sosnkowski i Leśniewski; oraz dziesięciu posłów – przedstawicieli wszystkich ważniejszych partii. Pierwsza uchwała Rady dotyczyła aresztowania osób podejrzewanych o „działalność antypaństwową". W ciągu następnych trzech miesięcy – do momentu jej rozwiązania 1 października – Rada zebrała się na dwadzieścia cztery posiedzenia. Tylko w jej ramach można było osiągnąć niezbędną jedność celów, której zwykłe mechanizmy władzy w Polsce nie byłyby w stanie wytworzyć. W łonie Rady gładko przebiegła poważna konfrontacja polityczna Piłsudskiego z Narodową Demokracją. Na posiedzeniu 19 lipca Piłsudski zagroził rezygnacją ze wszystkich sprawowanych przez siebie funkcji[175]. Kiedy otrzymał wotum zaufania, postawił w przymusowej sytuacji swoich krytyków. Dmowski, przywódca Narodowej Demokracji i niegdyś samozwańczy pretendent do władzy w nowej Rzeczypospolitej, zrezygnował z członkostwa w Radzie, by nigdy już nie powrócić na eksponowane stanowisko. Grabski pozostał na fotelu premiera tylko po to, by dokończyć trwającą właśnie rundę negocjacji z Anglią i Francją. 24 lipca i on złożył rezygnację. Otworzyło to drogę do utworzenia rządu koalicyjnego, który w porozumieniu z Piłsudskim rozegrał wojnę do końca. Ostatecznie kryzys przyczynił się do powstrzymania odśrodkowych tendencji w polityce polskiej i do zaistnienia na pewien czas systemu, w ramach którego różnice międzypartyjne zostały zapomniane.

Skład rządu koalicyjnego odzwierciedlał postępowe elementy w ówczesnym polskim parlamencie. Premierem został Wincenty Witos, przywódca partii „Piast" i chłop z Galicji – Rosjanie nazwaliby go „kułakiem" – który dorobił się dzięki własnemu sprytowi i który nadal nosił chłopskie ubranie, kiedy przyjmował zagranicznych ambasadorów. Urząd wicepremiera objął Daszyński: zagorzały socjalista, weteran wielu strajków i aresztowań, posiwiały prawnik, który zrzekł się szlachectwa i otwarcie dążył do zwycięstwa proletariatu. Ministrowie konserwatywni – Skulski, Grabski i Sapieha – byli doświadczonymi i zrównoważonymi administratorami. Oto ludzie, których autorzy sowieccy nieodmiennie nazywają „rządem dziedziców", inni zaś „rządem pułkowników". Współcześni historycy polscy wyjaśniają, iż powstanie rządu koalicyjnego w 1920 roku było „gestem klas panujących wobec żądań mas ludowych"[176]. Niezależnie od tego, czy był to gest, rząd Witosa i Daszyńskiego słusznie postrzegano jako rząd ludu.

Inwazja na Polskę od wschodu nieuchronnie osłabiła pozycję rządu centralnego w toczących się sporach terytorialnych na zachodzie i północy. Tę sytuację łatwo wykorzystali sąsiedzi Polski. 11 lipca podczas plebiscytu w Prusach Wschodnich za Polską opowiedziało się mniej głosujących, niż oczekiwano. Allenstein (Olsztyn) i Marienwerder (Kwidzyn) głosowały za pozostaniem w Niemczech. 28 lipca Rada Ambasadorów alianckich w Paryżu arbitralnie podzieliła na dwie części Śląsk Cieszyński, przyznając

zagłębie węglowe i przemysł stalowy Czechosłowacji. W normalnych okolicznościach polski rząd nie przyjąłby spokojnie decyzji, która odcięła od ojczyzny 130 tysięcy Polaków. 19 sierpnia ludność Śląska, która w obliczu powtarzających się niemieckich prowokacji nie mogła się doczekać pomocy z Warszawy, rozpoczęła powstanie.

W ciągu miesięcy letnich Polskę ogarnęła fala podniecenia. Zbliżanie się Armii Czerwonej podziałało wszystkim na nerwy. Posiadacze w obawie o własne majątki stali się bardziej zaborczy; katolicy w obawie o własną religię stali się bardziej religijni; rewolucjoniści w oczekiwaniu na rewolucję stali się bardziej rewolucyjni; policjanci w obliczu zamieszek stali się bardziej represyjni; patrioci zaś stali się bardziej patriotyczni. Społeczeństwo polskie gwałtownie się spolaryzowało. Neutralność nie była możliwa. Władze podzieliły naród na porządnych obywateli i potencjalnych zdrajców. W połowie lipca podjęto akcję prewencyjnych aresztowań. Jej głównymi ofiarami byli komuniści, związkowcy i Żydzi[177]. 20-21 lipca żandarmeria zablokowała kilka robotniczych dzielnic Warszawy. Aresztowano sześćset osób. Przywódców związkowych wzięto na przesłuchania. Rozwiązano związki zawodowe pracowników przemysłu włókienniczego oraz metalowców i zamknięto ich biura. Żydowski „Bund" został zdelegalizowany; żydowskich żołnierzy – niekiedy ochotników – oddzielano od ich pułków i wycofywano z frontu; żydowskie pielęgniarki zwalniano z Polskiego Czerwonego Krzyża; Szpital Żydowski w Warszawie został otoczony – wyprowadzono dwadzieścia osób podejrzewanych o sympatie komunistyczne[178]. Większość tych nieszczęśników – w sumie około trzech tysięcy – wysłano do jedynego wystarczająco obszernego miejsca, które mogło ich pomieścić: do obozu dla sowieckich jeńców wojennych w Dąbiu pod Krakowem.

Podniecenie społeczne znalazło odzwierciedlenie w życiu kulturalnym kraju. Teatralną sensacją sezonu stała się sztuka Stefana Żeromskiego *Ponad śnieg bielszym się stanę*. Przedstawia konflikt w rodzinie ziemiańskiej: starsze pokolenie przeciwstawia się wysiłkom syna, który chce poprawić dolę chłopów. W finale całą rodzinę mordują bolszewiccy maruderzy. Podczas premiery we Lwowie sztuka wywołała skandal, w Krakowie zaś została przyjęta owacyjnie. W Warszawie grano przez wiele tygodni przy pełnej sali operetkę *Major ułanów*, w której Polacy ratują zamek przed bolszewikami przy akompaniamencie patriotycznych pieśni i tradycyjnych tańców. Władysław Ludwik Anczyc napisał dramat historyczny na temat zwycięstwa Kościuszki nad Rosjanami w 1794 roku pod Racławicami. Sztukę wznowiono teraz w marcu. Lachman umyślił sobie skomponować mszę rezurekcyjną, *Resurrectionis Jesu Christi Missa*, na melodię hymnu narodowego. Ten ostatni kuriozalny pomysł – msza oparta na temacie mazurka – mówi wiele o zamęcie duchowym panującym w owym czasie w Polsce.

W Rosji sowieckiej mniejsza gorączka miała zupełnie inną przyczynę. Pomyślny przebieg kampanii polskiej przyniósł tu upragnioną ulgę. Przez pełne dwa lata kraj znajdował się w uścisku wojny domowej. Różnice opinii wewnątrz partii bolszewickiej były tłumione; projekty odkładano na później, gdyż polityka została podporządkowana surowym wymogom „komunizmu wojennego". Teraz ciśnienie spadło. Alarm, który podniósł się po upadku Kijowa, wkrótce ucichł. Kampania polska wyraźnie wzmogła nastrój odprężenia, trochę widoczny już wcześniej. Mnożyły się frakcje i teorie, buchał entuzjazm.

W partii bolszewickiej ujawnił się poważny konflikt ideologiczny. Rok 1920 był

rokiem „opozycji robotniczej”. Od marcowego IX zjazdu partii grupa kierowana przez przywódcę związkowego Tomskiego, byłego komisarza pracy Szlapnikowa oraz apostołkę wolnej miłości Aleksandrę Kołłontaj zaczęła krytykować linię polityczną partii. Początkowo protest dotyczył zasad polityki przemysłowej, ale z czasem poddano krytyce wzrost potęgi państwa, partii w państwie oraz napiętnowano ciągłą dominację intelektualistów w samej partii. Hasła tej grupy – „władza robotników”, „wolność słowa”, „wolność krytyki” – stanowiły fundamentalne wyzwanie dla leninizmu i szerzyły się nawet w armii, gdzie odżył dawny postulat wyborów kadry dowódczej. Określono je dźwięcznie brzmiącym mianem „odchyleń anarchosyndykalistycznych”.

Rok 1920 był także, jak się okazało, końcem okresu ochronnego dla opozycji pozaparlamentarnej. Eserowcy i mieńszewicy po raz ostatni spacerowali sobie jeszcze na swobodzie. Przywódca eserowców Czernow przemówił w maju na publicznym wiecu w Moskwie: przyrównał socjalizm do pierwotnego chrześcijaństwa, a zwyrodnienie bolszewizmu do degeneracji średniowiecznego Kościoła. W sierpniu odbył się w Moskwie ostatni zjazd partii mieńszewików.

W dziedzinie gospodarki rozwinęła się debata na temat zalet planowania. W marcu 1920 roku Trocki po raz pierwszy wypowiedział magiczną formułę „jeden plan ekonomiczny”. W Leninie zaś obudził się zapał do elektryfikacji.

Względna swoboda, jaką cieszyli się opozycjoniści i dyskutanci, była również udziałem biurokratów. Rok 1920 był okresem szybkiej ekspansji aparatu państwowego i partyjnego. Obsada sekretariatu partii powiększyła się ze 150 do 750 urzędników. Powstały nowe wydziały o znaczeniu czysto biurokratycznym, na przykład Rabkrin (Ludowy Komisariat Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej) i Komisja Kontroli, których zadaniem było rozpatrywanie zażaleń na urzędników partii. Choć ich celem było ograniczenie wzrostu biurokracji, to w praktyce – w rękach biurokratów – przyczyniały się do jej ekspansji. Ludzie tacy jak Stalin, których w polityce interesowała przede wszystkim organizacja, wykorzystali ten okres na umocnienie własnej pozycji i przygotowanie się na moment, gdy znów będzie można dokręcić śrubę. W sposób mało widowiskowy, lecz wytrwały Stalin kładł fundamenty pod swoją przyszłą władzę. Jako członek jednocześnie Politbiura i Orgbiura – Biura Organizacyjnego partii – miał decydujący głos w sprawach personalnych; jako przewodniczący Rabkrinu był kontrolerem aparatu państwa z ramienia partii i miał dużo do powiedzenia w Komisji Kontroli; jako przewodniczący świeżo scentralizowanej Rady do spraw Narodowości sięgał swoimi mackami na wszystkie obszary nierosyjskie, które dostawały się pod władzę Sowietów; jako główny mediator w Komitecie Centralnym miał ułatwiony dostęp do wszystkich bieżących intryg; jako członek polityczny Rady Wojennej Frontu Południowo-Zachodniego wywierał bezpośredni wpływ na działania Armii Czerwonej i na przebieg wojny z Polską. Stalin nie odgrywał większej roli w debatach w Sowiecie Ludowym, na zjazdach partii czy w Kominternie. Nie wyróżniał się jako inicjator polityki partii. Ale latem 1920 roku stał się już jej głównym aparatczykiem – oczywistym kandydatem na stanowisko sekretarza generalnego.

Wydarzenia, które miały najbardziej bezpośredni związek z wojną, rozgrywały się na polu komunizmu internacjonalistycznego. Komintern – międzynarodowa organizacja partii komunistycznych – nie potrafił pokierować światową rewolucją, do której miała doprowadzić wojna z Polską. Od roku, to znaczy od momentu powstania, pozostawał stowarzyszeniem całkowicie prowizorycznym, pozbawionym formalnej konstytucji i

ustalonych reguł. Jego członkowie wygłaszali najróżnorodniejsze opinie na temat jego funkcji i celów. Do Kominternu należało po kilka delegacji z każdego z europejskich państw, w większości skłóconych ze sobą, a niektóre z nich, na przykład brytyjska, w ogóle nie były pewne, czy powinny do niego wstępować. Organizacja ta – by zacytować jej przewodniczącego Zinowiewa – nie była „niczym więcej jak stowarzyszeniem propagandowym". Lenin zdawał sobie sprawę, że Komintern trzeba wziąć w garść. Uważał, że główną przeszkodą są poglądy „lewaków", dogmatycznych komunistów, którzy odrzucają jakiekolwiek kompromisy w kwestii zasad teoretycznych. Obawiał się zwłaszcza wpływu zwolenników Róży Luksemburg, którzy wątpili o dojrzałości proletariatu w Polsce i w Niemczech, mogliby więc sprzeciwić się dalszej ofensywie Armii Czerwonej na terytorium obu państw. Lenin był teraz przeświadczony, że za przykładem rewolucji bolszewickiej pójdzie niebawem cała Europa, i wypatrywał wszędzie stosownych oznak. Kiedy w marcu 1920 roku uznał, że pucz Kappa w Berlinie to „niemiecka afera Korniłowa", był przekonany, że niemiecki październik jest tuż-tuż. Zinowiew nadał tej analizie Lenina bardziej praktyczną interpretację. „Trzeba koniecznie – stwierdził 14 czerwca na łamach pisma Kominternu – ustawić godne zaufania straże przy bramie do Międzynarodówki Komunistycznej". Niewątpliwie Zinowiew widział siebie w roli *concierge*.

W takiej to niejednoznacznej atmosferze – nacechowanej sprzecznymi poglądami i wspólnym entuzjazmem – zebrał się 21 lipca w Moskwie drugi kongres Kominternu. Na trybunie brylowali mówcy rosyjscy: Zinowiew, Bucharin, a zwłaszcza Lenin. Przedstawiane przez nich stanowisko, podkreślające wagę jedności i znaczenie organizacji, zdobyło poparcie większości. Zdecydowano, że wszystkie partie stowarzyszone w Kominternie muszą przyjąć bez zastrzeżeń „Dwadzieścia jeden warunków" – dokument w znacznej mierze napisany osobiście przez Lenina. Każda partia, która uchylałaby się przed realizacją tego wspólnego programu, miała zostać usunięta. Spisano statut organizacji, zgodnie z którym doroczny kongres Kominternu miał być suwerennym reprezentantem światowego proletariatu. Przewidziano również wybory do centralnego komitetu wykonawczego. Utworzono Międzynarodową Radę Związków Zawodowych (Mieżsowprof). Nie przyjęto wprawdzie propozycji zawartej w liście Tuchaczewskiego z jego kwatery głównej na Froncie Zachodnim, aby mianować sztab generalny międzynarodowej rewolucji, lecz wskazuje ona na panujące wówczas nastroje. Produktem finalnym kongresu była więc nowa organizacja wzorowana na partii bolszewickiej, która jednak miała ją z czasem zastąpić.

Doniosłość chwili symbolizowała ogromna mapa Europy zawieszona w sali kongresowej. Codziennie przesuwano naprzód maleńkie czerwone chorągiewki oznaczające pozycje sowieckich armii w Polsce. Zinowiew tak przedstawił tę sytuację:

> Każdego ranka delegaci stawali z zapartym tchem przed mapą. [...] Najlepsi przedstawiciele międzynarodowego proletariatu śledzili z biciem serca każdy ruch naprzód naszych armii [...]. Wszyscy uświadamiali sobie, że jeśli cel militarny postawiony przed naszymi wojskami zostanie osiągnięty, będzie to oznaczać ogromne przyspieszenie tempa międzynarodowej rewolucji proletariackiej[179].

7 sierpnia, kiedy kongres dobiegł końca, czerwone chorągiewki otaczały Warszawę. Wielu delegatów wyjeżdżało w przekonaniu, że za rok powrócą do Moskwy nie po prostu jako członkowie partii, lecz jako przedstawiciele sprawujących władzę rządów.

* * *

Dla rządów alianckich w Londynie i w Paryżu inwazja Armii Czerwonej na Polskę stanowiła niemiłe zaskoczenie. Na taki bieg wypadków nikt nie był przygotowany. Przywódcy alianccy naiwnie zakładali, że bolszewicki reżim jest zbyt słaby na to, by zaangażować się w wojnę zewnętrzną. Kiedy więc na początku roku ustalali swoje stanowisko wobec konfliktu polsko-sowieckiego, brali pod uwagę jedynie możliwość polskiej inwazji na Rosję. Nigdy nie zobowiązali się w sposób niedwuznaczny do obrony Polski przed bolszewikami; takie poręczenie wynikało jedynie pośrednio z traktatu pokojowego jako całości oraz z ogólnych deklaracji mówiących o obronie „wszystkich państw graniczących z terytorium bolszewickim”[180].

Dla Lloyda George’a, który był teraz niekwestionowanym twórcą polityki aliantów, kryzys polski stanowił wyjątkowo nieprzyjemny kłopot. Taki kryzys wymagał od aliantów jednolitego frontu, a tylko on mógł go utworzyć. Był to zupełnie niepotrzebny problem, którego jednak nie dało się obejść. Zagrażał on polityce handlu z Rosją – pomysłowi Lloyda George’a, który wraz z przybyciem do Anglii 31 maja Leonida Krasina i delegacji spółdzielni sowieckich zaczął przybierać konkretne kształty. Groził odnowieniem konfliktu z Churchillem, którego interwencjonistyczne pomysły premier z takim trudem utrącił. Groził zakłóceniem spokoju w koalicji rządowej oraz w kontaktach z Francją. Niósł tak wiele niebezpieczeństw, że najbezpieczniejszą strategią dla Lloyda George’a było możliwie jak najdłużej nie robić nic.

Sprzyjał mu pewien osobliwy techniczny szczegół: granica między Polską a Rosją sowiecką nigdy nie została wytyczona. Ani Polacy, ani Sowieci nie uznali bowiem granicy tymczasowej zaproponowanej 8 grudnia 1919 roku przez Radę Najwyższą aliantów. W 1920 roku nie można więc było stwierdzić precyzyjnie, czy i kiedy wschodnia granica Polski została naruszona. Z punktu widzenia Zachodu, pierwszym większym miastem, uznawanym przez wszystkie rządy jako bezspornie polskie, była Warszawa. Gdyby alianci chcieli być skrupulatni, nie ciążył na nich obowiązek obrony Polski przed kapitulacją jej stolicy. Zgodnie z ponurym podejrzeniem wielu Polaków Rzeczpospolita musiała wpierw upaść, by alianci zaczęli się zastanawiać nad tym, jak ją ratować. Trup Polski stanowił jedyny dopuszczalny dowód agresji.

Lloyd George nie zajął się sytuacją kryzysową w Polsce z „inicjatywy brytyjskiej”. Został zmuszony do udziału w rozmowach wbrew własnemu przekonaniu. Do jego spotkania z premierem Grabskim na konferencji w Spa w Belgii doszło na prośbę polską, a nie brytyjską. Sprawa musiała zostać podjęta, ponieważ 6 lipca pojawił się Grabski i poprosił o pomoc. Od samego początku Lloyd George miał poczucie, że działa pod przymusem – co w znacznej mierze wyjaśnia jego szorstkie postępowanie.

Podpisanie 10 lipca „porozumienia ze Spa” stanowiło niewątpliwie upokorzenie dla Grabskiego[181]. Chociaż był przeświadczony – całkowicie słusznie, jak pokazały późniejsze wydarzenia – że Sowieci zamierzają zniszczyć Rzeczpospolitą Polską w jej ówczesnym kształcie, Grabski musiał poprzeć „deklarację rządu JKM, iż Sowieci pragną zawrzeć pokój”. Kazano mu wyrzec się Wilna na rzecz Litwy oraz złożyć w ręce aliantów przyszłość Galicji Wschodniej, Cieszyna i Gdańska. W zamian otrzymał od Lloyda George’a nader ogólnikowe zapewnienie o udzieleniu „pomocy w obronie Polski wszystkimi dostępnymi środkami, jeśli jej terytorium zostanie pogwałcone”. Naturalnie

Lloyd George mógł interpretować znaczenie wyrażeń „terytorium Polski" oraz „wszystkimi dostępnymi środkami" tak, jak to on uznał za stosowne.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, iż Lloyd George próbował wycisnąć z biednego Grabskiego jeszcze więcej. Tymczasem z zapisu ich rozmów w Villa Fraineuse w Spa wynika, że Lloyd George starał się zastraszyć Grabskiego, by ten całkowicie zrzekł się Wilna i Galicji Wschodniej. Najpierw poprosił swojego sekretarza Philipa Kerra o nakreślenie na mapie etnograficznej granicy Polski, a następnie oświadczył bez ogródek, że „Wilno nie jest polskim problemem". W kwestii Galicji Wschodniej był równie stanowczy. Kiedy Grabski zaoponował i przypomniał, że ludności tego obszaru przysługuje prawo do samostanowienia, Lloyd George sarkastycznie zapytał, czemu w takim razie – skoro Polska jest dostatecznie silna, by troszczyć się nie tylko o siebie, ale również o ludność poza jej granicami – Polacy zwracają się o pomoc do aliantów. Konflikt w kwestii sprawiedliwości bądź niesprawiedliwości ostatecznych rozstrzygnięć został załagodzony dzięki interwencji ministra spraw zagranicznych lorda Curzona, któremu udało się skierować rozmowę na inne tory. Grabski zgodził się podjąć negocjacje z Sowietami na temat zawieszenia broni. O ostatecznych rozstrzygnięciach miała zadecydować konferencja w Londynie[182].

Widoczny wpływ na postępowanie Lloyda George'a miało jego przeświadczenie, że Francuzi nie będą chcieli walczyć. Dwa dni wcześniej podczas rozmowy z marszałkiem Fochem oraz premierem Millerandem potwierdziły się jego podejrzenia, iż Wielka Brytania nie może liczyć na pomoc Francji w żadnych nowych przedsięwzięciach wojskowych w Europie Wschodniej. Francuzi zawsze mówili o potrzebie walki z bolszewizmem, nigdy jednak wiele w tym kierunku nie zrobili. Lloyd George postanowił więc posłużyć się fortelem, aby skłonić ich do ujawnienia rzeczywistych intencji. Wbrew wszystkim swoim deklaracjom w tej kwestii rozmyślnie dał do zrozumienia Francuzom, że zamierza wysłać oddziały brytyjskie do Polski. „Gdybyśmy pozwolili bolszewikom zdeptać niepodległość Polski kopytami jazdy Budionnego – oświadczył – bylibyśmy na wieki zniesławieni. [...] Jeśli angielskie poczucie sprawiedliwości zostanie podrażnione, Brytania będzie gotowa do dalszych znaczących poświęceń na rzecz Polski". Na koniec postawił zasadnicze pytanie: „Jeśli Brytania wyśle swoich ludzi, aby wzmocnić armię polską, czy Francja byłaby skłonna wysłać kawalerię?". Zanim jeszcze skończył zdanie, Foch wypalił: „*Pas d'hommes!*"; Millerand tylko wzruszył ramionami. Lloyd George miał już swoją odpowiedź: skoro Francuzi, bardziej zaangażowani na kontynencie niż Anglia, nie są gotowi walczyć, to on nie będzie walczyć za nich[183].

Spotkanie w Spa przyniosło dwie bezpośrednie konsekwencje: „telegram w sprawie linii Curzona" do Moskwy oraz wysłanie międzysojuszniczej misji do Polski. Oba pomysły były dziełem Lloyda George'a; oba okazały się poronione; oba są nader osobliwe, gdy przyjrzeć im się z bliska.

„Telegram w sprawie linii Curzona" opisywał linię zawieszenia broni, wzdłuż której miały zatrzymać się siły polskie i sowieckie w oczekiwaniu na proponowaną konferencję w Londynie. Został on wysłany do Moskwy nie bezpośrednio ze Spa, lecz przez MSZ w Londynie zgodnie z instrukcjami przekazanymi z Belgii. (Curzon nie miał z tym dokumentem nic wspólnego poza tym, że wysłano go w jego imieniu jako szefa resortu). Linia zawieszenia broni miała przebiegać zgodnie z tymczasową granicą polsko-sowiecką wyznaczoną 8 grudnia 1919 roku przez Radę Najwyższą aliantów – przedłużoną na

południu w poprzek Galicji aż do pasma Karpat. W tym właśnie punkcie, jak ustalono później, tekst telegramu nie tylko był niejednoznaczny, ale wręcz różnił się od tekstu przyjętego w porozumieniu ze Spa. Podczas gdy telegram mówi o linii prostej biegnącej z północy na południe między Przemyślem a Lwowem, w Spa uzgodniono linię „pokrywającą się z linią frontu w momencie zawarcia porozumienia". Telegram proponował zatem, by Lwów pozostał po sowieckiej stronie linii zawieszenia broni, podczas gdy zgodnie z porozumieniem miasto najprawdopodobniej miało się znaleźć po stronie polskiej. W którymś momencie między podpisaniem porozumienia po południu 10 lipca a wysłaniem telegramu rankiem 11 lipca ktoś gdzieś zmienił kluczowy szczegół. Amerykański uczony, który pierwszy badał tę sprzeczność, uznał ją za „błąd" popełniony w pośpiechu przez urzędnika z MSZ, który nie znał się na geografii Europy Wschodniej[184]. Jest to możliwe, ale mało prawdopodobne. Dzięki wysiłkom w poprzednich trzech latach Lewisa Namiera, który pochodził z Galicji Wschodniej, brytyjskie MSZ posiadało więcej szczegółowych map tego obszaru i informacji o nim niż bodaj o jakimkolwiek innym zakątku świata. Tajemnica pogłębia się, kiedy uświadomimy sobie, że ów „błąd" w telegramie dokładnie pokrywa się z „oczywistym podziałem etnograficznym między Galicją Wschodnią a Zachodnią" opisanym przez Namiera w prywatnym memorandum, które znaleźć można w osobistym archiwum Lloyda George'a[185]. Detektyw miałby podstawy, by przynajmniej podejrzewać, iż między tymi faktami istnieje związek. Niewątpliwie tekst wysłany do Moskwy musiał tam wywołać wrażenie, że przywódcy alianccy nie są skłonni poprzeć polskich roszczeń terytorialnych. Zachęcał Sowietów, by zlekceważyli groźbę nowej interwencji sprzymierzonych. „Telegram w sprawie linii Curzona", odgrzebany w 1943 roku przez sowieckich dyplomatów w celu uzasadnienia ich późniejszych roszczeń do Lwowa, wywarł silniejszy wpływ na dyplomację w okresie drugiej wojny światowej niż podczas wojny polsko-bolszewickiej. 17 lipca 1920 roku w odpowiedzi na telegram Curzona Cziczerin odrzucił z miejsca przedstawione propozycje, toteż pośpiesznie je pogrzebano.

W swojej nocie Cziczerin okazał pogardę dyplomacji sprzymierzonych[186]. Piętnował hipokryzję rządu brytyjskiego, „który teraz wyraża pragnienie pokoju, lecz w okresie polskiej inwazji na Ukrainę bynajmniej nie zdradzał, iż je żywi". Szydził z Ligi Narodów, na której Kartę powoływał się Curzon:

> Tak zwana Liga Narodów nigdy nie poinfomowała rządu rosyjskiego ani o swoim powstaniu, ani o swoim istnieniu. [...] Rząd sowiecki nie może w żadnych okolicznościach zgodzić się na to, by grupa mocarstw mianowała się sądem najwyższym nad wszystkimi państwami świata.

Kpił z „linii Curzona", która była mniej korzystna dla narodu polskiego niż propozycje sowieckie. Wielokrotnie dawał do zrozumienia, że w Polsce wybuchnie niebawem rewolucja. Aby dorzucić nutkę świętości, wspomniał mimochodem o świeżo podpisanym traktacie sowiecko-litewskim, o którym zachodnie stolice jeszcze nie wiedziały. Zręcznie odparował groźbę Curzona, iż rozmowy handlowe zostaną zawieszone, i zrewanżował się tym samym. Dobrze wiedział, jak wielką wagę przywiązuje do sukcesu negocjacji handlowych z Rosją Lloyd George, dał więc do zrozumienia, że nie będą kontynuowane, jeśli brytyjski rząd będzie używał ich jako karty przetargowej w sprawie polskiej. Jego ostatnim sztychem było stwierdzenie, że woli bezpośrednie rozmowy z

Polakami od konferencji pod auspicjami aliantów. Nota Cziczerina była dyplomatycznym *tour-de-force*. Wprawiła w osłupienie rządy, które w owym czasie uważały się za wszechmocnych arbitrów na forum światowym. Za jednym zamachem pozbawiła mocarstwa alianckie jakichkolwiek iluzji, że mogą z daleka kontrolować przebieg wojny polsko-bolszewickiej. Przez następny miesiąc sowiecka dyplomacja płynęła na tej samej wysokiej fali wiary i nadziei co Armia Czerwona.

Przez tydzień, który upłynął od otrzymania telegramu Curzona, przywódcy sowieccy doszli do wniosku, że nie mają się czego obawiać ze strony aliantów. Odczytali ich propozycję jako przejaw słabości. W rozmowie ze Stalinem Lenin stwierdził: „Chcą nam wydrzeć zwycięstwo z rąk za pomocą oszukańczych obietnic”[187]. Siergiej Kamieniew, głównodowodzący, przedstawił sowiecki punkt widzenia w oświadczeniu z 21 lipca:

> Na obu naszych frontach przeciw Polsce wydano instrukcje, by energicznie kontynuować ofensywę, nie przejmując się linią graniczną wskazaną w telegramie lorda Curzona.
>
> Wydaje się jednak pożądane, byśmy zastopowali Front Południowo-Zachodni przynajmniej do czasu, kiedy wyjaśni się stosunek Polaków do noty Curzona i do sowieckiej odpowiedzi.
>
> Jeśli Polacy zgodzą się z nami negocjować, będzie to oznaczać, że nie mogą liczyć na poważną pomoc, a my możemy swobodnie atakować w głąb Polski.
>
> Jeśli zaś Polska odrzuci negocjacje albo pojawią się inne wskazówki świadczące o tym, że może ona naprawdę liczyć na pomoc sojuszników, to będziemy zmuszeni – nie rezygnując z ofensywy – podjąć wszystkie niezbędne środki ostrożności.
>
> Przede wszystkim musimy się liczyć z atakiem Rumunii, która już teraz dysponuje wystarczającymi siłami. Nasza ofensywa w głąb Galicji byłaby w takim wypadku nadzwyczaj niebezpieczna. Toteż proponuję, by Front Południowo-Zachodni ograniczył się do zlikwidowania sił polskich na południowej flance, dzięki czemu Polacy zostaną odcięci od Rumunów. Proponuję również, aby wzmocnić siły sowieckie stojące naprzeciw Rumunii i aby 16. Armia Frontu Zachodniego, która teraz idzie w kierunku Wołkowyska, pozostała w rezerwie na okoliczność możliwego ataku z Łotwy. Liczę, że dzięki temu pozostałe trzy armie Frontu Zachodniego będą mogły doprowadzić do ostatecznej klęski Polski, o ile nie otrzyma ona innej znaczącej pomocy poza spodziewanymi atakami Rumunii i Łotwy[188].

Lloydowi George’owi nie udało się okiełznać Sowietów, ale wciąż próbował utrzymać na wodzy Polaków. Nie mógł wprawdzie wycofać alianckich gwarancji niepodległości Polski – zostały one potwierdzone w nocie Curzona do Cziczerina z 20 lipca – lecz nadal mógł mieć nadzieję, że uda mu się uniknąć nieobliczalnych konsekwencji tej obietnicy. W tym celu wzmocnił naciski na Warszawę w kwestii podjęcia negocjacji rozejmowych, a 21 lipca wysłał do Polski misję międzysojuszniczą.

Misja ta była od samego początku jego pomysłem: została zmontowana w typowy dlań arbitralny i nieformalny sposób. Jej szef – wicehrabia D’Abernon, ambasador brytyjski w Berlinie – został powołany na to stanowisko *ad hoc*, kiedy Lloyd George wracał statkiem przez kanał La Manche ze Spa. Miał mu towarzyszyć sir Maurice Hankey – sekretarz gabinetu – jako osobisty przedstawiciel premiera. Misja została przedstawiona rządowi jako fakt dokonany na dzień przed jej odjazdem. Lord Curzon nie został zawczasu poinformowany o nominacji swojego ambasadora; Rada Wojskowa miała 24 godziny na wyznaczenie swojego przedstawiciela – generała sir Percy’ego Radcliffe’a; rząd francuski dostał 48 godzin, aby mianować dwóch reprezentantów – ambasadora Jusseranda oraz generała Weyganda.

Polityczne cele misji nie ograniczały się do formalnych i prawie niezrozumiałych dyrektyw, a mianowicie: „udać się do Polski [...], aby doradzać w kwestii kroków, które należy podjąć w razie problemów zrodzonych podczas negocjacji, mając na uwadze zawarcie rozejmu między Polską a Rosją sowiecką”[189]. Prywatne listy Hankeya do Lloyda

George'a dowodzą, że celem misji było zastąpienie istniejącego rządu polskiego ludźmi, którzy w większym stopniu utożsamialiby się z interesami aliantów. 21 lipca w Paryżu – w oczekiwaniu na Jusseranda i Weyganda, którzy się pakowali – D'Abernon i Hankey umówili się na obiad z Paderewskim i poprosili o wskazówki. Paderewski wymienił nazwisko Dmowskiego, przywódcy Narodowej Demokracji, jako lepszego kandydata na premiera niż Grabski oraz przedstawił listę oficerów, którzy mogliby zastąpić Piłsudskiego na stanowisku Wodza Naczelnego. Opisał Radę Obrony Państwa jako „narzędzie zawoalowanej dyktatury". Rzecz jasna, to zadanie misji było zupełnie nieżyciowe. Kiedy cztery dni później jej członkowie znaleźli się w Warszawie, przekonali się, że pozycja Piłsudskiego jest silniejsza niż kiedykolwiek, a powstanie koalicyjnego rządu Witosa położyło kres ambicjom Dmowskiego. Brytyjski ambasador sir Horace Rumbold ostrzegł ich, że każda próba usunięcia Piłsudskiego wywoła rewoltę. Nie mieli więc innego wyboru, jak pozostawić polską politykę w spokoju. Od tej chwili ograniczyli swoje cele do nadzorowania polskich propozycji rozejmowych oraz do zapewnienia Weygandowi kierowniczego stanowiska w polskiej armii[190].

Podróż misji do Warszawy nie była całkiem bezbarwna. Z relacji D'Abernona i Weyganda wiemy, że jej członkowie spotykali się w przedziale swojego pociągu specjalnego, aby „odrobić lekcję" na temat Polski: uczyli się rozróżniać trudne polskie nazwiska i poznawali główne fakty z jej najnowszej historii. Weygand twierdzi, że oświecał innych, a zatem to on odpowiada po części za ich ignorancję. W Pradze, gdzie nastąpiło opóźnienie w podróży, członkowie misji zatelefonowali do Masaryka i zostali zaproszeni na podwieczorek. Masaryk nie był nastawiony optymistycznie. Powiedział, że jeśli alianci podejmą próbę interwencji, wezmą udział w klęsce Polski. Bolszewizmu nie da się pokonać bagnetami. A w każdym razie, jak to zapisał Hankey, „nie ma sensu angażować się w walkę"[191].

Rola w kryzysie polskim sir Maurice'a Hankeya nigdy nie została doceniona. A był on w istocie jedynym członkiem międzysojuszniczej misji, którego wkład był namacalny – tyle że groteskowy. Jego prywatne listy do Lloyda George'a oraz „Prywatny raport na temat sytuacji w Polsce"[192] zawierały jedyne szczegółowe, pochodzące od naocznego świadka informacje, które dotarły do przywódców alianckich w porę przed ostatecznym *dénouement*. Hankey był świetnie wyszkolonym urzędnikiem, lecz w dziedzinie polityki wschodnioeuropejskiej – kompletnym ignorantem. Kompetencja i skuteczność – takimi kryteriami się kierował, a cnót tych nie dostrzegał w Warszawie zbyt często. Jego interpretacja sytuacji politycznej w Polsce była najzwyczajniej spaczona; jego „fakty" były nieodmiennie nieścisłe. Sądził na przykład, że Piłsudski jest prezydentem, przywódcą partii socjalistycznej, przyjacielem Lenina, austriackim Polakiem, byłym więźniem Austriaków... Był przeświadczony, że Marszałek szykuje probolszewicki zamach stanu, żeby utrzymać się przy władzy. Już po sześciu dniach, 31 lipca, Hankey wyjechał z Polski – kompletnie zdegustowany. W pociągu sporządził swój raport, w którym przedstawił osobistości z polskiej sceny politycznej w możliwie najgorszym świetle. Piłsudski to „wyjątkowy mizerak, najwyraźniej w głębokiej depresji, krótko ostrzyżony na niemiecką modłę. [...] ograniczony, podstępny i wyjątkowo próżny prezydent [...], któremu wydaje się, że jest Napoleonem"; Witos to „chłop na pokaz"; Daszyński – „proniemiecki, z rozbieganymi niebieskimi oczami"; Rosvadosski (Rozwadowski – szef sztabu) – „nieznośny". Końcowe wnioski Hankeya brzmiały następująco:

Jeśli Rosja sowiecka będzie kontynuować ofensywę, nasze wysiłki zmierzające do ocalenia Polski zapewne spełzną na niczym. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by uzyskać dla niej przyzwoite warunki; musimy uznać, że spotkał ją los, który sama sobie wybrała wbrew naszym ostrzeżeniom; musimy poprawić stosunki z Niemcami, a przez Niemcy z Rosją; musimy unikać zobowiązań militarnych w Europie i skupić się na handlu zamorskim[193].

Ten nieznośnie dyletancki komentarz jest wart zacytowania *in extenso* jedynie jako ilustracja przepaści między alianckimi mężami stanu a krajem, któremu jakoby pomagali, a tak nadal wydawało się niektórym z nich. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by ocenić wpływ tych słów na Lloyda George'a. Potwierdziły to, w co zawsze wierzył: że bezpośrednie zaangażowanie się w Polsce miałoby nieobliczalne i katastrofalne konsekwencje.

Bezradność alianckiej dyplomacji ukazują wyraźnie bezowocne próby pomocy w doprowadzeniu do rozejmu polsko-sowieckiego. W nocie z 17 lipca Cziczerin zaproponował bezpośrednie negocjacje z Polakami; w nocie z 24 lipca zgłosił propozycję konferencji bez udziału Polaków. 6 sierpnia poinformował, że Sowieci wkrótce ogłoszą ostateczne warunki pokojowe; 9 sierpnia przedstawił ich wersję wstępną; 17 sierpnia zaprezentował je z istotnymi modyfikacjami Polakom[194]. Na każdym z tych etapów z wyjątkiem ostatniego Cziczerin miał poparcie Lloyda George'a, któremu coraz trudniej przychodziło utrzymanie w karbach Francuzów. 27 lipca, na konferencji z Millerandem w Boulogne, Lloyd George został zmuszony do wyrażenia zgody na udział Polski w każdej konferencji aliantów z Sowietami. 8 sierpnia na spotkaniu w Lympne stanął wobec konieczności dokładnego sprecyzowania charakteru pomocy, którą alianci wielokrotnie obiecywali Polsce. Chociaż obwarował ją licznymi warunkami, oszacował ją na poziomie materialnego wyposażenia dla dwudziestu dwóch dywizji[195]. 14 sierpnia utracił zupełnie kontrolę. Tego dnia francuscy interwenci zbuntowali się przeciw jego polityce, wymogli na swoim rządzie uznanie Wrangla, co doprowadziło do rozdźwięku między obydwoma rządami, który trwał niemal dwa miesiące. Polacy dawali się prowadzić za rękę jeszcze krócej. 23 lipca Lloyd George, udzielając „stanowczej rady rządu JKM", przekonał księcia Sapiehę do rozpoczęcia negocjacji z Sowietami o rozejmie[196]. Kiedy jednak 10 sierpnia zalecił Polakom przyjęcie wstępnych warunków sowieckich przedstawionych w Londynie przez Lwa Kamieniewa, spotkał się ze zdecydowaną odmową. Brytyjski ambasador w trakcie wyjątkowo nieprzyjemnego spotkania usłyszał od Sapiehy, że „Polska będzie raczej walczyć w pojedynkę, niż przyjmie tak upokarzające warunki"[197]. W tym momencie Lloyd George wypadł z gry. Skończył się dyplomatyczny kontredans. Trwał tak długo tylko dlatego, że obu głównym tancerzom zależało przede wszystkim na tym, by zyskać na czasie: Cziczerin pragnął, by ofensywa Armii Czerwonej rozwinęła się do końca, a Lloyd George nie chciał powziąć brzemiennej w skutki decyzji o interwencji.

W takiej atmosferze zamętu podejmowane przez polskich i sowieckich negocjatorów próby przerwania walk nie miały szans powodzenia. Trudno sobie wyobrazić, by Polacy zgodzili się na rozejm w środku Polski, kiedy wciąż mieli nadzieję, że się pozbierają. Byłoby równie niepojęte, gdyby Sowieci powstrzymali ofensywę, kiedy wciąż mieli nadzieję na zwycięstwo. Obie strony podjęły negocjacje rozejmowe po to tylko, by wywrzeć dobre wrażenie na entencie. Postępując zgodnie z żądaniami Lloyda George'a, mogły liczyć na wzajemność: Polacy na pomoc aliantów, Rosjanie na ich bierność. Każda

ze stron neutralizowała posunięcia drugiej, a z braku decyzji militarnych nie mogło dojść do żadnych rozstrzygnięć. Jest to smutna historia o grze na zwłokę. 1 sierpnia wyznaczona przez Naczelne Dowództwo delegacja polska pod kierownictwem generała Listowskiego i doktora Wróblewskiego przekroczyła linię frontu i spotkała się w Baranowiczach z delegacją sowiecką. Polacy byli upoważnieni do zawarcia zawieszenia broni; Sowieci domagali się rozmów o traktacie pokojowym. Już po dwóch dniach polska delegacja powróciła do Warszawy, by uzyskać dalej idące upoważnienia i nowe dyrektywy. Sowieci żądali osobistej autoryzacji dalszych negocjacji przez Piłsudskiego. Ten warunek został szybko spełniony. Lecz kiedy polski rząd usiłował powiadomić Rosjan o zgodzie na dalsze rozmowy, rządowa radiostacja moskiewska albo nie mogła, albo nie chciała odebrać wiadomości. Nowa polska delegacja pod kierownictwem Jana Dąbskiego i sowiecka pod kierownictwem Karła Daniszewskiego spotkały się dopiero 17 sierpnia. Ponieważ był to dzień, w którym ważyły się losy Warszawy, nic dziwnego, że w oczekiwaniu na rezultat bitwy sowieccy gospodarze w Mińsku zamknęli swoich gości na kwaterze[198].

A zatem dyplomacja aliantów nie osiągnęła niczego. Z perspektywy osobistych interesów Lloyda George'a rezultat ten był w pełni satysfakcjonujący. Z perspektywy interesów aliantów nie różnił się on wiele od katastrofy. Mogło ich zadowolić tylko jedno z dwóch: polskie zwycięstwo lub zakończenie walk. Lloyd George nie uczynił nic, by dopomóc w tym pierwszym, i nie zdołał doprowadzić do tego drugiego. Jego pokrętne zabiegi, mające na celu osiągnięcie ugody, zraziły doń niemal wszystkich przyjaciół i współpracowników. Nieustanna gotowość, by dawać wiarę bolszewikom, zraziła do niego Francuzów; swoją niechęcią do udzielenia pomocy materialnej zraził Polaków. Obraził lorda Curzona, gdyż wkroczył w jego kompetencje; obraził brytyjski MSZ, gdyż ignorował jego rady; obraził wreszcie pozostałych członków międzysojuszniczej misji, gdyż odrzucił ich apel o pomoc dla Polski. Rozczarował konserwatystów, którzy oczekiwali bardziej stanowczego działania; opozycję, która oczekiwała interwencji Ligi Narodów; a także socjalistów, którzy chcieli zostawić Polskę na łasce losu. W końcu Lloyd George pozostał sam – mógł rozmawiać tylko z Krasinem i Kamieniewem. Wszystkie sznurki, za które pociągał, zostały zerwane. Mógł już tylko czekać na rozwój sytuacji. W ostatecznym rozrachunku los Lloyda George'a jako przywódcy aliantów, a być może również jako brytyjskiego premiera spoczywał w rękach ludzi, których wcześniej ze wszystkich sił próbował zniechęcić: w rękach polskich żołnierzy broniących dostępu do otoczonej Warszawy.

* * *

Latem 1920 roku hasło „Ręce precz od Rosji" rozbrzmiewało na całym świecie. Slogan ten ukuli przyjaciele Związku Sowieckiego, by dać wyraz przekonaniu, że jego wrogom nie należy się pomoc i zaopatrzenie. Po raz pierwszy rzuciła je w lutym 1919 roku w Manchesterze nieznana grupka brytyjskich związkowców, która przyjęła nazwę „Komitet «Ręce precz od Rosji»". Slogan stał się popularny dopiero na początku maja 1920 roku, kiedy dokerzy – najpierw w Hamburgu, a potem w Londynie – nie chcieli przyłożyć ręki do ładunku z bronią dla Polski, a Komitet Wykonawczy Kominternu zwrócił się z apelem „do proletariuszy wszystkich krajów"[199]. Komunistyczna historiografia przywołuje ten slogan na dowód, że narody świata – w odróżnieniu od ich rządów – opowiedziały się zgodnie po

stronie Sowietów.

Znaczenie kampanii „Ręce precz od Rosji" można najlepiej ocenić na podstawie jej postępów w Wielkiej Brytanii – w kraju, gdzie się rozpoczęła i gdzie przyniosła jedyny sensacyjny rezultat. Komitet w żadnym wypadku nie reprezentował poglądów brytyjskiego społeczeństwa ani nawet klasy robotniczej czy związków zawodowych. Tylko dwóch jego członków – Tom Mann i Willy Gallacher – zapisało się w dziejach brytyjskiego socjalizmu. To oni zainicjowali kampanię, która zdobyła szerszą popularność i w końcu wymknęła się spod kontroli jej organizatorów. 4 marca 1920 roku po wiecu w Kingsway Hall wystosowali protest do polskiego konsula w Londynie. „Ten Komitet – stwierdzili – jest w dużej mierze odpowiedzialny za stanowisko zajmowane przez TUC (Kongres Związków Zawodowych). [...] Jeśli polscy imperialiści będą kontynuować obecną politykę, imię rządu polskiego będzie śmierdzieć dla całego brytyjskiego ruchu związkowego"[200]. Deklaracja ta okazała się prawdziwa, kiedy w kwietniu dotarły do Anglii wieści o wyprawie kijowskiej: polska inwazja na Ukrainę została potępiona przez wszystkie bez wyjątku sekcje brytyjskiego ruchu związkowego. Polska ofensywa znalazła się w centrum uwagi także dlatego, że delegacja Partii Pracy, która gościła wówczas w Rosji, była naocznym świadkiem wydarzeń. Pierwszą praktyczną konsekwencją było zatrzymanie 9 maja w porcie przez londyńskich dokerów s/s „Jolly George". Działania polskie zostały formalnie potępione 6 lipca w rezolucji przyjętej przez Kongres Związków Zawodowych i 24 lipca w rezolucji podjętej na Konferencji Partii Pracy w Scarborough. Punkt kulminacyjny przypadł na 6 sierpnia, kiedy to – nadal pod hasłem „Ręce precz od Rosji" – powołano Radę Czynu, która miała ogłosić strajk generalny wymierzony przeciw domniemanym zamiarom rządu, to znaczy przeciw brytyjskiej interwencji po stronie Polski. Jednakże do tego czasu kampania, która stanowiła początkowo narzędzie radykalnej komunistycznej grupy nacisku, została przejęta przez grupę zdeterminowanych, ale w istocie rzeczy umiarkowanych socjalistów.

Działalność Rady Czynu stanowi jeden z najbardziej mętnych epizodów w brytyjskiej historii, toteż można ją interpretować na wiele sposobów. Lenin na przykład uważał, iż Rada jest brytyjskim sowietem, który po przejściowym okresie dwuwładzy – wspólnych rządów z gabinetem JKM – doprowadzi w Wielkiej Brytanii do Wielkiego Października. Jednakże organizator Rady Czynu Ernest Bevin nie miał tak wzniosłych aspiracji. Nie był leninistą ani komunistą, ani nawet marksistą. W jego Radzie znajdowała się tylko jedna osoba z pierwotnego Komitetu. Zależało mu wyłącznie na tym, by powstrzymać Lloyda George'a przed wciągnięciem kraju w niepotrzebną wojnę. Stropił się, gdy jego inicjatywa zmierzająca do ocalenia Moskwy przed kapitalistyczną nawałą zbiegła się w czasie ze szturmem na Warszawę sił moskiewskich. Był zdumiony, kiedy podczas spotkania z premierem, do którego doszło rankiem 10 sierpnia, okazało się, że Lloyd George całkowicie podziela jego opinię. Półgodzinna rozmowa załatwiła sprawę raz na zawsze:

Premier: Czy to znaczy, że... jeśli niepodległość Polski będzie naprawdę zagrożona, jeśli Polska zostanie naprawdę pokonana, a Rosja bolszewicka zrobi z Polską to co jej carscy poprzednicy półtora wieku temu, to my nie możemy wysłać do Polski jednej pary butów, bo związki zastrajkują? To właśnie chciałbym wiedzieć.

Ernest Bevin: Nasza odpowiedź brzmi, że to przypuszczenie nie jest słuszne, że niepodległość Polski nie jest zagrożona... Zastanowimy się nad naszym stanowiskiem, kiedy taka sytuacja zaistnieje.

Premier: Bardzo dobrze, to mi zupełnie wystarcza.

Ernest Bevin: Załóżmy jednak, że naród polski przyjmie konstytucję, która nie będzie odpowiadać mocarstwom sojuszniczym.

Premier: Nie obchodzi mnie ich konstytucja. Jeśli chcieliby tam mieć mikada, to ich sprawa.

Ernest Bevin: Tyle tylko chcieliśmy wiedzieć[201].

Bevin opuścił Downing Street kompletnie zdezorientowany. O jego Radzie Czynu więcej nie słyszano.

Lloyd George lepiej rozumiał działalność Rady niż jej członkowie. Wiedział, iż jej źródłem są bezpodstawne obawy. Hankey przypomniał mu: „laburzystowska Rada Czynu jest nieprzyjemną inicjatywą, ale skoro obrała ten sam kurs co rząd [...], nikt nie potrafi lepiej od Ciebie obrócić tego faktu na naszą korzyść”[202]. Lloyd George wykorzystał ten fakt znakomicie. Prosto ze spotkania z Bevinem udał się do Izby Gmin na debatę w sprawie Polski. Tam gromił na prawo i lewo wszystkich, którzy kiedykolwiek wygłosili życzliwą uwagę na temat uczestników wojny polsko-bolszewickiej, i potępił ich w czambuł jako „maniaków, którzy chcą eskalacji konfliktu [...], fanatyków we wszystkich krajach, którzy tańczą przy akompaniamencie rozbijanych mebli”[203]. Zasugerował, że nie istnieją stanowiska pośrednie między Churchillem i interwentami a Bevinem i Radą Czynu. „Lenin jest arystokratą – stwierdził ironicznie – a Trocki dziennikarzem. Mój wielce szanowny przyjaciel, minister wojny, jest zaś ucieleśnieniem obydwu”[204]. Był to typowy przykład jego strategii: wsadzając Churchilla i bolszewików do jednego worka, dyskredytował za jednym zamachem prawicę i lewicę. On sam pozostał panem w centrum placu boju jako niekwestionowany przywódca Izby. Parę dni później wygłosił w tej kwestii ostatnie słowo: „Partia socjalistyczna – powiedział, mając na myśli Bevina – jest nader użyteczna w roli straszaka na burżuazję, kiedy trzeba ją skłonić do umiarkowania”[205].

Ruch „Ręce precz od Rosji” wywarł mniejszy wpływ na przebieg wojny polsko-bolszewickiej niż na ewolucję brytyjskiego ruchu związkowego. Choć był on dowodem przelotnej sympatii między sowieckim komunizmem a Partią Pracy, to ujawnił również ich zasadniczą niezgodność. Nie tylko nie doprowadził do zjednoczenia brytyjskiego socjalizmu, ale w istocie go podzielił. W 1920 roku większość brytyjskich socjalistów odkryła, że komunizm typu sowieckiego może być dobry dla Rosji, ale nie jest dobry dla Anglii. Tom Shaw, jedyny poseł Partii Pracy, który w owym roku odwiedził Polskę, wyznał: „Gdybym był Rosjaninem, walczyłbym w obronie Sowietów; ale jako Anglik walczyłbym przeciw wprowadzeniu bolszewizmu do tego kraju”[206]. Partia Pracy nie mogła tolerować w swoich szeregach radykalnych komunistów, zmusiła ich więc, by poszli własną drogą. Nader znamienny jest fakt, że 1 sierpnia 1920 roku – tego samego dnia, kiedy Tuchaczewski przekroczył Bug, a Bevin utworzył Radę Czynu – inicjatorzy kampanii „Ręce precz od Rosji”: Gallacher, Coates i inni, uczestniczyli w zebraniu założycielskim Brytyjskiej Partii Komunistycznej; z kolei Tom Mann został wybrany na zastępcę przewodniczącego Mieżsowprofu w Moskwie. Brytyjski komunizm i brytyjski socjalizm rozeszły się na dobre.

Przykład ten został powielony niemal we wszystkich krajach Europy. Bolszewicka inwazja na Polskę zadziałała niczym silny katalizator przyspieszający procesy fermentacyjne w partiach socjalistycznych. Była tym ostatnim przemieszaniem zawartości kotła, która zaczęła się już rozwarstwiać. Po demonstracjach poparcia dla Rosji sowieckiej wiosną 1920 roku i strajkach przeciw transportom broni do Polski wybuchły niebawem poważne spory i nastąpiła trwała schizma. Za przykładem brytyjskim poszły najpierw Stany Zjednoczone, a potem Francja, Niemcy i Włochy. W okresie kampanii

kijowskiej tylko w nielicznych państwach komuniści oderwali się formalnie od ruchu socjalistycznego. Pomijając dziwne sytuacje w Hiszpanii i Holandii, nastąpiło to w krajach, które powstały lub odrodziły się po wojnie światowej: w Finlandii, państwach nadbałtyckich, Polsce, na Węgrzech i w Austrii. Rok później, kiedy podpisywano polsko-sowiecki traktat pokojowy, jedynymi państwami, w których komuniści się nie oderwali, były Norwegia, Albania i Watykan.

* * *

Najazdem na Polskę najżywotniej zainteresowani byli jej sąsiedzi: Rumunia, Węgry, Czechosłowacja, Niemcy i Wolne Miasto Gdańsk. Byli wszak następni w kolejce. Wszyscy zachowali neutralność, ale żaden z nich nie mógł być obojętny.

Najwięcej powodów do niepokoju miała Rumunia, posiadała bowiem wspólną granicę zarówno z Polską, jak i z Sowietami. Rumunia, podobnie jak Polska, odziedziczyła terytoria na zachodzie i na wschodzie: Siedmiogród od Węgier i Besarabię od Rosji. Kluż (Kolozsvár) był jej Poznaniem, Kiszyniów zaś jej Wilnem. Rząd rumuński stał w obliczu całkiem podobnych problemów jak rząd polski. Rumuńska armia była w zasadzie chętna do walki z bolszewizmem: rzuciła już Sowietom wyzwanie, zajmując w kwietniu 1918 roku Besarabię, a jesienią 1919 roku Budapeszt – ówczesną stolicę Węgierskiej Republiki Rad Béli Kuna. Lecz w 1920 roku zadania defensywne spychały na drugi plan wszelkie zagraniczne przedsięwzięcia. Aneksja Siedmiogrodu została sformalizowana dopiero 4 czerwca 1920 roku w traktacie z Trianon; do Besarabii zgłaszali nadal pretensje Sowieci, alianci zaś nie rozstrzygnęli jeszcze sporu, który trwał do końca roku. Rumuńskie wojska nad Dniestrem stanowiły nieustanne zagrożenie dla południowej flanki sowieckiej ofensywy w Polsce, co zmusiło Rosjan do przeciwstawienia im 14. Armii; same pozostały jednak bierne. W lipcu 1920 roku – w szczytowym okresie kryzysu polskiego – Rumunia została sparaliżowana przez falę strajków, które unieruchomiły kolej i pocztę. Minister spraw zagranicznych Take Ionescu, który w styczniu odbył przyjacielskie spotkanie z Piłsudskim, przez większą część lata ograniczał się do przesyłania telegramów z wyrazami solidarności. Jego apel z 18 sierpnia o stworzenie wspólnego frontu politycznego przeciw bolszewikom został storpedowany przez Francję[207].

Rząd węgierski wykazywał więcej entuzjazmu, ale mniej mógł. Madziarów i Polaków łączyły tradycyjne więzy sympatii. Regent Węgier admirał Horthy przejął właśnie władzę dzięki „białemu terrorowi" i był aktywnym uczestnikiem antybolszewickiej krucjaty. Nie ukrywał, że chętnie wyśle swoje wojska do Polski. Na przekór temu pragnieniu stanęło jednak terytorium Czechosłowacji, z którą aż do roku 1920 Węgrzy pozostawali w stanie niewypowiedzianej wojny.

Postawa, jaką przyjął wobec wojny polsko-bolszewickiej rząd czechosłowacki, była enigmatyczna[208]. Jako liberalna demokracja parlamentarna Czechosłowacja nie mogła cieszyć się z ekspansji bolszewizmu, a jako główny klient Francji w Europie Środkowej nie mogłaby sobie na to pozwolić. Niemniej jednak nie zdradzała szczególnego niepokoju. Przez cały rok 1920 członkowie lewego skrzydła Partii Socjaldemokratycznej, która w pierwszych wyborach nowej republiki zebrała najwięcej głosów (trzydzieści siedem procent), jawnie zakładali rady robotnicze; partia komunistyczna była organizacją legalną; toczyły się negocjacje na temat uregulowania stosunków z Rosją. Czechosłowaków zawsze

łączyły bliższe stosunki z Rosjanami niż z Polakami. Wyobrażenie Polaków, iż są przedmurzem chrześcijaństwa, uważano w Pradze za pretensjonalne, Piłsudski zaś był uznawany za militarystę. Przez większą część owego roku rząd czechosłowacki nie objawiał żadnego zainteresowania losem Polski. Minister spraw zagranicznych Beneš wykorzystał ten okres, aby umocnić swoją pozycję w sporze o Cieszyn, który 28 lipca został rozstrzygnięty kosztem Polski. 21 maja wiec kolejarzy w miejscowości Břeclav na granicy z Austrią postawił tamę strumieniowi dostaw wojskowych dla Polski. 5 lipca strajk na trasie Bohumin-Koszyce wywołał ten sam efekt na Słowacji. Przez dziesięć tygodni główna droga zaopatrzenia do Polski była zablokowana. Rząd w Pradze nie interweniował. Zaczął reagować dopiero pod sam koniec lipca. Armia została wysłana na Słowację; polscy uciekinierzy z Galicji otrzymali pomoc; bolszewickich agitatorów aresztowano; linie kolejowe zostały odblokowane: alianckie uzbrojenie popłynęło wreszcie przez Ruś Zakarpacką do Polski, a w drugim kierunku popłynęła ropa spod Lwowa. Jednakże nawet wtedy czechosłowacki rząd nie chciał ogłosić poparcia dla Polski. 9 sierpnia wydał deklarację niezaangażowania i ścisłej neutralności. Istnieją przekonujące dowody świadczące o tym, iż Beneš, by zaspokoić apetyty Sowietów, zamierzał im oddać Ruś Zakarpacką oraz miasto Użhorod[209].

Niemcy miały kluczowe znaczenie: stanowiły deklarowany cel Armii Czerwonej i dostarczały bolszewikom mocnych podstaw do optymizmu. Na skutek niezadowolenia społecznego i politycznego chaosu znajdowały się w stanie wrzenia. W ciągu osiemnastu miesięcy od abdykacji kajzera w Niemczech wybuchła jedna rewolucja komunistyczna, powstały dwie lokalne republiki rad, odbyły się trzy reakcyjne pucze i przynajmniej cztery strajki powszechne, zmieniło się pięciu kanclerzy. W lipcu 1920 roku mijało dopiero dwanaście miesięcy od przyjęcia konstytucji weimarskiej i jedynie sześć miesięcy od ogłoszenia upokarzających warunków pokoju wersalskiego. Rząd centralny musiał radzić sobie z tendencjami separatystycznymi w landach, ze ścisłym nadzorem mocarstw alianckich oraz z ciągłymi wojnami ulicznymi uzbrojonymch oddziałów robotników z prawicowym Freikorpsem. Kiedy wojna polsko-bolszewicka po raz pierwszy zwróciła uwagę opinii publicznej, było jasne jak słońce na niebie, że robotnicy powinni demonstrować na rzecz Sowietów, Freikorps powinien domagać się pomocy dla Polski, rząd zaś powinien ogłosić neutralność. Co też uczynił 26 lipca ustami ministra spraw zagranicznych doktora Simonsa. Gest ten miał zasadniczo znaczenie lokalne, gdyż w 1920 roku Niemcy nie prowadziły w pełni niezależnej polityki zagranicznej. Republika weimarska znajdowała się pod kuratelą aliantów i nie mogła oficjalnie opowiadać się po którejkolwiek stronie. Co nie znaczy, że poszczególnym Niemcom, a nawet całym departamentom rządowym nie wolno było mieć własnego zdania. Niczyjej uwagi nie mogło ujść, iż ofensywa Armii Czerwonej zagrażała ustaleniom wersalskim i tym samym – bez względu na inne konsekwencje – dawała nadzieję na uwolnienie Niemiec od nałożonych na nie nieznośnych ograniczeń. Jak zauważył Lenin:

> Był to czas, kiedy wszyscy Niemcy – nie wyłączając najczarniejszych reakcjonistów i monarchistów – deklarowali, że bolszewicy będą ich ratunkiem. [...] Narodził się wówczas dziwny gatunek reakcyjnego rewolucjonisty[210].

Już w styczniu 1920 roku generał Seeckt, dowódca nowej Reichswehry, zaakceptował „przyszłe porozumienie polityczne i gospodarcze z Rosją jako nieodwracalny cel

niemieckiej polityki", choć jednocześnie głosił: „w samych Niemczech jesteśmy gotowi postawić mur przeciw bolszewizmowi". Po czym dodał: „Nie zamierzam udzielać pomocy Polsce nawet wtedy, gdyby groziła jej aneksja. Przeciwnie – liczę na to"[211]. Wielu oficerów sądziło, że Niemcy mogą się wyrwać z uścisku ententy jedynie dzięki jakiejś kolejnej rewolucji.

Zarówno w Niemczech, jak i w Rosji znajdowali się ludzie, którzy byli gotowi wykorzystać napaść na Polskę, aby osiągnąć własne korzyści. Po wygłoszeniu 24 lipca przemówienia na forum zjazdu Kominternu Radek w największym pośpiechu udał się do Berlina. Toczyły się już próbne negocjacje. Herr Maltzan, szef wydziału rosyjskiego w niemieckim MSZ, był w kontakcie z bolszewickim agentem w Berlinie Koppem: eksmieńszewikiem i człowiekiem Trockiego. Mimo wyraźnego zakazu Lenina Trocki wcześniej sugerował, iż Rosja być może kupi broń od Niemców[212]. Kopp z kolei zapewniał, że Armia Czerwona nie przekroczy granicy Niemiec. 22 lipca przekazał Cziczerinowi propozycję Simonsa dotyczącą przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych. 2 sierpnia uzgodnił z niemieckim rządem, iż jego przedstawiciel dołączy do 4. Armii, by zapobiec ewentualnym incydentom na niemieckiej granicy. Ustalił także, że wszystkie polskie jednostki zepchnięte na terytorium niemieckie zostaną rozbrojone i internowane. Ludendorff – idol Freikorpsu – przedstawił inny sposób wykorzystania sytuacji. W rozmowie z brytyjskim *chargé d'affaires* w Berlinie miał jakoby zaproponować, że pośpieszy Polsce na pomoc, jeśli w zamian Niemcy otrzymają z powrotem Poznańskie oraz udział w zyskach gospodarczych z terytorium pokonanej Rosji. Jego *démarche* wzbudziło obawy w wielu kręgach. W Reichstagu Klara Zetkin zgłosiła oficjalny protest w imieniu niemieckiej lewicy[213]. MSZ w Londynie otrzymało pytanie w tej sprawie od zaniepokojonego radcy polskiego poselstwa[214]. Rząd polski słusznie odgadł, że bardziej prawdopodobnym celem zabiegów Freikorpsu jest Górny Śląsk niż Poznańskie. Tak czy owak, Polacy mieli równie wielką ochotę na oswobodzenie przez Ludendorffa jak na wyzwolenie przez Tuchaczewskiego.

Górny Śląsk stał się areną ważnych wydarzeń. Społeczności polska i niemiecka mobilizowały siły przed nadchodzącym plebiscytem. Niewystarczającemu garnizonowi alianckiemu, złożonemu z oddziałów francuskich i włoskich, z trudnością przychodziło rozdzielać obie strony. 15 sierpnia redaktor lokalnej niemieckiej gazety w Gliwicach zdecydował się ogłosić upadek Warszawy, nie czekając na potwierdzenie tej informacji. 16 sierpnia tłum Niemców ukazał się na ulicach, radując się ze zwycięstwa Sowietów i wznosząc w górę portrety Lenina i Trockiego. Następnego dnia podobną demonstrację zorganizowano w Katowicach – francuski garnizon został tam oblężony w koszarach[215]. Przez czterdzieści osiem godzin w mieście szalał bezkarnie niemiecki terror. Atakowano jak popadło polskich mieszkańców i polskie domy. Gwałtowna reakcja była więc nieunikniona. Wojciech Korfanty, polski działacz narodowy, wezwał swoich rodaków, by chwycili za broń. Był to sygnał do wybuchu drugiego powstania śląskiego. 19 sierpnia o świcie grupy śląskich peowiaków wyruszyły w pole i zajęły obszar plebiscytowy. Francuzi nie próbowali interweniować. Przez dziesięć dni – dokładnie w tym samym czasie, gdy wojsko polskie walczyło o ocalenie Warszawy przed Sowietami – Polacy na Śląsku bili się o to, by uratować swoje domy przed Niemcami.

Inny plebiscyt zakończył się już w Prusach Wschodnich. W głosowaniu, które odbyło

się 11 lipca, Niemcy zdobyli tam miażdżącą przewagę, co bez wątpienia wiązało się z krytyczną sytuacją w Polsce. Tamtejszy garnizon aliancki składał się z Brytyjczyków, którzy zaczęli objawiać nieprzyzwoitą ochotę do natychmiastowej ewakuacji. Wyrażano obawę, by pułki irlandzkie nie weszły w kontakt z atakującymi siłami sowieckimi, co mogłoby grozić „zarażeniem”[216]. Wygląda na to, że Sinn Fein i bolszewizm uznano za symptomy jednej i tej samej powszechnej rewolucji. Ewakuację przeprowadzono w pierwszym tygodniu sierpnia, pozostawiając Prusakom troskę o samych siebie.

Również Gdańsk miał własne plany. Latem 1920 roku konstytucja Wolnego Miasta nie była jeszcza gotowa. Gdańskiem jako „kondominium alianckim” administrował brytyjski dyplomata sir Reginald Tower, który jednak był bardzo zależny od korporacji miejskiej oraz od burmistrza Heinricha Sahma. Oberbürgermeister Sahm był w Warszawie osobą poszukiwaną pod zarzutem dokonywania podczas wojny światowej deportacji ludności z Polski na roboty przymusowe do Niemiec. Od 15 lipca do 24 sierpnia na skutek strajku dokerów port był zamknięty dla ładunków przeznaczonych dla Polski. Nasiliła się prosowiecka agitacja; sam burmistrz został brutalnie potraktowany przez socjalistycznych demonstrantów. 8 sierpnia Sahm nakłonił Towera, by ten zgłosił projekt poszerzenia terytorium Wolnego Miasta. Obaj panowie przyjęli, że skoro Rzeczpospolita Polska niebawem przestanie istnieć, nie ma sensu dbać o jej interesy[217].

* * *

Dla każdego, kto w pierwszych tygodniach sierpnia przyglądał się Polsce z oddali, sukces ofensywy Armii Czerwonej wydawał się już faktem dokonanym. Rzut oka na mapę wystarczał, aby stwierdzić, że Kawkor Gaja dzieli od Berlina dziesięć dni marszu. 4. Armia Siergiejewa znajdowała się w Działdowie – 150 kilometrów od Gdańska. Oddziały te minęły już całe Prusy Wschodnie. Warszawa znajdowała się daleko z tyłu. Pozostałe armie Tuchaczewskiego również parły do przodu: trzy z nich zostały skierowane na północ od Wisły, a tylko jedna na Warszawę. Los Niemiec wydawał się bardziej stosownym przedmiotem troski niż na pozór nieuchronna klęska Polski.

Jednakże na miejscu sytuacja Armii Czerwonej jawiła się mniej różowo. Za wtargnięcie w głąb Polski zapłacono wysoką cenę. W lipcu straty Rosjan wyniosły od dwudziestu pięciu do czterdziestu procent. Według Kakurina stan 3. Armii Łazariewicza stopniał z 30 243 ludzi do 23 324, a 15. Armii Korka z 44 796 do 27 522 żołnierzy[218]. 10. Dywizja Piechoty Kakurina dotarła nad Bug w sile 4500, z których tydzień później na polskim brzegu rzeki zostało jedynie 2800.

Przeważająca większość tych strat to nie zabici i ranni, lecz jedynie zaginieni lub dezerterzy: żołnierze, którzy na skutek szybkiego tempa marszu pozostawali umyślnie lub nieumyślnie z tyłu.

Równie poważnym problemem była dysharmonia między Frontem Zachodnim a Południowo-Zachodnim. Tuchaczewski oczekiwał, że armie Jegorowa zbiorą się nad Bugiem i wraz z nim ruszą w głąb Polski. Jednakże do końca lipca manewr ten nawet nie został rozpoczęty. 24 lipca 14. Armia zwróciła się na południe, aby zapobiec groźbie rumuńskiej dywersji od strony Dniestru; z kolei Konarmia skierowała się na południowy zachód i ruszyła na Lwów. Tylko na północnym skrzydle 12. Armia obrała kurs na spotkanie z Tuchaczewskim, lecz ugrzęzła w bagnistej dolinie rzeki Stochód – gdzie w

1916 roku zatrzymała się ofensywa Brusiłowa. Od tego momentu siła natarcia na zachód tych trzech armii osłabła. Niczym widły, których zęby zostały wykrzywione, jednostki te w znacznym stopniu utraciły zdolność do penetracji i koordynacji działań. Ich ofensywa została poważnie przyhamowana. Miały przed sobą przeciwnika, któremu udało się wycofać w znacznie lepszym porządku niż na północy. Napotykały skuteczny system obronnych „zapór" i padały ofiarą licznych krwawych kontrataków. Rydz-Śmigły, polski dowódca w Galicji, rozstawił na przedpolu w każdym miasteczku i węźle kolejowym o znaczeniu strategicznym garnizony o sile mniej więcej tysiąca ludzi. Miał pewność, że nie da się zaatakować wszystkich naraz, a każdy z nich – dzięki dobremu zaopatrzeniu w amunicję i żywność – mógł utrzymać się do dwóch tygodni, chyba że stałby się celem zmasowanych ataków. Pod tą osłoną Rydz-Śmigły mógł przegrupować swoje siły główne i wzmocnić je nowymi oddziałami jazdy. 2. Armia, rozwiązana w Kijowie, została teraz odtworzona pod dowództwem generała Raszewskiego, uzupełniona o pełną dywizję kawalerii i ustawiona w centrum frontu naprzeciw Konarmii. 8 lipca Raszewski odepchnął Budionnego i na krótki czas zajął Równe. Bój o rzekę Styr trwał niemal miesiąc. 21-22 lipca generał Linde przeprowadził wypad na prawym skrzydle 2. Armii i zajął Kozin. 2 sierpnia rozpoczęła się bitwa o Brody, podczas której generał Sawicki – dowodząc dwiema dywizjami oraz brygadą kawalerii – wbił się głęboko w bok Konarmii. (Por. opisy na s. 51-52). Sukces Polaków został udaremniony przez rozkazy z góry: w związku z upadkiem Brześcia na północy wszystkie armie na południu zostały wycofane nad Styr. Podczas tych tygodni Budionny, rzecz jasna, nie próżnował. Kiedy go atakowano, reagował z właściwym mu wigorem – kilkakrotnie poszatkował oddziały przeciwnika. Generalnie jednak szedł powoli: w lipcu pokonał odległość 90 kilometrów od Równego do Beresteczka. Tempo jego ofensywy było bez porównania wolniejsze niż Gaja, który w tym samym okresie przebył 650 kilometrów. Front Południowo-Zachodni nie tylko tracił impet, ale również poczucie celu.

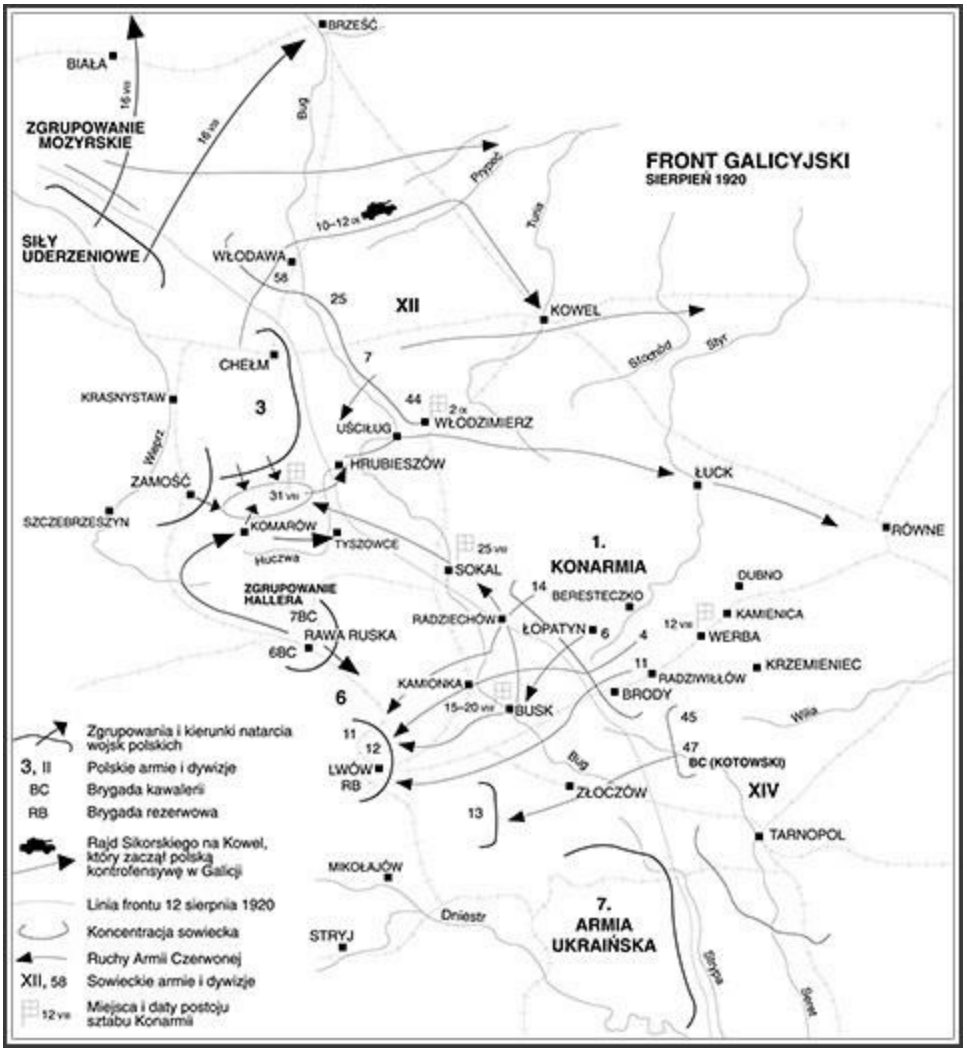

A zatem – wbrew temu, co pokazywała mapa, i wbrew buńczucznym deklaracjom sowieckiego najwyższego dowództwa – losy inwazji na Polskę wciąż jeszcze się ważyły.

---

[128] Cytowane przez E. Wollenberga, *The Red Army*, London 1938, s. 197.

[129] J. Piłsudski, *Rok 1920*, w: tenże, *Pisma zbiorowe*, t. 7, Warszawa 1938, s. 44-45.

[130] „Borysów wzięty" – nagłówek w „Prawdzie", 26.05.1920.

[131] „Prawda", nr 7, 28.05.1920; *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 132.

[132] G. Sokolnikow, *Nowyj pieriod w graždanskoj wojnie* oraz *Polskaja kierienszczina* – artykuły w „Prawdzie", 8 i 9.05.1920.

[133] Zob. rozdz. 3, przyp. 21, na s. 143.

[134] *Pierwyje bojewyje szagi Marszała Piłsudskogo*, „Wojennoje Dieło", czerwiec 1920, nr 13; L. Trocki, *Kak wooružałas' riewolucja*, t. 3, Moskwa 1925, s. 165.

[135] K. Radek, *O charaktierie wojny s biełoj Polszej*, „Prawda", nr 11, 12.05.1920.

[136] Tamże.

[137] Jest to streszczenie tekstu *Polskij front i naszy zadaczi*, w: Trocki, dz. cyt., t. 2, cz. 2, s. 93-97.

[138] Tamże, s. 125. Niecytowane w *Diriektiwach*...

[139] Przemówienie w Homlu opublikowano jako *Wojna biełogwardiejcew protiw Sowietskoj Rossii*, Moskwa 1920.

[140] J.W. Stalin, *Tyłowoj rajon udara*, „Prawda", 26.05.1920.

[141] W.I. Lenin, *Soczinienija*, XXV, s. 287, cyt. w: P. Wandycz, *Soviet-Polish Relations 1917-21*, Cambridge, Mass., 1969, s. 202.

[142] „Prawda", 10.10.1920.

[143] Lenin, dz. cyt., s. 298. 12.06.1920, cyt. za: Wandycz, dz. cyt., s. 205.

[144] Lenin do Unszlichta. Niedatowany telegram. CAPAS f 48/104 op. 1 ed. Chr. 8. Korespondencja cytowana przez A. Leinwanda, *PPS wobec wojny polsko-radzieckiej 1919-20*, Warszawa 1964, s. 183-185.

[145] N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925, s. 475-476.

[146] „Prawda", 28.05.1920.

[147] E.I. Naumow, *W.I. Lenin o Majakowskim*, w: *Nowoje o Majakowskom*, t. 65 z serii Litieraturnoje Nasledstwo, Moskwa 1958.

[148] „O propagandzie artystycznej", 19.05.1920, w: *Nowoje o Majakowskom*, dz. cyt.

[149] D. Fedotoff White, *The Growth of the Red Army*, Princeton 1944, s. 90.

[150] Tamże, s. 102.

[151] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 450-453.

[152] G.A. Airapetian, *Legiendarnyj Gaj*, Moskwa 1965.

[153] Tekst w: „Krasnoarmiejec" (dziennik 16. Armii), kopia w: PRO-FO 371 3919/213076.

[154] E.N. Siergiejew, *Od Dźwiny ku Wiśle*, tłum. J. Moszyński, Warszawa 1925, s. 52.

[155] G.D. Gaj, *Komsomolec Wasja*, „Mołodaja Gwardia" 1935, nr 4, s. 21-109. Streszczenie w: *Etapy bolszogo puti*, Moskwa 1963.

[156] G.D. Gaj, *Na Warszawu*, Moskwa 1928, s. 76.

[157] M. Wąsowicz, *Obrona Grodna*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59, s. 181-187.

[158] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 210.

[159] S. Alexandrowicz, *Bój 13. Pułku Ułanów pod Janowem*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59, s. 207-218.

[160] Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, dz. cyt., t. 7, s. 97.

[161] A.F. Chackiewicz, *Polskije intiernacyonalisty w bor'bie za własť sowietow w Biełorusii*, Mińsk 1967, s. 116-119.

[162] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 68.

[163] J. Marchlewski, *Rosja proletariacka a Polska burżuazyjna*, w: tenże, *Pisma wybrane*, t. 2, Warszawa 1956, cyt. w: *Historia Polski*, Warszawa 1966, t. 4, cz. 1, s. 389.

[164] *Dokumenty i materiały...*, t. 3, nr 126.

[165] Tamże, nr 127.

[166] GAPRP, f 130, op 4, d 206, I 161, cyt. w: Chackiewicz, dz. cyt., s. 127. Wandycz (dz. cyt.) wymienia sumę biliona rubli.

[167] Chackiewicz, dz. cyt., s. 134-135.

[168] Trotsky Archive (Harvard), T 546, cyt. w: Wandycz, dz. cyt., s. 230.

[169] CAPIML f 76, op I, d 1316, LI, cyt. za: Chackiewicz, dz. cyt., s. 139.

[170] CAPIML f 76, op I, d 1290, II, cyt. w: tamże, s. 142.

[171] W.I. Lenin, *Soczinienija*, LI, s. 266, cyt. za: tamże, s. 143.

[172] F.E. Dzierżyński, *Izbrannyje proizwiedienija*, t. I, s. 297, cyt. za: tamże, s. 144.

[173] 20.05.1920, *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 190.

[174] *Historia Polski*, dz. cyt., s. 360.

[175] *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 186-187.

[176] T. Jędruszczak, w: *Historia Polski*, dz. cyt., s. 373.

[177] *Dokumenty i materiały...*, nr 122.

[178] AAN-PRM 21431/20.15978, 15188, 8855, 14998.

[179] Cyt. za: E.H. Carr, *The Bolshevik Revolution*, London 1966, t. 3, s. 192.

[180] Lloyd George w Izbie Gmin, 16.04.1919. *Commons Debates*, Series V, t. 114, s. 2938.

[181] *Documents on British Foreign Policy, 1918-45* (*First Series*), London 1947-, t. VIII, s. 502-506.

[182] Rozmowa w Villa Fraineuse, Spa, 10.07.1920; tekst w: VII Sesja R.O.P. AAN-PRM, mikrofilm 20189.

[183] PRO-FO 371 4058/209045.

[184] W. Sworakowski, *An Error regarding East Galicia in Curzon's Note to the Soviet Government, 11 July 1920*, „Journal of Central European Affairs" 1944, t. IV, nr 1.

[185] Lloyd George Papers, F 201/1.

[186] Tekst rosyjski w: *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 93; tekst angielski w: PRO-FO 371 4058/207846.

[187] Telegram W.I. Lenina do J.W. Stalina, 12 lub 13 lipca 1920, cyt. za: *Historia Polski*, dz. cyt., t. 4, cz. 1, s. 369. Zob. też *Diriektiwy...*, nr 600.

[188] *Diriektiwy...*, nr 605.

[189] PRO-FO 371 3919/213244.

[190] Hankey do Lloyda George'a, Lloyd George Papers f/57/6/5.

[191] Tamże, F/57/6/8.

[192] Pełny tekst w rękopisie: Lloyd George Papers, F/57/6/13; wersja skrócona w: PRO-Cab 24/110 CP 1724; także *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. XI, nr 381.

[193] Tamże.

[194] Russo-Polish Situation, Cabinet Office Registered File, PRO-Cab 21/179.

[195] PRO-Cab 23/20 C 46, 1920, App. II.

[196] *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. XI, nr 345.

[197] Tamże, nr 411, 418.

[198] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 139, 140, 141, 144, 149, 150, 156, 163, 164, 168, 174, 179, 184.

[199] Tamże, nr 30, 18.05.1920.

[200] PRO-FO 371 3913/187247.

[201] F. Williams, *Ernest Bevin – Portrait of a Great Englishman*, London 1952, s. 83 nn.

[202] Lloyd George Papers F/24/3/6.

[203] *Commons Debates*, 1920, t. 133, s. 258-274.

[204] Tamże.

[205] PRO-Cab 21/179 CP 143, 22.08.1920.

[206] Wystąpienie na konferencji w Scarborough, „Daily Herald", 24.06.1920.

[207] Zob. M.K. Dziewanowski, *Piłsudski's Federal Policy, 1919-21*, „Journal of Central European Affairs" 1950.

[208] V. Olivová, *Polityka Czechosłowacji wobec Polski podczas wojny polsko-radzieckiej*, w: „Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej", Warszawa-Wrocław 1967, nr 1.

[209] Świadczy o tym stwierdzenie Jana Masaryka z 1946 roku, omówione przez Wandycza, dz. cyt.

[210] W.I. Lenin, przemówienie z 22.09.1920, *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 220.

[211] F. von Rabenau, *Seeckt. Aus seinen Leben, 1918-36*, 1940, s. 252, cyt. za: Carr, dz. cyt., t. 3, s. 310.

[212] *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 200. Zob. E.H. Carr, dz. cyt., t. 3, s. 323, przyp. 4.

[213] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 131.

[214] Tamże, nr 143.

[215] Zob. S. Wambaugh, *Plebiscites since the World War*, Washington 1933, t. 1, rozdz. 6.

[216] *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. X, 619; t. XI, 393.

[217] Tamże, t. XI, nr 401, 403.

[218] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 219.

Galeria

Rok 1920
Najcięższe walki

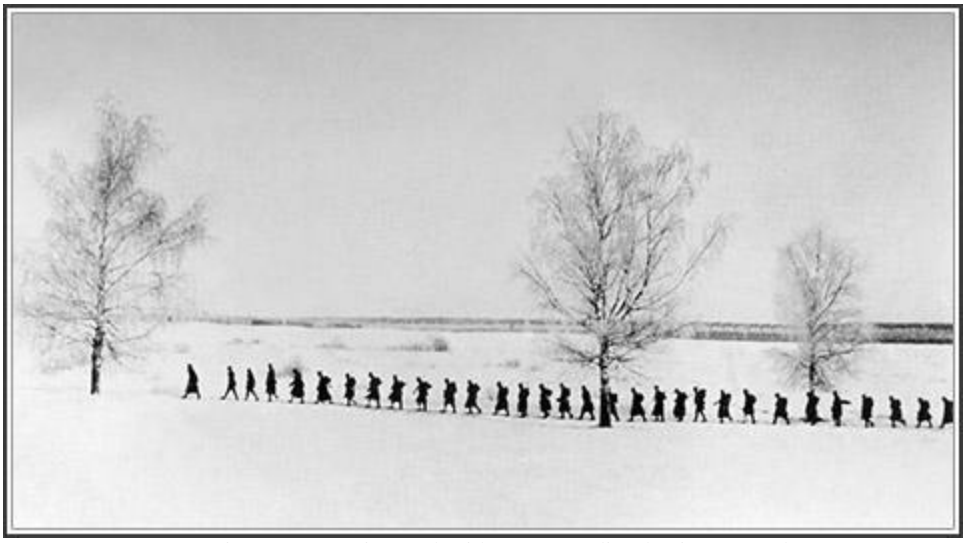

25. Ofensywa pod Dźwińskiem. 5. Pułk Piechoty Legionów

26. Żołnierze Armii Czerwonej

27. Generał Antoni Listowski (na koniu po lewej) odbiera defiladę 9. Pułku Ułanów w Równem, 19 marca 1920 r.

28. Przegląd oddziałów ukraińskich. Drugi z lewej Semen Petlura

29. Marszałek Józef Piłsudski w Żytomierzu, 27 kwietnia 1920 r.

30. Lenin przemawia do żołnierzy, Moskwa, 5 maja 1920 r.

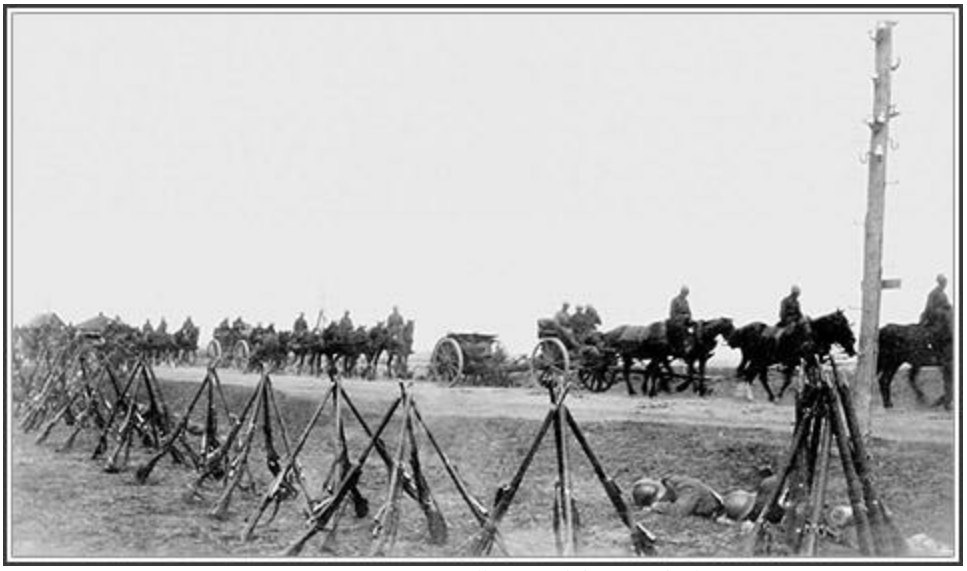

31. Marsz na Kijów, polska artyleria

32. Polska kawaleria w Kijowie, 9 maja 1920 r.

33. Wojsko Polskie, ulica Wielka Włodzimierska w Kijowie, 9

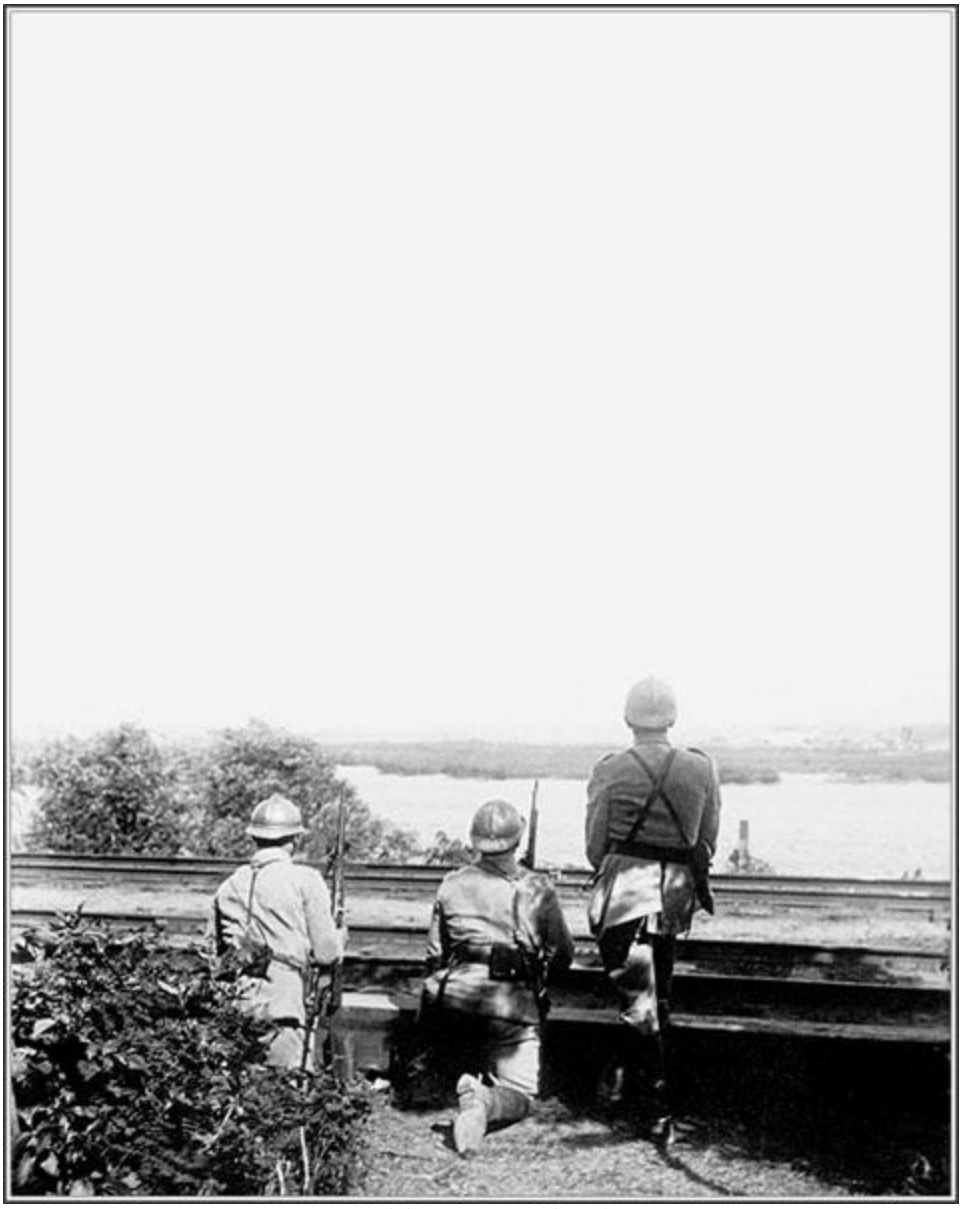

34. Polska warta nad Dnieprem.

35. Michaił Kalinin przemawia do żołnierzy Siemiona Budionnego (Budionny stoi z lewej)

36. 1. Armia Konna

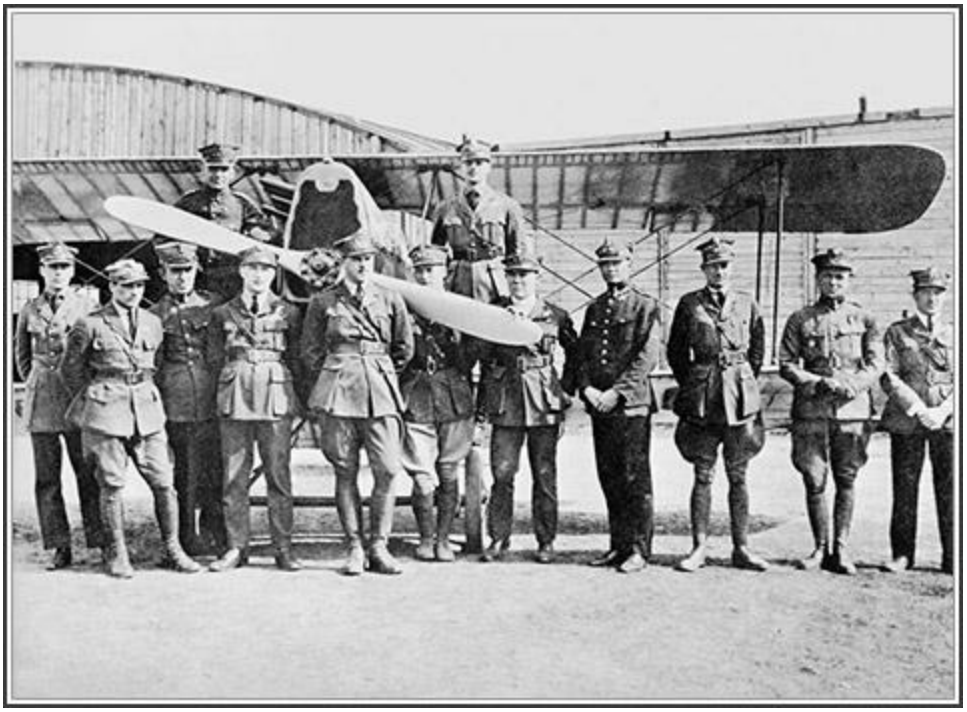

37. 7. Eskadra Myśliwska im. Tadeusza Kościuszki

38. Odwrót spod Kijowa. 1. Pułk Piechoty Legionów

39. Pogrzeb żołnierzy polskich

40. Michaił Tuchaczewski przyjmuje defiladę oddziałów Armii Czerwonej

41. Piechota polska i czołgi podczas ataku

42. Francusko-brytyjska misja sojusznicza, Warszawa, 28 lipca 1920 r. W środku, w mundurze francuskim, generał Maxime Weygand, pierwszy z lewej lord Edgar Vincent D'Abernon

43. Polskie oddziały odchodzą na front

44. Okopy pod Radzyminem

45. Generał Władysław Sikorski w czasie Bitwy Warszawskiej/p>

46. Bolszewiccy emisariusze jadą na spotkanie z przedstawicielami rządu polskiego

47. Polskie czołgi w Mińsku Mazowieckim, 17 sierpnia 1920 r.

48. Pociąg pancerny "Zagończyk", który uczestniczył w kontruderzeniu znad Wieprza

49. Włocławski bulwar wiślany, 16 sierpnia 1920 r.

50. Taczanka 1. Armii Konnej

51. 1. Dywizja Kawalerii pułkownika Juliusza Rómmla

52. Grodno – zniszczone mosty

53. Ranni czerwonoarmiści

54. 1. Pułk Ułanów Wileńskich w drodze na Wilno

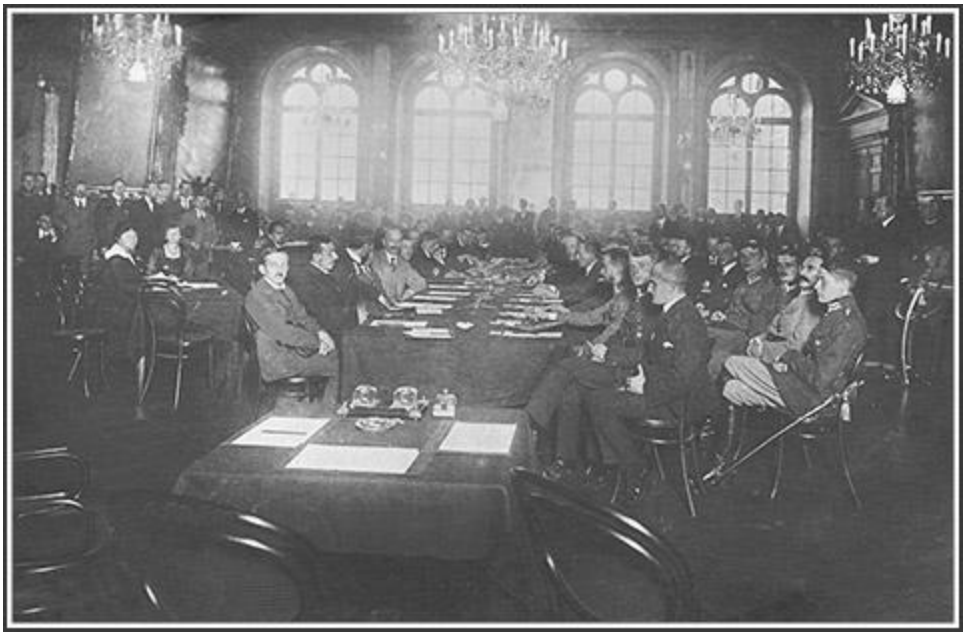

55. Ryga. Negocjacje pokojowe delegacji polskiej i bolszewickiej

56. Ułani powracają z frontu

57. Józef Piłsudski, Druskienniki, 1924 r

Rozdział piąty
BITWA WARSZAWSKA

Zanotowane impresje dotyczące Warszawy w przededniu natarcia Armii Czerwonej składają się na opis, który jest zadziwiającą mieszaniną gorączkowej aktywności i niewytłumaczalnej apatii. Dziennik lorda D'Abernona uwypukla apatię:

26 lipca Nie przestaję zdumiewać się nad brakiem paniki i nad brakiem jakichkolwiek oznak zaniepokojenia. [...] Gdyby Rząd Polski zorganizował metodyczny system obrony przed atakiem bolszewików od strony północnej, można by jeszcze wówczas rozumieć spokojny wygląd pełnych otuchy mieszkańców, ponieważ jednak najlepsze oddziały odesłane zostały na południe do obrony Lwowa, Warszawa pozostawiona jest bez dostatecznej osłony.

27 lipca Prezes Ministrów, gospodarz wiejski, wyjechał dzisiaj zbierać swe zboże z pola. Nikt w tym nie widzi nic nadzwyczajnego.

2 sierpnia Beztroska tutejszej ludności jest po prostu nie do wiary. Można by myśleć, że żadne niebezpieczeństwo nie zagraża krajowi, a bolszewicy są gdzieś o tysiąc mil od granic Polski.

3 sierpnia Zwiedziłem wczoraj północne okolice Warszawy, którymi biegnie droga na Ostrów. [...] Spodziewałem się [...] ujrzeć na tej drodze oddziały wojsk i pociągi z amunicją, oraz uciekinierów z ziem zajmowanych przez bolszewików. Ruch jednakże był niewielki. [...] Dziwne mi się wydało, że przy zakładaniu drutów kolczastych i przy innych robotach obronnych widziałem zajętych głównie Żydów. Było to dla mnie prawdziwą niespodzianką, ponieważ na ogół Żydzi uważani są tutaj za element przyjaźnie usposobiony względem bolszewików. [...] Ludność tutejsza była świadkiem tylu już inwazyj, że przestała po prostu zwracać na to uwagę.

7 sierpnia Dzisiaj po południu zwiedziłem projektowany nowy front w kierunku Mińska Mazowieckiego. Warszawa otoczona jest potrójną siecią drutów kolczastych w promieniu 20 kilometrów oraz pewną liczbą okopów ochronnych dla wojska [...] mnie jednak niezbyt przemawia do przekonania tego rodzaju rozplanowanie zapór obronnych.

13 sierpnia Brak wszelkiej paniki śród szerokich mas ludności jest wprost niezwykły. Wyższe warstwy społeczeństwa opuściły już miasto, pozostawiając w wielu wypadkach swe zbiory malarskie i inne kosztowności na opiece władz muzealnych. Warszawa tylekroć była już okupowana przez obce wojska, że grożące jej dzisiaj niebezpieczeństwo nie wywołuje śród mieszkańców ani podniecenia, ani paniki, spotykanej w miastach, które nie doświadczały jeszcze zbrojnych nieprzyjacielskich podbojów[219].

Po drugiej stronie zasieków Feliks Dzierżyński, przesłuchujący w Wyszkowie jeńców i uciekinierów, był świadom większej aktywności. Swoje wrażenia przetelegrafował Leninowi:

Chłopi trzymają się od wojny z daleka i unikają mobilizacji. Masy pracujące Warszawy oczekują przybycia Armii Czerwonej, lecz na skutek braku przywództwa oraz panowania terroru nie występują czynnie. [...] Partia Socjalistyczna prowadzi szaleńczą agitację na rzecz obrony Warszawy. [...] Tysiące mężczyzn i kobiet zapędzono do kopania umocnień. Ustawiono zasieki z drutu kolczastego, rozpuszcza się pogłoski o budowie barykad na ulicach. Żeby obudzić ducha bojowego Polaków, wydano mnóstwo apeli do ludności, mówiących, że wystarczy jeden potężny cios, by odeprzeć zmęczoną i osłabioną Armię Czerwoną. Do tego uderzenia mobilizują wszystko. Utworzono kobiece brygady szturmowe. Oddziały ochotników, w których przeważają synalkowie burżuazji i inteligencji, zachowują się zuchwale. [...] Generalnie, poza wojowniczym nastawieniem w kręgach rządowych, panuje nastrój przygnębienia. Artykuły prasowe na temat reakcji Ententy są pełne ironii i pretensji. Wszyscy polscy kardynałowie, arcybiskupi i biskupi zaapelowali o pomoc do episkopatów całego świata, ukazując nas jako Antychrystów [...][220].

Naturalnie ani D'Abernon, ani Dzierżyński nie mieli pełnego przeglądu sytuacji. Żaden z nich nie mógł znać całościowego charakteru poczynionych przygotowań i stanu podjętych zabezpieczeń.

13 sierpnia korpus dyplomatyczny wyjechał z Warszawy do Poznania. Dyplomaci otrzymali wiadomość, że MSZ nie może już zagwarantować im bezpieczeństwa w stolicy. Na miejscu pozostali Włosi, którym polecono trzymać się rządu polskiego, misja międzysojusznicza, którą wyposażono w auta oraz zestawy do łatania przebitych opon, gdyby późniejsze okoliczności zmuszały do ucieczki, oraz monsignor Achille Ratti, nuncjusz papieski, tytularny arcybiskup Lepanto i dziekan korpusu, który uważał za swój obowiązek osobiście stawić czoło hordom antychrysta.

Również rząd polski chciał się ewakuować do Poznania, przynajmniej tymczasowo. Był jednak pewien szkopuł: Poznań stanowił twierdzę Narodowej Demokracji i stał się siedzibą Romana Dmowskiego po jego przymusowej rezygnacji z Rady Obrony Państwa. Dmowski prowadził tu krecią robotę. Zorganizował serię wieców, na których potępiono przywództwo Piłsudskiego, przepowiedziano upadek Warszawy oraz zażądano utworzenia separatystycznego rządu poznańskiego. Dmowski chciał uczynić z Poznania bazę wypadową, aby następnie przejąć władzę w całej Polsce. Jego kalkulacje nie były pozbawione sensu. W Poznaniu znajdowało się Ministerstwo byłego Zaboru Pruskiego, zasadniczo autonomiczne, oraz dowództwo Frontu Zachodniego (niemieckiego) kierowane przez starego wyjadacza i zaprzysiężonego wroga Piłsudskiego – generała Dowbora-Muśnickiego; instytucje te pozwalały myśleć o utworzeniu odrębnej administracji. Dmowski cieszył się też zaufaniem ententy i liczył na jej interwencję w razie zdobycia Warszawy przez Armię Czerwoną. Jego inicjatywa zaszła tak daleko, że 13 sierpnia premier Witos musiał udać się do Poznania. Stanął tu osobiście przed wrogim tłumem i wygłosił proste przemówienie o jedności narodowej, o potrzebie współdziałania wszystkich Polaków. Ostrzegł, że Niemcy chętnie wykorzystają słabość Polski, a utworzenie separatystycznej prowincji poznańskiej jest najlepszym sposobem nakłonienia Prusaków do powrotu. Jego słowa były rozsądne. Musiał jednak poczynić pewne ustępstwa. Zgodził się na utworzenie Sekretariatu Wojny przy poznańskim ministerstwie oraz na zorganizowanie Zachodniej Armii Rezerwowej pod dowództwem generała Raszewskiego. W oczach Poznaniaków Witos i Piłsudski pozostali przy władzy na okres próbny. Jeśli Warszawa zostanie ocalona, Poznań pozostanie lojalny; jeśli natomiast Warszawa upadnie, Poznań pójdzie własną drogą, a ministrowie rządu koalicyjnego przybędą jako uchodźcy do prowincji administrowanej przez Rząd Ocalenia Narodowego pod przewodnictwem Dmowskiego.

W momencie kiedy polityczna jedność Rzeczypospolitej zaczęła się chwiać, jej potencjał militarny osiągnął swój szczyt – przede wszystkim dzięki roztropnemu planowaniu i tytanicznym wysiłkom ówczesnego wiceministra spraw wojskowych generała Kazimierza Sosnkowskiego. Sosnkowski dokonał bilansu sytuacji już 2 lipca. Przemawiając na posiedzeniu szefów departamentów ministerstwa i Sztabu Generalnego, zwrócił uwagę na zmianę charakteru wojny z Sowietami: „nie jest to już ta partyzantka w wielkim stylu, jest to wojna regularna prowadzona na większości frontu zwartymi siłami, gdzie spotykamy armaty i wszystkie urządzenia późniejszej wojny światowej, [...] wojna została znacjonalizowana [...] wszyscy oficerowie dawniejszej armii rosyjskiej wsiąknęli w szeregi armii bolszewickiej i wojna przybrała charakter wojny za Rosję”[221].

Opowieści, jakoby armia Budionnego była niezwyciężona, określił jako „miraże i fantomy", które ulotnią się natychmiast, gdy tylko uda się uformować korpus polskiej kawalerii o zbliżonej sile. Decydującym okresem miały być następne dwa miesiące, a rozstrzygającym czynnikiem – morale wojsk. Przemówienie Sosnkowskiego, wygłoszone przed rozpoczęciem sowieckiej ofensywy, było równie trafne co mobilizujące. Stanowiło ono bezpośredni impuls do podjęcia tych wszystkich działań dotyczących uzbrojenia, transportu, poboru, ochotników, dyscypliny oraz dowodzenia, które w ciągu następnych sześciu tygodni odrodziły polskie wojsko.

Jeśli idzie o uzbrojenie, sytuacja Polski była krytyczna. Pod koniec czerwca 1920 roku wyczerpał się kredyt na dostawy wojskowe. Wydano 375 milionów franków kredytu udzielonego przez rząd francuski; rząd Stanów Zjednoczonych wolał przyznawać kredyty na cele cywilne niż wojskowe; rząd brytyjski w ogóle nie był zainteresowany udzielaniem kredytu. Szefowie armii francuskiej i brytyjskiej, marszałek Foch i marszałek polny Wilson, „nie uważali za sensowne zaopatrywać Polskę w broń, dopóki Polacy nie mają dobrego rządu"[222]. Choć francuski minister wojny Lefèvre, zgodził się udzielić Polsce niewielkiego kredytu w wysokości 50 milionów franków, francuskie ministerstwo finansów odmówiło jego zatwierdzenia[223]. Weygand uważał, że najlepszym źródłem zaopatrzenia dla Polski będzie wyposażenie zmagazynowane w Niemczech, lecz Międzysojusznicza Komisja Kontroli niszczyła te zapasy tak szybko, jak tylko mogła[224]. Jedyny sukces Polska odniosła na tym polu bardzo późno, bo 26 lipca, kiedy to Stany Zjednoczone zgodziły się wyekwipować i utrzymać dziesięć dywizji piechoty przez okres trwania wojny[225]. Na szczęście nadal przychodziły dostawy z wcześniejszymi zakupami. Każdy pociąg, który docierał do Polski, przywoził tak potrzebną pomoc. Na przykład pociąg nr 79, który 18 lipca wyruszył z Is-sur-Tille koło Dijon z 20 tysiącami francuskich i 40 tysiącami angielskich karabinów oraz 13 milionami ładunków amunicji, przywiózł teoretycznie wystarczającą ilość broni, aby wpakować po sto kul w każdego żołnierza Tuchaczewskiego[226].

Transport pozostawał problemem. Wprawdzie zmuszono rząd niemiecki, by wywiązał się z obietnicy przepuszczenia do Polski 150 pociągów z bronią, lecz kolejarze byli oporni i tranzyt przebiegał powoli. Otwarciu linii kolejowej z Sighetu w Rumunii do Lwowa towarzyszyło zamknięcie drogi przez Gdańsk. Główna trasa komunikacyjna przez Włochy, Austrię i Czechosłowację pozostawała zamknięta[227].

Wszyscy liczyli na samoloty. Aeroplany nie tylko były najnowocześniejszym sprzętem wojskowym i najskuteczniejszą odpowiedzią na sowiecką kawalerię, ale również mogły dotrzeć do Polski o własnych siłach, i to w ciągu paru godzin. W Londynie Winston Churchill zwrócił się z pytaniem do brytyjskiego Sztabu Generalnego, czy eskadry RAF-u stacjonujące w Niemczech nie mogłyby zostać wysłane do Polski z Kolonii[228]. W Warszawie Horace Rumbold, ambasador Wielkiej Brytanii, myślał podobnie:

> Uważam [...], że najlepsze, co moglibyśmy zrobić, to przysłać tutaj mnóstwo samolotów. W ten sposób szybko i skutecznie odebralibyśmy bolszewikom ochotę do walki. W tym celu powinniśmy również przygotować silną eskadrę bombowców zaopatrzonych w największe bomby, które mogłyby polecieć nad Moskwę i zrównać ją z ziemią – całkowicie wykonalna operacja, jak sądzę[229].

Jednakże dopóki Lloyd George pozostawał przy sterze, ani Churchill, ani Rumbold nie

mieli nadziei na urzeczywistnienie tych wzlotów fantazji. W Paryżu Paderewski „ze łzami w oczach" prosił D'Abernona i Hankeya, żeby wzięli ze sobą do Polski eskadrę lotniczą, dzięki czemu będą mieli możliwość ucieczki[230]. 8 sierpnia Sosnkowski telegrafował do wojskowego *attaché* w Waszyngtonie, żeby wysłał „do kraju tyle kompletnych eskadr lotniczych bojowych razem z pilotami, ile się uda zebrać. [...] Eskadry mają być myśliwską grupą do bombardowania, całkowicie wyekwipowane, z dostateczną ilością amunicji, na razie przynajmniej na sześć tygodni"[231]. Był to pomysł zdesperowanego. Na tym etapie wojny tylko Alcock i Brown mogliby przywieźć samoloty w porę na Bitwę Warszawską. Zasadniczo polskie siły zbrojne musiały poradzić sobie z wyposażeniem, które już posiadały.

Jeśli idzie o zasoby ludzkie, Polska dysponowała znacznymi zapasami. 3 lipca Rada Obrony Państwa wystosowała następujący apel do ochotników:

> Ojczyzna w potrzebie! Wzywa wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się do szeregów armii; jak jednolity, niewzruszony mur stanąć musimy do oporu, o pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu! [...] Jedność, zgoda, wytężona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy! [...] Wszystko dla zwycięstwa [...]. Do broni![232]

Ochotnicy napływali tysiącami. Do szeregów przyjmowano mężczyzn od siedemnastego do czterdziestego drugiego roku życia, a oficerów do pięćdziesiątego roku. W ciągu następnych sześciu tygodni zgłosiło się tylu chętnych, ilu przedtem w ciągu sześciu miesięcy. 20 sierpnia było ich już 164 615, w tym ponad 40 tysięcy z samej Warszawy. Utorzono Główny Inspektorat Ochotników pod dowództwem generała Józefa Hallera, który z czasem mógł skierować do walki całą armię ochotniczą. Ci „hallerczycy" – wstępujący do szeregów w gniewie i szkoleni w pośpiechu – stanowili hardą formację.

W przededniu bitwy do ochotników dołączyli rekruci wszelkiego autoramentu. Polska Partia Socjalistyczna wiodła prym ze swoją sekcją wojskową pod dowództwem posła Tomasza Arciszewskiego. Dostarczyła kilka batalionów robotniczych: niektóre służyły w Warszawie, jak Robotniczy Pułk Obrony Stolicy, inne zaś były przeznaczone do ochrony fabryk i do wypadów na tyły wroga. 4 sierpnia PPS utworzyła Radę Obrony Stolicy, która koordynowała działania takich organizacji jak Straż Obywatelska (formacja urzędników paradujących w sztywnych kołnierzykach i słomkowych kapeluszach) i Niezależny Pułk Robotniczy (z kijami i kosami).

Zaciągom ochotniczym dorównywał liczebnością przymusowy pobór. W lipcu 1920 roku powołano do wojska pięć roczników: od 1890 do 1894 włącznie. W ten sposób w szeregach znaleźli się mężczyźni od dwudziestego piątego do trzydziestego roku życia – bardziej odpowiedzialni i szybciej się uczący niż roczniki 1900-1901 z poboru kwietniowego. Mimo że w paru regionach odległych od frontu – w Bieszczadach, w Krakowie i w Zagłębiu Dąbrowskim – poborowi wciąż jeszcze uchylali się od służby, to do wojska trafiło w sumie 137 152 ludzi.

Zaostrzono dyscyplinę wojskową. Dezerterzy nie mogli liczyć na litość. Recydywistów rozstrzeliwano. Oficerowie mieli świecić przykładem. Uchylających się od służby sprawnie wyłapywano. W Warszawie na ulicach postawiono patrole, które przeszukiwały tramwaje i miały prawo legitymować wszystkich cywilów w wieku poborowym. Osoby podejrzewane o szpiegostwo, działalność wywrotową lub sprzeczną z interesami wojska stawiano w trybie doraźnym przed sądem wojennym. Jak powiedział

Sosnkowski do swoich oficerów: „Dla armii zdrowej moralnie fizyczna przewaga wroga nie jest straszna. Nie słabość liczebna, lecz choroby wewnętrzne armii przegrywają bitwy”[233].

Dzięki wysiłkom Sosnkowskiego stan armii wyraźnie się poprawił zarówno pod względem liczebności, jak i jakości. 20 sierpnia wojsko polskie liczyło nominalnie 737 767 ludzi – mniej więcej tylu, ilu oba fronty bolszewickie: Zachodni i Południowo-Zachodni. Nieco ponad połowę z nich, czyli 373 166 żołnierzy, już przeszkolono, wyposażono i wysłano na pozycje[234]. Nie byli to „surowi” i bezużyteczni rekruci. Wśród nich znajdowało się 28 tysięcy kawalerzystów i 33 tysiące artylerzystów, którzy zniwelowali przewagę Sowietów w obu tych kluczowych formacjach. Ochotnikami byli głównie studenci, których inteligencja, entuzjazm i wykształcenie podziałały niczym zastrzyk adrenaliny na pułki obejmujące dotąd niepiśmiennych i biernych poborowych ze wsi. Kiedy 13 sierpnia, w ogniu walki pod Radzyminem, 11. Dywizja piechoty odmówiła wykonania rozkazów, Sztab Generalny nie zastąpił jej regularnymi oddziałami rezerwy, lecz ochotniczym oddziałem robotników.

Rozrostowi armii towarzyszyły istotne zmiany w dowództwie. 19 lipca generał Rozwadowski powrócił z zagranicy i podjął obowiązki szefa Sztabu Generalnego. 9 sierpnia generał Sosnkowski został mianowany na stanowisko ministra spraw wojskowych, które faktycznie sprawował już od miesięcy. 10 sierpnia – zgodnie z dyspozycjami Piłsudskiego dotyczącymi nadchodzącej bitwy – dokonano wielu zmian w dowództwie liniowym. W tym kontekście szczególne znaczenie miało powierzenie generałowi Sikorskiemu dowodzenia nad zupełnie nową 5. Armią.

Pozycja Sikorskiego wśród dowódców frontowych była pod wieloma względami analogiczna do pozycji Sosnkowskiego w administracji wojskowej. Obaj byli ludźmi Piłsudskiego, związanymi od dobrych dziesięciu lat z każdym z jego rozmaitych przedsięwzięć: od Związku Walki Czynnej we Lwowie po Legiony w wojnie światowej; obaj nie przekroczyli jeszcze czterdziestki; obaj wyróżnili się w pierwszej fazie wojny z bolszewikami. Władysław Sikorski był z zawodu inżynierem lądowym, a polityką zajął się z zamiłowania. Przed wojną był porucznikiem w „cesarsko-królewskiej” rezerwie oraz prezesem Związku Strzeleckiego we Lwowie. Od 1914 roku był szefem Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. W roku 1918, kiedy rozwiązano Legiony, wszedł w ostry konflikt z Hallerem. Został internowany na Węgrzech. W 1919 roku, w randze generała, otrzymał dowództwo 9. dywizji piechoty, a w 1920 roku – grupy Polesie. Przez resztę wojny jego kompetencja i sukcesy automatycznie czyniły zeń kandydata na wykonawcę wszystkich trudnych zadań. Jego rzeczowość oraz niezależny, twórczy umysł predestynowały go w oczach polityków – jako jednego z nielicznych – do rozmów na równej stopie z Piłsudskim. Jego geniusz wojskowy stanowił preludium do kariery, która po wielu perypetiach doprowadziła go na sam szczyt polskiej polityki. Sikorski i Sosnkowski byli parą prymusów stojących na barkach setek innych oficerów legionowych, którzy osiągali wówczas czołowe stanowiska w korpusie oficerskim, takich jak Marian Kukiel, pułkownik 6. Armii w Galicji – w całej powadze swoich 25 lat i 158 centymetrów wzrostu. Tacy to byli nowi dowódcy Piłsudskiego – kapitanowie jego wojskowej drużyny.

* * *

W pierwszym tygodniu sierpnia stało się jasne, że decydujące starcie musi nastąpić w ciągu sześciu, siedmiu dni. Armia Czerwona płynęła strumieniem na zachód. Ostatnie przeszkody naturalne zostały pokonane, ostatnie bitwy straży tylnej – rozegrane. Dla obydwu dowódców nadeszła przełomowa chwila. Tuchaczewski wydał swoje ostateczne rozkazy o świcie ósmego, Piłsudski – wieczorem szóstego.

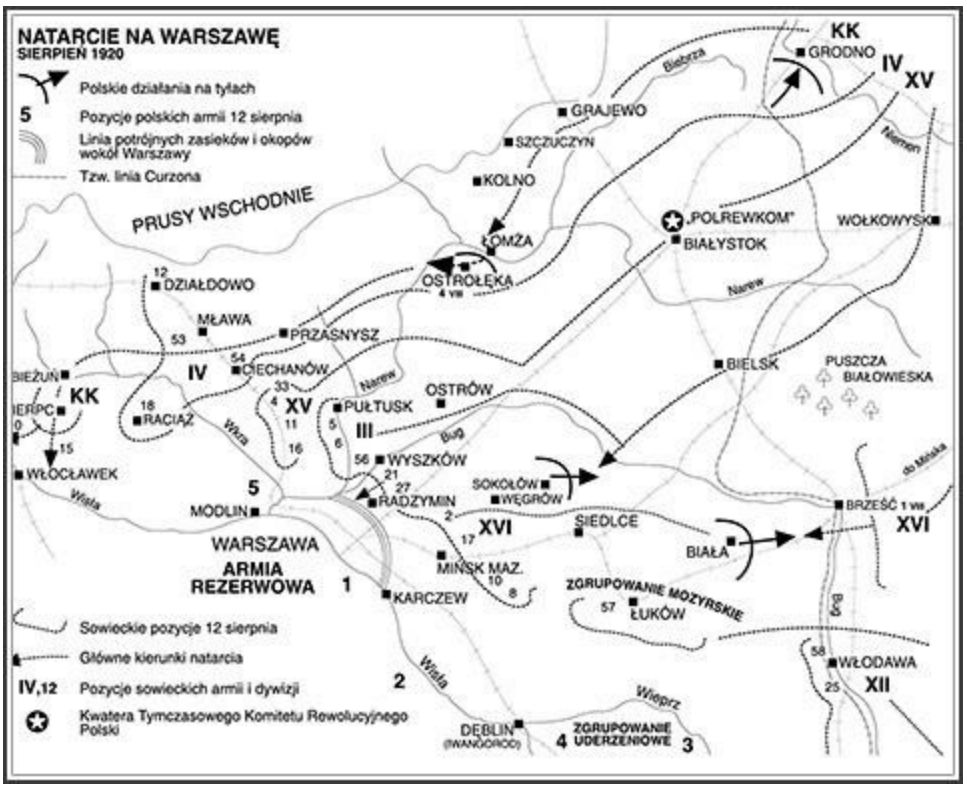

Planowanie strategiczne w panujących wówczas warunkach było zajęciem nader ryzykownym. Solidna podstawa do podjęcia bezpiecznych decyzji po prostu nie istniała i nie mogła istnieć. Piłsudski musiał sformułować swój plan, zanim poznał dokładnie linię natarcia Tuchaczewskiego; sporządził go, zanim jeszcze Tuchaczewski podjął decyzję, jaką marszrutę obrać; plan opierał się na założeniu – jak się okazało, błędnym – że główne siły Armii Czerwonej pójdą na Warszawę najkrótszą drogą na zachód; możliwość ataku pozorowanego na północy bądź zejścia z kursu na południe trzeba było odłożyć na późniejszą okazję. Plan Tuchaczewskiego został nakreślony bez wiedzy o polskich dyrektywach; opierał się na założeniu – jak się okazało, również błędnym – że polskie wojsko stawi największy opór na przedpolach stolicy. Wywiad wojskowy był w marnej kondycji. Polskie loty zwiadowcze utrudniało ciągłe zachmurzenie i gęsta mgła; samoloty sowieckie nie zdołały dotrzeć na wysunięte pozycje. Na ziemi patrole zwiadowcze i rozpoznawcze nie dawały sobie rady z nieustannie zmieniającą się sytuacją. Armie liczące 40-50 tysięcy ludzi dałoby się dostrzec łatwiej, gdyby maszerowały w stylu napoleońskim w zwartym szyku; rozproszone we mgle na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych mogły ukryć swoje intencje aż do chwili ataku. Po obu stronach popełniono poważne błędy. Piłsudski otrzymał wcześniej informacje, iż sowieckie armie 15. i 3. maszerują prawdopodobnie na północ od Warszawy, lecz pomylił je z 4. Armią. Tuchaczewski w istocie dysponował pełnym tekstem planu Piłsudskiego, który znaleziono przy zabitym pod Chełmem polskim oficerze łącznikowym; uznał jednak, iż jest to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, i odrzucił plan jako fałszywkę bądź manewr lokalny[235]. Tym sposobem obie

armie ruszyły do boju po omacku.

Szczera deklaracja Piłsudskiego o „absurdzie" postawionego przed nim zadania każe przypuszczać, że jego opis Bitwy Warszawskiej jest najbliższy prawdy. W swojej książce *Rok 1920*, napisanej mniej więcej pięć lat później, Piłsudski oparł się pokusie przedstawienia tej bitwy w standardowych kategoriach wojskowych, czyli jako sztukę w teatrze wojny rozegraną przez wszystkowiedzących generałów i rozstrzygniętą dzięki lepszej strategii i taktyce. Sam nazywał ją „bijatyką" bądź „*bagarre*". Mówił o „bezsilności w założeniu", „bezsilności liczebnej w stosunku do przestrzeni", „nonsensie całego założenia bitwy", wreszcie o „braku ścisłych ram i spoidła"[236]. Plany Piłsudskiego zostały podyktowane przez okoliczności. Pomysł kontrofensywy był naturalną konsekwencją powtarzających się w ciągu lipca niepowodzeń taktyki ofensywnej. W istocie rzeczy to niechęć Naczelnika do rzucenia głównych rezerw na kruche linie obrony na Białorusi doprowadziła do sytuacji, w której radykalna zmiana strategii na ofensywną okazała się nieunikniona. Jeśli idzie o miejsce kontrofensywy, Piłsudski nie miał wielkiego wyboru. Nie mógł jej wyprowadzić z lewej flanki, gdyż jego pozycje zostały tam już oskrzydlone przez sowiecką kawalerię; nie rozważał możliwości ataku z centrum, gdyż w tym miejscu oczekiwał frontalnego ataku bolszewików; nie mógł przypuścić ofensywy na Froncie Południowym, gdyż jego wojska znajdowały się tam 300 kilometrów od głównego teatru wydarzeń. Pozostała mu tylko jedna poważna możliwość: kontrofensywa na prawo od centrum – w punkcie, gdzie można było zgromadzić siły uderzeniowe obejmujące jednostki zarówno z Frontu Północnego, jak i Południowego. Rozważał i roztrząsał samotnie te wszystkie okoliczności w nocy z 5 na 6 sierpnia w swoim gabinecie w Belwederze. Rano przyjął Rozwadowskiego i wspólnie rozpracowali szczegóły. Rozwadowski wskazał na znaczenie rzeki Wieprz – 100 kilometrów na południe od Warszawy – jako linii oparcia dla kontrofensywy. Do wieczora rozkaz nr 8358/3 z 6 sierpnia 1920 roku, opublikowany przez Naczelne Dowództwo i podpisany przez Rozwadowskiego, był gotowy i został wydany[237].

Niekończące się spory na temat autorstwa tego sławnego rozkazu są nieistotne. To, czy szczegóły zostały nakreślone przez Piłsudskiego, Rozwadowskiego, Weyganda, przez nich wszystkich czy nawet przez kogoś innego, nie ma znaczenia. Każdy średnio kompetentny strateg zaznajomiony z warunkami wojowania na Kresach przyznałby, że takie dyrektywy były pożądane. Zasadnicza decyzja nie dotyczyła wszakże szczegółów; w istocie chodziło o osąd moralny: czy można ważyć się na przegrupowanie całego wojska w ciągu jednego tygodnia; czy armia może ryzykować naruszenie szyku bojowego w sytuacji, gdy wróg puka już do wrót stolicy? Taka decyzja mogła należeć tylko do Wodza Naczelnego i tym, który ją podjął, był Piłsudski. Opisał to doświadczenie słowami Napoleona: „ofiara bólów porodowych, jak u młodej kobiety rodzącej dziecko"[238].

Rozkaz z 6 sierpnia utworzył trzy fronty z istniejących dwóch i zmienił nie do poznania rozlokowanie polskich armii. Front Północny rozciągał się od Pułtuska nad Narwią do Dęblina nad Wisłą i został przydzielony generałowi Józefowi Hallerowi. Na północnym krańcu obejmował formacje rezerwowe przeznaczone do obrony dolnego biegu Wisły. Następna była 5. Armia generała Sikorskiego, której zadaniem było powstrzymanie ruchliwego prawego skrzydła nieprzyjaciela na północ od Warszawy. W sektorze warszawskim znajdowały się 1. Armia generała Latinika oraz 2. Armia generała Roi, które wspierane przez strategiczne rezerwy pod dowództwem generała Żeligowskiego, miały

utrzymać okalające stolicę linie obrony. Front Środkowy rozciągał się od Dęblina do Brodów w Galicji i był podporządkowany osobiście Piłsudskiemu. Obejmował główne siły uderzeniowe pod dowództwem generała Rydza-Śmigłego, które miały się zebrać nad Wieprzem w Kocku i w Lubartowie, wsparte po lewej stronie przez 4. Armię generała Skierskiego i osłaniane po prawej przez 3. Armię generała Zielińskiego. Front Południowy pod dowództwem generała Iwaszkiewicza pozostał zasadniczo niezmieniony: rozciągnięty wzdłuż górnego Bugu i Strypy aż do Dniestru. Składał się z 6. Armii generała Jędrzejewskiego, niezależnej dywizji jazdy pułkownika Rómmla oraz Armii Ukraińskiej generała Pawlenki. Zadaniem tego frontu była obrona Lwowa i powstrzymanie sowieckich sił w Galicji, by nie połączyły się z Tuchaczewskim na północy. Kwatera główna została ulokowana w Puławach nad Wisłą. Wszystkie jednostki miały zająć pozycje najpóźniej 12 sierpnia.

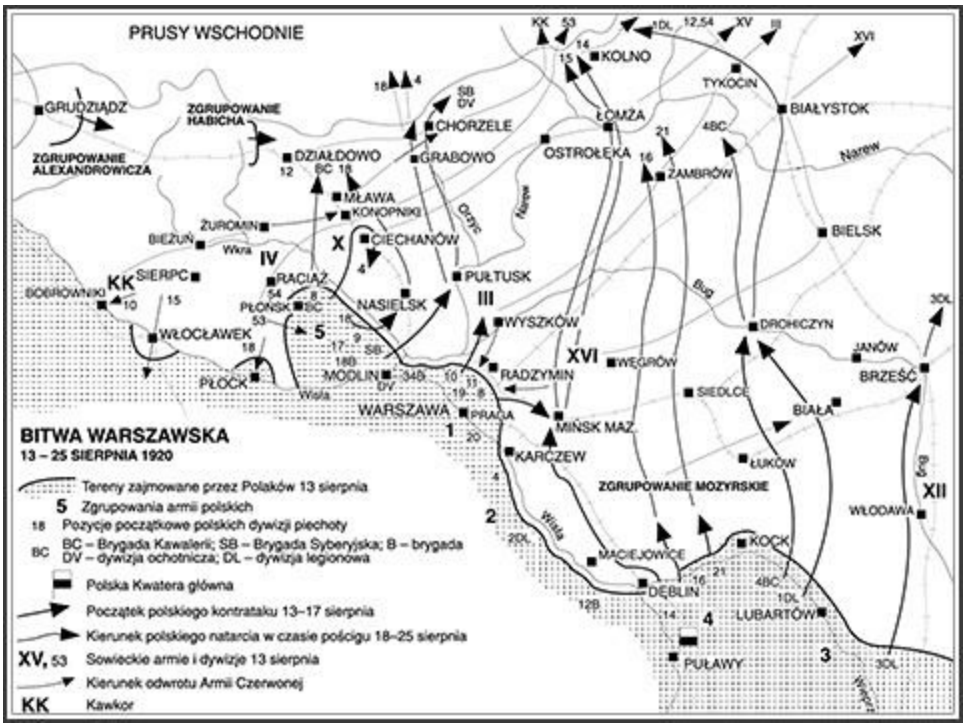

Takie przegrupowanie wymagało przeprowadzenia operacji o niewyobrażalnej skali. Piłsudski opisał je jako „ponad ludzką możliwość”[239]. W momencie otrzymania rozkazu wiele jednostek uczestniczyło w walce, wiele znajdowało się w stanie wyczerpania po pięciu tygodniach odwrotu. Teraz wymagano od nich oderwania się od nieprzyjaciela, zmiany dowodzenia, pójścia wzdłuż przedpola i w poprzek wszystkich linii komunikacyjnych, a wreszcie dotarcia w ciągu pięciu dni na pozycje odległe nieraz o 150-300 kilometrów. To, że Piłsudski uznał takie przedsięwzięcie za wykonalne, było jego osobistym aktem wiary; to, że je zasadniczo zrealizowano, było cudem, i to cudem w sferze organizacji sztabu oraz łączności sztabowej, gdzie tak wielu zachodnich obserwatorów stwierdzało brak kompetencji polskich sił zbrojnych.

Rzecz jasna, błędna byłaby sugestia, iż wszystko poszło zgodnie z planem. Na Froncie Północnym polskie przegrupowanie zostało zakłócone przez atak Kawkoru, który zdziesiątkował grupę generała Roi, pozbawił 2. Armię wyznaczonego dla niej dowódcy oraz zajął dokładnie ten odcinek między Narwią a Bugiem, w którym miała się zebrać 5. Armia Sikorskiego. Na Froncie Środkowym okazało się, że siły osłonowe generała

Zielińskiego składają się głównie z fikcyjnych bądź nieobecnych jednostek. Sam Piłsudski przyznawał, że dyspozycje na papierze nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością w terenie. Pomnażanie „grup, podgrup, ugrupowań, grup ofensywnych i defensywnych" prowadziło czasem do powstawania sztabów bez żołnierzy, a raz nawet do podziału setki żołnierzy na trzy „brygady" – każdej pod dowództwem generała. W Maciejowicach pod Dęblinem czerwone otoki 15. Pułku Ułanów zostały pomyłkowo wzięte za czerwone gwiazdy i ściągnęły morderczy ogień własnej artylerii.

Rozmieszczenie polskich jednostek 12 sierpnia zasadniczo odpowiadało zadaniom, do których je przeznaczono. 156 tysięcy żołnierzy rozlokowanych już na pozycjach Frontu Północnego i Środkowego miało znaczącą przewagę, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę nominalny stan wojsk Tuchaczewskiego – 116 tysięcy ludzi[240]. Piętnaście z dwudziestu jeden dywizji zajmowało pozycje obronne; można było oczekiwać – na podstawie danych z wojny światowej – że wytrzymają napór trzykrotnie liczebniejszego przeciwnika. Polski Front Południowy dysponował 29 tysiącami żołnierzy, co odpowiadało mniej więcej stanowi obu nacierających armii bolszewickiego Frontu Południowo-Zachodniego: 12. Armii i Konarmii. Polskie rezerwy i służby zaopatrzeniowe były pod ręką; ludność była przyjazna; żołnierze walczyli na własnej ziemi. Choć musieli być tak samo wyczerpani jak nieprzyjaciel, ich morale było wyższe dzięki nadziejom wzbudzonym przez nowy plan. Kiedy zakończono przegrupowanie – bez przeszkód ze strony bolszewików – minął okres największego ryzyka.

Bitwa Warszawska została rozegrana w czterech odrębnych odsłonach w czterech różnych sektorach: na przyczółku wiślanym, nad Wkrą, nad Wieprzem i na granicy pruskiej. Każda z części tej bitwy stanowiła element spójnej całości: *Agitando*, *Maestoso*, *Presto* oraz *Tutti*.

Przyczółek wiślany w Warszawie był dobrze umocniony i nie powinien był przysporzyć polskiemu dowództwu wielu kłopotów. Potrójna linia zasieków i system podwójnych okopów tworzyły regularny półokrąg z centrum na Pradze – prawobrzeżnym przedmieściu Warszawy. Najdalej wysunięty punkt znajdował się w Radzyminie, 20 kilometrów od rzeki. Lewe skrzydło opierało się o Bug na wysokości Serocka, a prawe skrzydło dochodziło do Wisły w Karczewie – oskrzydlenie tego sektora nie było więc łatwe. Na tym odcinku nastąpiła największa koncentracja sił: 46 tysięcy piechoty i niemal 2 tysiące jazdy, 730 cekaemów, 192 baterie artylerii i kompanię czołgów rozlokowano na obwodzie o długości 70 kilometrów. Był to jedyny odcinek frontu w całej wojnie polsko-bolszewickiej, gdzie poziom koncentracji sił – 690 ludzi, 10 stanowisk cekaemów i 3 baterie artylerii na kilometr – dorównywał standardom z wojny światowej. Znajdowała się tu tylko jedna dywizja – 4. Dywizja Piechoty 2. Armii – którą przetransportowano z daleka i która mogła być niegotowa do walki po długiej podróży. Dowódcami tego odcinka byli ludzie doświadczeni: Haller – wcześniej owiany sławą „Błękitnej Armii", teraz otoczony chwałą Armii Ochotniczej; Latinik – uparty obrońca Cieszyna przed Czechami w poprzednim roku; Raszewski – poznaniak; Zieliński – niegdyś na wysokim stanowisku w armii austriackiej.

Dlatego też sposób rozegrania bitwy o przyczółek i towarzysząca jej panika wydają się dość dziwne. Kontakt z nieprzyjacielem nawiązano 12 sierpnia wieczorem, kiedy to oddziały 21. Dywizji Putny z 3. Armii sowieckiej dotarły do zewnętrznej linii obrony pod Radzyminem; w nocy dołączyły do nich wszystkie dywizje – czyli pięć – 16. Armii

Sołłoguba. Następnego ranka, gdy polskie baterie nadal waliły nad głowami Rosjan na odległość 5-6 kilometrów, ci przerwali zewnętrzne zasieki i zdobyli pierwszą linię okopów. Radzymin padł. Polska 11. Dywizja została rozbita i wycofała się wbrew rozkazom. Haller się przeraził. Nie uważał utraty Radzymina za lokalne niepowodzenie. Nie czekając na potwierdzenie, uznał, że cały ciężar sowieckiego uderzenia zagraża Warszawie. Razem z Rozwadowskim zaczął słać we wszystkie strony telegramy o pomoc. 14 sierpnia był dniem walki wręcz: obok ciężkiej artylerii w ruch poszły bagnety i granaty. Nie pojawiły się jednak żadne sowieckie odwody, które pomogłyby wykorzystać ten wczesny sukces. W końcu Haller pojął, że bolszewickie natarcie nie zostało przeprowadzone siłami czterech armii, lecz tylko jednej armii i jednej dywizji. 15 sierpnia rzucił na front rezerwy Żeligowskiego. Czołgi parły naprzód, dopóki nie zatrzymały ich awarie. Radzymin został odbity. 16 sierpnia obrońcy wyszli poza linie defensywne. 17 sierpnia 15. Dywizja poszła jeszcze dalej, by w Mińsku Mazowieckim spotkać się z wysuniętymi oddziałami Frontu Środkowego. 18 sierpnia przyczółek został całkowicie oczyszczony z bolszewickich najeźdźców. Można było rozpocząć pościg.

Operacja nad Wkrą stanowiła najtrudniejsze zadanie, a Sikorski dostał najmniej czasu, by ją przygotować. Dopiero 10 sierpnia wybrano lokalizację kwatery głównej – Modlin – oraz miejsce zgrupowania. Wojska Sikorskiego były nieliczne, słabo uzbrojone, zróżnicowane pod względem wyglądu i jakości oraz rozproszone na dużym obszarze. Z nominalnie 45 tysięcy żołnierzy mógł wysłać w pole jedynie 26 tysięcy, w tym 4 tysiące jazdy. Jego 5. Armia była sklecona z najbardziej różnorodnych elementów. Garnizon w Modlinie był obsadzony przez miejscowych rekrutów, którzy nie nauczyli się jeszcze strzelać; mieli do dyspozycji sześć dział napoleońskich, ale bez prochu i kul. Grupa generała Roi, która w niedawnym starciu z Kawkorem straciła pięćdziesiąt procent stanu, została wyprowadzona z linii frontu pod strażą. Straty 18. Dywizji Piechoty wyniosły w Grodnie trzydzieści pięć procent. Stan 17. Dywizji Piechoty stopniał do 850 ludzi. Brygada syberyjska pułkownika Rumszy miała znakomite amerykańskie i japońskie wyposażenie, tyle że podczas półrocznej podróży dookoła świata straciła chęć do walki. Dywizja ochotnicza została poddana rygorystycznej dyscyplinie z obawy przed niesubordynacją jej księży i poetów, okazała się wszakże jednostką pierwszorzędną – „*la terreur de la Russie*”, by zacytować Sikorskiego[241]. Rdzeń 5. Armii stanowiły doborowa 18. Dywizja Piechoty oraz dywizja kawalerii generała Karnickiego. W ciągu następnego tygodnia pod dowództwo Sikorskiego przeszła grupa pułkownika Habicha z Działdowa, grupa odwodowa „dolnej Wisły” oraz cywile obsadzający barykady w Płocku. 5. Armia zajmowała nie najgorsze pozycje. Sam Modlin dysponował sześcioma fortami: wprawdzie wszystkie wymagały remontu, ale zapewniały panowanie nad wyjątkowo grząską doliną. W tym miejscu Bug rozlewa się na trzysta metrów, a Wisła – ostatnia linia obrony – jest jeszcze szersza; choć Wkra to ledwie większa struga, wyraźnie odgranicza teren. W takiej właśnie okolicy, kiedy większość jednostek była nadal wzmacniana, zaopatrywana w prowiant i instruowana, Sikorski otrzymał 13 sierpnia od generała Hallera rozkaz przyspieszenia operacji o dwadzieścia cztery godziny. Rankiem 14 sierpnia 5. Armia przeszła do ofensywy. 18. Dywizja Piechoty, wciąż bez czołgów, przekroczyła Wkrę. Dywizja ochotnicza przeprawiła się przez Wisłę – żołnierze brnęli przez rzekę, trzymając ciężkie angielskie karabiny nad głowami – aby zająć pozycje obok brygady syberyjskiej. Początek był niepewny, gdyż Sowieci stawili silniejszy opór, niż oczekiwano. Następnego

dnia generał Karnicki przeprowadził śmiały rajd na Ciechanów, 30 kilometrów na północny wschód. Wtargnął do miasta, które nie zostało ostrzeżone, choć znajdowała się tu placówka dowodzenia sowieckiej 4. Armii. Dowódca rosyjski, zastępujący rannego Siergiejewa, wpadł w panikę: spalił własną radiostację. Karnicki zdobył sowieckie plany i szyfry. Jego rajd miał ogromne znaczenie psychologiczne. Ciechanów – niegdyś siedziba książąt mazowieckich, miasto pojawiające się w powieściach Sienkiewicza i w epickich wojnach z zakonem krzyżackim – był owianą legendą nadgraniczną twierdzą. Jego zdobycie – choćby tylko na parę godzin – wzbudziło radość w polskich szeregach, a przerażenie w bolszewickich. Co więcej, 15 sierpnia był dniem, kiedy obie strony zaczęły mieć jasny przegląd ogólnej sytuacji. Sikorski miał już pewność, że zaatakował główne siły w centrum, a nie tylko prawe skrzydło nieprzyjaciela. Jego trzy dywizje piechoty i jedna kawalerii natarły na dwanaście dywizji piechoty i dwie kawalerii z 4., 16. i 3. Armii sowieckiej, które zbierały się nad Wkrą. Rozwadowski zdał sobie sprawę, iż jego obawy o przedmoście warszawskie były bezzasadne; pozostawiwszy w Warszawie Hallera, pojechał wraz z Sosnkowskim i Weygandem do Modlina. Poczynania 5. Armii w ciągu następnych kilku dni miały rozstrzygające znaczenie dla losów całej bitwy. Odżyły upiory z 1831 roku, kiedy to rosyjska armia Paskiewicza skręciła w prawo, przetoczyła się przez Ciechanów i zdobyła Warszawę od zachodu. Sikorski jednak się nie przeląkł. W pełni świadom przewagi nieprzyjaciela oraz groźby ataku na odsłonięte lewe skrzydło kontynuował atak. 16 sierpnia poszedł naprzód i zajął Nasielsk. Jego pojazdy pancerne – czołgi i osiem małych wozów opancerzonych – znajdowały słabe punkty w nieprzyjacielskich szeregach: ich skuteczność przeszła wszelkie oczekiwania. Dwa pociągi pancerne, kursujące w obie strony na trasie Modlin-Ciechanów, ostrzeliwały salwami artylerii pozycje przeciwnika niczym dwadzieścia ciężkich baterii. 17 sierpnia Sikorski poszedł naprzód, a 18 znalazł się jeszcze dalej, zbliżając się do wyznaczonych celów: Orzyca i Narwi. W tym momencie sowieckie dowództwo stanęło przed dylematem. Koncentrując 15. i 3. Armię oraz przyspieszając odwołanie 4., Sowieci mogli łatwo osiągnąć ogromną przewagę i zmusić Sikorskiego do odwrotu; wykonując ten manewr, naraziliby się jednak na całkowite otoczenie przez siły polskie z pozostałych sektorów. Sikorski, ryzykując zagładę swoich oddziałów, umożliwił oczyszczenie przedmościa warszawskiego oraz zapewnił powodzenie kontrofensywie znad Wieprza. Rozstrzygnięcie dylematu polegało na wycofaniu 15. i 3. Armii, pozostawieniu Sikorskiego w spokoju, a własnej 4. Armii na łasce losu.

Kontratak znad Wieprza był wprawdzie najbardziej dramatycznym wydarzeniem Bitwy Warszawskiej, lecz jego sukces był uzależniony od powodzenia działań, które go poprzedzały. Gdyby przyczółek wiślany upadł lub 5. Armia została pokonana, śmiały manewr Piłsudskiego byłby bez znaczenia. Samo przeprowadzenie go okazało się o wiele prostsze, niż można było zamarzyć. Większość ciężkich walk stoczono jeszcze przed rozpoczęciem ofensywy. Ale Piłsudski w Puławach nic o tym nie wiedział. Zamierzał poczekać, aż bitwa na Froncie Północnym rozszaleje się na dobre, by przeciąć swoim uderzeniem linie komunikacyjne nieprzyjaciela. Znał wartość takiego posunięcia (przy założeniu, że zakończy się powodzeniem), obawiał się jednak komplikacji. Wydawało mu się, że siły szturmowe liczące 20 tysięcy ludzi – dwie dywizje piechoty oraz dwie brygady kawalerii – stoją naprzeciw czterech pełnych armii: 15., 3., 16. i Grupy Mozyrskiej, których przewaga liczebna może zrównoważyć taktyczną słabość położenia. Wiedział, że

rozpęta piekło, które może pochłonąć nie tylko nieprzyjaciela, ale i jego samego. Wiedział, że ceną przegranej jest niemal pewne okrążenie, które będzie oznaczać wybór między niewolą a walką do krwi ostatniej. Musiał wzdragać się na myśl o niewoli, której mogły towarzyszyć wizje spotkania ze szkolnym kolegą Dzierżyńskim czy podróży w kajdanach na bolszewicką paradę w Warszawie. To wszystko mogło się zdarzyć. Jego obaw nie rozwiały bynajmniej telegramy Hallera, który sugerował, że Front Północny się chwieje. Nie otrzymał wiadomości o sukcesie Sikorskiego. Nie powiadomiono go, że główne siły Tuchaczewskiego znajdują się naprzeciw Sikorskiego, a nie naprzeciw niego. Zwlekał tak długo, jak tylko mógł, ale w końcu przyspieszył ofensywę o jeden dzień. 16 sierpnia o świcie wysłał do ataku siły szturmowe Rydza-Śmigłego z równoległym wsparciem dywizji Skierskiego. Patrzył, jak jego legiony wyruszają znad Wkry w okolicznościach równie mrocznych, jak mroczny był poranek. Jego obawy nie zmniejszyły się, kiedy patrole zameldowały, że w ogóle nie spotkały nieprzyjaciela. Podejrzewał pułapkę. Był, jak sam mówi, „zagrożony tajemnicami”[242]. 17 sierpnia spędził na objeżdżaniu wysuniętych pozycji, „szukając śladów widma wroga”. 18 sierpnia pojechał do Warszawy, przeczuwając dopiero rozmiary swojego sukcesu. W stolicy napotkał kolejne kłopoty. Dowództwo Frontu Północnego straciło ducha bojowego, przygnębione brakiem osiągnięć, i tylko dzięki osobistemu uporowi Piłsudski zdołał nakłonić swoich podwładnych do podjęcia zdecydowanego generalnego pościgu. Generał Latinik zignorował jego rozkazy i poszedł na pomoc znajdującemu się w opałach Sikorskiemu. W Warszawie Piłsudski dowiedział się przynajmniej, jak sprawy stoją. Poinformowano go, że 1. Dywizja Legionowa i kawaleria Jaworskiego są w Drohiczynie, dalej niż w połowie drogi do Białegostoku, pokonawszy ponad 100 kilometrów w trzy dni; 3. Dywizja Legionowa i towarzysząca jej brygada kawalerii znalazły się na przedmieściach Brześcia. Siły uderzeniowe przedarły się przez linie komunikacyjne sowieckiej Grupy Mozyrskiej, zdobywając artylerię przeznaczoną do oblężenia Warszawy, ale nie zderzyły się z głównymi siłami 16., 3. czy 15. Armii. Tej samej nocy Tuchaczewski zarządził generalny odwrót.

Namacalnym efektem działań podjętych między 12 a 18 sierpnia było przesunięcie centrum konfliktu z okolic Warszawy nad granicę pruską. Wycofywanie się na wschód armii sowieckich pod naporem skierowanej na północ ofensywy polskich sił uderzeniowych spowodowało w rezultacie szybkie przeniesienie operacji w kierunku północno-wschodnim. W ciągu sierpnia stało się oczywiste, że ostateczna runda bitwy rozegra się w czworoboku: Myszyniec-Wyszków-Białystok- Grajewo. Cztery północne armie sowieckie – 4., 15., 3. i 16. – oraz fragmenty Grupy Mozyrskiej musiały przejść przez ten obszar, gdzie w zasięgu ich działania znajdowały się formacje pięciu armii polskich: 5., 1., 2., 4. i 3. Pełne zwycięstwo Piłsudskiego było uzależnione od zamknięcia w porę tego pierścienia, natomiast przetrwanie Tuchaczewskiego – od podjęcia natychmiastowej ucieczki. Tuchaczewski więc nie zwlekał. Jego 15. Armia znajdowała się jeszcze 19 sierpnia w Ciechanowie, ale 20 już w Ostrołęce, 22 w Łomży i kierowała się dalej na Lipsk i Grodno; zupełnie umknęła Sikorskiemu, który nadal walczył z oddziałami 4. Armii. 3. Armia znajdowała się 19 w Wyszkowie, 20 w Zambrowie, a 22 w Tykocinie; nieścigana przez Latinika, wymknęła się w ostatniej chwili siłom szturmowym i dotarła w bezpieczne miejsce. 16. Armia wpadła jak śliwka w kompot: 19 w Węgrowie, 20 w Bielsku, 22 w Białymstoku musiała przebijać się najpierw przez 21. Dywizję 4. Armii,

potem przez kawalerię Jaworskiego, a w końcu przez 1. Dywizję Legionową; została mocno pokiereszowana, ale jakieś resztki dotarły na drogę do Grodna. Te trzy armie, broniąc tyłów w czasie marszu, pokonywały 25 kilometrów dziennie. Choć tempo to było wyraźnie wolniejsze od uskrzydlonego natarcia polskich sił uderzeniowych, i tak było dwukrotnie szybsze niż przeciętne tempo podczas niedawnej ofensywy i okazało się wystarczające, by uratować te jednostki od okrążenia. Tuż przed zatrzaśnięciem drzwi stajni te trzy konie dały drapaka. Z czwartym było inaczej.

Od momentu ogłoszenia odwrotu los 4. Armii był przesądzony. W tym właśnie dniu, 18 sierpnia, 18. Dywizja tej armii otrzymała rozkaz kontynuowania oblężenia Płocka; dywizje 53. i 54. nadał wiązały skrzydło formacji Sikorskiego; 12. Dywizja znajdowała się wciąż w Działdowie; Kawkor Gaja hulał w dolnym biegu Wisły. To, że Tuchaczewski nie uczynił nic, aby zmienić ten stan rzeczy – a wprost przeciwnie, przez cztery dni faktycznie go utrzymywał – można wytłumaczyć jedynie hipotezą, iż ciągle uważał odwrót za tymczasowy. Pod koniec owych czterech dni 4. Armia była już całkowicie odcięta. Kiedy zaczęła się wycofywać, było już beznadziejnie późno. Piechota została w większości szybko dogoniona i pokonana. Jedynie Gaj miał możliwość i wolę ucieczki. Przez siedem tygodni kampanii Kawkor był niepokonany; morale żołnierzy było wysokie. Gaj miał zamiar przekraść się przez Pojezierze Dobrzyńskie i Lasy Kurpiowskie, maszerując po zmroku, a mimo to pokonując 50 kilometrów dziennie; w tym przedsięwzięciu pomagały mu słota i nocna mgła. Pierwszą przeszkodę stanowiła polska 5. Armia, której jednostki parły na północ, aby odciąć drogę Kawkorowi. Potem była jeszcze 4. Armia, a na końcu siły uderzeniowe Rydza-Śmigłego. Mimo wszystko Gaj ruszył w drogę. 21 sierpnia, tuż przed świtem, wpadł w lesie pod Żurominem na kawalerię pułkownika Orlicza-Dreszera. Dreszer zatrzymał się, by nie ryzykować starcia w ciemnościach. Lepiej by jednak zrobił, gdyby takie ryzyko podjął. Zanim zrobiło się jasno, Kawkor zdążył się ulotnić. Następnego dnia Gaj znalazł się pod Mławą w pierścieniu czterech dywizji. Dobrze po północy Kawkor otworzył piekielny ogień na stację Konopniki, zaszarżował w nocne kłębowisko, siekąc szablami obrońców, i wyrwał się z okrążenia. 23 sierpnia przeciął w Grabowie dywizję ochotniczą – jak nóż kozacki masło – a następnie przebił się przez brygadę syberyjską w Chorzelach. 24 sierpnia dogonił sowiecką 53. Dywizję, której drogę na Kolno blokowały dwie dywizje 4. Armii. Postanowił jej pomóc. Wywiązała się dwudniowa bitwa, podczas której Kawkor na próżno usiłował obronić słabszego partnera. Była to beznadziejna sprawa honorowa. Za oddziałami 4. Armii czekali już na swoją kolej legioniści Rydza-Śmigłego. 53. Dywizja została zepchnięta za granicę. Kawkor – bez amunicji, żywności i wyboru – podążył o świcie 26 w ślad za nią, zabierając ze sobą do Niemiec 600 rannych, 2000 jeńców i 11 zdobycznych dział[243]. Formacja ta – która w swej krótkiej karierze zapisała na swoje konto cztery miasteczka, pięć znaczniejszych rzek, sześć czołgów, siedem samolotów, osiem twierdz oraz 21 tysięcy Polaków (zabitych i rannych) – przestała istnieć[244]. Gaj został przewieziony do niemieckiego obozu jenieckiego w Salzwedel pod Berlinem, a jego ludzie do obozu w Altdamm (obecnie Dąbie) koło Szczecina. We własnym przekonaniu mieli być awangardą rewolucji w Niemczech; jako jedyna formacja Armii Czerwonej dotarli do wyznaczonego celu. Przekraczając pruską granicę, śpiewali *Międzynarodówkę*. Ich śpiew był ostatnim akordem Bitwy Warszawskiej.

Bezpośrednie skutki tej bitwy były oczywiste dla wszystkich. Bolszewicka inwazja na Polskę została odparta. Walki przeniosły się daleko od Warszawy. Los Rzeczypospolitej

Polskiej przestał wisieć na włosku. Wojska Tuchaczewskiego uciekały co sił w nogach. Z pięciu armii, które 4 lipca wyruszyły na zachód, jedna przestała istnieć, dwie zostały zdziesiątkowane, a dwie poważnie pokiereszowane. Jeśli polskie szacunki, mówiące o 66 tysiącach jeńców sowieckich w Polsce i 44 tysiące internowanych w Niemczech, są choć w połowie prawdziwe i jeśli uznamy, że straty sowieckie odpowiadają w przybliżeniu 40 tysiącom polskich zabitych i rannych, to dojdziemy do wniosku, że Polacy wyeliminowali z walki dwie trzecie sił agresora. Armia Czerwona straciła w taki czy inny sposób 100 tysięcy ludzi (choć wielu z nich to maruderzy, woźnice, służby pomocnicze i obozowi). Rozmiary klęski nie podlegają wątpliwości. W ciągu dwóch tygodni od pierwszego starcia pod Radzyminem odwrót Armii Czerwonej przerodził się w druzgocącą klęskę.

* * *

Większość opisów Bitwy Warszawskiej można zakwalifikować do jednej z dwóch kategorii: peanów na cześć zwycięstwa Piłsudskiego bądź apologii porażki Tuchaczewskiego. Choć owe relacje przedstawiają na pozór te same wydarzenia, mają ze sobą niewiele wspólnego. Są tylko nieco bardziej pomocne dla rzetelnego historyka od niegdyś popularnej w Polsce interpretacji Bitwy Warszawskiej jako „Cudu nad Wisłą" czy panującej nadal w Związku Radzieckim mody, by milczeć, gdy mówienie jest kłopotliwe. Nie ma wszak sensu rozwodzić się nad „rozciągniętymi liniami komunikacyjnymi" Tuchaczewskiego czy nad „bagatelizowaniem [przezeń] przestrzeni". To nie są wyjaśnienia. Linii komunikacyjnych między Rosją a Polską nie da się przecież skrócić. Ogromna rozległość Kresów jest faktem oczywistym, który każdy generał musi wpierw przyjąć do wiadomości, a następnie zlekceważyć: strateg, który potraktowałby wielkość Kresów z należnym szacunkiem, w ogóle by nie walczył.

Bardzo pouczająca jest konstatacja, że Piłsudski wielokrotnie chwalił podstawową ideę strategii Tuchaczewskiego. Mimo niekończących się sporów w kwestiach drugorzędnych obaj dowódcy nie przestali uważać, że plan szybkiej ofensywy w głąb Polski był zasadniczo słuszny. Piłsudski oświadczył: „to nie był zły plan, w żadnym razie, sam mógłbym go przyjąć"[245]. Tuchaczewski nie poczuwał się do winy: „Front czerwony – stwierdził w 1923 roku – mógł osiągnąć wyznaczone cele, choć w rzeczywistości ich nie osiągnął. [...] Ani polityka, ani strategia nie były błędne"[246]. Obaj panowie – którzy byli wszak poinformowani lepiej niż ktokolwiek inny – mieli w tej kwestii odmienne zdanie niż wielu polskich generałów i niemal wszyscy zachodni obserwatorzy wyznający pogląd, iż przegrana Tuchaczewskiego stanowiła naturalną konsekwencję (by zacytować sir Henry'ego Wilsona) syndromu „świń z Gezary", pędzących chyżo ku własnej zagładzie[247]. Uznanie wyrażone przez Piłsudskiego jest zaskakujące, skoro ofensywa Tuchaczewskiego znad Bugu pozostawiła ponad 300 kilometrów odkrytej flanki, zachęcając do kontrataku, który faktycznie nastąpił i ją zmiażdżył. W istocie rzeczy chodziło jednak o skalkulowane ryzyko, a przede wszystkim o synchronizację. Tuchaczewski bardzo dobrze wiedział, że jego skrzydło jest zupełnie odsłonięte, ale nie zamierzał go tak pozostawić dłużej niż kilka dni. Nie wierzył bowiem, że wojsko polskie zdoła się wystarczająco szybko przegrupować. Był całkiem zadowolony z wiadomości, że polskie jednostki są wycofywane z frontu w związku z przygotowaniami do kontrataku, który mógł wszak nastąpić dopiero po upadku Warszawy. Pierwotnie Tuchaczewski wyznaczył datę zdobycia

Warszawy na 12 sierpnia, co oznacza, że planował szturm na miasto dwa, trzy dni wcześniej. Żywił uzasadnione przekonanie, iż obrońcy Warszawy nie zdołają zająć pozycji obronnych przed 9 czy 10 sierpnia – rzeczywiście nie zdołali. Niestety dla niego, również on sam nie był gotów do tego czasu – co wyjaśnia jego spóźnioną decyzję rezygnacji z frontalnego ataku i obejścia miasta od północy. Na skutek tej decyzji jego skrzydło rozciągnęło się jeszcze bardziej, stanowiąc teraz straszliwie łatwy cel dla kontrataku Piłsudskiego. W ten sposób dochodzimy do wniosku, że porażka bolszewików nie była konsekwencją zbytniego pośpiechu, lecz nadmiernej powolności. Tuchaczewski świadomie osłabił przejściowo swoje pozycje – w przekonaniu, że Polacy nie będą mogli tego wykorzystać. Został jednak ukarany: nie tyle przez sam kontratak, który w momencie rozpoczęcia właściwie nie mógł się nie powieść, ile przez niesłychany wyczyn, jakim było polskie przegrupowanie w dniach 6-12 sierpnia, a także przez serię skutecznych działań opóźniających nad Bugiem i Narwią, w Białej Podlaskiej, na przedmościu warszawskim oraz nad Wkrą. Mimo niezwykłego tempa ofensywa Tuchaczewskiego okazała się po prostu zbyt wolna. Spóźniła się jednak najwyżej o trzy, cztery dni. Szybkość, która w Europie Zachodniej właściwie przestała się liczyć jako czynnik strategiczny, na Wschodzie nadal miała znaczenie zasadnicze.

Wystarczy przyjrzeć się innym możliwościom. System zaopatrzenia, jakim dysponował Tuchaczewski, był niewystarczający; jego służby pomocnicze pozostały daleko w tyle; jego wojska topniały; opór miejscowej ludności z dnia na dzień wzrastał; im bardziej walki oddalały się od baz rosyjskich w Wiaźmie, Smoleńsku i Połocku, tym bardziej przybliżały się do baz polskich. Tuchaczewski wiedział o tym wszystkim lepiej niż ktokolwiek inny. Gdyby zatrzymał się nad Niemnem lub nad Bugiem, z pewnością stan jego wojsk by się poprawił; ale kondycja armii polskiej poprawiłaby się jeszcze bardziej. Tuchaczewski nie miał więc rzeczywistej alternatywy: musiał pędzić ku Warszawie na złamanie karku.

Istotny był również aspekt psychologiczny. W kampaniach, podczas których karta szybko się odwraca, podstawowe znaczenie ma morale wojsk. W takich okolicznościach dowódcom o wiele trudniej podtrzymywać ducha żołnierzy niż podczas wojen o wolniejszym przebiegu, kiedy to łatwo zaprowadzić dyscyplinę i zadbać o środki ostrożności. W lipcu błyskawiczna ofensywa Tuchaczewskiego w krótkim czasie zdemoralizowała oddziały polskie; mogło się zasadnie wydawać, że w sierpniu jej ciąg dalszy wywrze skutek podobny, a w istocie jeszcze większy, bo skumulowany. Tak się jednak nie stało dzięki lepszemu dowodzeniu polskich oficerów i dzięki woli oporu w sercach polskich żołnierzy, którzy bronili ojczystej ziemi.

Aspekt psychologiczny dopełniały rachuby polityczne. Celem politycznym ofensywy Armii Czerwonej nie był bezpośredni podbój Europy. Trudno było wszak oczekiwać, że jej trzydzieści sześć dywizji osiągnie w 1920 roku to, czego w latach 1914-1917 nie zdołało dokonać sto pięćdziesiąt dywizji armii carskiej. Jej celem było sprowokowanie rewolucji społecznej. Tuchaczewskiego niewątpliwie przekonywano – zapewne z powodzeniem – że jeśli tylko zdoła dotrzeć w porę do Warszawy, to ludność cywilna zrobi resztę. Szybkość miała więc zasadnicze znaczenie nie tylko dla sowieckiej strategii, ale również polityki.

Jedynym bezspornym dla wszystkich elementem Bitwy Warszawskiej jest brak koordynacji między dowództwami Frontu Zachodniego i Południowo-Zachodniego. Pomimo rozkazu z 13 sierpnia nakazującego połączenie obu frontów ten drugi w ogóle nie

odegrał w bitwie istotnej roli. Jego 12. Armia przeprowadziła siłami jednej dywizji atak na Hrubieszów, który nie zagrażał nikomu; ofensywa Konarmii na Zamość, rozpoczęta 20 sierpnia, nie zbiegła się w czasie ze szturmem na Warszawę, lecz z generalnym odwrotem; 14. Armia zwrócona teraz ku Dniestrowi nie próbowała włączyć się do walki. Konsekwencje tego stanu rzeczy były bez wątpienia poważne. Koncentracja sił uderzeniowych Piłsudskiego, w odległości jedynie 100 kilometrów od 12. Armii i 130 kilometrów od Konarmii, przebiegała spokojnie przez dziesięć dni. Obawy Polaków przed walką na dwóch frontach się nie spełniły. Polskiemu Naczelnemu Dowództwu dano wymarzoną sposobność do zajęcia się osobno Tuchaczewskim i Budionnym oraz rozprawienia się z nimi po kolei.

Postępowanie Dowództwa Południowo-Zachodniego nigdy nie zostało dostatecznie wyjaśnione. Najczęściej przytacza się w tym kontekście komentarz Trockiego, który tłumaczył opieszałość tego frontu prywatnymi ambicjami i małoduszną zawiścią jego oficera politycznego Józefa Stalina. Zdaniem Trockiego Stalin nie potrafił się przyglądać spokojnie triumfowi Tuchaczewskiego w Warszawie ani nie mógł się pogodzić z sukcesem jego oficera politycznego Smilgi; dlatego w tym samym czasie, kiedy Smilga i Tuchaczewski mieli wkroczyć do Warszawy, chciał za wszelką cenę wejść do Lwowa... „Stalin toczył [...] własną wojnę”:

> Kiedy niebezpieczeństwo zagrażające armii Tuchaczewskiego stało się całkiem wyraźne, a głównodowodzący wydał rozkaz, by Front Południowo-Wschodni zmienił gwałtownie kierunek ofensywy na Zamość-Tomaszów, [...] dowództwo frontu, z poduszczenia Stalina, kontynuowało marsz na zachód. Przez trzy albo cztery dni nasz Sztab Generalny nie mógł wyegzekwować tego rozkazu. Dopiero po wielokrotnych ponagleniach popartych groźbami dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego zmieniło kierunek ofensywy, ale wówczas zwłoka była już niepowetowana. 16 sierpnia Polacy przeszli do kontrnatarcia i zmusili nasze oddziały do odwrotu. [...] Gdyby Stalin, Woroszyłow i analfabeta Budionny nie prowadzili własnej wojny w Galicji, a Czerwona Konnica znalazła się na czas w Lublinie, Armia Czerwona nie doznałaby klęski [...] [248].

Niestety, zarzuty Trockiego możemy weryfikować wyłącznie na podstawie przeciwstawnych zarzutów stalinistów, których jedynym celem w późniejszych latach było zrzucenie winy na Trockiego. Wypowiedzi Stalina podczas przesłuchania przy drzwiach zamkniętych na X zjeździe partii w marcu 1921 roku, relacje Jegorowa i Woroszyłowa opublikowane w roku 1929, *Historia wojny domowej* Rabinowicza wydana w 1933 roku – wszystkie te enuncjacje miały cel polityczny, a nie historyczny. Zmierzały do obarczenia Trockiego winą za fiasko nie tylko przeprowadzonej przez Tuchaczewskiego ofensywy na Warszawę, ale również kierowanej przez Budionnego ofensywy na Lwów.

Chyba najłatwiej będzie zbliżyć się do prawdy, jeśli powrócimy do sytuacji z drugiego tygodnia sierpnia 1920 roku i skupimy się najpierw na realiach militarnych. Możemy precyzyjnie określić i oszacować planowane ruchy oddziałów Armii Czerwonej. W dyrektywie z 22 lipca Jegorow wyznaczył Lublin jako cel 12. Armii, Rawę Ruską jako cel Konarmii, Mikołajów jako cel 14. Armii[249]. Dyrektywa Tuchaczewskiego z 10 sierpnia wskazywała następujące cele: Włocławek dla 4. Armii, Wyszogród dla 15. Armii, Modlin dla 3. Armii, Warszawę dla 16. Armii, Dęblin dla Grupy Mozyrskiej[250]. Dokładnie rzec biorąc, kierunek marszu Jegorowa miał przebiegać na zachód, południowy zachód, Tuchaczewskiego zaś na zachód, północny zachód. Wyznaczony kąt odchylenia między tymi frontami wynosił więc czterdzieści pięć stopni. Inaczej mówiąc, na każde 4

kilometry marszu oddalały się one od siebie o 3 kilometry. Można więc spokojnie założyć, że sowieckie Dowództwo Naczelne nie planowało szybkiego współdziałania obu frontów.

Następnie pojawia się kluczowa kwestia synchronizacji. Dyrektywa Jegorowa nosi datę 22 lipca. A zatem Front Południowo-Zachodni oddalał się przez trzy tygodnie, zanim ktokolwiek pomyślał o tym, by go zawrócić. Dyrektywa Tuchaczewskiego była datowana 10 sierpnia. Przygotowując się bezpośrednio do Bitwy Warszawskiej, Tuchaczewski celowo przeniósł punkt ciężkości swoich wojsk na północ, co sprawiło, że kontakt z Jegorowem był jeszcze trudniejszy niż poprzednio. Oba fronty były spóźnione. Tuchaczewskiego, który zamierzał dotrzeć do Warszawy 12 sierpnia, zatrzymały w drodze bitwy nad Narwią i nad Bugiem; Jegorow, który chciał dojść do Rawy Ruskiej 29 lipca, miał jeszcze większe opóźnienie w związku z bitwą o Brody. Oba fronty dopiero zbliżały się do swoich celów, kiedy powinny już je były zdobyć. Każdy z nich musiał się borykać z tyloma problemami, że nie było czasu na zastanawianie się nad kłopotami drugiego.

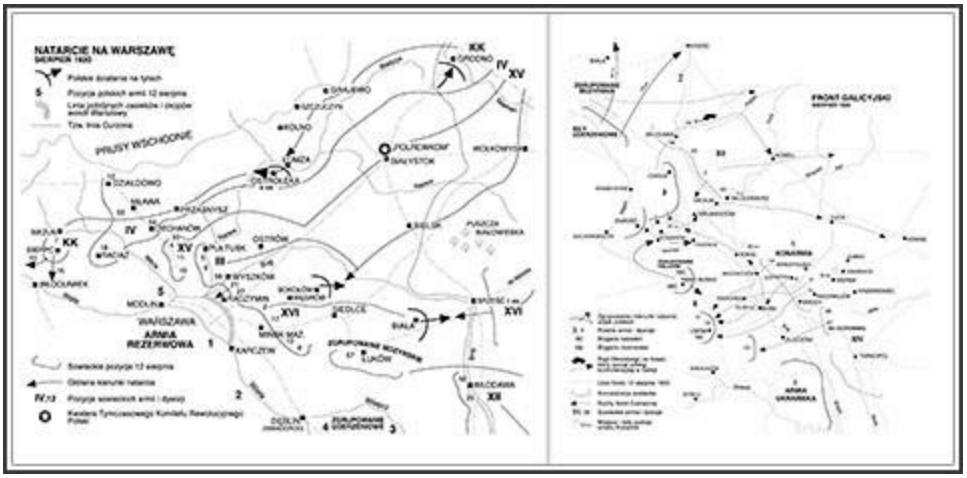

Nietrudno zrozumieć „separatyzm” Dowództwa Południowo-Zachodniego. Zostało ono utworzone na Ukrainie podczas wojny domowej i nie było zbytnio zainteresowane inwazją na Polskę. Obaj główni dowódcy – Jegorow i Stalin – stacjonowali w Aleksandrowsku i obaj byli zdania, że obrona Rosji powinna mieć pierwszeństwo przed europejską eskapadą. Na nich wszak ciążyła odpowiedzialność za operację na Krymie przeciw Wranglowi oraz za obronę granicy z Rumunią. Kampania galicyjska była im coraz bardziej nie na rękę, gdyż ciągłe parcie na zachód zagrażało spójności ich wojsk. Mieli dość roboty gdzie indziej – bez angażowania się w Bitwę Warszawską. Naczelne Dowództwo od miesięcy lekceważyło ich prośby, zwłaszcza o posiłki, które wydawały się przeznaczone wyłącznie dla Tuchaczewskiego. Interwencje Stalina na najwyższym szczeblu – u Trockiego i Sklańskiego – pozostały bez odzewu[251]. Szybkimi krokami zbliżał się rzeczywisty kryzys, w wyniku którego obaj niebawem całkowicie zrezygnowali z kampanii galicyjskiej. Na początku sierpnia postanowili, że kiedy tylko Lwów zostanie zdobyty, wycofają Konarmię z Galicji i wyślą ją na Krym[252].

Tak przedstawiało się tło katastrofalnej próby uzgodnienia sprzecznych interesów Frontu Zachodniego i Południowo-Zachodniego, którą podjęli bolszewiccy przywódcy. 2 sierpnia Politbiuro postanowiło podzielić Front Południowo-Zachodni na dwie części[253]. 12. Armia i Konarmia miały przejść pod rozkazy Dowództwa Zachodniego i znaleźć się w ramach połączonego frontu ofensywnego przeciw Polsce, podczas gdy armie 13. i 14. miały przejść pod komendę nowego Dowództwa Południowego, by powstał połączony

front defensywny na Ukrainie. Nadzór nad tą operacją miał sprawować Stalin. Decyzja Politbiura wynikała z wcześniejszej próby scalenia Frontu Zachodniego, którą podjęto w chwili osiągnięcia Bugu; 5 sierpnia została przekazana głównodowodzącemu Siergiejowi Kamieniewowi. Nie wyznaczono daty realizacji.

Na skutek niezdecydowania Kamieniewa prosty problem przerodził się w ciągu następnych dziesięciu dni w poważny kryzys. Kamieniew był rozdarty w obliczu żądań Tuchaczewskiego, z jednej strony, a kłopotów Jegorowa i Stalina, z drugiej. 8 sierpnia poinformował Tuchaczewskiego, że natychmiastowe przeniesienie 12. Armii i Konarmii jest „wykluczone”[254]. Do gry na zwłokę zachęcały go zupełnie błędne szacunki Smilgi, które wskazywały na przewagę Frontu Zachodniego nad siłami polskimi w stosunku trzy do dwóch[255]. 11 sierpnia zwrócił się z pytaniem do Dowództwa Południowo-Zachodniego o możliwość realizacji 15 sierpnia proponowanego przeniesienia, ale jego depesza dotarła dopiero po dwóch dniach[256]. 12 sierpnia wydał rozkaz translokacji 12. Armii, w którym nie wspomniał jednak słowem o Konarmii[257]. 13 sierpnia, co było nieuniknione, Tuchaczewski wyraził swój protest. W bezpośredniej rozmowie telefonicznej[258] Kamieniew powiedział mu: „likwidacja Wrangla jest równie ważna jak załatwienie waszego problemu”. Przystał jednak na to, by „Konarmia znalazła się pod ręką jako pożyteczny taran na wypadek, gdyby wasz plan nie wypalił, a wasza pięść okazała się zbyt słaba”. Ostatecznie Kamieniew zgodził się z poglądem Tuchaczewskiego, że „dalsza zwłoka może się okazać kłopotliwa”. W rozkazie nr 4774/1052 do Dowództwa Południowo-Zachodniego Kamieniew powtórzył słowo w słowo to, co Tuchaczewski podyktował mu przez telefon[259]. Rozkazał mianowicie, by 14 sierpnia do południa zarówno 12. Armia, jak i Konarmia przeszły pod komendę Frontu Zachodniego. Zapoczątkował w ten sposób łańcuchową reakcję nieporozumień, które skutecznie sparaliżowały całe sowieckie dowództwo na pełny okres trwania Bitwy Warszawskiej.

Geneza i dzieje rozkazu nr 4774/1052 warte są prześledzenia. W intencji był on raczej przejawem zapobiegliwości niż odpowiedzią na pilną potrzebę. Nie był reakcją na polską koncentrację wojsk nad Wieprzem, gdyż w owym czasie ani Kamieniew, ani Tuchaczewski nie wiedzieli jeszcze o tym posunięciu Piłsudskiego. W związku z powyższym doprowadził niezadowolone Dowództwo Południowo-Zachodnie do stanu wrzenia[260]. Była to trzecia depesza, którą Jegorow i Stalin otrzymali od Kamieniewa jednego dnia. Rankiem dotarł do nich „telegram konsultacyjny” z 11 sierpnia, a zaraz potem instrukcje z 12 sierpnia w sprawie 12. Armii. Na ten pierwszy udzielili odpowiedzi negatywnej, tłumacząc: „w obecnych warunkach radykalna zmiana zadań nie jest możliwa”. Tymczasem po południu otrzymali rozkaz, który był kpiną z poprzednich konsultacji. Z pewnością rozwścieczył ich zaproponowany przez Kamieniewa nowy układ organizacyjny: 12. Armia i Konarmia miały zostać przeniesione na Front Zachodni, lecz o ich służby pomocnicze oraz odwody miał się nadal troszczyć Front Południowo-Zachodni. Stalin więc zrugał Kamieniewa:

> Wasz rozkaz niepotrzebnie psuje operacje Frontu Południowo-Zachodniego, który rozpoczął już ofensywę. Albo trzeba go było wydać trzy dni temu, kiedy Konarmia znajdowała się w odwodzie, albo trzeba go było odłożyć do momentu upadku Lwowa[261].

Jegorow musiał jednak rozkaz wykonać. Jego wszak obowiązywały dyrektywy Naczelnego Dowództwa, nawet jeśli oficer polityczny frontu je kwestionował.

Przygotował więc instrukcje dla odpowiednich armii i je podpisał. Stalin jednak pozostał nieugięty, toteż instrukcje zostały kontrasygnowane przez jego zastępcę Reingolda Josifowicza Bierzina i rozesłane tej samej nocy. A zatem rozkaz nr 4774/1052 teoretycznie wszedł w życie 14 sierpnia. 12. Armia i Konarmia znalazły się teraz w gestii Tuchaczewskiego i oczekiwały na jego polecenia. Jegorow i Stalin umyli ręce i przenieśli uwagę na Krym.

Podjęte przez Tuchaczewskiego próby przełożenia na praktykę teoretycznej kontroli nad 12. Armią i Konarmią jawią się jako całkowicie nierealistyczne[262]. Tuchaczewski znajdował się w okolicach Warszawy, natomiast one w Galicji. Jedyną drogę łączności stanowił długi łańcuch stacji radiowych oraz „punkt operacyjny" w Kijowie. Wobec braku konkretnego zakazu armie galicyjskie kontynuowały operacje, które wcześniej rozpoczęły. 15 sierpnia Tuchaczewski wysłał rozkaz nr 0361, w którym polecał Konarmii dotrzeć w rejon Uściługa-Włodzimierza w ciągu czterech dni. Dwa dni później otrzymał następującą odpowiedź:

Dyrektywa 0361 dotarła 16 sierpnia o godz. 21.14. Konarmia nie może przerwać wykonywanych zadań. Linia Bugu przekroczona. Nasze jednostki docierają na przedmieścia Lwowa, piętnaście kilometrów od miasta. Wydano już rozkaz zajęcia Lwowa. Po zakończeniu operacji Konarmia rozpocznie realizację waszej dyrektywy.

Tuchaczewski ponowił swój rozkaz i wkrótce po północy, trzeciego dnia, otrzymał następną odpowiedź:

Dyrektywa dotarła 19 sierpnia o godz. 23.30. [...] W ciągu dwóch, trzech dni Konarmia zajmie Lwów. 45. i 47. Dywizje Piechoty nie są wystarczająco silne, by utrzymać sektor bez naszej pomocy. Prosimy o dalsze rozkazy.

Tuchaczewski powtórzył rozkaz po raz trzeci i tym razem, z jakiegoś powodu, eter oraz Konarmia okazały się posłuszne. Wiadomość dotarła do Budionnego 20 sierpnia o 6 rano i Konarmia niezwłocznie wyruszyła. Nic w całej tej operacji nie wydaje się zrozumiałe. Gdyby pierwotny rozkaz Tuchaczewskiego został wykonany, Konarmia znalazłaby się nad Wieprzem 19 sierpnia – 3 dni p o opuszczeniu tych pozycji przez polskie siły szturmowe. Tuchaczewski powtórzył rozkaz 17 sierpnia, pod koniec dnia, kiedy sam zastanawiał się nad ogłoszeniem generalnego odwrotu. Ponowił go 20 sierpnia, na skutek czego Konarmia ruszyła w kierunku obszaru, który porzuciły już całkowicie inne armie bolszewickie i gdzie musiała wpaść w okrążenie. Cała operacja była równie niezrozumiała dla jej uczestników, jak pozostaje niepojęta dla historyka. Bez względu na jej ostateczny sens miała ona mniejszy związek z Bitwą Warszawską niż z kłótnią w sowieckim dowództwie.

Bezpośrednią ofiarą tych waśni był Budionny. Jego opublikowane niedawno pamiętniki zawierają pełną dokumentację tego epizodu, który – jak on sam otwarcie przyznaje – „w okresie kultu jednostki J.W. Stalina był przedstawiany w sposób jednostronny"[263]. Autor daje również barwny obraz późniejszych udręk dowódcy frontowego. 11 sierpnia Konarmia odpoczywała, oczekując na rozkazy. W pełnym słońcu czerwoni kawalerzyści ostrzyli szable, karmili konie, łatali mundury, kąpali się w rzece, tańczyli dońskiego kozaka. Budionny wyjechał otwartym fiatem ze stanowiska dowodzenia w Werbie i przeprowadził inspekcję swoich dywizji. Był gotów ruszyć w dowolnym kierunku. 12 sierpnia przyszedł rozkaz:

Konarmia ma zniszczyć nieprzyjaciela na prawym brzegu Bugu w możliwie najkrótszym czasie i po sforsowaniu rzeki deptać po piętach wycofującej się 3. i 6. Armii polskiej, a następnie zająć Lwów[264].

Budionny wydał instrukcje do przeprowadzenia ataku w trzech kierunkach. 13 sierpnia dał rozkaz do rozpoczęcia operacji. Rano przypomniał Woroszyłowowi, że właśnie jest trzynasty – pechowa data. „Owszem – odparł Woroszyłow – ale my jesteśmy bezbożnikami, więc w diabelskim dniu diabły powinny pomagać nam". Radziechów został wzięty. 14 sierpnia Budionny był w Łopatynie. Rano obudziły go walki uliczne. Wychylił się z okna swojej kwatery, wyciągnął mauzera i zastrzelił Polaka, który skradał się w kierunku warty stojącej przed punktem dowodzenia. W nocy do miasta wkradł się bowiem oddział generała Szymanowskiego: 2500 ludzi uzbrojonych w karabiny maszynowe. Walki trwały cały dzień. O 9 wieczorem Budionny wrócił na kwaterę, gdzie wręczono mu nowe instrukcje:

Zgodnie z rozkazem Naczelnego Dowództwa nr 4774/1052 z dnia 13 sierpnia 1920:
1. 12. Armia i 1. Armia Konna, lecz bez 8. Dywizji Czerwonych Kozaków, przechodzą z dniem 14 sierpnia, godzina 12.00, pod komendę Frontu Zachodniego [...].
2. Rada Wojenna 1. Armii Konnej przekazuje 8. Dywizję Czerwonych Kozaków do dyspozycji 14. Armii [...].
Podpisano w imieniu Rady Wojennej, Front Południowo-Zachodni, Jegorow, Bierzin[265].

Budionny niezbyt rozumiał sens tych instrukcji, ale nie znalazł w nich nic, co wskazywałoby na zmianę planów operacyjnych. 15 sierpnia bitwa rozgorzała jeszcze bardziej. Mosty na Bugu zostały zniszczone. Polacy mieli do dyspozycji dwadzieścia samolotów, które były w ciągłym użyciu. 6. Dywizja Konna sforsowała pod ogniem rzekę, wspięła się na wysoki zachodni brzeg i przedarła się na odległość 15 kilometrów od Lwowa. Szesnastego Polacy przeszli do kontrataku. Budionny zrezygnował z wysuniętych pozycji, ale okopał się na przyczółku. Znalazł się w krytycznym położeniu: natarcie byłoby kosztowne; pozostając na miejscu, stanowił łatwy cel dla polskiego lotnictwa i ciężkiej artylerii; odwrót oznaczałby zaproszenie do pogoni i zadania druzgocącego ciosu. O 9.30 wieczorem otrzymał pierwszy rozkaz Dowództwa Zachodniego – nr 0361 z poprzedniego dnia. Nie było w nim żadnej wzmianki o teraźniejszej sytuacji, a jedynie polecenie dotarcia w rejon Uściługa-Włodzimierza 130 kilometrów dalej. Na rozkazie brakowało kontrasygnaty politruka. Tuchaczewski najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z ciężkiego położenia Konarmii. Budionny wysłał depeszę z prośbą o wyjaśnienia. Równocześnie postanowił ruszyć naprzód, uznając atak za jedyny sposób umożliwiający zdobycie swobody manewru na wypadek zmiany celu. O swojej decyzji powiadomił telegraficznie Tuchaczewskiego. 17 i 18 sierpnia Konarmia toczyła bój. 19 sierpnia Lwów był już otoczony z trzech stron w promieniu od 6 do 10 kilometrów. Budionny i Woroszyłow spali właśnie w stogu siana, kiedy przypadkowo obudził ich zabłąkany polski żołnierz – również poszukujący noclegu – który mógłby łatwo wziąć ich do niewoli, ale teraz sam został złapany:

„Jezus Maria", wykrzyknął Polak. „Kim jesteście? Nie strzelajcie, tylko ja jeden pozostałem".
„To jest Budionny, a ja jestem Woroszyłow".
Żołnierzowi odebrało mowę. Wywrócił oczy i mógł tylko zerkać na ludzi, o których słyszał same okropieństwa[266].

Wieczorem Budionny otrzymał ponownie rozkaz Tuchaczewskiego, który zawierał

również wieści o polskim kontrataku. Budionny nadal był przekonany o słuszności swojego planu: mógł się uwolnić tylko dzięki pokonaniu jednostek, z którymi walczył. Błagał Tuchaczewskiego o nowe rozkazy. Lecz o 6 rano otrzymał ten sam rozkaz – powtórzony ponownie. Nie mogło być już wątpliwości. Nowy przełożony Budionnego nie przejmował się obecnym położeniem Konarmii. Protesty nie miały sensu. 20 sierpnia w południe Konarmia zrezygnowała z oblężenia Lwowa, choć było już widać wieże miasta, którego obrońcy mogli teraz powetować swoje straty w kontrataku. Budionny wyruszył ku nieznanym rozkoszom Uściługa-Włodzimierza. „Diabelski dzień" Woroszyłowa zmienił się w polską fiestę.

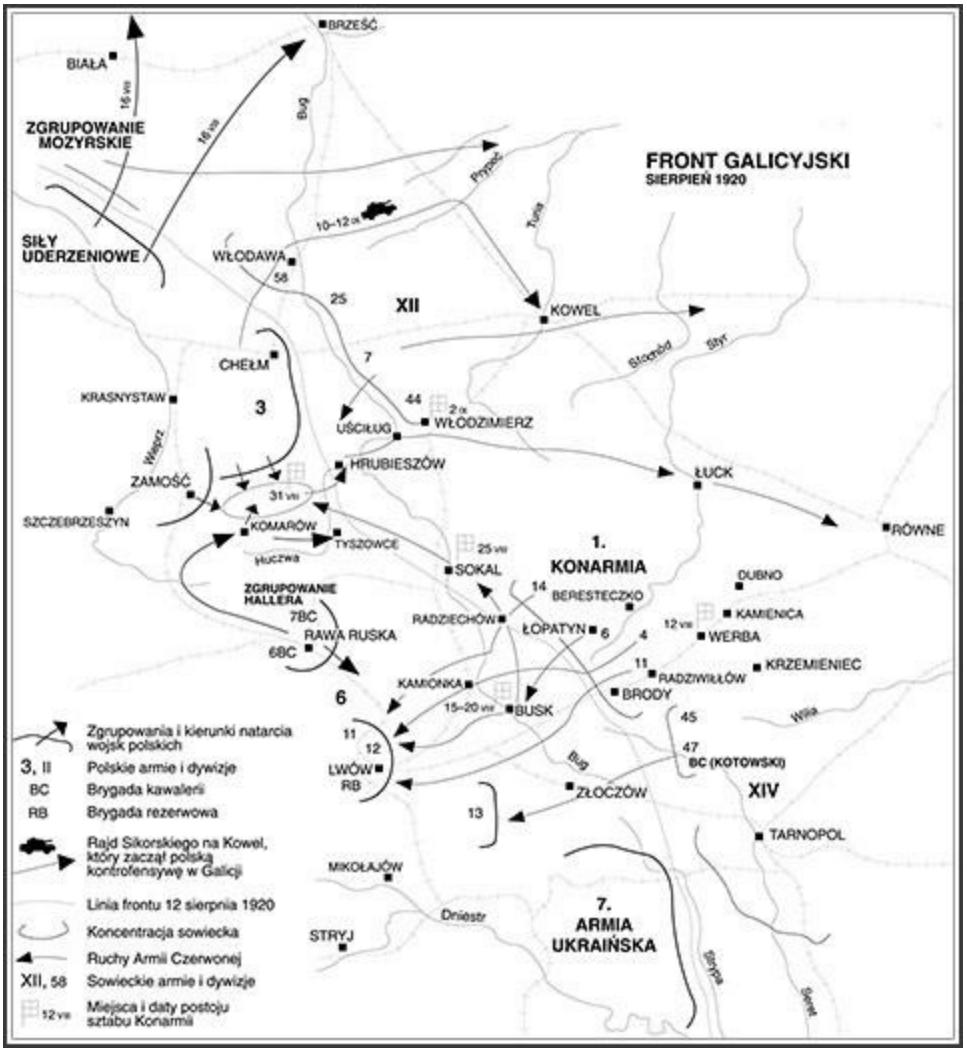

Trudno powiedzieć, jaki był udział w tych niesnaskach Stalina. Nie rozwodził się na temat swoich motywów, a był wystarczająco przebiegły, aby znaleźć wiarygodne uzasadnienie wszystkich swoich posunięć. Rejestr wypadków niesubordynacji w latach 1918-1919 niewątpliwie czyni go podejrzanym; istnieje też wyraźny dowód na to, że plan Politbiura przyjął z niechęcią. 4 sierpnia, kiedy Lenin poinformował go o proponowanym podziale Frontu Południowo-Zachodniego, Stalin oddepeszował: „Politbiuro nie powinno zajmować się takimi błahostkami", na co otrzymał w odpowiedzi szorstkie polecenie: „wyjaśnijcie wasze motywy"[267]. Głównym motywem, który mu przyświecał, była bez wątpienia chęć zatrzymania przy sobie grupy kolegów. Domagał się, by przewidywane Dowództwo Południowe zostało przejęte *en bloc* przez sztab Dowództwa Południowo-Zachodniego – co jednak również upraszczało sprawy dowodzenia. Wysunął wiele

technicznych zarzutów w kwestii natychmiastowej translokacji armii, które jednak okazały się aż nazbyt trafne. Odmówił kontrasygnaty na rozkazie Kamieniewa z 13 sierpnia nr 4774/1052, ale też go nie odwołał, jak to uczynił w 1918 roku w Carycynie ze sławnym rozkazem Trockiego. Kiedy rozkaz został wydany, nie zrobił nic, aby zapobiec jego wykonaniu bądź wpłynąć na postępowanie Budionnego. Prawdziwą zagadką pozostaje kwestia, dlaczego 12 sierpnia Stalin rozkazał Konarmii oblegać Lwów, choć doskonale wiedział, że ma zostać niebawem przeniesiona na zachód. Wprawdzie jako oficer polityczny dowództwa frontu miał do tego pełne prawo, ale nie był to w żadnym razie gest współdziałania. Czy Stalin chciał zrobić na złość Tuchaczewskiemu, jak stwierdził Trocki, a co powtórzyło później kilku radzieckich komentatorów[268]? Czy chodziło mu o sławę? Czy chciał wciągnąć Konarmię w przedsięwzięcie, z którego żaden rozkaz Tuchaczewskiego nie mógłby jej wydostać? Czy była to zwykła komenda operacyjna? Odpowiedź zależy całkowicie od tego, jak oceniamy tę postać. Z całą pewnością można powiedzieć tylko tyle, że Stalin podchodził bardzo nieufnie do idei przegrupowania, ale jego podejrzenia były wsparte przekonującymi racjami militarnymi. Z pewnością nie zrobił nic pomocnego, lecz nie był winny niesubordynacji.

W marcu 1921 roku podczas zamkniętego przesłuchania w tej sprawie Stalin najwyraźniej oczyścił się z zarzutów Trockiego za pomocą nader osobliwej uwagi. Stwierdził mianowicie, że Smilga – jego odpowiednik na Froncie Zachodnim – „obiecał" zdobyć Warszawę w konkretnym terminie i zawiódł, w związku z czym przekreślił plany współpracy między obydwoma frontami[269]. Stalin na pewno przesadził: takiej „obietnicy" nie było. Była jednak wyznaczona data upadku Warszawy – 12 sierpnia. Jest całkiem możliwe, że 12 sierpnia Stalin wysłał Konarmię na Lwów, ponieważ wiedział, że w tym momencie nie mogła się już w żaden sposób przydać w Bitwie Warszawskiej. Jego argument dotyczący dat i terminów niewątpliwie dotyka sedna sporu. W drugim tygodniu sierpnia Armia Czerwona była spóźniona na obu frontach; nie przeczuwała jednak klęski, do której ta opieszałość miała doprowadzić. Kiedy zaś miecz spadł, wszyscy oskarżali się nawzajem. Trocki winił Stalina, a Stalin Smilgę; Tuchaczewski obwiniał Budionnego, a Woroszyłow Tuchaczewskiego. Każdy mógł zrzucać winę na Kamieniewa, który jako głównodowodzący ponosił zasadniczą odpowiedzialność. Lenin dostrzegał słabości Naczelnego Dowództwa. 14 sierpnia poczynił następującą uwagę:

> Głównodowodzący boi się z kimkolwiek zadrzeć. [...] Warszawa musi być wzięta. [...] Gadka o przyspieszeniu rozmów pokojowych, kiedy wróg naciera, to idiotyzm. Skoro Polacy przejęli inicjatywę, trzeba działać śmiało, a nie beczeć. Musimy koniecznie wymyślić jakieś kontrposunięcie[270].

Lenin znał więc prawdę, ale – tak jak pozostali – nie miał już czasu, by cokolwiek naprawić.

Waśnie w sowieckim dowództwie stanowią klasyczną ilustrację zasady „tarcia" Clausewitza:

> Na wojnie wszystko jest bardzo proste, lecz rzeczy nawet najprostsze są trudne. [...] Wyobraźmy sobie podróżnego, który zamierza po całodziennej jeździe przebyć jeszcze przed wieczorem dwie ostatnie stacje – cztery do pięciu godzin karetką pocztową po szosie – nic wielkiego. Przybywa jednak na przedostatnią stację, nie znajduje koni wcale albo też bardzo marne, a poza tym okolica staje się górzysta, a droga popsuta. Zapada ciemna noc [...]. Podobnie i na wojnie wskutek niezliczonych małych okoliczności, których na papierze nigdy należycie uwydatnić nie można, wszystko się składa na to, że jesteśmy daleko od zamierzonego celu. [...] Maszyna wojskowa – wojsko i wszystko, co do niego należy – jest w

gruncie rzeczy bardzo prosta i wydaje się z tego powodu łatwa do kierowania. Należy jednak pomyśleć o tym, że żadna z jej części składowych nie jest z jednego kawałka, natomiast wszystko składa się z oddzielnych indywidualności, z których każda posiada własne różnorakie tarcia[271].

Takim podróżnikiem był Tuchaczewski. Na przedostatnim etapie musiał skapitulować. Jego łączność radiowa była zakłócana; szyfry się pomieszały; rozkazy ginęły; bagaż się zapodział; amunicja się wyczerpała; terminy zostały przekroczone. Stracił kontakt z Gajem; marnował czas na dyskusje z Kamieniewem; nie udało mu się porozumieć z Budionnym; rozgniewał Jegorowa i Stalina. Skumulowany efekt tarcia stanowi prawdziwe wyjaśnienie jego niepowodzenia przed Warszawą.

Jeśli idzie zaś o sukces Polaków, to trzeba przypomnieć inną zasadę Clausewitza. „Tarcie – oświadczył – można przezwyciężyć", ale tylko dzięki „żelaznej sile woli". Między 5 a 12 sierpnia wojsko polskie skutecznie zrealizowało jeszcze bardziej skomplikowany plan przegrupowania niż ten, który bolszewicy jedynie próbowali wprowadzić w życie. Istniało wiele powodów do tarcia: między Sikorskim a Hallerem, między Rozwadowskim a Weygandem. Niemniej jednak chaos i niesnaski zostały ograniczone do minimum. Było to możliwe dzięki „żelaznej woli" Piłsudskiego – architekta i wykonawcy zwycięstwa.

* * *

Wbrew uporczywie powtarzanym pogłoskom rządy sojusznicze oraz ich czołowi przedstawiciele nie odegrali w Bitwie Warszawskiej żadnej roli. W okresie bitewnego tygodnia alianccy dyplomaci w Polsce znajdowali się w całkowitej rozsypce: byli skłóceni ze sobą, nie zgadzali się z własnymi rządami, a także z rządem, przy którym byli akredytowani. Brytyjski ambasador Rumbold, który prywatnie uważał od dawna, iż „ententa została sponiewierana przez bolszewików, przełknęła więcej obelg niż to dobre dla zdrowia i powinna wypowiedzieć wojnę"[272], sumiennie wypełniał przeciwstawne instrukcje Lloyda George'a – aż do 10 sierpnia, kiedy zostały stanowczo odrzucone. Trzy paragrafy kluczowej depeszy Lloyda George'a, w której premier rekomendował wstępne warunki rozejmu przedstawione przez Lwa Kamieniewa, dotarły do Warszawy błędnie zaszyfrowane; minęło osiem dni, zanim je odczytano[273]. W tym czasie Rumbold dostał drugą, odmienną listę warunków Kamieniewa – która okazała się niedokładna – od włoskiego ambasadora Tommassiniego; otrzymał również zapewnienie od francuskiego ambasadora Panafieu, że Millerand zgadza się z oceną Lloyda George'a – co okazało się nieprawdą. Trudno się dziwić jego niedyplomatycznej, lecz szczerej reakcji wobec żony: „Już nie wiem, kogo nie lubię najbardziej: Polaków, bolszewików czy Lloyda George'a"[274]. Sytuacja została wyjaśniona dopiero 18 sierpnia, kiedy dyplomaci dowiedzieli się z całą pewnością, że warunki Kamieniewa były fałszywe, że Lloyd George nie może ich już zalecać, że rząd polski nie jest już zainteresowany radami aliantów i że nie ma już zgody między Paryżem a Londynem. Misji Międzysojuszniczej nie wiodło się dużo lepiej. Jej cywilni członkowie – D'Abernon i Jusserand – słali apel za apelem o pomoc dla Polski. 4 sierpnia D'Abernon zaproponował, by alianci wypowiedzieli wojnę; 6 sierpnia stwierdził stanowczo, że grupa ekspedycyjna w sile sześciu dywizji piechoty i dwóch kawalerii stanowi minimalny wkład zgodny z interesami, honorem oraz obietnicami

aliantów[275]. Wszystkie apele zostały zignorowane. Wojskowi uczestnicy misji byli bezradni. Nie mieli nic innego do roboty poza inspekcją frontu. Generałowie Carton de Wiart i Radcliffe przebywali właśnie w twierdzy brzeskiej, kiedy 1 sierpnia bolszewicy zdobyli ją z zaskoczenia; generałowie uciekli w ostatniej chwili. Innym razem podczas wycieczki samochodowej na ziemi niczyjej koło Modlina minęli grupę Kozaków pracowicie przecinających druty telegraficzne i zostali ostrzelani przez polski patrol, który wziął ich za bolszewickich komisarzy.

Szczególnie gorzka była sytuacja generała Weyganda. Jechał do Warszawy w oczekiwaniu, że obejmie dowództwo polskiej armii. Był wszak szefem sztabu marszałka Focha – naczelnego wodza zwycięskiej ententy. Można mu wybaczyć, że spodziewał się hołdów i poważania. Spotkały go jednak same upokorzenia i afronty. Jego pierwsza rozmowa z Piłsudskim 24 lipca była katastrofalna. Nie miał żadnej odpowiedzi na początkowe pytanie Naczelnika: „*Combien de divisions m'apportez-vous?*". Nie przywiózł wszak ani jednej. Pogrążył się jeszcze bardziej, kiedy pochwalił dwóch generałów, których Piłsudski traktował z ogromną podejrzliwością: Józefa Hallera, który wyrobił sobie nazwisko we Francji, oraz Dowbora-Muśnickiego, który niedużo wcześniej odmówił służby. 27 lipca został „doradcą" szefa Sztabu Generalnego. Jego stosunki z Rozwadowskim były jednak jeszcze gorsze niż z Piłsudskim. Otaczali go oficerowie, którzy uważali go za intruza i rozmyślnie rozmawiali przy nim po polsku, nie tylko wykluczając go z udziału w dyskusjach, ale i pozbawiając wiadomości z frontu. Jego sugestie dotyczące organizacji polskiej obrony były systematycznie odrzucane. Pod koniec lipca zaproponował, by Polacy utrzymali linię Bugu; tydzień później przedstawił całkowicie defensywny plan obrony Wisły. Żaden z nich nie został przyjęty. W swoich wspomnieniach przyznał, że „*la victoire était polonaise, le plan polonais, l'armée polonaise*"[276]. Jednym z jego nielicznych osiągnięć było nakłonienie Polaków, aby zastąpili rozkazami pisemnymi istniejący przypadkowy system ustnego rozkazodawstwa. Weygand okazał się szczególnie pomocny dla generała Sikorskiego, którego przekonał o znaczeniu obronnym Wkry. Zasadniczo jednak czuł się jak ryba na piasku: ten człowiek nawykły do wydawania rozkazów znalazł się wśród ludzi, którzy nie mieli ochoty ich wykonywać; ten rzecznik obrony musiał znosić towarzystwo entuzjastów ataku. 18 sierpnia, kiedy spotkał się ponownie z Piłsudskim, nie usłyszał słowa o wielkim zwycięstwie, a „w zamian został uraczony historyjką żydowską". Jego godność „*représentant de la France*" została urażona, zagroził więc wyjazdem. W istocie nie pozostało mu nic innego, jak wyjechać. Bitwa została wygrana; rozpoczynały się negocjacje rozejmowe; kryzys minął. Weygand poprosił D'Abernona i Jusseranda, by spakowali walizki i wyjechali możliwie najbardziej godnie. Był przygnębiony własnym niepowodzeniem i wściekły na Polskę za lekceważenie ententy. 25 sierpnia na dworcu w Warszawie pocieszono go Krzyżem Kawalerskim Virtuti Militari; 26 w Krakowie burmistrz i rada miejska podjęli go uroczystym obiadem; 28 w Paryżu tłumy na peronie Gare de l'Est wiwatowały na jego cześć, a premier Millerand wycałował go w oba policzki i udekorował Wielkim Orderem Legii Honorowej. Weygand nie mógł zrozumieć, co się stało. Był pierwszą, zdezorientowaną ofiarą oraz głównym beneficjantem krążącej już legendy, że to on, Weygand, jest zwycięzcą z Warszawy.

Legenda o wiktorii Weyganda stanowi doskonały przykład zasady, że w historii mniej ważne od tego, co się rzeczywiście zdarzyło, jest to, w co ludzie wierzą, że się zdarzyło.

Wersja ta jest wszak zgodna z uprzedzeniami mieszkańców Europy Zachodniej, którym zawsze miło usłyszeć o zwycięstwie aliantów; potwierdza również przesądy komunistów, którzy domagają się, by w każdej opowieści figurował imperialistyczny złoczyńca. Od tamtych czasów aż po dziś dzień akceptuje się ją poza Polską niemal powszechnie. Przez czterdzieści lat legenda była przyjmowana za dobrą monetę również w kręgach akademickich, aż kłamstwo zostało przygwożdżone[277].

W Polsce, zaraz po bitwie, wrogowie Piłsudskiego wysuwali nazwiska dwóch kandydatów do tytułu zwycięzcy: Weyganda i Pana Boga, przy czym to drugie było przeznaczone na użytek lokalny, pierwsze zaś dla zagranicy. Prasa Obozu Narodowo-Demokratycznego pod przewodnictwem warszawskiego dziennika „Rzeczpospolita" pierwsza rzuciła hasło, któremu pisana była długa i sławetna kariera: „Cud nad Wisłą". W kraju katolickim urok tego powiedzenia był nieodparty. Werbalizowało temat, który rozbrzmiewał ze wszystkich ambon; dawało wyraz wierze każdego pobożnego katolika, że ziemia wybrana została ocalona mocą Boską. Wiara ta zrodziła całą serię objawień, podczas których Czarna Madonna z Częstochowy, Święta Patronka Ojczyzny, schodziła z ognistej chmury nad okopami Radzymina, by porazić bolszewickie hordy. Teza ta miała jednak pewną konsekwencję: jeśli to Bóg uczynił ten cud, musiał wszak posłużyć się jakimś wysłannikiem. Raczej na pewno nie mógł to być Piłsudski – towarzysz rewolucjonistów i socjalistów, przyjaciel Żydów i ateistów. Ostateczne rozwiązanie podał hrabia Zamoyski, polski ambasador w Paryżu, narodowy demokrata oraz członek wojennego Komitetu Narodowego Dmowskiego, oficjalnie dziękując rządowi francuskiemu za usługi generała Weyganda. Legenda stała się wersją obowiązującą.

We Francji wiktoria Weyganda nigdy nie podlegała dyskusji. Dla całego narodu była niczym balsam, dla rządu zaś stanowiła dar niebios. Połechtała narodową dumę i wsparła rosnące wpływy katolicyzmu. „Cud nad Wisłą" zbiegł się w czasie nie tylko z kanonizacją Joanny d'Arc – dostarczając widomego dowodu na jej skuteczność jako niebieskiej patronki francuskiego oręża – ale również z kampanią prezydencką, podczas której rząd posługiwał się retoryką „obrony chrześcijaństwa". Po raz pierwszy w dziejach Trzeciej Republiki rządowy Bloc National wprowadził właśnie do Zgromadzenia Narodowego większość posłów katolickich, a teraz starał się, by jego przywódca Millerand awansował z premiera na prezydenta. We wczesnej fazie kampanii slogany Bloku wzbudziły nikły odzew. Dokonania Milleranda jako szermierza chrześcijaństwa nie były bowiem imponujące: stracił kontrolę nad polityką aliantów na rzecz walijskiego metodysty; zgodził się pozostawić interwencjonistów własnemu losowi; dopuścił do tego, by interesy francuskie na kontynencie uległy w starciu z interesami brytyjskimi; nie ocalił Rosji przed bolszewizmem; nie kiwnął palcem, by obronić Polskę – a przynajmniej tak się wydawało, zanim informacje o klęsce Armii Czerwonej pod Warszawą nie trafiły na czołówki gazet. Jego eksperci od *image*'u nie przepuścili takiej okazji. Teraz mówiło się, że Millerand od początku panował nad sytuacją; Millerand nie spanikował, kiedy nadciągnęła czerwona zaraza; Millerand pobił bolszewików zgodnie z własnym terminarzem; Millerand wysłał do Warszawy Weyganda, a Weygand zwyciężył. Nic dziwnego, że Millerand ucałował zdumionego generała w oba policzki. Milleranda wybrano na prezydenta Francji.

Jeszcze bardziej zdumiewający przypadek politycznego kuglarstwa miał miejsce po drugiej stronie kanału La Manche. Niezdarna kampania wyborcza Milleranda blednie na tle błyskotliwej ekwilibrystyki Lloyda George'a. Przedstawienie brytyjskiego premiera było

pokazem czystej magii. 15 sierpnia Lloyd George wyjechał na urlop do Lucerny. 20 sierpnia otrzymał definitywną informację o polskim zwycięstwie, a 22 – wraz z włoskim premierem Giolittim, którego podejmował w Lucernie – wydał komunikat[278]. Potępił w nim bolszewików za zamach na niepodległość Polski, ale nie pogratulował Polakom, że ją obronili. W ogóle nie wspomniał o Piłsudskim, ograniczając swoje osobiste uwagi do D'Abernona i Weyganda, których talenty – zasugerował – przeważyły szalę zwycięstwa. Wychwalając Misję Międzysojuszniczą, skierował aplauz Zachodu z powrotem ku osobie przewidującego Walijczyka, który wszak pierwszy pomyślał o tym, by wysłać D'Abernona i Weyganda do Warszawy. Sztuczka się udała – złudzenie było pełne. Lloyd George dzielił laury zwycięstwa za bitwę, do której ze wszystkich sił próbował nie dopuścić.

Trudno oprzeć się refleksji, co by było, gdyby Warszawa jednak upadła. Nie jest to tylko akademickie „gdybanie" bez konkretnej odpowiedzi: była to możliwość, którą podczas pierwszych dni urlopu w Lucernie – kiedy nie nadeszły jeszcze wiadomości – poważnie rozważał Lloyd George. Upadek Warszawy nieuchronnie oznaczałby wezwanie do nowej interwencji oraz do zaprzestania handlu z Rosją; Curzon i Churchill niewątpliwie przeforsowaliby swoje stanowisko. Lloyd George musiałby złożyć rezygnację – do czego w końcu doszło w analogicznych okolicznościach w 1922 roku – albo też mógłby utrzymać swoją pozycję za cenę upokarzającego przyznania się do porażki i kompletnej zmiany polityki. Ostatecznie oszczędzono mu tego wyboru. Lloyd George nie ocalił Polski w 1920 roku; to Polska ocaliła Lloyda George'a.

Powszechnie akceptowana wersja Bitwy Warszawskiej jest tak odległa od prawdy, że aż rodzi się pokusa, by uznać ją za efekt celowego i świadomego fałszerstwa. Wszelako wyrachowane kłamstwa nie mogły być przecież tak skuteczne. Mamy więc do czynienia z klasycznym przykładem powszechnej autosugestii. Trzeba koniecznie pamiętać o tym, że europejska opinia publiczna była tak ukształtowana, by ignorować sukces Piłsudskiego. Od samego początku jego nazwisko kojarzono z klęską i zdradą, a w 1920 roku nie miało jeszcze nic z prestiżu, który potem je otaczał. Jako przedwojenny rewolucjonista doprowadził swoją partię do rozłamów i waśni; jako generał w wojnie światowej doprowadził swoje Legiony do internowania i rozwiązania; jako samozwańczy marszałek poprowadził swoje wojska do Kijowa i do Wilna, które teraz były już w innych rękach. Porzucił Polską Partię Socjalistyczną; opuścił Niemców; okazał nieposłuszeństwo entencie. W Anglii i we Francji uważano go za zdradliwego sojusznika, który wiedzie Polskę ku ruinie; w Rosji uznawano go za fałszywego sługę aliantów, który chce doprowadzić imperializm do upadku. Nikt poza Polską nie dostrzegał w nim zdeklarowanego patrioty, walczącego ze zmieniającymi się okolicznościami. Wszyscy – od Lenina po Lloyda George'a, od „Prawdy" po „Morning Post" – uznawali go za wojskowego ignoranta i politycznego nieudacznika. W sierpniu 1920 roku panowała powszechna opinia, że katastrofalna kariera Piłsudskiego zostanie uwieńczona upadkiem Warszawy. A gdy stało się odwrotnie – kiedy w ciągu kilku dni Armia Czerwona została pokonana i odepchnięta – nikt nie mógł sobie wyobrazić, by sprawcą sensacji mógł być Piłsudski. Na skutek poprzednich doświadczeń ta prawda była nie do zniesienia. Jak mógłby powiedzieć Voltaire: gdyby Weygand nie istniał, trzeba by go było wymyślić.

[219] Edgar Vincent wicehrabia D'Abernon, *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą 1920 roku*, tłum. S.A. Arnsen, Warszawa 1990 (reprint wg wydania z 1932 roku), *passim.*

[220] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 183, 17.08.1920.

[221] Tamże, t. III, nr 67.

[222] C.E. Callwell, *Sir Henry Wilson. Life and Diaries*, London 1927, t. II, s. 253.

[223] *Dokumenty i materiały*, t. III, nr 82, 9.07.1920.

[224] Memorandum w kwestii dostaw dla Polski, 22.07.1920; *Dokumenty i materiały*, t. III, nr 105.

[225] Tamże, nr 116.

[226] Tamże, nr 102.

[227] Tamże, nr 207.

[228] Churchill do C.I. G.S. 20.07.1920. Churchill Papers 16/52.

[229] Rumbold Papers. Private Correspondence. 18.07.1920.

[230] Hankey do Lloyda George'a, Lloyd George Papers f/57/6/5, 6.

[231] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 161.

[232] W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 2, Londyn 1967, s. 450-451.

[233] 24.07.1920, *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 112.

[234] Te i poprzednie statystyki pochodzą z: W. Sikorski, *Nad Wisłą i Wkrą*, Lwów 1928, Aneks II.

[235] Por. rozmowę Tuchaczewskiego z Kamieniewem, 13.08.1920, w: N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925, s. 504-505.

[236] J. Piłsudski, *Rok 1920*, Londyn 1941, s. 166.

[237] Tekst w: W. Sikorski, *La Campagne Polono-Russe de 1920*, Paris 1928, s. 53-56.

[238] Piłsudski, dz. cyt., s. 168.

[239] Tamże, s. 117 nn.

[240] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 485.

[241] Sikorski, *La Campagne Polono-Russe de 1920*, dz. cyt., s. 88.

[242] Piłsudski, dz. cyt., s. 127.

[243] G.D. Gaj, *W giermanskom łagierie*, Moskwa 1932, s. 12.

[244] G.W. Kuźmin, *Graždanskaja wojna i wojennaja intierwiencja w SSSR*, Moskwa 1958, s. 321.

[245] J. Piłsudski, dz. cyt., s. 138.

[246] M. Tuchaczewski, *Pochod za Wisłu*, w: tenże, *Izbrannyje proizwiedienija*, Moskwa 1964, t. 1, s. 167.

[247] Cyt. za: T. Komarnicki, *The Rebirth of the Polish Republik*, London 1957, s. 624.

[248] L. Trocki, *Stalin*, London 1947, s. 328-332.

[249] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 229.

[250] *Diriektiwy Gławnogo Komandowanija Krasnoj Armii (1917-20)*, Moskwa 1969, nr 644.

[251] Stalin do Trockiego, 31.05.1920; Stalin do Sklańskiego, 1.06.1920; tekst w: Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 458.

[252] S.M. Budionny, *Projdionnyj put'*, Moskwa 1965, t. 2, s. 308.

[253] Tamże, s. 304.

[254] Tamże, s. 306.

[255] Tamże, s. 300, przyp. 3.

[256] *Diriektiwy...*, nr 705, 11.08.1920.

[257] Tamże, nr 707, 12.08.1920.

[258] Tekst rozmowy z 13.08.1920 cyt. za: Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 504-505; także w: *Diriektiwy...*, nr 645.

[259] Rozkaz 4774/1052; *Diriektiwy...*, nr 709.

[260] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 309-310.

[261] CAPAS f 102, op 3 d 189 I 233, cyt. za: Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 310-311.

[262] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 318 nn.; także *Diriektiwy...*, przyp. 119, s. 807.

[263] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 304.

[264] Rozkaz Dowództwa Południowo-Zachodniego, 12.08.1920, CAPAS f 245, op 4, d 68 l 5, cyt. za: Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 294.

[265] Rozkaz Dowództwa Południowo-Zachodniego, 13.08.1920, CAPAS f 5/6, op 1, d 260, l 193 ob, cyt. za: Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 303.

[266] Tamże, s. 328-329.

[267] *Leninskij Sbornik XXXVI*, s. 115-116; CAPIML f 3, op 1, d 1928 l 1-4, cyt. za: Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 304-305.

[268] L. Nikulin, *Tuchaczewskij*, Moskwa 1964, s. 114-130. P.A. Jermolin, *Ispytanija*, w: *Marszał Tuchaczewskij – Wospominanija druzjej i soratnikow*, Moskwa 1965, s. 119-129.

[269] Trocki, dz. cyt., s. 329.

[270] Lenin do Sklańskiego, nie wcześniej niż 14.08.1920, *Diriektiwy...*, nr 646.

[271] K. von Clausewitz, *O wojnie*, tłum. A. Cichowicz i L. Koc, Warszawa 1958, t. I, s. 76-77.

[272] Rumbold do lady Rumbold, 5.08.1920. Rumbold Papers.

[273] *Documents on British Foreign Policy, 1918-45* (*First Series*), t. XI, nr 411.

[274] Rumbold do lady Rumbold, 17.08.1920. Rumbold Papers.

[275] D'Abernon do Curzona, 4.08.1920; D'Abernon do Lloyda George'a, 6.08.1920, *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. XI, nr 383, 394.

[276] M. Weygand, *Mémoires*, Paris 1957, t. 2, s. 166.

[277] P. Wandycz, *General Weygand and the Battle of Warsaw*, „Journal of Central Euro-pean Affairs" 1960, nr 19.

[278] Komunikat i rozmowy w Lucernie, PRO-Cab 21/179 CP 143.

Rozdział szósty
DECYDUJĄCA KAMPANIA

Bitwa Warszawska nie zakończyła wojny polsko-bolszewickiej. Nie była Waterloo czy Sedanem, które za jednym zamachem potrafiły obalić cesarstwo bądź doprowadzić do natychmiastowego pokoju. Polska nadal pozostawała w wielkim niebezpieczeństwie: skłócona z sojusznikami, w stanie wojny z ogromnym sąsiadem. Rosja sowiecka nie została wszak pokonana, a bitwa podziałała na bolszewickich przywódców niczym żądło, skłaniając ich do mobilizacji przed drugą próbą o wiele większych niż polskie rezerw. Jak zauważył 22 sierpnia Lloyd George: „jeśliby Rosja chciała zgnieść Polskę, może to zrobić w każdej chwili”[279]. Rosja mogła sobie pozwolić na przegranie bitwy; Polska nie mogła przegrać kampanii. Na długą metę wykorzystanie zwycięstwa miało bardziej decydujące znaczenie od niego samego.

Na południu rozpoczynała się już pierwsza rozgrywka. Przez pięć dni po wycofaniu się spod Lwowa Konarmia maszerowała bez celu nad górnym Bugiem, korygując z dnia na dzień swoją marszrutę zgodnie ze zmiennymi planami odległych zwierzchników. Lecz 25 sierpnia zaczęła się poruszać w sposób bardziej składny. Pod koniec miesiąca doprowadziła do starcia znanego w radzieckiej historiografii pod nazwą „natarcie na Zamość” bądź „pierścień zamojski”, które w historii polskiej wojskowości określa się często mianem „bitwy pod Komarowem”.

Choć ogólna sytuacja przed Zamościem jest w zasadzie jasna, to nie bardzo wiadomo, jaką rolę przypisać jej poszczególnym elementom. Polscy historycy uznają często szarżę pułków ułańskich pod Komarowem 31 sierpnia za najwspanialsze starcie w całej wojnie. Niedawno określono je mianem „największej bitwy kawaleryjskiej od 1813 roku oraz jedynej takiej bitwy w XX wieku”[280]. Natomiast w szczegółowych wspomnieniach Budionnego bój ten w ogóle nie figuruje. Z kolei klasyczna relacja pułkownika Przybylskiego zawiera niezrozumiałe stwierdzenie: „*L’Armée de Cheval, demoralisée, n’accepta pas le combat et se retira*”[281].

Polskie przygotowania były szybkie i skuteczne. Generał Sikorski przybył na miejsce, aby objąć dowództwo. Podczas gdy Konarmia szła naprzód z południowego wschodu w dwóch kolumnach, Sikorski osaczał ją stopniowo z obu stron: od północy oddziałami odtworzonej 3. Armii, a mianowicie 7. Dywizją Piechoty nad Bugiem, 2. Dywizją Legionową w Hrubieszowie oraz 6. Dywizją (Ukraińską) i Kubańską Brygadą Kawalerii; od południa zaś grupą generała Stanisława Hallera, czyli 13. Dywizją Piechoty i 1. Dywizją Kawalerii, które pochodziły z 6. Armii. Sam Zamość obsadzały trzy miejscowe bataliony wzmocnione pospiesznie 10. Dywizją Piechoty z Krasnegostawu. Sikorski coraz skuteczniej otaczał Budionnego. Z dnia na dzień pierścień stawał się coraz węższy i coraz szczelniejszy. Kiedy 30 sierpnia Konarmia nadziała się na umocnienia Zamościa, Haller

zdołał ją zablokować: najpierw wzdłuż południowego skrzydła dzięki zdobyciu Komarowa i Tyszowiec, a następnie od tyłów, obsadzając rzekę Huczwę. Konarmia znalazła się w potrzasku o długości 12-15 kilometrów. Jej cztery dywizje stanęły w tym korytarzu jedna za drugą niczym wagony pociągu, który wpadł na stację końcową: parowóz docisnął bufory, tył został uwięziony przez przeszkodę na torach, boki zostały otoczone przez wrogi tłum na peronach. Jedyną szansę na ocalenie dawało wycofanie się, zanim Polacy zdążą rozczepić wagony i rozebrać je kawałek po kawałku.

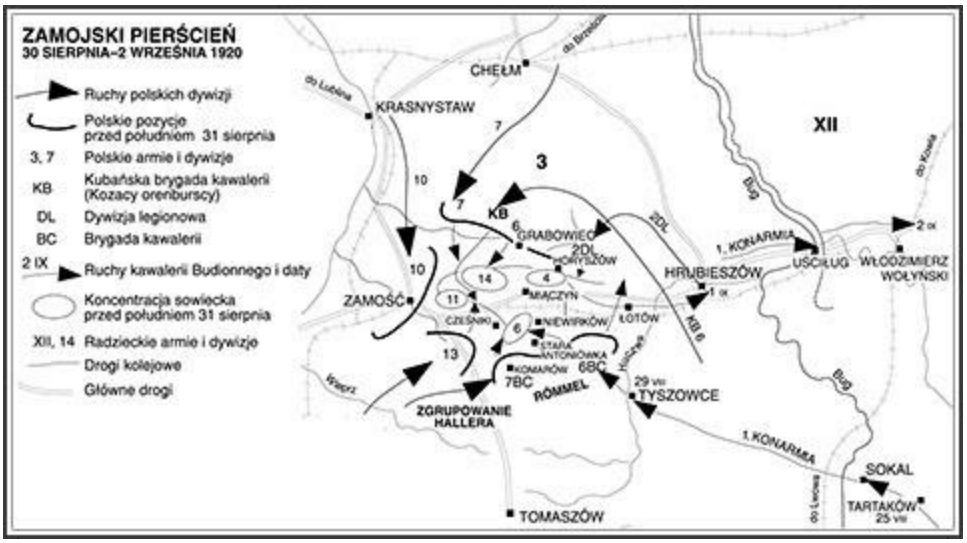

Relacja Budionnego unaocznia, jak niebezpieczne było życie w „pierścieniu zamojskim". Spędził tam trzy dni – 30 i 31 sierpnia oraz 1 września – galopując tam i z powrotem z Woroszyłowem, by zachęcić dywizje do odpierania ataków przypuszczanych ze wszystkich stron. Jego placówka dowodzenia w Starej Antoniówce została trzydziestego zrównana z ziemią przez artylerię Hallera; jego sprzęt sygnalizacyjny, sztab, osobiste tabory i konie zostały unicestwione – na szczęście dla niego podczas jego nieobecności. Swoją kwaterę przeniósł najpierw do wsi Miączyn, a potem do lasu za wioską. 31 sierpnia 11. Dywizja została przyszpilona przez wypad z Zamościa; 14. Dywizja odpierała liczne ataki z Grabowca; 4. Dywizja została przygwożdżona przed Horyszowem. W najbardziej niebezpiecznym położeniu znajdowała się 6. Dywizja. Jej dwie brygady zostały odcięte w pobliżu Zamościa, a pozostałe zostały otoczone pod Komarowem. Walczyły przez cały dzień. O czwartej po południu zaszarżowały na brygadę kubańską w Cześnikach (por. opisy na s. 51-52) i wycofały się na Wzgórze 255, skąd wyparła je artyleria. Od szóstej po południu atakowały je na zmianę polskie pułki ułanów. Dopiero późnym wieczorem – za trzecią próbą – Rosjanie przedarli się przez Niewirków i dotarli do centrum pierścienia. Konarmii pomogła trwająca cały dzień ulewa. Widoczność była zła, zapał do szturmu został przygaszony, szerzył się chaos. Budionny opisuje, jak podczas boju natknął się na tabor pośrodku odsłoniętej łąki. Niektóre konie leżały martwe w zaprzęgach, inne ugrzęzły w błocie. Podróżni stłoczyli się pod wozami, chowając się przed podwójnym potopem – deszczu i kul. Były to aktorki z polowego teatru Konarmii. „Aha, to nasz front kulturalny!", zawołał Budionny. „Jak wam się podoba taki koncert?"[282].

Starcie kawalerii z 31 sierpnia zasługuje na więcej uwagi, niż poświęcił mu Budionny. Była to bitwa, na którą polskie dowództwo ostrzyło sobie zęby od dwóch miesięcy; choć nie stała się rozstrzygająca, stanowiła istotny element demontażu

znienawidzonej Konarmii. Była to jedyna okazja w czasie wojny, kiedy dwie duże jednostki jazdy w zwartym szyku stanęły naprzeciw siebie. Być może była to ostatnia prawdziwa bitwa kawalerii w dziejach Europy. Polska dywizja kawalerii pułkownika Juliusza Rómmla, złożona z dwóch brygad, nie mogła dorównać czterem dywizjom Budionnego. Nie musiała jednak atakować całej Konarmii: jej zadanie polegało na utrzymaniu jednego odcinka na południowym skrzydle pierścienia. Polacy walczyli w dwóch osobnych rundach – rano i wieczorem – przeciw jednostkom 6. i 11. Dywizji sowieckiej. 7. Brygada zaatakowała o 7.45 rano z pozycji nocnych w Komarowie. Natarcie rozpoczęła szarża 2. Pułku Szwoleżerów – ledwie 200 ludzi – oraz liczniejszego 8. Pułku Ułanów. Przybycie 9. Pułku Ułanów (Małopolskiego) pozwoliło utrzymać linię ataku, zanim szarża 6. Brygady opodal Niewirkowa oczyściła pole bitwy. Nieprzyjaciel – sowiecka 6. Dywizja – wycofał się przez bagnistą dolinę i znalazł się poza zasięgiem. Straty polskie były duże, zwłaszcza wśród oficerów. 9. Pułk Ułanów stracił wszystkich dowódców szwadronów; w 6. Brygadzie było wielu rannych, między innymi porucznik Komorowski; każdy polski pułk bardzo ucierpiał. Bitwa wieczorna była konsekwencją niespodziewanego powrotu sowieckiej 6. Dywizji z Cześnik. Rómmel nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki Sowieci nie wyszli z lasu naprzeciwko i nie ustawili się do ataku. Była to bardzo nerwowa chwila. Czerwona kawaleria wyła, gwizdała i szczękała szablami w prawdziwie kozackim stylu. Polacy jeszcze opatrywali rany. 9. Pułk Ułanów, który najbardziej ucierpiał w boju, ruszył z kopyta, by wygrać wyścig przed starciem. Ułani wpadli na nadjeżdżające szeregi i zmieszali się z nimi; walczono w zwarciu za pomocą rewolwerów, sztyletów, a nawet gołych rąk, by wysadzić przeciwnika z siodła. Okrzyk „Hurrra!” po prawej ogłosił przybycie galopem 8. Pułku Ułanów Krzeczunowicza, po którym pojawił się 1. Pułk (Krechowiecki) z samym Rómmlem na czele. Jakimś sposobem 9. Pułk wykrzesał siły, by wydostać się ze zwarcia i zaszarżować ponownie. Sowiecka 6. Dywizja runęła do tyłu, pozostawiając za sobą pole zasłane ludzkimi i końskimi szczątkami. Był to spektakl, jakiego Europa nie oglądała już nigdy więcej[283].

Sikorski nie powinien był pozwolić Konarmii na ucieczkę. Chociaż nie dysponował taką siłą uderzeniową jak kawaleria Budionnego, miał wielką przewagę w artylerii i piechocie. Był zbyt powolny i nazbyt ostrożny. W nocy 31 sierpnia nie przeszkodził Konarmii w przegrupowaniu; nie wzmocnił też załogi nad Huczwą – gdzie przebiegała jedyna droga ucieczki – ani nie wysadził mostów. Przed ostateczną rozprawą zdecydował się podjąć działania nękające, gdyż naga siła Konarmii mogła nadal przeważyć w starciu z jego lepiej ustawionymi, lecz osobno słabszymi jednostkami. Rankiem 1 września Konarmia parła już na wschód. W Lotowie 2. Brygada Tiuleniewa z 4. Dywizji, jadąc po grobli przecinającej podmokłe okolice wioski, przedarła się przez linie polskie i pognała naprzód, by zająć mosty na Huczwie. Temu wyczynowi przyglądał się z aprobatą Budionny, ze zdumieniem zaś – z przeciwległego brzegu doliny – Stanisław Haller. Reszta Konarmii podążyła w ślad za Tiuleniewem. 2 września Rosjanie dotarli do Włodzimierza, gdzie spotkali swoją 12. Armię. Konarmia przetrwała i mogła walczyć dalej. Byk wymknął się Sikorskiemu – polski matador nie położył bestii trupem. Choć poszarpana przez lance Hallera i skrwawiona przez groty w zadzie, Konarmia zdołała jednak znaleźć tunel wychodzący z areny i łapiąc ostatni głęboki oddech, wyrwała się na wolność.

Wprawdzie dzięki nadzwyczajnej energii Budionnego główne siły Konarmii

wymknęły się nienaruszone, wielu żołnierzy musiało jednak dawać sobie radę na własną rękę. Jednym z nich był Babel. Noc 30 sierpnia spędził pod gołym niebem. W zasięgu wzroku znajdowały się mury Zamościa otaczające wspaniały renesansowy pałac hrabiów Zamoyskich oraz dużą dzielnicę żydowską z wieloma synagogami. Babel rozmawiał o Żydach z miejscowym chłopem. „Jak wielu ich mieszka w tej części świata?", zapytał wieśniak. „Jakieś dziesięć milionów". „Hmm, widać, że po tej wojnie nie zostanie ich więcej jak kilkaset tysięcy". Babel – sam Żyd – nie oponował. Trzydziestego pierwszego walczył cały dzień wraz z 6. Dywizją. Potem był już zdany na siebie:

Przyjechaliśmy do Sitańca rankiem. Byłem w towarzystwie Wołkowa, kwatermistrza sztabu. Znalazł dla nas wolną chatę na skraju wsi.

– Wódki – powiedziałem do gospodyni – wódki, mięsa i chleba! [...]

– Nic nie ma – odparła obojętnie po polsku. – Nawet nie pamiętam, kiedy coś było. [...]

Wyjąłem z kieszeni zapałkę i podpaliłem kupę słomy na podłodze. Wyzwolony płomień zabłysnął i skoczył ku mnie. Stara rzuciła się piersią na ogień i zgasiła go.

– Co robisz, panie? – rzekła i cofnęła się w przerażeniu. [...]

– Spalę cię, stara – zamamrotałem, zasypiając – spalę ciebie i twoją kradzioną jałówkę.

– Czekaj! – wrzasnęła gospodyni wysokim głosem. Pobiegła do sieni i wróciła z dzbankiem mleka i chlebem.

Nie zdążyliśmy zjeść nawet połowy, gdy na dworze zaczęły bić wystrzały. Było ich mnóstwo. Biły długo i obrzydły nam. Skończyliśmy mleko i Wołkow wyszedł na dwór, aby dowiedzieć się, co się dzieje.

– Osiodłałem twojego konia – odezwał się do mnie przez okno – mojego podziurawili, że trudno lepiej. Polacy ustawiają kulomioty o sto kroków od nas.

W ten sposób został nam jeden koń na dwóch. Ledwo wyniósł nas z Sitańca. Siadłem na siodło, Wołkow ulokował się z tyłu. [...]

– Przegraliśmy kampanię – mruczy Wołkow i zaczyna pochrapywać.

– Tak – odpowiadam[284].

Konarmia wycofywała się w stanie fizycznego i psychicznego wyczerpania[285]. 11. Dywizja stopniała z 3500 jeźdźców do 1180 żołnierzy i 462 koni; 6. Dywizja straciła szesnastu z dwudziestu dowódców swoich szwadronów; 4. i 14. Dywizja były w równie opłakanym stanie. Wprawdzie we Włodzimierzu doszło do nich 400 partyjnych aktywistów z Moskwy, 500 żołnierzy z odwodów oraz 1000 koni, ale nadal brakowało odpowiedniego umundurowania. Ponieważ żołnierze zwątpili w zwykłe kanały zaopatrzenia, wystosowali prywatny apel do „szanownego przyjaciela i towarzysza" Grigorija Ordżonikidze z Kaukazu, żeby przysłał im 20 tysięcy par walonek (wojłokowych butów)[286]. Do Włodzimierza przybył dowódca 12. Armii Nikołaj Nikołajewicz Kuźmin, aby omówić wprowadzenie do akcji posiłków; wyjaśnił jednak, że jego dwie najbliższe dywizje – 7. i 44. – nie mają karabinów. 13 września Konarmia została wyparta z Włodzimierza, ratując tyle zapasów, ile się dało. Podczas odwrotu nękało ją polskie lotnictwo i coraz bardziej pewna siebie polska kawaleria. Konarmia szła na Żytomierz, odległy o 400 kilometrów, wyznaczony jako rejon odpoczynku. Po drodze trzeba było walczyć w dzień i maszerować w nocy. 18 września o 3 nad ranem polska jazda wpadła do Równego i otoczyła brygadę Tiuleniewa. Dwa dni później Budionny rozmawiał z Tuchaczewskim przez telefon i uzyskał zgodę na całkowite wycofanie się. Dopiero wtedy Konarmia została zluzowana przez 12. Armię. 26 września, kiedy Budionny znajdował się w Nowogrodzie, przyszedł rozkaz przygotowania Konarmii do translokacji na front przeciw Wranglowi. Ale nawet wtedy kłopoty Budionnego się nie skończyły. Podczas marszu nad Dniepr jego ukochani żołnierze dokonali serii pogromów[287]. Budionny aresztował dwóch brygadierów z 6. Dywizji, a jej

szefa sztabu obciążył odpowiedzialnością. Przeprowadzono czystkę. Wymierzono srogie kary. Konarmii nie udawało się teraz utrzymać tempa marszu 40 kilometrów na dzień, choć w przeciwną stronę szła tym tempem tygodniami. Kampania galicyjska nadwerężyła do ostatecznych granic dyscyplinę i morale najlepszej formacji Armii Czerwonej. Kiedy towarzysze Babla na dobre odwrócili się plecami do Polski, odżyły w nich pierwotne instynkty anarchicznych band kozackich, z których ich wcześniej rekrutowano.

Na północy działania przebiegały wolniej. Po starciach nad granicą pruską główne siły obu wojsk straciły kontakt. Obie strony potrzebowały czasu na przegrupowanie, ale też obu zależało na podjęciu walk. Rozkazy Tuchaczewskiego nadal mówiły o zajęciu Warszawy; celem Piłsudskiego było unicestwienie przeciwnika, którego zdołał już odeprzeć. Atuty były rozłożone równo. Tuchaczewski dysponował solidną bazą nad Niemnem, gdzie jego wojska okopały się pod koniec sierpnia. Miał też przewagę pod względem zaopatrzenia i odwodów, gdyż wycofał się w kierunku magazynów i jednostek pierwotnie przewidzianych do ataku na Warszawę. 1 września stan jego wojsk wynosił 113 491 ludzi – tylko o 3 tysiące mniej niż 1 sierpnia – i z dnia na dzień wzrastał[288]. Straty zostały wyrównane dzięki odwodom oraz translokacji 12. Armii i Konarmii. Grupa Mozyrska została rozbita; stan 4. Armii Szuwajewa, obecnie liżącej rany na wschód od Brześcia, stopniał do jednej trzeciej; 16. Armia Sołłoguba w Różanej straciła 5 tysięcy ludzi. Lecz stany 3. Armii Łazariewicza w Grodnie i 15. Armii Korka w Wołkowysku w istocie wzrosły. Piłsudski natomiast dysponował inicjatywą, mógł liczyć na doskonałe morale żołnierzy i na rozpęd nacierających wojsk, a także na atut atakowania nieruchomego celu.

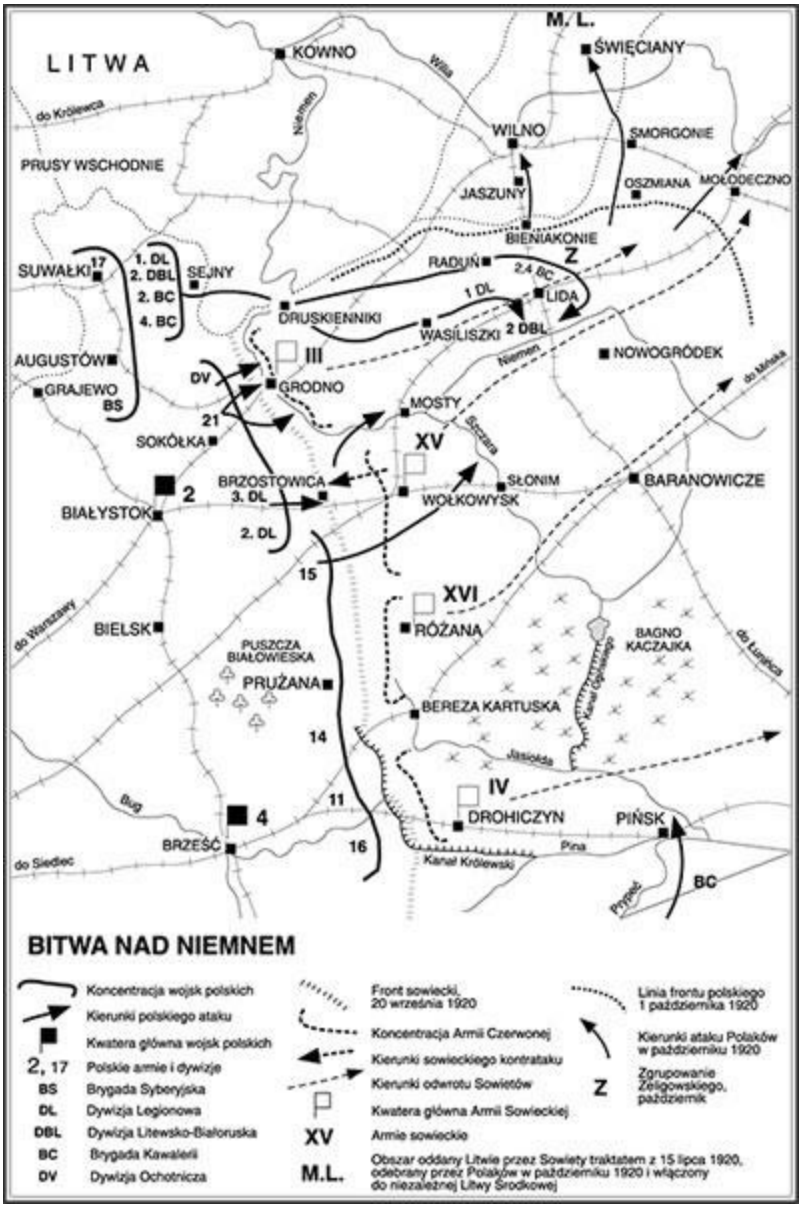

Dla tych, którzy oceniają bitwy w kategoriach estetyki planu, bitwa nad Niemnem stanowi przykład najpiękniejszej konfiguracji w całej wojnie. Piłsudski wymyślił koncepcję o klasycznej prostocie. Centralny odcinek Armii Czerwonej miał zostać zaatakowany i związany w okolicach Grodna i Wołkowyska; flanki miały zostać oskrzydlone przez kawalerię, co umożliwiłoby siłom uderzeniowym zaatakowanie tyłów; w ten sposób odcinek centralny mógłby zostać odcięty i spokojnie przeżuty. Piłsudski wykorzystał tu dwa czynniki, które przywodzą na myśl lipcową ofensywę Tuchaczewskiego: bliskość granicy litewskiej na północy oraz groźbę interwencji ze strony sąsiedniego frontu na południu. 2. Armia została zebrana w Białymstoku i powierzona Rydzowi-Śmigłemu; jej grupa uderzeniowa została ukryta w suwalskich lasach, które trzeba było wpierw oczyścić z oddziałów litewskich, gdyż te przeniknęły na ten obszar latem. 4. Armia generała Skierskiego została przetransportowana *en masse* z Łomży do Brześcia. Pierwsza akcja została przeprowadzona 20 września.

Realizacja planu bitwy nad Niemnem okazała się jednak mniej doskonała niż sama koncepcja. Choć tym razem Piłsudski nie odczytał błędnie intencji nieprzyjaciela (tak jak to uczynił w Warszawie), przecenił możliwości własnych wojsk. Atak czołowy spotkał się od samego początku z zażartym oporem. Nacierająca na Grodno 21. Dywizja (Podhalańska), wspierana po obu stronach przez dywizję ochotniczą i 3. Dywizję Legionową, nie

poczyniła znaczących postępów niemal przez tydzień. Cztery dywizje 4. Armii napotkały godnego siebie przeciwnika. Losy bitwy ważyły się przez trzy dni: od 23 do 25 września; przesądził je dopiero sukces grupy uderzeniowej. 1. Dywizja Legionowa oraz 1. Dywizja Litewsko-Białoruska, we współpracy z grupą suwalską generała Osińskiego, wyruszyły z Sejn i dotarły nad Niemen przez terytorium Litwy. 23 września wojska te zajęły Druskienniki i przecięły linię kolejową Grodno-Wilno – główny szlak komunikacyjny 3. Armii. Kawaleria dotarła do Radunia. W kolejnych dwóch etapach Polacy zbliżyli się do Lidy, blokując następną drogę odwrotu. 26 września na przeciwległym skrzydle na Polesiu kawaleria generała Krajowskiego zajęła Pińsk, odcinając szlak komunikacyjny 4. Armii. Tuchaczewski nakazał odwrót. Na szczęście dla niego polskie siły okazały się zbyt słabe, aby go zablokować. 3. Armia – zepchnięta z pozycji w Grodnie i zmuszona do wycofania się na skutek równie gwałtownego odwrotu 15. Armii na jej południowym skrzydle – zderzyła się 27 września z polską grupą szturmową. W Lidzie przetoczyła się przez dywizję litewsko-białoruską dzięki ogromnej przewadze liczebnej, by następnego ranka nadziać się na 1. Dywizję Legionową; za trzecią próbą udało jej się przedrzeć, ale tak jak mięso przedziera się przez maszynkę – w postaci rozdrobnionej i pokawałkowanej, co wyklucza możliwość dalszego zbornego działania. Armie 15., 16. i 4. miały więcej szczęścia. Wycofały się na Oszmianę, Mołodeczno i Kojdanów – nadszarpnięte, lecz zasadniczo całe. Polskie zwycięstwo było bezsporne, ale niezupełne. Po raz wtóry nadzieja na zamknięcie przeciwnika w kleszczach okrążenia okazała się płonna.

Obie operacje – pierścień zamojski i bitwa nad Niemnem – ułatwiły generalną ofensywę polską na wszystkich odcinkach frontu. Sikorski pędził w szpicy dzięki kolumnie wozów pancernych i zmotoryzowanej piechocie – 13 września zajął Kowel. Za nim szli: generał Stanisław Haller, który 16 września zajął Łuck; generał Żeligowski, który odzyskał bitewne pola Sokala i Brodów; generał Jędrzejewski, który 18 września zajął Równe; generał Latinik, który 23 września dotarł do Zasławia; a wreszcie Ukraińcy Pawlenki, którzy po sforsowaniu Dniestru rozpoczęli działania wzdłuż Zbrucza. Do końca września Galicja została oczyszczona z nieprzyjaciela: armie 12. i 14. znajdowały się w pełnym odwrocie, Konarmia została wycofana. Dzięki przemierzeniu Polesia przez generała Krajowskiego, który dotarł do Pińska, ofensywa galicyjska połączyła się z natarciem znad Niemna. W pierwszych tygodniach października pościg przerodził się w polowanie. 10 października 3. Dywizja Legionowa zajęła Święciany – dawną zdobycz Gaja znajdującą się jedynie 80 kilometrów od Dźwiny. Mołodeczno padło 12 października, Mińsk – 18 października. Na południu kawaleria pułkownika Rómmla zdobyła Korosteń – już tylko 150 kilometrów od Kijowa. Spadły pierwsze śniegi.

Piłsudski uświadamiał sobie, że operacje militarne osiągają swój naturalny kres. Wojsko polskie powróciło niemal na pozycje z poprzedniej zimy. Zajęło wszystkie obszary zamieszkiwane przez skupiska ludności polskiej – z jednym wyjątkiem; w jego rękach znalazła się kluczowa na Kresach linia rokadowa; odrzuciło Armię Czerwoną daleko od wyznaczonych jej celów w środkowej Polsce; wbiło klin między armię bolszewicką a Litwinów; pogrzebało ideę Trockiego, rozważaną we wrześniu, by przewieźć na zachód nowe siły uderzeniowe z Syberii i Kaukazu, a także położyło kres nadziejom Kamieniewa na przejęcie ofensywy[289]. Pościg nie mógł jednak trwać wiecznie. Była już późna jesień. Względy militarne dołączyły się więc do argumentów dyplomatycznych, na skutek których podjęto już negocjacje rozejmowe.

Jedyne zastrzeżenie Piłsudskiego dotyczyło Wilna. Wszyscy wiedzieli, że Naczelnik nie spocznie, dopóki jego rodzinne miasto nie wróci do Polski. Kwestie militarne nie były przeszkodą. Na początku października do Frontu Północnego dodano nową 3. Armię – trzecią już „3" w ciągu dwóch miesięcy. Jej dowódcą został generał Sikorski. Obsadzi-ła sektor północno-zachodni, którego najbliższy Wilna punkt w Bieniakoniach znajdował się jedynie 40 kilometrów od miasta. Jej zahartowani w bojach żołnierze byli w stanie przeskoczyć tę odległość w każdej chwili. Problem nie był natury wojskowej, ale politycznej. Wilno okupowali Litwini; miasto zostało formalnie uznane za litewskie przez Sowietów, przez ententę zaś – za litewskie tymczasowo, gdyż kwestia została przekazana do ostatecznego rozstrzygnięcia Lidze Narodów. Wysyłając armię polską do Wilna, Piłsudski ryzykowałby zerwaniem rozmów rozejmowych z Sowietami oraz postąpiłby wbrew wyraźnym instrukcjom ententy; pozostawienie miasta w rękach Litwinów lub na łasce Sowietów było jednak nie do pomyślenia. Piłsudski mógł wskazać liczne anomalie związane z litewską okupacją. W Wilnie nie było prawie rdzennych Litwinów. Ani rząd litewski, ani Sowieci, ani ententa nie sondowali życzeń miejscowej ludności. Gdyby został przeprowadzony plebiscyt, konkurowaliby ze sobą Polacy, którzy zapewne głosowaliby za przyłączeniem miasta do Polski, oraz Żydzi, którzy prawdopodobnie woleliby federację z Rzecząpospolitą – wybór bliższy samemu Piłsudskiemu. Sposób, w jaki Naczelnik rozwiązał problem Wilna, był jedyny w swoim rodzaju. Zainscenizował mianowicie fikcyjny bunt. Do Bieniakoni skierował 1. Dywizję Litewsko-Białoruską, a na jej czele postawił generała Lucjana Żeligowskiego – rodowitego „wilniuka". 8 października dywizja „się zbuntowała". Żeligowski oficjalnie wypowiedział posłuszeństwo dowodzącemu 3. Armią Sikorskiemu i poprowadził swoich ludzi naprzód. Poza własną dywizją zabrał jeszcze batalion z 201. Pułku Piechoty, dwa szwadrony kawalerii i batalion patrolowy. Po utarczce w Jaszunach wojsko wkroczyło do Wilna witane przez uradowanych mieszkańców. Proklamowano nowe państwo pod nazwą Litwa Środkowa. Powołano do życia Tymczasową Komisję Rządzącą, która miała ogłosić plebiscyt. W ten sposób znaleziono zgrabne rozwiązanie zadania polegającego na pogodzeniu samostanowienia z wojskowym podbojem. W późniejszych latach Piłsudski wspominał tę historię z wielką lubością.

W tym samym czasie Tuchaczewski rozpaczliwie próbował wziąć zdemoralizowane wojsko w karby. Jego teoria wojny rewolucyjnej nie wypaliła; jego machina do permanentnej ofensywy na biegu wstecznym odmówiła posłuszeństwa; stracił wiarę we wszystkich – z wyjątkiem najżarliwszych komunistów. 12 października wydał następujący rozkaz:

> [...] Komendanci, Komisarze, Komuniści! Wasza socjalistyczna ojczyzna żąda nowych wysiłków od szeregów frontowych. Podbój albo zgon! Śmierć albo zwycięstwo! Naprzód! Odczytać rozkaz we wszystkich pułkach, batalionach, kompaniach, szwadronach, bateriach, sztabach i departamentach[290].

Zanim jednak rozkaz mógł zostać odczytany, podpisano rozejm. Tuchaczewski był równie niezorientowany w sytuacji politycznej jak w sytuacji własnego wojska.

Piłsudski niechętnie rezygnował z wojny na rzecz dyplomacji, zwłaszcza że chodziło o propozycje pokojowe bolszewików. Osobiste uczucia odłożył jednak na bok. 12 października zezwolił polskiej delegacji podpisać rozejm. 18 października o północy działania wojenne Polski i Rosji sowieckiej zostały zawieszone. Po raz pierwszy od

dwudziestu miesięcy zapanował całkowity spokój. Poza jednym lub dwoma wyjątkami w następnych tygodniach miał on panować przez kolejnych dziewiętnaście lat.

Rozkaz dnia Piłsudskiego z 18 października 1920 roku był nader emocjonalny i osobisty:

> Żołnierze! Dwa długie lata, pierwsze istnienia wolnej Polski, spędziliście w ciężkiej pracy i w krwawym znoju. Kończycie wojnę wspaniałymi zwycięstwami [...].
>
> Żołnierze! Nie na próżno i nie na marne poszedł wasz trud. [...] Od pierwszej chwili życia swobodnej Polski wyciągnęło się ku niej mnóstwo pożądliwych rąk, skierowało się mnóstwo wysiłków, by ją utrzymać w stanie bezsiły, by, jeśli już istnieje, była ona igraszką innych, biernym polem dla intryg całego świata. [...] Na barki moje, jako Naczelnego Wodza, w wasze ręce, jako obrońców Ojczyzny, złożył naród ciężkie zadanie zabezpieczenia bytu Polski, zdobycia dla niej szacunku i znaczenia na świecie i dania jej pełni niezależnego rozporządzania się swoim losem. [...]
>
> Żołnierze! Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafi wytworzyć takiego żołnierza, jakim wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość[291].

Było to jego pożegnanie z bronią.

* * *

Zakończenie walk przyniosło długo wyczekiwaną ulgę w cierpieniach ludności cywilnej, ale także liczne śledztwa oraz próby ustalenia winnych. Armii polskiej zarzucano brutalne represje, Armii Czerwonej – rozpasanie i mordy klasowe; oba wojska oskarżano o wrogość do Żydów, choć na obszarze z liczną populacją żydowską trudno stwierdzić, gdzie kończy się zwyczajna przemoc, a zaczyna antysemityzm. Prasa warszawska i moskiewska konkurowały ze sobą, jeśli idzie o opowieści przedstawiające okrucieństwa nieprzyjaciela. Z każdej ambony w Polsce rozlegały się co tydzień kazania o „bolszewickich bestialstwach", o sowieckim kanibalizmie, o upaństwowieniu kobiet i mordowaniu księży. „Prawda" publikowała codzienną kolumnę pod nazwą *Żertwa panow* („Ofiary polskich panów"). Niezależnie od propagandy istnieją jednak dobrze udokumentowane wypadki bestialstwa. W kwietniu 1919 roku w Holszanach koło Wilna wśród zamordowanych komunistów znajdowała się dziewczyna, której martwe, nagie, pozbawione członków ciało wleczono po ulicach przywiązane do końskiego ogona[292]. W Lemanie koło Kolna polskich jeńców z rękami związanymi na plecach puszczono wolno i użyto do ćwiczeń z szablą jako żywych manekinów[293]. Męka bezbronnych cywilów wygląda szkaradnie, politycy i generałowie niechętnie więc wyciągają ją na światło dzienne. Naprawdę trudno się dziwić, że Budionny zaprotestował przeciw opowiadaniom Babla z cyklu *Konarmia* i oskarżył ich autora o „grzebanie w śmieciach na placyku od podwórza jego armii". Niestety, większość armii ma swoje „placyki od podwórza", gdzie niezmiennie gromadzą się „śmieci".

We właściwym sobie, sardonicznym stylu Babel zarejestrował wkroczenie Armii Czerwonej do jednego z kresowych miasteczek:

> Minęliśmy kozackie kurhany i basztę Bohdana Chmielnickiego [...], po czym rozwinęliśmy sztandary i przy grzmiących dźwiękach marsza wdarliśmy się do Beresteczka. Mieszkańcy pozakładali okiennice żelaznymi sztabami i cisza, wszechwładna cisza wstąpiła na miasteczkowy swój tron. [...] Umyłem się po podróży i wyszedłem na ulicę. [...] Tuż przed moimi oknami kilku Kozaków rozstrzeliwało za szpiegostwo starego Żyda ze srebrną brodą. Starzec skowytał i wyrywał się. Wówczas Kudria z plutonu karabinów maszynowych wziął go za głowę i wetknął ją sobie pod pachę. Żyd przycichł i rozkraczył nogi. Kudria prawą ręką wyciągnął kindżał i zarżnął starca ostrożnie, żeby się nie zabryzgać. [...] Z okna widzę

posiadłości hrabiów Raciborskich – łąki i plantacje chmielu, kryjące się za wieczornymi wstęgami z mory. [...] W dole, na dziedzińcu zamkowym, zebrali się ludzie na wiec. Przyszli tu chłopi, Żydzi i garbarze z przedmieść. Bucha nad nimi płonący uniesieniem głos Winogradowa i brzęk jego ostróg. Winogradow mówił o drugim kongresie Międzynarodówki. [...] Głos komisarza w dole nie milknie. Z pasją przekonywa zaskoczonych mieszczan i obrabowanych Żydów: – Władza – to wy. Wszystko dokoła jest wasze. Nie ma już panów. Przystępuję do wyborów komitetu rewolucyjnego[294].

Wojsko polskie nieodmiennie usiłowało udaremnić wysiłki Sowietów. Polscy dowódcy otrzymali wyraźne instrukcje: „wyszukiwać i aresztować wszystkich mieszkańców, którzy podczas inwazji [bolszewickiej] działali wbrew interesom wojska i państwa polskiego". Takie osoby należało postawić pod najbliższy sąd polowy „albo też – w przypadku niewystarczających dla sądu dowodów – internować". Nietrudno sobie wyobrazić skutki tak prymitywnych instrukcji. Żandarmeria przetrząsała miasteczka i wsie, siejąc postrach i grozę. „Aresztowania na chybił trafił, obowiązkowe bicie i przejawy sadyzmu w śledztwie, masowe egzekucje" – to wszystko służyło sprawie, z którą miało skończyć. Ukraińscy i białoruscy chłopi, którzy pomagali wcześniej Armii Czerwonej, teraz za to zapłacili[295].

Liczna na Kresach społeczność żydowska cierpiała podwójnie. Żydzi stanowili główną warstwę kupiecką, a zarazem tworzyli jedyny zwarty krąg radykalnej inteligencji. Armia Czerwona prześladowała tych pierwszych, a zabiegała o tych drugich. Bolszewicka propaganda zręcznie wykorzystywała sytuację. Nie ma bodaj numeru „Czerwonej Gwiazdy" czy „Sztandaru Komunizmu" bez nagłówków w rodzaju „Zgwałcona Żydówka" bądź „Święte Księgi spalone przez Biełopolaków"[296]. Wojsko polskie miało odwrotne preferencje. Polacy tolerowali na ogół żydowskich kupców, których łączyły tradycyjne więzy z polską szlachtą i mieszczaństwem, natomiast prześladowali żydowską inteligencję. Społeczności żydowskie, skupione w miasteczkach (sztetlach), pierwsze padały ofiarą grabieży i okrucieństw obu stron, a także podejrzeń o udzielanie schronienia wrogowi, handel z nim lub szpiegowanie na jego rzecz.

Schemat ten był jednak daleki od regularności. W lipcu 1920 roku w Węgrowie – pod okupacją sowiecką – było spokojnie. Polski burmistrz pozostał na urzędzie. W miejskim komitecie rewolucyjnym działało dwóch Żydów. Do Armii Czerwonej zgłosiło się 50-60 młodych Żydów. W sierpniu wrócili Polacy, co spowodowało więcej kłopotów. Sklepy, głównie żydowskie, były przez pięć dni obiektem przymusowych rekwizycji. Doszło do zamieszek, w trakcie których polska ludność cywilna wyrządziła szkody na sumę 50 tysięcy marek. W dzień targowy polscy oficerowie nie pozwolili Żydom otworzyć straganów i zmusili podejrzanych o „kolaborację" do czyszczenia publicznych szaletów[297]. W Łukowie – miasteczku leżącym między Lublinem a Brześciem – w komitecie rewolucyjnym zasiadało trzech Polaków i dwóch Żydów, choć społeczność żydowska stanowiła tam siedemdziesiąt pięć procent ludności. Powrotowi Polaków towarzyszyły grabieże; miejscowy rabin, który interweniował u polskiego oficera, został poturbowany[298]. W Grodnie czerwonoarmiści „rozstrzelali kilku bogatych Żydów", a w Lidzie – przed ewakuacją – wymordowali polskich jeńców i okaleczyli ich ciała[299].

Najostrzejsze represje polityczne dotknęły Wilno. Podczas polskiej okupacji miasta od kwietnia 1919 roku zabito sześćdziesiąt pięć osób – głównie Żydów. Podczas sowieckiej okupacji w lipcu 1920 roku wymordowano dwa tysiące osób, głównie Polaków, przede wszystkim za sprawą „czeriezwyczajki" kierowanej przez Żyda, Polaka i

dwóch Litwinów. Pucz generała Żeligowskiego w październiku 1920 roku przebiegł całkowicie bezkrwawo[300].

Jesienią 1920 roku polska komisja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Daszyńskiego zapoznała się ze świadectwami przedstawionymi przez sejmowy klub posłów żydowskich. Większość rażących krzywd niezwłocznie naprawiono. Internowani zostali wypuszczeni na wolność; zarzuty polityczne zostały wycofane; obozy internowania zlikwidowano. Kwestia żydowska, która groziła, jak się jeszcze niedawno wydawało, narodowym rozłamem, pod koniec 1920 roku przygasła i stała się jedynie przedmiotem sejmowej retoryki. Przywódcy społeczności żydowskich, widząc bolszewickie prześladowania tradycyjnych żydowskich organizacji, zaakceptowali polską władzę jako mniejsze zło. W grudniu 1920 roku Konferencja Żydowska w Galicji Wschodniej głosowała za włączeniem regionu do Polski[301]. W 1921 roku w Wilnie wspólnota żydowska nie wzięła udziału w głosowaniu, co zagwarantowało Polakom większość i oznaczało zgodę na późniejsze połączenie Litwy Środkowej z Rzecząpospolitą Polską[302].

Jeśli idzie o problemy społeczne na Kresach, wojna polsko-bolszewicka nie przyniosła żadnych pozytywnych rozwiązań. Sowieci próbowali wprawdzie zniszczyć stary porządek, ale w 1920 roku nie było jeszcze jasne, czym zamierzają go zastąpić. Chłopi powitali z radością parcelację latyfundiów, lecz nie przyjmowali z zachwytem pomysłów kolektywizacji. Polaków, mimo że na niektórych terenach brali stronę posiadaczy ziemskich, większość ludności (dla której „walka klasowa” była bezsensownym gadaniem) uznawała za strażników prawa i porządku. Ich powrót powitali z ulgą hierarchowie Kościoła prawosławnego, unickiego i katolickiego, a także mniejszości narodowe: żydowska, tatarska i niemiecka; poza Litwinami rozmaite organizacje narodowościowe pogodziły się z nową władzą. Sowieci byli powszechnie kojarzeni z anarchią; ich hasła przemawiały głównie do drobnych handlarzy i małorolnych chłopów, którzy korzystali na ogólnym rozprzężeniu; ich perspektywiczny program nie został wprowadzony w życie – nie byłby zresztą zrozumiały; ich odejścia nie opłakiwał prawie nikt.

* * *

Pobicie Armii Czerwonej i odepchnięcie jej w głąb Rosji niewątpliwie służyło interesom państw alianckich. System kapitalistyczny w Europie Wschodniej został ocalony przed kompromitacją; uzgodnienia z Wersalu pozostały nadal w mocy; egzekwowanie kar nałożonych na Niemcy mogło przebiegać bez zakłóceń; cała uwaga mocarstw europejskich mogła się zwrócić ku ich kolonialnym imperiom. To wszystko było w dużej mierze zasługą Piłsudskiego i polskiej armii.

Wszelako ani sam Piłsudski nie uważał siebie za sługę aliantów, ani nie był w ten sposób postrzegany przez rządy sprzymierzonych. Marszałek obronił Polskę dla niej samej – za cenę polskiej krwi. Nie dbał wiele o Francję, jeszcze mniej o Wielką Brytanię, a zupełnie wcale o „interes aliantów”. Rządy ententy zdawały sobie z tego sprawę, co pogłębiało ich irytację.

Stosunek rządu brytyjskiego do Polski był jeszcze chłodniejszy po Bitwie Warszawskiej niż przed nią. Lloyd George oddał stery polityki zagranicznej wobec Polski w ręce Curzona, a Curzon był wściekły. Zniósł bowiem podwójne upokorzenie: najpierw został pozbawiony swoich urzędowych kompetencji, a potem musiał przyglądać się

zupełnie niezasłużonemu triumfowi premiera. Teraz zaś poproszono go, by posprzątał bałagan. Stosunki angielsko-polskie, już bardzo nadwerężone, pogorszyły się jeszcze bardziej po powrocie D'Abernona do Berlina i przeniesieniu Rumbolda do Stambułu. Brytyjscy urzędnicy konsekwentnie okazywali niechęć przedstawicielom Polski w rewanżu za niesubordynację Piłsudskiego. Gdy poseł w Londynie Jan Ciechanowski poprosił o spotkanie w MSZ, aby poskarżyć się na brak zrozumienia dla polskich problemów ze strony brytyjskiego rządu, wysłuchał następującej tyrady z ust szefa Wydziału Północnego Johna Duncana Gregory'ego:

Zarzuca Pan Wielkiej Brytanii nastawienie uparcie antypolskie. Tymczasem jest całkiem odwrotnie. Jesteśmy jednak bardziej przewidujący od was i bardziej świadomi niebezpieczeństwa – z którego wy, jak się wydaje, nie zdajecie sobie sprawy – iż nowy rozbiór [Polski] nie jest bynajmniej wykluczony. Rosja i Niemcy są ciągle prowokowane; na długą metę Historia się powtórzy, a my nie tylko będziemy bezradni, ale i nie będziemy skłonni do pomocy, jeśli nieszczęście, które spadnie na Polskę, będzie wynikiem odrzucenia przez nią naszych rad [...][303].

Słowa Gregory'ego były dziwnie prorocze i na długą metę w pełni trafne; niemniej jednak na krótką metę były obraźliwie protekcjonalne. Pod koniec roku Curzon posunął się jeszcze dalej. 6 grudnia otrzymał memorandum, w którym przewidywano rychły upadek Polski na skutek chaosu ekonomicznego. Jego eksperci zaproponowali, by poprosić gabinet o udzielenie Polsce kredytu w celu zapobieżenia katastrofie. Curzon odmówił:

Polacy zupełnie utracili sympatię gabinetu na skutek własnej lekkomyślności, niekompetencji i głupoty. [...] Pacjent musi ufać swojemu lekarzowi, musi być lojalny, pomocny i posłuszny. Polska nie posiada żadnej z tych zalet, a wysiłki na rzecz jej reanimacji stanowiłyby europejski odpowiednik doświadczeń, z jakimi mamy teraz do czynienia w Persji[304].

Jeśli chodzi o Curzona bądź rząd brytyjski, Polska mogła sobie ginąć. Nastrój Curzona stanowił konsekwencję jego zawiedzionych nadziei, że Piłsudski da sobą sterować. Na marginesie dokumetu dotyczącego październikowego kryzysu w Wilnie Curzon dopisał: „Młócimy słomę i próbujemy ukryć własną bezradność"[305].

Rząd francuski był mniej rozgoryczony, ale daleki od entuzjazmu. Millerand, tak jak Lloyd George, chętnie spoczął na niezasłużonych laurach i pozostawił politykę polską w rękach swoich podwładnych. Wśród nich narastał jednak poważny konflikt[306]. Po powrocie do Paryża Misja Międzysojusznicza doprowadziła do odwołania z Warszawy generała Henrysa, szefa Francuskiej Misji Wojskowej, gdyż powszechnie uważano, że jest zbyt uległy Piłsudskiemu. Francuskie ministerstwo wojny uznało za stosowne zinterpretować jego dymisję jako wendetę ze strony Quai d'Orsay, które w lutym musiało przełknąć zniewagę polegającą na odwołaniu z Warszawy własnego przedstawiciela Eugène'a Pralona, gdyż ten wszedł w spór z generałem Henrysem. Teraz Henrysa zastąpił generał Niessel, którego otwarte poparcie dla Wrangla okazało się wyjątkowym nietaktem. Tym samym Niessel udaremnił długotrwałe zabiegi francuskiego ambasadora w Warszawie Hectora de Panafieu, któremu zależało na przywróceniu normalnych stosunków z Polską. Dopóki trwała kariera Wrangla, stanowiła ona istotne źródło tarć pomiędzy Warszawą a Paryżem. Ponieważ rząd francuski oficjalnie go uznał, oczekiwał od swojego polskiego klienta współdziałania z interwentami. Tymczasem Piłsudskiego Wrangel obchodził równie mało jak Denikin; Naczelnik ignorował prośby księcia Sapiehy, by zaoferować pomoc Wranglowi albo przynajmniej tak zsynchronizować operacje wojskowe, by było to dla

niego korzystne[307]. Przerwanie działań na froncie polskim bezpośrednio ułatwiło 13. Armii szturm na Perekop 7 października 1920 roku i późniejsze unicestwienie Wrangla. Zarazem jednak usunęło przyczynę tarcia w stosunkach z Francuzami. Pod koniec roku relacje te uległy zdecydowanej poprawie. 3 lutego 1921 roku Piłsudski odbył podróż do Paryża, gdzie został ciepło przyjęty przez prezydenta Milleranda i wziął udział w przygotowaniu traktatu polsko-francuskiego. Z pewnością uwadze Marszałka nie umknął fakt, iż towarzysząca traktatowi konwencja wojskowa została przedstawiona w momencie, gdy pomoc wojskowa nie była już Polsce pilnie potrzebna, a francuska polityka aktywnego wspierania operacji antybolszewickich została całkowicie zarzucona.

Rozdźwięk między polityką brytyjską a francuską w Europie Wschodniej nigdy nie był większy niż jesienią 1920 roku. Od sierpnia do listopada jednostronne uznanie przez Francję Wrangla za *de facto* władcę Rosji było traktowane w Londynie jako zdrada zaufania i rażące pogwałcenie umowy z 16 stycznia. Posunięcie to stanowiło oczywisty powrót do uprzedniej polityki interwencjonistycznej i było radykalnie sprzeczne z polityką handlu z Rosją zaproponowaną przez Lloyda George'a. Pierwsza próba zasypania przepaści między obydwoma krajami nastąpiła w październiku. Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja były nader krytyczne w stosunku do Piłsudskiego: ta pierwsza w związku z jego zakusami na Wilno, ta druga na skutek jego lekceważenia Wrangla. 5 października Curzon wysunął propozycję „wspólnego działania przeciwko skrajnie militarystycznemu stronnictwu w Polsce"; 10 października, kiedy przejęcie Wilna przez Żeligowskiego stało się faktem dokonanym, Curzon zaproponował zerwanie stosunków dyplomatycznych z Polską[308]. Jego zamiary zostały jednak udaremnione przez „fikcję" buntu. Kiedy ambasador Panafieu złożył protest w imieniu państw sprzymierzonych, Piłsudski oświadczył, że „prędzej złoży swój urząd [...] i zamieszka w Wilnie jako prywatny obywatel, niż porzuci swoich żołnierzy i rodaków"[309]. Rząd polski oficjalnie zdystansował się wobec akcji Żeligowskiego i wyparł się wszelkiej odpowiedzialności. Propozycje Curzona nie przyniosły żadnych rezultatów poza deklaracją jego kontrpartnera – ministra Leygues'a – iż poselstwa brytytyjskie i francuskie w Warszawie powinny odtąd działać w porozumieniu[310]. Na przeszkodzie zgodnemu działaniu stanęły jednak wydarzenia na Górnym Śląsku, gdzie okazało się, że francuscy oficerowie z Misji Międzysojuszniczej konspirują z polskimi powstańcami, natomiast oficerowie brytyjscy współpracują po kryjomu z Niemcami. We wrześniu Curzon zagroził wycofaniem całego kontyngentu brytyjskiego z Misji Międzysojuszniczej, jeśli jej przewodniczący generał Le Rond nie zostanie usunięty[311]. Le Rond pozostał na stanowisku. W październiku brytyjskie poselstwo w Warszawie zarzuciło generałowi Niesselowi, że doradził Polakom przewiezienie dywizji z frontu sowieckiego na Górny Śląsk[312]. W grudniu przedstawiciel Wielkiej Brytanii na Górnym Śląsku pułkownik Percival zażądał wydalenia z regionu przywódcy śląskiego Wojciecha Korfantego[313]. Francuzi odmówili. Rząd brytyjski przywiązywał wielką wagę do idei, iż pomyślność Europy zależy od gospodarczej prężności Niemiec. Francuzi wyrazili odmienny pogląd. Lloyd George nie chciał oddać Górnego Śląska Polsce bez plebiscytu. Plebiscyt odbył się 20 marca 1921 roku; aliancka Rada Najwyższa zajęła się tą kwestią w sierpniu tegoż roku; podział Górnego Śląska nastąpił dopiero 12 października. Rozdźwięk między Francją a Wielką Brytanią wywołany stosunkiem do Polski trwał więc ponad rok.

Rzeczywisty stan stosunków między Polską a ententą w okresie wojny polsko-bolszewickiej jest nadal błędnie oceniany przez historyków, którzy posługują się przede wszystkim logiką. Logika uzasadnia na przykład pogląd, że to nie rząd brytyjski, lecz francuski – żywotnie zainteresowany sytuacją na kontynencie europejskim i bardziej niechętny bolszewizmowi – powinien grać pierwsze skrzypce w trakcie formułowania polityki aliantów wobec Polski. Logika nakazuje oczekiwać, że ententa będzie wspierać Polskę przeciw Rosji. Owszem, gdyby Warszawa w rzeczywistości padła, ta logika prawdopodobnie wzięłaby górę. W praktyce jednak okazało się, że nie wzięła. Niezależnie od dalszego ciągu wydarzeń, w latach 1919-1920 osobista dominacja Lloyda George'a, szereg słabych ministrów w Paryżu, ciągła krnąbrność Piłsudskiego, rozmaite spory w kwestii Wilna, Wrangla i Górnego Śląska pozbawiły Francję należnego jej miejsca w Warszawie, Polskę zaś pomocy, której mogła zasadnie oczekiwać. Ten stan rzeczy w pełni rozumiał książę Sapieha i nad nim ubolewał[314]. Wbrew uparcie powtarzanym opiniom ententa nie odegrała roli protektora Polski; ententa bynajmniej nie wspierała Polski ani politycznie, ani moralnie, ani też – na wielką skalę – materialnie. W fazie wojny do lipca 1920 roku polityka ententy nie była polityką neutralności, lecz oficjalnego *désintéressement*; wielkość francuskiej pomocy militarnej dla Polski była dostosowana jedynie do celów defensywnych. W okresie od sierpnia 1920 roku ententa dawała nieustannie i konsekwentnie wyraz swojej dezaprobacie w stosunku do Piłsudskiego, rządu polskiego i polskich aspiracji – do tego stopnia, że próbowała usunąć Naczelnika, zakwestionować rząd i storpedować aspiracje. Francuska pomoc wojskowa została zredukowana do jednej ósmej poprzedniego, defensywnego poziomu. „Młodszy", „słabszy" i „zależny" partner ententy zdołał jednak wygrać wojnę i wynegocjować pokój samodzielnie. W tym momencie – to znaczy na początku 1921 roku – rząd francuski zaczął popierać Polskę; w tym samym roku dołączył do niego rząd brytyjski. Można tylko za Hamletem wyprowadzić wniosek, że czasem świat naprawdę „wychodzi z formy".

Najlepszego przykładu nienaturalnego stosunku ententy do Polski dostarcza przemówienie Paderewskiego przed zgromadzeniem założycielskim Ligi Narodów 4 grudnia 1920 roku. Liga została utworzona przez zwycięskich aliantów i to oni decydowali o jej profilu. Od samego początku istnienia Ligi jej członków łączyła wrogość w stosunku do bolszewizmu. I oto w grudniu 1920 roku wojna polsko-bolszewicka dobiegała końca; czerwona zaraza została powstrzymana; interesy ententy zostały zaspokojone. Tymczasem porządek dzienny obrad Ligi aż roił się od skarg na Polskę: w związku z inwazją na Ukrainę, okupacją Wilna, domniemanymi zbrodniami na Śląsku. W atmosferze ogólnego potępienia Paderewski zabrał głos:

La Pologne remplira sa mission jusqu'au bout et fera son devoir, tout son devoir. Elle défendra son indépendence. Elle n'acceptera jamais des conditions incompatibles avec son honneur. En agissant autrement, elle serait indigne de la Société des Nations[315].

Jego przemówienie było sprzeczne z *raison d'être* Ligi, to znaczy z ideą pokojowego rozwiązywania sporów pod egidą ententy. Tymczasem, wbrew logice, zostało przyjęte gromkimi brawami.

* * *

„Znużenie wojenne" niewątpliwie przyczyniło się do zakończenia działań militarnych, a także odegrało istotną rolę w okresie rozejmu, gdy zastanawiano się nad tym, czy można bądź należy podjąć je na nowo. Zarówno w Polsce, jak i w Rosji nędza jednostek, rozprzężenie społeczne, chaos gospodarczy i niezadowolenie polityczne osiągnęły stan alarmowy.

Nie da się wszakże oddzielić znużenia wojną polsko-bolszewicką od skutków wcześniejszej wojny światowej i wojny domowej. Kiedy ta wojna się rozpoczynała, Polacy i Rosjanie opłakiwali już swoje „stracone pokolenia", wygrzebywali się z rumowisk po zburzonych imperiach, żyli w nędzy i anarchii. Nie da się ocenić wpływu wojny na istniejący ład, jeśli ład ten został już wcześniej zniszczony. Jeśli idzie o sferę ekonomiczną, w latach 1919-1920 wydarzyło się niewiele nowego. Przemysł wojenny niemal nie istniał. W 1920 roku Polska nie mogła wyprodukować niczego bardziej skomplikowanego od granatów ręcznych; Rosja sowiecka nie mogła nawet zaspokoić zapotrzebowania swoich wojsk na karabiny. System monetarny niemal nie istniał. W obu krajach walutą były nadal ruble carskie, nie wspominając już o austriackich markach, banknotach Kiereńskiego, złotych pierścionkach czy cukrze. Rozwój instytucji państwowych nie był zasługą wojny, lecz administracyjnej próżni. Przedsięwzięcia gospodarcze państwa związane z prowadzeniem wojny były nader nieliczne. Wybudowanie linii kolejowej z Gdyni na Hel, aby ominąć Gdańsk, oraz budowa portu w Gdyni (pomysł generała Sosnkowskiego) to przykłady odosobnione. Reforma rolna, przyjęta przez Sejm 15 sierpnia 1920 roku, została uchwalona w duchu Leninowskiego „Dekretu o ziemi" z 1917 roku, to znaczy dano chłopom ziemię, ponieważ brali ją już sobie sami; było to raczej szczere przyznanie się do tego, że rząd nie panuje nad sytuacją, niż przykład dynamicznej polityki gospodarczej. Generalnie w latach 1919-1920 w Polsce funkcjonowała gospodarka nastawiona na przetrwanie, w Rosji zaś „komunizm wojenny". Wojna polsko-bolszewicka przyczyniła się jedynie do utrwalenia istniejącej nędzy. Została rozegrana kosztem ludzkich nerwów, resztek odziedziczonych zasobów, a także dzięki pomocy zagranicznej oraz broni z demobilu. O wiele łatwiej określić konsekwencje jej zakończenia niż prowadzenia.

W Polsce nędzne warunki życia czyniła znośniejszymi wiara, iż „zwycięstwo" przyniesie poprawę. Sytuacja nie poprawiła się jednak z dnia na dzień, a w istocie rzeczy uległa na pewien czas pogorszeniu. Zima z roku 1920 na 1921 była naprawdę ciężka. Demobilizacja rozpoczęła się w styczniu 1921 roku. Ogólne straty wynosiły ćwierć miliona ludzi; liczba zabitych doszła niemal do 48 tysięcy. Straty materialne szacowano na 10 miliardów franków w złocie. Żołnierze powracali do rodzin, których nie mogli utrzymać. Na wsi parcelacja gruntów przebiegała w żółwim tempie; właściciele ziemscy pilnowali własnych interesów; chłopi na ziemiach wschodnich przyglądali się bezradnie, jak powraca *ancien régime*. W miastach nie można było znaleźć pracy. Przemysł nie mógł ruszyć z miejsca. W związku z przygotowaniami do plebiscytu na Śląsku brakowało węgla; nie podejmowano prywatnych inwestycji; banki nie udzielały kredytów. Inflacja szalała. Kurs marki polskiej wobec dolara wzrósł z 9 pod koniec grudnia 1918 roku do 110 w roku 1919, do 590 w roku 1920 i do 2922 w roku 1921. Ceny pięły się w górę. W 1921 roku siła nabywcza pensji warszawskiego metalowca spadła czterokrotnie od 1914 roku. Zaogniła się sytuacja polityczna. Rząd koalicyjny zaczął się rozpadać. W listopadzie 1920 roku rezygnację złożył Grabski, w grudniu zaś Daszyński. Wybuchały strajki. W lutym 1921

roku przerwali pracę kolejarze, w marcu – robotnicy rolni, w kwietniu – górnicy. W marcu 1921 roku Polska została sparaliżowana przez strajk generalny, militaryzację kolei, stan wyjątkowy oraz konkurencyjne demonstracje w sprawie uchwalanej konstytucji. W pewnym sensie manifestacje te były luksusem możliwym dzięki pokojowi. Dzięki pomocy amerykańskiej oraz przyzwoitym plonom nikt nie głodował; nikt też nie wątpił, że pierwsze żniwa w dobie pokoju będą jeszcze lepsze; wiosną 1921 roku nikt poważny nie sugerował, że Rzeczpospolita jest skończona. Powojenne rozczarowanie osiągnęło w Polsce swój zenit dopiero w roku 1923.

W Rosji sowieckiej sytuacja była poważniejsza. Wprawdzie informacje o klęsce Armii Czerwonej na Froncie Zachodnim zrównoważyły wieści o zwycięstwie nad Wranglem na Krymie, lecz warunki panujące na zachodnich obszarach kraju były alarmujące. Groźba katastrofy zimą z roku 1920 na 1921 była tym dotkliwsza, że pojawiła się po względnie spokojnym lecie. Budionny wspomina, że pod koniec sierpnia jego ludzie zaczęli tracić serce do kampanii polskiej. „Znów tylko złe wiadomości z domu", powiedział jeden z nich; „My tu walczymy o władzę sowiecką w Galicji [...], a tam, w Kraju Rad, nasi rodzice, żony i dzieci walczą z głodem"[316]. Gdy Tuchaczewski szedł wciąż na Warszawę, protokół z zebrania lokalnego komitetu partii w Smoleńsku ujawnił „poważne pogorszenie się sytuacji w zaopatrzeniu":

1. Kiepski stan młynów i niewystarczające dostawy chleba. Trzeba zmusić ludność do naprawy młynów.
2. Chłopi nie mielą na mąkę całego zboża. Trzeba wzmocnić „prodotriady" [oddziały zaopatrzeniowe].
3. Brakuje worków. Trzeba zmobilizować kobiety do szycia.
4. Brakuje juty na worki. Trzeba zaktywizować produkcję niektórych fabryk.
5. Brak odpowiedzialnych aktywistów partyjnych do prowadzenia kampanii zaopatrzeniowej w miastach.
6. Kiepski stan dróg i mostów. Trzeba nakłonić ludność do robót drogowych.
7. Brak współdziałania między urzędami zaopatrzenia a innymi urzędami radzieckimi.

Towarzysz Perno podkreślił konieczność zebrania większej ilości ziemniaków, gdyż nie ma już ziarna z ubiegłego roku.

Towarzysz Władimirow oświadczył, że sam garnizon smoleński zużywa miesięcznie 1382 tony mąki, a w obecnej chwili nie ma żadnych zapasów.

Mundury: jest dość materiału na uszycie miesięcznie 50-60 tysięcy mundurów, ale trzeba było przedłużyć dzień roboczy w szwalniach z ośmiu do dziesięciu godzin. [...]

Uchwalono: naprawić młyny, wyreperować drogi i mosty, znaleźć paliwo, utworzyć brygady ziemniaczane, dać pierwszeństwo zaopatrzeniu wojskowemu, przenieść robotników na front zaopatrzeniowy, poprawić propagandę[317].

Człowiek zastanawia się, jakie efekty mogły przynieść takie rezolucje, skoro za każdym razem „trzeba" było wpływać na ludność metodami policyjnymi. Front Zachodni najwidoczniej borykał się z problemami zaopatrzeniowymi nawet w okresie, kiedy był u szczytu powodzenia, a jego żołnierze mieli pierwszeństwo. Podczas odwrotu ich sytuacja musiała być znacznie gorsza.

Jesienią otwarte bunty szerzyły się niczym pożar na stepie. 3 września, ledwie dwa tygodnie po Bitwie Warszawskiej, smoleński komitet partii omawiał sytuację w garnizonach regionu:

Towarzysz Miłow: Mamy doniesienia, że w oddziałach rezerwowych panuje niepokój. Prowadzona jest intensywna agitacja przeciw władzy radzieckiej, która rozpoczęła się po przybyciu pewnych elementów z Armii Czerwonej z Dorohobuża. Przygotowujemy się do wycofania wszystkich tych oddziałów.

Towarzysz Iwanow: Niedawny bunt garnizonu w Rosławlu jest rezultatem fatalnej sytuacji materialnej. Sytuacja jednostek smoleńskich nie jest lepsza. Podstawy ekonomiczne do niezadowolenia są wyraźne, a białogwardyjskie

podżeganie w Rosławlu nie pozostaje bez związku z tym faktem. Kontrrewolucyjne apele padają na podatny grunt [...].

Towarzysz Waszkiewicz: Sytuacja zaogniła się na skutek bezpartyjnego wiecu zwołanego pod kontrrewolucyjnymi hasłami. Ma się tym zająć Sekcja Specjalna [Czeka]. Normalna robota polityczna stanęła.

Towarzysz Andriejew: W Jelnie i Dorohobużu panuje wielkie niezadowolenie; mamy do czynienia z dezercją na dużą skalę, zwłaszcza w roczniku 1901. W Jelnie podjęto decyzję o dystrybucji kołchozowych zapasów żywności, żeby zapobiec otwartemu buntowi. Jeśli nie przezwyciężymy tych trudności, możemy się spodziewać gorszych incydentów niż jesienią 1918.

Dowódca garnizonu Sokołow: Sytuacja ma podłoże czysto ekonomiczne; może tu pomóc jedynie poprawa zaopatrzenia.

Towarzysz Pietrajew: W naszym obwodzie mamy zakwaterowanych ćwierć miliona ludzi. Żołnierze Armii Czerwonej przebywają na kwaterach nienadających się do zamieszkania. Trzeba ich albo wysłać na front, albo rozpuścić na wieś, co spowoduje rozproszenie całego wojska. Można ich ubrać, tylko odbierając ludziom ubrania siłą [...].

Towarzysz Miłow: Tak czy owak, musimy postawić Sekcję Specjalną w stan gotowości[318].

Kłopoty zaczęły się w Wiaźmie, jakieś 250 kilometrów na zachód od Moskwy. Wiaźma była małym miasteczkiem prowincjonalnym, które służyło jako centrum zaopatrzenia dla całego Frontu Zachodniego. Posiadało bowiem znakomite połączenia komunikacyjne z Piotrogrodem, Kijowem oraz Moskwą, skąd przybywały dostawy i odwody ze wszystkich krańców Rosji, aby następnie trafić do Smoleńska, Połocka i Mińska. Wiaźma stanowiła więc naturalny punkt ogniskowy dla złych wiadomości i rozgoryczonych żołnierzy. W sierpniu 1920 roku tamtejsze magazyny z zaopatrzeniem dla armii Tuchaczewskiego doszczętnie spłonęły. Ponieważ nie znaleziono winowajcy, rząd centralny w Moskwie obciążył winą miejscowych urzędników partyjnych i postanowił się z nimi rozprawić. Część komunistów osądzono doraźnie pod zarzutem zaniedbania obowiązków. Niektórych rozstrzelano, innych skazano na długoletni pobyt w obozie pracy. Robota polityczna w regionie stanęła. Niezadowolenie przeniosło się do sąsiednich garnizonów, zwłaszcza do Rosławla, gdzie trzeba było stłumić otwarty bunt, używając broni. Przez całą jesień obwodowy sekretarz partii Iwanow podróżował do Moskwy i z powrotem, na próżno błagając swoich nieprzejednanych zwierzchników o litość i łaskę[319].

W styczniu 1921 roku sytuacja obwodów zachodnich stała się tragiczna. Coraz liczniejsze bandy maruderów włóczyły się bezkarnie po okolicy. Amnestia dla dezerterów, którą centralne władze wojskowe ogłosiły 7 listopada 1920 roku, nie przyniosła większych efektów. Czeka nie dawała sobie rady z tym problemem[320]. W obwodzie smoleńskim wolała się więc skupić na pozostałych garnizonach Armii Czerwonej i innych łatwych celach, takich jak spekulanci, nielegalni drukarze czy „podejrzani obcokrajowcy, a zwłaszcza obywatele polscy". Liczba zatrzymanych w prowizorycznym „areszcie śledczym" czeriezwyczajki osiągnęła szczyt pod koniec lutego. Na użytek więźniów, których nie rozstrzelali, czekiści prowadzili obóz koncentracyjny. Ich „sprawiedliwość" była nader nieprzewidywalna. Potrafili skazać „spekulanta" na pół roku obozu; taki sam wyrok otrzymał człowiek oskarżony o „działalność kontrrewolucyjną i pijaństwo", „agitator" zaś dostał dwa lata. Rozstrzelano natomiast złodzieja, który ukradł trochę cukru, a także dwóch czekistów za kradzież mięsa. Szerzący się głód, anarchia i czerwony terror pogrążyły zachodnie prowincje w równie głębokim kryzysie jak podczas najczarniejszych dni wojny domowej. Jest więc nie do pomyślenia, by sowiecki rząd, nawet gdyby chciał, mógł w takich warunkach ponownie rozpocząć na tym terenie wojnę z Polską. Na Froncie Zachodnim „władza rad" osiągnęła kres wytrzymałości.

* * *

Jeśli – zgodnie z maksymą – wojna jest domeną niepewności, to zawieranie pokoju stanowi siostrzaną domenę podwójnej niepewności. Rozmowy pokojowe, które rozpoczęły się 17 sierpnia w Mińsku, były równie nieprzewidywalne jak działania wojenne i pozostały takie długo po zakończeniu walk. Ich ostateczny rezultat, osiągnięty po siedmiu miesiącach negocjacji, stanowił odwrotność celu, w jakim zostały pierwotnie podjęte.

Konferencja w Mińsku została zwołana po to, by spożytkować owoce sowieckiego zwycięstwa. Zorganizowano ją w momencie, gdy wojska Tuchaczewskiego zbliżały się do Warszawy. Pierwsza sesja plenarna odbyła się 17 sierpnia, kiedy rezultaty bitwy nie były jeszcze znane. Wymieniono listy uwierzytelniające; powstało przy tym pewne zamieszanie, ponieważ Polacy nie zdawali sobie sprawy, że znajdują się w stanie wojny nie tylko z Rosyjską Federacyjną SRR, ale również z państwem, którego nigdy dotąd nie uważali za odrębny organizm, a mianowicie z Ukraińską SRR. 19 sierpnia przewodniczący delegacji sowieckiej Karł Daniszewski przedstawił warunki swojego rządu[321]. Polsce wspaniałomyślnie pozostawiono Chełm oraz całe terytorium na zachód od linii Curzona, natomiast warunki dotyczące organizacji wewnętrznej Rzeczypospolitej były surowe. W punkcie 4. ograniczono wielkość polskich sił zbrojnych do 50 tysięcy żołnierzy oraz 10 tysięcy personelu; uzupełniać je miała milicja obywatelska złożona z robotników. Punkt 6. mówił o rozbrojeniu wojska polskiego do poziomu określonego w punkcie 4. oraz o przekazaniu wyposażenia wojskowego – pod nadzorem sowieckim – milicji obywatelskiej. Przewodniczący delegacji polskiej Dąbski poprosił o czas na rozważenie tych warunków, gdyż w przedstawionych powyżej punktach wykraczały one poza jego instrukcje (stanowiły bowiem istotne rozszerzenie listy warunków wstępnych podanej przez Kamieniewa). 20 sierpnia na ulicach Mińska rozwieszono manifest Tuchaczewskiego, w którym delegacja polska została oskarżona o naruszenie ładu publicznego oraz o próby szpiegostwa. Miejscowy dowódca Czeka odwiedził Dąbskiego, by go ostrzec, iż z trudem powstrzymuje oburzenie lokalnej ludności. Przez cały ten okres polska delegacja nie mogła opuszczać miejsca zakwaterowania. Jej radiostacja była bez przerwy zablokowana przez „zakłócenia atmosferyczne”[322]. Jak wyjaśnił Daniszewski, w okolicy nadawały niezależne radiostacje Armii Czerwonej, nad którymi nie miał kontroli; zaproponował Dąbskiemu, by komunikował się z Warszawą telegraficznie *via* Moskwa[323]. Podczas rozmów wywiązał się spór na temat przyczyn działań wojennych. Polacy wyrazili pogląd, że źródłem wojny była sowiecka operacja „Cel Wisła” w latach 1918-1919; Rosjanie natomiast uważali, iż jej przyczyną była wojenna polityka polskiego rządu jaśniepanów[324]. Dąbski oświadczył, że żołnierz polski nigdy nie postawił stopy na „ziemi rosyjskiej” (miał na myśli etnicznie rosyjskie terytorium wielkoruskie), Ukraina zaś została zajęta tylko po to, by ochronić jej prawo do samostanowienia. Z kolei Daniszewski stwierdził, że Armia Czerwona wkroczyła na ziemie polskie w akcie samoobrony. Każda z tych opinii zawierała jakieś ziarno prawdy. W tym momencie radiooperator polskiej delegacji zdołał odebrać fragment komunikatu wojennego nadanego z Warszawy. Dowiedział się, że wojska Tuchaczewskiego, po utracie setek dział i tysięcy jeńców, znajdują się w pełnym odwrocie. Na kolejnej sesji plenarnej 23 sierpnia Dąbski oświadczył, że sowieckie warunki są nie do przyjęcia, a dalsza dyskusja jest bezprzedmiotowa[325]. 25 sierpnia był jeszcze bardziej zadziorny, porównując traktowanie Polski przez bolszewików z polityką Katarzyny

Wielkiej. Daniszewski przypomniał mu, że „przegrana operacja nie jest jeszcze przegraną kampanią, a nawet przegrana kampania nie jest jeszcze przegraną wojną”[326]. Do Mińska przybył Radek, żeby zapobiec całkowitemu załamaniu się rozmów. Dla wszystkich było oczywiste, że poprzednia platforma negocjacji uległa zmianie. Aby stworzyć nową atmosferę do rozmów, lepiej odpowiadającą zmienionej sytuacji, podjęto decyzję o przeniesieniu konferencji na terytorium neutralne – do jednego z miast bałtyckich.

We wrześniu, między konferencjami, Polacy prowadzili tę samą grę, którą w lipcu prowadzili Sowieci. Łączyli mianowicie roztropność i anielską cierpliwość na froncie dyplomatycznym z bezlitosną ofensywą na polu bitwy. Podobnie jak Lenin, zamierzali prowadzić rozmowy pokojowe do chwili, kiedy traktat pokojowy mógł zostać niezwłocznie podpisany – gdyby zaszła taka potrzeba. Teraz przyszła ich kolej na zwlekanie, wykręty i szyderstwa. Zdesperowani bolszewicy czekali na zmianę sytuacji militarnej. Jak ujął rzecz Lenin, „idiotyzmem” jest negocjowanie, kiedy własne wojska znajdują się w odwrocie[327]. Z drugiej jednak strony lepiej negocjować, niż przyglądać się destrukcji własnej armii i ofensywie nieprzyjaciela w głąb własnego terytorium. Z tych powodów upłynął niemal miesiąc, zanim powrócono do rokowań.

Wybór miejsca był odzwierciedleniem stanu gry. Cziczerin wolałby jakieś miasto w Estonii – w kraju, który podpisał już traktat pokojowy z Sowietami. Natomiast książę Sapieha wolał Rygę – stolicę państwa, któremu wojsko polskie pomogło przepędzić Armię Czerwoną. Gdy Cziczerin się wahał, 30 sierpnia Sapieha władczo oświadczył, że rząd Łotwy zgodził się gościć w Rydze polsko-sowiecką konferencję pokojową[328]. Następna sesja miała się rozpocząć 21 września.

Przygotowania do rokowań ryskich odzwierciedlały położenie obu walczących stron. Rząd polski uzgodnił swoje stanowisko zawczasu. Na spotkaniu 11 września Rada Obrony Państwa ustaliła instrukcje, które dawały wyraz ostrożnej wierze we własne siły[329]. Stanowiły one, iż przed omawianiem szczegółów należy wpierw osiągnąć porozumienie co do zasady samostanowienia, a wytyczenie przyszłej granicy musi poprzedzać wszelkie rozmowy na temat oficjalnego uznania. Negocjacje powierzono zespołowi, któremu ponownie przewodniczył Jan Dąbski (w jego składzie znalazł się Stanisław Grabski, obdarzony dużym autorytetem endek). Tymczasem rząd sowiecki miał ogromne problemy z ustaleniem własnych planów. Przez cały wrzesień w Komitecie Centralnym toczyła się zażarta debata. Z artykułów, jakie publikował wówczas Trocki – „Konieczna jest kolejna lekcja”, „Jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek”, „Jaśniepanowie nie chcą pokoju” – wynika, że komisarz wojny opowiadał się teraz za przyjęciem wobec Polski twardej linii, czego poprzednio starannie unikał[330]. Bucharin uważał negocjacje z Polską za powrót do mentalności, której konsekwencją był traktat brzeski. Radek, który dopiero co wrócił z Niemiec przez Mińsk, utrzymywał jednak w dalszym ciągu, że pokój na Froncie Zachodnim ma kluczowe znaczenie, gdyż nadzieje na rewolucję w Europie są pozbawione podstaw. Lenin był teraz skłonny się z nim zgodzić. Gdy 16 września sowiecka delegacja wyjeżdżała do Rygi, jej przewodniczący Adolf Joffe – doświadczony negocjator, który prowadził rokowania brzeskie – wciąż jeszcze nie otrzymał precyzyjnych instrukcji. Konkretna decyzja została podjęta dopiero tydzień później i to jedynie na skutek paniki wywołanej przez wiadomości znad Niemna. 23 września Lenin wysłał Joffemu następujący telegram:

Chodzi nam przede wszystkim o to, po pierwsze, byśmy zawarli szybko rozejm; po drugie i najważniejsze, byśmy w

ciągu dziesięciu dni otrzymali rzeczywiste gwarancje skutecznego pokoju. [...] Jeżeli potraficie to uzyskać, możecie pójść na maksymalne ustępstwa terytorialne aż do rzeki Szczara [...] i Styr. [...] Jeśli pomimo naszych wysiłków i ustępstw okaże się to niemożliwe, musicie zdemaskować krętactwa Polaków i przekonać ich o nieuchronności naszej kampanii zimowej[331].

Był to trudny rozkaz. Konferencja w Rydze już się rozpoczęła.

Reprezentacyjna sala ryskiego Pałacu Czarnogłowców (Schwarzhäupterhaus) stanowiła stosowną arenę dla starcia dwóch światów: starego świata Europy, który symbolizowały lśniące mundury i nienaganne maniery polskich oficerów, oraz nowego świata bolszewików, który uosabiał niezbyt reprezentacyjny Joffe: krępy, w wytartym garniturze, z *pince-nez*, hawańskimi cygarami i o powierzchowności zmęczonego gubernatora zamorskiej kolonii. Pozory były jednak mylące, być może w sposób zaplanowany. Polscy oficerowie stanowili wszak najmniej aktywną część własnej delegacji, natomiast umysł Joffego zdecydowanie był świetniejszy niż krój jego ubrania. Rokowania okazały się fascynującą rozgrywką, podczas której Dąbski uparcie bronił lepszej pozycji przetargowej, Joffe zaś demonstrował doskonalsze umiejętności. Pierwszy tydzień przyniósł kilka sensacji, ale żadnego realnego postępu. Na pierwszej sesji 21 września Joffe przejął inicjatywę, wnioskując o uznanie przedstawicieli Ukraińskiej SRR. Był to sprytny sztych. Gdyby Polacy odrzucili teraz punkt przyjęty już na użytek rokowań w Mińsku, daliby pokaz kapryśnego uporu; z kolei ich zgoda oznaczała zasianie sporu we własnych szeregach oraz rezygnację z rozmów na temat przyszłych losów Ukrainy. Dąbski wyraził zgodę. Podczas drugiej sesji 24 września – zaraz po otrzymaniu instrukcji Komitetu Centralnego – Joffe wygłosił dramatyczne oświadczenie: jeśli porozumienie nie zostanie zawarte w ciągu dziesięciu dni, to delegacja sowiecka „zastrzega sobie prawo do zmiany jego warunków". Było to również posunięcie śmiałe, choć ryzykowne. Przede wszystkim zrodziło ono w Polakach przekonanie, że nie są traktowani poważnie, co skłoniło Dąbskiego do zgłaszania zastrzeżeń i przeciągania obrad. Tymczasem opóźnienie było ostatnią rzeczą, na której zależało Joffemu. Wszelako po paru dniach mimo atmosfery nerwowości zawarto kompromis i porozumienie. 1 października Joffe i Dąbski spotkali się prywatnie, skoro w publicznej rozgrywce, polegającej na wymianie ciosów, doszło zasadniczo do sytuacji patowej. W całonocnych rozmowach *tête-à-tête*, prowadzonych po niemiecku, obaj panowie, zamiast zajmować się propozycjami rządowymi, przedyskutowali własne problemy. Joffe oświadczył, że obawia się moskiewskiego „stronnictwa wojny", i podkreślił, że ma więcej do stracenia w razie odrzucenia dziesięciodniowego ultimatum Lenina niż Polacy. Martwiły go informacje o ostatnich klęskach Tuchaczewskiego. Również Dąbski trapił się o swoją pozycję. Wiedział, że nieudany początek konferencji może skłonić Sapiehę do zastąpienia go kimś innym, Piłsudskiego zaś do całkowitej rezygnacji z zabiegów dyplomatycznych. Obaj negocjatorzy dostrzegali widmo fiaska, a perspektywa ta była dla nich nie do przyjęcia. Prywatne spotkania toczyły się dalej i 5 października ubito interes. Joffe zaproponował przyjęcie żądań terytorialnych Dąbskiego *in toto*, o ile już uzgodnione kwestie w rodzaju sowieckiej Ukrainy i polskiej Galicji Wschodniej zostaną zatwierdzone, sowiecki tranzyt na Litwę i do Niemiec zostanie zagwarantowany, sformułowanie traktatu nie będzie brzmiało jak dyktat, generalna ugoda finansowa nastąpi po zawarciu rozejmu, a porozumienie w kwestii preliminariów zostanie zawarte do 8 października. Dąbski wyraził zgodę i podpisał protokół zawierający listę warunków Joffego, w ten sposób formalizując umowę[332]. Był

to akt woli, który niebawem zakończył wojnę polsko-bolszewicką.

Protokół z 5 października został przyjęty w Moskwie jako dowód zbawiennej łaski. Lenin otrzymał we wskazanym terminie swoją „rzeczywistą gwarancję skutecznego pokoju". Groźba kampanii zimowej, której Armia Czerwona nie byłaby w stanie prowadzić, została usunięta. Protokół zupełnie przesłonił wiadomości o ataku Żeligowskiego na Wilno, które przeszły niemal niezauważone. W Warszawie wzbudził jednak grozę. Był opisywany jako „zamach stanu Dąbskiego". Został skrytykowany przez Sapiehę za pominięcie interesów ententy[333]. Został odrzucony przez Naczelne Dowództwo, które rozkazało swoim przedstawicielom, by się wobec niego zdystansowali. Wprawił w szok Piłsudskiego, który nie zdążył jeszcze sfinalizować sprawy Wilna, a już jego federalistyczne plany zostały unieważnione. Stanowił oczywiste pogwałcenie instrukcji Dąbskiego z 11 września. Niełatwo jednak było go zmienić. Polska i Rosja zobowiązały się zawrzeć pokój.

Przygotowanie tekstu porozumienia w trzy dni, wymienione w protokole, nie było w ludzkiej mocy. Po siedmiu dniach nieprzerwanej pracy personelu obu delegacji powstał jednak dokument prawny, który obejmował preliminaria pokojowe, konwencję rozejmową i aneks gospodarczy. Wieczorem 12 października wszystko zostało podpisane i opieczętowane.

Preliminaria pokojowe składały się z siedemnastu artykułów[334], przy czym pierwszy był zdecydowanie ważniejszy niż pozostałe. Jego niekonsekwencje może wyjaśniać pośpiech, w jakim powstawał. Choć w preambule uznano niepodległość Białorusi, to opisana następnie tymczasowa granica przecinała Białoruś dokładnie na połowę. Ani w delegacji polskiej, ani w sowieckiej nie było przedstawicieli tego narodu. Proponowana granica z grubsza pokrywała się z linią frontu w momencie zawarcia umowy. Na północy biegła od Dźwiny do Wilii, a stamtąd dalej na południe. Polska uzyskała więc wspólną granicę z Łotwą, Rosja zaś została oddzielona od Litwy. Linia rokadowa Lida-Baranowicze-Łuniniec oraz dobra Radziwiłłów w Nieświeżu pozostały po stronie polskiej, natomiast Mińsk po stronie sowieckiej. W centrum granica przechodziła przez sam środek Polesia – w połowie drogi między Pińskiem a Mozyrzem. Na południu zaginała się nieco na zachód, by na koniec dotrzeć do dawnej granicy galicyjskiej na Zbruczu. Taki kształt linii granicznej należy przypisać wysiłkom Stanisława Grabskiego. Można by się spodziewać, że ten czołowy inkorporacjonista skorzysta w pełni z oferty Joffego. Tymczasem w późniejszych latach Grabski przyznał, że bez trudu mógł uzyskać granicę na linii Dryssa-Berdyczów, 100 kilometrów dalej na wschód. A zatem w rzeczywistości ograniczył żądania polskie. Gra nie szła jednak o puste pola Kresów. Sowieci zostali przecież oddzieleni od Litwy przez solidny klin polskiego terytorium, a zwłaszcza pozbawieni wpływu na przyszłe losy Wilna. Cała Galicja Wschodnia, łącznie ze Lwowem, znalazła się w Polsce.

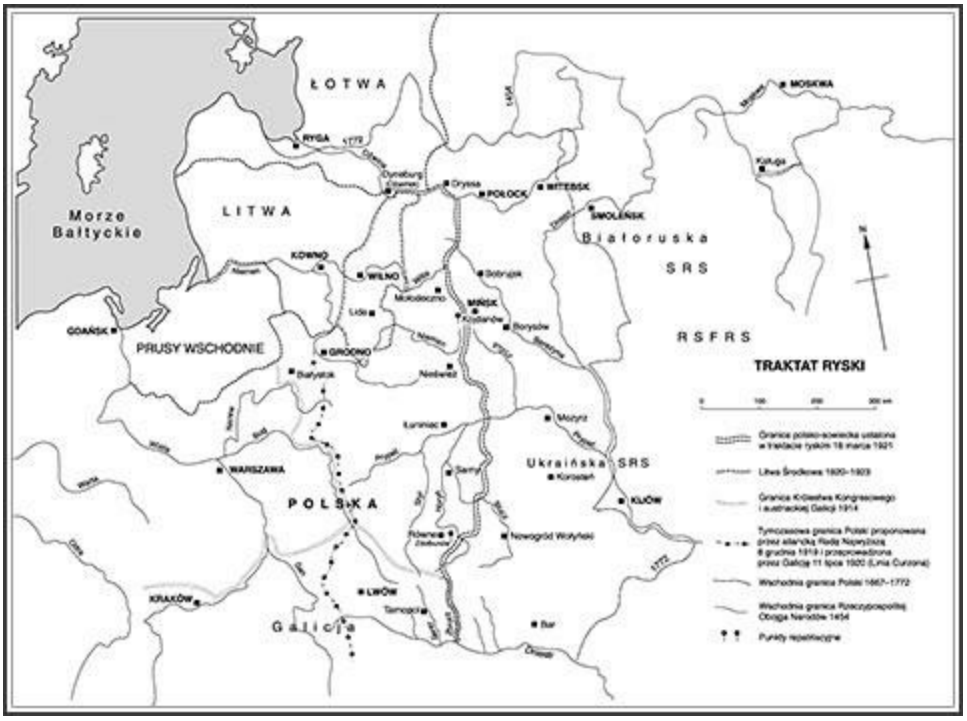

Artykuł drugi, który dotyczył niewtrącania się w sprawy wewnętrzne sąsiada, zawierał wyrażenie: „zapewniają sobie nawzajem całkowite poszanowanie suwerenności państwowej”[335]. Choć nie było to powiedziane *expressis verbis*, mogło znaczyć to tylko, iż Rzeczpospolita Polska i Rosja sowiecka uznają się wzajemnie *de facto* i *de iure*.

Konwencja rozejmowa ustalała szczegóły i warunki zawieszenia broni[336]. Miało ono wejść w życie 18 października 1920 roku o północy, kiedy to wojska bolszewickie powinny się wycofać 15 kilometrów na wschód, aby powstała strefa neutralna. Po ratyfikowaniu preliminariów do 2 listopada obie armie miały skierować się na wyznaczone pozycje w tempie nie mniejszym niż 20 kilometrów na dobę. Powołano Komisję Mieszaną, której zadaniem była kontrola nad wycofywaniem wojsk, rozstrzyganie sporów oraz zagwarantowanie bezpieczeństwa mienia ruchomego i trwałego w strefie neutralnej. Rozejm miał trwać w pierwszej turze 21 dni, chyba że zostałby wypowiedziany z 48-godzinnym wyprzedzeniem przez jedną ze stron, a następnie miał być automatycznie przedłużony aż do momentu podpisania traktatu pokojowego, chyba że zostałby wypowiedziany przez którąś stronę z 14-dniowym wyprzedzeniem. Te szczegóły dowodzą, że w okresie trwania negocjacji Polacy starali się w pełni wykorzystać swoją przewagę militarną.

Uzupełniająca umowa gospodarcza została spisana w postaci tajnego protokołu[337]. Polska została zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności wynikającej z udziału w życiu gospodarczym byłego Imperium Rosyjskiego, a jednocześnie uprawniona do udziału w rezerwach byłego carskiego Banku Państwowego. Na konto tego udziału miała być wypłacona zaliczka w złocie, surowcach naturalnych oraz koncesjach leśnych, której wysokości jednak nie określono. Rosja sowiecka zobowiązywała się zwrócić wszystkie państwowe ruchomości, dzieła sztuki, biblioteki, archiwa, trofea wywiezione z Polski lub skonfiskowane tam w latach 1772-1914, a także urządzenia przemysłowe oraz tabor kolejowy, które zarekwirowano w latach 1914-1918. Polska z kolei zobowiązywała się zapewnić wolny tranzyt towarów między republikami sowieckimi a Niemcami i Austrią.

Trzeba pamiętać o tym, iż zarówno w Polsce, jak i w Rosji sowieckiej wiele

wpływowych osobistości uważało porozumienia z 12 października 1920 roku za nie tyle nawet prowizoryczne, ile czysto tymczasowe, które na pewno zostaną zastąpione inną, „bardziej realistyczną" ugodą. Książę Sapieha wyrażał się sceptycznie o porozumieniach, które zawarto wbrew entencie, „białym" Rosjanom oraz nacjonalistom ukraińskim i białoruskim. „To my jesteśmy zwycięzcami", powiedział Dąbskiemu. Sapieha oczekiwał, że rychły upadek władzy bolszewików oznaczać będzie unieważnienie wszystkich podpisanych przez nich umów[338]. W Sowietach znajdowali się ludzie, którzy zgadzali się z jego konkluzjami, choć naturalnie nie z samym rozumowaniem. Dmitrij Manuilski, ukraiński sygnatariusz porozumień, określił je mianem „bezsensownych". Julian Marchlewski uważał, iż zmieniły one Rzeczpospolitą Polską w kolejne wielonarodowe imperium, które ma przed sobą równie długi żywot jak państwa kajzera i cesarza-króla po traktacie brzeskim[339]. Nawet Lenin miał ciągle nadzieję, że niebawem będzie mógł zrewidować niedawną zmianę kursu. 9 października oświadczył, że od tego momentu Polska może utrzymać swoją władzę na Kresach tylko siłą, że carskie złoto może posłużyć jedynie na spłacenie polskich długów wobec ententy, a sytuacja militarna może się już tylko poprawić[340]. Lenin grał na zwłokę. Pomimo tych wszystkich poważnych wątpliwości porozumienia zostały jednak stosownie ratyfikowane: 22 października przez polski Sejm, a dzień później przez bolszewicki Komitet Centralny. Dokumenty ratyfikacyjne wymieniono zgodnie z harmonogramem 2 listopada w łotewskim porcie Lipawie.

Pomimo rozejmu polskie Naczelne Dowództwo nadal wspierało swoich wcześniejszych sojuszników. Na północy wspomagano „Armię Białorusi" generała Bułaka-Bałachowicza, liczącą teraz około 12 tysięcy ludzi. Armia ta została pierwotnie utworzona w 1918 roku w rejonie Nowogrodu, aby walczyć dla bolszewików; potem przeszła do Judenicza, a następnie – w 1919 roku – znalazła się po stronie polskiej. W połowie listopada 1920 roku Bułak-Bałachowicz porzucił polską przystań, zdobył Mozyrz i proklamował „Wolną Białoruś". Niebawem został pokonany przez bolszewicką 12. Armię. Do końca roku rozbite oddziały przedzierały się do linii polskich, gdzie ich żołnierzy rozbrajano i internowano. Na południu działały dwie formacje: tak zwana 3. Armia generała Piermykina oraz „Ukraińska Armia" petlurowców generała Pawlenki. Dwie dywizje Piermykina – piechota Boboszki i kawaleria Trusowa – składały się z ochotników rekrutowanych w Polsce przez rosyjskich uchodźców. Porozumienie z 3 października 1920 roku – zgodnie z którym oddziały te podporządkowano polskiemu dowództwu do chwili, kiedy będą mogły zostać przeniesione na Krym – stanowiło jeden z nielicznych przejawów współpracy Piłsudskigo z Wranglem[341]. 11 listopada wiadomości z Perekopu skłoniły te wojska do przedwczesnego wypadu na Ukrainę. Nie dotarły daleko. Spotkały „czerwonych kozaków" Primakowa z 14. Armii Uborewicza, którzy po ostatecznym rozprawieniu się z Machną potrzebowali ledwie dwóch tygodni, by przepędzić zarówno Piermykina, jak i Petlurę z powrotem za Zbrucz.

W końcu 7 stycznia 1921 roku po raz pierwszy od chwili narodzin Wojsko Polskie postawiono w stan pokojowego spoczynku. Był to pierwszy moment, kiedy można bezpiecznie stwierdzić, iż wznowienie działań wojennych przez Polskę i Rosję sowiecką wydawało się mało prawdopodobne.

Gdy 14 listopada Dąbski i Joffe spotkali się ponownie w Rydze, Joffe zgłosił wiele pretensji. Wojsko Polskie nadal wspierało działania zbrojne przeciw Rosji sowieckiej i

nie wszystkie polskie oddziały zostały wycofane na linię zawieszenia broni, zwłaszcza na Wołyniu. Dąbski nie zakwestionował tych zarzutów, tylko szydził ze swojego adwersarza za pomocą argumentów, których ten używał jeszcze w październiku. Otóż Dąbski musiał się liczyć ze „stronnictwem wojennym" w kraju, a wszystko, co mogło zbyt silnie sprowokować Piłsudskiego, bezspornie groziło kampanią zimową. Joffe nie był zbyt natarczywy, zwłaszcza że Wrangel został już pokonany. Podpisano protokół wojskowy, który nakazywał wszystkim polskim jednostkom przestrzegać warunków zawieszenia broni, ale nie wspominał słowem o oddziałach „białych" Rosjan[342]. Dla równowagi Dąbski zgodził się utrzymać na tym samym poziomie polskie wydatki na cukrownie w Szepetówce i w sześciu innych miejscach na Ukrainie w zamian za siedemdziesiąt procent produkcji z sezonu 1920/1921[343]. To bardzo osobliwe porozumienie staje się zrozumiałe dopiero wtedy, gdy uświadomimy sobie, iż cukrownie znajdowały się na wschód od Zbrucza na obszarze okupowanym przez Petlurę. Wyrażając zgodę na przyjęcie od władz sowieckich części produkcji cukru z 1921 roku, Dąbski milcząco – i taktownie – godził się na wyrugowanie Petlury z Ukrainy.

Wojskowi sowieccy, podobnie jak polscy, byli mniej od polityków skłonni zaakceptować pokój. Kiedy tylko Wrangel został pokonany, bolszewickie Dowództwo Południowe odczuwało silną pokusę, aby ukarać wszystkich tych, którzy w jego przekonaniu byli sojusznikami Wrangla. Do tej kategorii zostali zaliczeni Rumuni, którzy następnie udzielili azylu Machnie, oraz Polacy, którzy już przyjęli do siebie Piermykina i Petlurę. Te obawy zdecydowanie nasiliły się w związku z podpisaniem francusko-polskiej konwencji wojskowej (18 lutego 1921 roku) oraz polsko-rumuńskiej konwencji wojskowej (3 marca). Konwencje te miały wprawdzie charakter czysto defensywny, niemniej jednak trudno rozsądnie oczekiwać, by Sowieci – w świetle dotychczasowych doświadczeń – mogli w to uwierzyć. Gdyby o dalszym biegu wydarzeń miały zadecydować tylko i wyłącznie względy militarne, sowieckie Dowództwo Południowe mogłoby przeprowadzić wczesną wiosną 1921 roku prewencyjną kampanię nad Dniestrem.

W takiej atmosferze nie można było osiągnąć szybkiego postępu w rozmowach pokojowych. Kierowali nimi teraz pułkownik Matuszewski z polskiego Naczelnego Dowództwa oraz Julian Leński z Komunistycznej Partii Robotniczej Polski; obaj, jak się wydaje, byli traktowani w swoich delegacjach jako *éminence grise* i odgrywali rolę „hamulcowych". Tak jak we wrześniu, publiczne negocjacje szybko stanęły w martwym punkcie. 29 listopada Dąbski i Joffe spotkali się prywatnie, aby przełamać impas. Niemniej jednak do połowy lutego, kiedy w Rydze pojawili się polski minister finansów Steczkowski oraz Leonid Krasin, nie osiągnięto widocznych postępów. Po raz pierwszy wymieniono konkretną sumę – 30 milionów rubli – w związku z uzgodnioną już wypłatą polskiego udziału w carskim złocie. 24 lutego podpisano serię protokołów dotyczących repatriacji, rozciągnięcia terminu wypowiedzenia rozejmu z dwudziestu jeden do czterdziestu dwóch dni oraz Granicznej Komisji Mieszanej.

Protokół repatriacyjny zasługuje na przytoczenie *in extenso* choćby dlatego, by pokazać, jak skomplikowana stała się normalizacja stosunków między obydwoma krajami[344]. Niestety, czterdzieści dwie klauzule tego dokumentu są bodaj dłuższe od wszystkich poprzednich porozumień rozejmowych razem wziętych. Mamy tu do czynienia z wytworem biurokracji postawionej nagle przed zadaniem szczegółowego nadzorowania milionów ludzi, o których istnieniu niemal zapomniano w ciągu poprzednich pięciu lat.

Okres po podpisaniu protokołów był czasem gorączkowego podniecenia i gorączkowej aktywności. Wraz z wybuchem 2 marca powstania w Kronsztadzie w Rosji sowieckiej doszły do głosu wielorakie bolączki. Niezadowolenie Floty Bałtyckiej, w której szeregach znajdowali się najczerwieńsi synowie rewolucji i która była dotychczas bastionem władzy bolszewików, groziło zawaleniem się całego sowieckiego systemu. Tuchaczewski został odwołany z „wczasów" na Froncie Zachodnim, by poprowadzić szturm po lodzie na forty garnizonowej wyspy. W Polsce trwały przygotowania do plebiscytu na Górnym Śląsku, który miał się odbyć 20 marca. Polskie wojsko zostało postawione w stan gotowości, a generał Szeptycki ulokował swój sztab w Krakowie na wypadek ewentualnej wojny domowej lub kampanii przeciw Niemcom. Głosowanie w Sejmie nad nową, kontrowersyjną konstytucją było zaplanowane na 21 marca. W Rydze polscy i sowieccy dyplomaci pracowali w szalonym tempie nad tekstem traktatu, aby mógł zostać podpisany i opieczętowany, gdy sygnatariusze panują jeszcze nad sytuacją w swoich krajach. Po miesiącach zwlekania traktat został spłodzony w pośpiechu.

18 marca 1921 roku o siódmej wieczorem traktat ryski został zawarty[345]. Kładł kres stanowi wojny. Ustalał ostateczną granicę, potwierdzając linię z 12 października 1920 roku z jedną czy dwiema niewielkimi korektami na korzyść Polski. Usuwał poprzednie wieloznaczności w sprawie Białorusi. Określał zasady rozstrzygania kwestii dotyczących obywatelstwa, przestępstw politycznych, traktowania mniejszości, szlaków handlowych i kolejowych oraz wyrównania wzajemnych strat. Przewidywał niezwłoczne nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Istotne szczegóły, które tak długo opóźniały rokowania, dotyczyły wyrównania rachunków. Ulokowano je w dziesięciu poprawkach. Z perspektywy czasu wydaje się, iż za ich pomocą próbowano obliczyć niepoliczalne. Kalkulacja krzywd wyrządzonych Polsce w ciągu 144 lat carskich rządów była kwestią wyjątkowo emocjonalną zarówno dla bolszewików, jak i dla Polaków; zadanie to było jednak nierozwiązywalne, jak pokazywał choćby ówczesny chaos w kwestii niemieckich reparacji, które miały określić w liczbach krzywdy z okresu zaledwie czteroletniego. Ba, po pięciu miesiącach, które upłynęły od zawarcia rozejmu w październiku do podpisania traktatu w marcu, niektóre szacunki trzeba było pomnożyć dziesięciokrotnie, aby uwzględnić skutki inflacji. Ze względu na emocje taką próbę trzeba było jednak podjąć. Po początkowej deklaracji bolszewików o stworzeniu funduszu w wysokości 30 milionów rubli w złocie, który będzie źródłem przyszłych rekompensat, traktat pogrąża się w coraz bardziej złożone i niezrozumiałe szczegóły dotyczące wyliczeń i szacunków. Gdyby potraktować je poważnie, trzeba by zatrudnić na dziesiątki lat wszystkich rachmistrzów i rzeczoznawców Polski oraz Rosji, aby skalkulować finansowe skutki traktatu. Jedyna zaleta tego rozwiązania polegałaby na tym, iż rachmistrzowie i rzeczoznawcy okazaliby się zapewne mniej śmiercionośnymi strażnikami stosunków polsko-sowieckich niż generałowie.

W Rosji sowieckiej powszechny pogląd na temat stosunków z Polską był zgodny z opinią Lenina, który uważał wojnę za „nader ciężką porażkę", pokój zaś za wspaniałe zwycięstwo[346]. Źródłem tej opinii było głębokie przeświadczenie, iż Polska wystąpiła jako żandarm ententy, a jej głównym celem było zahamowanie ekspansji bolszewizmu. Nawet wtedy, gdy Lloyd George czynił desperackie starania, aby podjąć handel z Rosją, bolszewicy nie przestali wierzyć, że ententa próbuje ich wykończyć. W ich przekonaniu uniknięcie stryczka, nawet wyimaginowanego, było zaiste wiekopomnym zwycięstwem.

W Polsce, co może dziwić, powszechne stanowisko było nieco podobne. Wielu Polaków powtarzało historię, jak to wygrali wojnę, ale przegrali pokój. Piłsudski stwierdził, iż „moralna słabość narodu" nie pozwoliła mu doprowadzić zwycięstwa do jego logicznej konkluzji. Federaliści byli wściekli, że ich plany nie zostały zrealizowane. Inkorporacjoniści poczuli się rozczarowani, że zrezygnowano z granic z 1772 roku. Katolicy byli oburzeni, że uznano ateistyczny reżim bolszewicki. Owszem, wielu profesjonalnych polityków, których zawód polega na osiąganiu kompromisów, pogodziło się z tym, co uznali za kompromisowy pokój. Zaakceptowały go również partie populistyczne, choć wolałyby więcej ziemi do rozdania chłopom kolonistom. Uznali go też socjaliści, choć ich kilku wpływowych reprezentantów, takich jak Tadeusz Hołówko, gwałtownie zaprotestowało. Wszelako na obu krańcach politycznego spektrum – konserwatywnym i komunistycznym – opinia była jednakowa. Zarówno Narodowa Demokracja, jak i Komunistyczna Partia Robotnicza Polski odrzucały traktat ryski. Obie partie zgadzały się co do tego, iż wojna 1919-1921 była efektem chorobliwych ambicji Piłsudskiego, że można było uzyskać lepsze warunki i że pokój nie może przetrwać[347]. W tym osobliwym duchu harmonii wojna polsko-bolszewicka dobiegła końca.

W kategoriach obiektywnych trudno mówić o jakimś zwycięstwie. Żaden z celów nieprzyjacielskich stron nie został osiągnięty. Bolszewicy nie wyrwali się z blokady, nie sprowokowali wymarzonej rewolucji europejskiej i nie udało im się ocalić Lit-Bieła. Polacy ani nie ustanowili federacji kresowej, ani nie odbudowali państwa od morza do morza. Efektem wojny polsko-bolszewickiej nie był więc kompromis, ale impas. Rozwiązanie nie istniało.

---

[279] PRO-Cab 21/179 CP 143.

[280] K. Krzeczunowicz, *Na 50-lecie bojów kawalerii i artylerii konnej w 1920 roku*, Londyn 1970, s. 11.

[281] A. Przybylski, *La Pologne en lutte pour ses frontières*, Paris 1931, s. 154.

[282] M. Budionny, *Projdionnyj put'*, Moskwa 1965, t. 2, s. 366.

[283] Por. artykuły i dyskusję gen. Pragłowskiego, rtm. Godynia, płk. Krzeczunowicza, gen. Bora-Komorowskiego, mjr. Bielickiego i in. „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej", Londyn 1970, VIII, nr 59.

[284] I. Babel, *Historia jednego konia*, w: tenże, *Opowiadania odeskie*, tłum. S. Pollak, Warszawa 1988, s. 157-159.

[285] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 377-390.

[286] Tamże, s. 378.

[287] *Diriektiwy...*, nr 798, przyp. 128. Słowa „pogrom" użyli radzieccy redaktorzy; tamże, s. 808.

[288] N.E. Kakurin, W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1922, s. 511.

[289] *Diriektiwy...*, nr 657, 659.

[290] Kakurin, Mielikow, dz. cyt., s. 514.

[291] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 5, Warszawa 1937, s. 174-175.

[292] *Wo imia diemokratii*, „Prawda", 7.05.1920.

[293] Instytut Sikorskiego, Londyn. Kolekcja fotograficzna (1914-1921), nr 10116.

[294] I. Babel, *Beresteczko*, w: tenże, *Portret własny*, tłum. J. Pomianowski, Bydgoszcz 1994, s. 214-216.

[295] 21.08.1920. *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 191.

[296] „Krasnaja Zwiezda", nr 1, 5.09.1920.

[297] AAN-PRM 21431/20 14998.

[298] AAN-PRM 21431/20 16547.

[299] PRO-FO 417/9/60, 69. 30.09, 7.10.1920.

[300] PRO-WO (Intelligence) 106/973; FO 371 5398/572.

[301] 7.12.1920. PRO-FO 417/9/145.

[302] I. Cohen, *Vilna*, Philadelphia 1943, s. 358-388.

[303] *Documents on British Foreign Policy, 1918-45* (*First Series*), t. 11, nr 566.

[304] PRO-FO 371 5396/4138.

[305] *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. 11, nr 566.

[306] Zob. P. Wandycz, *French Diplomats in Poland, 1919-26*, „Journal of Central European Affairs" 1964, nr 19.

[307] *Dokumenty i materiały...*, nr 211, 214, 215.

[308] *Documents on British Foreign Policy*, dz. cyt., t. 11, nr 554, 564.

[309] Tamże, nr 579.

[310] Tamże, nr 587.

[311] Tamże, nr 42.

[312] Tamże, nr 64.

[313] Tamże, nr 94.

[314] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 212, s. 401-403.

[315] AAN-AIJP 645; PRO-FO 371 5398/4688. [Polska wypełni swoją misję do końca i spełni swą powinność, całą powinność. Obroni swą niepodległość. Na warunki nie do pogodzenia z jej honorem nie zgodzi się nigdy. Postępując inaczej, byłaby niegodna Ligi Narodów].

[316] Budionny, dz. cyt., t. 2, s. 341, 21.08.1920.

[317] Archiwa Smoleńskie, WKP 6, Protokół 32, 7.08.1920.

[318] Tamże, WKP 6, Protokół 35.

[319] Tamże, WKP 6. Zob. M. Fainsod, *Smolensk under Soviet Rule*, London 1950, s. 41 n.

[320] Archiwa Smoleńskie, WKP 271.

[321] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 289.

[322] S. Grabski, *The Polish-Soviet Frontier*, London 1943, s. 24-25.

[323] *Dokumenty i materiały...*, t. III, s. 339.

[324] Tamże, s. 350.

[325] Tamże, nr 193.

[326] Tamże, nr 193, przyp. 4.

[327] Por. rozdz. 5, przyp. 52.

[328] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 204.

[329] Tamże, nr 213.

[330] L. Trocki, *Kak woorużałas' riewolucja*, t. 2, cz. 1, Moskwa, s. 170-177.

[331] *Leninskij Sbornik*, Moskwa 1924, XXXVI, s. 123; *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 221.

[332] J. Dąbski, *Pokój ryski*, Warszawa 1931, s. 119; *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 231.

[333] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 234. Sapieha do Dąbskiego, 10.10.1920.

[334] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 236 (tekst polski).

[335] Tamże, s. 468.

[336] Tamże, s. 472-475.

[337] Tamże, nr 237 (tekst rosyjski).

[338] Tamże, nr 234, 238.

[339] Wandycz, dz. cyt., s. 278.

[340] *Dokumenty i materiały...*, t. III, nr 233.

[341] Tamże, nr 229.

[342] Tamże, nr 251.

[343] Tamże, nr 252.

[344] Tamże, nr 267.

[345] Tamże, nr 275.

[346] *Leninskij Sbornik*, dz. cyt., t. XXXVI, s. 130.

[347] *Historia Polski*, Warszawa 1966, t. 4, cz. 1, s. 461-462.

Rozdział siódmy
REPERKUSJE

Nie da się zaprzeczyć, że najbardziej sensacyjnymi skutkami wojny polsko-bolszewickiej były te, do których nie doszło. Jest to bowiem jeden z tych frustrujących momentów w dziejach, które zapowiadały więcej, niż się rzeczywiście wydarzyło. Historyków, co zrozumiałe, ponoszą emocje, kiedy ich temat, który tak łatwo mógłby stać się wydarzeniem epokowym, okazuje się jedynie sensacją dnia. Zazwyczaj ich oceny były więc niezbyt wyważone: albo przedstawiali wojnę polsko-bolszewicką jako dramat o nieobliczalnych konsekwencjach, albo też sprowadzali ją do rangi zwykłej błahostki.

* * *

Nikt nie był bardziej świadom tego paradoksu niż Piłsudski: Marszałek patrzył z olimpijską pogardą na wojnę, która w przekonaniu mniejszych śmiertelników dowiodła jego geniuszu. „Nie była to wojna istotna – powiedział – jakaś półwojna lub nawet jej ćwiarteczka; jakieś dziecinne szamotanie się i bijatyki, dla których wielka teoria wojny zamyka swe podwoje [...] ta bijatyka wstrząsnęła losami dwóch państw bezpośrednio, liczących razem 150 milionów ludzi [...] ta wojna, czy bijatyka omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata”[348].

Klasyczny opis ówczesnych reakcji Zachodu znaleźć można w dzienniku lorda D’Abernona, prowadzonym na miejscu wypadków w 1920 roku i opublikowanym w formie książkowej jedenaście lat później. Tytuł tej pracy – *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata...* – zdradza jej tezę: Bitwa Warszawska była ostatnią w szeregu epokowych starć, które ocaliły „świat cywilizowany” przed „barbarzyństwem”. D’Abernon powołał się na sławny urywek z Gibbona i dodał własny komentarz:

> Gdyby Karol Martel nie zahamował podbojów saraceńskich w bitwie pod Tours, to niewątpliwie wykładano by dziś Koran w uczelniach Oxfordu, a uczniowie staraliby się udowadniać ludności świętość i prawdę objawień Mahometa. [...]
>
> Gdyby Piłsudski i Weygand w bitwie pod Warszawą nie zdołali powstrzymać triumfalnego pochodu armii sowieckiej, to nie tylko Chrześcijaństwo doznałoby klęski, lecz i cała cywilizacja zachodnia znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Bitwa pod Tours ocaliła naszych przodków brytyjskich oraz ich galijskich sąsiadów od jarzma Koranu. Bitwa natomiast pod Warszawą, rzec można śmiało, wybawiła Środkową a także częściowo i Zachodnią Europę od jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest od fanatycznej tyranii Sowietów.
>
> Zasadnicze znaczenie polskiego zwycięstwa nie ulega najmniejszej wątpliwości; gdyby wojska sowieckie przełamały opór armii polskiej i zdobyły Warszawę, wówczas bolszewizm ogarnąłby Europę Środkową, a, być może, przeniknąłby i cały kontynent[349].

Konkluzja D’Abernona, napisana w 1931 roku, jest mniej optymistyczna:

> Być może, iż doktryna komunistyczna, odparta zbrojną ręką w 1920 roku, rozerwie i zniszczy ostatecznie to, co tak pragnie zniweczyć. Jeżeli jednak tak będzie, to stanie się to nie tyle dzięki militarnej sile Sowietów i nie dzięki propagandzie,

chociaż jest ona rozrzutna i wytrwała, lecz tylko przez rozdwojenie wśród jej przeciwników oraz przez wielkie niedołęstwo, przejawiające się w zwalczaniu gospodarczego przesilenia, które dzisiaj tak hańbi inteligencję zachodniego świata[350].

Czternaście lat po opublikowaniu tej książki Armia Czerwona najechała na Europę Środkową i unieważniła wszystko, co przedtem napisał D'Abernon. W ośmiu z dwudziestu czterech suwerennych państw Europy zaprowadzono pod auspicjami sowieckimi nowy porządek społeczny. By raz jeszcze sparafrazować Gibbona: w szkołach Krakowa, Pragi i Berlina naucza się dzisiaj[351] interpretacji materializmu dialektycznego, a ich wychowankowie demonstrują bezklasowemu społeczeństwu świętość i prawdę nauki objawionej Marksa, Engelsa i Lenina. Bitwa Warszawska nie ocaliła nie tylko całej epoki, ale nawet jednego pokolenia.

Lenin wkrótce pożałował wypadków z 1920 roku i przyznał się do błędu. Jego żal został uwieczniony przez niemiecką komunistkę Klarę Zetkin, która przekazała nam opis rozmowy pomiędzy nimi (odbyła się ona wkrótce po zawarciu rozejmu ryskiego):

> Przedwczesny przymrozek odwrotu Armii Czerwonej z Polski zwarzył rozwijający się kwiat rewolucji [...]. Opisywałam Leninowi, w jaki sposób odbiło się to na rewolucyjnej awangardzie niemieckiej klasy robotniczej [...] kiedy towarzysze z sowieckimi gwiazdami na czapkach, w niewiarygodnie zużytych strzępach mundurów i cywilnych ubrań, w podartych butach, popędzali ostrogami swoje żwawe koniki wprost ku niemieckiej granicy. [...] Lenin przez parę minut siedział w milczeniu, pogrążony w rozmyślaniach.
>
> – Tak – powiedział w końcu – a więc w Polsce zdarzyło się to, co może musiało się stać. Znacie wszystkie okoliczności, które temu towarzyszyły: nasza szaleńczo odważna, pełna wiary awangarda nie miała rezerw, ani nawet choć raz dość suchego chleba. Musieli rekwirować chleb polskim chłopom i klasie średniej. A Polacy widzieli w czerwonoarmiejcach nie braci i wyzwolicieli, ale wrogów. Polacy myśleli i działali nie jak przystało na socjałów i rewolucjonistów, ale jak nacjonaliści i imperialiści. Ta rewolucja, na którą liczyliśmy w Polsce, nie powiodła się. Robotnicy i chłopi, oszukani przez Piłsudskiego i Daszyńskiego, powstali w obronie swego klasowego wroga, pozwalając, aby nasi dzielni żołnierze z Armii Czerwonej umierali z głodu, zapędzani w zasadzki, pobici na śmierć. Nasz Budionny to najbardziej genialny dowódca kawalerii na świecie. Młody wieśniak – wiecie o tym? Jak żołnierze we francuskiej armii rewolucyjnej nosił marszałkowską buławę w plecaku. [...] Ale wszystkie zalety Budionnego nie mogły nadrobić [...] naszego politycznego błędu. Radek przewidział bieg wydarzeń. Ostrzegał nas. Byłem na niego bardzo zły i oskarżałem go o defetyzm. [...] Tymczasem miał rację w swoim ogólnym wywodzie. Zna sytuację za granicą Rosji lepiej od nas. Pogodziliśmy się niedawno.
>
> – Ja sam uważam – kontynuował Lenin – że nasze położenie nie zmuszało nas do zawarcia pokoju za wszelką cenę. Mogliśmy jeszcze przetrzymać zimę. Ale sądziłem, że rozsądniej będzie dojść do porozumienia z nieprzyjacielem; tymczasowe poświęcenie, jakim był twardy pokój, wydawało mi się lepszym wyjściem od kontynuowania wojny [...]. Wykorzystamy pokój z Polską, by rzucić wszystkie nasze siły przeciw Wranglowi [...]. Rosja sowiecka może zwyciężyć tylko wtedy, jeśli dowiedzie, że toczy wojnę jedynie w obronie Rewolucji [...], że nie ma zamiaru okupować cudzej ziemi, podbijać narodów czy rozpoczynać imperialistycznej kampanii. Ale, przede wszystkim, czy wolno nam było – chyba że zostalibyśmy do tego bezwarunkowo zmuszeni – narażać lud rosyjski na mękę i cierpienie kolejnej wojennej zimy. [...] Nie, myśl o cierpieniach, jakie przyniosłaby następna wojenna zima, była nie do zniesienia. Musieliśmy zawrzeć pokój.
>
> Gdy Lenin mówił [...] na jego twarzy malowało się niewysłowione cierpienie [...]. Oczyma duszy widziałam obraz ukrzyżowanego Chrystusa pędzla średniowiecznego mistrza Grünewalda [...]. Lenin objawił mi się jako taki właśnie „człowiek frasobliwy": niosący ciężar bólu, zgnębiony, przeszyty całym cierpieniem rosyjskiego ludu pracującego[352].

Przesłanie było jasne: użycie Armii Czerwonej do wywołania rewolucji społecznej w Europie mijało się z celem. Istnieją dowody, by sądzić, że Lenin wydał w owym czasie zakaz wykorzystywania wojsk bolszewickich w celu wspierania w przyszłości jakichkolwiek eksperymentów rewolucyjnych[353]. Taką właśnie strategię przyjęto w obu sytuacjach tego rodzaju jeszcze za jego życia: podczas kryzysu niemieckiego w 1923 roku oraz w okresie kryzysu chińskiego w latach 1923-1924. Strategia ta nie stała się jednak obowiązująca. Wbrew zastrzeżeniom Lenina, w latach 1944-1948 stworzono w Europie Wschodniej z bezpośrednim udziałem Armii Czerwonej nowy porządek społeczny, który

jest utrzymywany po dziś dzień na skutek jej ciągłej obecności.

Zarówno D'Abernon, jak i Lenin – jak zresztą wszyscy w roku 1920 – zdecydowanie nie docenili potencjału Armii Czerwonej. Pierwszy sądził, że nie da się jej użyć jako siły rewolucyjnej, drugi zaś – że nie powinna być do tego celu użyta. Gdyby któryś z nich potrafił sobie wyobrazić, że obdartych bohaterów Tuchaczewskiego i Budionnego da się przekuć za życia pokolenia w najpotężniejszą armię świata, ich poglądy mogłyby być inne.

* * *

Reperkusje wojny polsko-bolszewickiej stanowią niewyczerpany przedmiot fascynacji. Echa i skutki wydarzeń z lat 1919-1921 można prześledzić aż do dnia dzisiejszego.

W kategoriach czysto jednostkowych wojna stanowiła obfite źródło doświadczeń wpływających na biografię kilku postaci, które niebawem znalazły się wśród przywódców świata. Wiedza o tym, jak wielkie piętno odcisnął pobyt w Warszawie na siedemnaście lat pontyfikatu monsignora Achille Rattiego (1922-1939), który zasiadł na tronie Piotrowym jako Pius XI, byłaby nader pouczająca. Nie będzie przesadą stwierdzenie, iż encyklika *Divini Redemptoris*, wyklinająca ateistyczny komunizm, stanowiła uogólnienie jego osobistego wyzwania rzuconego bolszewickim armiom pod Radzyminem. Nie mniej pouczająca byłaby jednoznaczna wiedza o tym, jak dalece upokorzenia i oskarżenia związane z kampanią z 1920 roku wpłynęły na uczucia i czyny Józefa Stalina.

W sferze militarnej teorii i praktyki operacje wojny polsko-bolszewickiej zwróciły uwagę kontynentu, którego główne armie ukończyły właśnie czteroletni kurs walki w okopach, na znaczenie ruchliwości i strategii ofensywnej. Dostarczały one znakomitej mieszanki – dla celów porównawczych – cech staroświeckich i nowoczesnych, kawalerii i czołgów, lokalnych oddziałów ochotniczych i narodowych armii z poboru, energicznej ofensywy i skomasowanej obrony. Niektórzy obserwatorzy, na przykład członkowie Misji Międzysojuszniczej, nie dopatrzyli się w tych bojach głębszego znaczenia. Generał Radcliffe dostrzegł wprawdzie ruchliwość, lecz uznał ją za konsekwencję średniowiecznych warunków, które nie mają zastosowania w wypadku nowoczesnych armii[354]. Lord D'Abernon uważał, iż obie armie „przypominały wojska XVIII stulecia"[355]. Weygand zaś mniemał, że Polacy zwyciężyli dzięki „złamaniu wszelkich zasad"[356]. Po roku 1920 większość ekspertów wojskowych przygotowywała się do drugiej wojny światowej, udoskonalając techniki pierwszej. Tylko niewielu poważnie przemyślało różnice między doświadczeniami z lat 1914-1918 a tymi z lat 1919-1920 i próbowało wiedzę tę wykorzystać. Do działań wojny polsko-bolszewickiej odwoływali się najczęściej stratedzy konserwatywni, którzy usiłowali przywrócić modę na konnicę. Wskazywali na siłę przebicia Budionnego i Gaja oraz na późniejsze sukcesy polskiej kawalerii. Dowodzili, iż wojna ruchoma pokazała ograniczenia pojazdów pancernych pod względem szybkości i niezawodności. Doszli do wniosku, że czołgi są może odpowiednie do walki w okopach bądź do patrolowania ulic – jak to było w Warszawie – lecz podczas długiej i szybkiej ofensywy nie mogą się równać z konnicą. W Rosji sowieckiej dowódcy jazdy utrzymali swój prymat w całym międzywojniu. W Polsce kawaleria cieszyła się niekwestionowanym prestiżem. Nawet w Anglii, Francji i Ameryce kawalerzyści poczuli się dowartościowani dzięki lekcji, która ich zdaniem wynikała z kampanii polskiej[357].

Ciekawe, że wśród wojskowych wyznających odmienny pogląd, trzy najważniejsze nazwiska należą do weteranów wojny polsko-bolszewickiej: Charles de Gaulle, Władysław Sikorski oraz Michaił Tuchaczewski. Każdy z nich uczestniczył w kampaniach tej wojny i nie ma wątpliwości, że czynna służba w Polsce w sposób istotny wpłynęła na ich tok myślenia. Wszyscy byli krytykowani przez współczesnych, co jest powszechnym losem awangardy – również w dziedzinie wojskowości. De Gaulle tym różnił się od swoich rodaków (być może dzięki służbie w obcej armii, w której ideały napoleońskie były nadal żywe), że zachował ducha ofensywnego, który cechował armię francuską aż do roku 1914. Jego wykłady w Rembertowie były pierwszą okazją do przedstawienia pomysłów rozwiniętych w *Le Fil de l'epée*. Miał umysł wystarczająco niezależny, by odkryć prawdę, która dziś wydaje się oczywista, że braki techniczne stanowią jedyną poważną przeszkodę na drodze do mariażu wysoce pożądanej ruchliwości cechującej kampanie polskie z siłą ognia pierwszej wojny światowej. Zainteresowanie, które okazywał możliwościom bojowym czołgów, było czymś równie ekscentrycznym w gronie francuskiej generalicji jak jego znajomość Europy Wschodniej wśród zachodnich polityków. Sikorski myślał podobnie. Już w roku 1920 nad Wkrą wypróbował z dobrym skutkiem czołgi i pojazdy pancerne. Jego rajd na Kowel z udziałem kolumn zmotoryzowanej piechoty był opisywany przez jego zwolenników jako pierwszy pokaz *Blitzkriegu*. W latach 1928-1939, kiedy przebywał na przymusowej emeryturze, przelewał swoje myśli na papier. Jego książka *Przyszła wojna, jej możliwości i charakter...* została opublikowana w 1935 roku we francuskim tłumaczeniu pod niewiele mówiącym tytułem *La Guerre moderne*. Sikorski zalecał w niej wykorzystanie czołgów do celów ofensywnych i trafnie przewidział, że pierwszy użyje ich w ten sposób Wehrmacht Hitlera – jedyna europejska armia uwolniona od ciężaru tradycji. W odróżnieniu od de Gaulle'a i Sikorskiego Tuchaczewski nie dożył zwycięstwa swoich idei – choć, jak się miało okazać, było to wydarzenie upokarzające. Tuchaczewski nigdy nie wyparł się własnej strategii zastosowanej na Syberii oraz w Polsce i pomimo sprzeciwu starszych wiekiem generałów nadal promował teorię wojny rewolucyjnej. Jako komendant Sowieckiej Akademii Wojskowej w latach 1921-1925 i jako zastępca przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej ZSRR od 1931 do 1937 roku był postacią wpływową. Miał jednak tego pecha, że popierał go Trocki, którego upadek stał się najpierw przyczyną okresu niełaski, a ostatecznie śmierci Tuchaczewskiego. Na początku lat trzydziestych w jego doświadczeniach z oddziałami komandosów, dywizjami spadochronowymi i ciężkimi czołgami brały udział niemieckie Luftwaffe oraz Panzerkorps, które po kryjomu szkoliły się w Rosji. Na koniec w historii tej objawiła się skrajna złośliwość losu, kiedy w latach 1939-1941 Heinz Guderian – uczeń Tuchaczewskiego i, jak sam przyznawał, admirator de Gaulle'a – zrealizował przepowiednię Sikorskiego, najpierw miażdżąc polską armię, w której nie znalazło się miejsce dla Sikorskiego, następnie pokonując francuską armię Weyganda, w której de Gaulle był jedynym dowódcą odnoszącym jakieś – choćby lokalne – sukcesy, i wreszcie druzgocząc całość rezerw strategicznych Armii Czerwonej, która pod nieobecność Tuchaczewskiego przyjęła postawę statyczną i defensywną. Wszelkie wątpliwości, które należało wyciągnąć z międzywojennej debaty o roli kawalerii, zostały szybko rozwiane we wrześniu 1939 roku, kiedy to nad granicą pruską polscy ułani szarżowali na czołgi Guderiana w dokładnie taki sam, bohaterski sposób, w jaki dziewiętnaście lat wcześniej atakowali Konarmię w bitwie pod Komarowem. Tym razem

jednak z fatalnym skutkiem. Ideom de Gaulle'a i Sikorskiego dano wiarę dopiero wtedy, kiedy armie, dla których pomysły te były przeznaczone, zostały unicestwione. Refleksje Tuchaczewskiego na temat „Nowych problemów wojny", spisane w latach 1931-1932, zostały opublikowane dopiero po trzydziestu latach, gdy nie były już ani nowe, ani problematyczne[358].

W sferze politycznej wojna z lat 1919-1920 roku wywołała najgłębsze skutki w Polsce. Stanowiła jeden z najważniejszych czynników formatywnych w okresie odradzania się Rzeczypospolitej: wyznaczyła grono głównych postaci oraz kształt dominującej ideologii i instytucji na następne dwadzieścia lat. Potwierdziła osobisty prymat Piłsudskiego. Marszałek zakończył wojnę jako niekwestionowany wódz narodu, ale jej rozstrzygnięcie polityczne go rozsierdziło, potraktowanie zaś Polski przez jej „sojuszników" wzbudziło w nim odrazę. W czasie pokoju był natomiast jak ryba wyjęta z wody. Leżał na obiecanym brzegu narodowej niepodległości, niczym powietrza łaknąc ryzyka i konspirowania, które były jego żywiołem. Jego osobowość uległa szybkiej deformacji. Władczy sposób bycia przerodził się w zwyczajne napady złości; niepowtarzalne powiedzonka ustąpiły miejsca wulgarnym i publicznym obelgom. W pierwszej chwili wycofał się z polityki, czując obrzydzenie do partyjniactwa, ciągłych ataków ze strony endeków i „niewdzięczności" okazywanej przez demokrację. W 1922 roku odmówił kandydowania w wyborach prezydenckich i zrezygnował ze stanowiska wodza naczelnego. Wszelako 12 maja 1926 roku, wspierany przez owego niezrównanego rebelianta, a wówczas ministra spraw wojskowych generała Żeligowskiego, pojawił się na wschodnich przedmieściach Warszawy na czele zbuntowanych ułanów. Po trzech dniach wojny domowej przedarł się przez mosty na Wiśle i zmusił do dymisji zarówno rząd, jak i prezydenta. Przez dziewięć lat, aż do śmierci, był rzeczywistym władcą Polski. Jego „przewrót majowy" stanowił w więcej niż jednym sensie zakończenie ostatniego etapu „marszu nad Wisłę", który postawił sobie za cel Tuchaczewski. Zamach Piłsudskiego był buntem lewicy: przeprowadzonym przez wojsko, ale wspieranym zarówno przez socjalistów, jak i komunistów. Jego deklarowanym zadaniem było zapobieżenie groźbie faszyzmu. Jego głównym celem był Wincenty Witos, który utworzył właśnie trzeci rząd koalicyjny. Niebawem jednak reżim Piłsudskiego zdegenerował się w prywatną dyktaturę jego własnej kamaryli, która krok po kroku eliminowała oponentów wszelkich maści. Już w dniu zamachu jego policja konna rozpędziła szablami wiec komunistów świętujących zwycięstwo Piłsudskiego. W roku 1930 większość przywódców opozycyjnych, w tym Witosa, aresztowano i oskarżono o działalność wywrotową. Wielu z tych, którym nie udało się uciec za granicę, uwięziono w osławionym obozie w Berezie Kartuskiej, której nazwa stała się symbolem – tyle że nie jedności narodowej, takiej jak ta w okresie wojny z bolszewikami, lecz narodowych podziałów i degeneracji państwa.

Władza Piłsudskiego była ściśle związana z dominującą pozycją wojska, które po wojnie z lat 1919-1921 zostało oficjalnie uznane za zbawcę ojczyzny. Oficerowie znaleźli się na szczycie drabiny społecznej i, naturalną koleją rzeczy, politycznej. Ich wpływy były tak potężne, że w końcu zmonopolizowali nie tylko rząd, ale i opozycję. W pierwszym, konstytucyjnym okresie problem politycznej kontroli nad wojskiem był niczym byk, którego żaden z krótkotrwałych rządów nie ośmielił się chwycić za rogi. Przyczyną zarówno dymisji Sikorskiego z urzędu premiera w roku 1923, jak i dymisji Sosnkowskiego z funkcji ministra spraw wojskowych w roku 1924 był nierozwiązywalny problem, kogo – poza

Piłsudskim – można powołać na stanowisko inspektora generalnego Sił Zbrojnych. Przewrót majowy podzielił wojsko na dwa obozy. Świta Piłsudskiego składała się głównie z oficerów mniejszego formatu, takich jak generał Sławoj-Składkowski, generał Orlicz-Dreszer czy pułkownik Józef Beck; natomiast na czele sił lojalnych wobec rządu stanęli ludzie bardziej wybitni: Malczewski, Rozwadowski, Zagórski, Stanisław Haller, Szeptycki, Anders, Kukiel i sam Sikorski. Ten konflikt był tak ostry, że 13 maja 1926 roku Sosnkowski próbował popełnić samobójstwo. Rozwadowski i Malczewski zostali aresztowani; w późniejszym czasie Rozwadowski i Zagórski zginęli w tajemniczych okolicznościach. Od tego momentu lojaliści byli dymisjonowani. Wykluczano ich zarówno z wojska, jak i z rządu. Ich godzina miała jednak jeszcze nadejść. Na razie militaryzacja polskiej polityki postępowała wielkimi krokami. Po śmierci Piłsudskiego od maja 1936 roku do września roku 1939 generał Sławoj-Składkowski sprawował urząd premiera; od roku 1932 pułkownik Beck był ministrem spraw zagranicznych; generał Rydz-Śmigły przejął berło po Marszałku jako generalny inspektor i *spiritus movens* w sprawach kraju. Jedyną czynną opozycją wobec rządowego Ozonu (Obozu Zjednoczenia Narodowego) kierował najbliższy giermek Piłsudskiego Walery Sławek. Wreszcie można było mówić z jakimś sensem o „rządach pułkowników".

We wrześniu 1939 roku na skutek upadku dotychczasowego rządu „lojaliści" powrócili na eksponowane stanowiska. Sikorski – którego oferta udziału w walce przeciw niemieckiej inwazji na dowolnym stanowisku została odrzucona – wypłynął w Paryżu jako wódz naczelny i premier rządu emigracyjnego. Sosnkowski, który dowodził heroiczną obroną Lwowa, został jego następcą. Józef Haller i Marian Kukiel pełnili funkcje ministerialne. Władysław Anders wyszedł z internowania, aby objąć dowództwo nad słynnym Drugim Korpusem, wcielonym do brytyjskiej 8. Armii. Bór-Komorowski dowodził Powstaniem Warszawskim. Tych oficerów i ich kolegów łączyło to, że wszyscy byli weteranami wojny bolszewickiej. Z definicji byli zawodowymi antykomunistami, uczestnikami antybolszewickiej krucjaty. Byli więc zdeklarowanymi wrogami jedynej armii sojuszniczej, która mogła wyzwolić ich ojczyznę. Ściągnęli na siebie nieprzejednaną nienawiść Stalina, który wykańczał ich systematycznie, jeśli tylko mógł któregoś z nich dopaść. Budzili nieufność w swoich zachodnich protektorach, którzy otwarcie domagali się od nich postawy bardziej kompromisowej. Sikorski zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w 1943 roku; Sosnkowski, który zajął jego miejsce, został pod koniec wojny internowany w Kanadzie. Dla takich ludzi nie było miejsca w powojennych realiach. Co do wschodniej granicy Polski, o którą walczyli przed ćwierćwieczem, Stalin nie był skłonny pójść na kompromis. Nie mogli więc wrócić do swoich domów w Wilnie, gdyż było ono obecnie stolicą Litewskiej SRR, ani do Lwowa – teraz miasta Ukrainy Zachodniej. W Polsce Ludowej nie byli mile widziani. Weterani wojny z lat 1919-1920 – tak jak tysiące żołnierzy polskich młodszego pokolenia, którzy podzielali ich ideały – znaleźli się więc na honorowym, ale przymusowym uchodźstwie.

Wśród Polaków na emigracji przetrwała ideologia przedwojennej Polski, zrodzona podczas wojny bolszewickiej, tak zwana sanacja. Sanacja, dosłownie „uzdrowienie", była ideologią całkowicie militarystyczną, inspirowaną przez katolicką krucjatę przeciw bolszewizmowi. Celem tego ruchu było usunięcie z życia narodowego wszelkich śladów korupcji i hańby. Zjazd jego sympatyków odbywał się – jak łatwo zgadnąć – 16 sierpnia, w rocznicę Bitwy Warszawskiej. Tak jak wiele innych ruchów odnowy moralnej, i ten zrodził

się z koszarowej wiary, że ludzkie dusze można wypucować do czysta. Ideologia ta pogłębiła duchową izolację Polski – zarówno od demokracji Zachodu, jak i od ateistycznego molocha na wschodzie. Niedawną pięćdziesiątą rocznicę „Cudu nad Wisłą" świętowały jedynie polskie społeczności emigracyjne na Zachodzie.

W Związku Radzieckim o wojnie z Polską wspomina się rzadko. Z perspektywy bolszewików był to jedynie mały fragment wielkiego planu. Z początku traktowano ją jedynie jako antrakt w sowietyzacji Kresów; w okresie szczytowym wydawała się krokiem na drodze ku rewolucji europejskiej; pod koniec jawiła się już tylko jako blamaż, który trzeba jak najszybciej zatuszować. Przywódcy bolszewiccy, choć doraźnie poświęcali Polsce wiele uwagi, postrzegali ją zazwyczaj w ramach własnych, szerszych planów i byli wściekli, tak jak Lloyd George, kiedy okazywało się, że do tych ram nie pasuje. Przeoczyli to, że wojna z Polską mogła wpłynąć na losy państwa sowieckiego w sposób zdecydowanie przekraczający jej samoistne znaczenie tylko z powodu jej implikacji geograficznych oraz wagi momentu, w jakim ją zakończono.

Kres tej wojny był bowiem tym wydarzeniem, które ostatecznie uszczelniło zachodnią granicę Rosji sowieckiej. Wydarzeniem, które utrwaliło jej izolację od Niemiec i reszty Europy. Można więc argumentować, że było ono ważnym, a być może najważniejszym czynnikiem zewnętrznym, który skłonił bolszewików do podjęcia gospodarczych, dyplomatycznych oraz politycznych prób przystosowania się do tego stanu rzeczy. Wydarzenie to postawiło tamę wysokiej fali internacjonalizmu w sowieckiej praktyce politycznej. Zapoczątkowało tendencję – która się później utrwaliła – aby odróżniać interesy Związku Radzieckiego od interesów światowej rewolucji, a także przyznawać prymat samowystarczalności Związku Radzieckiego. To zaś oznaczało zmierzch Kominternu, Trockiego i bolszewickich intelektualistów. Te dalekosiężne konsekwencje są tym bardziej zdumiewające, że rezygnacja Lenina z programu rewolucyjnego pod koniec 1920 roku była zamierzona (nie inaczej niż wprowadzenie podatku dochodowego w Wielkiej Brytanii w roku 1842) jedynie jako posunięcie tymczasowe.

Wojna z Polską przyczyniła się bezspornie do kryzysu komunizmu wojennego, a w konsekwencji do wprowadzenia przez Lenina „nowej polityki ekonomicznej" (NEP). Latem 1920 roku na froncie polskim walczyło osiem z szesnastu bolszewickich armii. Wojna ta była poważnym i jedynym zagranicznym przedsięwzięciem Armii Czerwonej, które wyraźnie nadwerężyło program „komunizmu wojennego" na skutek militaryzacji kolei, nasilenia rekwizycji, wzrostu zapotrzebowania na zapasy i uzbrojenie. Jak pokazuje przykład Smoleńska, system nie mógł sprostać nałożonym nań nowym zadaniom. Prawdą jest również to, że nagła klęska kampanii polskiej spowodowała jesienią 1920 roku szok nie mniej powalający niż chaos, który istniał już wcześniej. Dopóki wydawało się, że Armia Czerwona broni Rosji przed „polskimi jaśniepanami", dopóty można było usprawiedliwiać i tolerować cierpienia, których przysparzał komunizm wojenny. Wszelako od momentu podpisania rozejmu ryskiego i – w konsekwencji – zadania w listopadzie *coup de grâce* Wranglowi cały ten system utracił sens. 25 listopada 1920 roku drastycznie zredukowano napęczniałe szeregi Armii Czerwonej: dwa i pół miliona mężczyzn – którzy nie byli już potrzebni, a nie można było ich wykarmić – odesłano do domu. Komunizm wojenny przestał być użyteczny i trzeba go było zastąpić czymś innym. W okresie trwania kampanii polskiej, kiedy nadzieje na eksport rewolucji były nadal żywe, NEP nie był potrzebny; w momencie klęski tej kampanii stał się logiczną koniecznością. Wprawdzie

Lenin zwlekał jeszcze kilka miesięcy z jego wprowadzeniem, ale był coraz bardziej świadom, iż rezygnacja ze strategii rewolucyjnej w polityce zagranicznej i przedsięwzięciach politycznych musi oznaczać analogiczny odwrót w polityce wewnętrznej i gospodarczej. Nie jest więc zwykłym przypadkiem, iż podpisanie traktatu pokojowego z Polską w marcu 1921 roku zbiegło się w czasie z przełomową debatą nad wprowadzeniem NEP-u na X zjeździe partii.

Traktat w Rapallo z 1922 roku stanowił naturalne uzupełnienie NEP-u. Zagraniczne przymierze z burżuazyjną republiką niemiecką było teoretycznie tak samo nie do przyjęcia jak krajowe przymierze z chłopskim posiadaczem. Niemniej jednak oba te „sojusze" były pożyteczne. Często zapomina się o tym, że przed traktatem ryskim nie istniała potrzeba, którą zaspokojono w Rapallo. Dopóki żywe były nadzieje na zbudowanie rewolucyjnego pomostu między Rosją a Niemcami, formalny most dyplomatyczny nie był potrzebny. Te nadzieje zostały pogrzebane nie na skutek zakończenia wojny domowej – której pomyślny finał ofiarował bolszewickim przywódcom ich jedną jedyną szansę na eksport rewolucji do Niemiec – lecz w wyniku niekorzystnych rozstrzygnięć terytorialnych stanowiących konsekwencję wojny z Polską[359].

Wojna ta nieuchronnie wpłynęła na ewolucję partii bolszewickiej i Armii Czerwonej. Do końca roku 1920 bolszewicy „z importu", którzy wrócili do Rosji z emigracji – Lenin, Trocki, Zinowiew, Bucharin – całkowicie zdominowali komunistów „domorosłych". Stalin i jego drużyna – którzy mieli z czasem przejąć w swoje ręce pełnię władzy – na razie odgrywali niewielką rolę. Niemniej jednak po wojnie z Polską – kiedy to Rosja sowiecka musiała rozwiązywać własne problemy na modłę czysto rosyjską – rosyjskie doświadczenia, dotychczas lekceważone, okazały się cenne. Za Stalina znajomość zagranicy stopniowo stawała się piętnem, a kontakty z Zachodem – dowodem zdrady. Logiczną konsekwencją tej tendencji była wielka czystka w latach 1937-1938, gdy wszyscy starzy komuniści, którzy dożyli tej chwili, zostali bezlitośnie usunięci – najpierw z partii, potem z armii. Najbardziej dramatyczne wydarzenie miało miejsce 5 czerwca 1937 roku, kiedy Woroszyłow, Budionny i Jegorow podpisali wyroki śmierci na Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza, Korka, Primakowa i trzech innych oficerów. Do końca czystek przeżył – oprócz Budionnego i Woroszyłowa – jeszcze tylko jeden marszałek, a mianowicie Timoszenko, ich towarzysz z Konarmii.

Główną ofiarą zmiany kursu w Rosji sowieckiej padł międzynarodowy ruch komunistyczny. Drugi kongres Kominternu, który był zapowiadany w 1920 roku jako bankiet na cześć światowej rewolucji, okazał się czymś w rodzaju ostatniej wieczerzy. Od tego momentu komunistyczne partie Niemiec, Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii – które w 1920 roku zwarły szeregi w nadziei na przejęcie władzy – były wyraźnie ignorowane przez Moskwę. Zagraniczni komuniści, którzy schronili się w Rosji, byli traktowani z pogardą. Komunistyczna Partia Robotnicza Polski zebrała pełny plon wdzięczności Stalina. Nie mogła działać skutecznie w Polsce, w Rosji zaś stopniowo znikała ze sceny. Jej kosmopolityczny, luksemburgistowski charakter skłaniał ją do nawiązania kontaktów z trockistowską opozycją. To było skazaniem się na niebyt. W 1938 roku przestała istnieć: jej nazwę wykreślono z rejestru partii komunistycznych, a komitet centralny w pełnym składzie – z jednym znaczącym wyjątkiem – został wymordowany. W 1943 roku przestał istnieć także Komintern.

Nie kwestionując bynajmniej powyższych obserwacji, należy pamiętać o tym, by nie

wyolbrzymiać przyczyn owej roli wojny z Polską w dziejach Rosji sowieckiej. Choć wojna ta pozostaje w ścisłym związku z wprowadzeniem NEP-u, zawarciem traktatu w Rapallo, ewolucją partii bolszewickiej i tak dalej, to, rzecz jasna, nie spowodowała tych wydarzeń sama w sobie. Jej rola natomiast polegała na tym – i tu wybór metafory musi być nader staranny – że dzięki niej bolszewicy po raz pierwszy zwrócili uwagę na nieadekwatność programu rewolucyjnego. Była niczym dzwonek alarmowy, który skłonił bolszewików do tego, by najpierw zadbali o własne bezpieczeństwo, zanim zaczną ratować z opresji innych.

W tym kontekście porażka w wojnie z Polską wydaje się zdarzeniem dla Sowietów fortunnym. Gdyby Tuchaczewski nie został pokonany, gdyby Warszawa została zdobyta, a Europa padła ofiarą inwazji, to jest pewne, że zdecydowanie większy potencjał militarny świata kapitalistycznego zostałby na poważnie zmobilizowany przeciw bolszewizmowi. Choć nie da się przewidzieć rezultatu starcia, które nie doszło do skutku, to wydaje się bezsporne, że Rosja sowiecka nie otrzymałaby dwóch dekad wytchnienia, dzięki którym mogła zmienić się z kraju zacofanego w drugie mocarstwo świata. To właśnie dziecięca bezradność raczkującej Republiki Rad, której dowodem była klęska jej wojsk w Polsce, podała w wątpliwość sens dzieciobójstwa planowanego przez interwentów i tym samym znacząco przyczyniła się do przetrwania nowego państwa.

Hańba, jaką okryła Armię Czerwoną porażka w starciu z Polakami, głęboko wpłynęła na jej kształt. Na krótką metę było to bolesne upokorzenie. Na długą – był to bodziec do reform. Dwie następne dekady stanowiły okres intensywnych przemyśleń i wysiłków na rzecz przeszkolenia oraz przezbrojenia wojsk. Klęska na froncie polskim przystopowała polityczne ambicje marszałków i otworzyła drogę absolutnym rządom partii. Tuchaczewski został wprawdzie zniszczony, lecz pozostawił po sobie siły zbrojne w dużej mierze uwolnione od złudzeń, za to cechujące się prężnością i profesjonalizmem, które zadziwiły świat. Jego towarzysze z roku 1920 – zwłaszcza Woroszyłow, Żukow, Timoszenko i Czujkow – wyróżnili się nad podziw na frontach drugiej wojny światowej.

Finał wojny polsko-bolszewickiej stworzył platformę, na której wzniesiono nowy system dyplomatyczny dla Europy Wschodniej. Francuzi, tak wyraźnie nieobecni w fazie bitewnej, wyszli śmiało z inicjatywami w fazie stosunków międzypaństwowych. Nie udało się jednak usunąć żadnej z wad widocznych w latach 1919-1920. Utrwaliła się tendencja zachodnich demokracji, by popierać swoich wschodnioeuropejskich sojuszników słowem, lecz nie czynem. Nie przewidziano możliwości sojuszu Rosji sowieckiej z Niemcami. Pozwolono, by „bolszewicki straszak" przesłonił wszystkie inne zagrożenia. Polska zyskała fałszywe poczucie bezpieczeństwa i własnej ważności. Najpierw zachęcono ją do tego, by sama dawała sobie radę, a potem właśnie za to skarcono. Podczas następnego kryzysu europejskiego w latach 1938-1939 wszystkie te wady wyszły na jaw ponownie. Polska Druga Rzeczpospolita była jedną z pierwszych śmiertelnych ofiar.

Przez cały okres międzywojenny pamięć o bolszewickiej inwazji na Polskę wzmacniała znaczenie „bolszewickiego straszaka". Antykomuniści zawsze mogli wskazać na sierpień 1920 roku jako na bezsporny i namacalny dowód niebezpieczeństwa, jakie stanowi czerwona zaraza, która w każdej chwili może ponownie ruszyć na zachód. Skoro bolszewicy zaatakowali raz, zawsze mogli spróbować po raz drugi. Tymczasem antyfaszyści nie mogli się powołać na podobny precedens, ich ostrzeżenia przed zakusami nazistów wydawały się więc zarówno przesadne, jak i obłudne.

W chwili obecnej wojna polsko-bolszewicka jest nadal wydarzeniem kłopotliwym dla obu krajów, w których pamięta się ją najlepiej. Przywódcy Polski Ludowej i Związku Radzieckiego, co zrozumiałe, unikają wspomnień, które mogłyby zakłócić ustalony charakter ich braterskich stosunków. Słusznie obawiają się, że tak nieprzejednany naród, jakim są Polacy, mógłby zacząć porównywać swoją obecną sytuację ze złotą – jak się potocznie myśli – niepodległością sprzed półwiecza. Rząd radziecki nie chce zaś, by przypominano mu o czasach, kiedy dawna carska prowincja odmówiła wstąpienia do nowego, bolszewickiego klubu i zadała Armii Czerwonej jedyną niepomszczoną klęskę w jej dziejach. Nie trzeba dodawać, że taka projekcja przeszłości na teraźniejszość jest ćwiczeniem czysto emocjonalnym. Nie ma ona żadnych racjonalnych podstaw. Jest niebezpieczna po prostu dlatego, że przywołuje miraże i koszmary, których nie da się stłumić za pomocą logicznej argumentacji. W rzeczywistości Polska Gierka jest równie odległa od Polski Piłsudskiego jak Związek Radziecki Breżniewa od Rosji sowieckiej Lenina. Pod każdym względem stosunki polsko-radzieckie są w chwili obecnej zasadniczo odmienne.

* * *

Pokolenie, które brało udział w wojnie polsko-bolszewickiej, dziś już niemal odeszło. Wielu z tych, którzy przetrwali wydarzenia z lat 1919-1921, zginęło w jeszcze straszniejszych okolicznościach w Rosji i w Polsce: szesnaście, osiemnaście i dwadzieścia jeden lat później. Poza kilkoma niepoprawnymi zapaleńcami, w tych, którzy dożyli naszych czasów, zgasły już emocje niegdyś popychające ich do walki. Tak jak w wypadku wszystkich wojen, niewiele pozostaje. Oddajmy ostatnie słowo Izaakowi Bablowi – jego własne, cenne życie zostało bezsensownie zmarnotrawione przez system, któremu dzielnie służył:

W tej bitwie [pod Chocimiem] zabito mi konia. [...] Gwiazdy wypełzły z chłodnego brzucha nocy i opuszczone wsie zapaliły się nad horyzontem. Objuczony swoim siodłem zacząłem się posuwać rozoraną miedzą i na zakręcie zatrzymałem się za swoją potrzebą. Załatwiwszy się zapiąłem rozporek i poczułem, że rękę mam obryzganą. Zapaliłem latarkę, odwróciłem się i zobaczyłem na ziemi trupa Polaka oblanego moim moczem. Notes i strzępy odezw Piłsudskiego poniewierały się obok trupa. W zeszyciku Polaka zanotowane były drobne wydatki, wykaz repertuaru krakowskiego teatru dramatycznego i data urodzin kobiety imieniem Maria Luiza. Odezwą Piłsudskiego, marszałka i dowódcy naczelnego, starłem cuchnącą ciecz z głowy nieznanego mego brata i odszedłem uginając się pod ciężarem siodła[360].

---

[348] J. Piłsudski, *Rok 1920*, Warszawa 1937-1938, s. 165.

[349] Edgar Vincent wicehrabia D'Abernon, *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą 1920 roku*, tłum. S.A. Arnsen, Warszawa 1990 (reprint wg wydania z 1932 roku), s. 14-15, 17-18.

[350] Tamże, s. 183.

[351] Książka została napisana w 1972 roku.

[352] C. Zetkin, *Reminiscences of Lenin*, London 1929, s. 19-22 (fragment tego cytatu pochodzi z *Boże igrzysko*, tłum. Elżbieta Tabakowska, Kraków 1999, s. 868).

[353] Informacje te pochodzą od chińskiego rewolucjonisty Sun Jat-sena, który pod koniec 1920 roku przebywał w Moskwie. Zob. P.S. Wandycz, *Soviet-Polish Relations 1917-21*, Cambridge, Mass., 1969, s. 257.

[354] Raport gen. Radcliffe'a. PRO-Cab 21/180.

[355] D'Abernon, dz. cyt., s. 127.

[356] M. Weygand, *Mémoires*, t. 2, Paris 1952, *passim.*

[357] Np. mjr E. Farman, *The Polish-Bolshevik Cavalry Campaigns*, „Cavalry Journal" 1921, nr 24; Ruby, *Operations de la cavalerie de Boudienny*, „Revue de Cavalerie" 1926.

[358] „Wojenno-istoriczeskij żurnał", Moskwa 1962, nr 2. Tekst w: M.N. Tuchaczewski, *Izbrannyje proizwiedienija*, Moskwa 1964, t. 2, s. 180 nn.

[359] L. Kochan, *The Russian Road to Rapallo*, „Soviet Studies", Glasgow 1950, t. 2, nr 2.

[360] I. Babel, *Iwany*, w: tenże, *Portret własny*, tłum. J. Pomianowski, Bydgoszcz 1994, s. 232.

Bibliografia

1. DOKUMENTY OPUBLIKOWANE

Bor'ba za sowietskuju własť w Litwie w 1918-20 gg., Sbornik Dokumientow, Vilnius 1967.
Diriektiwy Gławnogo Komandowanija Krasnoj Armii, Wojenizdat, Moskwa 1969.
Documents on British Foreign Policy, *1918-45 (First Series)*, London 1947-.
Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich, t. 1-3, Warszawa-Moskwa 1962-1966.
W.I. Lenin, *Korespondencja wojenna, 1917-20*, Warszawa 1958.
W.I. Lenin, *Połnoje sobranije soczinienii*, Moskwa 1958.
Leninskij Sbornik, Moskwa 1924.
Livre Rouge – Recueil des documents diplomatiques relatifs aux relations entre la Pologne et la Russie, 1918-20, Narkomindieł, Moskwa 1920.
J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. 1-10, Warszawa 1937-1938.
S. Pomarański, *Pierwsza Wojna Polska* (zbiór komunikatów wojennych, 1918-1920), Warszawa 1921.
L. Trocki, *Kak woorużałas' riewolucja*, t. 1-3 w 5 częściach, Moskwa 1923-1925.
The Trotsky Papers, red. J. Meijer, The Hague 1964-.

2. PAMIĘTNIKI I OPRACOWANIA

G.A. Airapetian, *Legiendarnyj Gaj*, Moskwa 1965.
A. Ajnenkiel, *Od rządów ludowych do przewrotu majowego*, Warszawa 1964.
B. Andreus (R. Wraga), *Polska a kapitalistyczna interwencja w ZSSR 1918-1920*, Rzym 1945.
S. Arski, A. Korta, Z. Safjan, *Zmowa grabieżców. Awantura Piłsudskiego w 1920 r.*, Warszawa 1950.
I. Babel, *Opowiadania odeskie*, tłum. S. Pollak, Warszawa 1988.
I. Babel, *Portret własny*, tłum. J. Pomianowski, Bydgoszcz 1994.
I. Babel, *Utwory wybrane*, tłumacze różni, Warszawa 1964.
H. Bagiński, *Wojsko polskie na Wschodzie 1914-20*, Warszawa 1921.
S.M. Budionny, *Projdionnyj put'*, t. 2, Moskwa 1965.
Camon, gen., *La Manoeuvre libératrice du Maréchal Pilsudski contre les Bolcheviques*, Août 1920, Paris 1929.
E.H. Carr, *The Bolshevik Revolution*, t. 1-3, London 1950-1953, Penguin Edition, London 1966.
A. Carton de Wiart, *Happy Odyssey*, London 1950.
A.F. Chackiewicz, *Polskije intiernacyonalisty w bor'bie za własť sowietow w Biełorusii*,

Mińsk 1967.
Mrs. C. Chesterton, *The Chestertons*, London 1947.
W. Chocianowicz, *1. Pułk Artylerii Lekkiej Legionów Józefa Piłsudskiego*, Londyn 1967.
I. Cohen, *Vilna*, Philadelphia 1943.
Edgar Vincent wicehrabia D'Abernon, *Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą 1920 roku*, tłum. S.A. Arnsen, Warszawa 1990 (reprint wg wydania z 1932 roku).
I. Daszyński, *Pamiętniki*, Kraków 1925-1926.
J. Dąbski, *Pokój ryski*, Warszawa 1931.
A. Deruga, *Polityka wschodnia Polski wobec ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy, 1918-1919*, Warszawa 1969.
I. Deutscher, *The Prophet Armed. Trotsky 1879-1921*, Oxford 1954.
R. Dmowski, *Polityka Polski i odbudowanie państwa*, Warszawa 1925.
J. Dowbór-Muśnicki, *Moje wspomnienia*, Poznań 1936.
J. Erickson, *The Soviet High Command. A Military-Political History 1918-1941*, New York 1962.
M. Fainsod, *Smolensk under Soviet Rule*, London 1950.
G.D. Gaj, *Na Warszawu*, Moskwa 1928.
S. Grabski, *The Polish-Soviet Frontier*, London 1943.
Graždanskaja wojna 1918-21, red. A.S. Bubnow, S.S. Kamieniew, R.P. Ejdeman, Moskwa 1928-30.
M. Grinberg, *Z zagadnień wojny polsko-radzieckiej*, w: *Ruch robotniczy i ludowy w Polsce (1914-1923)*, Warszawa 1960.
L. Grosfeld, *Polskie reakcyjne formacje wojskowe w Rosji, 1917-19*, Warszawa 1956.
W. Grove, *War's Aftermath. United States Relief Organisations in Poland*, New York 1940.
J. Haller, *Pamiętniki*, Londyn 1964.
Historia Polski, t. 4, cz. 1, Warszawa 1966.
J. Holzer, J. Molenda, *Polska w pierwszej wojnie światowej*, Warszawa 1967.
A. Idzik, *4. Pułk Piechoty*, Londyn 1963.
Istorija graždanskoj wojny w SSSR, t. 3 i 4, Moskwa 1957, 1959.
N.E. Kakurin, *Russko-polskaja kampanija 1918-20 gg*. (broszura), Moskwa 1922.
N.E. Kakurin i W.A. Mielikow, *Wojna s Biełopolakami 1920 goda*, Moskwa 1925.
T. Kawalec, *Historia IV Dywizji gen. Żeligowskiego w zarysie*, Wilno-Lwów 1921.
S.M. Klackin, *Na zaszczitie Oktjabria. (Organizacija riegularnoj armii i milicjonnoje stroitielstwo w Sowietskoj Riespublikie 1917-20)*, Moskwa 1965.
Komandarm Uboriewicz – Wospominanija druzjej i soratnikow, Moskwa 1964.
T. Komarnicki, *The Rebirth of the Polish Republic*, London 1957.
W. Korostowiec, *Seed and Harvest*, London 1931.
Księga Polaków uczestników Rewolucji Październikowej 1917-20. Biografie, red. A. Kochański, Warszawa 1967.
T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska 1920 roku*, Warszawa 1937.
N.F. Kuźmin, *Kruszenije posledniego pochoda antanty*, Moskwa 1958.
A. Leinwand, *PPS wobec wojny polsko-radzieckiej, 1919-20*, Warszawa 1964.
B.H. Liddell Hart, *The Red Army*, New York 1956.

P. Łossowski, *Stosunki polsko-litewskie w latach 1918-20*, Warszawa 1966.
J. Marchlewski, *Polsza i mirowaja rewolucja*, Moskwa 1920.
Marszał Tuchaczewskij – Wospominanija druzjej i soratnikow, Moskwa 1965.
S.A. Mieżeninow, *Naczało bor'by s biełopolakami na Ukrainie w 1920 g.*, Moskwa 1926.
L. Nikulin, *Tuchaczewskij*, Moskwa 1964. Tłum. polskie: *Tuchaczewski*, tłum. S. Klonowski, Warszawa 1965.
I. Pawłowski, *Polityka i działalność wojskowa KPP 1918-28*, Warszawa 1964.
A. Piłsudska, *Piłsudski. A Biography by his Wife*, New York 1941.
J. Piłsudski, *Rok 1920*, Londyn 1941.
W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 2, Londyn 1967.
W. Primakow, *Riejd czerwonnych Kazakow*, Moskwa 1925.
A. Przybylski, *La Pologne en lutte pour ses frontières*, Paris 1931.
K. Putna, *K Wisle i obratno*, Moskwa 1927.
K. Radek, *Wojna polskich biełogwardiejcew protiw Sowietskoj Rossii*, Moskwa 1920.
B. Roja, *Legendy i fakty*, Warszawa 1931.
J. Romer, *Pamiętniki*, Lwów 1938.
A. Rozwadowski, *Generał Rozwadowski*, Kraków 1929.
J. Rybak, *Pamiętniki*, Warszawa 1954.
E. Siergiejew, *Ot Dwiny k Wisle*, Moskwa 1923. Tłum. polskie: *Od Dźwiny ku Wiśle*, przeł. J. Moszyński, Warszawa 1925.
L. Sikorski, *La Campagne Polono-Russe de 1920*, Paris 1928 (tłumaczenie książki: W. Sikorski, *Nad Wisłą i Wkrą*, Lwów 1928).
W. Sikorski, *Modern Warfare, its character, its problems*, London 1943 (tłumaczenie książki: *Przyszła wojna, jej możliwości i charakter oraz związane z nim zagadnienia obrony kraju*, Warszawa 1934).
P.W. Susłow, *Politiczeskoje obiespieczenije sowietsko-polskoj kampanii 1920 g.*, Moskwa-Leningrad 1930.
B. Szaposznikow, *Na Wisle. K istorii kampanii 1920 g.*, Moskwa 1924.
S. Szeptycki, *Front Litewsko-Białoruski*, Kraków 1925.
T. Teslar, *Polityka Rosji Sowieckiej podczas wojny z Polską*, Warszawa 1937.
T. Teslar, *Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku*, Warszawa 1938.
A.I. Todorski, *Marszał Tuchaczewskij*, Moskwa 1964.
L. Trocki, *Moje życie*, tłum. J. Barski, S. Łukomski, Warszawa 1930.
L. Trocki, *Sowietskaja Rossija i burżuaznaja Polsza*, przemówienie w Homlu, maj 1920, Moskwa 1920.
L. Trocki, *Stalin*, London 1947.
M.N. Tuchaczewski, *Izbrannyje proizwiedienija*, t. 1-2, Moskwa 1964.
M.N. Tuchaczewski, *Pochód za Wisłę*. Tekst polski w: J. Piłsudski, *Rok 1920*, Londyn 1941, s. 168-217; tekst rosyjski *Pochod za Wisłu*, w: M.N. Tuchaczewski, *Izbrannyje proizwiedienija*, Moskwa 1964, t. 1.
P.S. Wandycz, *Soviet-Polish Relations 1917-21*, Cambridge, Mass., 1969.
W. Wejtko, *Samoobrona Litwy i Białorusi*, Wilno 1930.
M. Weygand, *Mémoires*, t. 2, Paris 1957.
D. Fedotoff White, *The Growth of the Red Army*, Princeton 1944.

F. Williams, *Ernest Bevin – Portrait of a Great Englishman*, London 1952.
W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. 1-3, Paryż 1964-1965.
E. Wollenberg, *The Red Army*, London 1938.
P. Zaremba, *Dzieje 15. Pułku Ułanów Poznańskich*, Londyn 1962.
F.G. Zujew, *Mieżdunarodnyj impierializm organizator napadienija panskoj Polszy na Sowietskuju Rossiju, 1919-20 gg.*, Moskwa 1954.

3. ARTYKUŁY

N.N. Azowcew, W.P. Naumow, *Izuczenije istorii wojennoj intierwiencji i graždanskoj wojny w SSSR*, "Istorija SSSR" 1970, nr 6.
R. Brandt, *With the Soviet Army*, "Living Age", nr 307, 2.10.1920.
I. Cohen, *My Mission to Poland, 1918-19*, "Jewish Social Studies", t. XIII, nr 2, London 1952.
M.K. Dziewanowski, *Pilsudski's Federal Policy*, "Journal of Central European Affairs" 1950.
H.J. Elcock, *Britain and the Russo-Polish Frontier 1919-21*, "Historical Journal" 1969, nr 1.
W. Gostyńska, *Materiały archiwalne o tajnych rokowaniach polsko-radzieckich w Baranowiczach i Białowieży*, "Z dziejów stosunków polsko-radzieckich" 1969, nr 4.
H. Jabłoński, *Wojna polsko-radziecka 1919-20*, "Przegląd Socjalistyczny" 1948, nr 7-8.
A. Juzwenko, *Misja Marchlewskiego w 1919 roku na tle stosunków polsko-radzieckich*, w: *Z badań nad wpływem i znaczeniem rewolucji rosyjskich dla ziem polskich*, red. H. Zieliński, Wrocław 1968.
K. Krzeczunowicz, *Na 50-lecie bojów kawalerii i artylerii w 1920 roku*, w: *Katalog wystawy. Kawaleria i Artyleria Konna*, Londyn 1970, s. 7-20.
M. Kukiel, *The Polish-Soviet Campaign of 1920*, "The Slavonic Review", London 1928.
J. Lewandowski, *Prometeizm. Koncepcja polityki wschodniej piłsudczyzny*, "Biuletyn Wojskowej Akademii Politycznej", Seria Historyczna, t. I, 1958, nr 2 (12).
L.J. MacFarlane, *Hands off Russia*, "Past and Present" 1967.
J. Marchlewski, *Mir s Polszej*, "Kommunisticzeskij Intiernacjonał" 1920, nr 14.
J. Marchlewski, *Polsza i mirowaja riewolucja*, "Kommunisticzeskij Intiernacjonał" 1919, nr 7-8.
W. Najdus, *Polacy we władzach Republiki Litewsko-Białoruskiej, 1919*, "Kwartalnik Historyczny" 1967, nr 3.
W. Sworakowski, *An Error Regarding East Galicia in Curzon's Note to the Soviet Government, 11 July 1920*, "Journal of Central European Affairs" 1944.
P. Wandycz, *French Diplomats in Poland, 1919-26*, "Journal of Central European Affairs" 1964.
P. Wandycz, *General Weygand and the Battle of Warsaw*, "Journal of Central European Affairs" 1960, nr 19.
S. Żbikowski, *Zachodnia Dywizja Strzelców*, "Z pola walki" 1960, nr 2.

4. ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

Archiwum Akt Nowych, Warszawa (AAN)
Archiwum I.J. Paderewskiego (AIJP)
Komitet Narodowy Polski (KNP)
Prezydium Rady Ministrów (PRM)

Centralne Archiwum Partyjne Instytutu Marksa-Lenina (CAPIML)
Centralne Archiwum Państwowe Armii Sowieckiej (CAPAS); cytowane za opracowaniami
Główne Archiwum Państwowe Rewolucji Październikowej (GAPRP)

Cabinet Records (Cab)
Foreign Office Papers (FO)
Public Record Office, London (PRO)
War Office Papers (WO)
British Museum (BM)
Churchill Papers
Rumbold Papers
Lloyd George Papers

Źródła fotografii zamieszczonych w książce

fot. 1, 2, 3, 57 – Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie
fot. 4 – Paul Popper Ltd
fot. 5, 6, 9, 10, 12, 13, 14, 15 – akg-images
fot. 16 – Collection Viollet
fot. 17, 18, 22 – Jan Zimowski, ze zbiorów Muzeum Historii Fotografii w Krakowie
fot. 19 – F. Peto-Lubawa, ze zbiorów Muzeum Historii Fotografii w Krakowie
fot. 20 – H. Bernsztejn, ze zbiorów Muzeum Historii Fotografii w Krakowie
fot. 21 – ze zbiorów Muzeum Historii Fotografii w Krakowie
fot. 23, 24, 41, 49 – Ośrodek KARTA w Warszawie
fot. 25, 28, 29, 31, 32, 34, 37, 38, 39, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 52, 55 – Centralne Archiwum Wojskowe
fot. 26, 27 – Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie
fot. 30 – Album *Lenin. Sobranije fotografij i kinokadrow*, t. 1, *Fotografii* 1874–1923, oprac. A.M. Gak i in., Moskwa 1990
fot. 33 – Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie
fot. 35, 36, 40 – Rosyjskie Państwowe Archiwum Kino-fotodokumentów w Krasnogorsku
fot. 42 – "Tygodnik Ilustrowany", 1920
fot. 50, 51 – Rosyjskie Państwowe Archiwum Kino-fotodokumentów w Moskwie
fot. 53 – Muzeum Historii Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Mińsku, Białoruś
fot. 54 – Miejska Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie
fot. 56 – Muzeum Wojska Polskiego w Białymstoku

Indeks nazwisk

Ajnenkiel Andrzej (ur. 1931)
Airapetian Gajn
Alcock sir John William (1892-1919)
Aleksander III (1845-1894), car Rosji
Alexandrowicz Stanisław (1895-1982)
Anczyc Władysław Ludwik (1823-1883)
Anders Władysław (1892-1970)
Andreus Bernard zob. Wraga Ryszard
Arciszewski Tomasz (1877-1955)
Arnsen S.A.
Arski Stefan (1910-1993)
Awałow-Bermondt Pawieł M. zob. Bermondt-Awałow
Azowcew Nikołaj Nikołajewicz

Babel Izaak Emmanuiłowicz (1894-1940)
Bagiński Henryk (1888-1973)
Balfour Arthur James (1848-1930)
Bałachowicz-Bułak Stanisław zob. Bułak-Bałachowicz
Barski Jan
Batowski Henryk (1907-1999)
Beck Józef (ojciec) (1894-1931)
Beck Józef (syn) (1894-1944)
Belina-Prażmowski Władysław zob. Prażmowski-Belina
Beneš Eduard (1884-1948)
Bermondt Pawieł Rafajłowicz (książę Awałow) (1884-1973)
Berson Stanisław (1895-1919)
Bevin Ernest (1881-1951)
Bielicki Jan (1902-1974)
Bielski-Sariusz Tadeusz (1897-1973)
Bierzin Rejngold Josifowicz (właśc. Reinhold Beržins) (1888-1939)
Birnbaum Mieczysław (1889-?)
Bobiński Stanisław (1882-1937)
Boboszko Lew
Boerner Ignacy (1875-1933)
Bogusławski, podchorąży
Bolsover George
Boruszczak Aleksander (1868-1945)
Brandt Rolf

Breżniew Leonid Iljicz (1906-1982)
Brown Arthur Whitten (1886-1948)
Brusiłow Aleksiej Aleksiejewicz (1853-1926)
Bruski J.J.
Bubnow Andriej Siergiejewicz (1883-1940)
Bucharin Nikołaj Iwanowicz (1888-1938)
Budionny Siemion Michajłowicz (1883-1973)
Budkiewicz Stanisław (1887-1937)
Bułak-Bałachowicz Stanisław (1883-1940)
Burhat
Butkiewicz Mścisław (1876-?)

Callwell sir Charles Edward (1859-1928)
Camon Hubert (1885-1942)
Carnot Lazare Nicolas (1753-1823)
Carr Edward Hallett (1892-1982)
Carr sir Raymond (ur. 1919)
Carton de Wiart Adrian (1880-1963)
Cecil lord, Edgar Algernon Robert Gascoyne-Cecil, wicehrabia Cecil of Chelwood (1864-1958)
Chackiewicz Aleksandr Fiodorowicz
Chesterton Cecil (właśc. Ada Elisabeth Chesterton)
Chocianowicz Wacław (1902-1970)
Chrienow Iwan Aleksandrowicz
Churchill sir Winston Leonard Spencer (1874-1965)
Chwiesin Tichon Sierafimowicz (1894-1938)
Cichowicz Augustyn
Ciechanowski Jan (1887-1973)
Cieślak Tadeusz (1919-1985)
Cisielski
Clausewitz Karl von (1780-1831)
Clemenceau Georges (1841-1929)
Coates William Peyton
Coates Zelda
Cohen Israel (1879-1961)
Curzon lord, George Nathaniel Curzon, markiz Curzon (1859-1925)
Czajkowski Nikołaj Wasiljewicz (1850-1926)
Czapajew Wasilij Iwanowicz (1887-1919)
Czechow Anton Pawłowicz (1860-1904)
Czernow Wiktor Michajłowicz (1876-1952)
Cziczerin Gieorgij Wasiljewicz (1872-1936)
Czujkow Wasilij Iwanowicz (1900-1982)

D'Abernon lord, sir Edgar Vincent wicehrabia D'Abernon (1857-1941)
Daniszewski Karł Christianowicz (właśc. Julijs Karlis Daniševskis) (1884-1941)

Daszyński Ignacy (1866-1936)
Dąbski Jan (1880-1931)
Dąbrowski Stanisław
Deakin F.W. („Bill")
Denikin Anton Iwanowicz (1872-1947)
Deruga Aleksy (1909-1981)
Deutscher Isaac (1907-1967)
Dmowski Roman (1864-1939)
Dolecki Władysław (właśc. Jakub Fenigstein) (1888-1937)
Dostojewski Fiodor Michajłowicz (1821-1881)
Dowbór-Muśnicki Józef (1867-1937)
Dreszer-Orlicz Gustaw (1889-1936)
Dumienko Boris (1888-1948)
Dziemba Marian (1885-1921)
Dzierżyński Feliks (Edmundowicz) (1877-1926)
Dziewanowski Marian Kamil
Dżyngis-chan

Ejdeman Robert Piotrowicz (właśc. Ejdemanis) (1891-1937)
Elcock Howard James
Engels Fryderyk (1820-1895)
Erbert
Erickson John (ur. 1920)

Fainsod Merle (1907-1972)
Falkenhayn Erich von (1861-1922)
Farman E.
Fauntleroy Cedric E. (1891-1963)
Fedotoff White Dimitri (1889-1950)
Filipowicz Tytus (1873-1954)
Foch Ferdinand (1851-1929)
Foster Robert C.
Frey Bolesław (1873-po 1934)
Frunze Michaił Wasiljewicz (1885-1925)

Gaj Gaj Dmitrijewicz (właśc. Gajk Bżyszkjan) (1887-1937)
Gallacher William (1881-1965)
Garbiński Lolek
Gaulle Charles de (1890-1970)
Gąsiorowska-Grabowska Natalia (1881-1964)
Gibbon Edward (1737-1794)
Gierek Edward (1913-2001)
Gierowski Józef Andrzej (1922-2006)
Giolitti Giovanni (1842-1928)
Gittis Władimir Michajłowicz (1881-1938)

Glezarow
Godyń Zygmunt (1910-1979)
Golikow Filipp Iwanowicz (1900-1980)
Goltz Rüdiger von der (1865-1946)
Gorodowikow Oka Iwanowicz (1879-1960)
Gostyńska Weronika
Grabski Stanisław (1871-1949)
Grabski Władysław (1874-1938)
Grador
Greenly generał-major
Gregory John Duncan (1878-1951)
Grinberg Maria (1912-1994)
Grosfeld Leon (1911-1987)
Grove William Remsburgh
Grünewald Matthias (właśc. Mathis Nithart) (1460/80-1528)
Guderian Heinz (1888-1954)

Habich Eugeniusz
Haller Józef (1873-1960)
Haller Stanisław (1872-1940)
Hankey sir Maurice Paschal (1877-1964)
Hayward Max
Henrys Paul-Prosper (1862-1943)
Hingley Ronald
Hitler Adolf (1889-1945)
Hoffmann Maximilian (1869-1927)
Holzer Jerzy (ur. 1930)
Hołówko Tadeusz (1889-1931)
Home Alistair
Hoover Herbert Clark (1874-1964)
Horthy de Nagybánya Miklós (1868-1957)
Howard sir Michael Eliot (ur. 1922)

Idzik Aleksander (1893-1965)
Ioffe Adolf Abramowicz zob. Joffe
Ionescu Take (1858-1922)
Iwaszkiewicz Wacław (1871-1922)

Jabłoński Henryk (1909-2003)
Jakir Iona Emmanuiłowicz (1896-1937)
Jakowlew Wadim (1890-?)
Jakub II (1633-1701), król Anglii i Szkocji
Jasiński Stanisław (1891-1932)
Jastrzębski Wincenty (1885-1977)
Jaworski Feliks (1892-1926)

Jegorow Aleksandr Iljicz (1883-1941)
Jermolin Paweł Andriejewicz (zm. 1974)
Jerzy V (1865-1936), król Wielkiej Brytanii
Jędruszczak Tadeusz (1924-1993)
Jędrzejewski Władysław (1863-1940)
Joanna d'Arc, święta (ok. 1412-1431)
Joffe Adolf Abramowicz (1883-1927)
Judenicz Nikołaj Nikołajewicz (1862-1933)
Jusserand Jean-Jules (1855-1932)
Juzwenko Adolf (ur. 1939)

Kakurin Nikołaj Jewgienijewicz (1883-1936)
Kalinin Michaił Iwanowicz (1875-1946)
Kamieniew Lew Borisowicz (właśc. Rozenfeld) (1883-1936)
Kamieniew Siergiej Siergiejewicz (1881-1936)
Kapp Wolfgang (1858-1922)
Kapsukas-Mickevičius Vincas zob. Mickiewicz-Kapsukas
Karnicki Aleksander (1869-1937)
Karol XII (1682-1718), król Szwecji
Karol Martel (Młot) (ok. 685-741), majordom frankijski
Karpińska Urszula zob. Remiszewska Teresa
Karpus Z.
Karski Kazimierz (1899-1980)
Katarzyna II (1729-1796), caryca Rosji
Kawalec Tadeusz
Kerr Philip Henry, markiz of Lothian (1882-1940)
Kierenski Aleksandr Fiodorowicz (1881-1970)
Kitchener Horatio Herbert, hrabia (1850-1916)
Klackin Saul Markowicz
Klepacki S.
Klonowski Stefan (1903-1980)
Koc Leon
Kochan Lionel
Kochański Aleksander
Kołczak Aleksandr Wasiljewicz (1873-1920)
Kołłontaj Aleksandra Michajłowna (1872-1952)
Komarnicki Tytus (1896-1967)
Komorowski Tadeusz („Bór") (1895-1966)
Kon Feliks (1864-1941)
Kopp Wiktor Leontiewicz (1880-1930)
Korfanty Wojciech (1873-1939)
Kork Awgust Iwanowicz (1887-1937)
Korniłow Ławr Gieorgijewicz (1870-1918)
Korostowiec Władimir Konstantinowicz
Korta Adam

Kossakowski Michał Stanisław, hrabia (1883-1962)
Kościuszko Tadeusz (1746-1817)
Kotowski Grigorij Iwanowicz (1881-1925)
Kowalski Edward
Kowalski W.T.
Krajowski Franciszek (właśc. Kralicˇek) (1861-1932)
Krasicki Zygmunt, hrabia (1889-1955)
Krasin Leonid Borisowicz (1870-1926)
Królikowski Stanisław
Krzeczunowicz Kornel (1894-1988)
Kukiel Marian (1885-1973)
Kujawski zob. Marchlewski Julian
Kun Béla (1886-1939)
Kutrzeba Tadeusz (1886-1947)
Kuźmin Grigorij Wasiljewicz
Kuźmin Nikołaj Fiodorowicz
Kuźmin Nikołaj Nikołajewicz (1883-1939)

Lachman Wacław (1880-1963)
Laski Harold (1893-1950)
Lasocki Józef (1861-1931)
Latinik Franciszek (1864-1949)
Lednicki Aleksander (1866-1934)
Lefèvre André (1869-1929)
Leinwand Artur (ur. 1923)
Lenin Władimir Iljicz (właśc. Uljanow) (1870-1924)
Leński Julian (właśc. Leszczyński) (1889-1939)
Leszczyński zob. Leński Julian
Le Rond Henri (1864-1949)
Leśniewski Józef (1867-1921)
Lewandowski Józef
Leygues Jean-Claude-Georges (1857-1933)
Liddell Hart Basil (1895-1970)
Lieven Anatol Leonid (Anatolij Pawłowicz), książę (1872-1937)
Linde Mieczysław (1868-1940)
Listowski Antoni (1865-1927)
Liwyckyj Andrij (1879-1954)
Lloyd George David (1863-1945)
Lubomirska Maria, księżniczka (1878-1923)
Ludendorff Erich von (1865-1937)
Luksemburg Róża (1871-1919)
Lwow Gieorgij Jewgienijewicz, książę (1861-1925)

Łazariewicz Władimir Sałamonowicz (1882-1938)
Łągwa (Łongwa) Roman

Łossowski Piotr (ur. 1925)
Łuczyński-Narbut Aleksander Jerzy (1890-1977)
Łukomski Stanisław

MacFarlane Leslie John (ur. 1924)
Machno Nestor Iwanowicz (1884-1934)
Mackinder sir Halford John (1861-1947)
Majakowski Władimir Władimirowicz (1893-1930)
Makarczuk
Malczewski Juliusz (1872-1940)
Malinowski-Pobóg Władysław (1899-1962)
Maltzan Adolf Georg Otto (Ago) von (1877-1927)
Mann Tom (1856-1941)
Mannerheim Carl Gustav Emil von (1867-1951)
Manuilski Dmitrij Zacharowicz (1883-1959)
Marchlewska Bronisława (1866-1952)
Marchlewski Julian (1866-1925)
Marks Karol (właśc. Karol Heinrich Marx) (1818-1883)
Masaryk Jan (1886-1948)
Masaryk Tomáš Garrigue (1850-1937)
Matuszewski Ignacy (1891-1946)
Matuzienko Aleksandr (1886-1939)
Matwiejew G.
Mazepa Izaak (1884-1952)
McGibbon James
Meijer J.
Miasnikow (Miasnikjan) Aleksandr Fiodorowicz (1886-1925)
Mickiewicz Adam (1798-1855)
Mickiewicz-Kapsukas Vincas (właśc. Mickevičius) (1880-1935)
Mielikow Władimir Aleksandrowicz (1897-1946)
Mienicki Piotr
Mienżynski Wiaczesław Rudolfowicz (1874-1934)
Mieżeninow Siergiej Aleksandrowicz (1890-1937)
Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę rosyjski (1856-1929)
Millerand Alexandre (1859-1943)
Mokrzecki Stefan (1862-1932)
Molenda Jan (ur. 1930)
Mołotow Wiaczesław Michajłowicz (właśc. Skriabin) (1890-1986)
Morozow Lew Dmitrijewicz (1897-1963)
Moszyński Józef
Murałow Nikołaj Iwanowicz (1877-1937)
Murawjow Michaił Artiemiewicz (1880-1918)
Murray Kenneth Malcolm
Murtazin M.
Muśnicki-Dowbór Józef zob. Dowbór-Muśnicki

Najdus Walentyna (1909-2004)
Namier sir Lewis Bernstein (1880-1960)
Napoleon I (1769-1821), cesarz Francuzów
Naumow Jewgienij Iwanowicz
Naumow Władimir Pawłowicz
Niessel Henri Albert (1866-1955)
Nikitin, komisarz
Nikulin Lew Wieniaminowicz (1891-1967)
Northcliffe lord, Alfred Charles William Harmsworth, wicehrabia Northcliffe (1865-1922)
Nowik Grzegorz

Olivová Veˇra (ur. 1926)
Olszamowski Janusz (1887-1920)
Omelianowycz-Pawlenko Mychajło (1878-1952)
Ordżonikidze Grigorij Konstantinowicz (Sergo) (1886-1937)
Orlicz-Dreszer Gustaw zob. Dreszer-Orlicz
Osiński Aleksander (1870-1956)
Osmołowski Jerzy (1872-1954?)

Paderewski Ignacy Jan (1860-1941)
Panafieu Hector André de
Parchomienko Aleksandr Jakowlewicz (1886-1921)
Paskiewicz Iwan Fiodorowicz, hrabia erewański, książę warszawski (1782-1856)
Patek Stanisław (1866-1945)
Pawlenko-Omelianowycz Mychajło zob. Omelianowycz-Pawlenko
Pawłowski Ignacy
Percival Passawer Harold Franz
Perl Feliks (1871-1927)
Petlura Symon (1877-1926)
Piermykin Boris Siergiejewicz (1890-1971)
Piłsudska Aleksandra (1882-1963)
Piłsudski Bronisław (1866-1918)
Piłsudski Józef (1867-1935)
Piszczulin, oficer polityczny Konarmii
Pius XI, papież zob. Ratti Achille
Pobóg-Malinowski Władysław zob. Malinowski-Pobóg
Polk Frank Lyon (1871-1943)
Pollak Seweryn (1907-1987)
Pomarański Stefan (18993-1944)
Pomiankowski Józef (1866-1929)
Pomianowski Jerzy (ur. 1921)
Pragłowski Aleksander (1895-1974)
Pralon Eugène
Prażmowski-Belina Władysław (1888-1938)
Primakow Witalij Markowicz (1897-1937)

Próchniak Edward (1888-1937)
Przybylski Adam (1896-1945)
Puszkin Aleksandr Siergiejewicz (1799-1837)
Putna Witowt Kazimirowicz (1893-1937)

Rabenau Friedrich von (1884-1945)
Rabinowicz Samuił Jewgienijewicz
Radcliffe sir Percy (1874-1934)
Radek Karol, Karl Bernhardowicz (właśc. Karol Sobelson, Sobelsohn) (1885-1939)
Radziwiłł Karol, książę (1886-1968)
Radziwiłł Stanisław Wilhelm, książę (1880-1920)
Rasikas Rapolas (1887-1938)
Raszewski Kazimierz (1864-1941)
Ratti Achille (później papież Pius XI)
Rayski Ludomił (1892-1977)
Remiszewska Teresa (1928-2002)
Rezmer W.
Ribbentrop Joachim von (1893-1946)
Robespierre Maximilien Marie Isidore de (1758-1794)
Roja Bolesław (1876-1940)
Romer Jan (1869-1934)
Rozwadowski Adam Jordan
Rómmel Juliusz (1881-1967)
Ruby, kapitan
Rumbold lady Ethelred Constantia
Rumbold sir Horace George Montagu (1869-1941)
Rumsza Kazimierz (1886-1970)
Rybak Józef (1882-1953)
Rydz-Śmigły Edward (1886-1941)

Safjan Zbigniew (ur. 1922)
Sahm Heinrich (1877-1939)
Sapieha Eustachy, książę (1881-1963)
Sariusz-Bielski Tadeusz zob. Bielski-Sariusz
Sawicki Jan (1872-1940)
Sawinkow Boris Wiktorowicz (1879-1925)
Schapiro Leonard Bertram (1908-1983)
Seeckt Hans von (1866-1936)
Seton-Watson Hugh (1916-1980)
Shaw Tom (1872-1938)
Siekierski
Siemionow Grigorij Michajłowicz (1890-1946)
Sienkiewicz Henryk (1846-1916)
Siergiejew Jewgienij Nikołajewicz (1887-1938)
Sikorski L.

Sikorski Władysław (1881-1943)
Simons Walter (1861-1937)
Skierski Leonard (1866-1940)
Sklanski Efraim Markowicz (1892-1925)
Składkowski Felicjan Sławoj (1885-1962)
Skrzyński Władysław (1873-1937)
Skulski Leopold (1876-1939?)
Skwarczyński Paweł
Skworcow-Stiepanow Iwan Iwanowicz (1870-1928)
Sławek Walery (1879-1939)
Sławiński Adam Siemionowicz (właśc. Adam Kaczorowski) (1885-1937)
Słowacki Juliusz (1809-1849)
Smilga Ivar Tenisowicz (1892-1938)
Sokolnikow Grigorij Jakowlewicz (właśc. Brillant) (1888-1939)
Sołłogub Nikołaj Władimirowicz (1883-1937)
Sołżenicyn Aleksandr Isajewicz (ur. 1918)
Sosnkowski Kazimierz (1885-1969)
Stachowicz Józef
Stalin Josif Wissarionowicz (właśc. Dżugaszwili) (1879-1953)
Steczkowski Jan Kanty (1862-1929)
Sun Jat-sen (1866-1925)
Susłow Pawieł Wasiljewicz (1901-1937)
Sworakowski Witold
Szaposznikow Boris Michajłowicz (1882-1945)
Szeptycki Stanisław (1867-1950)
Szeryński Zdzisław (1888-1936)
Szlapnikow Aleksandr Gawriłowicz (właśc. Bielenin) (1883-1937)
Szuwajew Dmitrij Sawieliewicz (1854-1937)
Szwarc Nikołaj (1882-1944)
Szymanowski Piotr (1857-1926)

Śmigły-Rydz Edward zob. Rydz-Śmigły
Świerczewski Karol (1897-1947)

Tabakowska Elżbieta
Taylor Alan John Percivale (1906-1990)
Teslar Tadeusz
Timoszenko Siemion Konstantinowicz (1895-1970)
Tito (właśc. Josip Broz) (1892-1980)
Tiuleniew Iwan Władimirowicz (1892-1978)
Todorski Aleksandr Iwanowicz (1894-1965)
Tomin Nikołaj Dmitrijewicz (1886-1924)
Tommasini Francesco
Tomski Michaił Pawłowicz (1880-1936)
Tower sir Reginald (1860-1939)

Trąmpczyński Wojciech (1860-1953)
Trocki Lew Dawidowicz (właśc. Bronsztejn) (1879-1940)
Trunow Pawieł
Trusow, generał
Tuchaczewski Michaił Nikołajewicz (1893-1937)

Uborewicz Hieronim, Uboriewicz Jeronim Piotrowicz (1896-1937)
Uljanow Aleksandr Iljicz (1866-1887)
Unszlicht Józef (1879-1938)

Varey Irena
Varey Peter
Voltaire (właśc. François Marie Arouet) (1694-1778)

Wacetis (Vacetis) Joakim Joakimowicz (1873-1938)
Wambaugh Sarah (1882-1956)
Wandycz Piotr Stefan (ur. 1923)
Wasilewski Leon (1870-1936)
Wąsowicz Michał (1902-1970)
Wats Ken
Webb Beatrice (1858-1943)
Webb Sidney (1859-1947)
Wejtko Władysław (1859-1933)
Wesołowski Bronisław (1870-1919)
Weygand Maxime (1867-1965)
Więckowski Aleksander (1854-1920)
Willetts Halina
Willetts Harry
Williams Francis
Wilson sir Henry (1864-1922)
Wilson Thomas Woodrow (1856-1924)
Witos Wincenty (1874-1945)
Wollenberg Erich
Woroszylski Wiktor (1927-1996)
Woroszyłow Klimient Jefriemowicz (1881-1969)
Wraga Ryszard (właśc. Jerzy Niezbrzycki) (1902-1968)
Wrangel Piotr Nikołajewicz (1878-1928)
Wróblewski Władysław (1875-1951)

Zagórski Włodzimierz (1882-1927)
Zamoyski Adam
Zamoyski Maurycy hrabia (1871-1939)
Zaremba Paweł (1915-1979)
Zatonski Władimir Piotrowicz (1888-1938)
Zawadzki Hubert

Zetkin Klara (1857-1933)
Zieliński Henryk (1920-1981)
Zieliński Marian (1904-1984)
Zieliński Zygmunt (1858-1925)
Zinowiew Grigorij Jewsiejewicz (właśc. Radomyslski) (1883-1936)
Zujew Fiodor Grigoriewicz
Zygadłowicz Gustaw (1869-1923)

Żbikowski Stefan (1891-1937)
Żeligowski Lucjan (1865-1947)
Żeromski Stefan (1864-1925)
Żukow Gieorgij Konstantinowicz (1896-1974)

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
Przedmowa autora do nowego wydania polskiego
Przedmowa autora do wydania polskiego
Nota tłumacza
Rozdział pierwszy. Jeszcze jedna pożoga
Galeria Polscy dowódcy
Galeria. Sowieccy dowódcy
Galeria. Osobistości polityki europejskiej
Galeria. Rok 1919. Początek wojny
Rozdział drugi. Zima straconych złudzeń
Rozdział trzeci. Inwazja na Ukrainę
Rozdział czwarty. Inwazja na Polskę
Galeria. Rok 1920. Najcięższe walki
Rozdział piąty Bitwa Warszawska
Rozdział szósty. Decydująca kampania
Rozdział siódmy. Reperkusje
Bibliografia
Źródła fotografii
Indeks nazwisk
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:
White Eagle, Red Star. The Polish-Soviet War 1919-1920 and 'the miracle on the Vistula'
Macdonald & Co. (Publishers) Ltd., London 1972.
© Norman Davies, 1972
Tłumaczenie na podstawie wyd. 2, Orbis Books, London 1983.

© Copyright by Norman Davies, 2006
© Copyright for the translation by Andrzej Pawelec, 2006

Projekt okładki
Witold Siemaszkiewicz

Stanisława Kaczor-Batowski, Bitwa pod Zadwórzem
© Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

ISBN& 978-83-240-2231-1

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,
30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

www.woblink.com

NORMAN

DAVIES

ORZEŁ BIAŁY
CZERWONA GWIAZDA

znak